

Stefan Wasilewski

DROGA PRZEZ PIEKŁO



novaeres
WYDAWCA I DYSTRYBUTOR

Stefan Wasilewski

Droga przez piekło

Dlaczego, Panie?
Dlaczego, Panie, życie mi dałeś,
Wszak nie prosiłem Cię przecież o to,
Więc jestem tutaj, tak jak chciałeś,
tylko czy Ty wiesz, Panie, po co?

Kapłani mówią, że nic się nie dzieje,
Bez Twojej, Panie, w niebie woli,
A ja straciłem już nadzieję,
Czy wiesz, mój Boże, jak to boli?

Powiedz, dlaczego przyszli Rosjanie
Do mego kraju z krwawą wojną,
Zabijali wszystkich ludzi, Panie,
Spalili całą wieś spokojną.

A potem przyszli do naszych domów,
Wyrwali nocą ze snu z nagłą,
Wywieźli sańmi do wagonów,
A tam się do nas śmierć dosiadła.

Wieźli nas potem na zesłanie,
Na głód, choroby i na nędzę.
Czy wszystko to masz zapisane
też w swej niebieskiej, Boże, księdze?

Nie mnie dochodzić racji Twoich,
Wszak, Panie, Ty masz swoje plany.
Powiedz, dlaczego braci moich
wywieźli w stepy na kurhany.
Nie wiem, czy tam w rajskiej prerii
Są pluskwy, wszy i tarakany...
Po nas łąziły, tam, na Syberii
całe ich mrowia, Boże kochany!

Zabrali nam imię, miłość i wiarę,
Całun żałobny włożyli na twarzę,
A o nadziei, chyba za karę,
Nie wolno było mieć nawet marzeń.

Ze śmiercią w kości o życie my grali.

W nędzy przez długie, mój Panie, lata,
Niewielu udało się, to wyjechali
Z Andersem szczęściarze do wolnego świata.

Potem Pahlewi, Teheran, mój Boże,
Luksus jak w Polsce Ludowej wczasy,
Okretem płyniemy przez indyjskie morze,
Do serca Afryki, czarnej Mombassy.

Wsiadamy w pociąg, pełni euforii,
Tory się wiją, wśród gór i zieleni.
I nad jeziorem wysiadamy Wiktorii,
Do chaty ze strzechą prawie do ziemi.

Wiktorii to dla nas prezent aniołów,
Choć drogi mogiłą wysłane są gęsto.
W Ugandzie powstał jak Feniks z popiołów,
Lecz gorzkie to było, mój Boże, zwycięstwo.

Lata mijają, a my wciąż na wojnie,
Choć wojna skończyła się dawno w maju.
A my się pytamy wciąż niespokojnie,
Wracać, nie wracać, do jakiego kraju?

Czy jeszcze tę Polskę kiedyś zobaczą?
Tęsknota krwawi łagrów ran blizną.
W oczach łez brakło, choć oczy płaczą
Za mą ukochaną, mój Panie, ojczyznę.

Przywiodłeś nas, Panie, do ojczyzny łona,
Lecz ta ukochana Polska radziecka
Nie chciała wziąć nas w swoje ramiona
I przytulić do piersi niechcianego dziecka.

Dlaczego zagrałeś znów tą samą kartą,
Cóż warte były mego życia znoje?
Więzienia dla nas znowu są otwarte
I łagry sowieckie otwarły podwoje.

Oddaj mi wiarę, mój najdroższy Panie.
Nie wiem, czy jeszcze ją u siebie masz
Tę, co zabrali mi w tajdze Rosjanie,

Pamiętasz? Powiedz, kiedy mi ją dasz?

Kiedy się modłę, klęcząc na kolanach,
Cóż Ci powiedzieć, wielki Boże, mam?
Moja modlitwa jest tak rozczochrana,
Nie wiem, czy doleci do Twych nieba bram.

Gdy się wybiorę już w ostatnią drogę,
Przecież i tak kiedyś stąd odejść muszę,
Tylko pod furkę nie podstawiaj nogę
I przepuść do raju mą rogatą duszę.

Rozdział I

W roku 1939 jesień była pogodna i ciepła. Z jednej strony rzeki Szczary rozciągały się bezkresne łąki w części podmokłe, a daleko na horyzoncie czerniała się ściana lasu. Łąki otulone były porannymi mgłami, które niziutko snuły się nad nimi, jakby chciały ukryć jakąś tajemnicę, o której słyszały, a nie chciały zdradzić. Istotnie, był to czas wojny, która tutaj jeszcze nie dotarła, tu na kresy wschodniej Rzeczypospolitej.

Z drugiej strony rzeki stały siedziby ludzkie porzucane po okolicy. Były to tak zwane kolonie, w których mieszkali osadnicy wojskowi. Dostali oni ziemię po zwycięstwie nad bolszewikami w 1920 roku. Osada znana była pod nazwą Złotowo (gmina Byeń, powiat Słonim, województwo nowogrodzkie). Osada otoczona była częściowo przez ludność białoruską, z którą sąsiedztwo było raczej poprawne.

Na razie panował spokój. Ludzie krzątali się przy swoich gospodarstwach. Z rana zarówno dorośli, jak i dzieci wypędzali bydło na pobliskie łąki. Było wtedy gwaro, a porykiwanie bydła niosło się daleko, powracając echem, odbite od lasu. Ludzie też pokrzykiwali i czekali, aż ich własny głos do nich powróci. Było dużo śmiechu i radości.

Drzewa ubrały się już w kolorowe szaty, a wielobarwne liście, nawet przy łagodnym wietrzyku, leciały jak piękne motyle, siadając na trawie, tkając piękny kolorowy dywan szeleszczący pod każdym przechodzącym.

Niektóre gospodarstwa przylegały do rzeki pełnej ryb. Miejscowi chętnie wędkowali, łowiąc jazie, sumy, płocie. Rzeka była regulowana ze stopniem wodnym w ujściu Grywdy do Szczary, którą można było dopłynąć z Gdańska do Pińska przez sieć rzek i kanałów. W Pińsku stacjonowała marynarka wojenna na Prypeci.

Niedaleko znajdował się zakład karny dla skazanych, którzy kończyli już wyroki lub byli skazani na mniej niż dwa lata i stąd wychodzili na wolność. Więźniowie pracowali na pobliskich łąkach przy melioracji. Szli rano do pracy z łopatami na ramieniu i śpiewali: „O mój rozmarynie, rozwijaj się” lub „Rozkwitały pąki białych róż”. Stefan wisiał wtedy na płocie i słuchał tych piosenek.

Rodzina Wasilewskich miała dwadzieścia pięć hektarów ziemi ornej i dziesięć hektarów łąk. Gospodarstwo prowadził Stanisław Wasilewski z drugą żoną Ludwiką. Mieli pięcioro dzieci. Janina, Tadeusz i Leopold z pierwszą żoną Stanisławą oraz Halina i Stefan z drugą żoną. Gospodarstwo miało nowe zabudowania jak dom, oborę, stodołę i chlewnię z szesnastoma sztukami bydła, wieloma sztukami trzody, trzema końmi.

Gospodarstwo rozwijało się intensywnie, mając możliwości zbytu wszystkich swoich produktów do pobliskiego zakładu karnego. Korzyści były obopólne ku zadowoleniu jednych, jak i drugich. Strażnicy więzienni przychodzili tu czasem na

pogawędki lub na grę w tysiąca. Gospodarz częstował miodem pitnym, od którego nie stronił. Wydawało się, że cenili to bardziej niż zwykłe kontakty towarzyskie, a i języki rozwiązywały im się łatwiej. Przy domu była spora pasieka, a pszczoły musiały się wiele natrudzić, żeby wypełnić miodem ule i zadowolić podniebienia biesiadników, zbierając nektar z kwiatów pobliskich łąk.

Osada administrowana była z gminy Byeń, gdzie Stanisław był radnym i sporo czasu poświęcał dla dobra gminy i jej mieszkańców. Dlatego też gospodarstwo musiało zatrudniać miejscowych do prac polowych i domowych.

W domu i w oborze pomagała Sonia, przyjaciółka i powiernica Ludwika. Obie kobiety wspierały się nawzajem w trudnych chwilach. Sonia mieszkała w marnej chacie pod lasem i praca u Ludwika była jej jedynym źródłem utrzymania. Do prac w polu najmowany był Aleksander Naliwko, chłopiec siedemnastoletni o mocnej budowie i wielce pracowity. Miał u Wasilewskich wikt i opierunek, a też pieniądze, które niezbędne były jego licznej rodzinie.

Pobliskie miasteczka jak Byeń i Słomim były reprezentatywne dla całych Kresów. Była to istna wieża Babel. Konglomerat wielu narodów, kultur, języków i wiary. Mieszkali tu Białorusini, Tatarzy, a na północy Litwini. Asymilacja była powolna, acz nieuchronna.

Białorusini chodzili do cerkwi, Polacy i część Białorusinów do kościoła, Żydzi do synagogi, a Tatarzy do meczetów. Nikomu to nie przeszkadzało, do czasu...

Miejscowa ludność, w większości uboga, pracowała na roli. Nieliczni w pobliskich miasteczkach, w warsztatach rzemieślniczych czy małych fabryczkach. Żydzi trudnili się handlem. Prawie cały system finansowy był w ich rękach, kontrolowali więc cały rynek. Pożyczali pieniądze na lichwiarskie procenty. Kupowali produkty od rolników za pół ceny. Miejscowa ludność nie darzyła ich sympatią.

Drogi były kiepskie, a najlepsza z nich to ta, która prowadziła z Moskwy do Warszawy. Z tego też względu ważną rolę odgrywała kolej przechodząca blisko osady. Pociągi kursowały trzy razy na dobę. Były wzorem punktualności. Kiedy pociąg dudnił, przejeżdżając przez żelazny most, słyhać go było daleko. Wtedy mieszkańcy orientowali się, która jest godzina. Stacje były rzadkie, bo i miejscowości od siebie były znacznie oddalone. Do najbliższej stacji w Domanowie było dziesięć kilometrów.

Była 12:30, pociąg jak zwykle punktualny, przejeżdżał przez most, dymił i sypał iskrami, syczał i gnał przed siebie do celu, żeby zdążyć na czas. Jeszcze zagwizdał głośno i przeciągle, ostrzegawczo przed skrzyżowaniem z drogą, którą jechały furmanki z bazaru.

Chłopi byli zadowoleni. Swój towar sprzedali po niższej cenie, niż się spodziewali, ale mogli kupić towary potrzebne do domu, gospodarstwa i trochę słodyczy dla dzieci. Te czekały na wracających przy płotach. A wracali głośno,

trzaskając z bata, bo według zwyczaju po dobieciu targu należało się napić wódki za pomyślność.

Z zachodu dał się słyszeć pomruk lecących samolotów. Zbliżały się szybko, do jadącego pociągu. Leciały wzdłuż torów. Dopadły pociąg pełen ludzi i zaczęły rzucać bomby. Nastąpił potężny huk eksplodujących bomb i trzask rozrywanych wagonów. Jedna z bomb trafiła w kocioł parowozu. Ciśnienie pary rozerwało parowóz na strzępy. Kłęby pary i dymu zakryły zupełnie pociąg, który wypadł z torów i stanął. Oderwane odłamki szkła i żelaza ze świstem leciały na wszystkie strony. W wagonach słychać było krzyki i jęki rannych. Część ludzi została w środku, ale niektórych wybuch wyrzucił na zewnątrz.

Podczas nalotu furmani, którzy byli blisko torów, powyskakiwali do rowów, chowając się przed odłamkami. Spłoszone konie gnały ile sił w nogach na oślep. Z wozów wypadały zakupione towary. Niektóre wozy rozbijały się o przydrożne drzewa i tylko z dyszlem i przednimi kołami dopadały do domostw. Pokryte pianą konie drżały i żałośnie rżały. Kobiety wybiegały z domów. Załamywały ręce i pytały: co się stało? Nie znajdując odpowiedzi, czekały.

Przestraszeni i ogłuszeni furmani leżeli bez ruchu w przydrożnym rowie. Kiedy wszystko ucichło, zaczęli podnosić głowy i powoli wstawać. Spoglądali na siebie, dziwiąc się, że żyją. Nie do końca wierzyli, że są cali, bo tylko cud mógł sprawić, że żyją. Przed nimi stał dymiący i rozbity pociąg. Ze wszystkich stron biegli ludzie, spiesząc z pomocą. Oprzytomnieli więc i też poszli ratować tych, którzy być może ocaleli z pogromu. Wynosili rannych i kładli ich na ziemi. Wracali i wyprowadzali następnych, niemogących wyjść o własnych siłach. Rozglądali się, komu mogą pomóc. Zauważyli kobietę siedzącą nieruchomo przy rozbitym oknie. Siedziała jak posąg, wpatrzona gdzieś w dal. Wieczorek podszedł do niej, trącił w ramię.

– Proszę pani, nic się pani nie stało? – zapytał.

Kobieta obróciła powoli głowę w jego kierunku i spojrzała wzrokiem pełnym bólu. Chciała coś powiedzieć, ale otworzyła tylko usta i zamarła w takiej pozie. Była w szoku, drżała na całym ciele. Kogoś mu przypominała... zaraz, przecież to Danusia Sokołowska, sąsiadka. Wydała mu się o wiele starsza, i te siwe włosy...

– Staszek, chodź, pomóż mi wyprowadzić panią Danusię – powiedział Zygmunt do kolegi.

Wzięli ją pod ręce i raczej wynieśli, niż wyprowadzili z wagonu. Posadzili na trawie pod dębem, tak samo okaleczonym jak oni. Świeże powietrze i chłód płynący od rzeki pomogły przywrócić jej świadomość. Oddychała głęboko.

Pani Danusia była sąsiadką Zygmunta, znali się od lat. Płot dzielił ich zagrody. Przed tygodniem wyjechała do Baranowicz, do rodziców, z dziesięcioletnią córką. Dziś wracały do domu tym pociągiem. Mężczyźni stali przy niej i nie wiedzieli, jak mają jej pomóc.

– Panie Zygmuncie, to pan? – Poznała go. – Gdzie ja jestem? Gdzie moja córka

Kryśia? Niech mi pan pomoże, niech pan jej szuka!

Próbowała wstać, ale nie mogła.

– Niech pani tu siedzi, my poszukamy córki – zaproponował Stach.

We trzech poszli szukać dziecka. Chodzili wśród powykręcanych rur i powyginanych blach, pod nimi leżeli ludzie, którym nie można już było pomóc. Wszędzie było pełno krwi i czuć było swąd spalonych ciał.

– Chodźmy stąd, robi mi się słabo na ten widok – powiedział Stach.

Istotnie był blady i wyglądał, jakby za chwilę miał zemdleć.

– Chodźmy – odparł Zygmunt.

Wziął kolegę pod ramię i odprowadził trochę dalej od pociągu.

Coraz więcej ludzi spieszyło na ratunek. Jedni szli pieszo, inni jechali wierzchem na koniach, jeszcze inni furmankami. Wszyscy chcieli pomóc, bez względu na narodowość czy wyznanie. Na czele tego orszaku biegł mężczyzna średniego wieku, o gęstych czarnych włosach. Wyprzedził wszystkich i pierwszy dobiegł do rozbitego pociągu. To, co zobaczył, przeraziło go. Stał, patrzył na wrak pociągu i nie mógł zrobić ani jednego kroku. Tym pociągiem miała przyjechać jego żona i ukochana córeczka Kryśia.

– Gdzie one są, gdzie one są...? – powtarzał bezwiednie. Stał nieruchomo niczym posąg.

Zygmunt poznał go. Był to mąż Danusi. Podeszedł do niego ale nie wiedział, jak przekazać bolesną prawdę. Dotknął dłonią ramienia sąsiada. Ten powoli odwrócił się i spojrzał, jakby miał pretensje, że ktoś zakłóca jego spokój.

– A, to pan. Tym pociągiem miała – cedził powoli słowa.

– Wiem. Pańska żona...

– Tak? Gdzie, mów pan, bo chyba zwariuję!

– Siedzi tam, pod tym skaleczonym dębem.

Rzucił się w tamtym kierunku, ale po chwili zatrzymał się.

– A córka, widział pan moją córkę? – zapytał.

– Właśnie jej szukamy, ale na razie...

Nie czekał na dalsze wyjaśnienia. Podbiegł do żony. Parę razy potknął się o jakieś żelastwo. Po chwili był przy niej.

– Danuśka, Danuśka! – wołał z rozpaczą.

Kobieta poznała głos męża, wyciągnęła ku niemu ręce. Chciała wstać, ale nie mogła. Pomógł jej podnieść się, a potem wziął ją w ramiona i przytulił mocno.

– Danusiu, gdzie Kryśia? – zapytał łamiącym się głosem. Szloch wyrwał się z jej piersi.

– O Jezu, Jezu ja nie wiem, gdzie jest Kryśia! – łkała.

Mąż przytulił ją jeszcze mocniej i tak trwali ze sobą w bólu. Po chwili ochłonęli.

– Ja nie wiem, gdzie jest. Stała przy oknie z drugiej strony wagonu. Miałyśmy wsiąść w Domanowie. Chciała popatrzeć na Szczarę. Pamiętasz? Kapała się często

w rzece. Kiedy pociąg zbliżał się do mostu, nadleciały samoloty i zbombardowały nas. Boże, cały bok wagonu był rozdarty. Słyszałam tylko huk, dym i ogień i więcej nic nie pamiętam. – Zaczęła znowu płakać.

– Cicho, już cicho; zaraz pójdziemy wszyscy i poszukamy dziecka. Usiądź tutaj i odpocznij – powiedział mąż.

– Nie, pójdę z wami.

– Dobrze, dobrze, ale chodźmy już szukać.

– Widziałem, jak pierwsze bomby spadły niedaleko mostu. Najlepiej szukać ją nad rzeką – powiedział Stach.

– No, to chodźmy tam szybko.

Ruszyli w kierunku mostu. Jedni towarzyszyli im, bo chcieli pomóc, inni ze zwykłej ciekawości. Szli szeroką ławą, przeczesując zarośla. Dotarli prawie nad rzekę.

– O, tam ktoś leży – zawołał ktoś.

Zygmunt, Stach i Andrzej dobiegli pierwsi do leżącego na piasku dziecka. To chyba dziewczynka, bo ma warkocze. Widać było, że dziecko nie żyło. Leżała buzią w piasku. Ubranie było prawie zdarte i całe we krwi. Na jednej nodze nie miała bucika. Stali nad nią, a nikt nie miał śmiałości odwrócić dziecka twarzą do góry. Po chwili doszła do nich Danusia. Z początku nie poznała zmasakrowanego ciała. Przyglądała się długo.

– Boże! To nasza Krysia! – zawołała. – Sama wiązałam jej kokardę w warkoczach.

Zrobiło jej się słabo. Zemdlała. Staszek i Zygmunt podnieśli omdlałą kobietę. Andrzej pochylił się nad córką i wziął na rękę. Wszyscy poszli w kierunku osady.

Po godzinie na miejsce tragedii przybył wójt gminy Byeń i dwaj policjanci, którzy mieli pilnować porządku. Później przyjechał lekarz – kierował rannych do odpowiednich szpitali. Kolej podstawiała pociąg sanitarny, którym ciężiej rannych przewieziono do Brześcia i Grodna, tych z lżejszymi obrażeniami do Baranowicz. Ludzi, którzy stracili życie, zabrali krewni. Tych, po których nikt się nie zgłosił, pochowani zostali na miejscowym cmentarzu. Niemieckie samoloty już tu nie latały, bo...

Rozdział II

W dniu 17 września 1939 roku wojska sowieckie bez wypowiedzenia wojny wkroczyły na tereny wschodniej Rzeczypospolitej, łamiąc pakt o nieagresji. Tłumaczyli to tym, że muszą bronić ludność białoruską przed Polakami. A przecież ludności białoruskiej nikt nie zagrażał. Przed wojną żyło tu kilka nacji w zgodzie, z drobnymi incydentami. Polskie wojsko pokonane było już przez Niemców, a ci, co zostali jeszcze na wschodnich rubieżach, mieli rozkaz nie walczyć z Sowietami.

Któregoś dnia przyszedł Aleksander Naliwko.

- Pani Wasilewska, ja od jutra nie będę przychodził do pracy.
- A czemuż to? – zapytała gospodyni.
- Bo mój ojciec nie pozwala. Powiedział, że będziesz robić dla burżujów.
- Aleksy, jakie my burżuje, przecież pracowaliśmy razem.
- Wiem, ale ojciec zakazał.
- To z czego będziecie żyli? – zapytała.
- Ojciec mówi, że władza radziecka nam da.
- A z czego wam da?
- Wam zabierze, a nam da i nie będziemy musieli nic robić.
- Aleksy, bez roboty nie ma niczego. Było ci u mnie źle?
- Nie, było mi dobrze, ale ojciec... To ja już pójdę.
- Zaczekajcie, Aleksander, zapłacę ci za ostatni tydzień.
- Nie trzeba – odparł.

Gospodyni jednak poszła do domu i przyniosła należną zapłatę.

- Weź, Aleksy, to ci się należy – powiedziała.

Wziął i powoli odszedł. Żałował, że nie może tu zostać. Było mu tu dobrze.

Sonia, która wyszła z mieszkania, słyszała rozmowę Ludwiki z Aleksandrem. Nie wiedziała, jak ma się zachować. Podeszła do Ludwiki.

- Pani Ludwiko... – rzekła.
- Sonia, zawsze mówiłyśmy sobie po imieniu.

– Wiem, ale teraz różne rzeczy ludzie mówią. Dziś podobno NKWD przejęło władzę w gminie. Wszystkich Polaków zwolnili z pracy, a na ich miejsce przyjęli nowych, których przywieźli ze sobą. Nam, Białorusinom, nie wolno teraz mówić po polsku. Za to grozi kara. W szkołach są nowi nauczyciele: Ruscy. Uczą dzieci tylko po rusku. Kto nie umie, to biją go linijkami po głowie. A skąd dzieci mają znać rosyjski, kiedy uczyli się tylko po polsku? Wiesz, Ludwiko, boje się. Ja też chyba nie będę mogła do ciebie przychodzić.

- Sonia, co ty mówisz, tyle lat!
- Wiem i też żałuję – odpowiedziała i wyszła furtką.

W pierwszych dniach października pod więzienie w Złotowie podjechały trzy ciężarówki pełne wojska. Żołnierze z bronią w ręku wyskakowali z aut i biegli, tyralierą okrążając więzienie. Dwóch oficerów NKWD podeszło do bramy. Próbowali otworzyć, ale była zamknięta.

– Otwieraj! – zawołał. – Bo jak nie, to wysadzimy bramę – zagroził.

Za bramą panowała cisza.

– Otwieraj! – wrzasnął i seria z karabinu maszynowego przejechał po bramie.

– Otwieraj, *job twoju mać*, sukinsynu!

Z budynku wyszedł wartownik i podeszedł do bramy.

– Kto wy? – zapytał.

– *My nowaja włast'*. Otwieraj.

Wartownik otworzył bramę. Podbiegli do niego.

– Oddaj broń! – krzyknął i wyrwał mu karabin z rąk. – Idziemy do naczelnika – rozkazał.

Przystawił bagnet do pleców i popychał w stronę budynku, gdzie mieściła się komenda więzienia. W bramie postawili swoją wartę.

Oficerowie NKWD z polskimi wartownikami weszli do budynku, zamykając za sobą drzwi. Byli wewnątrz więzienia kilka dni. Brutalne przesłuchania trwały od rana do późnego wieczora. Czasami słyhać było strzały. Na noc zapadała cisza. Na drugi dzień wznowiano przesłuchania. Jęki torturowanych ludzi mieszały się z wrzaskiem przekleństw w języku rosyjskim. Dochodziły one nawet do ludzkich sadyb, siejąc zgrozę. Brutalna selekcja trwała trzy dni. Czwartego dnia podjechały ciężarówki, na które zabrano polskie władze więzienne i więźniów. Wyglądało jednak na to, że służby więziennej było o połowę mniej niż przed przyjazdem NKWD. Część więźniów zwolniono do domów. Oni jednak nie mieli gdzie jechać. Kraj był podzielony na dwie strefy okupacyjne. Na zachód od Bugu Niemcy, na wschód Rosjanie.

Wczesnym rankiem matka wraz z dwoma przybranymi synami, czternastoletnim Tadeuszem i dwunastoletnim Leopoldem, poszli do porannego obrządku. Tadek z Polkiem zajęli się końmi i trzodą, matka – udojem szesnastu krów. Janka, piętnastoletni już podłotek, próbowała zrobić swoje pierwsze śniadanie dla rodziny. Jednak zdolności kulinarne miała marne. Ale za to na gminnych potańcówkach i zabawach wiodła prym. Pięknie tańczyła i śpiewała tak jak syrenka, która śpiewem uwiodła rybaka. Bracia mówili o niej z przekąsem: do taneczka przepióreczka. Zdolności te przejęła po ojcu, który był człowiekiem imprezowym. Chodził na zabawy sam, pięknie śpiewał. Lubił wypić, a wtedy bawił się na całego. Nie nadużywał alkoholu, choć czasami przebrał miarękę. Wtedy żona, Ludwika, zaprzęgała konie i przywoziła męża do domu. A na drugi dzień...

Chłopcy skończyli obrządek i wyszli ze stajni. W pewnej chwili zauważyli dwóch mężczyzn przed bramką. Przestraszeni, pobiegli do matki do obory.

– Mamo, mamo, jakichś dwóch panów stoi przed naszą bramką.

– Czego chcą? – zapytała.

– Nie mówili. Chcą się tylko widzieć z mamą.

Wstając od dojrzałej krowy, matka potrąciła nogą wiadro z udojem. Mleko wylało się na ściółkę.

– Choroba – powiedziała. Wstała jednak i zła na siebie, podeszła do bramy.

– Czego? – odezwała się obcesowo. Widać, że nie była w humorze.

– Dzień dobry pani. My do pani z prośbą.

– Jaką, słucham? – odezwała się niechętnie.

– My chcieli się zapytać, czy nie moglibyśmy się zatrzymać u pani na jakiś czas.

Zwolnili nas z więzienia i nie mamy gdzie pójść.

– A co ja mam do tego? Czy siedziałam z wami w więzieniu?

– No, nie... ale tak się, droga pani, składa, że ludzie dzielą się na tych, co siedzieli, siedzą, i tych, co będą siedzieć.

– Co za androny pan opowiada, ja nie chcę tutaj złodziei!

– Jacy z nas złodzieje? – oburzył się jeden.

– A za co siedzieliście?

– Ja, no tego, ja...

– No gadaj, nie wstydz się – namawiał kolega.

– No, ja drzewko na budowę domu z lasu wozilem, ze swojego...

– Jak to ze swojego? I za to?

– No tak, jak ze swojego, bo rósł blisko domu, który budowałem, to tak jak ze swojego. No i sarna wpadła we wnyki. Chciałem ją ratować, ale złapali mnie przy tym i posadzili.

– A pan, za co pan siedział? – zapytała kobieta.

– Ukradłem sznurek.

– Sznupek? – zdziwiła się.

– Sznupek. Tylko ktoś na moje nieszczęście do tego sznurka przywiązał konia...

Chłopcy przysłuchiwali się tej rozmowie. Nie rozumieli, ale w końcu do nich dotarło. Popatrzyli po sobie i parsknęli śmiechem.

– Mamo, moglibyśmy...

– Cicho – nie dała mu dokończyć.

– My za jedzenie moglibyśmy w gospodarstwie pomagać.

– A wypis z więzienia macie?

– Mamy – odrzekli obaj jednocześnie.

– Mamo, zaraz zamarznie, a ziemniaki jeszcze w polu, mogliby pomóc przy wykopkach.

– Wejdźcie – powiedziała niechętnie. Bała się trochę obcych. Zajęli wolny pokój.

Po dwóch tygodniach zadomowili się i byli jak w rodzinie. Pomagali w polu i w zagrodzie. Ludwice i chłopcom było lżej, a tamci mieli dach nad głową.

Nadszedł listopad. Dnie były coraz krótsze i lada chwila spodziewać się trzeba było zimy. Wiał porywisty wiatr, grał smętne melodie na gałęziach drzew i porywał ostatnie liście. Deszcz zamieniał się w śnieg. Ludzie mówili, że w taką pogodę to i psa żal wypędzać. W domach było ciepło. Piec napalony grzał zmarzniętych domowników. Służył również jako łoże dla małżonków, a jak było większe, to i również dla dzieci.

Pod koniec listopada do zagrody Ludwiki przyszło dwóch mężczyzn. Jeden był cywilem, a drugi wojskowym. Podeszli do furtki. Była otwarta. Pies uwiązany przy budzie zaczął ujadać. Szarpał łańcuchem, stawał na tylnych łapach.

– *Wot, charoszaja sabaka* – odezwał się cywil.

– Tak, niezły – przytaknął wojskowy.

Na hałas w podwórku z domu wyszła gospodyni. Zobaczyła obcych.

– Wy do kogo? – spytała.

– Do was, my przyszli zobaczyć, czy jest w domu Stanisław Wasilewski? – jeden z nich mówił po rosyjsku.

– Nie ma.

– No to my poszukamy.

– Jak poszedł do wojska, to jeszcze nie wrócił.

– Nie kłam, wojna dawno się skończyła, a jego nie ma – spoglądał podejrzliwie.

– Może jest w niewoli u Niemców.

– Nie ma, my u nich pytali.

Zaczęli iść w kierunku domu.

– Nu, już my go znajdziemy, choćby schował się pod ziemię.

Weszli do mieszkania. NKWD-zista zobaczył dwóch mężczyzn siedzących przy piecu.

– A wy kto?

– My jesteśmy byłymi więźniami. Rosjanie nas zwolnili. Chwilowo jesteśmy tutaj.

– Zameldowaliście się w gminie?

– Nie, bo my nie wiedzieli, że tak trzeba – odrzekł jeden.

– Nu, Wasilewska, szpiegów w domu trzymasz, nu zobaczysz, czym to grozi – pokiwał jej palcem pod nosem.

– Ubierajcie się, pójdziecie z nami – rzekł wojskowy.

Zima przyszła nieoczekiwanie z początkiem grudnia, już na dobre. Najpierw przyszedł mróz, a potem spadł śnieg. Padał tak przez parę dni. Pola, dachy domów, a nawet płoty pokryły się białym puchem. Świerkowe gałązki udekorowane śniegiem wyglądały niczym delikatne bazie wiosną na wierzbinach. Kiedy poranne promyki wschodzącego słońca usiadły na ośnieżonych gałązkach, rozbłysły wielobarwną gamą kolorów. Zapalały się to tu, to tam kolorowe gwiazdki. Można było godzinami stać i patrzeć na ten bajeczny świat, wyczarowany przez śnieg i mróz. Wszystko to

mówiło, że zbliżają się święta Bożego Narodzenia. Zapewne innego niż w zeszłym roku.

Święta Bożego Narodzenia zawsze niosły ze sobą nadzieję, ale czy teraz można było ją mieć? W zeszłym roku tata z Tadzikiem poszli do lasu po choinkę. Długo szukali takiej, brnąc w śniegu, zanim wybrali odpowiednią. Przynieśli ją do domu, ustawili na środku pokoju i wtedy z wielkim namaszczeniem wszyscy ją ubierali. Było parę kolorowych bombek, które czasem wymykały się z niesprawnych rąk dzieci i upadały na podłogę. Brzęk tłuczonego szkła przerażał wszystkich, patrzyli na niezdare, ale po chwili znowu ubierali choinkę. Wieszali na niej kolorowe łańcuchy z papieru, rumiane jabłka i cukierki w kolorowych złotkach. Gdy na niebie pokazała się pierwsza gwiazdka, rodzina siadała do wigilijnego stołu. Nastrój był podniosły. Ojciec brał opłatek do ręki, taki biały... składał życzenia, łamiąc się nim z rodziną. Na stole było wiele potraw, lecz królował złocisty karp. Obok w misie były uszka z grzybami, podawane z czerwonym barszczem. Na koniec mama stawiała na stole ciasto drożdżowe. Ach, co to był za smak... Stefan, jak mówił, pamięta go do dziś. Po kolacji wszyscy siadali naokoło choinki i śpiewali kolędy. Zapalone świece też migotały w kolorowych bombkach.

Teraz wszystko się zmieniło. Ojciec gdzieś przepadł, jak kamień w wodę i nie wrócił, choć wojna się skończyła. Teraz nikt nie wiedział, co przyniesie następny dzień. Atmosfera gęstniała. Zastraszenie polskiej ludności narastało z każdym dniem. Nawet Sonia, najwierniejsza przyjaciółka rodziny, przestała przychodzić. Bała się swoich. Któregoś dnia, po świętach, po osadzie chodzili rosyjscy wojskowi. Pod wieczór przyszli do gospodarstwa Ludwika.

– Gospodarz jest w domu? – zapytał jeden z nich.

– Nie ma – odparła zgodnie z prawdą gospodyni.

– Jak to nie ma? A gdzie jest?

– Nie wiem. Jeszcze nie wrócił.

– Zginął?

– Nie wiem.

– Nu, ja wam przyniosł nakaz dostawy siana dla koni sowieckiej armii -mówiąc to, wręczył kawałek kartki wydartej z notesu.

– Macie przywieźć furę siana na stację do Domanowa. Po wojnie zapłacimy za wszystko.

– Jeszcze nie ma wojny – zauważyła Ludwika.

– Dla nas zawsze jest, choć nie ma wroga, to my go znajdziem. Siano masz przywieźć jutro – powiedział i wyszli.

Gospodarze kosili trawę dwa, czasem trzy razy do roku. Łąki były podmokłe, więc trawa rosła szybko. Koszono ją ręcznie. Zazwyczaj kosiarzy było kilku. Szli jeden za drugim, machając kosami z wysiłkiem, bo trawa była gęsta. Za kosiarzem szły kobiety z grabiami i rozrzucały grube pokosy na cienkie warstwy, żeby szybciej

schły. Jak była ładna pogoda i wiał wiatr, to po tygodniu można było grabić siano w wałki, a potem składać w kopki, aby „doszło”. Z kopek gospodarze układali stogi, które na łąkach stały do zimy, ponieważ łąki były mokre i wozy grzęzły. Zimą, gdy mrozy skuły łąki i zamarzała rzeka, gospodarze wozili siano do stodoły. Czasami wypędzali swoje bydło na zaśnieżone łąki, nie tyle, żeby się najadły, ale dla ruchu, żeby nie zeszywniały, stojąc całą zimę w oborach.

Było jeszcze ciemno. Ludwika wstała wcześniej, żeby nakarmić zwierzęta i wydoić krowy. Piętnastoletni syn Tadeusz musiał szybko wydorosnąć, by zastąpić ojca w pracach na gospodarce, jak i wdrażać się w podejmowaniu niektórych decyzji w zarządzaniu. Trzynastoletni brat Tadeusza, Leopold, starał się, jak mógł, żeby wywiązać się z nałożonych na niego obowiązków. Ba, był nawet dumny, że może się do czegoś przydać.

Matka skończyła już obrządek i wydoiła krowy. Wróciła do domu, żeby obudzić Tadeusza. Żał jej było chłopaka, ale co było zrobić... Podeszła do śpiącego dziecka.

– Tadek, wstawaj – trąciła go delikatnie.

– Cooo – mrucał jeszcze przez sen.

– Wstawaj, trzeba dać koniom obrok. Wiesz, że musimy jechać dzisiaj po siano.

– Dzisiaj, w taki śnieg i mróz? Pojedziemy jutro, może będzie lepsza pogoda – ociągał się.

– Wstawaj, bo znowu przyjdą ruskie.

Chłopiec niechętnie zwał się z pościeli, nie do końca obudzony, poszedł do stajni. Wrócił wkrótce.

– Umyj się, zaraz podam śniadanie.

Ludwika naprędce zrobiła jajecznicę na słoninie. Zjedli i poszli przygotować konie do drogi.

– Tylko równo doczep bliźniaki, żeby trzymały ślad – zwróciła uwagę, gdy wychodził zaprząc konie.

– Mamo, ja też pojedę z wami – prosił Polko.

– Nie, synu, ty musisz zostać i pilnować domu.

– Janka jest starsza – próbował przekonać matkę.

– Tak, ale ty jesteś mężczyzną. Teraz dom i to wszystko jest na twojej głowie.

Polko nie powiedział nic, tylko przytulił się do matki. Był dumny, że jemu powierza pieczę nad domem.

Wyszła z domu. Tadek akurat założył orczyki do sań.

– Gotowe, jedziemy.

Wsiedli do sań. Tadek wziął lejce do ręki. Strzelił z bata.

– Wiooo – zawołał.

Wypoczęte konie ruszyły z kopyta, rozpryskując śnieg kopytami. Za saniami ciągnął się równy ślad odcisniętych płóz na świeżym śniegu. Wjechali na rzekę.

– Żeby tylko lód wytrzymał – martwił się Tadek.

– Wytrzyma. Od paru dni jest mocny mróz, to na pewno lód jest gruby.

– Tak, ale pod śniegiem mogą być przeręble.

Szczęśliwie przejechali na drugi brzeg i wjechali na łąki. Przy pogodnym niebie stogi były widoczne z daleka. Wyglądały jak krecie kopczyki na polu. Jechali w milczeniu, tylko konie parskwały, nabierając w nozdrza zimne powietrze. Podjechali do stogu.

– Muszę najpierw zrzucić te czapy śniegu z wierzchu.

Wlazł na stóg. Matka podała mu widły.

– Dawaj, ja będę układała – powiedziała do syna.

Chłopiec wbił widły w siano. Szło ciężko, trzeba było wrywać go na siłę z ubitego stogu. Mimo mrozu koszula na plecach zaczęła się robić mokra od potu. Po godzinie ciężkiej pracy naładowali sanie sianem. Przywiązali je powązłem, żeby nie zgubili po drodze. Byli zmęczeni. Tadek zeskoczył ze stogu na siano i włożył lejce do ręki.

– Wiooo! – zawołał i cmoknął na konie.

Konie szarpnęły raz, drugi, ale sanie ani drgnęły.

– Wio! – krzyknął po raz drugi i strzelił z bata. Teraz szarpnęły mocniej. Coś trzasnęło przy płozach i wtedy sanie ruszyły.

– Pewnie przymarzły do śniegu – powiedziała matka.

– Na pewno – zgodził się syn.

Sanie sunęły teraz gładko. Konie szły równym stępem, wypuszczając z nozdrzy kłęby pary. Tadek odczuwał chłód przebiegający mu po plecach. Mokra koszula nasiąkała zimnem i przyprawiała o dreszcze. Zacisnął zęby i milczał, skulił się tylko i zapiął kurtkę pod szyją. Dojeżdżali do rzeki.

– Uważaj teraz, brzegi rzeki są strome, łatwo można wywrócić sanie albo urwać płozy – powiedziała matka.

Nic nie odrzekł, ale wzmógł czujność. Przed nimi rysowała się rzeka pokryta lodem. Konie weszły na lód. Kasztanka pośliznęła się, ale nie przewróciła się. Sanie, zjeżdżając z brzegu, przyspieszyły i najechały na konie od tyłu. Te odskoczyły, szarpiąc sanie. Zbliżali się do drugiego brzegu. Konie znowu przyspieszyły, instynktownie wyczuwając niebezpieczeństwo. Tadek mocniej chwycił lejce. Konie wchodziły na drugi brzeg. W tym miejscu nie był taki wysoki. Najechał na niego z ukosa.

– Wio! Wio! – krzyknął i strzelił z bata.

Konie wskoczyły na brzeg i sanie mocno się przechyliły. Mało brakowało, a Tadek z matką wypadliby z sań.

– Wio! Wio! – darł się Tadek, ile miał pary w płucach. Sekundy były takie długie. Wreszcie i drugie sanie wjechały na brzeg. Zaprzęg wyprostował się, ale siano przesunęło się na jedną stronę. Konie drżały z wysiłku i pokryły się pianą.

– Uff! – odetchnął Tadek. Teraz był mokry ze strachu, nie z zimna.

– Myślałem, że się wywalimy – powiedział, ocierając pot z czoła. Nie odezwała się. Wierzyła w niego. Był dla niej podporą po brakującym mężu. Kiedy strach minął, zapytał: – Mamo, dlaczego ojciec do nas nie wraca?

– Nie wiem, Może boi się...

– Czego?

– Widzisz, twój ojciec brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Za udział w wojnie dostał to gospodarstwo. Bolszewicy o tym wiedzą i pamiętają.

– A co mu zrobią, jak wróci?

– Pewnie aresztują. Może dlatego nie wraca. Boi się. Jego dziadowie byli wywiezieni w głąb Rosji za udział w powstaniu listopadowym czy styczniowym. Może tego się obawia, bo już tam był. Może i ma rację, ale teraz my przez to cierpimy. A co będzie dalej, nie wiem... – zamyśliła się.

– Mamo, co my teraz zrobimy? – wyrwał ją z zadumy.

– Jakoś musimy dać sobie radę. Za parę lat dorośniesz. – Zamilkła i znowu pobiegła gdzieś myślami. Nie wiedziała, jak sobie da radę sama z pięciorgiem dzieci, między ludźmi, którzy z dnia na dzień stają się sobie wrodo, a nowa władza wyraźnie tę wrogość podsyca. Jechali w milczeniu. Nagle Tadek wyrwał ją z zadumy.

– Mamo, ty znałaś moją prawdziwą mamę?

Zdziwiło ją to pytanie.

– Nie, jak wyszłam za twojego ojca, ona już nie żyła.

– I ja ją mało pamiętam. Ale teraz ty jesteś naszą mamą, prawda? – Spojrzał na nią z czułością.

– Jestem i nigdy nie przestanę nią być. – Przygarnęła chłopca do siebie. Nigdy nie przypuszczała, że jej przybrany syn stanie się jej bliski i będzie jej podporą.

Mieli jeszcze spory kawałek drogi przed sobą, kiedy chłopiec powiedział:

– Mamo, jestem głodny, zjadłbym coś.

– Ja też. – Wyjęła chleb z boczkiem z torby. Odwinęła papier i podała połowę.

Obserwowali drogę i jedli ze smakiem. Mijali właśnie wioskę o dziwnej nazwie Gnojno. Domy stały blisko jeden obok drugiego, przeważnie drewniane. Niektóre kryte były słomą, bogatsze – gontem.

– Mamo, dlaczego ten dom ma tak nisko okna?

– Widać, podwaliny spróchniały i dom usiadł.

Obok stały domy nowe, ogrodzone płotem. W oknach wisiały firanki.

Za wsią rozciągał się las. Z brzegu był rzadki. Widocznie mieszkańcy podbierali drzewo i żaden gajowy nie mógł ich upilnować. Za to oni pilnowali gajowego, żeby ich nie złapał. Lasy były rozległe i należały do właścicieli ziemskich lub do miejscowych Żydów.

Wjechali w las. Zrobiło się mroźno. Niektóre ośnieżone gałązki zwisały nisko i trącane przez jadących, sypały śniegiem za kołnierze. Uwolnione od śniegu, unosiły się do góry i kołysały się przez jakiś czas. Tadek otrzepywał ze śniegu siebie i mamę

i obydwoje śmiali się z tej przygody. Schylali się nisko przed każdą zwisającą gałązką z czapą śniegu.

– Komu tak się kłaniasz, bałwanom siedzącym na gałęziach? – żartowała matka.

– A mama też się kłania – śmiał się syn.

Nagle śmiech się urwał. Zaczęli nasłuchiwać. Gdzieś daleko słychać było wycie wilka. Najpierw jeden. Z drugiej strony odezwał się drugi, a potem zaległa cisza.

– Mamo, słyszałaś? Czy to są wilki czy psy? – zapytał chłopiec.

– Nie wiem, pewnie bezpańskie psy – odrzekła bez przekonania.

– Słyszałem, że w zeszłym roku wilki zagryzły psa u Falanów w zagrodzie i wyniosły go.

– Jak są głodne, to przychodzą, ale w nocy. W dzień boją się ludzi.

– A pamiętasz, jak przyszedł do nas leśniczy? Opowiadał, że dwa lata temu jakiś chłop z Leśnej jechał zimą przez las, wilki go zaatakowały. Koń się spłoszył, na wyboju chłop wypadł z sań. Konie bez woźnicy wróciły do domu.

– Nie pamiętam, chyba nie było mnie wtedy w domu.

– Oj, byłaś, pamiętam jak dziś. Zrobiłaś mu wtedy naleśniki z serem. Jak zjadł, to mówił, że jutro też przyjdzie.

– Nie pamiętam, ale mów dalej.

– Wtedy cała wieś szukała go w lesie przez dwa dni.

– I co, znaleźli go?

– Znaleźli tylko ogryzione kości, bez nóg. Były dalej w lesie w butach, tyle po nim zostało...

– Przestań opowiadać takie historie.

– Ja tylko mówię, co słyszałem.

– Lepiej uważaj na drogę – powiedziała matka, chcąc zakończyć tę makabryczną opowieść.

Jechali w milczeniu. Las robił się coraz rzadszy i zaczęło widnieć. Z naprzeciwka jechały jakieś sanie. Odetchnęli z ulgą. Gdy mijali się, zauważyli, że w saniach byli rosyjscy żołnierze, którzy ich zatrzymali.

– Wy dokąd jedzicie – zapytał po rosyjsku jeden z nich.

– Do Domanowa, z sianem dla sowieckiej armii.

– Aaa, *nu charaszo*, już niedaleko. Jedźcie dalej.

Po chwili las się urwał i wyjechali na zaśnieżone pola. Niedaleko widać było domy. Dojechali do Domanowa.

– Gdzie jest stacja? – Ludwika zapytała pierwszego napotkanego człowieka. Zdziwił się, że ktoś pyta o drogę po polsku. Obejrzał się z obawą, czy nikt nie słyszy.

– Druga ulica w prawo – odpowiedział i pospiesznie odszedł.

Przejechali pierwszą ulicę i skręcili w drugą w prawo. Na wprost przed końmi zobaczyli budynek z czerwonej cegły. Podjechali bliżej. Na frontonie budynku widniał napis po rosyjsku: DOMANOWO. Byli na miejscu. Przed dworcem stało

kilku żołnierzy, którzy kontrolowali wchodzących i wychodzących. Nieco dalej stali żołnierze z bronią gotową do strzału. Podjechali bliżej.

– Gdzie mamy złożyć zamówione siano? – zapytała.

Nie zrozumiał.

– A wy kto?

– Przywieźliśmy siano dla ruskich – odpowiedziała wymijająco.

– A ty co, nie umiesz mówić po ludzku?

– Nie – odrzekła hardo, choć prawie wszyscy na Kresach znali ten język. Podała mu kartkę z nakazem dostawy.

– Nu, my was nauczymy wszystkiego, nie tylko mówić – mruknął.

– Wasia, znowu ktoś do ciebie przyjechał – krzyknął do żołnierza stojącego pod szopą.

– Nu dawaj. – Machnął ręką.

Podjechali. Przy prowizorycznej szopie stało parę żołnierzy i palili skręty.

– Wasia, kobieta do ciebie przyjechała, i to na sianie.

Roześmiali się rubasznie. Wasia poszedł do sań i spojrzął na kobietę niechętnie, zły, że zakłóca mu błogi spokój.

– Zwalcie tam – powiedział i wskazał na szopę. Postąpił chwilę i odszedł.

Podjechali, gdzie było już siano. Zwalając je, zauważyli, że było tam więcej baraków, przy których stały sanie i ludzie znosili do nich ziemniaki, zboże, słomę. Na bocznicę kolejowej stało wiele wagonów towarowych i dużo ludzi, którzy coś robili wewnątrz. Zwalili siano i mieli już wyjeżdżać. Wtedy podeszło do nich trzech żołnierzy. Chodzili koło koni, klepali po zadach...

– *Wot, charoszyje łoszadzie* – mówił jeden.

– *Da, oczen'*, podobają mi się – mówiąc to, głaskał kasztanek po szyi.

– My te konie zabieramy.

– Jak to zabieracie?! Te konie są moje. – Zdenerwowała się Ludwika.

– Nu, teraz są nasze. Sowieckiej armii. Damy wam kwit, a po wojnie władza radziecka wam zapłaci.

– Kwit do domu sań nie zaciągnie. Czym wrócimy? – zapytała Ludwika.

– Zapręgiesz tego szczeniaka.

Jeden chwycił za lejce, a drugi zdejmował orczyk.

– Co robisz? Zostaw! – kobieta krzyknęła z rozpaczą.

Wtedy podbiegł Tadek i chwycił konie za uzdę.

– Puszczaj, *malczyk* – warknął. Złapał go za kołnierz i pchnął z całej siły. Tadek zarył nosem w śnieg. Szybko się podniósł, podbiegł i plunął żołnierzowi w twarz. Zbaraniał. Nie spodziewał się takiej reakcji chłopca. Wytarł rękawem twarz. Złość wykrzywiła mu gębę. Zdjął karabin z ramienia i walnął kolbą chłopaka w twarz. Tadek upadł na śnieg, krew buchnęła z jego ust. Żołdak podbiegł i zamierzył się drugi raz. Nie zdążył. Ludwika skoczyła jak lwica w obronie syna. Mocowali się przez

chwile, ale żołnierz nie dał rady. Złość dodała jej sił. Chwyliła za karabin i chciała mu go wyrzucić. Odskoczył do tyłu i zarepetował broń.

– Odejdź, bo zabiję cię i to szczenię – warknął i wymierzył w nich broń.

– Co się tutaj dzieje? – zapytał lejtnant, który akurat tędy przechodził.

– Ten polski szczeniak opluł mnie, towarzyszu lejtnant – dyszał ze złością.

– Nu, jakże to, ty plamisz mundur rosyjskiego żołnierza, pod sąd pójdziesz – groził.

– On chciał nam zabrać konie – mówiła zdenerwowana Ludwika.

– Nu i co, że chciał wziąć. My was oswobodzili, a ty nam koni żałujesz?

– Wania, bierz konie, a jakby co, strzelaj! – powiedział do żołnierza. Wziął za lejce, zdjął orczyk i odprowadził konie za barak. Opluty żołnierz trzymał broń wymierzoną w Ludwikę.

– Spokojnie, odłóż broń – rozkazał lejtnant.

– Nu, wy, Polacy, tak szybko chcecie umierać, a tu trzeba dla władzy radzieckiej trochę popracować – dodał z sarkazmem.

Ludwika podeszła do syna i podniosła go ze śniegu i posadziła na saniach. Wytarła zapuchniętą twarz śniegiem. Oczy nabiegły mu krwią. Spojrzał na żołnierza z nienawiścią.

– Mamo, jak my teraz zajedziemy do domu? – pytał Tadek, wypluwając wybite zęby.

– Nu, ja tobie dam jednego konia, dobrego, za te dwa – powiedział lejtnant.

– To po co zabraliście nasze konie, jak chcecie dać drugie.

Nie odezwał się.

– Wania, przyprowadź konia.

– Którego, towarzyszu lejtnancie? – zapytał. – Tego, co my mieli...?

– Milcz, idź i przyprowadź.

Długo go nie było, ale w końcu pojawił się. Szedł wolno. Z daleka było widać, że koń kuleje. Podeszedł bliżej i podał Ludwice sznur, do którego był uwiązany koń.

– Bierz swego konia – powiedział ironicznie i spojrzał znacząco na lejtnanta. Uśmiechnęli się obaj.

Od konia doleciał nieprzyjemny odór. Był pokaleczony na całym ciele, zapewne od bicia. Cały zad miał spuchnięty. Widać, że obchodzono się z nim okrutnie.

– Ten koń nie dociągnie sań do domu.

– Dociągnie, to twardy ruski koń.

– Bez orczyka i tak nie da rady.

– Wania, przynieś pani orczyk i niech ich cholera... – zaklął.

Wania przyniósł orczyki i rzucił w śnieg.

– Masz – warknął. – Na drugi raz zabiję – powiedział, spojrzawszy na Tadeka.

– Chodź, idziemy, daleko tym koniem nie zajadą, mieliśmy go zabić. Wania, co się ociągasz!

- Mam chęć wrócić się i temu szczeniakowi jeszcze poprawić – powiedział.
- Daj spokój, to jeszcze dzieciak.
- Dzieciak, ale jaki hardy. Oni wszyscy...
- Mamo, jak my wrócimy tym koniem do domu? Niedługo zrobi się ciemno.
- Mieszka tu niedaleko nasz znajomy, kolejarz. Pójdziemy do niego, to nas przenocuje, a rano pomoże nam wrócić do domu. Zaprzęgajmy. – Podprowadziła konia do sań. – Nazad! – Koń zrozumiał i cofnął się. Założyła postronki do orczyka.
- Mamo, on ma całkiem zniszczone chomąto.
- Wytrzyma, sanie puste – odpowiedziała kobieta i wzięła konia za uzdę. – No, wio, biedaku, idziemy.

Koń powoli ruszył, ciągnąc z wysiłkiem puste sanie. Szli powoli, Tadek popychał sanie. Minęli stację kolejową, przeszli na drugą stronę torów. Zaczęło się ściemniać i w oknach domów zapalały się światła. Wkrótce domy zostały w tyle i szli w zupełnej ciemności.

- Daleko mieszka ten kolejarz? – spytał z niepokojem Tadek.
- Jeszcze kawałek.

Na niebie pojawiły się gwiazdy. Niektóre były blisko i mrugały, jakby drwiły z ludzi, którzy cały swój wysiłek poświęcają na gromadzenie majątku, który można stracić w jednej chwili. Świeciły jasno, zapowiadając mroźną noc.

Byli już niedaleko. Najpierw zobaczyli światła w oknach, a potem z mroku wyłonił się dom. Pies zaczął mocno ujadać. Zaniepokojony gospodarz wyszedł przed dom. Zobaczył zaprzęg na podwórku. „Kto to może być” – pomyślał. Ruszył w kierunku sań. Zobaczył konia, był jakiś obcy.

– Kogo to Pan Bóg po nocy nosi? – zawołał i podszedł bliżej. – Boże, to ty, Ludwiko? Co to za koń? Co ty tu po nocy robisz? – zarzucił ją pytaniami.

Chciała odpowiedzieć, ale coś trzymało ją za gardło. Cała się trzęsła, łzy popłynęły jej po policzkach. Tadek podszedł i przytulił się do niej.

- Na miłość boską, co się stało!?! Chodźcie do domu, bo zamarzniecie.

Wziął ją za rękę i poprowadził do domu. Otwierając drzwi, zawołał od progu:

- Teresa, Teresa, zobacz, kto do nas przyjechał.

Teresa wyszła z kuchni i zobaczyła swoją przyjaciółkę. Domyśliła się, że musiało się stać coś złego.

- Ludwika. – Podeszła do przyjaciółki i objęła ją serdecznie.

– Zajmij się gośćmi, ja pójdę odprowadzić konia do stajni – powiedział gospodarz i wyszedł.

Zabrał latarkę z komórki i poszedł do konia. Wyprzągnął go z sań i zaprowadził do stajni. Powiesił latarkę wysoko na gwoździu i zaczął oglądać konia ze wszystkich stron. Trudno mu było uwierzyć, że ten koń przyszedł ze stacji i przyciągnął jeszcze sanie, tak był okaleczony. Nabrał wody do wiadra i postawił pod pysk konia. Siorbnął dwa razy i położył się. Dyszał ciężko. Zostawił wiadro przy koniu, poszedł

naszykować obrok. Przyniósł i wsypał do żłobu. Nie był pewny, czy to zwierzę przeżyje noc. Zgasił latarnię i wrócił do domu. Zastał obie kobiety w objęciach, tak jak je zostawił. Obie płakały. Kiedy Antoni wszedł, uwolniły się z objęć.

– Chodź, Ludka, do kuchni, zrobię herbatę, bo na pewno zmarzłaś – odezwała się kobieta do przyjaciółki. Postawiła czajnik na płycie. – A teraz opowiadaj, co się stało.

Ludwika zaczęła opowiadać o wszystkim, co się dzisiaj wydarzyło. Antoni przyglądał się chłopcu, który siedział na ławie ze spuszczoną głową.

– Coś ty taki zapuchnięty, pobili cię czy co?

Tadeusz spuścił głowę jeszcze bardziej i milczał.

– No, powiedz, nie jestem twoim wrogiem. Kto cię pobił?

– Ruski żołdat – burknął.

– Dlaczego?

– Bo nie chciałem im oddać naszych koni. – Tadek zaczął opowiadać. O nakazie dostawienia siana, o tym, jak zabrali im konie i pobili, jak ruski o mała matki nie zastrzelił. Z kuchni wyszła Teresa.

– Kolacja na stole, chodźcie.

Weszli i usiedli przy stole. Teresa podała naleśniki z serem, z czarnymi jagodami, posypane cukrem. Jedli z apetytem, bo naprawdę byli głodni. Tylko Tadek krzywił się przy każdym kęsie, a szczególnie gdy popijał gorącą herbatę. Parzyła go w rany po wybitych zębach. Mimo bólu jadł, bo był bardzo głodny. Po kolacji Tadek podszedł do matki.

– Mamo, jestem już zmęczony, chciałbym się położyć.

– Dobrze, idź najpierw się umyj, ja ci przygotuję łóżko – powiedziała Teresa. Nalała wody do miednicy. Mył się i syczał przy każdym dotknięciu twarzy.

– Ciekawy jestem, jak Janka i Polko dają sobie radę przy obrzędzie tak dużego inwentarza.

– Nie wiem, Halina i Stefan są jeszcze mali, a Janka, choć prawie dorosła... Stanisław mówił, że jest jeszcze młoda, niech się pobawi. No i teraz nie bardzo można na nią liczyć.

– A Stasiek nie wrócił jeszcze do domu?

– Nie i nie wiem, gdzie jest. Nie wiem, jak damy radę z tak dużym gospodarstwem.

– Tadek już śpi – rzekła Teresa, wychodząc z sypialni. – Wiesz, Ludko, Antoni już tydzień nie pracuje na kolei. Zwolnili go i wszystkich Polaków. Nawet Białorusini musieli odejść, co za Polaki pracowali na kolei. Jak teraz będziemy żyć? Z tego poletka przy domu nie utrzymamy się. Ludzie mówią, że coś się szykuje w Domanowie. Widziałam na stacji tyle wagonów towarowych! Dzień i noc Rosjanie coś w nich robią. Niektórzy mówią, że tymi wagonami mają wywozić Polaków na Sybir, ale ja w to nie wierzę.

– Trudno w to uwierzyć, żeby tyle ludzi można było wywieźć w wagonach. Przecież tutaj mieszkają miliony Polaków.

– Jak to wywozić? – zapytała Ludwika. – Tutaj urodziliśmy się. Tutaj mamy domy i cały dobytek. Tutaj mieszkali nasi dziadowie, a teraz chcą nas wyrzucić z gniazda?

– Po ruskich można się wszystkiego spodziewać. Mają duży kraj i ciągle im mało. Nie wezmą się sami za robotę, tylko innych napadają, mordują i kradną. I tak było zawsze. Już za cara gnębili Polaków i wywozili na Sybir.

– A ten Naliwko, co u was pracował? Przychodzi jeszcze?

– Nie, ojciec mu zakazał pracować dla burżujów.

– To sobaka. Słyszałem, że teraz wstąpił do milicji, jak wielu innych.

Poprzewracali im w głowach. Wmówili im, że teraz władza należy do ludu, a oni są jego przedstawicielami i mają stanowić prawo.

– Co to znaczy, Antoni? – zapytała Ludwika.

– Znaczy to, że mogą przyjść do ciebie, zabrać ci krowę, konia, pobić albo podpalić. Za to dostaną pochwałę od ruskich, a nawet nagrodę – odparł.

– Toż to świństwo i granda, tak przecież nie można!

– Można, można. A tobie można było zabrać konie, którymi przywiozłaś siano? A za co pobili Tadzika? Sama widzisz, jakie teraz prawo. NKWD-ziści będą robić te świństwa rękami wyrostków, którym dali broń i którzy zachłysnęli się władzą, i zrobią, co tylko im każą. W każdej chwili mogą powiedzieć, że to zemsta ludu wyzyskiwanego przez Polaków, a oni mają ręce czyste. Tych młodych będą mieli w garści i przypomną im, jak będzie trzeba, ich zbrodnie i gwałty. I nie będą mogli się wycofać.

– No, już późno. Chodźmy spać, nie ma co się martwić na zapas. Ty, Ludka, pójdiesz spać z Tadzikiem – rozporządziła Teresa.

– Dobranoc – pożegnała Teresę Ludwika.

– Dobranoc.

Ludwika weszła do sypialni. Co zaczęła modlitwę, to myśli biegły do wydarzeń mijającego dnia. Parę razy zaczynała zdrowaśkę, ale nie mogła skończyć. Przeżegnała się tylko i położyła do łóżka. Długo nie mogła zasnąć. Miała zamęt w głowie. Przewracała się z boku na bok, wreszcie około północy udało jej się zasnąć. Sen miała niespokojny. Zrywała się parę razy, coś krzyczała, aż wreszcie nad ranem zasnęła.

Przez całą noc ze stacji dochodziły odgłosy przetaczanych wagonów. Gdzieś daleko ciszę nocną przerywały serie karabinów maszynowych, a potem znów zapadała cisza. Pызaty księżyc szedł gdzieś na zachód, zaglądał do okien, malując mroźne kwiaty na szybach. Nad ranem zaszedł za lasem, zostawiając srebrny szron na drzewach.

Dochodziła piąta. Kogut w kurniku dawał swój poranny koncert. Obudził gospodarza. Antoni wstał. Był ciekawy, czy ruski koń żyje. Zapalił światło i wszedł

do boksu, gdzie leżało zwierzę. Przestraszone, zarżało i powoli wstało. Zajrzał do żłobu. Był pusty. Zdziwił się, spodziewał się zupełnie czegoś innego. Ucieszył się. Wziął wiadro i przyniósł wody. Koń pił powoli, aż wypił wszystko.

– No, ruski, twardy jesteś, ja na twoim miejscu pewnie dawno bym zdechł. – Poklepał go po zadzie, zgasił latarnię i wrócił do domu. Położył się do jeszcze ciepłego łóżka. Kiedy kładł się, obudziła się Teresa.

– Co, ty nie śpisz?

– Byłem w stajni zobaczyć, czy koń żyje.

– I co?

– Żyje, nawet obroku zżarł, co mu wczoraj nasypałem. A teraz wypił całe wiadro wody. Twardy jest, będzie żył.

– Antoni, co teraz Ludwika zrobi bez koni i męża na gospodarce?

– Nie wiem, będzie musiała sobie jakoś radzić. Tadek jest już spory, pomoże jej.

– Antoni, a czemu jej Stasiak nie wraca?

– Boi się, był wojskowym. Już parę razy o niego pytali. Gdyby wrócił, toby go zabili.

– Za co?

– Oj, śpij, też znalazłaś sobie porę na pogawędkę! Niedługo będzie świtać, a ty gadasz i gadasz.

Zamilkła. Antoni zamknął oczy, ale nie zasnął. Myśli kłębiły mu się w głowie. „Czy ja, kolejarz, funkcjonariusz na państwowej posiadzie, mogę czuć się bezpieczny?” – zadawał sobie pytanie. „Skoro zwolnili z pracy, to mogą mi zabrać tego jedynego konia. A krowa? Teraz na zimę zapuściła się i nic z niej nie ma, ale jeść trzeba dać”. Tak bijąc się z myślami, zasnął.

Istotnie, gdyby nawet miał kawałek ziemi, to nie umiałby jej uprawiać. Całe życie był kolejarzem. Powodziło im się dobrze. Dostawał sto złotych na miesiąc – krowę można było za to kupić. Miął odłożone trochę grosza, ale co one teraz były warte? Czarno rysowała się ich przyszłość.

Na dworze zaczęło szarzeć. Pierwsze promyki słońca usiadły na wierzchołkach drzew, a potem zaglądały do okien. „Trzeba wstawać” – pomyślał Antoni. „Jest trochę chudoby, muszę dać im jeść, a potem napalę w piecu. Po śniadaniu odwiozę ich do Złotowa”.

Wstał szybko, ubrał się i wyszedł na dwór. Śnieg skrzył się i skrzypiał pod butami. Wszedł do stajni i zagadnął do konia. Ten zarżał.

– No, no, będzie jeszcze z ciebie pożytek. – Wsypał obrok i podszedł do krowy. Kiedy skończył, wziął naręcze drzewa z drewni i przyniósł do domu.

Teresa już wstała i krzątała się po kuchni. Ludwika też już była na nogach. Tylko Tadek jeszcze kradł ostatnie chwile snu. Pod pierzyną było ciepło, nie chciało się wstawać. Przeciągnął się. Twarz bolała mniej. Przypomniawszy sobie tego kacapa, co go uderzył. Zacisnął pięści.

Teresa nakroiła boczku i położyła na patelni.

– Wstawaj, śniadanie. Zaraz będziemy zbierać się do domu.

Wstał niechętnie, ubrał się i poszedł do kuchni. Na taborecie stała miska z wodą.

– Umyj się – powiedziała matka.

Zamoczył ręce w wodzie, zwilżył twarz. Raczej udawał, że się myje. Choć nie było co wycierać, wytarł się ręcznikiem.

Boczek skwierczał na patelni. Teresa tłukła jedno jajko po drugim. Przyjemny zapach rozszedł się po kuchni.

– Gotowe, siadajcie do śniadania – zaprosiła Teresa.

Usiedli i jedli w milczeniu. Kontemplowali smak jajecznic. Antoni spojrzał na Tadzika.

– O, widzę, że i na tobie goi się szybko. Jesteś tak samo twardy, jak ten ruski koń – zażartował.

– A co z koniem? – zapytała Ludwika.

– Za parę dni będziesz mogła nim orać.

– Chyba śnieg w polu – odpowiedziała żartem.

Po śniadaniu poprawiły im się humory.

– No, będziemy się zbierać. Idę zaprzęgnąć konia do sanek, jak będę gotowy, zawołam. – Antoni wyszedł.

– Przyjedźcie do nas na święta, co będziecie siedzieć sami. Naokoło Białorusini i ruskie, też krzywo na was patrzą – powiedziała Ludwika.

– Pogadam z Antonim, zobaczymy, jak się co nie zmieni. Wiesz, teraz każdy dzień jest niepewny.

Otworzyły się drzwi i do izby wszedł Antoni.

– No, jedziem – rzekł.

Kobiety pożegnały się, a kiedy Ludwika z synem wychodziła, Teresa zrobiła za nimi znak krzyża.

– Jedźcie z Bogiem.

Wsiedli do sań i przykryli nogi kocem.

– No, to w drogę! – krzyknął Antoni. Cmoknął na konia.

Ruszyli. Jechali wolno, bo ruski przecież nie był jeszcze w pełni sił. Wkrótce dotarli do stacji. Wszędzie było pełno żołnierzy, kontrolowali wszystko i wszystkich. Przy wagonach wrzała praca. Jedni wnosili belki, inni deski do wagonów. Uwijali się jak w ukropie. Zewsząd dochodził stukot młotków przy przybijaniu desek. Przejechali przez tory i zbliżali się do skrzyżowania dróg. Nie wiadomo skąd pojawiło się przy nich kilku żołnierzy. Mieli broń przewieszoną przez ramię.

– Stój, stój! – krzyknął jeden z uniesioną ręką.

Zatrzymali się.

– Wy dokąd jedziecie?

– Do Złotowa – odparł Antoni.

– Przepustkę masz?

– Nie mam, zawsze jeździliśmy bez przepustek i dojeżdżaliśmy, gdzie trzeba.

– Nu, Polak, nie bądź taki mądry, nauczymy was pokory. U nas w *sawiejskam sojuzie* wszyscy muszą mieć przepustki, jak jadą do innej *dierewni*.

– Przecież tu jeszcze nie *sawiejskij sojuz*.

– Teraz już jest, nie masz przepustki, to złaż z sań, idziemy do komendanta.

Antoni ociągał się, ale żołnierz zaczął go poganiać, powoli zdejmował karabin z ramienia. Wysiadł wreszcie z sań i poszli na stację do komendantury milicji. Żołnierz zapukał.

– Wejść – usłyszeli ze środka.

Soldat otworzył drzwi i wepchnął Antoniego do środka. Za biurkiem siedział lejtnant z papierosem w zębach.

– Towarzyszu komendancie, my zatrzymali kobietę z chłopcem i tym tutaj. Oni nie mają przepustek – zameldował.

– Dziękuję, możecie odejść. Nu, jakże to. Nie macie przepustek i chcecie jechać? A dokąd, a?

– Do Złotowa.

– Władza radziecka musi wiedzieć, gdzie są i co robią jej obywatele. Partia nasza dba o ludzi i żeby ich chronić, musi o nich wiedzieć wszystko. A jak ma was chronić, jak wy rozłazicie się niczym karaluchy. Takich jak wy wsadzamy do turmy, rozumiesz!?! – ryknął.

Po chwili uspokoił się.

– A ta kobieta z synem to kto?- zapytał.

– Ona wczoraj przywiozła siano dla sowieckiej armii, a wy jej syna pobili, zabrali konie, a przecież mówicie, że dbacie o ludzi...

– Milcz swołocz! – Wściekły wstał z krzesła. – My jej dali drugiego konia, a ten szczeniak znieważył radzieckiego żołnierza. Za to idzie się pod sąd!

– Dzieci chcecie wsadzać do tiumry i zęby im wybijać za to, że bronią swego?

– A ty kto, że ze mną tak rozmawiasz? – przepuścił jednak uwagę mimo uszu, bo wiedział, że Antoni ma rację. Usiadł na krześle.

– Co z tym koniem?- zapytał.

– Dzisiaj w nocy zdechł – skłamał Antoni.

– O, jaka szkoda, jaka szkoda, taki dobry koń.

– Może dobry, lecz cały opuchnięty od bicia.

Komendant nie odezwał się. Popatrzył na Antoniego i zapisał coś pisać w notesie.

– Ty ze mną tak nie rozmawiaj – cedził wolno słowa, bo wsadzę do tiumry albo wyślę na niedźwiedzie – zagroził.

– Panie lejtnant, jak wszystkich wsadzicie, to kto dla was będzie robił?

– Ludzi u nas mnogo – mówił i pisał dalej. – Nu, dobra, dam ja wam przepustkę.

Nazwisko?

– Antoni Kołodziej i Ludwika Wasilewska.

Wpisał nazwiska do gotowego druku i przybił pieczętę.

– Masz i na drugi raz nie wyjeżdżaj bez przepustki. Aha, radzę ci trzymać język za zębami, bo mogą ci wybić jak temu młodzikowi.

Antoni wyszedł i podszedł do sań. Pokazał przepustkę.

– Jedź – rozkazał żołnierz.

Ruszyli. Po przejechaniu kilometra skręcili w lewo na drogę przy torach, mało uczęszczaną, ale o wiele krótszą.

Nie wiadomo skąd na niebie zaczęły pojawiać się małe obłoczki, które rosły w oczach. Z dala nadchodził dziwny szum, który bardzo szybko się zbliżał. Zrobiło się prawie ciemno i po poranku nie było ani śladu.

– Chyba będzie padać – odezwała się Ludwika.

– Ludwika, spójrz, jaka ciemna chmura. Ja jeszcze w życiu takiej nie widziałem.

Nagły błysk przeciął na pół ołowianą chmurę, a po nim huk pioruna przetoczył się po niebie.

– Co to jest, żeby w zimie grzmiało – dziwił się Antoni. Chciał jeszcze coś powiedzieć, gdy nagle rozpętała się potężna wichura. Widoczność spadła niemal do zera. Wiatr ze śniegiem ciął po twarzach, oblepiał konie, niósł śnieg po polach. Zakrył wszystko białym całunem. Konie szły wolno, niepewnie, niczym ślepy, który stracił orientację. Antoni zatrzymał sanie.

– Musimy przeczekać tę burzę – przekrzykiwał wycie wichury.

Ludwika nic nie odpowiedziała, tylko wtuliła głowę w kołnierz, chroniąc się przed śniegiem. Gdzieś z całkiem bliska słychać było gwizd parowozu, a zaraz potem sapanie lokomotywy. Antoni przestraszył się, czy w tej ciemności nie wjechał na kolejowe tory. Skulił się i czekał na... uderzenie. Pociąg z gwizdem przejechał obok.

– Uff – odetchnął z ulgą.

Burza śnieżna, jak szybko pojawiła się, tak szybko odeszła, pędząc tumany śniegu na zachód. Po chwili znów zaświeciło słońce.

– Myślałam, że nad nami ciąży fatum. Nawet pogoda sprzysięgła się przeciw nam – powiedziała kobieta do Antoniego.

– Widzisz, jest takie powiedzenie, że nieszczęścia chodzą parami.

– A ja myślałam o innym powiedzeniu: Na kogo Pan Bóg, na tego i wszyscy święci.

Konie ruszyły w dalszą drogę. Zaczęli otrzepywać się ze śniegu, którym byli oblepieni.

– Dzięki Bogu, bałam się, że albo ta burza nas pochłonie, albo zabłądzimy. Omal nie sprawdziło się stare przysłowie: Kto drogi prostuje, ten w domu nie nocuje. – Roześmiali się, choć obojgu nie było do śmiechu. Nawet Tadek uśmiechnął się półgębkiem.

Niedaleko było widać kolejowy most, przy którym rozegrał się dramat ludzi z bombardowanego pociągu. Wjechali na drogę prowadzącą wprost do osady. Minęli parę zagród i wjechali na podwórze. Zatrzymali konie przed gankiem i wysiedli z sań. Z domu wybiegł Polko, za nim Halina i Stefan. Bali się bardzo i martwili, że mama z Tadziem nie wrócili na noc. Tulili się do matki szczęśliwi, że wreszcie wróciła. Objęła ich ramionami jak kokoszka pod swoje skrzydełka pisklęta. Stali tak szczęśliwi na mrozie. I wtedy zrozumiała: mogą mi zabrać wszystko, ale miłości i dzieci nigdy mi nie zabiorą.

Antoni przyglądał się scenie powitania i uczuciom, jakie temu towarzyszyły. „Ta rodzina naprawdę musi się kochać” – pomyślał. Trochę zazdrościł Ludwice i nie mógł od nich oderwać oczu. Nagle zrozumiał, że on nigdy tego nie doświadczy. Zrobiło mu się smutno. Z Teresą nie mieli dzieci. Teraz widział, ile stracił.

– No, dobrze, już dobrze, przestańcie. Chodźmy do domu, bo pomarzniecie. Antoni, ty też chodź.

– Dobrze, tylko wyprzęgnę konia i zaprowadzę do stajni.

– Mamo, co się stało, gdzie byliście tak długo? – pytał Polko.

– Opowiem wszystko, tylko wejdźmy do domu.

– Gdzie nasze konie? – nadal pytał Polko.

– Lepiej nie pytaj. – Matka odwróciła głowę.

– Tadzik. Coś ty taki zapuchnięty? Spadłeś z sań?

– Jeszcze gorzej, ale to teraz nieważne. – Machnął ręką i usiadł przy piecu.

Po chwili do mieszkania wszedł Antoni i choć miał na sobie kozuch, podszedł do pieca, zacierając ręce.

– Janka, zagotuj wodę i zrób nam herbatę z miodem, to się rozgrzejemy. A ty, Halina, z Polkiem idźcie do komórki i obierzcie ziemniaków na obiad. Antoni, rozbierz się, przecież nie będziesz siedział przy piecu w kozuchu.

– Nie, ja zaraz jadę z powrotem do domu, wiesz, Teresa została sama.

– Bez obiadu cię nie puszcę.

Antoni zdjął kozuch i usiadł przy piecu. Ciepło zaczęło go obejmować. Powieki zrobiły się ciężkie jak z ołowiu i ogarniała go senność. Nie wiedział, czy śpi czy nie. Wprawdzie słyszał rozmowę chłopców coraz ciszej. Przed oczami jawiły mu się wydarzenia ostatnich dni. Klatka po klatce, jak film w zwolnionym tempie. Zobaczył Teresę, która wyciągała do niego ręce. Chciał do niej podejść, ale nie mógł. Ona oddalała się od niego coraz bardziej i bardziej, aż zniknęła zupełnie. Słyszał jeszcze tylko jej głos: Antoni, Antoni.

– Antoni, Antoni, ty śpisz – Ludwika potrząsnęła go za ramię i wyrwała z drzemki.

Wzdrygnął się i szybko wrócił do rzeczywistości. Cała rodzina siedziała przy stole. Wszyscy czekali na niego. Wstał spod pieca i usiadł przy stole.

– Dziwny miałem sen, niby nie spałem, a jednak mi się śniło.

– Co takiego?

– Ach, sen mara, Bóg wiara – powiedział tylko i zabrał się za jedzenie.

Jadł, ale myślami był przy Teresie. Kończyli już obiad, kiedy na podwórzu zaczął szczekać Azor. Drzwi do mieszkania otworzyły się gwałtownie. Weszło trzech NKWD-zistów.

– *Smatr*, Wania, trafiliśmy na obiad – powiedział jeden z nich.

– My już po obiedzie, ale nie pamiętam, żebym was na obiad zapraszała – odezwała się Ludwika.

– Nu, my sami się zaprosili – odparł, rozglądając się po mieszkaniu. – Tu mieszka Wasilewski?

– Tu, ale w domu go nie ma.

– Poszukamy, poszukamy, zobaczymy, czy jest czy nie ma.

Otwierali wszystkie drzwi, przetrząsnęli cały dom i wrócili do kuchni.

– To mówisz, że męża w domu nie ma, a?

– Nie ma.

– A to kto? – zapytał jeden, pokazując palcem na Antoniego.

– Znajomy z Domanowa.

– A co, on nie umie mówić? Co tu robisz, skoro jesteś z Domanowa?

– Jem obiad – odparł Antoni, ubawiony nieco komiczną sytuacją.

– To widzę. Nie będzie ci do śmiechu. Dokumenty masz?

Antoni wyjął z kieszeni legitymację i przepustkę i podał NKWD-ziście. Ten sprawdził i przyglądał się Antoniemu. Trzymał legitymację w prawej ręce i uderzał nią w kciuk lewej. Nie wiedział, co zrobić.

– Ty, Kołodziej, skoro jesteś tutaj, to musisz być szpiegiem. Musimy zabrać cię na komendę. Tam dowiemy się, kim naprawdę jesteś. Najadłeś się dobrze?

– Najadłem, i nawet mi smakowało.

– To dobrze, bo pewnie długo nie będziesz jadł – powiedział. – Ubieraj się i *paszli*.

W drzwiach odwrócił się.

– My tu jeszcze wrócimy. – Wyszedł i zostawił drzwi otwarte.

Pies głośnym szczekaniem odprowadził ich do bramy.

– Mamo, dlaczego oni zabrali pana Kołodzieja? – zapytał Polko.

– Nie wiem, każdego Polaka uważają za szpiega, nawet dzieci, widocznie wszystkiego się boją.

– Mamo, co teraz będzie z nami? – zapytała Halinka.

– Co Bóg da, to będzie. Kończcie obiad, bo do reszty wystygnie.

Zabrali się do jedzenia, ale szło im to niesporo. To, co stało się przed chwilą, odebrało im apetyt i napełniło strachem. Odtąd bali się każdego szczekania psa i zaraz biegli do okien zobaczyć, kto idzie. Pocztą pantoflową dowiadywali się o kobietach gwałconych przy mężach i dzieciach. O mordach popełnianych na całych rodzinach.

Rozdział III

NKWD przywiozło Antoniego do Bytenia, gdzie w byłym urzędzie gminy mieściła się jednostka milicji obywatelskiej, a po drugiej stronie korytarza „zadomowił” się urząd do spraw specjalnych NKWD. W piwnicach dawnej biblioteki urząd ten umieścił wydział śledczy z wymyślnymi torturami, żeby wydobyć prawdę od przesłuchiwanym podejrzanych. Urząd ten działał sprawnie, bo nie zdarzyło się, żeby podejrzany nie przyznał się do „winy”. Królował przy przesłuchaniach osobnik o potężnej posturze. Widać było, że silny był jak tur, potrafił złamać najbardziej zatwardziałego uparciucha. Jak na zawód, który wykonywał, miał osobliwe nazwisko: Angel, choć powinien nazywać się Diabeł. Towarzyszył mu drugi mężczyzna. Szczupły, o rozbieganych oczach, z gęstą rudą czupryną na głowie. W pomieszczeniu tym czuć było zapach alkoholu, którym zapewne raczyli się, żeby zagłuszyć sumienie.

Przed urzędem stał wartownik.

– Dokąd?

– Do komendanta, prowadzimy szpiega.

– Wejdźcie.

Weszli po schodach do budynku i stanęli przed drzwiami komendanta. Jeden NKWD-zista otworzył drzwi, a drugi wepchnął Antoniego do środka. Lejtnant stał przy stole i krzyczał do słuchawki.

– Jaki sąd? Co? Ja dla ciebie jestem sąd. Rozstrzelać na miejscu. Ej, Grisza, jesteś chyba za miękki do tej roboty. Co? Co ty gadasz? Że co, że Polacy też ludzie? Milcz, durniu! – zdenerwował się. – A czy ty wiesz, że Beria wydał polecenia, żeby na terenach przez nas zajętych Polaków trzeba... tak bez sądu. A resztę wywieźć, niech pracują. Jak ty tego nie zrobisz, to *job twoju mać!*

Zauważył, że ktoś wszedł do biura.

– A co wy, wchodzicie bez wezwania! Won! – krzyczał. Zapomniał odłożyć słuchawkę. – Nie, ja nie do ciebie, ach, jołki-pałki – pogubił się.

Wartownik z Antonim wyszli z biura w pośpiechu i już na korytarzu czekali na wezwanie komendanta. Widać było, że woła mu zejść z drogi, a kiedy jest zły... Bali się go jak wcielonego diabła. Czekali długo, bo rozmowa komendanta była długa i burzliwa. Wreszcie wszystko ucichło i tylko sapanie komendanta świadczyło o jego zdenerwowaniu. Usiadł przy biurku na krześle i poluzował sztywny kołnierz przy mundurze.

– Wejść! – zawołał.

Wartownik najpierw wytarł buty przed progiem. Zdjął czapkę z głowy i niepewnie otworzył drzwi.

– Wchodź – powiedział do Antoniego i popchnął go kolbą karabinu.

Antoni potknął się o wysoki próg i omal nie upadł.

– A ty kogo mi przyprowadził, a? – zapytał wartownika.

– Nu tak, my jego znaleźli w Złotowie u Wasilewskich.

– No, nareszcie, nareszcie my ciebie znaleźli, Wasilewski – powiedział lejtnant zadowolony.

– Ja nie nazywam się Wasilewski, tylko Kołodziej, i mieszkam w Domanowie, a nie w Złotowie.

– Nu tak, co ty robił w Złotowie?

– Przyprowadziłem sanie do Złotowa, bo...

– Do Złotowa. – Nie pozwolił mu skończyć. – Do Złotowa, powiadasz, do siedliska bandytów, co? – ryknął.

– A do kogo ty przyprowadził sanki, co?

– Do Wasilewskiej.

– Nu tak, ty dobrze zrobił – roześmiał się złośliwie. – Wartownik, pilnuj ty go dobrze, bo jak nie, to ja ciebie...

– Tak jest, towarzyszu komendancie.

– No, a czy ty wiesz, jak ci tam... Kołodziej, że my tego Wasilewskiego szukamy już pół roku? Ty na pewno wiesz, gdzie on jest. No, gdzie jest, gadaj, bo jak nie, to ja ciebie... – Zaczerwienił się. Podszedł do Antoniego, przybliżył swoją czerwoną twarz do jego twarzy: – Gadaj!

– Nie wiem, też nie widziałem go od pół roku.

– Nie wiesz? Pewnie te polskie pany w dwudziestym roku pod Warszawą wybili nam najlepszych synów. Tego też pewnie nie wiesz, a?

– To akurat wiem, ale...

– Co ale! – Zrobił jeden krok do przodu.

Antoni cofnął się, lecz lejtnant znowu zrobił krok do przodu i przyparł go do ściany: – Ale co powiesz.

Antoni wiedział, że lejtnant już go nie puści, było mu wszystko jedno.

– Ano, to powiem, panie poruczniku, że Polacy nie poszli mordować waszych najlepszych synów pod Moskwą. To wasi czerwonoarmijcy przyszli mordować Polaków pod Warszawą. A co teraz robicie, gwałty, morderstwa, wysiedlenia, i to pan, towarzyszu lejtnant, macza w tym palce.

– Milcz! – wrzasnął komendant. Zesztywniał, oczy nabiegły mu krwią. Z ust zaczęła sączyć się piana.

„Zwariował czy diabeł w niego wstąpił” – pomyślał Antoni.

Nagle komendant uderzył go pięścią w twarz. Antoni zachwiał się, ale nie upadł. Otarł rękawem krew i zacisnął pięści.

– Pietia, Pietia! – ryczał. – Zabierz go, natychmiast!

Wszedł osiłek o głupkowatej twarzy. Wziął Antoniego za kołnierz i raczej wyniósł, niż wyprowadził. Kiedy wychodzili, komendant zdążył powiedzieć:

– Wania, on będzie nam jeszcze potrzebny.

Kat, Pietia, zaprowadził Antoniego do piwnicy. Śmierdziało od niego alkoholem.

– Nu, ta Polak, ja ciebie... – Zamachnął się pięścią i uderzył Antoniego parokrotnie. Uderzenia były mocne, bo Iwan za mocno był pijany. Rzucił go na barłóg. Usiadł na krześle, oparł głowę na stole i zasnął.

Komendant stał oparty o stół i dyszał ciężko. Zdenerwował się tak mocno, że drżał na całym ciele. To, co powiedział mu ten Polak, wbiło się do mózgu żelaznym klinem. Słowa Antoniego tkwiły w głowie i zrobiły w niej wielki zamęt. Musiał go wyciągnąć, zanim ropa zaleje mu mózg. Ale nie miał siły, żeby się od niego uwolnić. Słowa Antoniego dźwięczały mu w uszach. „Wy przyszli pod Warszawę, nie my pod Moskwę. Pan lejtnant macza w tym palce” – dzwoniło mu w głowie. Spojrzał na ręce. Zobaczył krew i przeraził się. Usiadł za biurkiem, objął głowę dłońmi i zamyślił się. Nagle przyszło mu do głowy: „Przecież moja matka jest Polką! A ile jest nazwisk polskich w Rosji. Przecież ja też jestem w połowie Polakiem!”

Nigdy tak nie myślał. Kochał swoją matkę, choć to Polka, nawet kiedyś uczyła go mówić po polsku. „Ech, Kołodziej, coś ty narobił! Muszę mu pomóc, to może pozbędę się tych koszmarów. Ale, jak? Jak się partia dowie, ta machina zniszczenia przemielili mnie na proszek”.

Przestraszył się. Podjął decyzję, otworzył drzwi.

– Iwan, idź do Griszy, niech zaprzęga konie i podjedzie pod dom.

Iwan zdziwił się. Gdzie komendant chce jechać na noc, pomysł wydał mu się dziwny. Ale rozkaz to rozkaz. Po dwudziestu minutach koń stał pod posterunkiem. Wszedł do biura komendanta. Zobaczył go stojącego koło okna. Patrzył na zaśnieżone pola, daleko...

– *Tawariszcz kamandir*, zaprzęg stoi przed komendą – zameldował.

– Dziękuję, Iwan. – Drgnął.

„Co się z nim dzieje, jeszcze nigdy go takim nie widziałem” – pomyślał.

Komendant wszedł do sań i pojechał przez miasteczko. Kon człapał miarowo, obrzucając go śniegiem odrywającym od kopyt. Wkrótce dojechał do domku za miasteczkiem i wjechał na podwórze. Z domu wyszedł gospodarz i poznał NKWD-zistę. Struchlał. Spotkanie z nim nie wróżyło nic dobrego.

– Matuszewicz, ty wódkę masz? – zapytał.

– *Kamandir, jej Bohu*, ja już dawno nie pędzę bimbru.

– Nie łzyj, Stiepan, ja wiem wszystko.

Rozmowę słyszała żona gospodarza. Wybiegła z domu, załamała ręce.

– Złociutki – biadoliła – my takie rzeczy...

– Milcz – przerwał jej.

– Gospodyn, pomiłuj – lamentowała. Schyliła się i chciała ująć go za nogi.

– Zwariowałaś, babo! Idź lepiej do domu!

Wymachując rękami, pobiegła do domu. Weszła do mieszkania i schowana za

firaną, obserwowała podwórze.

– Matuszewicz – zwrócił się do gospodarza. – Stiopa potrzebuje dwa litry samogonu. Wiem, że ty masz.

Stiopa popatrzył na NKWD-zistę. Wydało mu się, jakby go nie znał. Był jakiś inny, ludzki. Z niedowierzaniem pokręcił głową, wahał się...

– Dobrze – powiedział – zrobiłem trochę dla siebie.

Poszedł za stodołę, nalał z konwi po mleku cztery półlitrowki i przyniósł do sanek.

– Stiopa, mam jeszcze jedną prośbę.

– Jaka?

– Niech twoja żona da kawałek słoniny i pół bochenka chleba i zawinie w płótno.

Stiopa uniósł brwi ze zdziwienia.

– Idź, idź, i pospiesz się.

Stiopa nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Podreptał do domu i po chwili przyniósł zawiniątko pod pachą i wręczył komendantowi.

– Dziękuję, Stiopa i nie mów nikomu, że mnie tu widziałeś. Jeszcze raz dziękuję.
– Wsiadł do sanek i odjechał.

Stiopa odprowadził gościa oczami do bramy. Kręcąc z niedowierzaniem głową, poszedł do domu. Komendant, wracając na komendę, był kompletnie rozbity. Ten Polak przewrócił mu świat do góry nogami. Wiedział, że Antoni jest niewinny, a on skazał go na tortury. Cofnąć decyzji już nie mógł. Postanowił mu jednak jakoś pomóc. Znowu myśli zaczęły krążyć wokół niego. „Ale on mi namieszał. Po co ja go spotkałem? Matka Polka – dobra kobieta, a ojciec? Też nie był zły, choć wychowała go rewolucja. Był dla niego autorytetem, może nieco despotyczny. Wychowywał go według ślepej doktryny posłuszeństwa. Był komunistą. A kim ja jestem? – Popatrzył na ręce. Były we krwi. – Mordercą. Stalin, choć ma czyste ręce, jest większym mordercą niż ja”. Ta myśl go przeraziła, bo mogła go zaprowadzić przed pluton egzekucyjny. Myśl jednak, natrętna, wracała. „Kim był Lenin? Żydem; kiedy było niebezpiecznie, Polska dała mu schronienie. A Dzierżyński? Wszyscy się go boją, ale to też Polak. Co dziesiąty Rosjanin ma polskie nazwisko. A jego matka – Orłowska. Czyż może być ładniejsze nazwisko? Gdyby tak na to spojrzeć, to Rosja jest najbardziej związana z Polską. Dlaczego od wieków ją gnębią?” – zastanawiał się. „Trzeba przyznać, dzielny to naród, ale trudno się zrozumieć. Jak są pod uciskiem, jednoczą się, walczą bohatersko o ojczyznę. Jak odzyskają wolność, sami siebie pożerają. Dziwny to kraj, dziwny to naród. A Stalin, przecież to Gruzin. Zdrętwiał ze strachu, gdyby ktoś teraz zajrzał mu w jego myśli. Dlaczego taki wielki rosyjski naród dał się otumanić mordercy choremu na władzę”.

Był tak pochłonięty rozmyślaniami, że nie zauważył, iż dojechał do Bytenia. Zatrzymał się. Wódkę z zakąska schował pod słomą, którą wymoszczone były sanie.

„Chyba znajdą, Rybakow wódkę wyczuje na kilometr. Ona chyba za nim chodzi – pomyślał -a Tretiakow niezgorszy”.

Wsiadł i pojechał pod posterunek. Wszedł do biura i tępo popatrzył w sufit. Usiadł na krześle. Wyraźnie na coś czekał. Do zmroku było już niedaleko. Wezwał wartownika.

– Tak jest, towarzyszu komendancie! – zameldował się.

– Zawołaj Rybakowa, Szurkina, Tretiaka i Iwanowa. Niech się zaraz u mnie stawia! – rozkazał.

– Tak jest – odmeldował się tamten. Czemu ich? Przecież to największe moczymordy w NKWD. Ale rozkaz to rozkaz...

Po półgodzinie wszyscy czterej stawili się u komendanta.

– No, chłopcy, macie bojowe zadanie. Odwiezcie więźnia do Słonima, jeszcze dziś. Tylko uważajcie, jest niebezpieczny.

– Na noc? – zapytał Rybakow.

– Na noc, tam na niego czekają. A ty, Rybakow, jesteś za więźnia odpowiedzialny.

– Tak jest. – Stuknął obcasami Rybakow.

– Towarzyszu lejtnant, czy więźnia skuć na drogę?

– Nie trzeba, on był u Pietii.

– Aaa, jak tak, to rzeczywiście nie trzeba – przytaknął.

– Odmaszerować! – rozkazał.

Wyszli na korytarz, schodami zeszli w dół do izby przesłuchań. Przezornie zapukali i ostrożnie weszli do Pietii. Olbrzym siedział na krześle i chrapał, oparty o stół.

– Pijany czy co? – raczej stwierdził, niż zapytał.

Rozejrzeli się. Pod ścianą siedział skulony więzień. Rybakow podszedł do niego i trącił go łokciem.

– Polak, żyjesz? – zapytał zdziwiony.

Więzień odwrócił powoli głowę.

– Wstawaj i chodź z nami.

Antoni próbował wstać, ale udawał, że nie może. Wzięli go pod rękę. Pomogli wstać, a potem zaprowadzili do sanek gotowych do drogi.

– Posadź go z tyłu – odezwał się Rybakow.

Wsadzili go i sami usadowili się w saniach. Tretiak wziął lejce i machnął batem.

– Pajechali – powiedział do konia.

Ruszyli. Mieli kawał drogi do Słonina. W dodatku musieli jechać przez las. Było to ryzykowne, szczególnie nocą. Przejeżdżali przez miasteczko. W niektórych oknach paliło się blade światło lamp naftowych. Sączyło się przez niedomyte szyby, oświetlając przejeżdżających, za którymi snuły się ledwie widoczne cienie. Mijali ostatnie zabudowania. Mrok gęstniał, obejmując ich w swoje ramiona. Na niebie

świeciły migotliwe gwiazdy.

– O, popatrz tam, ta żółta to Mars, podobno to nie gwiazda, a planeta.

– Planeta? I co, mieszkają tam może jacyś ludzie? – zapytał Tretiak.

– Nie wiem, ale wiem, że odkrył ją nasz wielki uczyony, Kopernik.

– Kopernik... nie słyszałem o nim.

– Ale ja wiem. Kiedyś u nas mówili na zebraniu partyjnym.

Gdzieś daleko słyhać było wycie wilka. Zapewne basior wzywał na polowanie.

Ciarki przeszły im po plecach.

– Dima, zapal latarkę.

Dima próbował parę razy wskrzesić ogień, lecz wiatr gasił zapałkę. W końcu knot zajął się i lampa zaczęła migotać blade, bądź co bądź dodawała trochę poczucia bezpieczeństwa. Dłuższy czas jechali w milczeniu, nasłuchując, z której strony usłyszą wycie wilka. Koń nerwowo strzygł uszami. Był niespokojny. Sasza Tretiak siedział na desce położonej w poprzek sań i przestawiał nogi z jednej strony na drugą. Za którymś razem wyczuł coś po nogami. „Co to może być?” Zaciekawiony, schylił się. Pogrzebał w słomie i wyciągnął butelkę. W słabym świetle latarni poznał, że trzyma w ręce butelkę wódki. Odkorkował, powąchał.

– Wódka – powiedział cicho.

– Co? – zapytał Szurkin.

– Nic, ja do siebie mówię.

Znowu zaczął macać nogą. Schylił się i wyciągnął jeszcze trzy butelki i zawiniątko z chlebem i słoniną.

– Ki diabeł to schował tutaj? – mruknął.

Odkorkował butelkę i powąchał. Ślina napłynęła mu do ust. Naszła go ogromna ochota spróbować. Przystawił butelkę do ust. „Jak spróbuję, nie oprę się. Nie mogę, więźnia wiozę. Troszeczkę, tylko na język” – przekonywał sam siebie. Inny głos mu mówił: „Sasza, uważaj!”. „Łatwo powiedzieć...” Przystawił butelkę do ust. Pociągnął. „O, jaka rozkosz!” Piekące ciepło popłynęło do ust, a potem do żołądka i rozlało się po całym ciele. Sasza skrzywił się od przykrego smaku. Beknął, i nie mógł już się powstrzymać. Pociągał z butelki raz za razem. Koledzy wyczuli zapach wódki, w dodatku Szurkin zauważył, że Sasza coś trzyma w ręku.

– Co tam masz? – zapytał Oleg.

– Zobacz, co znalazłem w słomie – pokazał i podał mu butelkę.

Szurkin powąchał i wziął kroplę na język.

– Wódka – orzekł ze znawstwem.

– Wódka – przytaknął Sasza.

Butelką zainteresowali się pozostali koledzy.

– Skąd to masz? – zapytał Rybakow.

– Była na saniach w słomie.

– Nie łyżj! – nie wierzył.

– *Jej Bohu* -zaklinał się Sasza jeszcze zwyczajem dziadków.

Oleg Szurkin trzymał butelkę w ręku i od czasu do czasu pociągał z niej ognisty płyn. Zobaczył to Iwanow i wyciągnął rękę.

– Daj spróbować.

Podał mu. Dimitr przyłożył butelkę i pociągnął kilka łyków. Rybakow obserwował kolegów.

– Zostało jeszcze trochę? – zapytał.

Sasza podał mu bez słów drugą półlitrówkę. Zatoczyła krąg i wróciła do Saszy. On kroił chleb i słoninę i podawał kolegom. Już nie pytali, skąd ma wódkę i zagryzkę. W miarę upływu czasu i ilości wypitego alkoholu, humory znacznie im się poprawiły. Zapomnieli o więźniu, dokąd go mają zawieźć, i o wilkach. Zaczęli śpiewać:

Wychadziła na bierieg Katiusza,
Na wysokij bierieg, na krutoj...

Antoni siedział na saniach i choć był głodny, zimne powietrze orzeźwiło go. Był trochę poturbowany, ale czuł się dobrze. Patrzył na pijanych konwojentów i myślał o ucieczce. Okazja sama wpadła mu w ręce. Czekał tylko na odpowiedni moment. Trzecia butelka znowu zatoczyła krąg, potem czwarta.

Sasza odwrócił się do Antoniego.

– Ty, polski pan, napij się z nami, za wolna Polskę. Zaraz zawieziemy ciebie tam – bełkotał.

Pochylił się w stronę Antoniego. Przystawił mu butelkę do ust.

– Wypij za twoją Polskę, ha, ha, ha – ryczał.

Stracił równowagę i zwałił się całym ciężarem na Antoniego, oblewając go alkoholem.

– Sasza, Sasza, daj wódki – wołali pijani koledzy.

– Sasza, jak ty powiedział? Polski pan? Oleg, słyszysz, co on mówi? Polski pan! Zobacz, jak wygląda polski pan. – Wskazał na więźnia, który siedział skulony na tyle sanek. Rechotał na całe gardło. Wtórowali mu już całkiem pijani koledzy, Aż im oczy nabiegały krwią. Wyglądali, jakby potracili zmysły. Zmęczeni się wreszcie tym śmiechem i ucichli. Tylko koń miarowym truchtem zmierzał do celu. NKWD-ziści poopierali się jeden o drugiego. Zaczął morzyć ich sen.

Antoni obserwował ich i uznał, że nadeszła właściwa pora na ucieczkę. Powoli przełożył jedną nogę za sanie, potem drugą, i bezszelestnie zsunął się na zaśnieżoną drogę. Sanie powoli oddalały się, aż zniknęły w ciemnościach. Mężczyzna dobrze znał okolicę. Choć był jeszcze osłabiony, szybko przychodził do siebie. Jedyne, czego się obawiał, to wilków, których na Kresach było wiele. Do domu nie mógł wrócić. Aresztowaliby go natychmiast. Najgorsze, że nie wiedział, za co go tak potraktowali. Nie czuł się winny. Niczego złego nie zrobił. Pomógł tylko Ludwice. „Czy to wina, że człowiek drugiemu pomoże?”

Szedł na południe, w stronę rzeki. „Muszę jak najszybciej wyjść z lasu, bo jak mnie wilki zwietrzą, będzie po mnie”. Po plecach przeszły mu ciarki. Strach dodawał sił. Szedł, brodząc po kolana w śniegu. Gdzieś daleko słyszał wycie wilków. „Co Bóg da, to będzie” – powiedział prawie na głos. „Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...” – zaczął się modlić.

Skończył modlić się do tej, której powierzył swój los. Śnieg skrzypiał pod butami, a on szedł, szedł... Nad głową szumiał wiatr w gałęziach drzew. Gdzieś zahukała sowa i przestraszona odleciała w głąb lasu. Znowu się modlił. „Panie Jezu, i Ty, Przenajświętsza Matko, doprowadź mnie do rzeki”.

Stracił poczucie czasu. Znowu usłyszał wycie wilka, jakby bliżej. Zaczął biec. Nie zauważył nawet, że las się skończył, i wybiegł na otwartą przestrzeń. Po półgodzinie zobaczył przed sobą kręte koryto rzeki. Zsunął się z wysokiej skarpy na śliską taflę lodu. Szedł wzdłuż rzeki. Zmęczony, po godzinie dotarł do jazu. Do domu Ludwika było już blisko. Wspiął się na wysoki brzeg. „Dziękuję ci, Matko Najświętsza za ocalenie” – modlił się i łzy szczęścia płynęły mu po policzkach. Wszedł na podwórko. Pies Saba zaczął skomleć. Nie czekał, znał Antoniego. Ludwika obudziła się i podeszła do okna. Zobaczyła jakiegoś mężczyznę przed domem. Ubrała się, zapaliła latarkę i wyszła przed dom. Podniosła światło do góry, żeby lepiej widzieć.

– Kto tam? – zapytała.

– To ja, Antoni – usłyszała z ciemności łamiący się głos.

– Antoni? – zdziwiła się. – Skąd się tutaj wziąłeś? Gdzie byłeś, co się z tobą działo? Ale ja głupia, że pytam. Chodź do mieszkania.

Wszedł do domu. Ludwika zamknęła drzwi. Spojrzała na niego.

– Antoni, jak ty wyglądasz? – krzyknęła. – Co oni z tobą zrobili? – Była przerażona.

– Zaraz ci wszystko opowiem, tylko pozwól mi usiąść i zagrzać się, bo ledwie żyję.

Rozebrał się i usiadł koło pieca.

– Nie mogę tu długo zostać, bo będę mnie szukać.

– Zaraz zrobię ci coś do jedzenia – powiedziała i wyszła do kuchni.

Kiedy wróciła z patelnią w rękę, on spał. Nie chciała go budzić. „Niech się trochę prześpi” – pomyślała. Usiadła przy nim na ławie i czuwała.

Zegar wybił drugą, potem trzecią... piątą. Chyba już czas. Potrząsnęła go za ramię.

– Wstawaj, niedługo będzie świtać.

Otworzył oczy. Czuł się znacznie lepiej.

– Najpierw się umyję.

Nalała wody do miednicy. Kiedy się mył, woda zabarwiła się na czerwono. Zmieniła wodę. Myjąc się, opowiedział, co się z nim działo, jak go stąd zabrali.

– Sama widzisz, muszę uciekać jak najszybciej. Mam kuzyna pod Poznaniem. Może jakoś dotrę do niego, bo tutaj nie dadzą mi żyć. Powiedz Teresie, co się stało. Ona ma tu brata, w razie czego pomoże jej. Jak będę mógł, wrócę, jeśli nie, zostanę. Mam przepustkę, może uda mi się dojechać do Bugu.

– Zrobię co śniadanie, bo na pewno jesteś głodny.

– Rzeczywiście, umieram z głodu. Zanim co, pójdę do stajni przygotować konia do drogi.

Gdy wrócił, śniadanie stało na stole. Zjadł. Podziękował i zaczął się ubierać. Ludwika przyniosła mu jakąś paczkę.

– Co to jest?

– Żebyś nie był głodny. A tu masz pięćdziesiąt złotych. Przed tobą długa droga, mogą ci się przydać.

– Nie wiem, co mam powiedzieć.

– Nic nie mów, tylko weź i obyś szczęśliwie dojechał.

– No to do zobaczenia! – powiedział, otworzył drzwi i wyszedł.

Ludwika wyszła za nim przed dom. Widziała, jak wsiadł na konia. Wyjeżdżając z podwórza, pomachał jej ręką. Noc ukryła wzruszenie i łzę, która potoczyła się po twarzy. Podniosła rękę na pożegnanie.

Antoni Kołodziej nigdy nie wrócił do żony. Po wojnie ożenił się i osiadł na ziemiach zachodnich.

Teresa, jego żona, w latach pięćdziesiątych wyszła za mąż za ruskiego pułkownika. W latach osiemdziesiątych była w Otwocku. „Wiesz, Ludwiko – mówiła – wyszłam za tego pijanicę, ale za to mam ładny dom i ogród”.

Rozdział IV

Zima zawitała już na dobre. Prawie cały dzień padał śnieg. Porywisty wiatr miótł śnieg po polach, tworzył zasy i ubierał wszystko w nieprzenikniony biały welon. Grał w gałęziach drzew jakąś smętną melodię. Gwizd wichury wdzierał się do domów przez nieszczelne okna i zasiewał w domach niepokój. Ludzie prawie nie wychodzili z domów bez wyraźnej potrzeby. Jeżeli już, ubierali się ciepło. Mężczyźni wdziewali baranie kożuchy. Na ręce zakładali wełniane rękawice, które każda gospodyni robiła w długie zimowe wieczory. Kobiety nosiły zimą futra, uboższe palta. Głowy ukrywały w kolorowe chusty sięgające do pasa. Ręce wkładały w mufki z garbowanych skórek lisich, obszytych materiałem. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety na nogach mieli walonki z cholewkami zrobionymi z grubego filcu. Było im ciepło i żadna zima nie była wtedy straszna.

Święta Bożego Narodzenia były tuż, tuż. Tadek z Polkiem przynieśli z lasu choinkę. Wniesiona do domu, pachniała żywicą. Jeszcze tylko trzeba ją włożyć w krzyżak i postawić na środku pokoju. Ludwika zarabiała ciasto na drożdżowy placek, a Janka ucierała mak drewnianym tłuczkiem w makutrze. Robiła to bez zbytniego entuzjazmu. Myślami była zupełnie gdzie indziej. Przypominała sobie kończące się lato. Poszła wtedy z mamą nad rzekę prać bieliznę. Było wczesne popołudnie. Mama moczyła spodnie ojca w rzece, posypywała ługiem, żeby zmiękczyć wodę, dodawała trochę szarego mydła. Kładła portki na kamieniu i mściła się na spodniach za wszystko, uderzając drewnianą kołatką po nogawicach. Robiła to wielokrotnie. Podawała potem obite portki Jance, która płukała je i wkładała czyste do kosza. Były tak zaabsorbowane pracą, że nie zauważyły, kiedy podpłynęły koło nich cztery kajaki. Siedzieli w nich młode dziewczyny i chłopcy, parami. Twarze mieli rozradowane, choć wiosłując pod prąd, byli już nieco zmęczeni. Żartowali, śmiali się głośno. Widać było, że mieli potrzebę wzięcia się za bary z rzeką. Zauważyli kobiety piorące bieliznę. Podpłynęli bliżej.

– Dzień dobry i szczęść Boże! – zawołali.

– Bóg zapłać, dzień dobry! – odpowiedziała Ludwika. – Skąd jesteście?

Janka przyglądała się przybyszom z ciekawością.

– Jesteśmy z Łodzi i płyniemy do Pińska – odparł jeden kajakarz.

– O, to daleka droga jak na spływ kajakowy.

– Damy radę! Proszę pani, nie wie pani, do kogo należy ta łąka?

– Do mnie.

– Do pani? – zdziwił się. – Proszę pani, a czy możemy tu się zatrzymać?

– Jeżeli macie ochotę, proszę bardzo – odpowiedziała Ludwika i zajęła się praniem.

Młodzi podpłynęli do brzegu. Chłopcy wysiedli z kajaków do płytkiej wody, wzięli dziewczęta na ręce i wynieśli je na brzeg. Śmiechów i pisków było co niemiara. Dziewczęta udawały, że się bronią przed taką poufałością. A chłopcy brali je na ręce z ochotą, bo nie mieli wiele okazji, żeby przytulić się do ukochanej. Robili to po kryjomu. Czasami kradli dziewczynie buziaka. Ale żeby oficjalnie tulić... nieśli ten słodki ciężar powoli. Nie zauważyli, że kajaki, uwolnione od ciężaru, odpływały na środek rzeki. Postawili swoje ukochane na ziemi, a sami wskoczyli do rzeki za kajakami. Po krótkim pościgu udało im się je dogonić i przyciągnąć do brzegu. Wynieśli kajaki na brzeg i zmęczeni odpoczywali. Woda spływała z nich jak z mokrych kaczek. Dziewczęta śmiały się z nich i mówiły, że to kara za grzech, jakiego dopuścili się w myślach. Kajakarze spoglądali ku rzece, jakby na coś czekali. Rzeczywiście, po jakimś czasie na rzece ukazał się samotnie płynący kajakarz. Zmagał się z nurtem rzeki i ze sobą.

– Leszek, Leszek! – wołali.

Głos nad wodą niósł się daleko. Chłopak usłyszał i przyspieszył. Po dziesięciu minutach był przy brzegu. Zmęczony, oparł się na wiosła i ciężko odдыchał. Kiedy odpoczął, wysiadł z kajaka i stanął na brzegu w płytkiej wodzie.

– Leszek, chodź! – wołali koledzy.

Pomachał im ręką. Schylił się, żeby wziąć kajak i wyciągnąć na brzeg. Wtedy zobaczył piorące kobiety. Już zamierzał wyjść z wody, spojrzał jeszcze raz na nie. Coś przykuło jego uwagę. Młodsza z kobiet przyglądała mu się uważnie. Była drobna, w wieku szesnastu, może siedemnastu lat, o miłej buzi i dużych niebieskich oczach. I patrzyła na niego tymi oczami... Na głowie miała gęste blond włosy, które układały się w loczki po obu stronach skroni. Kiedy jej wzrok spotkał się z jego wzrokiem, jej twarz nabrała rumieńców. Serce zaczęło szaleć, jakby chciało wyskoczyć. Leszek też patrzył na nią i nie mógł oderwać od niej wzroku. Stał w wodzie jak zahipnotyzowany, nie mogąc ruszyć się z miejsca.

– Leszek, Leszek, chodźże wreszcie! – wołali koledzy z brzegu.

Ale on nie słyszał. Zapatrzony w tę drobną istotę, zapomniał o bożym świecie. Nie widział nawet, jak koledzy weszli do wody i wynieśli jego kajak na brzeg.

– Patrzcie – mówili między sobą – wreszcie i Leszka ugodziła strzała Amora. Śmiali się z niego, a on nie reagował. Nawet woda w rzece nie była dla niego zimna, a uchodził za zmarzlucha.

– Leszek, Leszek, chodź!

Spojrzał w ich kierunku. Zobaczył ich odchodzących od brzegu. Wyszedł z wody jak nie na swoich nogach i podążył za nimi.

Ludwika z córką skończyły pranie. Włożyły czystą bielizną do wiklinowego kosza i poszły do domu. Tylko Janka, wracając, oglądała się na wodniaków, a szczególnie na jednego przystojnego blondyna. Podobał jej się. Na samo wspomnienie szybciej uderzało serce. Ten Leszek patrzył na nią tak jak jeszcze nikt.

Pod jego spojrzeniem coś w niej się obudziło. Czegoś takiego w swoim dziewczęcym życiu jeszcze nie czuła. On obudził w niej uczucia, o których istnieniu nie wiedziała. Odkrył obcy dla niej świat. Był piękny, choć zmącił jej spokój. Przyszła z matką nad rzekę jako ubogie dziewczątka, wychodzi bogata w miłość.

Kajakarze odpoczywali na łące. Byli zmęczeni wiosłowaniem. Dziewczęta siedziały na trawie, odwróciły buzie do słońca. Łapały promienie kończącego się lata. U góry płynęły pierzaste chmurki i zasłaniały słońce. Chłopcy leżeli i wyciągali żdźbła trawy, żuli ją.

– No, dość tego leniuchowania – powiedział Jurek. – Bierzymy się za robotę.

– A co będziesz robił? – spytał Edek.

– Jak to co? Trzeba ustawić na noc namioty.

– A tak, prawdę mówiąc, jestem już głodny i myślę, że wszyscy byśmy coś zjedli.

– Ale co, jak nic nie mamy, przecież resztę zjedliśmy na ostatnim postoj.

– Trzeba pójść gdzieś do gospodarza. To może da się coś kupić.

– Ja mogę pójść – zaofiarował Andrzej.

Wstał i poszedł do wsi. Do najbliższych zabudowań było niedaleko.

Chłopcy, którzy pozostali, zajęli się ustawianiem namiotów. Szło im sprawnie, bo robili to już wielokrotnie. Wkrótce na łące stały cztery namioty dwuosobowe. Dwa dla chłopców, dwa dla dziewcząt. Dziewczęta siedziały na trawie i przyglądały się pracy chłopców i coś szeptały między sobą. Wybuchwały co chwila śmiechem.

– Pamiętacie, jak wczoraj ktoś wrzucił nam żabę do namiotu? – śmiała się Halinka.

– To nie było takie śmieszne, przestraszyłam się jak nie wiem co – oburzyła się Marta.

– Może i nie było, ale za to wczoraj...

– Co wczoraj?

– Ha, ha, ha – Halinka nie mogła powstrzymać się od śmiechu – pamiętacie, kiedy ci dwaj dowcipnisie spali...

– Jacy dowcipnisie? – zapytała Marta.

– No, nie wiesz, Jurek i Wiesiek.

– I co zrobiliście? – dopytywała Krysia. – Co?

– Wylałyśmy im garnek wody na głowę – rzekła, śmiejąc się. – Żebyście widziały, jakie mieli miny, jak prychnęli. Łapali powietrze niczym ryby wyjęte z wody – opowiadała, kładąc się ze śmiechu. – Zerwali się obaj i nie wiedzieli, co się stało. Wiesiek wypadł z namiotu, jakby go ktoś wystrzelił z armaty. Pewnie chciał złapać tego, kto im to zrobił. Zaczepił nogą o linkę namiotu i upadł na ziemię jak długi. A namiot – chichotała – a namiot zawalił im się. Po ciemku długo nie mogli go ustawić. Kiedy w końcu uporali się z nim, długo o czymś rozmawiali. Widocznie planowali zemstę...

– A dobrze im tak. Jak zachciewa im się żartów, to je mają!

Chłopcy, choć zajęci byli ustawianiem namiotów, słyszeli śmiechy dziewcząt. Nawet Jurek i Wiesiek wiedzieli, z czego się śmieją. W końcu Wiesiek nie wytrzymał:

– Co wam tak wesoło, jakbyście zjadły żabę na kolację!

Nie zdążyły odpowiedzieć na zaczepki Wieśka, bo do obozu wtoczył się Andrzej obładowany torbami z prowiantem. Postawił je na ziemi i wyprostował się.

– Co ty masz w tych torbach, skąd to wzięłeś? – dopytywali się wszyscy, obstąpiwszy go dookoła.

– Zobaczcie, co przyniosłem!

– Pokaż, pokaż! – Marta wsadziła rękę do jednej z toreb.

– Ostrożnie, nie bądź taka niecierpliwa, bo zgnieciesz.

Marta gwałtownie cofnęła rękę.

– A co tam masz?

– No, nie żabę, a jajka, a z jajkami należy obchodzić się delikatnie.

Chłopcy roześmieli się. Marta stała zarumieniona jak piwonia i zakryła oczy dłońmi.

Andrzej ukląkł na jedno kolano i zaczął wyjmować z toreb najpierw jajka, potem boczek, dwa bochny chleba i parę pęt kiełbasy.

– Ojej, to przecież kosztowało majątek! – zawołały dziewczyny.

– Przeciwnie, dostałem za darmo. Chciałem zapłacić, ale nie wzięli pieniędzy. A wiecie, od kogo to dostałem?

– Od kogo?! – zawołały chórem.

– Pamiętacie te kobiety, które prały bieliznę? Od nich.

– Trzeba przyznać, że są nie tylko hojne, ale i ładne. A szczególnie ta niebieskooka sarenka, która swoją krasą kogoś urzekła.

Spojrzeli wymownie na Leszka, który zaczerwienił się niczym student.

– No, dziewczyny, bierzcie się do roboty, bo nam już kiszki marsza grają, a bez jedzenia długo nie potańczę – powiedział Andrzej.

– Niech ktoś przyniesie chrustu, ugotuję herbatę – poprosiła Halinka.

– Po co chodzić i zbierać chrust? Niech Leszek pójdzie do tej... co ją spotkał nad rzeką i... – nie dokończył Jurek.

– Ty go lepiej tam nie posyłaj, bo herbatę będziemy pili rano. Lepiej przynieś chrustu, bo widzę, że chcesz się wymigać. – Krystyna znacząco popatrzyła na chłopca.

Po obiedzie poczuli się ociężali. Poukładali się na trawie i odpoczywali.

– Co będziemy robić dziś wieczorem? – ktoś przerwał ciszę.

– Jak to co? Będziemy odpoczywać – stwierdziła Marta, zmęczona wiosłowaniem.

– Ja mam inną propozycję – odezwał się Leszek. – Zróbmy wieczorem ognisko, potańczymy, pośpiewamy. Mamy tyle kiełbasy, upieczemy ją na ognisku, będzie

wesoło.

– I może zaprosimy tę...

– A dlaczego nie? Nie mają dużo rozrywek. Dowiedzą się czegoś o nas, my o ich.

– Wiecie co? To dobry pomysł – odezwała się Henia. – No to co, zgadzacie się?

– Jasne, że tak, no pewnie – odpowiedzieli.

Zbliżał się wieczór. Drzewo ustawione w stos czekało na rozpalenie.

– Kto pójdzie zaprosić nasze dobrodziejki na piknik?

– Może Henia i Jurek, co? – zaproponowała Krysia.

– Czemu nie, możemy pójść – zgodzili się od razu.

Wzięli się za ręce i poszli łąką do gospodarstwa.

– To chyba tu – powiedział Jurek. Otworzył furtkę i weszli na podwórze. Pies zaczął ujadać.

Tadek wyszedł z domu.

– Cicho bądź, Saba. Słucham? – odezwał się niepewnie.

– Chcielibyśmy widzieć się z gospodynią.

– Teraz doi krowy.

– Proszę – wtrąciła się do rozmowy Henia.

Tadek wszedł do obory i po chwili wyszła Ludwika.

– Dzień dobry pani.

– Dzień dobry, widzieliśmy się już dzisiaj.

– To prawda, ale my... robimy dzisiaj ognisko i chcieliśmy państwa zaprosić.

– Miło mi i zarazem przykro, ale ja nie mam czasu na zabawę. Może z waszego zaproszenia zechcą skorzystać córka i syn.

– Bardzo prosimy.

– Zaraz zapytam córkę, a syna zapytajcie sami, stoi obok.

– Przyjdiesz do nas na ognisko? – zwróciła się do Tadka Henia.

– Czemu nie? Tylko muszę najpierw wsypać obrok koniom.

Ludwika weszła do domu i za chwilę wróciła z Janką. Podeszli do gości.

– Ci państwo przyszli zaprosić ciebie i Tadzika na ognisko.

– No nie wiem, nigdy na czymś takim nie byłam.

– Zobaczysz, będzie bardzo przyjemnie – namawiał Jurek.

– Idźcie, trochę się rozerwiecie.

– Dobrze, tylko pójdziemy trochę się ogarnąć i zaraz wrócimy.

Po chwili wyszli z domu i cała czwórka ruszyła w stronę rzeki. Z dala widać było palące się ognisko i smugę dymu snującą się nad łąką. Kiedy podeszli bliżej, poczuli zapach żywicy z palącego się sosnowego drzewa. Przywitali się podaniem ręki i usiedli na trawie wokół ogniska.

– Słuchajcie, jeśli pozwolicie, to ja z Wieśkiem przeprowadzimy was przez ten piknikowy wieczór, zgoda?

– Zgoda.

– To teraz wstańmy, weźmy się za ręce, otoczmy ognisko kołem i w rytmie poloneza będziemy krążyć, śpiewając piosenki – powiedziała Krysia. – Uwaga, podaję tekst i melodię: „Płonie ognisko w lesie...”.

Uczestnicy podchwycili melodię, która popłynęła po rozległych łąkach, przebiegła nad rzeką i popłynęła aż hen, daleko do lasu i wróciła echem zniekształconych słów. Nastrój był tak podniosły... wydawało im się, że znaleźli się w zaczarowanym świecie. Ognisko paliło się i trzaskało, wyrzucając snopy iskier, które w ciemności leciały z wiatrem i ginęły.

Tańczyli wokół ogniska, aż zakręciło im się głowach. Przerwali płąsy i usiedli na trawie. Wiesiek podawał wszystkim długie kije zaostrzone na końcach. Nabijali na nie kiełbaski i piekli nad ogniskiem. Przyjemny aromat rozchodził się wokół. Przypiekane kiełbaski zaczęły skwierczeć od żaru.

– Zobaczcie, moja jest już ciemnobrązowa i zaczyna dymić – odezwała się Marta.

– I moja.

– Za blisko trzymacie. Kiełbaski piecze się powoli, a wy chcecie tak od razu.

– A twoja to nawet do rana się nie upiecze, taka blada i zakręcona.

Dziewczyny wybuchnęły śmiechem. Wiesiek spiekł raka.

– No to jedzmy – rzekł Jurek, starając się wybawić Jurka z kłopotliwej sytuacji.

Pałące się ognisko i ciemność nocy nastrajały do opowieści o pradawnych dziejach, podawanych z ust do ust, tworzyły mity z otoczką magii.

– Ja już muszę iść – szepnął Tadek do Janki.

– Idź, ja jeszcze chwilę zostanę, ale też zaraz wrócę.

– Muszę już iść – powiedział głośniejszym głosem Tadek. – Życzę wam udanych wakacji.

Wstał i poszedł w kierunku domu.

Głos chłopca wyrwał ich ze świata, w którym byli przed chwilą. Krysia próbowała jeszcze zanucić „Czerwony pas”, ale nikt nie podchwycił melodii. Leszek był jakiś roztargniony. Cały czas milczał i wpatrywał się w Jankę. Wreszcie zdobył się na odwagę. Podszedł do niej, przyklęknął na kolano i spojrzał w oczy.

– Czy chcesz być moją dziewczyną? – zapytał, wyciągając ku niej ręce.

Splonęła rumieńcem. Krępowano ją takie audytorium, ale niespodziewanie oświadczyła:

– Tak – powiedziała cicho i podała mu obie dłonie, spuszczaając oczy.

Wyjął z kieszeni pierścioneł uwity ze stokrotek rosnących na łące i włożył jej na serdeczny palec.

– Ach, jakie to romantyczne – westchnęła Marta.

– I piękne – dodały koleżanki.

Obstąpili ich dookoła.

– Gorzko, gorzko! – zawołali.

– Co to znaczy? – zapytała Janka.

Leszek objął ją ramieniem i delikatnie przytulił. Zbliżył swoje usta do jej ust, wilgotnych i nabrzmiących. Żar rozpałił jej ciało.

– Brawo, brawo! Sto lat! – zaczęli śpiewać.

Janka przestraszyła się tego uczucia. Chciała uciec, żeby nie spłonąć, i chciała, żeby to trwało wiecznie.

Nie wiadomo skąd przeleciały nad nimi dwa białe gołębie. Zawróciły i zaczęły nad nimi krążyć. W pewnej chwili lotem nurkującym spadły z góry na ognisko, jakby chciały w nim spłonąć. Wydały przeraźliwy pisk. Zatrzepotały skrzydłami i znowu wzbiły się w powietrze. Snop iskier, wzniecony łopotem gołębich skrzydeł, wzleciał w górę. Ptaki krążyły jeszcze chwilę, a potem poleciały, jeden na wschód, drugi na zachód.

– To jakiś omen, przestroga – powiedział Jurek.

Nikt nic nie powiedział, będąc pod wrażeniem tego wydarzenia.

Janina i Leszek, choć byli zajęci sobą, dostrzegli to zdarzenie i zmąciło ich zauroczenie. Janina pomyślała, że to zły znak, przesłany jej lotem gołębi. Odebrała go jako przestrozę. Wyrwała się z objęć Leszka i pobiegła do domu przez łąkę. Leszek był zdezorientowany i nie wiedział, co się stało, że tak gwałtownie zareagowała.

– Co ja takiego zrobiłem?

– Nic. Ona po prostu cię kocha, tylko przestraszyła się tej miłości. Leć za nią, bo naprawdę ją stracisz.

Leszek chwilę się wahał, a potem pobiegł.

– Kto zrozumie kobiety? – zastanawiał się Wiesiek. – Kiedy mówią tak, znaczy nie, a kiedy mówią nie, znaczy tak. Cóż za przewrotność!

– Powiedział, co wiedział. Co ty możesz wiedzieć o kobietach? Potrafisz tylko żabę wrzucić do namiotu! – dorzuciła Krysia.

Leszek dogonił Janinę w połowie drogi do gospodarstwa.

– Jasia, Janeczko! – Zagroził jej drogę. – Dlaczego uciekasz?

– Boję się tej miłości.

– Ale ja cię kocham!

– Ja też cię kocham. Od pierwszego wejrzenia nad rzeką, ale co będzie, jak one kiedyś wygaśnie? – ze smutkiem odparła dziewczyna.

– Nigdy nie przestanę cię kochać.

– To są tylko słowa. Wszystko, co się zaczyna, musi się kiedyś skończyć. Ja jestem wiejska, prosta dziewczyna, a ty student z wielkiego miasta. Jak znajdziemy wspólny język?

– Miłość będzie nas łączyć – odpowiedział szczerze.

Wziął ją za rękę i poszli w kierunku domu. Zatrzymali się przed furtką.

– Ja niedługo tutaj wrócę, bo nie mógłbym bez ciebie żyć.

– Będę czekała.

Podszedł bliżej do niej i pocałował w usta.

– Żegnaj, Leszku.

– Nie żegnaj, tylko do zobaczenia – poprawił.

Weszła na ganek i pomachała mu ręką. W domu uchyliła firankę, widziała, jak odchodził.

Rano zwinęli obóz i odpłynęli. Pozostał po nich tylko ślad popiołu na łące, który zarósł trawą i po latach już nikt o tym nie pamiętał.

Rozdział V

– Mamo, mamo! – wołał, stojąc przed gankiem siedmioletni Stefan, który miał przypięte narty do nóg. Lubił spędzać każdą wolną chwilę na nartach.

Otworzyły się drzwi.

– Co się stało?

– Mamo, zobacz, wujek Czesiek do nas przyjechał – mówił przejęty.

Istotnie, na podwórzu wjechały sanki ciągnięte przez gniadego konia. Po chwili zatrzymali się i z sanek wysiadł Czesiek, brat Ludwiki, i jego żona Sabina, okutana w grubą, wełnianą chustę. Ludwika wybiegła z domu powitać przybyłych. Uścisnęła bratową, brata. Wzruszenie na chwilę odebrało im mowę. Łzy toczyły się kobietom po policzkach, a Czesiek stał obok z wymuszonym uśmiechem.

– Chodźcie, chodźcie do domu, bo na dworze jest za zimno. Tadek – wołała do syna – wyprzęgnij i wprowadź konia do stajni i daj mu obrok. A wy chodźcie do środka – zapraszała serdecznie.

– Rozbierajcie się. Zaraz zrobię wam gorącej herbaty z miodem.

Zmarznięci, usiedli na ławie przy ciepłym piecu. Byli zaskoczeni tak ciepłym przyjęciem. Widać było po twarzach, że przywieźli smutną wiadomość, którą na początku wizyty nie chcieli obarczać Ludwiki. Nie widywali się zbyt często, bo odległość dzieliła ich znaczna i obowiązki domowe pochłaniały ich zupełnie.

Czesiek Grimm był młodym dwudziestoletnim mężczyzną, przystojnym brunetem. Cerę miał śniadą, gęste, czarne włosy zaczesane do góry z przedziałkiem na boku. Oczy czarne o swoistym blasku. Nos nieduży, grecki, i wydatne usta, na których często gościł uśmiech. Żona jego, Sabina, była jego przeciwieństwem. Niewysoka, korpulentna blondynka, o długich, falujących włosach. Miała miłą buzię z dołeczkami w policzkach i duże niebieskie oczy, w których czały się figlarne iskierki przekory, jakby zachęty do flirtu. Mówiła śpiewnym, kresowym akcentem, co jeszcze dodawało jej uroku. Siedzieli oboje wtuleni w piec i w siebie. Po chwili z kuchni wyszła gospodyni, niosąc na tacy parującą herbatę i kawałek drożdżowego ciasta upieczonego już na święta.

– Zapraszam do stołu.

Wstali bez słowa i podeszli do stołu. Wyglądali, jakby nieśli jakiś ciężar, który ich przygniatał. Usiedli za stołem i patrzyli tępo na podaną herbatę, na Ludwikę.

– Co wy jesteście tacy jacyś, jakby was spotkało nieszczęście. Co się stało? – pytała Ludwika.

Sabinie zaczęła trząść się broda i nagle wybuchła głośnym płaczem. Ludwika podeszła do niej. Nie wiedziała, o co chodzi i jak ją pocieszyć. Przytuliła ją do siebie. Czuła, jak bratowa drży na całym ciele. Gest Ludwiki wzmógł w niej żal. Objęła

szwagierkę i przytuliła się mocno. Łzy żalu płynęły po twarzy. Długo nie mogła się uspokoić. Wreszcie łamanym głosem powiedziała:

- Moja siostra, Felicja, nie żyje.
- Jak to nie żyje? Co się stało? Chorowała? No, mówcie wreszcie!
- Pamiętasz tego sklepikarza z Nowojelni?
- Sklepikarza...
- No tego, który miał sklepik blisko nas, Białorusin.
- Ten, zaraz, jak on się nazywał?
- Gonia... Ale co ma wspólnego ze śmiercią Felicji?
- Jak to co? On nasłał na Adama, męża Felicji, NKWD. To przez niego Siemieniuka zamknęli i wywieźli, podobno gdzieś na Kołymę. A przecież wiesz, kto tam trafia, nigdy nie wraca.
- Za co go aresztowali?
- Kto ich tam wie! Podobno oskarżyli go, że był w partyzantce i jeszcze, że ukrywał szpiegów.
- Przecież Adam nie był w żadnej partyzantce!
- Wiem. Gonia zeznał, że był i jemu dali wiarę. Przecież u niego stale NKWD piło wódkę. Za darmo.
- To draństwo, a wyglądał na porządnego człowieka.
- My też tak myśleli, ale jak weszli ruskie, zmienił się zupełnie – powiedział Czesiek.
- No dobrze, ale co to ma wspólnego ze śmiercią Felicji? – dopytywała Ludwika.
- Ano ma. Jak ludzie dowiedzieli się, że Gonia współpracuje z NKWD, przestali chodzić do niego do sklepu. Szukał sposobu, żeby pozbyć się konkurencji.
- Za to, że Siemieniuk [\[1\]](#) miał więcej klientów?
- Nie tylko.
- A za co jeszcze?
- A za co tobie zabrali konie i pobili Tadzika, choć zawiozłaś im siano? – odpowiedział pytaniem na pytanie Czesiek. – Siano było tylko pretekstem. Potrzebowali konie, to je wzięli, jak swoje. Teraz wszystko jest ich, robią, co chcą. Ty tutaj nawet nie wiesz, że wszędzie pozamykali kościoły i cerkwie, porobili z nich stolarnie, świetlice. Po co komu potrzebny kościół, jak nie ma Boga. NKWD jest teraz wyrocznią i Bogiem. W podziemiach kościołów porobili miejsce kaźni. Jęki katowanych nieszczęśników przechodziły przez grube mury. Ludzie bali się tamtędy przechodzić. – Zacisnął pięści z bezsilności. – Ty wiesz, że tu, na Kresach, do kogo przychodzili NKWD-ziści, zabierali wszystko. Cały dorobek życia. A jak ktoś się opierał, puszczali z dymem. Sama pewnie widziałaś w nocy łuny na niebie. Na oczach mężów gwałcili żony i córki. Ludzie nie znają dnia ani godziny, kiedy przyjdą i... – Czesiek zamilkł, zmęczony. Sięgnął po zimną już herbatę.

– Dwa tygodnie temu do sklepu Goni przyszło dwóch NKWD-zistów.

– Ej, ty, Szymon, co u ciebie tak pusto – zagadnął jeden z nich. – Przechodziliśmy koło sklepu Siemieniuki, to i u niego pełno ludzi.

– Jak to pusto? Przecież wy jesteście.

Roześmiali się.

– Ty pewnie nie wiesz, dlaczego ciebie ludzie omijają?

Nie odpowiedział. Wiedział bowiem, ile krzywdy ludzkiej ciąży na jego sumieniu.

– Ty, Szymon, pomożemy ci zapomnieć.

– Jak? – Spojrzał na nich błędnym wzrokiem.

– Dawaj wódki, jak wypijesz, to zapomnisz.

Poszedł w głąb sklepu, przyniósł butelki i postawił na ladzie. Wyszedł znowu i po chwili przyniósł bochen chleba i kawałek słoniny posypany mieloną papryką.

– Nu, Wasia, nalewaj.

Wasia wziął butelkę do ręki i nalał trzy kubki do połowy.

– *Zdarowie!* – wzniosł toast Misza.

– *Zdarowie!* – odpowiedzieli Wasia i Szymon.

Wzniesli kubki do góry, stuknęli się, aż trochę alkoholu się wylało. Wypili duszkiem.

– *Kriepka* – ocenił Wasia i otarł gębę rękawem.

Kroili chleb i słoninę i zagryzali ze smakiem. Wypili drugi stakańczyk, trzeci. Zrobiło się weselej.

– Szymon, ta twoja konkurentka to niczego sobie kobieta. Nawet ładna. Wysłałeś jej męża na niedźwiedzie, to teraz jest wolna. Ożeniłbyś się z nią i konkurencja by ci znikła – zaśmiał się Misza.

– Próbowałem, ale ona mnie wyśmiała. – Chciał jeszcze coś dodać, ale zaczęła męczyć go czkawka.

– Nu, jak ona ciebie nie chce, weź się za jej córki – bełkotał Misza.

– To jeszcze dzieci!

– Dzieci nie dzieci, mnie wszystko jedno. Jak ty nie chcesz, to ja pójdę z Saszą i nie będę pytać, czy chce czy nie chce.

Wstali z krzeseł i chcieli wyjść. Żyd zastąpił im drogę.

– Nie pozwolę!

– A kto nam zabroni, może ty?! – zdenerwował się Wasia.

Pchnął Żyda mocno, aż ten upadł na podłogę. Wyjął nagan z kabury i zaczął nim wymachiwać przed nosem Szymona.

– Nu, ty *jewriej*, jak będziesz się nam sprzeciwiać, to *ubjom jak sabaku*. Pamiętaj, tak długo będziesz bezpieczny, jak długo będziesz nam potrzebny. Uważaj, żeby któryś z tych szpiegów, których wydałeś, nie wrócił i nie odrąbał ci łba –

powiedział Misza w swojej pijackiej szczerości.

Wyszli ze sklepu chwiejnym krokiem i poszli przez wieś. Mroźne powietrze otrzeźwiło ich nieco. Gonia tak się przestraszył, że natychmiast wytrzeźwiał. Nie mógł uwierzyć, że za wierną służbę tak go potraktują. Zaczął się zastanawiać, czy warto było... Czy ta nowa władza, która go urodziła, nie pożre go któregoś dnia. Przed chwilą miał tego dowody. Wystarczyłoby, żeby pociągnął za spust.

NKWD-ziści, Wasia i Misza, mijali właśnie sklep Siemieników. Zatrzymali się. Widzieli wychodzących ludzi.

– Wejdziemy?

– Czemu nie – odrzekł Misza.

Weszli do sklepu, w którym było pełno ludzi. Popatrzyli na półki z towarem, na ludzi. Zauważyli za ladą ładną trzydziestoparoletnią kobietę.

– Niezła – szepnął Wasia do ucha koledze. – Podoba ci się?

– Nu, może być, krasawica – odparł Misza.

– No, jak, bierzemy ją?

– Ale jak, pełno ludzi – wahał się Misza.

– Co tam ludzie, zaraz zobaczysz, jak będą uciekać.

Wyjął z kabury nagan i zaczął strzelać w sufit. Zrobił się popłoch. Przerażeni ludzie rzucili się do ucieczki. Stłoczeni w wąskich drzwiach, nie mogli szybko wyjść ze sklepu. Zrobił się niebywały harmider.

NKWD-ziści, widząc ten tumult i słysząc krzyk ludzi, rechotali ubawieni. Powoli jednak sklep się wyludniał.

Huk strzałów i wrzawa w sklepie obudziły córki Felicji, które jeszcze spały w sypialni nad sklepem. Zeszły schodami na dół, tylko w nocnych koszulkach i kapciach na nogach. Były ciekawe, co się dzieje u mamusi. Otworzyły drzwi i stanęły w progu. Zobaczyły ludzi opuszczających w popłochu sklep. Mama stała za ladą, blada i nie mniej przerażona od ludzi. Zauważyły też dwóch wojskowych, którzy stali na środku sklepu i śmiali się. Jeden trzymał broń w ręku. Zauważyli dziewczęta i zaczęły im się przyglądać.

– Misza, patrz, jakie *krasiwyje* dziewczuszki.

– Nu, prawda, ładne, akurat dla nas – zgodził się Misza i zaczęli iść w ich kierunku.

Widząc to, Felicja podbiegła do córek, wypchnęła je ze sklepu i krzyknęła:

– Uciekajcie stąd szybko do cioci Sabiny. – Nie zdążyła zamknąć drzwi za nimi.

Stała na środku sklepu, żeby bronić córek. Dopadli do niej. Zaczęli ją szarpać. Widocznie byli za mocno pijani, a może było za ciasno w drzwiach. Broniała się z całych sił.

Dziewczynki otworzyły okno i wyskoczyły na zewnątrz, w głęboki śnieg. Kapcie spadły im z nóg. Przerażone popędziły na bosaka, w nocnych koszulkach, przez pola. Co chwila upadały, potykając się o bruzdy zaoranego pola. Padały buziami w śnieg,

zrywały się i biegły dalej. Mroźny wiatr smagał je po prawie nagich ciałach. Drętwiały im nogi i ubywało sił. Do domu wujostwa było już niedaleko. Ostatnim wysiłkiem udało im się dobiec do domu. Zakołatały do drzwi.

Pijani NKWD-ziści, widząc, że dziewczynki im uciekły, z wielką furią zaatakowali Felicję. Wyciągnęli ją na środek sklepu, przewrócili i zaczęli ściągać z niej ubranie. Broniła się, jak mogła, ale nie dała rady dwóm roslým drabom. Zaczęła krzyczeć. Jeden z nich zatkał jej usta dłonią i przycisnął do podłogi. Ugryzła go w rękę. Uderzył ją pięścią w głowę. Straciła przytomność. Nieprzytomną gwałcili na zmianę. Kiedy skończyli, wywlekli ją na drogę i rzucili w śnieg. Oprzytomniała, poderwała się i chciała uciec. Zrobiła parę kroków. Wtedy padły strzały. Zatrzymała się, ciało wyprostowało się i powoli osunęło na ziemię. Po chwili znieruchomiała. Bandyta w mundurze podszedł do niej i trącił butem.

– Nie żyje. Durna Laszka, myślała, że ucieknie.

Poszli, chwając się i zapinając rozporoki. Śnieg wokół Felicji zabarwił się na czerwono...

Czesiek przerwał na chwilę opowieść, słowa nie chciały mu przejść przez gardło. Zaległa cisza i tylko kropla żalu potoczyła się po policzkach. Kiedy nieco ochłonęli, Ludwika zapytała:

– A co z dziewczętami?

– Byliśmy w domu – opowiadała Sabina. – Czesiek wybierał się do pracy. Usłyszałam, jakby ktoś dobijał się do drzwi. „Kto to może być?” – zdziwił się Czesiek. „Nie mam pojęcia, ale zobaczę”. Otworzyłam drzwi. „Jezus Maria!” – krzyknęłam przerażona. Przed drzwiami stały, prawie nagie i bose, Janina i Gienia [2] córki mojej siostry Felicji. Krzyk mój usłyszał Czesiek. Przerwał śniadanie i przybiegł do mnie. Kiedy je zobaczył, zbaraniał. Wziął jedną, a potem drugą i zaniósł je do sypialni. Nacieraliśmy dziewczętom nogi śniegiem tak długo, aż zaczęły robić się różowe. Położyłam je do łóżka i okryłam pierzyną. Dałam im gorącej herbaty lipowej i czekałam.

– I co, nic im nie było? – dopytywała Ludwika.

– Pochorowały się trochę, ale szybko wróciły do zdrowia.

– Jak wy przyjechaliście tutaj, to z kim one zostały?

– Dziadek Bohdanowicz zabrał je do siebie na czas, aż wrócimy do Nowojelni.

Kiedy tak rozmawiali, do pokoju weszła Halinka. Podeszła nieśmiało do wujka.

– Nie przywitasz się ze mną? – podniosła ręce do góry. Chciała objąć go za szyję, ale nie mgła dosięgnąć. Schylił się, wziął ją na ręce i podniósł do góry, a potem przytulił i ucałował.

– Gdzie reszta dzieciaków?

– Ubierają choinkę – odpowiedziała, zerkając do kieszeni wujka. Wiedziała, że kiedy przyjeżdżał, miał zawsze w kieszeni cukierki.

Zauważył to i uśmiechnął się. Wziął jakieś pudełko, które ze sobą przyniósł.

– Chodźmy zobaczyć tę waszą choinkę. – Chwycił ją za rękę i poszli do pokoju, gdzie stało już prawie ubrane drzewko. Obejrzał ja naokoło.

– Ładna, kto ją ubierał?

– My – zgodnym chórem odpowiedziały dzieci i obstały wujka.

– Wujku, czy możesz nam zawiesić gwiazdę betlejemską na czubku? My nie możemy sięgnąć – poprosił Stefan.

– Mogę – zgodził się Czesiek śmiejąc się i czując, że to jakiś podstęp. Mogli zrobić to sami, przecież choinka nie była taka wysoka.

Obserwował ich dyskretnie. Wziął gwiazdę do ręki i próbował zawiesić. Wypadła mu i schylił się po nią, jednocześnie ukradkiem obserwując dzieci, jak chciały zaglądnąć do paczki. Specjalnie zawiązał ją sznurkiem na mocny supeł. Śmiał się w duchu i czekał, co zrobią. Oni oglądali paczkę ze wszystkich stron.

– No, gotowe, powiesiłem. Jak wam się podoba?

– Ładnie, tylko wisi krzywo – zauważył Polko.

Wujek poprawił gwiazdę.

– A teraz?

– Może być, chyba będzie dobrze – odpowiedzieli bez entuzjazmu.

Bardziej ich interesowała paczka, a raczej jej zawartość, niż gwiazda na choince. Widział ich ciekawość i zniecierpliwienie. Bawiło go to. Ale dłużej już nie mógł nadużywać ich cierpliwości.

– Chcecie zobaczyć, co wam przywiozłem?

Zaświeciły im się oczy i podeszli bliżej. Wziął pudełko do ręki, przeciął sznurek i otworzył. Pootwierali buzie, widząc czekoladki w kolorowych złotkach. Wyjmował z pudełka i podawał każdemu słodycze z Wedla, które kupił w sklepie Felicji, jeszcze za jej życia. Teraz przypominał ją sobie. Posmutniał.

– Wujku, czemu ty płaczesz? – zapytała Halina.

– Ja płaczę? Nieprawda, to tylko oczy mi się pocą.

– Wujku, chodź, zawiesimy te kolorowe cukierki na choince, dobrze? – zagadnęła Halinka.

– Dobrze – odparł, ocierając łzę.

Wziął ją i dał jej parę podłużnych cukierków w zielonych złotkach.

– Zaczniemy od góry.

– Tak, wujku. Zobacz, powiesiłam, ładnie?

– Bardzo.

Istotnie choinka wypiękniała po zawieszeniu cukierków. Największą frajdę będą mieli, jak będą ją rozbierać po Trzech Króli. Wujek umocował na choince metalowe świeczniki, a Tadek z Polkiem wkładali w nie małe, kolorowe świece. Nieraz bywało, że od nich zapalała się choinka, a nieugaszona w porę... płonął cały dom i dobytek.

– No, Cześku, dzieciaki, chodźcie na obiad, ty, Janko pomóż mi podawać do

stołu. Pospieszcie się, bo wystygnie!

Zasiedli do stołu. Janka przyniosła z kuchni żeliwny garnek z parującymi ziemniakami, okraszonymi skwarkami z boczku. Za nią weszła Ludwika, niosąc brytfannę z upieczoną na brązowo pulardą. Zapach rozszedł się po jadalni.

– No, no, co za smakołyki! – zachwyciła się Sabina, nakładając na talerz mięsiwo i ziemniaki.

– Jutro Wigilia, będzie post, dlatego dzisiaj trzeba lepiej zjeść – odrzekła Ludwika.

Ludwika nałożyła porcje mięsa i ziemniaków na talerze i polewała tłuszczem z brytfanny. Przypieczona skórka przyjemnie chrupała w ustach, a smak... lepiej nie mówić. Po prostu niebo w gębie.

Gdy zjedli obiad, na deser podano leguminę ze śmietaną. Po obiedzie gospodyni poszła z chłopcami do obrządku, a wujenka z wujkiem zostali z dziećmi przy choince. Pracy w gospodarstwie było dużo. Trzeba było nakarmić zwierzęta, krowy wydoić. Usiedli przy ciepłym piecu i wtedy dopiero przyszedł czas na rozmowy.

– Co u was w Nowojelni, jak zdrowie mamy? O ile pamiętam, ciągle chorowała na serce.

– I teraz choruje. Nie wiadomo, kiedy jest chora, a kiedy...

– Przestań, mało masz swoich zmartwień? – ofuknął Sabinę Czesiek.

– Co u was? Jak sobie radzicie? – dopytywała Ludwika.

– Ech, szkoda gadać! – Machnął ręką. – Na jesieni nowa władza zabrała nam cegielnię. Zostaliśmy bez niczego. Nie wiem, jak damy sobie radę. Co prawda, mamy kawałek ziemi, ale nie wiadomo, czy i tego nam nie zabiorą. Chodzą słuchy, że mają zakładać kołchozy. Do tej pory doiłaś swoje krowy dla siebie, a w kołchozie czy sowchozie będziesz doić też swoje krowy, które już nie będą twoje. Za to wszystko, co ci zabiorą, dadzą ci dwa, trzy litry mleka jako deputat i zrobią z ciebie żebraka. Twoje mleko będzie sprzedawać państwo i za te pieniądze będą opłacać NKWD, które będzie prześladować cię na każdym kroku.

– Cześku, dajmy spokój temu. Nic nie wskórasz, dmuchając pod wiatr. Lepiej powiedz, jak się wam chowa synek?

– Skończył cztery lata w listopadzie – ożywiła się Sabina. – Żebyś ty wiedziała, jaki to łobuziak! Któregoś dnia wsadził głowę między sztachety w płocie. Darł się jak nieboskie stworzenie! Dobrze, że Czesiek był w domu. Musiał wyłamać sztachetę.

– Takiego malca trudno jest upilnować. Z kim on został w domu?

– Z Hanką. Choć to młoda dziewczyna, da sobie radę z nicponiem.

– Późno już, chodźmy spać. Jutro Wigilia, a ja mam jeszcze trochę roboty.

Następnego dnia Ludwika wstała wcześnie. Musiała obrządzić „chudobę” i przygotować wieczerzę. Chciała dołożyć więcej starań, ale nie za bardzo było z czego. W sklepach nie było żadnych przypraw do pieczenia ciast czy gotowania potraw. Wśród Polaków nastroje nie były najlepsze. Szykany, prześladowania...

Ludwika i Czesiek mieli już багаż doświadczeń. Według staropolskiego zwyczaju w Wigilię łamano się opłatkiem. Opłatków nie było. Kościoły były pozamykane, księży aresztowano. Gospodarza domu też nie było i wszelki słuch po nim zaginął. W tej sytuacji nie miał kto czynić honorów domu przy wigilijnym stole.

Zasiedli do kolacji, gospodarzem został brat Ludwiki, Czesław. Według tradycji czynność ta była przywilejem seniora rodu, niezależnie od miejsca uroczystości.

– Zaczynaj, Cześku – poprosiła Ludwika.

Był zaskoczony. Nie sądził, że na niego spadnie, bądź co bądź, ten miły obowiązek.

Wstał, wziął chleb do ręki, zrobił na nim znak krzyża. Wszyscy wstali z miejsc. Na twarzach widać było wzruszenie. Jemu też udzielił się podniosły nastrój. Pod wpływem emocji zadrżał mu głos.

– Nie wiem, co mam powiedzieć i czego wam i sobie życzyć w czasach bezprawia. Życzę wam, aby Bóg dał nam dużo siły i odwagi, żebyśmy mogli to przetrwać. Trudno wysilać się na patetyczne słowa, kiedy życie pisze scenariusze. Życzę ci, Ludko, i dzieciom, nadziei, że może jutro będzie lepsze. Pamiętajmy o miłości. Jeżeli jest w nas, przetrwamy wszystko. Dzielmy się nią, bo nawet gdyby nam wszystko zabrali, to i tak będziemy bogaci, miłości nie można odebrać, ona jest w sercu. Nawet gdy serce przestanie bić. Spróbujmy też przebaczyć wrogom, choć to najtrudniejsze.

Po tych słowach podniósł, połamał i podał najpierw Ludwice, potem swojej żonie Sabinie, a na końcu najmłodszym, Halinie i Stefanowi.

Usiedli do wieczerzy. Jak na okoliczności, w jakich przyszło im żyć, kolacja była prawie normalna. Na stole stała waza z czerwonym barszczem, na półmisku uszka z grzybami. Obok smażona ryba i ryba w galarecie. Po lewej stronie od wazy uwagę przyciągał bigos z kapusty. Na drugim półmisku były pierogi ziemniaczane i z kapustą. Na deser Janka przyniosła ciasto drożdżowe z rodzynekami i pękaty dzbanek z kompotem z suszonych jabłek, śliwek i gruszek.

Po kolacji wszyscy przeszli do pokoju gościnnego i przy choince śpiewali kolędy do północy.

Pierwszy dzień Bożego Narodzenia 1939 roku wstał pogodny, mroźny. Na szybach mróz namalował obrazy, przez które blade słońce z trudem wchodziło do domu.

Pod wieczór Czesiek z Sabiną zaczęli napomykać coś o powrocie. Wieczorem stanowczo zapowiedzieli, że nazajutrz wyjeżdżają, bo droga ich czeka długa i niepewna.

Na drugi dzień pożegnali się z rodziną. Wsiedli do sanek i odjechali. Wtedy jeszcze nie wiedzieli, że rozstają się na długie piętnaście lat.

Rozdział VI

Tuż przed Bożym Narodzeniem z rejonu do gminy Byeń z ramienia NKWD przybył komisarz do spraw młodzieży. Widać było, że władze rejonu w Słonimie przywiązują wielką wagę do kontaktu z młodzieżą. Dlatego przyszli na spotkanie oficera wyższej rangi. Władze gminy włożyły wiele wysiłku, żeby to spotkanie było udane, co miało świadczyć o ich zaangażowaniu w tworzeniu podwalin nowej władzy w miejscowościach, w których większość stanowili Polacy. Na zebranie wysłano zaproszenia wyłącznie dla młodzieży białoruskiej. Wspominano w nich o powinności patriotycznej i konieczności służenia narodowi, który dopiero teraz tworzy prawdziwą demokrację ludową i wszyscy powinni ją wspierać. Ci, którzy będą obojętni, zostaną wyrzuceni poza nawias społeczeństwa i potraktowani jak wrogowie socjalistycznego państwa. Dzięki tak skonstruowanemu zaproszeniu frekwencja była duża. Niektórzy przyszli, licząc na przychyłność władz, inni bali się nie przyjść. Zgromadzili się na dużej sali z podium w rodzaju sceny, gdzie odbywały się wszelkie imprezy kulturalno-rocznicowe i zwykłe zabawy z muzyką i tańcami.

Było gwaro. Uczestnicy zebrania siedzieli na ławach i rozmawiali ze sobą. Naraz drzwi się otworzyły i na scenę weszły władze gminy w osobach przewodniczącego rady gminy, sekretarza oraz dwóch oficerów NKWD w mundurach. Pierwszy z nich był w randze kapitana, a drugi był lejtnantem znanym miejscowej ludności z trudnego charakteru. Na końcu weszła protokolantka mająca rejestrować zebranie.

Przybyli zasiedli za stołem przykrytym czerwonym płótnem. Przewodniczący gminy wstał i podszedł do mównicy.

– Towarzysze, droga młodzieży!

Gwar nieco przycichł. Z tyłu sali słyhać było wyraźny pogłos rozmowy.

– Towarzysze, towarzysze! – niecierpliwił się mówca, podnosząc głos.

Kapitan NKWD uniósł nieco brew nad lewym okiem, co miało oznaczać jego niezadowolenie. Równocześnie zaczęła mu ze zdenerwowania podrygiwać noga.

– Towarzysze! Towarzysze! – krzyczał przewodniczący. – Jeżeli komuś nie odpowiada nasze towarzystwo, to nich wyjdzie i nie przeszkadza w zebraniu – mówiąc to, uderzał pięścią w pulpit mównicy.

Uciszyło się zupełnie.

– Drodzy przyjaciele – przewodniczący gminy rozpoczął wreszcie swoje przemówienie – zebraliśmy się tutaj, żeby omówić niektóre drażliwe zagadnienia związane z przemianami historycznymi.

Zamilkł na chwilę i zamyślił się. Przesuwały mu się obrazy jak z filmowego kadru, klatka po klatce. Zobaczył ludzi żyjących tu przed wojną, różnych

narodowości, którzy sobie wzajemnie pomagali, żyli, jak nakazywały im obyczaje, i nikomu to nie przeszkadzało. Owszem, bieda była, jak wszędzie.

Ale teraz weszli tu Rosjanie, zaprowadzili swoje porządki. Zasiali w ludziach niepokój, strach i nienawiść. Dopuszczali się gwałtów, zbrodni, wmawiając ludziom, że to dla ich dobra. On, przypadkowy przewodniczący gminy, tego nie rozumiał. Był prostym człowiekiem, tu się urodził i tu znał wszystkich. Agitowali go, więc wstąpił do partii. I nagle ta nowa władza wyniosła go na przewodniczącego, choć o to nie zabiegał. Nie wiedział nawet, dlaczego. Było mu z tym niewygodnie, ale ta nowa władza z czasem go uwiodła i przyjemnie łaskotała jego ego. Jednak im dłużej był na stanowisku, tym bardziej rozumiał, że jest tylko pionkiem. I tego zaczął się bać. Czuł się, jakby był wsadzony na narowistego konia, a bat i wodze trzymał kto inny. Tym kimś była partia niemająca osobowości ani odpowiedzialności. On, przewodniczący, rzekoma władza gminy, siedział za biurkiem i firmował swoim podpisem wszystkie niegodziwości NKWD.

Funkcjonariusze spoglądali na niego z niepokojem. Widząc ich zniecierpliwienie, pogubił się zupełnie.

– Drodzy młodzi przyjaciele – przemówił ponownie – jesteśmy z wami po to, żeby wam wyjaśnić... – I znowu nie za bardzo wiedział, co powiedzieć dalej.

Zrobiło mu się gorąco. NKWD-zista nie wytrzymał i podszedł do mównicy.

– Pozwólcie, towarzyszu przewodniczący, że ja wyjaśnię to zagadnienie – powiedział z przekąsem – i proszę zająć miejsce przy stole.

Przewodniczący gminy odszedł, wycierając pot z czoła rękawem, i usiadł na wskazanym miejscu. NKWD-zista patrzył na zebranych i chciał jakoś zatrzeć wrażenie niefortunnego wystąpienia przedmówcy.

Był niewysokiego wzrostu. Budowę ciała miał krzepką, szeroki w barach. Widać było, że drzemie w nim ogromna siła. Twarz miał kanciastą, o surowych rysach, jakby twórca rzeźbił go nieporadną ręką. Oczy miał brązowe, nieduże, niespokojne. W każdym, z kim go los zetknął, doszukiwał się złych intencji lub wręcz zdrady. Usta miał wąskie, zaciśnięte. Widać było z nich nieustępliwy charakter i upór. Spod czapki wymykały się rude włosy. Pochodził zapewne z północy kraju, gdzie natura była tak samo surowa i szorstka jak on.

– Towarzysze – powtórzył. – Nasz kraj, wielki Związek Radziecki, przysłał nas tu po to, żeby bronić was przed zakusami imperialistów. Ponieśliśmy wielkie straty, ale pokonaliśmy odwiecznych wrogów, którzy byli i są solą w oku naszego wodza, Józefa Stalina.

Przerwał na chwilę i spojrzał po zebranych.

– Jesteśmy tutaj i zostaniemy tutaj – wznowił przemówienie – po to, aby bronić was przed bandyckimi bojówkami, jakie tutaj jeszcze zostały. Towarzysze, wiemy, że wielu z nich ukrywa się wśród Polaków. Wytropimy ich i wtedy surowa ręka władzy radzieckiej wymierzy im sprawiedliwość. Towarzysze, wielu z nich, którzy tu

mieszkają, wyrządzili wielką szkodę narodowi białoruskiemu, a tym samym narodowi radzieckiemu. Przyszedł czas, żeby wyrównać rachunki.

Przerwał i powiódł wzrokiem po zebranych. Chciał wiedzieć, jakie zrobił wrażenie na słuchaczach. Ale sala milczała. Tylko w ostatnich ławkach słychać było przyciszone rozmowy. Widocznie uznał, że nie do końca ich przekonał, więc wznowił przemówienie.

– Towarzysze, drodzy młodzi przyjaciele, wierzymy, że wy pomożecie nam wprowadzić ład w tym kraju, tak ciężko doświadczonym i wyzyskiwanym przez burżujów polskich. Wycisnęli z was krwawy pot, bogacąc się waszą pracą. Nadszedł nareszcie czas, żeby odebrać im to, co wam się należy. Niech i oni poczną, jaki smak ma bieda i jak bolą plecy smagane batem. Obiecuję wam, że wymieciemy ich miotłą dzisiejszej sprawiedliwości daleko stąd, skąd już nie ma powrotu. Trzeba wypalić zło ogniem, bo to jedyny sposób na pozbycie się gangreny toczącej ten kraj.

Od tych słów na sali powiało grozą, bo było to przemówienie człowieka chorego z nienawiści, a którego leczenie z góry było skazane na niepowodzenie. Kapitan był widocznie zadowolony ze swego wystąpienia, bo chrząknął, a jego wykrzywiona ze złości twarz zaczęła wracać do normalnego wyglądu. Patrzył na niemą salę i czegoś nie rozumiał. Jakże to, tyle „dobrego” im powiedział, a oni milczą?

Spojrzał w kierunku stołu prezydyjnego, na lejtnanta, sekretarza partii, jakby szukał u nich wsparcia, i zaczął rozumieć przewodniczącego gminy, któremu brakło słów, a słuchacze patrzyli na niego, jakby nic nie rozumieli. Kapitan już nie czuł się tak pewnie jak na początku. Chcąc wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji, zwrócił się do zebranych:

– Przyjaciele, przyjechałem do was, żeby zaproponować utworzenie w waszej gminie Koła Związku Komsomołu, ale to lepiej wam zreferuje znany wam dobrze lejtnant Szurkin.

Odszedł od mównicy i usiadł za stołem prezydyjalnym obok sekretarza i przewodniczącego, który spoglądał na niego ukradkiem. Widać było, że nie czuł się przy nim dobrze. Lejtnant wstał i podszedł do mównicy.

Był słusznego wzrostu, lat około czterdziestu. Zdjął czapkę, spod której wysypały się gęste, kędzierzawe włosy. Twarz miał szczupłą i niebieskie, duże oczy, tak rzadko spotykane u brunetów. Jego rysy twarzy były europejskie. Prawdopodobnie pochodził z Moskwy lub okolic, bo urodą przypominał moskwianina, a moskwianie w Europie uchodzili za ludzi przystojnych. Szczególnie kobiety, których krasa była wysoko ceniona i znana.

– Moi drodzy – zagaił. – Być może towarzysz kapitan przerysował nieco stosunki, jakie panują między mieszkającymi tutaj ludźmi, ale wiercie mi, miał jak najlepsze intencje, a na myśli tylko wasze dobro. – Spojrzał porozumiewawczo na kapitana i mówił dalej: – Drodzy przyjaciele! Jak już wspominał mój przedmówca, proponujemy wam uczestnictwo w życiu społecznym i politycznym naszej gminy.

Chcielibyśmy założyć u nas Związek Komsomołu, który byłby ramieniem naszej partii. W przyszłości – ciągnął dalej – najlepsi synowie tego związku zasilą szeregi Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Będzie to największa nagroda, jaką może wam dać socjalistyczna ojczyzna – zakończył patetycznie lejtnant. – A teraz proszę pierwszego sekretarza partii naszej gminy, żeby przedstawił wam propozycję co do formy i treści naszego przedsięwzięcia.

Po tych słowach odszedł do stołu prezydialnego, a jego miejsce zajął wspomniany pierwszy sekretarz.

– Towarzysze – zaczął swoje wystąpienie – chciałem się od was dowiedzieć, jakich wy macie kandydatów na członków kierownictwa Związku. Taki Komsomoł to ważna rzecz. Nie można postawić na stanowisko pierwszych lepszych, to muszą być aktywiści oddani całym sercem naszej partii. – Przerwał na chwilę i zapytał: – Macie, towarzysze, wśród was takich?

Patrzył na zebranych z niepokojem, trochę obawiał się, że ktoś może wysunąć jakiegoś kandydata. Ale z sali nie padła żadna propozycja. Odetchnął z ulgą.

– Rozumiem was, bo to naprawdę trudne. Ale skoro nie macie kogo zgłosić, to może my zaproponujemy wam waszych kandydatów. Bo kto, jak nie my, wiemy, kto jest najlepszym kandydatem do Związku. Dlatego, jeśli pozwolicie, ośmielę się podać wam kilka nazwisk, które będą godne reprezentować nas w gminie.

Wyjął z teczki zeszyt, otworzył go i czytał:

– Natasza Łapkina, Irina Czerepachowa, Galina Karolenko, Wołodia Matuszewicz, Stanisław Nowak. – Przerwał na chwilę, bo chciał zobaczyć, jakie wrażenie wywoła to ostatnie nazwisko.

Na sali zapanowała konsternacja i słychać było pomruk niezadowolenia. Cała okolica o niczym innym nie mówiła, tylko o nim. Trudno było uwierzyć, żeby syn doniósł na własnego ojca do KGB. Młody siedemnastolatek wdał się w flirt z nową władzą. Widział w niej szansę dla siebie. Wiódł dotąd spokojne wiejskie życie, gdzie nic się nie działo. Wiało po prostu nudą, a on chciał coś zrobić, czymś się wykazać, i oto nadarzyła się okazja. Przyszła nowa władza, która niszczyła stare porządki, a wprowadzała z rozmachem nowe, nie licząc się z niczym i z nikim. Nowa władza zauważyła również młodego zbuntowanego nastolatka i postanowiła wykorzystać go do swoich celów. Otoczyli go opieką, roztaczając przed nim wizję wspaniałej kariery pod warunkiem, że będzie im posłuszny. W krótkim czasie wysłali go na obóz pionierski pod Moskwą, gdzie przeszedł prawdziwe pranie mózgu. Nauczyli go nowej, komunistycznej moralności, gdzie eliminowanie przeciwników politycznych było cnotą, a naganą – pobłażliwość wobec wrogów.

– Od dziś – mówili – waszą matką jest Partia, a ojcem towarzysz Stalin, który stoi na jej czele. Jest to człowiek bohaterski i odważny, a zarazem dobry, który wszystkie swoje siły poświęcił socjalistycznej ojczyźnie. Dlatego każdy z was musi zrobić wszystko, żeby Partii naszej bronić, a imię Stalina należy wymawiać

z najwyższym szacunkiem i bronić go za cenę waszego życia.

Józef Stalin od 1922 roku był generalnym sekretarzem KPZR, a po śmierci Lenina faktycznym przywódcą partii. Niektórzy posądzili go nawet, że przyczynił się do jego zgonu. Po śmierci Lenina rozgorzała walka na szczytach władzy KC KPZR. Największą szansę na przejęcie władzy miał Trocki, w którym sam Lenin upatrywał swego następcy. Walkę tę jednak wygrał Stalin, eliminując bezpardonowo swoich przeciwników za pomocą CK, na którego czele stał Dzierżyński i Beria. Był to najbardziej krwiożerczy aparat, jak na ironię nazwany aparatem bezpieczeństwa. We wszystkich organach władzy miał swoich zaufanych agentów NKWD, którzy w zarodku likwidowali opór, rzeczywisty czy urojony.

W latach trzydziestych powszechny był kult Stalina, na którego cześć układano bałwochwalcze poematy lub śpiewano awangardowe piosenki, na przykład:

Stalin wszystkich bojów naszą chwałą,
Stalin to młodości naszej blask,
I z pieśniami walcząc, zwyciężając,
Za Stalinem idzie naród nasz.

Już za jego życia stawiano mu spiżowe pomniki. Miasta prześcigały się w ich budowie. Jedni liczyli na jakieś względy, inni, żeby ich nie posądzono o brak szacunku dla Wodza.

Kiedy dyktator osiągnął już pełnię władzy, raz po raz nawiedzał go strach, który z czasem przerodził się w obsesję, że ktoś na każdym kroku czyha na jego życie. Zamykał się w swoim gabinecie na Kremlu lub w podmoskiewskiej wili zamienionej na twierdzę. Komunikował się z podwładnymi przez telefon, wydając polecenia lub rozkazy.

Miał wielu sobowtórów, którzy zastępowali go w obchodach świąt państwowych lub rocznicowych, a nawet na plenum KC KPZR. Posiłki spożywał w swoim gabinecie. Kelner musiał najpierw spróbować potraw. Odczekał jakiś czas i dopiero potem zabierał się do jedzenia.

Chęć utrzymania władzy i strach przed jej utratą nakręciły spiralę nienawiści, za pomocą której w latach 1932-1933 przeprowadził wielką czystkę, usuwając lub każąc wymordować większość elit partyjnych i wojskowych. Jak podają źródła, za rządów Stalina trzydzieści milionów Rosjan i obywateli innych narodowości straciło życie. Kiedyś Stalin powiedział, że śmierć jednego człowieka to tragedia, ale śmierć milionów to tylko statystyka.

Stanisław Nowak wrócił z obozu pionierskiego i rzucił się w wir pracy agitacyjnej w miejscowym kolektywie komitetu partyjnego i kierownictwa NKWD. W domu bywał rzadko, ale kiedy przyjeżdżał, był głodny jak wilk i jadł wtedy za dwóch. Po obiedzie kładł się zaraz na ławie pod piecem i nabierał sił do pracy w strukturach propagandowych nowej władzy. Kiedy odpoczął, próbował umoralniać

rodzeństwo i rodziców na temat miejsca i roli człowieka w gospodarce socjalistycznego państwa. Coraz częściej dochodziło między nimi do kłótni. Wtedy wychodził i nie wracał przez kilka dni.

Ojciec, Adam, czterdziestoczteroletni mężczyzna i jego żona Anna mieli trzyhektarowe gospodarstwo, które nie było w stanie utrzymać całej sześciuosobowej rodziny. Dlatego mąż musiał dorabiać gdzie się dało, żeby związać koniec z końcem. Anna, szczupła brunetka, uśmiechała się rzadko, bo życie nie dawało jej powodów do radości. Niedostatek, ciężka praca, a teraz kłopoty z synem oplotły siatką zmarszczek wokół wypłowiałych oczu. Jednak ta zmęczona twarz zachowała jeszcze ślady nieprzeciętnej niegdyś urody. Jej mąż do tej pory jakoś dawał sobie radę, ale teraz widział, że bieda zaczyna zaglądać im w oczy. Troska przygarbiła mu plecy, poszarzał na twarzy. Widział nieme spojrzenie żony i nie mógł nic zrobić. Choć upłynęło wiele lat, wciąż ją bardzo kochał. Może inną miłością niż kiedyś, ale teraz bardziej stateczną, dojrzałą. Serce krajało mu się na samą myśl, że może cierpieć z jego powodu. Stał się nerwowy, drażliwy.

Była pora obiadowa. Adam siedział zamyślony na ławie przy piecu. Z kuchni do izby weszła Anna, niosąc parujący garnek gotowanych ziemniaków w mundurkach. Spojrzała na męża.

– Adasiu, zawołaj dzieci i sam przychodź na obiad – powiedziała cicho, stawiając żeliwny garnek na stole.

Wyszedł i po chwili cała czwórka zasiadła do obiadu. Brali gorące ziemniaki do rąk. Parzyły w palce, przerzucali z jednej ręki do drugiej, a gdy ostygły, obierali je i jedli, posypując solą.

– Ojej, zupełnie zapomniałam – powiedziała kobieta i wybiegła do kuchni.

Po chwili wróciła, niosąc na talerzyku kilka solonych śledzi.

– Mamo, skąd to masz? – spytali chłopcy.

– Od sklepikarza. Spotkałam go wczoraj, i jego żonę: poprosiła, żebym do nich przyszła, więc dzisiaj poszłam do sklepu. Kiedy mnie zobaczył, powiedział: „Pani Nowak, niech się pani nie obrazi, ja wiem, że u was...”. Chciałam wyjść, ale on mnie zatrzymał i powiedział: „Pani Nowak, ja mam dla pani męża trochę roboty. Jeżeli pani mąż ma trochę czasu, niech jutro do mnie przyjdzie. Wie pani, mnie już ciężko w sklepie, przydałaby mi się pomoc, a pan Adam to uczciwy człowiek, więc...”. Kiedy to mówił, po schodach zeszła jego żona Salomea. „O, jak to dobrze, że pani przyszła! Chyba sam Pan Bóg mi pani a przysłał!”, mówiąc to, podeszła do mnie i rzekła: „Pani zobaczy, jak mi reumatyzm powykręcał palec, czy ja mogę takimi rękami coś robić?. Miała przykurcz trzech palców prawej dłoni. „Pomoże mi pani?” Zgodziłam się, bo to była dobra propozycja. A ty, Adam, pójdziesz do pana Weysmana?

Mężczyzna ożywił się i poweselał, spojrzał na nią i nie powiedział nic, tylko kiwnął głową.

Był niepisany zwyczaj, że do posiłków zasiadała cała rodzina. To umacniało więź rodzinną, wspólnie rozwiązywano problemy. Najstarszy syn, Stanisław, tego dnia przyszedł do domu już po obiedzie. Trzej jego bracia wyszli do swoich zajęć, ojciec Adam rozmawiał z żoną o propozycji Weysmana. Ledwo wszedł i już zawołał do matki od progu... po rosyjsku.

– Jestem bardzo głodny, dajcie mi obywatelko coś zjeść.

Rodzice popatrzyli na niego z niedowierzaniem.

– Synku, co tobie? – zapytała matka z troską w głosie.

– Jak ty się zwracasz do matki! – obruszył się ojciec, podchodząc do syna. – A może i ja nie jestem dla ciebie ojciec, tylko towarzysz?!

– Moją matką jest partia, a ojcem towarzysz Stalin – odrzekł wyzywająco.

– Stasiu, bój się Boga, co ty wygadujesz? – Załamywała ręce matka. Chciała jeszcze coś dodać, ale brakło jej słów.

– Dostanę wreszcie coś do jedzenia czy nie?!

– Nie! Jeśli twoją matką jest partia, a ojcem Stalin, to idź do nich, niech cię nakarmią, dość ludziom pozabierali – ojciec odparł ze złością.

– Coś ty powiedział! Pożałujesz tego! – rzekł złowrogo.

– Ty mnie straszysz? – Ojciec zaczął odpinać pas.

Stanisław nie czekał, wiedział, że z ojcem nie ma żartów. W pośpiechu otworzył drzwi i wyszedł.

Wieczorem, kiedy jedli kolację, usłyszeli kołatanie do drzwi. Adam wstał, żeby zobaczyć, co się dzieje, wtedy drzwi się otworzyły gwałtownie i do izby weszło trzech NKWD-zistów.

– Nu, to ty Adam Nowak?

– Ja, a o co chodzi?

– Pójdiesz z nami, to się dowiesz.

Do męża podbiegła Anna i złapała go za rękaw.

– Zostawcie go!

– Puszczaj – powiedział żołdak – bo i ciebie zabierzemy.

Ale Anna nie chciała puścić ramienia męża.

– Puszczaj, bo pożałujesz! – Zamierzył się kolbą karabinu.

Podszedł drugi wojskowy, oderwał ją od męża i pchnął z dużą siłą, aż kobieta upadła na podłogę. Poderwała się jednak szybko i podbiegła do drzwi. Widziała, jak wsadzali Adama do suki. Zauważyła, że obok samochodu stał Stanisław. Po chwili odjechali, a ona została sama przed domem z rozpaczą w sercu.

– Stasiu, coś ty zrobił własnemu ojcu?

Nikt jej nie odpowiedział.

– Bądź przeklęty! – rzuciła za odjeżdżającym samochodem.

Ogarnęła ją wielka żałość i łzy wielkie jak grochy potoczyły się po policzkach. Podeszli do niej synowie, wzięli pod ramiona i weszli do domu.

Stanisław spieszył się, chciał jeszcze zdążyć na zebranie. Przecież mają wybrać go na przewodniczącego Komsomołu. Samochód zatrzymał się przed świetlicą. Wskoczył i wszedł do budynku. Przez uchylone drzwi widział lejtnanta. Coś mówił i gestykułował. Podszedł bliżej i aż zdrętwiał, gdy usłyszał:

– Towarzyszu sekretarzu – ktoś krzyknął z ostatnich ławek – ten Nowak to Polak, to jak on może być w zarządzie Komsomołu?

– On własnego ojca wydał, jak Judasz – dodał drugi.

– A jego też mamy podpalić?

Zaległa cisza. Sekretarz wodził wzrokiem po zebranych, chciał wyłowić śmiałków, którzy ośmielili się zakłócić porządek obrad.

– Spokój, spokój! – wołał sekretarz. – Ja rozumiem, że młodzież jest porywcza, ale ci, co to powiedzieli, muszą być odważni. Niech się nam pokażą.

Nikt nie wstał. Sekretarz zdenerwował się.

– Towarzysze – odpowiedział sam sobie. – My takich nie potrzebujemy w komsomole. Drodzy przyjaciele – kontynuował, ale przerwał mu lejtnant, który podszedł do mównicy.

– Towarzyszu sekretarzu, nie tak ostro, pozwólcie im się wypowiedzieć. My mamy wśród nich swoich ludzi, wszystkich wicherzycieli znajdziemy. No, mówcie dalej.

– Towarzysze, nie każdy Polak jest naszym wrogiem, są i dobrzy Polacy, ot, choćby i taki Dzierżyński, także Polak. Polak, a więcej zrobił dla naszej partii niż ktokolwiek. Nawet towarzysz Lenin cenił go i darzył zaufaniem.

– Towarzysze – zakończył wystąpienie pierwszy sekretarz. – Osoby, które wybraliście do zarządu Komsomołu, proszone są o pozostanie na sali, a pozostali mogą wyjść.

Uczestnicy zebrania zaczęli wstawać i wychodzić przez wąskie drzwi, przy których stali dwaj uzbrojeni żołnierze.

Na zebraniu byli również dwaj przyjaciele: Grzegorz i Włodek, którzy przed wojną ukończyli gimnazjum w Słonimie i wybierali się do liceum w Baranowiczach, ale te plany pokrzyżowała im wojna. Choć byli Białorusinami, sceptycznie odnosili się do nowych porządków. Nie bardzo umieli znaleźć się w nowej rzeczywistości. Wychodząc z zebrania, zauważyli żołnierzy z bronią. Grzegorz popatrzył na nich i nie wytrzymał:

– Po co wy tu stoicie? Żeby nas nikt nie ukradł?

– Postawili nas, to stoim – odrzekł. – A tobie co do tego?

– Ja tu przyszedłem na zebranie Komsomołu, a czuję się jak w więzieniu.

– Nu, tak ty uważaj – z groźbą w głosie odparł żołdak. – Żebyś tam nie trafił, bo wtedy nie tylko ty, ale cała twoja rodzina może tam pójść.

– Grzegorz, chodź. – Włodek ujął przyjaciela pod rękę.

Wiedział, czym taka rozmowa może się skończyć.

Grzegorz chciał jeszcze coś powiedzieć, ale kolega odciągnął go i poszli razem zaśnieżoną drogą. Milczeli, a śnieg skrzypiał pod butami przy każdym kroku. Do domu mieli jakieś osiem kilometrów, więc było sporo czasu na swobodną rozmowę o zebraniu.

- Ty, Włodek, czy ja dobrze słyszałem...
- Co takiego?
- No, to, co mówił lejtnant na zebraniu...
- O czym mówisz?
- Ano że mają Polakom zabierać cały dobytek, a domy ich palić.
- Eeee, to tylko takie gadanie, chcą nastraszyć, żeby się sami stąd wynieśli.
- A gdzie oni stąd pójdą, tu się urodzili i tu żyją.
- Nie wiem – zamyślił się Grześ.

Zachmurzyło się i spadł drobny śnieg. Z dala dochodził do nich miarowy odgłos dzwonka, tak jakby ktoś jechał saniami. Z każdą chwilą słychać go było coraz wyraźniej i po chwili zobaczyli zaprzęg. Szybko zbliżał się do nich.

- Prrrrrr – zawołał woźnica, zatrzymując konia. – Dokąd to Pan Bóg prowadzi?
- Do Gnojnej – odrzekł Grześ.
- No, to siadajcie, podwiozę was, bo i ja w tym kierunku.
- Dziękujemy – odpowiedzieli, sadowiąc się na saniach.

Woźnica cmoknął na konia, potrząsnął lejcami i koń ruszył miarowym stepem. Jadąc, zauważyli, że na saniach siedzi nieznajomy mężczyzna. Choć znali tu wszystkich, bo okolica nie była ludna, to jego nie. Nie wyglądał na człowieka ze wsi. Był inaczej ubrany niż miejscowi. Przyglądał im się z ciekawością. Był młody, o delikatnych rysach twarzy i delikatnych dłoniach, w które chuchał, żeby je rozgrzać.

- Zdaje mi się, że widziałem go na zebraniu – szepnął Grześ do kolegi.

Spojrzeli po sobie, a potem na nieznajomego.

- A może to... nie – Włodek odrzucił pierwszą myśl, ale ona wracała uparcie.

- Do kogo pan jedzie? – zapytał z nagłą Grześ nieznajomego.

Popatrzył na nich nieco zdziwiony, że ktoś może go to zapytać.

- Do, do, do Domanowa – wyjąkał nieco zmieszany.

- Przepraszam, a do kogo pan jedzie, bo my tam wszystkich znamy.

Nieznajomy zaczął się wyraźnie denerwować.

- A czy ja was pytam, gdzie wy jedziecie? Nie jestem ciekawy.

Ta niegrzeczna odpowiedź wzbudziła w nich podejrzenie. Dojeżdżali do Gnojnej. Grześ coś szeptał do ucha kolegi.

- Proszę pana, czy może się pan zatrzymać? – poprosił gospodarza Grześ.

- Prrrrrrrrrr!

Wyskoczyli raźnie z sanek i poszli przez wieś, obserwując odjeżdżających. Zauważyli, że po jakimś czasie nieznajomy też wyskoczył z sań. Byli teraz pewni, że ich śledził. Weszli na pierwsze podwórko i klucząc między opłotkami, dotarli do

swoich domów. Obserwowali zza firanki drogę, po której obcy chodził tam i z powrotem. Widocznie w końcu zrezygnował i poszedł, oglądając się, tam skąd przybył.

Zbliżał się rok 1940. Na powitanie Nowego Roku w poprzednich latach gromadzili się dorośli i młodzież z okolicznych wsi i osad w miejscowym domu kultury, żeby przy muzyce, śpiewie i tańcach powitać Nowy Rok. Zabawy organizowane były przez radnych gminy przy współpracy koła kombatanów wojskowych w Byteniu. Po wkroczeniu wojsk sowieckich nowa władza wprowadziła nowe porządki, tak różne od dotychczasowych zwyczajów, które próbowały łączyć, a nie dzielić ludzi różnych narodowości.

Młodzież wiejska nie miała zbyt wielu okazji do rozrywek kulturalnych czy zabawy. Do ośrodków kulturotwórczych, takich jak kino czy teatr, było daleko, a domów kultury czy świetlic, w których można było coś obejrzeć czy potańczyć, też było jak na lekarstwo. Czasem zdarzały się występy amatorskich zespołów, które z własnej inicjatywy próbowały coś zorganizować. Zresztą ludzie na wsi nie mieli zbyt wiele czasu na rozrywki, ponieważ praca na roli wykonywana była ręcznie. Jediną maszyną pomagającą w pracy był kierat (napędzany siłą pociągową konia), który współpracował z sieczkarnią lub młockarnią. Po wkroczeniu wojsk radzieckich wszystkie ośrodki kulturalno-oświatowe zostały przystosowane do potrzeb nowej władzy. Znalazły się w nich komendy NKWD, organizacji Komsomołu i tworzonej naprędce milicji.

Wieść, że władza organizuje zabawę noworoczną w Byteniu, obiegła lotem błyskawicy okoliczne wsie i osady. Miało to świadczyć o dobrej woli organizatorów, jak i o trosce o życie kulturalne zamieszkałych tu ludzi. Ale nie tylko. Był to w istocie szatański pomysł władz do zwabienia i zaopiekowania się tymi, którzy byli niechętni nowej władzy lub byli dla niej niewygodni, a których trudno było wytropić w rozległym terenie.

Grzegorz i Włodek zastanawiali się, czy powinni tam pójść. Nie czuli się winni. Zresztą... może byli przewrażliwieni, może im się wydawało. Byli młodzi i ciekawi życia. Chcieli się zabawić, może poznać jakieś dziewczyny. Bo jak nie teraz, to kiedy? To przeważyło o ich decyzji wzięcia udziału w zabawie. Starsi jednak zrezygnowali z tych wątpliwych uciech. Młodzież bardziej skłonna do ryzyka, mimo przestróg dorosłych, dość licznie udała się na spotkanie Nowego Roku.

Kiedy grupy młodzieży z Gnojnej, Domanowa, Złotowej dotarły do lokalu na wyrost zwanego domem kultury, było już gwaro. Gdy Grzegorz i Włodek z grupą weszli do środka, na ławach pod ścianą siedziała już młodzież. Ci, którzy nieco się spóźnili, stali przed ławkami lub pod ścianą. Chłopcy próbowali zainteresować sobą dziewczęta. Z początku, kiedy byli jeszcze trzeźwi, udawali dobrze wychowanych młodzieńców. Próbowali oczarować dowcipem i wiedzą. Kiedy wypili za dużo, stawali się bardziej odważni w zalotach, czemu sprzyjał półmrok panujący na sali, bo

lampy naftowe zawieszona na ścianach nie dawały zbyt wiele światła. Orkiestrą był harmonista grający na guzikówce, zresztą całkiem niezłe, a do taktu wybijał domorosły perkusista, wałąc w stary bęben, aż kurz wylatywał z niego szparami.

Zabawa rozkręcała się na dobre, adekwatnie do ilości wypitego samogonu, który nie wiadomo skąd przynoszony, lał się strumieniami. Co raz ktoś z organizatorów donosił stakańczyk orkiestrze. Harmonista z perkusistą stukali się blaszanymi kubkami, wymawiając rytualne „na zdrowie” i opróżniali je jednym haustem. „Krzepka. Mocna” – mówili, chuchając. Grali wtedy z większą ochotą i coraz bardziej skocznie. Po kilku takich kolejkach harmoniście zaczęły mylić się guziki, a harmonia zaczęła rzeźić, jęczeć i łkać. Perkusista tłukł w bęben niezależnie od granej muzyki.

Młodzi bawili się na całego. Nie przeszkadzały im ani zła muzyka, ani zimno na sali. Grzał ich skoczny taniec, wypity alkohol i partnerka trzymana blisko. Gorąca krew dopełniała reszty. Wychodzili wtedy na zewnątrz w ciemność, czasem z ochotą, czasem pod przymusem i wtedy święciła swoje tryumfy zdziczała moralność przywleczona ze wschodu.

Grzegorz i Włodek nie czuli się na zabawie najlepiej. Wypili co prawda trochę, zatańczyli parę razy, ale raziła ich zgrzebna oprawa widowiska i prostackie zachowanie uczestników zabawy.

– Zaraz będzie północ, chcesz zostać czy idziemy do domu? – zapytał Grześ.

– Idziemy, tylko zatańczę z tą czarnulką. Mówiła, że też chce już iść do domu, to może pójdziemy razem.

Zagrali i Włodek poszedł płaśać, a Grześ wypatrywał, z kim mógłby zatańczyć. Wtedy podszedł do niego Aleksander Naliwko.

– Jak się bawisz? – zagał.

– Tak sobie, mogło być lepiej.

– A gdzie Wołodia?

– Tańczy.

– A ty?

– Właśnie się wybieram, zatańczę jeszcze raz i idziemy do domu.

– Tak szybko?

– Tak, nie ma czego tu szukać.

Chciał iść zatańczyć, ale muzyka przestała grać. Po chwili podszedł do nich Grzegorz z dziewczyną, gotowi do wyjścia.

– O, Wołodia, widzę, że się dobrze bawisz – zawołał Aleksander.

– Bawiłem się, a teraz już idę do domu.

– To dobrze, bo i ja wychodzę.

– To chodźmy.

Wyszli na zewnątrz. Przed drzwiami stało kilku krasnoarmiejców, tworząc szpaler. Weszli między nich, wtedy szpaler zacieśnił się, biorąc ich w kleszcze.

– *Paszli* – powiedział jeden z nich – a ty, dziewczuszka, uciekaj.

Zaprowadzili ich do suki stojącej opodal. Wewnątrz było już kilkunastu takich jak oni. Drzwi za nimi zamknęły się i samochód odjechał w nieznanym kierunku.

Rozdział VII

Tadeusza obudziło w nocy wycie psów. Dochodziło ze wszystkich stron osady. Zdziwił się. Choć była noc, na dworze było jakby widniej niż zwykle. Wstał i podszedł do okna. Daleko za rzeką zobaczył wielką łunę. „Co może palić się na łąkach?” – zastanawiał się. Naraz wielki snop iskier ukazał się na horyzoncie. Wzbił się wysoko i szybko z wiatrem poleciał na zachód. Chłopak stał jak urzeczony. W ciemności wyglądało to pięknie i zarazem groźnie. Nagła myśl, jak błyskawica, przeleciała mu przez głowę: „Siano, na łąkach pali się siano, nasze siano!”.

Nie mógł się ruszyć, jakby nogi wrosły mu w podłogę. Po chwili mógł jasno ocenić sytuację. Wiedział, że z łąk nie zdąży zwieźć całego siana, zostało pewnie z pięć stogów.

Nagle zerwał się i pobiegł do sypialni matki.

– Mamo, mamo! – krzyczał, szarpiąc ja za ramię. – Mamo! Nasze siano pali się na łąkach.

– Co? Gdzie? Co ty mówisz?! – Matka zerwała się z łóżka, jak nieprzytomna.

– Siano! Nasze siano! Pali się!

Podeszła do okna, ręce zaczęły jej drżeć ze zdenerwowania.

– O, Boże, Boże! Co my teraz zrobimy?

Szybko jednak oprzytomniała i zaczęła wydawać logiczne polecenia.

– Leć szybko i obudź Jankę i Polka. Ubierzcie się ciepło.

Sama poszła zaprzęgać konie do sań. W krótkim czasie stały już gotowe do drogi. Z domu wychodzili rozespani Janka i Polko.

– No, chodźcie szybciej – ponaglała matka.

– Tadek, przynieś parę wideł z sąsiedku.

Pobiegł szybko i po chwili był już z powrotem. Wrzucił wideł do środka i sam wsiadł do sań. Ruszyli...

Szybko dojechali do zamarznętej rzeki, a potem na szerokie łąki zasypane śniegiem. Ze wszystkich stron migotały latarnie naftowe przyczepione do sań zdążających do pożaru. W krótkim czasie słychać było nawet krzyki ludzi i trzaski bata przymuszające konie do pośpiechu. Droga była nieprzetarta. Konie zapadały się po brzuchy w śnieg i na nic zdały się wysiłki, żeby zmusić je do szybszego biegu. Z uporem ponaglone, dawały susa do przodu, szarpiąc sanie. W każdej chwili mogły się urwać postronki lub orczyki i wtedy zaprzęg utknąłby na dobre. Kiedy sanie Ludwika podjechały bliżej, ukazał im się prawdziwy obraz zniszczenia. Większość stogów stała już w płomieniach. Ludwika próbowała podjechać bliżej, ale było tak gorąco, że nie można było zmusić koni do zrobienia kroku. Parskały i dreptały w miejscu.

– Mamo, zajedźmy z drugiej strony – powiedział Tadek – tam się jeszcze nie pali.

– Masz rację, zejdz z sań i weź konie za pysk, może nie będą się tak bać ognia. Tadek zeskoczył i podszedł do koni.

– Hou, hou – uspokajał je, głaszcząc je po szyi. Konie uspokoiły się nieco. Wziął je za uzdy przy pysku.

– No to chodźmy – powiedział do nich i ruszył, a konie powoli poszły za nim.

Kiedy okrążyli pogorzelnisko, okazało się, że z drugiej strony stoi jeszcze kilka stogów nieobjętych pożarem. Podjechali pod jeden z nich tak blisko, jak było możliwe.

– Trzeba najpierw odśnieżyć drogę do stogów – powiedział Tadek, stojąc po pas w śniegu.

– Możesz mi podać łopatę – powiedział do Polka.

Polko podał mu łopatę do odśnieżania, sam zabrał drugą i zszedł z sań.

Zaczęli odśnieżać. Ryli w śniegu drogę naokoło stogu tak szybko, jak tylko było można. Śnieg był ciężki i wilgotny od żaru palących się stert. Ludka podjechała końmi pod sam stóg, żeby siano zrzucić prosto do sań. Chłopcy weszli na wierzch stogu i widłami zrzucali siano. Praca była ciężka, bo trzeba było się śpieszyć, a siano było ubite, gdyż stało kilka miesięcy w stogu. Powoli jednak na saniach przybywało siana. Po godzinie pracy byli gotowi do drogi. Śpieszyli się, bo chcieli jeszcze tej nocy przyjechać drugi raz. Chłopcy zeskoczyli ze stogu na siano do sań.

– Tadek, weź lejce i w drogę.

Chłopiec usadowił się z przodu sań. Wziął lejce. Był dumny, że matka obdarza go takim zaufaniem. Polko przyglądał się bratu i trochę mu zazdrościł. Sam chciał być na jego miejscu.

– Wio, wio! – zawołał Tadzik.

Konie ruszyły powoli z wysiłkiem. Wjechali na ślady, którymi tutaj przyjechali. Mijali właśnie stóg, przy którym stały sanie. Trzech mężczyzn próbowało jak najszybciej załadować siano i odjechać. Byli niebezpiecznie blisko palących stogów.

– Mamo, ten stóg zaczyna się palić – zawołał Polko z trwogą w głosie.

– Nie, to chyba paruje woda z roztopionego śniegu na stogu – powiedziała matka do syna – albo zalatuje tu dym niesiony wiatrem z palących się stogów.

Ale żeby ich ostrzec, na wszelki wypadek zawołała do mężczyzn:

– Uciekajcie, bo wasz stóg zaraz się zapali.

Popatrzyli na nich, na stóg i dalej uwijali się jak w ukropie.

– Mamo, kto to jest? – zainteresowała się Janka.

– To chyba Falana z synem, a ten, co im pomaga, to... Kwieciński, mąż nauczycielki.

Jechali do domu w bezpiecznej odległości od palącego się siana. Nagle ciemność nocy rozdarł błysk i było słychać jakby szum wiatru, a zaraz potem przeraźliwe

krzyki ludzi.

– Co się tam dzieje? – zaniepokoił się Tadek.

Odwrócił się i zobaczył, że stóg, który dopiero minęli, stoi cały w płomieniach. Mężczyźni zeskakiwali z niego i uciekali jak najdalej w łąki.

– Mamo, trzeba im pomóc.

– Odjedź dalej, bo i my podzielimy ich los.

Zatrzymali się w bezpiecznej odległości, ale nie wiedzieli, co zrobić, jak im pomóc. W świetle palącego się stogu widać było mężczyznę stojącego na saniach z sianem. Stał jak zahipnotyzowany i patrzył na stóg.

– Marian, odepnij konie i uciekaj!

On nie słyszał nawoływań, był zbyt mocno przerażony tym, co się stało. Po chwili siano podsyczone wiatrem zapaliło się na saniach. Konie niecierpliwie dreptały w miejscu i parskały. Strach wyzwolił w nich ogromną siłę. Ruszyły gwałtownie i popędziły przez łąkę pokrytą śniegiem. Świetlana pochodnia palącego się siana świeciła coraz jaśniej, podniecana podmuchem wiatru pędzących sań. Gęsty snop iskier snuł się za nimi i leciał wysoko, znacząc kierunek ognistego rydwanu, zdążającego w nieprzeniknioną ciemność, do zagłady. W pewnej chwili tego szaleńczego biegu jedna z płóz wjechała na zaspę ubitego śniegu. Podskoczyła do góry i siano, wystrzelone jak z katapulty, rozsypało się szeroko, tworząc ognisty dywan na śniegu. Po chwili ogień zaczął przygasać i wszechwładna noc ogarnęła wszystko. Jeszcze słychać było tętent oddalających się koni w kierunku rzeki, ale i on po chwili ucichł.

Z przerażeniem Ludwika z rodziną patrzyła na bieg wypadków. Siedzieli odrętwiali na sianie i nie mogli uwierzyć, w to wszystko, co widzieli. Ludwika oprzytomniała pierwsza i spojrzała na dzieci. Siedzieli z rozdziawionymi ustami i patrzyli w ciemność, choć ten dramat już się skończył. Oni tkwili jeszcze w tym teatrze grozy, jakby to nadal trwało, i czekali na dalszy ciąg wydarzeń.

– Tadek, wyprzęgaj konie.

– Czemu?

– Siądziemy na konie i poszukamy go.

– A my? – odezwała się Janka.

– Posiedźcie tutaj, aż my nie wrócimy.

– Nieee – protestowali cicho. Bali zostać się sami w nocy na łące.

Tadek zeskoczył z sań, zdjął uprzęż z koni.

– Gotowe.

Siedli na konie i pojechali do miejsca, w którym przed chwilą rozegrał się dramat. Z daleka widać było jeszcze ogień i czuć było swąd tłącego się siana. Po chwili dojechali.

– Jedź lewą stroną, a ja podaję prawą.

– Hej, jest tu kto! – wołali, objeżdżając pogorzelsko.

Kiedy dojeżdżali do końca, Tadek tuż obok usłyszał cichy jęk.

– Mamo, tu ktoś jest – zawołał.

Podjechała bliżej i oboje zsiadli z koni.

– Jest tu kto! – wołali.

Siano poruszyło się i usłyszeli wyraźny głos:

– Pomocy, tu jestem!

Zaczęli rozgarniać siano i po chwili wygramolił się mężczyzna. Pomogli mu wstać i choć było ciemno, Ludwika poznała go.

– Marian, to ty?

– Ja – rzekł, prostując się.

Otrzepał się z siana i śniegu.

– Nic ci nie jest?

– Nie – odrzekł niepewnie.

Był bardziej przestraszony niż poturbowany. Miał szczęście, że upadł w głęboki śnieg, inaczej nie wiadomo czym by się to skończyło. Szybko dochodził do siebie.

– Dasz radę wsiąść do Tadzika na konia?

– Spróbuję.

Tadek podał mu rękę.

– No to hop! – podsadzając go, pomogła mu dosiąść konia.

– Wio! Jedziemy!

Ruszyli i wkrótce dojechali do sań. Zatrzymali się i zsiadli z koni.

– Zaprzęgaj konie do sań – Ludwika zwróciła się do syna.

– Chodź, może jakoś damy radę wejść na sanie.

Weszła pierwsza i podała mu rękę. Uchwycił ją mocno i zupełnie sprawnie wszedł na wierzch. Tadzik zaprzęgnął konie i po chwili siedział już na saniach.

– Jedziemy?

– Nie, zaczekamy na Zenka i Michała.

– Zawołajmy, może nas usłyszą – zaproponował Marian.

– Zeeeeenek! Michaaa! – wołali.

Ponowili wołania wielokrotnie, ale nikt się nie odzywał.

– Widziałem, jak zeskakiwali ze stogu i biegli w łąki – rzekł Tadzik.

– Może poszli szukać koni? – zastanawiał się Marian.

– Może... – odparła Ludwika.- Jedź, Tadziu.

– Wio! Wio! – zawołał na konie i zaciął z bata.

Konie ruszyły powoli, z trudem, ale po chwili weszły na przetartą już drogę i było lżej. Rażno dzwoniły dzwonki uwiązane u szyi koni, jakby brały udział w weselnym orszaku, a nie ciągnęły z mazołem sanie pełne siana. Dojechali do rzeki. Zakołysało mocno, ale już po chwili byli na drugim brzegu.

Dom był tuż, tuż. Wjechali na podwórko.

– Prrrr – zatrzymał Tadek konie, ściągając lejce. Zsuwali się po kolei z sań.

– Wejdiesz do mieszkania ogrzać się trochę? – zaproponowała Ludwika.

– Dziękuję za pomoc i dobranoc.

Tadek wyprzągnął konie i wprowadził do stajni. Reszta rodziny zbierała się iść do domu. Naraz Janka zapytała:

– A gdzie Polko?

Popatrzyli po sobie, nie było go wśród nich.

– Przecież był na saniach – odezwał się Tadek.

– To gdzie się podział?

– Może zakopał się w siano i śpi?

Tadek wlaźł na wierzch i przeszukał siano.

– Nie ma go tu! – zawołał.

– Co się mogło z nim stać? – zdenerwowała się matka.

– Może spadł z sań, jak przejeżdżaliśmy przez rzekę – zastanawiał się Tadek.

– Lećmy tam!

Cała trójka ruszyła na poszukiwanie zguby. Kiedy byli już blisko rzeki, Janka zauważyła, że ktoś z niej wyłazi na brzeg.

– Patrzcie, o tam! – zawołała.

Zauważyli i poszli tam tak szybko, jak tylko mogli.

– Polko, Polko! – wołała matka, pierwsza dobiegając do syna. Zatrzymał się i stał przed nią cały uturlany w śniegu. Był aż zielony z zimna. Spojrzał na nią i łzy zakręciły mu się w oczach, a broda zaczęła się trząść.

– Mama – wyszeptał tylko i wyciągnął ku niej rękę.

Podeszła do niego i przygarnęła mocno. Przytulił się i włożył zmarzniętą twarz i rękę w jej ciepły kożuch. Stali tak przez chwilę. Dobiegli Tadek i Janka. Objęli się wszyscy i stali w śniegu, na mrozie. Byli szczęśliwi, że są razem, że nikomu nic się nie stało.

To wydarzenie sprawiło, że stali się sobie bliżsi i odporniejsi na przeciwności losu.

Zerwał się wiatr i wyjął pędził tumany śniegu wzdłuż rzeki, aż hen za horyzont.

– Weź moje rękawice – rzekła matka – i chodźmy wreszcie do domu.

Wzięli się za ręce i całą czwórka, brodząc w śniegu, wracali do domu. Weszli na podwórko. Pies zaczął skomleć i skakać, ciesząc się z ich powrotu. Ludwika otworzyła drzwi i wszyscy weszli do mieszkania. Przyjemne ciepło owiało im twarze.

– Rozbierajcie się, zaraz zrobię coś gorącego, to się rozgrzejemy.

Cała trójka, Janina, Polko i Tadek, rozebrali się i usiedli na ławce przy ciepłym piecu. Po chwili matka przyniosła gorącą herbatę z miodem i postawiła na stole.

– No, chodźcie do stołu, wypijemy i pójdziemy spać.

Kiedy to jeszcze mówiła, do jadalnego weszli Halina i Stefan w nocnych koszulach.

– Co, wy nie śpicie?

– Spaliśmy, ale pies tak głośno szczekał, że nas obudził – odrzekła Halina, kurczowo ściskając koszulę.

– A co wy jesteście tacy wystraszeni?

– No... w nocy byli tu ruscy żołnierze, chodzili po podwórku, a potem weszli do obory i stajni. Zaglądali w każdy kąt, później weszli do domu i pytali o tatusia. Mówili, że jutro wrócą.

– Chcieli zastrzelić psa – dodał Stefan – za to, że jednego z nich ugryzł.

– No dobrze, idziemy spać, nie ma co się martwić na zapas.

Wszyscy wstali i rozeszli się, kobiety do swojej sypialni, chłopcy do swojej.

Ranek wstał wietrzny i sypało śniegiem. Wiatr grał w kominie jakąś opętańczą muzykę, co jeszcze pogarszało i tak nie najlepszy nastrój. Tworzył na drogach i polach gigantyczne zasy trudne do przebycia.

Matka już wstała i krzątała się po kuchni, żeby zrobić śniadanie. Tadek z Polkiem też wstali i myli się w miednicy zimną wodą. Rozmawiali o czymś, gestykułując z podekscytowania. Na końcu rozmowy przyklasnęli na zgodę mokrymi dłońmi, aż echo rozeszło się po stołowym, i usiedli zadowoleni za stołem. Wkrótce matka przyniosła i postawiła przed nimi chleb, masło, kawałek boczku i naląła do kubków kawę zabieloną mlekiem. Kawę palili sami, z ziaren owsa. Siadła przy nich i spożywali posiłek w milczeniu. Chłopcy zjedli śniadanie szybko, jakby im się do czegoś spieszyło. Znienacka Tadek zapytał matkę:

– Co dziś robimy po śniadaniu?

– A dlaczego pytasz?

– Bo, bo ja z Polkiem chcieliśmy iść na ryby.

– Przecież rzeka jest zamrznięta, to jak będziecie łowić?

– W przerębli.

– Najpierw musimy zrzucić siano do stodoły, potem trzeba zrobić obrządek, a jak z tym się uporamy, to będziecie mogli iść na te ryby.

Zasepili się, kiedy to usłyszeli. Spoglądali na siebie i wiercili na krzesłach, jakby ich gryzły pchły. Zaczęli szeptać między sobą i widocznie doszli do porozumienia, bo naraz Polko powiedział:

– To my idziemy zwalić siano.

Popatrzyła na nich i zachciało jej się śmiać. W pewnym sensie miała do siebie żal, że tacy młodzi chłopcy muszą tak ciężko pracować. Ale co miała zrobić? Została sama z dziećmi, a pracy było po uszy. Gdyby ich nie było, nie dałaby rady. Mąż nie wrócił – może to i dobrze, bo gdyby był, to ruskie zabiliby go za udział w wojnie z dwudziestego roku.

Szybko posprzątała w kuchni i poszła im pomóc. Chłopcy szarpali się z sańmi, próbując przeciągnąć je w pobliże stodoły.

– Załóż na konia, bo inaczej nie ruszysz.

– Ale to będzie dłużej trwało – upierał się Tadek.

– Będzie prędzej i nie narobisz się.

Posłuchał i poszedł po konia.

– Wio!

Koń szarpnął i sanie podjechały pod luk w stodole, przez który mogli zwalić siano.

Zwalili śnieg, który napadał w nocy. Tadeusz chwycił widły, nabił na nie siano i podawał przez otwór matce. Odbierała podawane siano i rozrzucała je jak najdalej po sąsiedku. Polko, stojąc na sianie, przeszkadzał tylko Tadzikowi w pracy, bo obaj nie mogli jednocześnie podawać siana do jednego otworu.

– Odejdź, bo jeszcze skaleczę cię widłami. Nie widzisz, że jest za ciasno!

– Sam odejdź! – odburknął Polko.

– Tak... chcesz tego? To bierz się do roboty – mówiąc to, Tadek ustąpił miejsca i zeskoczył na ziemię.

Polko nie spodziewał się takiej reakcji brata. Zrobiło mu się głupio.

– No, co się tam dzieje! – usłyszeli głos matki. – Czemu nie podajesz?

– Zaraz – odrzekł i wbił widły w siano, ale nie mógł go unieść. Nabrał mniej i z trudem podał.

Nabrał drugi raz, trzeci i czuł, że nie da rady. Tadek, widząc jego zmagania, powiedział:

– Lepiej złaź z wozu, szkoda czasu.

W duchu Polko przyznał mu rację, ale uniósł się honorem. Znowu wbił widły w siano, podał parę razy i znowu przerwał.

– Złaź! – usłyszał znowu.

Zszedł na dół i stanął obok brata.

– Zaprzęgli żabę do bryczki – powiedział Tadek ironicznym tonem.

Polko popatrzył na niego ze złością, nadał się i wydał wargi.

– Lepiej idź na górę do mamy i jej pomóż, będzie o wiele szybciej.

– Co się tam dzieje? – znowu usłyszeli głos matki.

– No, zmiataj!

Polko poszedł do stodoły, ociągając się. Tadek z powrotem wszedł na sanie i podrywał widły za widłami. Po półgodzinie sanie były już prawie puste. Tadek podawał ostatni raz i wtedy zobaczył, że na podwórko weszło kilku żołnierzy. Jeden zapewne był dowódcą. Podeszedł do niego.

– Gdzie gospodyni?

– W stodole, na górze.

– Ty, zawołaj ją, żeby zeszła na dół.

– Mama, mama! Jakies ruskie do nas przyszli! – krzyknął Tadek.

– Nu, ja ci dam ruskich, szczeniaku jeden – odgrażał się i podeszedł do sań.

Ludwika wyszła ze stodoły, otrzepując się z siana. Zobaczyła kilku żołdatów na podwórzu. Przestraszyła się nie na żarty. Chłopiec wiedział już z doświadczenia, że to

nie wróży nic dobrego.

– Co się dzieje?

Dowódca odwrócił się, zobaczył Ludwikę i podszedł do niej.

– Czy my nie widzieliśmy się już czasem? – zapytał ironicznie, udając, że nie pamięta.

Spojrzała na niego z nienawiścią.

– Trudno zapomnieć, panie lejtnant – odrzekła – nie dość, że przywiozłam wam siano do Domanowa, to wy na dodatek zabraliście nam konie i ten – wskazała ręką na żołnierza – pobił mi syna.

Trzymała w ręku widły, zaciskając nerwowo dłonie na trzonku, jakby bała się, że mogą wypaść jej z rąk. Tadek również zszedł z wozu i podszedł do matki. Oboje patrzyli na zmagania żołnierzy próbujących otworzyć kłódkę przy drzwiach obory. Była solidna. Lejtnant, widząc, że bez klucza nie dadzą rady, podszedł do Ludwiki.

– Daj klucz, bo... – zagroził.

– To co, zastrzelisz mnie, albo podpalisz? – zapytała hardo i odruchowo uniosła widły.

Na wszelki wypadek wojskowy cofnął się o krok. Jego prawa ręka zaczęła powoli przesuwać się w stronę kabury z naganem. Za jego plecami rozległy się strzały. Lejtnant drgnął. Z początku nie wiedział, czy to on, czy kto inny wystrzelił. Odwrócił się i zobaczył, że to jego bojcy strzelali do kłódki zawieszanej przy drzwiach.

– Nu, *job twoju mać*, kto wam pozwolił strzelać, co!?! – krzyknął.

Wyjął nagan z kabury. Żołnierze przestraszyli się, ponieważ znany był z gwałtownego charakteru. Niemały w tym udział miała Ludwika, która swoim uporem przyczyniła się do zaistniałej sytuacji. Mieli zarekwirować u Wasilewskich część bydła i przekazać go do nowo tworzonego tu kołchozu. Miało wyglądać, że ludzie z ochotą oddają swój inwentarz i sami wstępują do kolektywnego gospodarowania. Miało być dyskretnie, a teraz co? Wszyscy z okolicy słyszeli taki huk. Jak się dowie naczałstwo w Słonimie, jak spaprał powierzoną mu robotę. Wolał nie myśleć. „Zresztą teraz i tak nic już nie zmienię”.

Podszedł do drzwi i przyłożył lufę nagana do kłódki i wystrzelił parę razy. Po ostatnim strzale ustąpiła. Otworzyli drzwi i weszli do środka. Odwiązywali krowy z łańcuchów, które przestraszone strzałami, wybiegały z obory i pędziły na oślep przed siebie. Jeden z żołnierzy, który stał zbyt blisko otwartych drzwi, potrącony przez krowę, wyleciał jak z katapulty i upadł pod nogi Ludwiki i Tadeusza. Podniósł się powoli, podszedł, utykając, do kolegów. Żołnierze po zebraniu bydła wyszli za bramę. Ludwika i Tadeusz stali i patrzyli za oddalającym się stadem. Tadek nie wytrzymał i zaczął krzyczeć:

– Wory, wory, złodzieje! – I wybiegł za nimi.

Rosjanie z bydłem byli już daleko. Jeden z nich odwrócił się i zobaczył ich

stojących na podwórku. Zatrzymał się, podniósł karabin i strzelił. Kula niebezpiecznie blisko przeleciała nad głowami i utkwiała w desce ściany stodoły. Stali w milczeniu i patrzyli za oddalającymi się żołnierzami i nic już nie mogli zrobić. Tadek zacisnął pięści i pogroził w ich kierunku. Można się było tylko domyśleć, jakie słowa cisnęły się na usta. Postali jeszcze chwilę i poszli do obory zobaczyć, ile im ta umundurowana „duma radzieckiego narodu” zabrała bydła. Weszli do środka i zatrzymali się w progu. Tylko Tadek poszedł dalej i liczył te, które pozostały.

– Mamo, zabrali nam osiem krów!

Nie odezwała się. Jej kamienna twarz mówiła wszystko. Pomyślał, że nie usłyszała, co mówi.

– Mamo, zabrali nam osiem krów – powtórzył.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Niedługo przyjdą i zabiorą nam pozostałe, a może i wszystko, nawet dom – powiedziała zamyślona, jakby miała dar przewidywania.

– Ale dlaczego? – spytał Polko. – Co my im takiego zrobiliśmy, że zabierają nam wszystko?

– Nic, cała nasza wina jest taka, że jesteśmy Polakami. Od wieków nas nienawidzą za to, że bronimy naszej niepodległości. Jesteśmy dla nich solą w oku. No, ale chodźmy już do domu, bo zimno.

Wyszli z obory, zamykając drzwi.

– Chłopcy, zamknijcie bramę.

– Mamo, psy gdzieś uciekły.

– Wróć, ja też na ich miejscu bym uciekła.

Ludwika weszła do mieszkania i usiadła na ławie przy piecu. Różne myśli krążyły jej po głowie: „Najlepiej byłoby gdzieś stąd uciec, ale gdzie?”. Wszyscy mieszkający tu Polacy są w podobnej sytuacji. Może lepiej mieli biedni gospodarze. Nikt im niczego nie zabierał, bo nie było co. Władza odnosiła do nich z szacunkiem. Ot, chociażby taki Bunkiewicz [3]. Miał chatkę wiatrem podszytą, a bieda u niego aż piszcziała. Całe lato w wolnych chwilach stawiał płot, a zimą go rozbierał, żeby napalić w piecu. Ale za to był bogaty w dzieci. Miał osiem córek, które za całą garderobę miały na sobie jedną koszulę z lnu, w której chodziły w dzień, spały w nocy. Kiedy dziewczęta zaczęły narzekać, że jest im w domu zimno, wówczas wyganiał je z domu i kazał im biegać na bosaka po śniegu. Poganiał ja od czasu do czasu krótkim bacikiem po pośladkach i po każdym takim dopingu przyspieszały, aż śnieg pryskał spod stóp. Kiedy uznał, że mają już dość, wracały do domu czerwone jak piwonie. Było im wtedy ciepło. Te biegi miały, podobno, również wpływ na zdrowie. Okazało się bowiem, że dziewczęta nigdy nie chorowały i miały cerę jak bogini Jutrzenka. Kiedy przyszła pora na zamążpójście, adoratorów miały co niemiara i mogły przebierać jak w ulęgałkach. Zdarzyło się kiedyś, że jedna z nich wyszła za mąż i zmarła przy porodzie. Wówczas mąż poszedł do rodziców i prosił na kolanach,

aby mu dali za żonę drugą córkę.

Ludwika otrząsnęła się z rozmyślań. Trzeba zrobić coś na obiad. Wstała z ławki, żeby pójść do kuchni. Wtedy z dworu otworzyły się drzwi i do izby weszli chłopcy.

– Mamo, jeden pies wrócił, a drugiego nadal nie ma – rzekł Polko.

– Nie zwracaj mi głowy psem, mało to mam innych zmartwień!

Popatrzyli na siebie skonsternowani, ale widać było, że ze zwady przy zwałaniu siana nie było już ani śladu.

– Mamo – odezwał się Polko.

– Co znowu?

– Czy możemy pójść na ryby?

– Zaraz będzie obiad.

– Oj, zjemy obiad, jak wrócimy.

– No to idźcie, tylko niech się który nie utopi w przerębli.

Wybiegli w pośpiechu, obawiając się, żeby matka się nie rozmyśliła.

Weszła do kuchni i zabrała się za obieranie kartofli na obiad. Szło jej to jakoś niesporo. Myśli krążyły po głowie wokół ostatnich wydarzeń. Pytała sama siebie: „Jak długo to jeszcze wytrzymam?”. Wyjścia nie widziała żadnego. Miała pięcioro dzieci, a tylko na Tadzika mogła liczyć. No, może i trochę na Polka. Ale Halina to dziewięcioletnia dziewczynka, Stefan to prawie dziecko, zaledwie siedem lat – to co od nich mogła wymagać? Janka to już prawie panna, kiedyś była pomocna, ale teraz... jak ją ugodziła strzała Amora nad rzeką, gdzie poznała Leszka, zupełnie straciła rozum. Stoi przed lustrem albo patrzy przez okno. Pożytku z niej nie ma żadnego.

Obracała obrany kartofel w palcach, jakby nie wiedziała, co z nim zrobić. Rzuciła go potem do wiadra z wodą. Plusk kartofla padającego do wody wydawał jej się wystrzałem z karabinu. „Co się ze mną dzieje!” – przeraziła się nie na żarty. Czuli, że musi pozbyć się tych lęków. Wstała ze stołka i poszła do pokoju dzieci. Halina siedziała na podłodze i ubierała lalkę.

– Co robisz?

– Bawię się.

– Sama?

– Sama – odpowiedziała smutno.

– A gdzie Stefan?

– Wziął narty i poszedł na dwór.

Patrzyła na nią i żal jej się zrobiło dziecka. Przykucnęła i przytuliła ją do siebie. Halina wyciągnęła ręce i objęła matkę za szyję. Obie potrzebowały tej czułości, uścisku i pocieszenia, którego było tak mało w ostatnich dniach.

– Chodź ze mną do kuchni, to zrobimy obiad.

Tak naprawdę nie chodziło jej o pomoc, ale żeby Halina i ona nie były samotne. Chłopcy wyszli z domu i brnąc w śniegu, dotarli nad rzekę. Wzięli ze sobą łopaty, siekiere, wędki i kasar. Trzeba było zebrać grubą warstwę śniegu, żeby dostać się do

lodzie, którym pokryta była rzeka. Wzięli się ochoczo do jego usuwania. Śnieg był zamrożony, więc Tadek musiał odrąbywać go siekierą. Polko brał odrąbane kawałki na łopate i machał nią zamasyzując raz w lewo, raz w prawo. Praca była mozolna i im głębiej kopali, tym zapał do pracy stawał się mniejszy, a i zmęczenie dawało się we znaki. Polko nie odrzucał już brył śniegu tak daleko, jak na początku. Niektóre z nich, wyrzucone za blisko, spadały z powrotem do wykopu.

– Jak będziesz tak blisko odrzucał, to do rana nie dokopimy się do lodu – odezwał się Tadek.

Polko milczeniem zbył tę cierpką uwagę. Nabral większą bryłę na łopate, zamachnął się i rzucił. Bryła ześliznęła się z łopaty i spadła na plecy bratu, który akurat podnosił większą bryłę, żeby wyrzucić na zewnątrz. Niespodziewanie uderzony, przewrócił się i uderzył głową w ścianę wyrobiska. Kiedy wstał i odwrócił się, na czole pojawił się fioletowy guz. O abstrakcyjnym kształcie. Popatrzył na brata, a jego twarz nie wyrażała zbyt sympatii.

– Ty gówniarzu! – syknął przez zęby.

Podszedł do niego i wygarnął mu z garści.

– Przestań, przestań! Ja nie chciałem!

– Ja ci dam nie chciałem!

Zaczęli się szarpać, aż pył śnieżny zaczął wydobywać się z dołu. Razy padały gęsto, raz z jednej, raz z drugiej strony.

Naraz wszystko ucichło. Po chwili Polko wylazł z dołu, poobijany, i pociągał nosem. U Tadzika pojawił się też drugi siniak pod okiem. Gdyby chłopcy tyle energii poświęcili nie na bójkę, a na pracę, to prawdopodobnie nawet przerębla byłaby wyrębana.

Polko stał zagniewany i przyglądał się bratu. Złość zaczęła powoli ustępować. Spojrzenia ich spotkały się i w pewnej chwili obaj wybuchnęli śmiechem.

– Ty wariacie, mało brakowało, a byłbyś mnie zabił w tym dole.

– Ześliznęła mi się z łopaty.

– Wiem... no dobra, ja będę wyrzucał ten śnieg na wierzch, a ty odgarniaj go dalej od wykopu.

– Dobra, dawaj!

Praca znowu ruszyła i w niedługim czasie dokopali się do lodu. Tadek zawzięcie wyrąbywał w lodzie przerębel, aż odłamki lodu pryskały pod nogi Polka, który stał i przyglądał się pracy brata. Wyrąbany otwór w lodzie był mały w stosunku do wykopu, lecz robota postępowała szybko. Wkrótce ostatni zamach, uderzenie, i lód pękł, a woda ukazała się w szczelinie. Tadek zrobił jeszcze parę kosmetycznych ruchów siekierą i ostatnia bryła lodu poleciała pod nogi Polka. Tadek wyprostował się i otarł pot z czoła.

– Gotowe – powiedział i oparł się o ścianę wykopu.

Woda, szmerząc w przerębli, płynęła, niosąc ze sobą bąbelki powietrza. Stali

i patrzyli na płynącą wodę z mieszanymi uczuciami. Jakby nie wierzyli, że ich praca nie była daremna.

Nagle w wodzie usłyszeli plusk.

– Słyszałeś? – odezwał się Polko.

– Słyszałem, może do wody wpadła bryła lodu? – zastanawiał się na głos Tadek.

Po chwili znowu usłyszeli plusk, a okrągłe kółko rozeszło się po wodzie. Potem drugie, trzecie, piąte...

– Widziałeś?! – gorączkował się Polko.

– Wsyp trochę grochu.

– Po co?

– Na zanętę – odrzekł Tadek.

Przynieśli ze sobą gotowany groch, na który zawsze dobrze brały jazie. Polko wrzucił do wody garść i wtedy w przerębli aż zagotowało się od ryb.

– Zobacz, zobacz! – prawie krzyczał rozentuzjasmowany Polko.

– Spokojnie, przecież nie uciekną – temperował Tadek brata.

– Lepiej podaj wędkę i sam zakładaj grochu na haczyk.

Ledwie zarzucili, a spławik Polka schował się pod wodą.

– Ciągnij!

Polko zacisnął zęby z emocji i uniósł wędkę do góry. Nad wodą, uczepiona do haczyka, ukazała się srebrna płóć i po chwili z powrotem wpadła do wody.

– Ojej – jęknął Polko.

– Trzeba zaciąć – podpowiedział bratu Tadek.

Kiedy to mówił, spławik Tadzika zanurzył się pod wodą. Szarpnął i wyciągnął z wody dużego jazia. Polko z zazdrością spojrział na brata i sam zarzucił wędkę. Po chwili spławik drgnął... zaciął i chłopiec wyciągnął z wody lina. Oczy zaświeciły się mu z radości.

– No widzisz – rzekł Tadek, zadowolony z sukcesu brata.

Łowienie pochłonęło ich tak, że zupełnie stracili poczucie czasu. Miało się chyba ku wieczorowi, kiedy nad rzekę przybiegł do nich na nartach Stefan.

– Mama kazała wam natychmiast wracać do domu.

Zobaczył podrygujące ryby na śniegu.

– Ojej, ile złowiliście! A jakie duże! – dziwił się.

Uśmiechnęli się obaj zadowoleni.

– Już idziemy – odparł bardziej odpowiedzialny Tadek.

– Jeszcze trochę – błagał Polko.

– Przyjdziemy tu jeszcze, jutro albo pojutrze.

Wyleźli z dołu. Stefan przyglądał im się z ciekawością.

– Co się wam stało?

Nic nie odpowiedzieli, tylko zaczęli zbierać ryby. Włożyli je do wiadra i poszli do domu obładowani sprzętem i rybami. Stefan śmignął koło nich na nartach i był

pierwszy w domu.

– Gdzie oni są? – zapytała zdenerwowana matka.

– Już idą, ale mam, ile oni złowili ryb!

– Ja im dam ryby!

Wkrótce i chłopcy dotarli do domu.

Otworzyli drzwi i z pewną obawą weszli do środka.

– Gdzie wyście tak długo byli?! – usłyszeli już od progu.

Pospuszczali głowy i nic nie powiedzieli.

– My tu wszyscy czekamy z obiadem, a wy co?

Podeszła do nich i zobaczyła siniaki na ich twarzach i porwaną kaptę Polka.

– O, Jezu! – jęknęła. – Co ja mam z wami, czy skończą się kiedyś te bijatyki między wami? Marsz do kuchni! – rzekła ostrym tonem.

Kiedy wyszli, powiedziała do Haliny:

– Idź do Janki i powiedz jej, żeby zaraz tu przysła.

Halina zniknęła za drzwiami, a po chwili weszła Janka.

– Mam, coś chciała?

– Chłopcy nałowili dużo ryb, weź je oskrob i wypatrosz.

– Dlaczego ja?

– Bo ja idę doić krowy, ale jeśli chcesz się zamienić...

– Nie, nie – wpadła matce w słowo – już to robię.

– Aha, jeszcze jedno: usmaż chłopcom teraz, bo są głodni – powiedziawszy to, wyszła.

Było już późno, kiedy wróciła z obrządku. Na dworze dawno zapadł zmrok, a domownicy siedzieli w pokoju gościnnym na ławie przy piecu. Lampa przykręcona dawała nikłe światło, bo coraz trudniej było o naftę. Na kolację zjedli smażone ryby. Porozmawiali jeszcze trochę i zaraz jedni po drugich zaczęli wychodzić, udając się na spoczynek.

Rozdział VIII

Nazajutrz dzień wstał pogodny i mroźny. Krwawe słońce wytoczyło się już na horyzont i wspinało się z mozołem coraz wyżej i wyżej. Promienie lizały wierzchołki drzew, a potem schodziły po gałęziach coraz niżej, aż przysiadły na śniegu, rozbłyskując wielobarwną kaskadą migających iskierek jakby zaklętych grą na flecie czarodzieja z długą siwą brodą o mroźnym spojrzeniu.

Ludwika wstała wcześniej do obrządku. Wyszła z domu po cichu, żeby nie budzić dzieci, które jeszcze spały. „Niech sobie jeszcze pośpią – powiedziała cicho do siebie – nie wiadomo, co może przynieść jutro”.

Wzięła się za dojenie krów i kiedy doiła już ostatnią, usłyszała rżenie koni w stajni. „Pewnie Tadzik przyszedł dać obroku” – pomyślała. Żal jej było tego chłopca, ma dopiero piętnaście lat, a tyle spadło na niego obowiązków. Wstała od krowy i odstawiła skopek. Weszła na górę, żeby zrzucić trochę siana dla bydła. Musiała oszczędzać, bo większość spłonęła na łąkach. Zeszła po drabinie. „Muszę jeszcze napoić krowy” – pomyślała. Wzięła jarzmo i dwa wiadra i poszła do studni. Uczepiła do haczyka łańcucha żurawia i opuściła wiadro na dół. Nabrała wody, wyciągnęła je na wierzch i postawiła na ziemi. Potem nabrała drugie wiadro i ustawiła je obok pierwszego. Włożyła jarzmo na barki, przykucnęła nieco i założyła haczyki do wiader. Wyprostowała się, uniosła wiadra do góry i poszła w kierunku obory. Była już w połowie drogi, kiedy pośliznęła się na lodzie i upadła na plecy, oblewając się wodą. Uderzyła głową o zlodowaciały śnieg. Straciła przytomność...

Tadek skończył obrządek przy koniach. „Muszę pomóc mamie” – pomyślał. Wszedł do obory. Krowy jadło siano. Rozejrzył się po oborze, ale nigdzie jej nie było.

– Mamo, mamó! – zawołał głośno. Nikt się nie odezwał. Zaczął jej szukać. Wszedł do pomieszczenia, gdzie był parnik. Ogień wesoło trzaskał w palenisku, ale i tu jej nie było. Zaniepokoił się. Może poszła do domu.

Otworzył drzwi, żeby wyjść, i wtedy spostrzegł matkę leżącą na środku podwórka.

– O, Jezu, Jezu! Mamo! – krzyczał i pognął ku niej ile miał sił w nogach.

Po chwili dopadł do matki i zaczął ją szarpać.

– Mamo, mamó, co ci jest! – wołał przerażony.

Powoli otworzyła oczy. Kręciło jej się w głowie i miała nudności.

– Może mama wstać? – zapytał z troską.

Wziął ją oburącz pod pachy i próbował podnieść. Podparła się łokciami o śnieg. Chwilę mocowała się ze słabością, ale przy pomocy syna udało jej się usiąść. Drżała na całym ciele z zimna i wysiłku. Po chwilowej utracie przytomności świadomość wróciła jej zupełnie.

– Musi mama zaraz wstać – powiedział – bo inaczej zamarznie tu na śmierć.
Próbowała wstać, ale coś trzymało od spodu.

– Nie mogę – powiedziała cicho – chyba przymarzła mi spódnica.

Ukląkł i chciał oderwać ją od lodu. Była śliska i twarda jak blacha. Trzymała mocno. Chłopiec zaczął krzyczeć i szarpać z całych sił. Krzyk ten usłyszeli Janka i Polko. Wyszli z domu, żeby zobaczyć, co się stało. Zobaczyli matkę siedzącą na śniegu i Tadzika pochylonego nad nią.

Podbiegli natychmiast.

– Odepnij mamie spódnice – powiedział Tadek do siostry.

Patrzyła na niego, jakby nie rozumiała, o co chodzi.

– Szybciej! – zniecierpliwił się.

Odpięła najpierw na dole guziki z obcisłej kurtki, a potem guziki z boku spódnicy. Trzęsły jej się ręce ze zdenerwowania. Wreszcie uporała się z nimi i popatrzyła na chłopców.

– Chodźcie, pomóżcie jej wstać.

Wzięli ją pod ramiona. Oparła się na nich i wyjęła zmarznięte nogi ze spódnicy. Powoli poszła z nimi do domu na zeszywniałych od mrozu nogach. Weszli do mieszkania i posadzili matkę na ławie. Tadek zdjął jej obuwie, potem skarpety. Stopy były zimne, ale czerwone, choć na butach był lód. Dopiero teraz zauważyli, że matka się trzęsie.

– Chyba wychodzi z niej zimno – odezwała się Janka.

– Nie gadaj głupstw! Lepiej idź i zrób herbaty z kwiatu lipowego i dodaj miodu – powiedział Tadek.

Dziewczyna poszła do kuchni, trochę obrażona na brata.

– Może mama pójdzie do łóżka, to zagrzeje się pod pierzyną? – zapytał.

– Chyba pójdę – zgodziła się Ludwika, szcękając zębami.

Wkrótce Janka weszła do pokoju, niosąc gorącą herbatę. Przyjemny aromat kwiatu lipowego i miodu rozszedł się po pokoju.

– Gdzie mama?

– W łóżku – odrzekł Polko.

– A Tadek?

– Przy mamie.

Janka poszła do sypialni matki. Tadek siedział i okrywał matkę pierzyną.

– Przyniosłam herbatę – powiedziała, podając matce parującą filiżankę.

Matka uniosła się na pościeli i powoli wypijała aromatyczny napój. Przyjemne ciepło rozeszło się po ciele. Opadła zmęczona na poduszkę. Poczowała się senna, przymknęła powieki i po chwili ogarnął ją sen. Twarz matki zarumieniała się. Być może było to spowodowane gorączką na skutek przeziębienia, a może tylko po wypiciu gorącej herbaty.

– Chodźmy stąd, niech odpoczywa – powiedział szeptem Tadek do siostry.

Wyszli cicho z sypialni matki.

– Co teraz będzie, jak mama zachoruje? – niepokoila się Janka.

– Może nie zachoruje, a jeżeli nawet, to damy sobie jakoś radę.

– Jak ty sobie to wyobrażasz, a kto będzie obrządział i doił krowy? – odezwała się poirytowana.

– Zrobimy to razem, ja z Polkiem zajmujemy się obrządkiem, a ty wydoisz krowy.

– Ja jeszcze nigdy nie dołam krów!

– To nadarza ci się niebywała okazja – odparł Tadek z ironią.

– Ja nie umiem doić i boję się krów!

– To już najwyższy czas, żeby się nauczyć – uciął dalszą dyskusję brat.

– Zresztą to proste – wtrącił się Polko – tylko ciągnie się za cycki, a mleko leci do wiadra.

– Zamknij się – ofuknęła go siostra i pacnęła otwartą dłonią w czoło.

– No co, no co? – rozindyczył się Polko, gotowy oddać siostrze.

– Przestańcie! – zdenerwował się Tadek. – Ty jesteś starsza, to powinnaś być mądrzejsza, a nie droczyć się z gówniarzem.

– Sam jesteś gówniarz – obraził się Polko i wyszedł z pokoju.

– Na kolację zrobisz mamie jakiś lekki, pożywny posiłek, ot, chociażby rosół z kury, a przed snem zrób herbatkę z malin albo czosnek z mlekiem.

Zbliżał się wieczór, czas obrządki i dojenia. Tadek z Polkiem poszli najpierw do koni zadać obroku. Potem weszli do obory. Krowy zapewne były już głodne, bo zaczęły porykiwać.

– A co damy krowom na kolację? – zapytał Polko.

– Te, które się doją, dostaną buraki z sieczką, a które nie – samo siano.

– To leć i przynieś sieczkę, a ja idę nasiekać buraków pastewnych i też zaraz przyniosę.

Uwinęli się szybko, Polko przyniósł worek sieczki, a zaraz po nim Tadek wsypał buraki do żłobu. Wymieszali to wszystko i wyszli na chodnik, żeby trochę odpocząć. Usiedli na stołkach i czekali, aż krowy zjedzą.

– Ale kto wydoi krowy? – zapytał Polko.

– Nie wiem, ale ktoś to musi zrobić.

– Może ty z Janką spróbujecie, co?

– Zobacz, już zjadły – zmienił temat Tadek.

– Wejdz na górę i zrzuć trochę siana, a ja przyniosę wodę, żeby je napoić.

Zajęło im sporo czasu, zanim uporali się z obrządkiem. Stali i patrzyli bezradnie na rząd krów, które trzeba wydoić, ale obaj nie wiedzieli, jak się do tego zabrać. Tadek co prawda już wielokrotnie próbował przy matce doić krowy, ale jakoś mu to nie wychodziło.

Niespodziewanie do obory weszła Janka, gotowa podjąć się tego trudnego zadania.

– Mogę spróbować – powiedziała z lękiem w głosie – tylko pokaż mi, jak to się robi.

– To proste – przechwalał się Tadek – chodź, pokażę ci.

Wziął stołek, wiadro i podszedł z boku krowy. Usiadł, a wiadro podstawił pod wymię, trzymając go między kolanami. Schylił się nieco i pociągnął za dójki palcami. Mleko strzyknęło, dzwoniąc po blasze pustego wiadra. Janka przyglądała się dojeniu.

– Daj, spróbuję.

Usiadła na stołku i zaczęła naśladować brata. Szarpała za dójki może zbyt nerwowo. Krowa zaczęła przestępować z nogi na nogę, wymachując jednocześnie ogonem. Raz po raz uderzała niezbyt czystym ogonem po twarzy, zostawiając brudny ślad. Wreszcie zniecierpliwiona nieustannym i bolesnym szarpaniem za dójki, kopnęła w wiadro z mlekiem, wylewając zawartość na ściółkę. Dojarka spadła ze stołka, upadając na zielony placek sąsiadki krasuli, która akurat teraz załatwiała swoją niecierpiącą zwłoki potrzebę. Janka wstała szybko i wyszła na korytarz, próbując usunąć mazistą substancję, co jeszcze pogorszyło i tak kłopotliwą sytuację. Spojrzała na braci. Chłopcy zaciskali usta, żeby nie parsknąć śmiechem, ale figlarne iskierki w ich oczach mówiły wszystko. Skonsternowana, stała przez chwilę, nie wiedząc, jak się zachować. Odwróciła się na pięcie i pobiegła korytarzem do drzwi, które naraz otworzyły się, i w progu stanęła Sonia, przyjaciółka domu. Janina nie zdążyła zatrzymać się i z całym impetem wpadła na nią. Obie straciły równowagę i upadły na śnieg za oborą. Obie wstały szybko. Janka pobiegła do stajni, a Sonia weszła do obory, nieco zaskoczona tym, co się stało. Podeszła do chłopców, którzy mieli niewyraźne miny, ale w ich oczach czały się diabelne błyski.

– Co się tutaj stało? – zapytała chłopców, przeczuwając, że to ich sprawka.

– Nic takiego – odparł Tadek. – Janka próbowała doić krowy.

– A gdzie mama?

– Leży chora w łóżku.

Chłopcy jeden przez drugiego zaczęli opowiadać, co wydarzyło się dzisiejszego dnia.

– Zaraz, zaraz, po kolei, bo nic nie rozumiem!

– No, my chcieliśmy wydoić krowy – opowiadał z wypiekami na twarzy Polko.

– Przyszła Janka i chciała nam pomóc. – Popatrzył na przewrócony stołek i wiadro.

– Przecież Janka nigdy nie doiła krowy, to nie mogła wam pomóc. A wy zamiast jej współczuć, to stroicie głupie miny. Nie wstyd wam? – ofuknęła ich Sonia. – Lepiej idźcie do domu, a ja wydoję krowy.

Kiedy wychodzili, powiedziała do nich na odchodnym.

– Poszukajcie siostry i powiedzcie jej, żeby zaraz tu przyszła.

Sonia zajęła się dojeniem krów i po godzinie uporała się z uciążliwym zajęciem. Wylewała właśnie mleko z wiadra do konwi, kiedy nieśmiało do obory weszła Janka. Sonia zobaczyła ją i podeszła. Jej zapłakane oczy i chlipanie nosem mówiły, jak

bardzo przeżywa swoje niepowodzenie pierwszego udoju. Jednak bardziej urazili ją chłopcy, ironicznymi spojrzeniami dolali goryczy, która teraz wylewała się potokiem łez urażonej ambicji.

Sonia, widząc Jankę usmarowaną jak nieboskie stworzenie, z trudem zachowywała powagę.

– No, już dobrze, przestań płakać. Nie ty jesteś pierwsza, której krowa wylała mleko.

– Naprawdę? – zapytała.

– No pewnie! Spytaj matkę, ile razy ona dostała ogonem po buzi, a już o wylanym mleku nie wspomnę. Czy widziałaś, żeby ona z tego powodu płakała? Więc przestań użalać się nad sobą. Idź i zdejmij te brudne ciuchy, umyj się, o tam na gwoździu wisi czysty fartuch, to się przebierz, bo gdybyś teraz sama zobaczyła się w lustrze, pękałabyś ze śmiechu.

Janka popatrzyła na Sonię i nikły uśmiech zagościł na jej ustach.

– Dobrze, już idę.

Po chwili stanęła przed Sonią zupełnie w innym nastroju.

– No widzisz, teraz wyglądasz jak człowiek.

Położyła jej rękę na ramieniu, żeby dodać otuchy.

– Chodźmy do domu, zrobimy kolację, a potem zajrzemy do matki. Sama widzisz, jak jej jest ciężko, i gdyby, nie daj Boże, coś jej się stało, to co wy byście zrobili? Musicie jej pomagać i wspierać ją.

Wyszły z obory i żeby nie zmarznąć, szybko pobiegły do domu, bo mróz był tęgi.

Sonia z Janka weszły do domu. Najpierw umyły się, a potem przygotowały kolację.

– Idź, Jasiu, i zawołaj tych nicponi. Na pewno są głodni.

Obaj weszli do stołowego niezbyt rozmowni i spoglądali ukradkiem to na Sonię, to na Jankę. Było im wstyd, ale do przeprosin nie spieszyli się. Siedziała w nich rogata dusza, która niechętnie zginała kark. Byli głodni i choć nie wszyscy zasiedli do stołu, oni pierwsi wzięli się za jedzenie.

– Gdzie Halinka i Stefan? – zapytała Sonia.

– Nie wiem, szukałam ich wszędzie, ale nigdzie ich nie ma.

– Widziałem, jak wchodzili do sypialni mamy – powiedział pojednawczo Tadek.

– Dopiero teraz mówisz...

– Chodźmy zobaczyć – rzekła Sonia.

Uchyliła drzwi i zajrzała do sypialni Ludwiki. Matka spała, a obok niej z jednej strony łóżka klęczała Halina z opartą głową na pościeli, z drugiej – klęczał Stefan. Oboje spali.

„Muszą bardzo kochać swoją matkę” – pomyślała Sonia.

Podeszła cicho do Haliny i ujęła ją delikatnie za rączkę. Halinka obudziła się

i popatrzyła zaspanymi oczami na Sonię.

– Chodź, dziecko, na kolację – szepnęła do niej.

Janka podeszła z drugiej strony łóżka. Trąciła delikatnie ramię Stefana.

– Obudź się.

Stefan ocknął się, nieco zdezorientowany.

– Chodź, kolacja na stole.

Trochę się opierał, ale wstał i cała czwórka wyszła cicho z pokoju matki.

Po kolacji Halina i Stefan poszli spać. Chłopcy jakiś czas grali w domino, ale szybko się znudzili i też wpadli w ramiona Morfeusza. Było już późno. Jeszcze kobiety rozmawiały o czymś, ale coraz częściej ziewały i przerwy były coraz dłuższe.

– No, idziemy spać – odezwała się Janka.

– Idziemy, tylko zajrzę jeszcze do Ludki.

Przechodząc, otworzyła drzwi. Ludwika spała mocno, co napawało nadzieją, że jutro obudzi się w lepszej kondycji. Zamknęła cicho drzwi i obie z Janką udały się na spoczynek.

Rano Sonię obudziły jakieś pobrzękiwania w kuchni. „Co to może być? Kto tłucze się tak wcześnie?” – zastanawiała się.

Wstała i poszła zobaczyć, co się tam dzieje.

Drzwi były uchylone, zagląda, a tam Ludwika coś smaży na płycie. Zdumiała się. Wczoraj była ledwie żywa, a dzisiaj, jak gdyby nigdy nic, wstała i robi sobie śniadanie. Weszła do kuchni, niezauważona. Ludwika jednak wyczuła, że ktoś stoi za nią z tyłu. Nieprzyjemne ciarki przeszły jej po plecach. Odwróciła się i w półmroku rozpoznała swoją przyjaciółkę Sonię.

– O, Jezu, aleś mnie przestraszyła! Skąd się wzięłaś tu w nocy!

– Przyszłam wczoraj wieczorem, bo nie chciałam, żeby mnie ktoś widział. Wiesz, jaka jest teraz nagonka na Polaków. Nawet tych, którzy się z nimi kontaktują, będą zsyłać na Syy... – Nie dokończyła, bo sama przestraszyła się tego, co chciała powiedzieć.

– O czym ty mówisz?

Soni popłynęły łzy po policzkach, wiedziała, jaki los czeka jej najlepszą przyjaciółkę i jej rodzinę. Ludwika podeszła do niej i przytuliła do siebie.

– Sonia, Sonieczka, przestań płakać, bo i ja zaraz się poryczę – mówiąc to, głaskała Sonię po włosach.

Sonia po chwili się uspokoiła.

– Zjesz ze mną śniadanie?

Nie odpowiedziała, bo żalność nie pozwalała jej mówić.

– Zjesz! – zdecydowała Ludwika.

Przyniosła usmażoną jajecznicę na boczku i postawiła na stole.

– Chodź, siadaj – Ludwika podeszła do stołu pierwsza, za nią, ociągając się, Sonia.

– Ale jestem głodna! – odezwała się Ludwika i zabrała się do jedzenia.

Sonia także wzięła widelec do ręki, ale nie mogła jeść, tylko grzebała widelcem w jajecznicę.

– Sonia, co ci jest?

– Mnie nic, ale martwię się o ciebie...

– Dlaczego?

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie powinna Ludwice przekazać wiadomości. Przecież przyszła tutaj po to.

– Sonia, co ty ukrywasz przede mną?

– Widzisz, u nas na wsi mówią, że NKWD w Byteniu sporządziła listę Polaków, którzy mają być wywiezieni na Sybir.

– Wiesz, kto jest na tej liście?

– To, co słyszałam, to parę nazwisk, które znam, bo nawet ludzie o tym głośno mówią, choć to podobno tajemnica.

– To powiedz, kto jest na tej liście.

Sonia zawahała się przez moment, lecz w końcu zaczęła wymieniać nazwiska.

– No, nauczycielka Kwiecińska, rodzina Soleników, Bołbot... i tam jest również twoje nazwisko.

Pociemniało jej w oczach, serce tłukło się jak oszalałe. Położyła dłoń na piersi, jakby chciała powstrzymać ten łomot. Na bladą twarz wystąpiły krople potu.

Widząc zmienioną twarz przyjaciółki, Sonia podeszła do niej.

– Ludka, Ludka, co ci jest?! O, Boże, po co ja ci to powiedziałam!

Powoli Ludwika przychodziła do siebie. Spojrzała zmęczonymi oczami na przyjaciółkę.

– To nie twoja wina. Czasami lepiej nie wiedzieć, co może człowieka spotkać, niż czekać w niepewności na coś, co i tak jest nieuchronne.

– Bardzo przestraszyłam się twoją reakcją na to, co ci powiedziałam, i jest mi przykro.

– Wiem, jestem ci nawet wdzięczna. Bardzo cenię twoją przyjaźń, ale jest mi coraz trudniej znosić razy, jakie spadają na nas każdego dnia. Czasem nawet myślę, że zahartują mnie i pomogą przetrwać w przyszłości w najtrudniejszych chwilach.

– No chodź, zjemy coś, bo na pewno jesteś głodna.

Po raz drugi zaczęły jeść niedokończone śniadanie. Było już zimne, a i herbata zupełnie wystygła.

– Podgrzeję jajecznicę, dopóki jest jeszcze ogień pod płytą – powiedziała Ludwika.

– Nie trzeba, zjemy taką, jaka jest, zresztą niewiele zostało.

Jadły chwilę w milczeniu, a kiedy już kończyły, Ludwika niby obojętnym głosem zapytała:

– Nie słyszałaś, Sonia, kiedy mają nas wywozić na ten Sybir?

Sonia chwilę zwlekała z odpowiedzią, jakby chciała się upewnić, że nie spowoduje to jakiejś nieprzewidzianej reakcji, ale Ludwika wydawała się spokojna.

– Ludzie mówią, że ma nastąpić około dziesiątego lutego. Podobno wagony od dłuższego czasu stoją przygotowane na stacji w Domanowie.

Dopiero teraz Ludwika przypomniała sobie sceny, jakie rozegrały się na stacji kolejowej, gdzie Rosjanie zabrali jej konie i pobili syna. Widziała wtedy rząd wagonów towarowych i gorączkowe prace przy nich przez ludzi zgonionych tam przymusowo i nadzorowanych przez NKWD. I jak na ironię losu, wielu z nich podzieliło los zesłańców wywiezionych w wagonach przygotowanych przez samych siebie. Choć było jeszcze ciemno, Tadek obudził się.

– Muszę wstać do obrządku, mama pewnie leży chora.

Było mu ciepło pod grubą pierzyną. „Poleżę jeszcze trochę” – mruknął rozleniwiony i wtulił głowę w poduszkę. Leżał przez chwilę, ale wydawało mu się, że słyszy głosy dochodzące z kuchni. „Kto to może być?” – zastanawiał się.

Nasłuchiwał. Teraz już wyraźniej słyszał rozmowę dwóch osób. Wstał zaciekawiony i poszedł do kuchni. Wydawało mu się, że słyszy głos matki. Uchylił drzwi i zobaczył ją rozmawiającą z Sonią. Otworzył drzwi szerzej i wszedł do środka. Kobiety również go zauważyły.

– Mama? – odezwał się zdziwiony.

Jedna popatrzyła na drugą.

– Tadzik, wstałeś już? – spytała, choć go widziała w drzwiach.

– Wstałem i zaraz idę do obrządku.

– A która godzina?

– Będzie około szóstej – odparł.

– Już tak późno? Zagadałyśmy się trochę – powiedziała jakby na usprawiedliwienie.

– Pójdę z tobą, to będzie ci lżej – rzekła matka.

– Mama chce iść do obrządku po wczorajszym wypadku? – z niedowierzaniem odezwał się Tadek.

– Chcę ci pomóc, synu.

– I ja pójdę z wami, może się na coś przydam – zaofiarowała się Sonia.

Ludwika wstała od stołu, ale poczuła, że kręci jej się w głowie. Przemogła jednak słabość i poszła do obory. Kiedy skończyli i wyszli, słońce już wysoko wisiło nad horyzontem. Smużka dymu unosiła się nad kominem i snuła się nisko nad ziemią. Mróz był tęgi, bo skrzypiał głośno pod butami. Weszli do mieszkania, gdzie było przytulnie i ciepło. Usiedli na chwilę na ławie przy piecu, żeby się ogrzać i odpocząć. Na piecu drzemał leniwy kot i nie martwił się o nic, tylko mrucał, jak to bywa w kocim zwyczaju.

Piec na Kresach Wschodnich był w domu najważniejszy, szczególnie zimą. Czasami zastępował łoże i służył różnorodnym celom. W nim lub na nim suszone były

jabłka, gruszki, grzyby albo czarne jagody. Przy nim siadali goście, którzy przychodzili w zimie zmarznięci, i przy nim odbywały się dysputy ważne lub mniej ważne. Tutaj dzieciom opowiadano bajki i tutaj odmawiano wspólne pacierze. Po prostu piec był w pewnym sensie środkiem przekazu, który w owych czasach zastępował radio czy telewizję.

Po śniadaniu znowu usiedli przy piecu i zaczęli snuć wspomnienia z ubiegłych lat.

– Pamiętasz, Ludko – mówiła Sonia – suszyłaś kiedyś czarne jagody na piecu, a kiedy wyschły, dzieci szukały tylko okazji, żeby się do nich dostać?

– Pamiętam i pewnie długo nie zapomnę. Kupiłam wtedy w sklepie u Żyda, no jak mu było...

– Jachim – przypomniała Sonia.

– No tak, Jachim... kupiłam wtedy pieprz w ziarenkach. Był troszkę wilgotny, rozsypałam go na piecu, żeby przesechł. Poszłam doić krowy, a kiedy dołam czwartą czy piątą, wpadł do obory Polko. „Mamo, mamo! – krzyczał. – Chodź szybko, bo Stefan zaraz się udusi!”. „Co takiego? Co ty pleciesz? Co mu się stało?!” – zarzuciłam syna gradem pytań. „Nie wiem, siedzi na piecu i drze się, jakby go kto ze skóry obdzierał”. Zerwałam się i pobiegłam co sił w nogach do domu, patrząc... a na piecu klęczy Stefan. Buzię ma otwartą, łapie powietrze. Z oczu leją mu się łzy, z ust cieknie ślina i krzyczy wniebogłosy. Zbaraniałam, nie wiedziałam, co mam rozbić i co mu jest. Zsadziłam go z pieca i wtedy przypominałam sobie, że na piecu rozsypałam pieprz. Zrozumiałam, co się stało. Na pewno zamiast jagód, najadł się pieprzu. Odruchowo w otwartą buzię wlałam mleko. Zaczął się krztusić i kasłać. Uderzałam dłońią po plecach. Parsknął i wtedy z ust zaczęły wypadać pogryzione ziarenka pieprzu. Odczekałam chwilę, aż się wykaszle, i wtedy dałam mu do ręki kawałek chleba. Zjadł i uspokoił się.

– Łakomstwo zostało srodze ukarane – z rozbawieniem skomentowała Sonia.

– Wtedy nie było mi do śmiechu. Od tej pory nikt już suszonych jagód nie podjadał – dokończyła swoją opowieść Ludwika.

– Zaraz południe, będę musiała już iść zrobić obiad, pewnie dzieciaki są głodne.

– Ja ci pomogę – zaoferowała się Sonia.

– No to chodźmy.

Wstały i poszły do kuchni.

Zbliżało się południe. Do kuchni weszła Halina.

– Mamo, jestem głodna.

– Zaraz będzie obiad. A gdzie Stefan?

– Jeździ na nartach.

– Skaranie boskie z tym chłopakiem, ani chwili w domu nie usiedzi, chyba porąbię mu te narty, jak się nie ustatkuje.

– Ziemniaki już się ugotowały – odezwała się Sonia.

– Leć, Halinko, i wołaj wszystkich na obiad, będziemy podawać do stołu.

Halinka wyszła i po chwili cała rodzina siedziała przy stole. Sonia wniosła i postawiła ziemniaki, a Ludwika skwierczące skwareczki. Jedli w milczeniu i tylko brzęk łyżek o talerze mówił o smaku i apetycie biesiadników. Kończyli właśnie, kiedy na podwórku zaczął szczekać pies.

– Zobacz, kto to może być – poleciła synowi.

Wyjrzał przez okno.

– Dwóch mężczyzn dobija się do furtki.

– Wyjdź do nich i zapytaj, czego chcą.

Wyszedł z domu i podszedł do furtki.

– Co panów do nas sprowadza? – zapytał.

– Chcemy widzieć się z gospodynią.

– A może ja mógłbym pomóc?

– Nie, my musimy z gospodynią – upierał się starszy.

Tadek wrócił do domu.

– Czego oni chcą?

– Chcą rozmawiać z mamą.

– Wpuść ich i niech wejdą do domu.

Tadek wyszedł, a po chwili wrócił z przybyszami.

– Czego chcecie? – Ludwika zapytała obcesowo.

– *Ty pani nie sierzis'* – odparł starszy. – *Nu tak, my przisli* – mówił polsko-białoruskim slangiem. – *My przisli...* nu my. – Przystępował z nogi na nogę, miętosząc w rękę czapkę.

– Gadaj, *baćka* – dodawał mu otuchy młodszy.

– *Nu przisli do was po karowu.*

– Wy chcecie kupić krowę? – zapytała gospodyni.

– Nie, my chcieli wziąć...

– Jak to... chcecie zabrać? Czy to wasze?

– *Nu niet, ale u nas gawarili* – znowu jąkał się starszy.

– U nas pierwszy sekretarz mówił – wtrącił się do rozmowy młodszy – że niedługo mają was... mają Polaków – poprawił się – wywozić na Syberię. To krowy i tak tu zostaną, jak was nie będzie...

– Ale jesteśmy.

– To prawda, ale...

– Skąd jesteście? – zapytała Ludwika.

– Z Wólki, pani – odrzekł starszy.

– To daleko, pieszo przyszliście?

– Pieszko, pani.

– Co ty, *baćka*, mówisz... pani, pani! Słyszałeś, co pierwszy sekretarz mówił: „Teraz już tu panów nie ma, a jeżeli jeszcze są, to niedługo!”.

– To my już pójdziemy – powiedział starszy.

Widać było po nim, że czuje się niezręcznie w roli, w jakiej postawiła go bieda.

– Chodź, synok. – Ukłonił się nisko i obaj wyszli z domu w pośpiechu.

– Mamo, czy to prawda, co oni mówili? – zapytał Tadek z trwogą w głosie.

Nie zaprotestowała. Do końca sama nie wierzyła. Jeszcze miała cień nadziei, ale teraz...

– Mamo, czy to prawda?! – nalegał Tadek.

Stała na środku pokoju z opuszczonymi rękami i patrzyła w okno, daleko.

– Więc to prawda – Tadek poczuł, jak wzbiera w nim gniew. – Nie pozwolę! Nie pozwolę! – zaczął krzyczeć jak w obłądnie.

Wybiegł z domu na podwórze i podbiegł do otwartej bramy. Widział, jak mężczyźni, którzy byli u nich przed chwilą, pędzą ich krowy. Byli już daleko. Ukłękł przed bramą, wznosząc ręce ku górze, a potem uderzał gołymi pięściami w zamarznięty śnieg, znacząc go krwią z pokaleczonych dłoni. Nie widział nawet, kiedy podeszła do niego matka. Podniosła go z klęczek i zaprowadziła do domu. Próbowwała go uspokoić. Przytulił się do niej. Jego złość przemieniła się w skargę na krzywdy i żal ogarnął go całego. Drżał na całym ciele i wybuchnął płaczem. Przytuliła go mocniej. Żal wypływał z niego łzami, które dają ukojenie i oczyszczają duszę. Po chwili się uspokoił i poczuł się mocniejszy. Spojrzał na matkę z miłością, która dodawała mu otuchy w chwilach trudnych, choć sama miała o wiele ciężiej. W jednej chwili postanowił, że od teraz będzie jej pomagał i wspierał w każdej trudnej chwili.

– Pójdę do koni – powiedział, kiedy już się całkiem uspokoił.

Odszedł z opuszczoną głową, jakby się wstydził okazanej słabości.

Ludwika nie ochłonęła jeszcze po tym, co przed chwilą się zdarzyło. Usiadła na ławie, przebiegając w myślach ostatnie wydarzenia. „Co nam przyniesie jutro?” – myślała. Ta jednak rysowała się ponuro. Sonia podeszła do niej i usiadła obok. Milczała, bo nie mogła znaleźć słów pocieszenia. Janka już dawno poszła do swego pokoju, żyła nieco w innym świecie. Polko poszedł do stajni za bratem, a Halina i Stefan siedzieli przy stole, ale niewiele rozumieli z tego, co przeżywają starsi.

Nadchodził wieczór, mrok gęstniał z każdą chwilą, tym bardziej że na niebo zaczęły napływać ciężkie, ołowiane chmury. W oknach domów zaczęły pojawiać się migotliwe płomyki lamp naftowych, których nikłe światło pełzało po ścianach jak jakieś robaczki świętojańskie w noc kupały.

– Pójdę już do obrządku – odezwała się Ludka.

Zapaliła latarnię naftową, szykując się do wyjścia.

– Pójdę z tobą, to ci trochę pomogę.

– Niedługo zabiorą nam wszystko, to nie będę musiała nigdzie wychodzić – rzekła Ludwika z goryczą.

Tadek z Polkiem krzątali się przy koniach. Z obrządkiem uporały się szybko

i wróciły do domu. Wkrótce przyszli obaj chłopcy, ale w nie najlepszych nastrojach. Usiedli przy piecu i milczeli, co zdarzało im się bardzo rzadko. Przestali płatać sobie figle, nie mówiąc już o darciu kotów, które kiedyś należało do rytuałów codziennego życia. Na ich miejsce zaczął zakradać się niepokój o przyszłość, potem strach o życie, który przerodził się w zniewalającą i paraliżującą apatię.

Ludwika podała kolację, a zaraz po niej domownicy udali się do gościnnego, by nieco się ogrzać, a potem rozeszli się do swoich pokoi.

Ludwika z Sonią zostały w kuchni zmywać naczynia. Sonia od czasu do czasu spoglądała w okno, co nie uszło uwadze przyjaciółki.

– Soniu, spieszysz się gdzieś?

– Nie, ale będę zbierać się do domu.

– Zostań jeszcze na noc, a jutro Tadzik odwiezie cię do domu.

– O, nie daj Boże, gdyby mnie ktoś zobaczył u was. Wolę o tym nie myśleć...

– A kto cię tu może zobaczyć?

– Ludko, teraz to i kominy mają oczy, a ściany uszy. Nawet ten, kogo ty uważałaś do tej pory za przyjaciela, może okazać się zdrajcą.

Ludwika zamyśliła się, nigdy nie posądziłaby Sonię o coś takiego.

– Soniu...

– Co takiego?

– Nie wiem, jak mam ci to powiedzieć.

– Mów.

– Widzisz, przychodzą do nas obcy ludzie i biorą, co chcą.

– Co ty mówisz? Ty myślisz, że ja...

– Tak nie myślę, bo znamy się od lat.

– Nawet gdybym wzięła krowę czy konia, to... przecież wiesz, nie mam gdzie tego trzymać ani dać im coś jeść. Dziękuję ci za wszystko, ale muszę już iść.

– No, to żegnaj, przyjaciółko, choć chciałabym ci powiedzieć do widzenia, lecz nie wiem, czy się jeszcze spotkamy – powiedziała Sonia.

Uściskały się serdecznie. Nie ukrywały przy tym pożegnaniu wzruszenia ani łez. Sonia wyszła, zamykając za sobą drzwi. Kiedy wychodziła furtką, Ludwika słyszała skomlenie psa, które mówiło, że odszedł ktoś bliski – na zawsze! Zwierzęta mają instynkt przewidywania większy niż ludzie. Ludwika została sama. Wyszła za Sonią, niby sprawdzić, czy brama jest zamknięta. Pogłaskała psa i wróciła do domu. Domownicy już spali. Posiedziała jeszcze chwilę i też się położyła.

Noc Ludwika miała niespokojną. Długo nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, zasypiała na chwilę i znów się budziła. Wreszcie nad ranem zapadła w głęboki sen. Zaczęły nawiedzać ją senne koszmary. Śniło jej się, że widzi gromadę karłów z powykrzywianymi gębami. Ręce mieli długie aż do ziemi, a na palcach u rąk krogulcze pazury. Szli ku niej, mlaskając długimi jęzorami. Nie wiadomo skąd za nimi wyrosła olbrzymia postać NKWD-zisty, który celował w nią z nagana. Śmiał się

złowieszczo, ukazując spod grubych warg długie, końskie zęby. Z kącików ust sączyła mu się ślina. Próbowwała uciec, lecz nie mogła się ruszyć. Huknął strzał! Zaczęła krzyczeć. Zerwała się z łóżka, cała obłana potem. „Czy to był sen?” – myślała. „To tylko sen” – odetchnęła z ulgą. Oby się tylko nie sprawdził. „Która to może być godzina?” Zegar za ścianą wydzwaniał godziny. „Bim-bam, bim-bam” – liczyła. „To już szósta. Dopiero położyłam się, a tu już szósta?” – zdziwiła się. Dawno powinna być w oborze.

Wstała, umyła się i ubrała, poszła do obory. Najpierw zrzuciła krowom trochę siana, a potem wzięła się za dojenie.

„Tadek pewnie też jest przy koniach” – stwierdziła, bo głośne rżenie dochodziło ze stajni. Doiła ostatnią krowę, kiedy do obory wszedł syn. Usiadł na korytarzu na stołku i czekał, aż matka skończy doić.

Na dworze poszarzało i blade światło z trudem przedzierało się przez zamalowane mrozem szyby okien. Kiedy matka skończyła doić, Tadek wziął widły i zaczął usuwać obornik spod krów.

Na podwórzu ujadał pies.

– *Nu, paszoł won, paszoł won!* – dobiegły do nich męskie głosy.

Po chwili do obory weszło trzech mężczyzn. Rozglądali się z ciekawością. Podchodzili do krów, a to z jednej, a to z drugiej strony.

– *Nu kak, Wołodia, narawitsa?*

– *Krasiwyje, piękne* – odpowiedział zagadnięty.

– *A tobie, Sasza?* – Sasza tylko cmoknął i nie mówił nic.

Jeden z przybyłych poszedł zobaczyć konie. Zrobił się tam jakiś tumult i po chwili wrócił przestraszony i bez czapki.

– *Iwan, co się stało?* – zapytał Wołodia.

– *A job jewo, praklataja łoszad'* – zaklął.

– *A czort z końmi* – powiedział Iwan.

– *Nu, Wołodia, którą wybierasz?*

– *Tę pierwszą.*

– *A ty, Sasza?*

– *Chyba...* – zastanawiał się – *trzecią.*

– *Nu a ty, którą weźmie?* – zapytał Sasza Iwana. – *Ja wezmę tę drugą i tę, która stoi na korytarzu.*

Koledzy popatrzyli po sobie, a potem roześmieli się, szczerząc od lat niemyte zęby.

– *Nu kak, pójdiesz ze mną?* – zapytał, podchodząc bliżej.

Pozostali rechotali ubawieni i czekali na dalsze popisy jego prostackich manier, z których był znany w całej okolicy.

– *No, jak?* – ponowił propozycję.

– *Zostaw dla krowy swoje końskie zaloty* – odparła złośliwie Ludwika. – *Chyba*

po to po nią przyszedłeś, a i dla niej musiałbyś się najpierw umyć. Śmierdzisz niczym stary cap.

Kolegom zastygł uśmiech na twarzach i czekali na dalszy ciąg słownego pojedynku.

– Coś ty powiedziała?! – Złość wykrzywiła żołdakowi gębę. Zrobił krok w jej kierunku...

Ludwika wyrwała widły z rąk Tadzika i skierowała je w jego stronę.

Zawahał się i stracił rezon, czuł, że za daleko zabrnął, może i chciał jakoś wycofać się, ale...

– Jeżeli zrobisz jeszcze jeden krok, to pożałujesz, żeś tu przyszedł.

Widział po niej, że nie żartuje.

– Wania, Wania, chodź, chyba nie będziesz bił się z kobietą.

Widocznie uznał, że to dobry argument i na czasie, który pozwoli zachować mu twarz.

– Nu, ty jeszcze *pasmatrix*! – powiedział, ale widać było, że po raz pierwszy stracił pewność siebie.

Odwrócił się demonstracyjnie.

– Bieriom, co mamy brać, i chodźmy – powiedział Wołodia.

Odwiązali krowy i wyprowadzili na podwórko. Jeden z nich odwrócił się i powiedział do Tadzika:

– Ty, *malczyk*, przynieś no mi czapkę ze stajni.

– Idź i sam sobie weź – arogancko odrzekł Tadzik.

– A niech cię chaliera ty, polskie szczenię! – Machnął tylko ręką i wyszedł z obory.

Pognali krowy przez zaśnieżone pola w kierunku Gnojnej.

Ludwika i Tadek zostali w oborze sami.

– Niedługo nie będziemy mieli po co tu przychodzić – zasmucił się Tadek.

– Niedługo pewnie nas tu nie będzie.

– A gdzie będziem?

– Nie wiem.

– Pojdę zobaczyć do koni – Tadek wyszedł do stajni.

Czapka Białorusina leżała wdeptana kopytami w obornik. Poklepał konia po kłębie z satysfakcją i wrócił do matki.

– Chodźmy do domu.

– Jeszcze tylko przyniosę trochę drzewa do pieca – powiedział Tadek.

Matka poszła do domu, a on do drewni.

Przyniósł całe naręcze szczap i wziął się za rozpalamie pieca. Matka zrobiła śniadanie; zjedli i cały dzień upłynął im na wyczekiwaniu. Patrzyli w okna i wypatrywali, z której strony przyjdą amatorzy cudzego dobytku i zabiorą im resztę tego, co mają. Nie czekali zbyt długo. W samo południe od strony wsi przyszło

dwoje: kobieta i mężczyzna. Nie wchodzili nawet do mieszkania. Nie tłumaczyli się nikomu. Weszli do obory jak do siebie. Wzięli dwie krowy niczym swoje i popędzili drogą do wsi. Wieczorem, jak zwykle, Ludwika poszła do obory wydoić krowę. Wydała jej się duża i pusta. Brykla przyzwyczajona do stada porykiwała bez przerwy i rozglądała się dookoła. Ludwika podeszła do niej i ujęła za dójki. Krowa odskoczyła na bok.

– Brykla, Brykla – mówiła do niej i głaskała po szyi.

Podeszła znowu do dojenia, ale krowa mleka nie dała. Weszła na górę i rzuciła siano. Brykla przewracała pyskiem siano, ale nie jadła. Po dłuższym czasie uspokoiła się i pozwoliła się wydoić. Ludwika wróciła do domu zrezygnowana. Usiadła przy piecu na ławie i zamyśliła się. Dzień, który minął, był pełen przykrych niespodzianek.

„A co jeszcze nas czeka?”- zadawała sobie to pytanie po raz kolejny. Stodołę i oborę przestali zamykać na noc na rygiel w obawie, że złodziej, któremu nie uda się wziąć tego, po co przyszedł, może puścić ich z dymem.

Ludwika położyła się spać. Sen jednak nie przychodził. Patrzyła w okno. Pызaty księżyc wtoczył się już na niebo i zaglądał do domów. Było jasno jak w dzień. Mróz był widocznie siarczysty, bo słychać było trzaski pękających drzew. Była już prawie północ. Gdzieś daleko słychać było wycie wilków, najpierw pojedyncze, a potem zaczęły odzywać się ze wszystkich stron. Wycie niosło się daleko przy tym mrozie i pełni księżyca. Zwykle przy takiej pogodzie odzywa się w nich zew krwi, który każe im mordować nie tylko dla zaspokojenia głodu.

Ludwice, kiedy usłyszała te wycia, ścierpła skóra. Pamiętała, jak w biały dzień wilki zabrały im barana z podwórka. Psy uciekły w popłochu i nie było ich przez parę dni. Wrócił najpierw jeden, potem drugi. Nie czuły się pewnie u siebie.

Ludwika zasnęła dopiero około drugiej. Obudził ją przeraźliwy skowyt psa blisko domu. Był tak żałosny, że włosy zjeżyły jej się na głowie. Po chwili wszystko ucichło i tylko charkot wydobywający się z wilczych gardeł mówił o dramacie, jaki rozegrał się przed chwilą. Halina i Stefan, wystraszeni jazgotem, wyskoczyli ze swoich łóżek i przybiegli do sypialni matki. Weszli do niej do łóżka i schowali się pod pierzyną. Nikt z domowników już tej nocy nie zasnął.

Zaraz po śniadaniu Tadek z Polkiem poszli zobaczyć, co się stało w nocy. Wyszli za furtkę. Parę metrów od bramy leżały szczątki rozszarpanego psa. Przyglądali mu się przez chwilę.

– To nasz pies – powiedział Polko.

– Głupi, po czym poznajesz, że to nasz, jak niewiele z niego zostało.

– Po skarpetkach na nogach, zobacz.

Tadek przyjrzał się uważniej.

Chyba Polko ma rację, nasz Azor był czarny, ale na nogach od łap do łydek miał białą sierść.

– Masz rację, to był nasz pies, uciekał pewnie przed wilkami i tu przed domem

go dopadły.

– Trzeba go zakopać, nie może tak leżeć przed domem – powiedział Polko.

– Jak chcesz go zakopać, jak ziemia zamarznęta?

– Pod śniegiem nie jest.

– To leć po łopatę.

Po chwili Polko wrócił z łopatą. Tadek wziął ją, odgarnął śnieg i wykopał dół.

Złożyli szczątki psa i zakopali.

Po powrocie do domu matka zapytała chłopców, co się stało.

– Naszego Azora wilki zagryzły.

Przez następne dwa dni nikt nie odwiedzał gospodarstwa Ludwiki. Trzeciego dnia przyszedł sąsiad, Ostapczuk, pół-Białorusin pół-Polak. Wszedł do mieszkania i nieproszony usiadł na ławie przy piecu. Wyjął blaszane pudełko z tytoniem, wziął szczyptę machorki w palce, włożył w kawałek oderwanej gazety i owinął. Poślinił brzeg papieru, żeby się skleił. Zapalił skręta.

– Słyszałem, że mieliście ostatnio trochę gości – zagaikł.

– Było paru nieproszonych – odrzekła Ludwika.

– Zabrali wam wszystko czy jeszcze coś zostało?

– A co was to obchodzi? Czy ja wam do obory zaglądam? – odparła poirytowana gospodyni.

– Bo widzi sąsiadka, jeżeli mają wam zabrać obcy, to lepiej niech ja wam wezmę, po sąsiedzku. – I znowu puścił kłęb śmierdzącego dymu.

Stefan, który wszedł do pokoju, zaczął kasłać.

– Niech sąsiad zgasi tego skręta, bo jeszcze dziecko dymem udusi.

– Patrzcie, jacy delikatni się porobili – z sarkazmem zauważył przybyły. – Niedługo nie takie przykrości mogą was spotkać – dodał.

Ta uwaga zabolala Ludwikę.

– A wynoś mi się stąd! – Rozgniewana wzięła pogrzebacz do ręki. – Całe życie, jak sęp, żerujesz na innych, a teraz przychodzisz tutaj.

Zamierzyła się na niego pogrzebaczem. Nie czekał na dalszy ciąg. Wstał i w pośpiechu wyszedł z domu. Jeszcze tylko od progu mruknął:

– Jeszcze tego pożałujesz!

Na drugi dzień Tadek wstał wcześniej i poszedł do koni. Nie zabawił tam długo, zaraz wrócił cały roztrzęsiony.

– Mamo! Mamo! Jednego konia nie ma w stajni! – mówił prawie ze łzami w oczach.

Matka poszła z synem do stajni. Rzeczywiście, konia w boksie nie było. Tadek rozejrzał się uważniej.

– Mamo, uprząż też zginęła.

– To pewnie sprawka Ostapczuka i jego synów. On całe życie ze złodziejstwa żył.

– To chodźmy do niego.

– To nic nie da, na pewno nie trzyma konia u siebie. Wracajmy do domu.

Nadszedł ósmy lutego. Dzień podobny do innych zimowych dni. Po błękitnym niebie snuły się pierzaste chmurki niczym żagle łodzi po bezkresnym oceanie. Słońce co raz wyglądało zza chmurki. Promienie padały na zamrożony śnieg. Skrzył się wtedy i rozbłyskiwał, rażąc blaskiem ludzi. Ludzie przymykali oczy albo zasłaniali je ręką. Trzymał tęgi mróz.

W samo południe do gospodarstwa Ludwika z pobliskiej wioski Gnojnej przyszedł Naliwko z synem Aleksandrem, który na ramieniu miał przewieszony, lufą do dołu, karabin. Widocznie należał do ochotniczej rezerwy milicji przy gminnej jednostce NKWD. Chodzili po obejściu, zaglądali do stodoły, stajni. Znali tu każdy kąt, wszak Aleksander podejmował się tutaj do pracy, do różnych zajęć polowych i przydomowych. Ludwika z Tadzikiem obserwowali przybyłych. Nie wróżyło to niczego dobrego. Weszli do obory i długo z niej nie wychodzili. Zaniepokojona Ludwika z synem wyszła z domu i skierowała się do obory. Aleksander odwiązywał ostatnią krowę. Podeszła do niego.

– Aleksander, chcesz zabrać nam ostatnią krowę? – mówiła do niego z żalem w głosie. – Tylko ta jedna nam została, z czego będziemy żyć?

Ale on udawał, że nie słyszy. Złapała więc za łańcuch i próbowała go wyrwać z rąk Aleksandra. Zaczęli się szarpać. Pchnął ją z całej siły, aż upadła. Wstała szybko i zabiegła mu drogę w drzwiach. Zaparła się rękami o futrynę. Chciał przejść, lecz ona nadal nie puszczała.

– Odejdź! – wrzasnęła. – Bo zabiję!

Lecz ona nadal stała w drzwiach, broniąc swego dobytku. Widziała, jak ojciec Aleksandra wyprowadza konia ze stajni. Tadek próbował go zatrzymać – nie dał rady.

– Puszczaj – usłyszała za plecami jak warknięcie psa.

Stała nadal. Aleksander zdjął karabin z ramienia, zamachnął się i uderzył z całej siły kolbą w jej plecy. Upadła twarzą w śnieg. Wyprowadził ostatnią krowę z obory i poszli z ojcem w kierunku wsi.

Tadek podbiegł do matki. Z trudem wstała i oboje wrócili do domu. Usiadła na ławie przy piecu. Wydawało jej się, że całe plecy ma drętwe. Czuła piekący ból łopatki i pulsujące rwanie przy każdym uderzeniu serca. Wieczorem poszła do kuchni, żeby się umyć. Poprosiła córkę, aby pomogła jej się rozebrać i umyć plecy. Kiedy rozebrała matkę, zobaczyła na prawej łopatce podłużny, fioletowy krwiatek [4]. Zrobiło jej się słabo. Delikatnie przemyła flanelową szmatką krwawy bąbel. Ludwika zaciskała zęby, żeby nie krzyknąć. Po umyciu córka poradziła matce, aby obłożyć krwiatek kwaśnym mlekiem. Przygotowały opatrunek, który Janka przyłożyła na chore miejsce i zabandażowała lnianą opaską, żeby się nie przesunął. Przed snem Ludwika uklękła do modlitwy. Nie mogła się skupić. Przed oczami zaczęły przesunąć się obrazy nieszczęść, jakie ją i jej rodzinę spotkały w ostatnich pięciu miesiącach.

Starła się do tej pory nie okazywać słabości przy dzieciach. Teraz uklęka i próbowała rozmawiać z Bogiem. Żal, który tkwił w jej sercu, zamienił się w szloch. Łzy ciekły po policzkach. Wśród łkań słycać było skargę: „Boże mój, za co mnie tak doświadczasz...”.

Klęcząc z głową opartą na łóżku, zasnęła. W środku nocy obudziła się i położyła do łóżka. Rano poczuła się znacznie lepiej, a i stłuczona łopatka jakby mniej bolała.

Rozdział IX

Z początkiem lutego 1941 roku na wschodnich terenach byłej Rzeczypospolitej nasiliły się aresztowania polskiej inteligencji. Szczególne represje dotknęły byłych wojskowych i policjantów. Nie ominęły również nauczycieli, leśników czy kolejarzy, niezależnie od tego, czy byli oni narodowości polskiej, białoruskiej czy ukraińskiej. Kryterium oceny było jedno: czy pracowali dla Polaków. Aresztowani przechodzili bestialskie przesłuchania w rejonach i z adnotacją „szpieg” lub „wróg ludu” trafiali przed „sprawiedliwe” oblicze sądu. Prokurator czytał absurdalny akt oskarżenia:

- Czy oskarżony przyznaje się do zarzucanych mu czynów? – pytał sędzia.
- Tak – odpowiadali, choć nie rozumieli, o co ich oskarżają.

Woleli być skazani za cokolwiek, byle nie trafić z powrotem do aresztów śledczych prowadzonych przez NKWD. Oskarżeni dostawali od ręki paragraf: kara śmierci albo zsyłka do łagrów na trzydzieści, dwadzieścia albo w drodze łaski na dziesięć lat. Nie wiadomo, co było lepsze – umrzeć od razu od strzału w potylicę czaszki, czy umierać powoli w łagrach, gdzie za byle wykroczenie bito knutem po gołych plecach albo stawiano nago na mrozie, jednak z jakąś możliwością przetrwania. Niektórych skazańców wywożono do pobliskich Kuropat, gdzie w zbiorowych mogiłach leżą do dziś, użyźniając ziemię rosnących tam białoruskich lasów. Według nieoficjalnych danych wymordowano tam od 3,5 tysiąca do 4 tysięcy Polaków. Jak dotąd, rząd Białorusi skrzętnie ukrywa wstydliwą dla siebie prawdę. Nie ma odwagi otworzyć swoich archiwów i pokazać, ile niewinnej krwi wsiąknęło w tę ziemię. Kaci czują się bezpiecznie. Nie mają nawet wyrzutów sumienia. „Nie robiliśmy przecież tego dla siebie – tłumaczą. – Spełnialiśmy tylko obowiązek”. Dobrze spełniali. Zasługują na zaszczyty, order, zasłużoną emeryturę – mordercy!!!

Ludwika wstała wczesnie. Plecy ją jeszcze bolały, ale jakby trochę mniej. Najgorzej było, jak chciała się uczesać. Umyła się, przebrała i poszła do obrządku. Wyszła na dwór. Mróz skrzypiał pod nogami. Księżyc przewędrował prawie przez całe niebo i lada moment miał się skryć za lasem. Otworzyła drzwi do obory i weszła do środka z wiadrem, żeby wydoić krowy. Zupełnie zapomniała, że wczoraj zabrali ostatnią. Popatrzyła na pustą oborę. Była taka duża. Wtedy dotarło do niej, że nie ma już nic i że niepotrzebnie wstawiała. Usiadła na stołku. Cisza, jaka była w oborze, szumiała i dzwoniła w uszach. Nigdy nie słyszała takiej głośniejszej ciszy... Zakryła dłońmi uszy, ale to nie pomogło. Jeszcze bardziej huczało jej w głowie. Wyszła na dwór i stanęła na środku podwórka. Patrzyła na roziskrzane gwiazdami niebo. Czowała się taka maleńka wśród ogromu wszechświata i zupełnie zagubiona. „Jakie niebo jest piękne” – pomyślała.

Spojrzała odruchowo na wschód. Daleko na horyzoncie niebo zaczęło jaśnieć.

Jakaś niewidzialna siła popychała ją tam. Podeszła do bramy. Wysoko nad głową przeleciała kometa ze świetlistym ogonem. Przecięła firmament z zachodu na wschód i nisko nad ziemią zgasła.

Gwiazdy bledły, a daleko na horyzoncie wschodzące słońce zaczęło malować krwistą poświatę. Niebo przyoblekło się w purpurową szatę, z każdą minutą było coraz jaśniejsze, aż ognisty sierp słońca wyjrzał i rozlał się po ziemi.

Nie zauważyła, że podszedł do niej pies. Otarł się o nogi i cicho zaskomlał. Przestraszyła się.

– Saba? Gdyby ludzie byli tacy wierni jak ty, nie byłoby tyle nieszczęść – powiedziała do niego.

Pochyliła się nad nim i zaczęła go głaskać. Pomerdał ogonem i zaszczekał, jakby chciał coś powiedzieć.

Na dworze zrobiło się zupełnie widno.

– Zimno ci, piesku? – zapytała. – No mnie też, chodźmy do domu.

Saba odprowadził ją do drzwi.

Weszła do domu i usiadła na ławie. Dom pogrążony był jeszcze we śnie i wydawał się zupełnie pusty i obcy.

– Trzeba napalić w piecu, bo nie mam nic innego do roboty – powiedziała do siebie.

Ale jakoś nie spieszyło się jej. Tadek wstał i poszedł do kuchni umyć się. Za nim poszedł Polko, a na końcu Janka. Ludwika siedziała przy piecu jak odrętwiała i nie ruszyła się z miejsca. Myśli leciały gdzieś daleko, a potem wracały i brzęczały niczym natrętne muchy. Patrzyła na zamalowane mrozem szyby i nie widziała nikogo, choć byli tak blisko. Tadek z Polkiem spoglądali na nią i nie mieli odwagi przerwać jej rozmyślań.

Do pokoju weszła Halina. Podeszła do matki.

– Mamo, ja chcę jeść.

– Co?

– Ja chcę jeść – powtórzyła.

– Ach, tak... – przytuliła ją do siebie.

Dopiero teraz zauważyła, że cała rodzina jest wokół niej.

– Gdzie Stefan?

– Pewnie jeszcze śpi – odpowiedziała Halina.

– To idź i obudź go, bo zaraz zrobię śniadanie. Tadek z Polkiem macie napalić w piecu. – Widocznie wróciła do rzeczywistości.

– Janka, chodź, przygotujemy śniadanie.

Obie weszły do kuchni, a chłopcy poszli po drzewo. Po śniadaniu bracia kręcili się po mieszkaniu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Janka poszła do siebie, a Halina z mamą siedziały w kuchni. Stefan jak zwykle wziął narty i wyszedł na chwilę, żeby na nich pobiegać mimo tęgiego mrozu. Wrócił dopiero na obiad, aż zielony z zimna

i chlipał nosem.

– Jeszcze się jakiejś choroby nabawisz – gderwała matka, ale chyba tylko po to, żeby coś powiedzieć, bo to i tak, jakby rzucał grochem o ścianę.

Zresztą, co miał robić? Do szkoły nie chodził nie wiadomo dlaczego. Żaden z Polaków nie dostał zawiadomienia o konieczności uczęszczania na zajęcia. Poza tym nauka w szkole była prowadzona w języku rosyjskim, a cyrylica była dla dzieci jak hieroglify egipskie.

Janka z matką gotowały obiad. Był skromny, nie taki jak kiedyś, gdy wszystkiego było pod dostatkiem. Po obiedzie przenieśli się do dużego pokoju, gdzie było już ciepło. Pousiadali, gdzie kto mógł, ale nikt się nie odzywał. Tylko zegar na ścianie tykał, odmierzając czas wahadłem. Bo i co mieli mówić? Zabrano już im wszystko. Nie wiadomo, czy jutro będą mieli co włożyć do garnka.

Nie tylko oni byli w takiej sytuacji. Wszyscy Polacy żyli teraz skromnie, żeby nie powiedzieć w biedzie. Ot, chociażby taka rodzina Soleników. Kobieta samotna z czworgiem dzieci. Mąż przed wojną wyjechał do Ameryki za chlebem. Przysyłał żonie na utrzymanie dolary. Chciał ich ściągnąć do siebie, ale wybuchła wojna. Zostali bez niczego. Czasami udało się dostać śledzia na borg u Żyda, bo nie mieli za co kupić.

– Pamiętasz – przerwał ciszę Polko – jak Stefan miał trzy czy cztery lata, chodził po poręczy na moście. Pod nim była sześciometrowa przepaść. Gdyby spadł... eeee, lepiej nie mówić. Ile się tata nakombinował, żeby go stamtąd zdjąć! Nie zazdrozczę mu tego do dziś. Portki od lania miał czerwone. Wrzeszczał, jakby go ze skóry obdzierano. Od tego czasu omijał jaz na kilometr.

Wszyscy roześmieli się, tylko Stefan spoglądał na Polka spode łba, za to, że mu to przypomniiał.

– Komuś to umiesz przypiąć łatkę, a sam pamiętasz? – mówiła Janka. – Poszedłeś z Tadzikiem do sąsiada na jabłko. Włazłeś na drzewo i pod tobą złamała się gałąź. Falana widział was i poszedł do ojca na skargę. Nie dość, że potłukłeś się, spadając z drzewa, to jeszcze...

– Przestań, i lepiej tego nie mów! Nie zapomnę nigdy.

– Chodź, Janka, do kuchni, zrobimy kolację.

Usmażyły placki ziemniaczane i gorące podały na stół. Było jeszcze trochę miodu ze starych zapasów. Chrupiące placki smarowane miodem zjedli ze smakiem.

Wieczory w styczniu były długie, bo mrok zapadał wcześniej. Pracy w gospodarstwie nie było prawie żadnej, więc w te długie wieczory wiało nudą.

– Co będziemy teraz robić? – zapytała Halinka.

Tadek z Polkiem wzruszyli tylko ramionami.

– Może Janka nam poczyta „W pustyni i w puszczy”? – zaproponował Stefan.

– Znowu? Ile razy można to czytać?

– Poczytaj – prosiła Halina.

- No dobrze, niech będzie.
- Nafty w lampie już mało – zwróciła uwagę matka.
- Oj, mamó, pozwól – prosiła Halina.
- No dobrze, ale jutro będziecie siedzieli po ciemku.

Tadek zapalił lampę i postawił na stole.

- Na czym ostatnio skończyliśmy? – spytała Janka.
- Jak dojechali do wielkiego baobabu – przypomniała Halina.
- W środku był pusty i Staś zapalił ognisko i ze środka wypełznął wystraszony wąż boa – przytoczył treść książki jednym tchem Stefan.

– I baobab ten nazwali Kraków – dopowiedziała Halina.

– I wystraszony wąż uciekał w popłochu i wpadł do kanionu, w którym był uwięziony słoń – Stefan gorączkowo uzupełnił opowieść, przejęty losem węża. Czytała dalej, jak zachorowała Nel i miała wysoką gorączkę. I o tym, jak Staś spotkał Lindego, który prowadził ekspedycję naukową. Przemierzał Saharę, Sudan i Kenię, gdzie został śmiertelnie ranny, a teraz umierał. Jego ludzie, Murzyni, którzy brali udział w tej wyprawie, zostali ukąszeni przez muchy tse-tse i zapadali w śpiączkę. Przed śmiercią zrywali się i pędzili na oślep do dżungli i tam ginęli. I o tym, jak Staś dostał od Lindego chininę, lekarstwo na malarię. Kiedy Janka przeczytała, że Nel wyzdrowiała, lampa zaczęła gasnąć.

– No to idziemy spać – zawyrokowała Janka, zmęczona czytaniem.

– Jak jesteśmy razem, odmówmy modlitwę przed snem. – Matka uklękła przed krzyżem wiszącym na ścianie. – W imię Ojca i Syna i... – Zrobiła znak krzyża i zaczęli się modlić.

– Ojciec nasz, któryś jest w niebie... – Dom wypełniała modlitwa, która miała jakiś mistyczny wydźwięk. Potem mówili dalej: „Zdrowaś Mario łaski pełna”. Modlitwa popłynęła do Tej, która jest opiekunką słabych i uciśnionych, a którzy składają w Jej serce swoje nadzieje, siebie samych, najbliższych i kraj. A potem odmawiali „Skład apostolski”, dziesięcioro przykazań i „Aniele Boży”... Po tej modlitwie wstali.

– Odmówmy jeszcze „Anioł Pański”.

Uklękli znowu. Popłynęła modlitwa serdeczna, żarliwa. Kiedy odmawiali „Pod Twoją obronę”, Ludwika spojrzała na krzyż.

– Panie Jezu, Ty cierpiełeś na krzyżu, ale Ty byłeś Bogiem, a ja jestem słaba i nie zniosę tego więcej.

Podczas tej modlitwy wydawało jej się że usłyszała: „Zniesiesz o wiele więcej”.

– Abyśmy byli godni obietnic Chrystusowych – kończyli „Anioła Pańskiego” i zaczęli wstawać.

Ludwika jeszcze klęczała.

– Niech się stanie wola Twoja, Panie – powiedziała prawie na głos.

– Co mama mówi? – zapytał Tadek, który klęczał najbliżej matki.

– Nic, nic, chodźmy już spać.

Ludwika weszła do swojego pokoju i usiadła na łóżku. Wydawało jej się, że słyszy szczekanie psów. Przez zamknięte okna dochodziły przyciszone głosy przerażonych ludzi. W oknach domów paliły się światła lamp. O tej porze zawsze było już ciemno. Usłyszała wyraźny terkot karabinu maszynowego. Po niebie leciały świecące pociski równo jeden za drugim, niczym świecące koraliki nanizane na sznureczki. Naraz wszystko ucichło. W domach pogasły lampy, tylko naokoło słychać było wycie psów. Długo jeszcze stała przed oknem i patrzyła w ciemność nocy. Zrobiło jej się zimno. Weszła do łóżka, ale nie mogła zasnąć. Na niebo wytoczył się pyzaty księżyc. Zrobiło się widno jak w dzień. Zaglądał do okien, łąził po ścianach, a potem usiadł na łóżku Ludwiki. Bezczelny.

Obudziło ją głośnie walenie do drzwi.

– *Adkroj dwiery* – darł się ktoś i tłukł kolbą karabinu w drzwi.

Zerwała się przerażona z łóżka, wrzuciła na siebie szlafrok i wyszła do sieni.

– *Skariej, skariej, otwieraj!* – wrzeszczał ktoś po tamtej stronie.

– *Otwieraj! Job twoju mać!* Bo rozwałę drzwi! – wrzasnął, aż posypały się drzazgi.

Podeszła, przekręciła klucz w zamku i ujęła drżącą ręką klamkę. Otworzyła drzwi na oścież. Mroźny powiew zimy wdarł się do domu. Przed domem stał oficer NKWD i kilku krasnoarmiejców z karabinami w ręku. Nieopodal stały konie zaprzężone do sań. Siedział na nich woźnica ubrany w grubą szubę, z czapą nasuniętą na uszy. Oficer wyjął z raportówki jakiś dokument i zaczął czytać:

– Ukaz... dekret, na podstawie którego rodzina Wasilewskich zamieszkała w Złotowie zostaje deportowana w trybie natychmiastowym do Związku Radzieckiego.

– Jak on może czytać po ciemku – dziwił się Polko.

– Głupi, przecież on nauczył się tego na pamięć.

NKWD-zista spojrzał na nich groźnie.

– Dajemy wam pół godziny na spakowanie bagażu i opuszczenie domu – powiedział i spojrzał na zegarek.

Po usłyszeniu tej wiadomości pod Ludwiką ugięły się nogi. Musiała szybko wziąć się w garść, żeby nie tracić cennego czasu.

– Biegnijcie do swoich pokoi i ubierzcie się ciepło, a resztę odzieży włóżcie do worków. Zabierzcie też wszystkie pierzyny i poduszki, tylko pośpieszcie się.

Odruchowo zamknęła za sobą drzwi i pobiegła do swojego pokoju zrobić to samo.

– Nie zamykaj! – wrzasnął jeden z nich. – Jak będziesz chciała uciec, to zastrzelę – powiedział i otworzył drzwi.

Ludwika spakowała najpierw wszystkie swoje rzeczy, a potem poszła przygotować do drogi rzeczy Haliny i Stefana, którzy siedzieli przestraszeni na

łóżkach.

Nie było tego wiele, bo ze starych wyrastali szybko, a nowe matka miała kupić dopiero na wiosnę.

– No, chodźcie szybko, ubierajcie się, bo pomarzniecie w drodze.

– Mamo, a gdzie my jedziemy, do babci? – zapytała Halina.

– Chyba do Dziadka Mroza – odpowiedziała gorzko.

Chłopcy swoje ciepłe ubrania i pościel spakowali szybko i wynieśli do sieni. Poszli do sypialni Janki zobaczyć, czy też już jest gotowa. Siedziała na łóżku i patrzyła w okno.

– Ubieraj się szybko! Chcesz w koszuli jechać? – zdenerwował się Tadek.

Zaczęli wyrzucać ubrania z szafy i wkładać do worków. Oprzytomniała i pomogła chłopcom przy pakowaniu.

– Zostaw to, najpierw ciepło się ubierz. Potem spakuj swoją pościel, szybko.

Dwaj żołnierze weszli do mieszkania. Mieli pilnować, żeby ktoś przypadkiem nie uciekł przez okno. Przyglądali się niezupełnie ubranej Jance.

– Nu, nie brzydka, co? Ładniejsza niż nasze czerepachy.

– Może i ładniejsza, ale nie dla ciebie.

– A czemuż to?

– Bo to Polka, pani, a ty kto? – zakończył rozmowę żołdak.

– *Skariej, skariej!* – Słysząc było z dworu. Wydawało mu się, że to za długo trwa. Widocznie zmarł i chciał szybciej skończyć swoją robotę.

Tymczasem Ludwika i chłopcy zapakowali chyba już wszystko, co uważali za niezbędne.

– Tadek, weź taczkę, załadujcie najpierw na sanie te cztery worki mąki, co w zeszłym tygodniu przywiozłam z młyna. Ja z Janką poznosimy ubrania i pościel.

Wzięła dwa worki i przyniosła do sań. Usłyszała rżenie kona, jakieś znajome.

– Kasztanka... – zdziwiła się.

Podeszła bliżej do konia.

– Kasztanka! – zawołała.

Kobyła zarżała.

Postawiła worki przy saniach i podeszła bliżej do klaczy.

– Kasztanka – mówiła do niej i głaskała po szyi.

Serce ścisnęło jej się na samo wspomnienie. Zabrali ją ruskie kilka miesięcy temu. Co za ironia! Przyjechali, żeby wywieźć ją na Syberię, jej końmi. Kasztanka położyła głowę na jej ramieniu. Poczowała gwałtowne szarpnięcie za ramię.

– Odejdź od naszych koni – warknął żołdat.

– To moje konie, ukradliście mi je przed...

Nie dał jej skończyć.

– Twego jest tyle, ile załadujesz na sanie, i spiesz się, żebyś nie została bez niczego.

Chłopcy ładowali już mąkę na sanie. Ludwika poszła do domu i zaczęła z Janką wynosić worki z ubraniami i pościel. Nie było tego dużo, bo co mogli wziąć w ciągu pół godziny?

– Jak skończycie z mąką, to idźcie do kurnika. Trzeba zabrać resztę kur. Nie zostawicie ich tym złodziejom.

– Ja zaraz przyjdę i przyniosę worek.

– Szybciej, szybciej! – ponaglał żołdat.

Polko pobiegł po siekierkę do drewni. Po chwili ją przyniósł, a Tadek ustawił pień. Wkrótce przynieśli trzepocący się worek.

– *Sadities, sadities* – pospieszał oficer.

Halina ze Stefanem wyszli z domu. Halina trzymała na rękach dużą lalkę w niebieskiej sukience, a Stefan niósł narty w jednej ręce, a w drugiej pudełko kolorowych bombek zdjętych z choinki. Kiedy Halina podeszła do sań, żołnierz wyrwał jej lalkę z ręki i rzucił koledze.

– Masz, Wania. Mówiłeś, że ta Polka ci się podoba. Za wysokie progi. Ale ta podobna do tamtej. Możesz pójść z nią do świetlicy na tańce.

– Dureń – odparł obrażony. Halina rozplakała się.

– Nu, pajechali! – woźnica zaciął z bata i sanie ruszyły.

Janka oglądała się do tyłu na dom, jakby chciała zapamiętać go na dłużej. Kiedy skręcili za róg, wyskoczyła z sań i pobiegła ile sił w nogach z powrotem.

– Stój! Stój! – krzyczał żołnierz i zaczął za nią strzelać.

Ale była już za rogiem. Wpadła do mieszkania, otworzyła szufladę i wzięła coś do ręki. Żołnierz wbiegł za nią, dopadł ją, jak wyjmowała to coś z szuflady.

– Co masz, złoto? – Siłą otworzył zaciśniętą pięść dziewczynki. Zabolalo.

W ręku trzymała zasuszony pierścionek ze stokrotek zerwanych na łące, który dostała od Leszka przy ognisku nad Szczarą. Włożył jej wtedy na palec, jako pierścionek zaręczynowy. Był dla niej cenniejszy niż wszystkie złote pierścionki świata.

– Co to jest? Zasuszone kwiaty? – zapytał.

– Ty durna, mogłem cię zastrzelić! – krzyknął. – *Paszła* ty, ty polska suko!

Pchnął ja mocno, że omal nie upadła. Przystawił jej lufę karabinu do pleców i wyprowadził.

– Siadaj, durna – rozkazał, gdy doszli do sań.

– Misza, co się stało? Dlaczego ona uciekła?

– Ech, towarzyszu lejtnant, nic takiego. – Machnął ręką i też wsiadł.

Ruszyli. Płozy sań skrzypiały, sunąc po zamarzniętym śniegu. Mróz był tak wielki, że trzeba było zasłaniać usta, żeby nie oparzyć mrozem dróg oddechowych.

Dojechali do drogi łączącej Brześć z Mińskiem. Przy jasnym świetle księżycy widać było na drodze sznur sań z ludźmi zdążającymi w tym samym kierunku. Z niektórych dochodził lament kobiet i płacz dzieci wyrwanych z nocnego snu. Na

pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że ludzie jadą na pasterkę. Niestety, był to swoisty kondukt, w którym wieziono nie zmarłych, ale żywych, w założeniu, że wszyscy z głodu, zimna i pracy ponad siły dołączą do zmarłych. Chora nienawiść do ludności polskiej włączyła w to dzieło zniszczenia niewinne kobiety i dzieci. – Mamo, dokąd jedziemy? – zapytał Stefan.

– Nie wiem dokąd, ale niedługo się dowiemy – odpowiedziała matka ze ściśniętym sercem.

– Mamo, mamo, zimno mi – żaliła się Halina, tuląc odzyskaną lalkę w ramionach.

– Nu, jak tak bardzo chcesz wiedzieć, dokąd jedziecie, to ja ci powiem – odezwał się jeden z żołnierzy.

– Dokąd?

– Jedziecie tam, skąd nie ma już powrotu.

– To tylko jeden Bóg wie- odrzekła Ludwika.

– Nie tylko, ja też wiem.

– To może i wiesz, ale nie wiesz, kiedy i ciebie powiozą tam, gdzie ty wieziesz nas...

– *Małczy!* – krzyknął. – Harda jesteś.

Te słowa uraziły go, ale wiedział z doświadczenia, jak cienka jest granica między skazanym a katem. Wielu jego kolegów podzieliło już ten los.

– Nie złość się, ja i tak więcej zrobiłem dla ciebie, niż mogłem – usprawiedliwiał się.

– Tak, wszystko mi zabrałeś i teraz już nic nie możesz, bo nic nie mam.

– Masz więcej niż inni, przekonasz się o tym niedługo. I naprawdę żal mi ciebie, Wasilewska.

Jechali dłuższy czas w milczeniu. Śnieg skrzypiał pod płozami sań. Niedaleko zaczęły rysować się kontury zabudowań. Nie minął jeszcze kwadrans, jak wjechali na stację Domanowo.

Ruch był duży. Jedne sanie, już puste, wracały ze stacji po nowych pasażerów, inne dopiero wjeżdżały do rozładunku. Na bocznicę kolejowej stał rząd wagonów towarowych, a przy nich sanie. Trwał załadunek ludzi ze skromnym bagażem, jaki pozwolono im zabrać ze sobą. Wzdłuż wagonów chodzili uzbrojeni strażnicy. Z wszystkich stron dochodziły pokrzykiwania: „*Skariej, skariej* – szybciej, szybciej” – naganiali ludzi do wagonów, jak bydło. Kiedy w wagonach zebrał się już komplet, żołnierze zamykali ze zgrzytem przesuwane drzwi, które piszczwały na nienasmarowanych prowadnicach. Dla wielu drzwi zamknęły się na zawsze.

Sanie z rodziną Wasilewskich podjechały do stolika oficerów NKWD.

– Skąd oni? – zapytał jeden, który kierował ruchem.

– Ze Złotowa – odparł lejtnant.

– Nazwisko?

– Wasilewska.

– Wasilewska, Wasilewska – mrucał i zaczął wertować kartki w grubym zeszyte. – Wasilewska, wot jest!

– My o was słyszeli, słyszeli. Twój mąż... Zawieźcie ich do dwudziestego czwartego, będzie komplet.

Sanie jechały wzdłuż długiego sznura wagonów. Zatrzymały się przy wagonie z numerem 24. Stał przy nich wartownik.

– Nu, tak my i przyjechali na miejsce. Będziemy musieli się z tobą pożegnać – powiedział ironicznie lejtnant.

– Nie mówiłeś do nas dzień dobry, jak przyjechałeś, to nie musisz się z nami żegnać. Ja nigdy nie zapomnę, ile wyrządziłeś nam zła.

– Otwieraj wagon! – rozkazał lejtnant wartownikowi, zły, że przypomniała jego niegodziwość.

Drzwi ze zgrzytem otworzyły się i ukazały swoje mroczne wnętrza.

– Wchodźcie do środka, szybko!

– A nasz bagaż?

– Podamy – uciął lejtnant krótko.

Weszli do środka. Żołnierze wrzucali do środka bagaż.

– Co ona jakaś hrabina, że pozwolili jej wziąć aż tyle bagażu? – dziwił się żołnierz.

– Nie gadaj tyle!

Wartownik chciał zamknąć drzwi.

– Zaczekaj, jak po ciemku wejdą na swoją pryczę?

Lejtnant podszedł jeszcze do drzwi.

– Żal mi ciebie, Wasilewska – powiedział. Wsiadł do sanek i odjechał.

W środku wagonu, przy ścianach, były trzy piętrowe prycze. Nie było dobrze widać, ale pewnie wszystkie były już zajęte. Została jedna. Na samej górze.

– No szybciej, wchodźcie. Jak długo będę tu stać? – ponaglał wartownik.

Pierwszy na pryczę wszedł Tadek, za nim Polko. Ludwika podała im na górę pościel, a kiedy rozłożyli ją, wrzuciła resztę bagażu z ubraniami. Ułożyli je przy ścianie wagonu, od którego ciągnął okropny ziąb. Reszta rodziny weszła na górę i w ubraniach powłaziła pod pierzyny. Po chwili słychać było zgrzyt zasuwanych drzwi, trzask rygła blokującego ich otwarcie.

W wagonie zrobiło się zupełnie ciemno. Tylko na środku wagonu widać było krążek „toalety” wycięty w podłodze, przez który wpadało trochę światła i chłodu. Na pryczy było ciasno, ale przez to cieplej. Halina i Stefan zasnęli natychmiast. Nie rozumieli, co ich spotkało i co ich jeszcze czeka. Janka wierciła się, nieprzyzwyczajona do spania w takich warunkach, ale i ona w końcu usnęła.

Ludwika nie spała całą noc. Jedna myśl goniła drugą. Na chwilę zapadała w drzemkę i budziła się znowu.

Gdzieś niedaleko słyhać było pianie koguta. „Niedługo rano” – myślała. „O tej porze wstawałam do obrządku. Jakie to były piękne czasy!”. Mimo wszystko próbowała zasnąć, lecz na próżno. Z niektórych prycz dochodził płacz dzieci i szept matek, które próbowały je uspokoić. Mróz nad ranem szczyrzył kły. W dodatku wiał porywisty wiatr, co potęgowało odczucie chłodu. Ludzie trzęśli się z zimna, aż dziw, że nikt jeszcze nie zamarzył. Nie wszyscy mieli tyle szczęścia, co Ludwika. Wzięli sporo ciepłego ubioru, no i pościel. Widziała trzęsących się ludzi. Słyszała, że nie spali całą noc. Bo jak można spać, kiedy jest tak zimno? „Ten nasz lejtnant nie był taki najgorszy” – pomyślała. „A ja jeszcze powiedziałam mu parę nieprzyjemnych słów”. Inni byli bardziej rygorystyczni. Pozwolili wziąć ludziom tyle, ile uniosą w rękach. „Teraz biedaki marzną” – myślała.

Na zewnątrz wagonów słyhać było kroki wartowników. Buty skrzypiały na zamarzniętym śniegu.

– Jak jeszcze postoją dwa dni, nie będzie kogo wieźć na Syberię, wszyscy wymarzną – mówili między sobą.

– Mnie jest ich trochę żal. Widziałeś? Prawie same kobiety i dzieci. To jest okrutne.

– Nie gadaj tak, Wołodia, bo jak kto usłyszy, pojedziesz razem z nimi.

– Brrr – wzdrygnął się. – Masz papierosa?

– Masz – wyciągnął machorkę i kawałek gazety „Prawda”.

Zrobili skręty i zapalili.

– Będzie trochę cieplej pod nosem.

Poszli razem wzdłuż wagonów.

Do rana na stacji panował spokój, tylko parowóz dudnił po szynach, przejeżdżając obok. A potem z daleka dochodził jego gwizd i hurgot przetaczanych wagonów.

Blady świt zaczął wdzierać się przez nieszczelne ściany wagonu i przez toaletę w podłódze. W półmroku można było zauważyć prycze i stłoczonych na nich ludzi. Być może dlatego jeszcze nie pomarзли. Tu i ówdzie zaczęły toczyć się rozmowy na tematy bardziej przyziemne. Widać było, że większość miała ten sam problem, który musieli natychmiast rozwiązać. Chłopiec w wieku dwunastu lat, „mieszkający” obok, zaczął mówić:

– Mamo, ja muszę...

– Cicho bądź, przy ludziach – upomniała matka.

Ale ten naturalny i konieczny problem trzeba było załatwić, i to na oczach kilkudziesięciu osób. Choć z samej natury czynność ta uważana była za wstydliwą, tutaj musieli przełamać tę barierę. Wszyscy.

– Chodź, synu.

Zsadziła syna z pryczy.

– Zrób to tutaj. – I wskazała mu otwór w podłódze.

Oglądał się w prawo, w lewo. Wstydził się, ale wkrótce rozwiązał problem wszystkich. Jeszcze niektórzy mieli opory, szczególnie kobiety, lecz i one przeszły z tym do porządku dziennego.

Na dworze zrobiło się widno. Słońce weszło już dawno. Jego promienie przeciskały się przez dziurawe ściany. Ludzie rozglądali się, czy przypadkiem nie znajdą kogoś znajomego. Jakiś mężczyzna spoglądał na pryczę Ludwika. Mieszkał też na trzecim piętrze i stamtąd miał szersze pole widzenia.

– Skąd pani jest? – zagadnął. – Zdaje mi się, że panią znam.

– Ja nie miałam jak dotąd przyjemności, ale...

– Ale co? – wpadł w słowo.

– Jak pan taki ciekawy, to mogę powiedzieć. Wzięli mnie ze Złotowa.

– O, wiem, gdzie to jest. To ta wojskowa osada nad Szczarą. Pięknie tam. Rzeka, łąki, las...

– Było, teraz wszystko zniszczone, spalone.

– Oj, to prawda, prawda.

– A pan skąd przyjechał?

– Z Dobromyśla – odpowiedział.

– To daleko.

– A my jesteśmy z Kosowa – odezwała się kobieta, niepytana o miejsce pochodzenia. Widocznie miała potrzebę rozmowy w tej dramatycznej sytuacji.

– A pani? Skąd pani jest? – dopytywał się mężczyzna kobiety z piętra z drugiej strony.

– Z Borek – burknęła, zła na cały świat. Widocznie nie miała ochoty na rozmowę.

Mężczyzna pytał i miał nadzieję, że może znajdzie znajomą twarz. Nie znalazł. Zawiedziony, powiedział:

– Oni chyba specjalnie pomieszalili tak ludzi, żeby się nie znali. Jak ktoś umrze, to wyrzucą na peron i nie będzie wiadomo, kto to jest i skąd pochodzi. I nie dojdzie wtedy nikt prawdy – konkludował.

– Przestałby pan głądzić – obruszyła się mrukliwa kobieta z Borek. – Chyba nas nie potopią. Najwyżej przesiedlą gdzieś w inne miejsce.

– Oby pani miała rację. Ale gdyby tak było, to po co pozamykali nas na cztery spusty, że świata bożego nie widać, po co? – gderał.

– Sama pani słyszy. Chodzą koło wagonów strażę i pilnują. Nic to pani nie mówi? Żeby kto nie uciekł i nie powiedział, co się tu dzieje.

– A niby komu ma powiedzieć?

Zamilkła. W duchu przyznawała mężczyźnie rację, ale miała jeszcze jakąś nadzieję. A ten gadatliwy człowiek odbierał jej i to. A bez nadziei w tych warunkach nie da się żyć.

Pół roku temu aresztowali jej męża i wszelki słuch o nim zaginął. Był leśniczym.

Powodziło im się dobrze. Tylko ptasiego mleka brakowało. Tej nocy wszystko legło w gruzach. Przyjechali NKWD-ziści, zabrali ich z domu i przywieźli tu. Nie dali nic wziąć. Siedzi teraz w wagonie głodna i marznie razem z czwórką dzieci. Co im powie, jak zaczną wołać: „Mamo, chcemy jeść!”.

Było już chyba około dwunastej. Bo o tej porze leciał zawsze pociąg pospieszny Brześć-Mińsk. Nie zatrzymywał się na stacji w Domanowie. Pędził dalej, gwizdząc i plując dymem, zasnuwał okolicę czarną chmurą. Dym wdzierał się do wagonów, drapał w gardle i wywoływał kaszel u dzieci.

– Mamo, jestem głodna – odezwała się dziewczynka z dolnej pryczy.

Miała chyba pięć lat i piękne, duże niebieskie oczy. Kręcone blond włosy opadały na ramiona. Matka miała łzy w oczach. Przytuliła dziecko do piersi, z żalu nie mogła nic mówić. Sama też już była głodna. „Cóż, ja wytrzymam jakoś, ale co mam powiedzieć dziecku”. Serce ścisnęło się na samą myśl. Co będzie dalej? Wołała nie myśleć. Ale czy można nie myśleć? Jak długo będziemy tkwić tu, w polu, w zamkniętych wagonach na boczniczy kolejowej? A może na zawsze? Przyszła jej do głowy niedorzeczna myśl. Czyżby? Na dodatek to przenikliwe zimno. Wchodzi w człowieka i trzęsie nim, aż zęby dzwonią.

Przerażenie zaczęło ogarniać wszystkich. Ubici na pryczach jak śledzie w beczce. Trudno było obrócić się na drugi bok. Najzimniej było na dole. Od toalety ciągnął niesamowity ziąb. Dziwne, że nikomu nie przyszło do głowy, żeby to zatkać. Ale czym? Każdy jasek czy poduszka były na wagę złota. A najgorsze było to, że po południu ze wszystkich stron dochodziło wołanie: „Mamo, tato, ja chcę jeść. Jestem głodny!”. Mniejsze dzieci nie rozumiały jeszcze, że czegoś takiego może brakować. Dostawały jedzenie na każdą prośbę. Płacz małych dzieci udzielał się starszym, aż przerodził się w zbiorowy lament. Bezradne matki próbowały je uspokoić, a kiedy nie potrafiły, płakały razem z nimi. Nic więcej nie mogły im dać oprócz łez. Zmęczone płaczem dzieci z czasem uspokajały się. Przytulone do matki, zasypiały, czując się w ich ramionach bezpieczne. Niedługo znowu obudzą się.

Przed południem na zewnątrz słychać było jakieś poruszenie. Padały rozkazy i dochodziły głośne rozmowy, zapewne wojskowych. A potem usłyszeć można było odgłos szybkich kroków stawianych na betonowym peronie. Z niektórych wagonów dochodził zgrzyt otwieranych drzwi i głośny lament zrozpaczonych kobiet. Potem drzwi się zamykały i na chwilę wszystko cichło. Po jakimś czasie takie same odgłosy dochodziły z innych wagonów, o wiele bliżej.

Tadek leżał na górnej pryczy, wciśnięty w narożne ściany wagonu. Noc pod ciepłą pierzyną zniósł dobrze, tylko ten mroźny powiew, który przechodził nad jego głową. Prawie odmroził mu uszy. „Co to może być?” – zastanawiał się.

Wyciągnął rękę spod pierzyny i zaczął wodzić po ścianie wagonu. Natrafił na prostokątną wnękę. Zimno ciągnęło stamtąd okropnie.

– Może to okno albo jakaś kłapa? – powiedział prawie na głos.

– Co mówisz? – odezwał się Polko, który leżał obok brata.

– Nic.

Lekko nacisnął na ściankę we wgłębieniu. Wydawało mu się, że się poruszyła pod naporem ręki. „To chyba okienko albo coś w tym rodzaju” – pomyślał.

Przycisnął mocniej. Drzwiczki uchyliły się, wpuszczając do środka zimne powietrze i trochę światła. Próbował je zamknąć, ale nie było uchwyty od środka, żeby je przyciągnąć do ściany wagonu. Przez szerszą szparę było słyhać wyraźnie poirytowane głosy żołnierzy i płacz kobiety, który dochodził z otwartego wagonu obok.

„Co się tam dzieje?” – myślał. Pchnął klapę mocniej. Skrzypiąc, otworzyła się na tyle, że mógł wsadzić głowę w otwór. Skrzyp klapy zwrócił uwagę wartowników, którzy akurat przechodzili koło wagonu.

– Słyszałeś to, Pietia?

– Co?

– Coś skrzypnęło, jakby kto drzwi otwierał.

– Przywidziało ci się.

– Może. Teraz własnego pierdnięcia można się przestraszyć – powiedział zdenerwowany.

Spoglądali jednak po wagonach, zaglądali pod spód. Widocznie niczego nie zauważyli, bo poszli dalej.

Tadek wsadził głębiej głowę w okno. Przy trzecim wagonie stały sanie, na które wrzucano zmarłych tej nocy z mrozu. Towarzyszył temu lament kobiety i płacz dzieci.

– Co ja teraz bez ciebie, Antosiu, na tym wygnaniu zrobię – rozpaczała.

– *Małczy*, nie on pierwszy i nie ostatni – uspokajał NKWD-zista, który asystował przy ceremonii bezczeszczenia zwłok. – Zamykajcie wagon! – rozkazał.

Podjeżdżali pod następny wagon. I znowu zgrzyt otwieranych drzwi.

– Nu, kak mnogo u was umarło ostatniej nocy?

Nie wiadomo było, czy pyta czy z góry zakłada, że są. Bo jak w każdym wagonie są, to dlaczego nie miało być ich tutaj. Sanie już stoją. Po chwili wylatują jeden, drugi, trzeci.

– *Wsio, tawariszcz* lejtnant – zameldował bezbarwnym głosem, jakby chodziło o błahą rzecz. I znowu krzyki kobiet i płacz dzieci rozdziera ciszę.

– Nie ma więcej? – dziwi się oficer.

– Nie ma, *tawariszcz*.

– Zamykaj drzwi.

Lament cichnie.

Podjeżdżają pod następny wagon. Otwarcie drzwi i znowu umarli, jak ptaki, lecą na sanie.

– *Tawariszcz* lejtnant, *chwatit*, sanie już pełne.

Tadek widział, jak ciała na saniach przykryli pledem i wieźli je dyskretnie obok stacji, potem skręcili na prawo, gdzie czerniał las.

– Zamknij te drzwiczki, bo zimno przez nie wchodzi, że mało nam głowy nie urwie – powiedziała matka. – A nie daj Boże, jeszcze ktoś zobaczy, że ich podglądasz, to cię na miejscu...

Nie dokończyła, bo drzwi wagonu zazgrzytały i otworzyły się na całą szerokość. Blask dnia wdarł się do wagonu. Mrużyli oczy albo zasłaniali je ręką. Tadek ledwo zdążył odsunąć się od okienka, które, o dziwo, samo się zamknęło. Jeszcze zdążył przykryć je poduszką.

– Nu, szto u was, wszyscy żyją? – żołnierz rzucił w głąb wagonu rutynowe pytanie.

Nie odezwał się nikt, tylko dzieci płakały, głodne, wtulone w ramiona matek.

– Nu, znaczy, że żyją – sam sobie odpowiedział, zdziwiony, że nikt w wagonie nie zmarł.

– Nu, Wania, zamykaj.

Wtedy do drzwi podeszła jakaś kobieta.

– Nasze dzieci i my już całą dobę nie jadły. Dokąd będziecie tu trzymać nas jak bydło!

– Jak ty powiedziała? Słyszysz, Wania, „jak bydło”. Nu tak i ja bym tego lepiej nie wymyślił.

– Dajcie choć dzieciom trochę chleba – błagała kobieta.

– Nu, my wiemy, ale musicie jakoś wytrzymać, a jak nie, odwieziem za darmo...

Mężczyzna popatrzył jeszcze w czeluść wagonu. Nie mógł pojąć, że nikt nie zmarł.

– Wania, zamykaj!

Podjechali do następnego wagonu, i znowu zgrzyt otwieranych drzwi. Zabawili tam dłużej, a i płacz kobiet był głośniejszy. I tak aż do ostatniego. A potem przyszła noc i słychać było tylko nawoływania wartowników. Z nocą przyszedł większy mróz. Ludzie tulili się do siebie, a w pustych żołądkach grało.

Po wizycie NKWD w wagonie zrobiło się cicho. Nadzieja, która jeszcze się gdzieś tliła, uleciała przez otwarte drzwi. A kiedy je zamknęli, nie mogła już wrócić. Nawet kobieta z Borek musiała przyznać rację mężczyźnie, który siedział osowiały i nie mówił nic.

– Masz szczęście, że NKWD-zista nie widział cię, jak wyglądałeś przez okno. Gdyby zobaczył, to ciebie też by odwieźli gdzieś na saniach – powiedział do brata Polko.

– Nie wiedziałem, że tam jest okienko. Odkryłem je zupełnie przypadkiem. Ciągnęło stamtąd okrutnie, więc musiałem sprawdzić.

– Zatkaj swoją poduszką, a moją oddawaj, bo nie mam na czym położyć głowy.

– Jak ci dam, to znowu będzie wiało.

– A co mnie to obchodzi, jest moja, to dawaj – złapał za poduszkę i zaczął ciągnąć do siebie.

– Puszczaj, bo jak nie, to...

– To co mi zrobisz?

Zaczęli się szarpać.

– Przestańcie zaraz, bo pierze wysypiecie! Skaranie boskie, mało wam jeszcze biedy? – strofowała matka.

– On mi zabrał poduszkę – jęczał Polko.

– Cicho bądź! Tadek, oddaj mu poduszkę, bo spokoju nie będzie całą noc.

Tadek wyjął poduszkę i oddał bratu. Zrobiło się o wiele chłodniej. Mroźny przeciąg ssał zimne powietrze z dworu przez otwór w podłodze. Omiatał górną prycę, na której mieszkali skorzy do zwady bracia. Cug powietrza wylatywał przez niedomkniętą klapę, której zardzewiałe zawiasy nie pozwalały zamknąć. Niby drobiazg, a mógł zaważyć na życiu.

– Trzeba zatkać czymś otwór w podłodze, a dopiero potem spróbować zamknąć klapę, inaczej pozamarzamy – radził sąsiad z czwórki.

– To niech pan zejdzie i zatka, skoro wie pan, jak najlepiej to zrobić – odezwała się kobieta, która mieszkała na dole.

– Kiedy nie mam czym – odrzekł.

Choć w wagonie sytuacja była trudna, gdzieniegdzie słychać było ciche śmiechy.

– Jak pani mi coś da, to zejdem z góry i zatkam.

– A skąd ja panu cokolwiek wezmę? – obruszyła się kobieta.

– Ja mam stary jasiek i worek, mogę panu dać – powiedziała kobieta z dwójki.

– To nie mogło pani wcześniej przyjść coś takiego do głowy?

– Wcześniej, drogi panie, to ona była mi bardziej potrzebna niż mąż w noc poślubną.

– Też porównanie! Jak pani może w takiej chwili błaznować?

– O, drogi panie! Żeby być błaznem i bawić, i śmieszyć, to trzeba mieć więcej rozumu niż pan! Pan tylko siedzi na swoim gnieździe i gdera. Nie zdziwiłabym się, gdyby zniósł pan tam jajko!

– Impertynentka!

– Na dodatek chyba *zbuka* – zakończyła kobieta.

– Przestańcie, czy wam rozum odebrało? Nie wiadomo, czy doczekamy jutra, a wam tylko kłótnie w głowie. Pani da mi ten jasiek i worek, to zatkam dziurę – zakończyła wymianę zdań kobieta z dołu.

– Proszę, niech pani to weźmie.

Tadek zszedł z góry.

– Ja to zrobię.

Wziął od kobiety worek z jaśkiem. Wsadził jasiek do worka i szczelnie zatkał otwór.

– No i po co ta kłótnia, pięć minut roboty, a gadania co niemiara.

Wieczorem na dworcu słyhać było wzmożony ruch. Na peronie zaroilo się od wojskowych.

– *Skariej, skariej* – darł się NKWD-zista na maszynistę parowozu, który przejeżdżał obok. Parowóz przyspieszył i odjechał. Daleko na rozjeździe zagwizdał. Na bocznym torze doczepił wagony i pchał je teraz, żeby dołączyć do stojących. Spieszył się, wagony na złączach szyn stukwały coraz szybciej, aż potężny huk zderzonych wagonów rozdarł ciszę. Pociąg manewrowy z całym impetem wpadł na stojące wagony z ludźmi. Niektórzy powypadali z prycz na podłogę. W wagonach słyhać było jęki i klątwy poszkodowanych.

– Żeby ich cholera wzięła! – jęknął starszy mężczyzna, który wypadł z górnej pryczy.

Próbował wstać, ale poczuł ostry ból w prawej ręce. Jęczał.

– Co panu jest? – zapytał mężczyzna, który też wypadł i leżał obok.

– Chyba złamałem rękę, a panu nic nie jest?

– Nie, jestem tylko trochę poobijany. Pomogę panu. Może pan wstać?

– Spróbuję.

Powoli wstał.

– Nie wiem, jak wejść na górę, cholernie boli, żeby ich szlag... – zaklął.

– Mówiłem, że pomogę panu. Niech pan postawi nogę na szczeblu drabinki.

Wielu, którzy powypadali z prycz, jakoś się pozbierało.

– Oni chyba specjalnie to zrobili, chcą nas wygubić, zanim gdzieś zawiozą – jęczała kobieta, która ledwie wstała z podłogi.

– Powsadzali nas do tych wagonów trumien i nie muszą do nas strzelać. Sami poumieramy albo pozamarzamy – powiedział pan z czwórki.

Zrobiło się cicho, tylko mężczyzna ze złamaną ręką jęczał cicho, bo ból bardzo mu dokuczał. Niespodziewanie pociąg drgnął i zaczął się toczyć.

– No, widzi pan, ruszyliśmy, niepotrzebnie pan krakał. Żeby tylko jeszcze dali jeść i wsadzili jakiś piecyk, to może przeżyjemy – powiedziała pani z Borek.

– Daj Boże, ruskie to też ludzie i mają serca, kto by niewinnych ludzi katował.

– Ludzie? Tylko przyoblekli się w diablą skórę! – dodał pasażer spod czwórki.

Tymczasem pociąg zatrzymał się i parowóz odjechał. Na niebo wylazł srebrny księżyc i z góry patrzył na tragedię ludzi. Gdzieś z daleko dochodziło wycie głodnych wilków. Wychodziły na żer... pewnie są głodne, jak my.

Na samo wspomnienie o jedzeniu mdliło w żołądkach. Ludzie stawali się coraz słabsi i mniej odporni na mróz. Zapowiadała się znowu mroźna noc. Było już po północy. Na stację zaczęły podjeżdżać sanie z ludźmi do nowo podstawionych wagonów. Znowu słyhać było zgrzyt rozsuwanych drzwi.

– *Skariej, szybciej włączcie, przeklęte Polaki* – darł się NKWD-zista.

– Jezus Maria, co oni z nami robią! – lamentowały kobiety przy wtórze płaczu

dzieci.

Ludwika, choć tamtej nocy nie spała, to i teraz leżała z otwartymi oczami i sen nie przychodził. „Co z nami będzie? Jak dam sobie radę z pięciorgiem dzieci. Czy przeżyjemy tę podróż?” – myśli kłębiły się w głowie. „Nie jestem tutaj sama, ten sam problem mają wszyscy, może nie będzie aż tak źle”.

– Mamo, jestem głodna – skarżyła się Halina.

Leżała obok matki. Burczało jej w brzuchu i z tego powodu nie mogła zasnąć.

– Wiem, dziecko, ale co ja mam ci powiedzieć... że nie mam.

– Mamo, czy długo będziemy w tych wagonach?

– Spróbuj zasnąć, może jutro coś się zmieni.

Na zewnątrz słychać było jakieś krzyki, przekleństwa i płacz dzieci. Zaciekawiony Tadek uchylił klapę i wsadził głowę w okienko. Przed nowo podstawionymi wagonami stał rząd sanek z ludźmi, którzy wchodzili do wagonów.

– Szybciej, szybciej – poganiał ich żołnierz.

Obok stali NKWD-ziści, którzy nadzorowali załadunek. W pewnym momencie z jednych sanek wyskoczył mężczyzna i pobiegł ile sił w nogach w stronę stacji. Chciał uciec i wmieszać się w tłum.

– *A ty kuda?* – wołał za nim strażnik. – Stój! Stój! – wrzasnął i podniósł broń.

– Józek, Jezu, wracaj! Oni cię zabiją! – wołała przerażona kobieta.

– *Nużesz ty, job twaju mat'!* – zaklął strażnik i strzelił.

Mężczyzna w połowie drogi zatrzymał się, a potem jego ciało wyprostowało się i jak podcięte drzewo runął na ziemię. Słychać było tylko głuchy odgłos upadku, a po chwili wokół niego śnieg zabarwił się na czerwono. W drzwiach wagonu stała kobieta z wyciągniętymi rękami w stronę męża.

– Józek, co my teraz bez ciebie zrobimy! – rozpaczła. Obok niej stało troje małych dzieci, trzymając się spódnicy matki.

– Zamykajcie drzwi – rozkazał NKWD-zista.

Przez zamknięte drzwi mniej było słychać płacz kobiety, a po jakimś czasie ucichł zupełnie.

NKWD-zista schował nagan do kabury.

– Jednego będzie mniej – odpowiedział obojętnie na pytające spojrzenie wartownika.

Widać było, że zrobił to nie po raz pierwszy i nie było dla niego żadnej różnicy, czy strzela do człowieka, czy do zająca.

Podszedł do zabitego i trącił go butem. Odwrócił się i wrócił do sań.

– Szybciej, szybciej – znowu poganiał ludzi.

– Zamknij tę dziurę, bo zimno przez nią ciągnie – powiedziała Janka do brata.

– Już zamykam – odparł i schował się pod pierzyną. Głośno burczało mu w brzuchu i długo nie mógł zasnąć.

Do wagonów prawie przez całą noc zwożono ludzi. Dopiero nad ranem wszystko

ucichło. Widocznie nowo podstawione wagony wypełniły się. Tylko parowóz niestrudzenie sapał i pogwizdywał, przetaczając wagony dla nowych zesłańców. Nad ranem i on gdzieś odjechał i na stacji wszelki ruch zamarł. Kaci poszli do domów na zasłużony odpoczynek. Strażnicy chodzili wzdłuż wagonów, paląc papierosy. Żarzące się ogniki tytoniu świeciły w ciemności przy każdym ruchu ręką jak jakieś robaczki świętojańskie latem.

Księżyc schował się za lasem i na dworze zrobiło się ciemno. Nad ranem mróz był większy, bo skrzypiał pod butami wartowników. W wagonach było również zimniej. Z blaszanych dachów ciągnęło chłodem. Mężczyzna, który pojękiwał całą noc z bólu, teraz uspokoił się zupełnie. „Może zasnął, to przynajmniej nie cierpi” – pomyślała Ludwika. Sama też nie spała, głód nie pozwolił jej zasnąć. „A co Stefan, Halina? Przecież to jeszcze dzieci. Co powiem, jak się obudzą i zaczną mówić, że są głodne? Nie mam ani okruszynki chleba. Co robić? Co robić? Co będzie, jak tak postoiemy tu jeszcze dzień albo dwa. Zaczną słabnąć... Boże, ja tego nie wytrzymam! Co z tego, że mam tyle mąki i ubity drób. Zresztą zamarzył na kość”.

Nadszedł ranek. Przez szpary nieszczelnych wagonów do wnętrza zaczęła sączyć się świt. Mrok ustępował niechętnie, ale wkrótce można było dostrzec gołe prycze, a po jakimś czasie skulone sylwetki ludzi na nich. Drżeli jak osiki na wietrze i czekali na koniec. Może byłby jakimś rozwiązaniem? Ludzie stawali się obojętni na losy innych, bo każdy był w takiej samej sytuacji. Nikomu nic nie można dać, jak się samemu nic nie ma. Wszyscy czekali ze strachem w oczach, co przyniesie jutro, pojutrze...

Na dolnej pryczy kobieta próbowała obudzić męża.

– Stasiu, co ty dzisiaj tak długo śpisz? Stasiu, obudź się! – zaczęła go szarpać.

Ale on nie dawał znaków życia. Dotknęła ręką twarzy męża. Była zimna i blada.

– On nie żyje? – mówiła z niedowierzaniem. – Jezus, Maria! On nie żyje! Staaaaszek! -krzyczała.

W wagonie powiało grozą. Do tej pory nikt nie pomyślał, że każdego z nich czeka może taki sam koniec. Jeszcze wczoraj prowadzili rozmowy, żartobliwe, uszczypliwe. A dziś... śmierć upomniała się o swoją daninę. Kto następny?

Razem z kobietą płakały jej dzieci. Inne dzieci również, tyle że nie z powodu śmierci, a głodu, który zaczął im doskwierać. Nie rozumieli jeszcze, co to jest śmierć, ale ich płacz przypominał o niej.

Ludziom zamkniętym w wagonach jak było udzielił się nastrój zbiorowej psychozy, lęku i bezradności. Kiedy słyszeli krzyk, a potem lament i płacz dzieci, cierpła im skóra. Nie zdążyli jeszcze przyzwycząić się do śmierci, ale byli na najlepszej drodze.

Około godziny dziesiątej drzwi od wagonu otworzyły się ze zgrzytem. Do mrocznego wagonu wlał się jasny blask dnia. Oczy przyzwyczajone do mroku bolały, jakby je kłuto szpileczkami.

– Nu, szto u was, żyją wszyscy czy trzeba kogoś zabrać? – zapytał obojętnym tonem NKWD-zista.

Nikt mu na to nie odpowiedział. Tylko z wnętrza wagonu dochodził żaloszny płacz.

– Pietia, wejdz do środka i zobacz, czy nie trzeba kogoś zabrać – powiedział sierżant stojący przy saniach.

Pietia wszedł do wagonu.

– Tawariszcz sierżant, czworo ludzi nie żyje. Dwie kobiety i dwóch mężczyzn.

– Zabierzcie ich! – rozkazał tamten.

Do wagonu wszedł drugi wykidajło. Wynosili sztywnych nieboszczyków do drzwi wagonu, a potem wyrzucali ich jak worki z mąką do stojących przed wagonem sań.

– Nu, wsio.

Chcieli zamknąć drzwi, ale sierżant zauważył kobietę trzymającą dziewczynkę na rękach.

– Zaczekaj, zobacz, czy to dziecko żyje.

Żołnierz wszedł do wagonu.

– Nu, szto rebionak nie żyje? – Chciał wziąć dziecko kobiecie. – Daj.

Trzymała kurczowo i nie chciała oddać dziecka.

– Daj, zabierzemy ją do szpitala, jak wyzdrowieje, przyniosę ci z powrotem.

Popatrzyła na niego obojętnie. Powoli wyprostowała ręce i podała mu dziecko. Wziął je od niej, podszedł do drzwi i wyrzucił do stojących sań. Kiedy zamykali wagon, kobieta stała z wyciągniętymi ramionami skierowanymi do drzwi. Nie płakała, brakowało jej łez.

Podjechali do następnego wagonu. Zgrzytnęły drzwi. Rutynowe pytania, a potem wyrzucano umarłych.

Przy czwartym wagonie sanie były już pełne.

– Nu, pajechali – rzekł woźnica, szarpiąc lejce.

Nienasycony las czekał na swoje ofiary. Ludzie nieśli mu swoją daninę życia.

W wagonach ludzie powoli przyzwyczajali się do śmierci. Obojętni na losy innych, ich świat zamykał się na pryczy i do swoich najbliższych.

Już dwie doby mordercy trzymali głodnych ludzi na mrozie. Jak długo będą mogli wytrzymać w takich warunkach? Nie wiadomo.

Ludwika z rodziną, okryci pierzynami, na razie nie ucierpiała. Co prawda, głód zaczął dawać im się we znaki. Stefan z Haliną byli już dużymi dziećmi i mogli zrozumieć sytuację. Ale rozumieć kogoś, kto jest głodny, a samemu być głodnym, to duża różnica. Zdawali sobie sprawę, choć Halina i Stefan nie do końca, coraz częściej mówili o jedzeniu.

Było już późne popołudnie. Halina zapomniała o jedzeniu, lecz w pewnej chwili wyrwało jej się cicho:

– Mamo, jestem głodna.

Spoglądała na mamę smutnymi oczyma. Matka nie odezwała się. Przytuliła do siebie dziecko, bezradna.

– Wszyscy jesteśmy głodni i nie tylko my – chciała jeszcze coś powiedzieć, ale coś ja dusiło w gardle.

– Wiem – dziewczynka odparła cicho ze łzą w oku.

Tadek z Polkiem słyszeli rozmowę mamy z Haliną. Też byli głodni, jak inni. Zaczęli między sobą szeptać. Gestykulowali przy tym i spierali się. Jak zwykle.

– Stuknij się w głowę, to niemożliwe – mówił Tadek – jak wyfrunie...

– Mówię ci, to może się udać – upierał się Polko i pokazywał ręką na otwór w wagonie.

– Co ma się udać? – zapytała Ludwika, słysząc ostatnie słowa syna.

– Polko mówi, że Stefan mógłby wyjść i przynieść nam coś do jedzenia.

– A niby którędy miałyby wyjść? W podłodze otwór jest za mały.

– Mógłby wyjść tędy – chłopiec pokazał na okienko.

– Przecież się tam nie zmieści!

– Mamo, zmieści się, on jest szczupły – przekonywał Polko.

Matka zastanawiała się nad pomysłem syna. Miał czasami zwariowane pomysły, ale ten był do rzeczy.

– Jak zejdzie? – miała jeszcze wątpliwości.

– Zwiążemy dwa prześcieradła i spuścimy go na dół.

– Przecież tam chodzą strażnicy, to go zobaczą.

– Jak będzie ciemno i pójdą w tamtą stronę, to nie zobaczą – odrzekł.

Stefan przysłuchiwał się rozmowie.

– Mogę iść – powiedział, choć trochę się bał.

– Słuchaj – instruował Polko. – Jak cię spuścimy, to włącz zaraz pod wagon i wyjdź na drugą stronę. Kupisz, co trzeba, i przyniesiesz.

– A którędy wam to podam?

– Przez otwór w podłodze.

– Co? I ja mam to jeść? – odezwała się Janka.

– Nie musisz? – zdenerwował się Tadek.

– Jeszcze nie poszedł i niczego nie przyniósł, rozmawiamy tylko i nie ma nad czym się rozwodzić.

– Ale warto rozważyć taką możliwość. Może uda się.

Do wieczora jeszcze sporo czasu. Trzeba było obmyślić i omówić plan działania.

– Słuchaj, jak się ściemni, to spuścimy cię przez to okienko na zewnątrz. Na ziemi wejdź od razu na drugą stronę wagonu i pobiegnij do Teresy Kołodziej. Wiesz, która to jest?

– Wiem, kiedyś byli u nas w Złotowie na święta.

– No właśnie – mówił dalej Tadek. – Gdy zejdiesz, musisz zaznaczyć wagon,

w którym jesteśmy. Dam ci kawałek onucy, to ją powieszysz na naszym wagonie, z drugiej strony, rozumiesz?

– No pewnie, że rozumiem! A jak wejść z powrotem? – pytał rozgorączkowany Stefan.

– Wciągniemy cię na prześcieradło, tylko najpierw podasz to, co przyniesiesz, dobrze?

– Dobra, dam sobie radę – powiedział dumny, że powierzają mu takie zadanie.

– A teraz chodź i zobacz.

Wsadzili obaj głowy w okienko.

– Popatrz, tam jest droga, która przechodzi przez wieś. Pójdiesz tą drogą w lewo.

– A daleko jest do Kołodziejów?

– Kawałeczek, chyba ze dwa kilometry od stacji – odpowiedział Tadek.

– A jak do nich trafię?

– Zapytasz kogoś, to ci pokażą, znają ich tu wszyscy.

Byli tak zaaferowani omawianiem planu, że nie zauważyli strażnika, który zatrzymał się przy wagonie i spojrzał do góry, i zobaczył głowę w oknie wagonu.

– *A ty szto, rebionak, chcesz ubieżyć?* – zapytał, śmiejąc się.

– Ja chciałem tylko popatrzeć – odrzekł Stefan.

– Nu, to patrz, tylko uważaj, żeby ci kto głowy nie odstrzelił. – Poszedł dalej.

– Nie wiem, czy można tak ryzykować – powątpiewała matka. – Jeszcze mu co zrobią. – Bała się o chłopaka, miał dopiero siedem lat.

– Mamo, Stefan to bystry chłopiec, da sobie radę. Całe dni biegał na nartach, te dwa kilometry to jak nic. Jak wyjdzie, kto będzie zwracał uwagę na wałęsającego się chłopaka wieczorem – dalej przekonywał Polko.

– Może i masz rację. Trzeba spróbować, bo inaczej pomrzemy z głodu. Tak czy siak, będzie musiał iść, jeśli nie chcemy, żeby nas wynieśli drzwiami. Niech idzie! – zdecydowała. – I cała nadzieja w nim. Nie wiadomo, jak długo tu jeszcze będziemy stać i czy cokolwiek dadzą nam do jedzenia.

Czas włókł się niemiłosiernie. Cała rodzina czekała z niecierpliwością na wieczór. Powoli jednak słońce chyliło się ku zachodowi.

Pod wieczór NKWD-ziści zmieniali wartę przy wagonach. Dzienni wartownicy poszli do domów – nocni zajęli ich miejsce. Na dworze zaczęło się ściemniać i w oknach domów zapalały się lampy.

Tadek uchylił nieco kłapę okna, żeby zorientować się w sytuacji. Przechodzili akurat dwaj strażnicy.

– Aleksiej, po co my tu chodzimy i ich pilnujemy? Wagony zamknięte, a oni tam ledwie żywi. Niedługo wymarzną wszyscy.

– I mnie ich żal, dobrzy byli ludzie, pomagali...

– Ale każą, co zrobisz?

– Chodź, pójdziemy na stację, może co wypijemy.

– Co ty, zdurniał!? Jak się lejtnant dowie, to nas czeka to samo.

– Nie dowie się. Będziemy patrzeć przez okno. Zagrzejemy się trochę. Mam za pazuchą odrobinę samogonu. No co, idziemy?

– Idziemy!

Argument wypicia alkoholu przeważył. Zapalili papierosa i poszli w kierunku stacji. Tadek tylko na to czekał.

– Stefan, chodź szybko – zawołał brata.

Zrobił pętlę w prześcieradle i założył luźno pod pachy.

– Włóż tutaj nogami, będziemy cię trzymać.

Stefan z trudem przeciskał się przez wąski otwór. Powoli jednak udało mu się przejść i bracia opuścili go na ziemię. Rozejrzał się dookoła, szybko wszedł pod wagon, żeby kto go nie zobaczył. Wyszedł z drugiej strony, zawiesił onucę na swoim wagonie i poszedł w kierunku drogi. Bał się, że może go kto zobaczyć albo nie trafi do Kołodziejów. Szedł z duszą na ramieniu, ale głód był silniejszy. Doszedł do drogi i skręcił w lewo. Na dworze było ciemno, tylko lampy w oknach oświetlały nieco drogę. Od czasu do czasu mijały go sanie. Słysząc było je z daleka, bo dzwonki przywiązane do uprzęży dzwoniły głośno, a latarnie rozpraszały mrok. Idąc drogą, mijał puste domy, tylko psy uwiązane przy budach wyły z głodu czy żalości.

Szedł dalej, domów było coraz mniej, aż w końcu nie było już nic. Szedł sam w ciemności drogą wiodącą przez zaśnieżone pola. Daleko słyszał przejeżdżający pociąg, dudnił po szynach i odjechał w ciemność.

Zatrzymał się, chciał wrócić do stacji. Wtedy usłyszał dzwonek zbliżających się sań. Zszedł z drogi, żeby go koń nie stratował. W świetle latarni woźnica zauważył Stefana. Podjechał bliżej i zatrzymał się.

– Ej, malczyk, co ty robisz tutaj sam w nocy? – zapytał.

– Szukam mamy, wczoraj wyszła gdzieś i do dzisiaj nie wróciła – odrzekł. Czuł, że zrobiło mu się gorąco.

Gdyby to był dzień, woźnica poznałby, że kłamie.

– A skąd ty jesteś?

– Ze Złotowa – brnął dalej w kłamstwo.

– Co ty powiesz? Przecież to dziesięć kilometrów stąd – pokiwał z niedowierzaniem głową. – Wot, jakie teraz matki są. Zostawią dzieci, a same idą na plotki – mówił do siebie. – A wiesz, gdzie ona teraz jest?

– Uuuu, pani Kołodziej – udawał, że się jąka i płacze.

– A, cholera, znam ich. Siadaj, to cię podwiozę. Może ty głodny jesteś, co? – Wyciągnął kawałek chleba ze słoniną zza pazuchy. – Masz, jedz.

Stefan prawie wyrwał mu chleb z rąk i jadł łapczywie.

– Pomału, pomału, bo się udławisz. Nu, patrzaj, jaka podła matka, zostawiła dziecko głodne w domu. Ja taką by... – plunął ze złością. – *Cholera, sztab ją...* –

Zamilkł, bo nie mógł znaleźć słowa. – Nu, ja by chciał zobaczyć ta twoją matkę – powiedział do chłopca, który dojadł już pajdę chleba.

Woźnica spojrział na chłopca przyjaźnie.

– Chodź, chłopcze, przytul się do mnie, bo pewnie zmarzłeś.

Rozpiął poły kozucha i okrył Stefana. Chłopiec wtulił się w owczą wełnę, bo zmarzł już na dobre. Czuć było od woźnicy samogon.

Jechali w milczeniu. Koń człapał. Przypominał Stefanowi tykanie zegara na ścianie.

– No, już niedaleko do twojej mamy. Ja by jej parę batów wlepił...

Najpierw zobaczyli w oknach światła, a potem z mroku wyłonił się dom. Podjechali pod bramę. Pies na widok obcych zaczął ujadać jak opętany. Z domu wyszła kobieta. Rozglądała się trwożnie. Zobaczyła zaprzęg przed bramą. Podeszła bliżej. Ze sanek zeskoczył Stefan i podbiegł do niej. Z początku nie poznała go. Woźnica również wysiadł z sań.

– Pani Kołodziej, czy wy znacie tego chłopca? Czy jego *mat'*, *sztob ją chaliera*, jest u was?

– Jaka matka? – Przyglądała się w ciemności chłopcu. – Stefan, to ty? Co ty tutaj robisz? -zapytała zdziwiona. – Skąd się tutaj wziąłeś, na Boga!

– Nu tak, znacie tego chłopca?

– Pewnie, że znam, panie Terefenko.

– Jaki ze mnie pan. Nu, tak ja już pojedę.

– Dziękuję panu, że pan przywiózł chłopaka.

– Dobranoc – powiedział tylko i szybko odjechał. Bał się, żeby kto go nie zobaczył, jak rozmawia z Polką.

– Skąd żeś się tutaj wziął, tak daleko od domu, w dodatku sam, wśród nocy?

– Ja, ja, my... – Z żalu rozplakał się.

– Co się stało, mów! – Zaczęła mu się przyglądać. – Boże, jak ty wyglądasz!

Dopiero teraz zauważyła, jaki był zabiedzony.

– Może jesteś głodny? Boże! Co ja mówię! Na pewno jesteś głodny. Posiedź tutaj chwilę.

Pobiegła do kuchni, żeby zrobić coś do jedzenia. Naprędce usmażyła jajecznicę i ukroiła pajdę chleba. Z wrażenia trzęsły jej się ręce.

– Masz, jedz i opowiadaj.

Nie trzeba było go do tego namawiać. Jadł łapczywie i popijał herbatą. Tak się spieszył, że się zakrztusił. Zaczął kasłać. Oczy nabiegły mu łzami. Uspokoił się wreszcie i zaczął opowiadać, z pełną buzią chleba.

– No, najpierw zjedz, a potem mi powiesz.

Przełknął ostatni kęs.

– Dwa dni temu NKWD-ziści przyjechali do nas w nocy i zabrali nas z domu i zawieźli na stację do Domanowa. Wsadzili do wagonów, zamknęli. Ludzie są

głodni, umierają – opowiadał chaotycznie. – Nawet małe dzieci są głodne i nie mają sił, żeby płakać.

Potem opowiedział, jak wyszedł z wagonu.

– Ten pan dał mi kawałek chleba i częstował wódką.

– Chyba nie piłeś?!

– Nie, bo była niedobra.

Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Wiedziała, że mają gdzieś wywozić Polaków, ale żeby kobiety i dzieci...

– Nie, to niemożliwe – mówiła do siebie. Ale przecież ten chłopiec był tego dowodem.

W domu było ciepło. Chłopiec nie był już głodny. Zrobił się senny i zaczęły zamykać mu się oczy.

– Ja muszę zaraz tam wracać, bo oni poumierają z głodu – mówił niewyraźnie.

Potrząsnęła go za ramię.

– Co oni? Mów!

– Oni są głodni, nie jedli od dwóch dni. A jak zobaczą, że ktoś uciekł, to, to całą rodzinę... – Nie dokończył, bo bał się wypowiedzieć słowo „zabiją”.

– Zaraz, zaraz, mam w domu trzy bochenki chleba. Ale to za mało na sześćosobową rodzinę. Zaczekaj, upiekę dużo placków, może wystarczy.

Pobiegła do kuchni. Placki skwierczały na patelni. Po półgodzinie zaczęła pakować do torby. Najpierw chleb, potem kawałek boczku, ser, placki. „I co jeszcze?”

– zastanawiała się.

– Coś do picia, najlepiej wody, tylko żeby po drodze nie zamarzła – wtrącił Stefan.

– Mówi jak dorosły, a ma dopiero siedem lat.

Włożyła do torby jeszcze parę butelek z wodą.

– Zaczekaj tu, ja idę zaprzęgać konie, zaraz wracam.

Po chwili była z powrotem.

– No chodź, jedziemy.

Wzięła torbę do ręki.

– Jaka ciężka, nie wiem, czy dasz radę udźwignąć.

– Jakoś sobie poradzę.

Wsiedli do sań i ruszyli. Wyjechali za bramę i skręcili na drogę wiodącą do Domanowa. Kiedy już jechali, Teresa przypomniała sobie, że nie wzięła ze sobą przepustki. Chciała się wracać, choć ujechali kawałek drogi. Szukała w myślach pretekstu, którym mogłaby wytłumaczyć swoją jazdę w nocy z chłopcem. Okupanci w tych sprawach byli rygorystyczni.

– Gdyby, nie daj Boże, spotkał nas w drodze jakiś patrol, to połóż się na sianie i jęcz, krzycz, i mów, że cię boli brzuch, ale może uda się przejechać bez kontroli. Resztę zostaw mnie.

Nie spodziewała się jednak, że jej obawy mogą tak szybko się sprawdzić. Nie ujechali kilometra, a już pojawił się patrol. Zatrzymali sanie.

– Dokąd jedziesz?

– Do doktora – skóra ścierpła jej na plecach.

Stefan leżał na sianie. Trzymał się za brzuch i udawał, że skręca się z bólu. Przewracał się z jednego boku na drugi i darł się wniebogłosy.

Milicjanci przyglądali mu się z niesmakiem. Konie od tego krzyku zaczęły dreptać nogami.

– Jedź, bo jeszcze ci to polskie szczenię zdechnie po drodze.

Wsiedli na konie i odjechali.

– Ale z ciebie diabeł, myślałam, że naprawdę boli cię brzuch!

Mimo strachu roześmiali się. Stefan siadł na desce obok Teresy. Przytulili się do siebie. Na niebo zaczął wylazić srebrny księżyc i piął się powoli do góry.

Zbliżali się do Domanowa. Przy drodze stały nieme domy, a dalej w oknach widać było światła.

– No, już jesteśmy prawie na miejscu.

Niedaleko widać było światła stacji i po chwili z mroku wyłoniły się budynki. Niedaleko na bocznicę widoczny był rząd wagonów towarowych. Zjechali na bok z drogi i oboje wysiedli z sań.

– Pomogę ci tę torbę zanieść do wagonów, a potem musisz radzić sobie sam – powiedziała do chłopca. Wzięła torbę i poszli w stronę torów.

– No, tutaj musimy się pożegnać. – Ucałowała chłopca i szybko wróciła do sań.

Widział, jak odjeżdża.

Wziął torbę, ale nie mógł jej unieść. Ciągnął po śniegu, złościąc za sobą ślad. Doszedł do wagonów. W ciemności nie mógł znaleźć tego zaznaczonego. Postawił torbę na ziemi koło torów i poszedł szukać swojego wagonu. Przeszedł prawie do końca, ale zawiązanej onucy nie widział. Niepokoił się. „Przecież musi tu gdzieś być, sam ją wieszałem” – mruczał do siebie.

Sprawdzał wagon po wagonie. Wzmógł się wiatr. Jego ucho wyłowiło trzepot podobny do trzepotu bielizny wiszącej na sznurku. Podeszedł szybko tam, skąd dochodził głos. Przy następnym wagonie zobaczył onucę Tadzika. Zdjął ją. Wziął torbę i wciągnął pod wagon. „Żeby tylko nie spotkać wartowników” – pomyślał. Na dworze robiło się coraz widniej. „Za pół godziny będzie widno, muszę się spieszyć”.

Ostrożnie wysunął głowę spod wagonu. Na szczęście nikogo nie zauważył. Wyszedł, wziął kawałek lodu do ręki i rzucił w klapę okienka. Brzęk w ciszy nocnej był tak głośny, że wydawało mu się, że ktoś wystrzelił z karabinu. Kłapa w wagonie uchylła się i w niej ukazała się głowa Tadzika.

– Co tak długo?! – z wyrzutem w głosie powitał Stefana.

– Nie gadaj, tylko spuść mu prześcieradło – Polko ponaglił brata.

Biała wstęga zjechała na dół. Stefan wyciągnął spod wagonu torbę i przywiązał

ją. Z dużym wysiłkiem wciągali ją do góry.

– Co on do niej nakładł, kamieni? – złościł się Polko.

Podciągnęli do góry, ale nie chciał przejść przez wąskie okno.

– Nie szarp, bo urwiesz, lepiej wyjmuj wszystko pojedynczo – instruował Polko.

Tadek włożył rękę do torby i już bez problemu wyjmował zawartość torby.

– Ojej, jak on to wszystko przytaskał – dziwili się.

Byli tak zaaferowani zdobyczą, że zupełnie zapomnieli o Stefanie, który czekał przed wagonem. Denerwował się, bo robiło się coraz widniej. Wziął kawałek lodu i ponownie rzucił w klapę. Dopiero wtedy przypomnieli sobie, że on stoi przed wagonem. Zrobiło im się głupio. Spuścili wreszcie skręcone prześcieradło na dół. Założył pętlę pod pachy i szarpnął na znak, że jest gotowy. Zaczęli go powoli wciągać do góry. Szło opornie. Nie myśleli, że jest taki ciężki, w dodatku ta cholerna klapa! Tarła o prześcieradło, a na górze nie było o co się zaprzeć. Klęczeli na kolanach i ciągnęli z całych sił. Był już prawie w otworze, ale nie mógł się w nim zmieścić ramionami. W dodatku supeł zaczepił się o hak w ścianie wagonu. Nie można go było ani wciągnąć do góry, ani opuścić na dół. Na dodatek opuszczały ich siły. Sytuacja stawała się coraz bardziej dramatyczna. Stefan wisiał u góry na prześcieradle i nie mógł się z niego uwolnić. Był jak w matni. Księżyc, jak na złość, wystawił swoją głębę z lasu i zrobiło się widno jak w dzień.

Wartownicy, którzy wieczorem opuścili posterunek, siedzieli na stacji i obserwowali przez okno wagony.

– Ty, Wania, zobacz, czy mi się zdaje? Tam na wagonie coś wisi!

– Gdzie, pokaż!

– O, tam! – Wskazał ręką podpity kolega.

– *O job twoju mać* – zaklął – coś wisi!

Wstali i szybko wyszli ze stacji. Szumiało im w głowach od wypitego alkoholu. Z początku myśleli, że mają pijackie zwiady, ale to coś nie zniknęło. Szli chwiejnym krokiem, potykając się co chwila na nierównej drodze. Podeszli pod wagon, przy którym uczepony na prześcieradle, wisiał chłopiec. Wasia spojrzął do góry.

– *Malczyk*, co ty tam robisz?

– Ja, ja wyglądałem oknem i wypadłem.

– A może ty chciałeś uciec, co?

– Nie, ja tylko chciałem kupić chleb.

– Nu, tu jak. Uciec czy wypadłeś?

– Chciałem kupić chleba i wypadłem.

– Nu, to szybko złaź, bo jak nie... – zdjął karabin z pleców. – Złaź! – wrzasnął.

– Nie mogę, bo się zaczepiło – rozplakał się Stefan.

– Złaź mówię, ty sukinsynu. – Zaczął kłuć chłopaka bagnetem.

Stefan krzyczał wniebogłosy. Krew z ręki lała się strumieniem na wartownika.

– Ożesz ty... – zaklął tamten, złapał chłopca za nogi i szarpnął z całej siły.

Prześcieradło urwało się na zaczepionym haku i Stefan spadł na śnieg. Żołnierz przyłożył mu bagnet do brzucha.

– Małczy sobaczy syn!

– Wasia, co ty robisz, przecież to jeszcze dziecko!

– Może i dziecko, ale Polaczek.

Nie wiadomo skąd wziął się lejtnant NKWD. Widocznie usłyszał wrzaski przy wagonie i przyszedł zobaczyć, co tam się dzieje. Wartownik chciał dźgnąć dzieciaka w brzuch, ale zobaczył lejtnanta.

– Towarzyszu komendancie, ten chłopiec chciał uciec – zameldował.

– Czy to prawda? – lejtnant zwrócił się do chłopca.

– Nie, ja tylko chciałem kupić chleba, bo my już dwa dni nic nie jedli...

– Towarzyszu lejtnant, ten chłopiec poplamił mi mundur!

Lejtnant z niesmakiem spojrzął na wartownika. Poczuł od niego alkohol.

– Wstań, chłopcze. – Schylił się i pomógł mu wstać.

Zobaczył skórę na łokciu rozprutą bagnetem, tak głęboko, że widać było białą kość.

– To ty plamisz mundur sowieckiego żołnierza! Jak mogłeś tak okaleczyć dziecko!

– Tak jest! – Wartownik stuknął obcasami i zachwiał się.

– Ach, ty swołocz! – W zdenerwowaniu położył rękę na kaburze nagana. – Obaj pójdziecie pod sąd za zejście z posterunku i za picie alkoholu na służbie – wrzasnął.

Spojrzął na chłopca. Oderwał kawałek płótna z prześcieradła, zrobił bandaż i owinął rękę.

– Boli?

– Boli, proszę pana.

– Nu tak, wiem, a jak tam... – Nie dokończył zdania.

– Co?

– Już nic.

– Otwórzcie drzwi i wsadźcie chłopca do wagonu.

Lejtnant poznał syna Ludwiki. Tyle zła jej wyrządził. Zabrał jej konie, wyprowadził bydło z obory i osobiście wsadził ją do wagonu. „Teraz spłaciłem dług tej kobiecie” – pomyślał. Był trochę zły na siebie, że okazał serce.

Stefan czuł się źle. Z powodu dużego upływu krwi kręciło mu się w głowie. Tadek zszedł na dół i pomógł mu wyjść na górną pryczę. Wlazł pod pierzynę i zaraz zasnął. W nocy zrywał się i krzyczał, potem znowu zasypiał. Matka słyszała jego krzyki i w sercu cierpiała razem z nim.

Tadek z Polkiem, jak zobaczyli Stefka w takim stanie, winili trochę siebie za to, co się stało. To oni obmyślili plan wyjścia Stefana z wagonu, a tę wysoką cenę za ich pomysł zapłacił on. Leży teraz i jęczy.

Było już po północy. Na dworcu znowu zaczęło coś się dziać. Dzień upłynął

w ciszy, ale teraz nocą zrobiło się gwarnie i zaroilo się od wojska. Na stację zaczęły znowu zajeżdzać sanie z wypełnionymi ludźmi i podjeżdżać pod wagony. Już trzecią noc słyhać było krzyki zwożonych ludzi i wyzwiska poganiaczy. Nad ranem wszystko ucichło. Nawet parowóz nie tłukł się przez całą noc. Czekał pewnie gdzieś daleko na boczniczy w gotowości na rozkazy.

Tej nocy warty były liczniejsze. Widocznie transport był już gotowy do drogi i władze uznały, że potrzebna jest szersza oprawa reprezentacyjna NKWD.

W wagonach panowała cisza. Ludzie powoli tracili siły, szczególnie dzieci, które przestały już płakać. Tylko Stefan przez całą noc pojękiwał. Był rozpalony. Prawdopodobnie miał gorączkę. Nie wiadomo, czy powodem jego stanu zdrowia była obolała ręka czy może podczas tej eskapady przemarzył i się przeziębził.

Nad ranem jednak już nie jęczał i zasnął. Na dworze było widno, kiedy się obudził.

– Mamo, chce mi się pić.

W butelce, którą przyniósł od Teresy, było trochę wody. Dała mu. Wypił resztę.

– Mamo...

– Co, synku?

– Mamo, ja u cioci Teresy wziąłem czekoladę. Leżała na stole, a ona poszła do kuchni; nie dla siebie...

– A dla kogo?

– Dla Haliny, ona taka biedna.

Matce pociekły łzy z oczu.

– Ty jesteś biedniejszy, bo chory, to zjedz.

– Nie, to dla niej. Ja jestem mężczyzną – upierał się.

– Gdzie ją masz? Ty, ty... mężczyzno!

– W kurtce, w kieszeni.

Włożyła rękę do kieszeni i wyjęła zdeformowaną tabliczkę.

– Prawie się rozpuściła. To chyba od gorączki, jaką miałeś w nocy. To nic, zaraz jej ją dam.

– Halina, Stefan przyniósł ci czekoladę.

– Co? Czekoladę, tutaj, dla mnie? – nie wierzyła.

Wzięła od mamy tabliczkę i poszła po drabince do brata.

– Dziękuję. – Pocałowała go w brudny policzek.

Odwinęła czekoladę ze złotka i wsadziła mu do buzi kawałek. Jedli i płakali oboje. Potem poczęstowała Polka i Tadzika. Zeszła na dół i dała po kawałku Jance i mamie.

– Dobra, bo kradziona – skomentował Polko.

Choć była bieda, roześmieli się wszyscy.

– Mamo!

– Co?

– Ten wartownik, jak leżałem na ziemi, to mi przystawił bagnet do brzucha i chciał mnie przebić. A potem przyszedł ten, no wie mama, ten, co nas tutaj przywiózł. I bardzo na niego krzyczał. I ten, mówili na niego jakoś lejtnant, podniósł mnie i zabandażował mi rękę, a potem kazał wsadzić mnie do wagonu.

Stefan zasapał się, wygłaszając ten długi monolog, i zamilkł. Leżał dłuższy czas i nie odzywał się.

– Boli cię mocno ta ręka? – zapytała matka.

– Teraz już trochę mniej, ale wczoraj...

– Wiem, pokaż.

Uniósł nieco łokieć do góry.

– Ojej, cała we krwi. – Przeraziła się Ludwika.

Obejrzała skaleczoną rękę. Krew, która przesiąkła przez prowizoryczny bandaż, zakrzepła, tworząc brunatną skorupę. Opatrunek należało natychmiast zdjąć, ranę zdezynfekować i założyć nowy. Ale w tych warunkach...

„Słyszałam, kiedyś ktoś to mówił, że rany można zdezynfekować moczem, ale czy to prawda?” – myślała matka. Nie była jednak co do tego przekonana.

Jak zwykle w godzinach rannych służby sanitarno-wojskowe otwierały wagony i zabierały ludzi, którzy zmarli z wycieńczenia albo zmarzli przez ostatnią dobę. Z daleka słychać było szurgot przesuwanych drzwi, który z każdą chwilą był coraz wyraźniejszy, aż wreszcie drzwi do wagonu, w którym była rodzina Ludwiki, otwarły się na całą szerokość.

– No, co u was? Umarł kto, czy wszyscy żywi – zapytał wojskowy.

W wagonie panowała grobowa cisza.

– Fiedia, zobacz, co tam u nich!

Fiedia wszedł do wagonu, rozejrzał się...

– Tawariszcz sierżant, siedmiu ludzi nie żyje – zameldował.

– Nu, dobra, zabierajcie ich.

Weszło dwóch osiłków ubranych w fufajki. Złapali dziarsko za nieboszczyków i rzucali z wagonu do podstawionych sanek, jak worki kartofli. Po chwili drzwi zamknęły się z powrotem. Przy tej ceremonii nie słychać było w wagonie, żeby kto lamentował lub płakał.

Było już koło południa. Ludwika dała każdemu po kawałku chleba. Nie wiedziała, kiedy będą mogli znowu liczyć na jakikolwiek posiłek. Najeść się tym nie można było, co najwyżej oszukać trochę głód. Ale to było coś. Inni nie mieli i tego, byli na skraju wyczerpania...

Każdego dnia na stacji Domanowo było cicho. Trzeciego jednak dnia coś zaczęło się dziać.

Rozdział X

Trzeciego dnia późnym popołudniem do wagonów stojących na bocznicy podjechał parowóz. Manewrowy zaczepił go do wagonów i wyszedł na peron. Otrzeptał ręce ze śniegu o fufajkę i poszedł sprawdzić, czy wszystko jest w porządku przy następnych wagonach. Zawsze w ciągu dnia na stacji panował spokój. Dziś było inaczej. Na stacji zgromadziło się dużo wojskowych. Wśród nich było kilku oficerów wyższej rangi. Towarzyszyli im również cywilni politycy, którzy przyszli pożegnać pierwszy odjeżdżający stąd pociąg na Syberię. Na tę uroczystość zgoniono wielu ludzi z bliższych i dalszych miejscowości, żeby widzieli upokorzenie Polaków, którzy lada moment stąd odjadą. Ale nie tylko. Także ku przestrodze tym, którzy okażą nieposłuszeństwo nowej władzy, żeby wiedzieli, co ich czeka w razie...

Zgiełk z zewnątrz słychać było wewnątrz wagonów.

– Tadek, zobacz, co się dzieje – powiedziała matka synowi będącemu najbliżej „okna”.

Uchylił nieco szerzej drzwiczki. Psz-psz-psz. Słyszał wyraźny syk pary uchodzącej z cylindrów lokomotywy. Otworzył klapę szerzej i wsadził głowę w otwór.

– Mamo! Chodź zobacz! Ile ludzi jest na dworcu!

Wyszła spod ciepłej pierzyny i po drabince wyszła na prycze synów. Zobaczyła tłum ludzi, a przed nimi wojskowych. Dochodził stamtąd gwar, podobny do tego, jaki bywa na targu. Ludzie stali w ścisłości i przytupywali nogami, bo mróz był tęgi. Uderzali też zmarzniętymi rękami o kozuchy. Od tych uderzeń i przytupów głos niósł się daleko i był podobny do dźwięku bębna, na którym dobosz grał podczas defilady wojska. Ludwika próbowała znaleźć w tłumie znajomą twarz, ale ludzie byli w nieustannym ruchu, w dodatku było dość daleko. Na stację napływało coraz więcej ludzi. Nie mieścili się już peronach.

– No i co, nie widzisz nikogo? – zapytała matka.

– Na razie nie, choć wydaje mi się, że za tym wojskowym NKWD-zistą stoi kobieta podobna do Soni, ale to za daleko, żeby ją rozpoznać.

– Pokaż, gdzie?

– O tam, widzi mama tego wysokiego w mundurze?

– No, widzę.

– O teraz przeszła trochę na bok, taka niewysoka.

Ludwika spojrzała w tamtym kierunku.

– Aha, to chyba Sonia. – Nie była jednak pewna. Pomachała ręką w tamtym kierunku.

– Soonia! Soonia! – zawołała.

Sonia usłyszała i poznała głos przyjaciółki. Zrobiła krok do przodu, jakby chciała ku niej pobiec. NKWD-zista zagroził jej drogę.

– *A ty kuda, job!* Chcesz tam do nich? Możesz jeszcze zdążyć – powiedział groźnie.

Pomachała do niej ręką i zgubiła się w tłumie.

Z budynku dworca wyszedł na peron zawiadowca stacji. Nigdy jeszcze nie odprawiał pociągu w takiej asyście. Zresztą stacja Domanowo nie była nigdy początkiem ani końcem biegu pociągów. Był wzruszony, że jemu przypadł ten zaszczytny obowiązek. Wszyscy notable z powiatu i gminy zaszczytili swoją obecnością jego stację. Spojrzał na nich, a potem na tłum ludzi. Podniósł rękę z czerwoną latarką do góry i opuścił ją zaraz na dół. Z komina parowozu buchnął słup dymu. Z obu tendrów zasyczała para i pociąg powoli, ociężale zaczął toczyć się po szynach. Z każdą chwilą nabierał szybkości...

Ludwice zdawało się, że ludzie na peronie robią się coraz mniejsi, oddalają się, aż po chwili zupełnie zniknęli. Pociąg jechał na wschód. Zeszła z górnej pryczy na dół. Tadek jeszcze przez chwilę patrzył na znajomy las. Przychodził tutaj jesienią na grzyby.

– Zamknij to okno, bo podusimy się od dymu!

Tadek zamknął klapę okna, jednak sporo dymu dostało się do środka. Niektórzy zaczęli kaszleć. Pociąg rozpędził się na dobre. Tiki-tiki-tak – dzwonił żelaznymi kołami na złączach szyn. Domy stojące przy torach uciekały do tyłu. Mijał leśne stacyjki zasypane śniegiem. Tylko dróżnik, albo jakiś kolejarz, przychodził na chwilę przed stacją, a kiedy pociąg przejechał, wracał w pośpiechu do ciepłej dyżurki. Choć był dzień, wewnątrz wagonu panował półmrok. Prawie nie było widać ludzi nawet z tych najbliższych prycz. Starsi, choć zmarznięci i głodni, jakoś wytrzymywali, lecz nie wiadomo, jak długo jeszcze. Gorzej było z ich stanem psychicznym, wpadali w jakiś stan apatii, a nawet odrętwienia. Nikt nie przejmował się tym, czy kto umarł czy był głodny. Gorzej było z dziećmi. Z początku głośnym płaczem domagały się jedzenia. Z każdym jednak dniem płakały coraz ciszej. Teraz już nie płakały, bo nie miały sił.

Tadek z Polkiem otwierali od czasu do czasu „okno”, spoglądali na uciekające pola i domy, z których z komina snuł się niebieski dym. Tęsknili do ciepłego pieca, przy którym siadywali na ławie i grzali zmarznięte ręce. Wszystko: dom, znajome łąki, rzeka, uciekało gdzieś daleko i chyba tylko we wspomnieniach będą do tego wracać.

Pociąg jadący dotąd wśród pobielonych pól i łąk, niespodziewanie zanurzył się w mroczny las. Parowóz przeciągle zagwizdał i nieco zwolnił. Zadzwoił kołami na rozjazdach. Chłopcy wyjrzeni na zewnątrz. Przejeżdżali przez jakąś stację kolejową schowaną w lesie. Przed ich oczami przesunął się budynek stacji.

– Co to za stacja? – zapytał Polko brata.

– Nie wiem. Napis jakoś dziwny... to chyba po rosyjsku.

Wydukał nazwę stacji, która widniała na froncie budynku.

– Leśna – przeczytał wreszcie napis naniesiony naprędce niesprawną ręką domorosłego kaligrafa.

Stacja Leśna, niegdyś zadbana, z dachem z czerwonej dachówki świeciła czerwonymi plamami cegieł odpadłego z niej tynku. W chwili, kiedy przejeżdżali przez stację, nie było na niej żywego ducha. Nawet dyżurny ruchu nie wyściubił nosa na peron.

– Tadek, zobacz! Tam jest druga tablica z nazwą stacji, napisaną po polsku. Leśna.

Widocznie nowi włodarze nie zdążyli jej jeszcze zdjąć albo zapomnieli o niej zupełnie. Na stację Leśna z Polski zjeżdżało dużo ludzi z bliższych i dalszych miejscowości. Ściągały ich tu skarby lasów, które obfitowały w nieprzebrane leśne owoce. Jesienią przyjeżdżało tu na wielu amatorów grzybobrania z pobliskich Baranowicz lub Słonima. Zdarzało się, że po te skarby ciągnęli ludzie z odległych Iwacewicz. A było w czym wybierać: królował, jak zwykle, złocisty borowik o spuchniętej nóżce, chętnie zbierane były podgrzybki o brązowych kapeluszach, przez miejscowych zwane „polskije gribki”, a w młodniakach było tyle maślaków! Można było je kosić kosą.

– Pamiętasz, to ta stacja, co zawsze jechaliśmy do dziadków na święta Bożego Narodzenia do Nowojelni.

– Wiem, tam dziadek Ludwik miał cegielnię.

Obaj chłopcy zamilkli na samo wspomnienie, w którym ich kochany dziadek zginął przygnieciony cegłami w chwili, gdy wybijał rusztowanie z desek przed wypałem cegieł. Kiedy tak wspominali, pociąg minął Paulinowo, nie zwolnił nawet w Grycewie i teraz zbliżał się do Baranowicz. Baranowicze to jedno z większych miast na Kresach, z węzłową stacją kolejową. Przez nią biegły pociągi z zachodu na wschód, z Berlina przez Warszawę aż do Moskwy. I tu krzyżowały się tory pociągów biegnących z północy na południe, łączące Wilno z Tarnopolem przez Lidę i Równe.

Było późne popołudnie, kiedy pociąg z zesłańcami dotarł do Baranowicz. Wjechał na stację wolno, po gęstej plataninie szyn. Zatrzymał się na bocznym torze, daleko od stacji. Nawet nikt z obsługi stacji nie wiedział, co to był za skład, skąd przybył i dokąd zmierzał. NKWD natychmiast obstawiło pociąg strażą i nie pozwalało nikomu zbliżyć się do niego. Niektórzy kolejarze próbowali dowiedzieć się czegoś na własną rękę, ale zdecydowana odpowiedź NKWD, żeby nie wsadzali nosa w nieswoje sprawy, skutecznie zniechęcały do zadawania jakichkolwiek pytań.

Tymczasem ze wschodu na zachód przez stację co raz przetaczały się pociągi towarowe pełne wojska. Niektóre przejeżdżały cicho, niepostrzeżenie, a w innych rozbrzmiewały piosenki przy wtórze harmoszek.

„Rascwietali jabłoni i gruszy” – śpiewali żołnierze o Katiuszy, która wyszła na

kręty, wysoki brzeg rzeki, żeby spotkać się z kochankiem. Widocznie nieźle pociągęli z butelki, bo fałszowali okropnie. Harmonista, pewnie pijany, nie zawsze trafiał na właściwy guzik i wtedy harmoszka rzeźbiła i łkała jak owca zarzynana przez początkującego adepta sztuki rzeźniczej. Transporty z wojskiem przetaczały się do późnych godzin nocnych. Dopiero około północy wszystko ucichło i tory na wschód stały otworem. Tajemniczy pociąg pod specjalnym nadzorem zagwizdał i powoli ruszył, jakby wioził coś bardzo cennego. Z każdą chwilą nabierał szybkości. Światła miasta oddalały się i powoli gasły. Pociąg zanurzył się w ciemności i tylko iskry z komina parowozu znaczyły jego bieg.

O godzinie szóstej rano minęli stację Gródek koło Nieświerza, gdzie zubożała, zaściankowa szlachta miała swoje domy, na wyrost zwane dworami, których lata świetności już dawno minęły. Byli dumni ze swoich rodów i tytułów szlacheckich. I choć niejeden hrabia był bez kontusza, to chętnie potrząsał szabelką i podkręcał wąsy, dodając sobie animuszu. Szlachcic, który był uboższy od innych, był bardziej honorowy. Łatwiej go było urazić niestosownym słowem. Dochodziło wtedy do zwad, a ambicje podlewane alkoholem w szynku u Żyda, uderzały do głowy i mąciły zdrowy rozsądek. Łała się wtedy obficie krew, a urazy noszone w sercu tkwiły latami jak zadra i nie pozwalały wyciągnąć pierwszemu ręki na zgodę. Z czasem nie wiedzieli nawet, o co się wadzili. Wiedzieli i pamiętali długo, że ich osobista duma została urażona, i to wystarczyło darzyć adwersarza niechęcią, czasem przez wiele pokoleń. Podupadłe rody ratowały się, jak mogły, żeby zachować swój *status quo*, i sprzedawały dorobkiewiczom swoje dorodne córki z tytułami szlacheckimi. Dochodziło wtedy do mezaliansów. Wychodziły wtedy one za mąż za subiektów manufaktury za określoną sumę. Pozwalało to, co prawda, oddalić wizję bankructwa za cenę szczęścia własnego dziecka, dla własnej próżności, ale nie na długo, bo szlachta miała szeroki gest i pociąg do trunków.

Na niebo napłynęły chmury i zaczął padać śnieg. Mróz wyraźnie zelżał. Ludzie stłoczeni w pociągu będą może mniej marzli, choć granice wytrzymałości na mróz i głód zostały przekroczone wielokrotnie. Powoli dogorywali, bez skargi, i chyba tylko jakiejś nadprzyrodzonej sile mogli zawdzięczać, że jeszcze żyli. Choć nie wszyscy.

Pociąg przejeżdżał właśnie przez Stołpce, graniczną stację przedwojennej Rzeczypospolitej. Ruchliwa niegdyś stacja, tętniąca gwarem, dziś stoi zupełnie pusta, zapomniana przez Boga i ludzi. Tylko wiatr hula przez powybijane szyby w oknach i wyłamane drzwi. Wewnątrz wały się niedopalone ławki. Obrazu zniszczenia dokonały jeszcze wandalowie: ściany posiekane były seriami karabinów maszynowych. Gruba warstwa tynków leżała na podłodze przy ścianach. Nikt z podróżnych, którzy teraz tędy przejeżdżają, nie domyślił się, że przekroczył dawną granicę. Pociągi teraz nawet nie zwalniały, mijając stację, jakby chciały o niej zapomnieć. Teraz wszędzie jest wielki Sawieckij Sajuz, to po co tam jakieś granice.

Zachodnie tereny Rosji różniły się wyraźnie od wschodnich terenów byłej Polski. Szczególna różnica była widoczna na wsiach. Już na oko widać było, że ludzie żyją tu biedniej niż tam w Polsce. Wsie były prawie wyludnione. Młodzi pouciekali na *prai*zwodstwa do pracy w fabryce. W miastach znajdowały się szkoły wyższe, teatry, kina. Były większe możliwości nauki, pracy, a tym samym większe możliwości awansu społecznego i perspektywa na lepsze życie. Na wsi zostali mniej wartościowi ludzie, którzy nie potrafili wykazać się samodzielnym myśleniem czy wystąpić z jakąś inicjatywą. I tacy nowej władzy byli potrzebni. Nie pytali o nic i robili, co im władza kazała. A władza zabierała im dorobek życia i tworzyła z tego sowchozy albo kołchozy. Ludzie, którzy kiedyś orali swoje pole i doili krowy, teraz robią to samo, tylko to już nie ich, tylko kołchozowe, choć mućka należała kiedyś do nich. Za pracę nie dostają pieniędzy, lecz deputat: taki, jaki mógł im zaoferować sowchoz. Jednak większość dóbr zabierało państwo i do podziału zostawało niewiele. Ludzie też nie pracowali jak kiedyś u siebie, tylko od godziny do godziny i fajrant, szli do domów.

Dochodziła godzina siódma rano. Choć niebo było pokryte chmurami i padał śnieg, na dworze wstawał dzień i z każdym kwadransiem robiło się coraz widniej. Pociąg, który wyjechał wieczorem z Baranowicz, nad ranem zbliżał się do Mińska. Pierwszym tego zwiastunem były pojedyncze domy stojące niedaleko torów. Z każdym kilometrem było ich coraz więcej, aż wjechali w zwartą zabudowę przedmieścia. Pociąg wyraźnie zwolnił. Przejechał przez podmiejskie stacje, na których nie było prawie cywili. Wszystkie stacje zapchane były wojskiem. Po prawej stronie widać było kilka lecących nisko samolotów. Widocznie gdzieś niedaleko musiało być lotnisko. W krótkim czasie pociąg dotarł do śródmieścia, ale i tu nie zatrzymał się, tylko powoli jechał dalej. Większość pasażerów pociągu już nie spała, choć trudno było ocenić, kto śpi, a kto już nie żyje, ponieważ w wagonach panował półmrok...

Tadek z Polkiem już nie spali. Uchylili klapę okienną i wyglądali na zewnątrz. Przez małe okienko wchodziło do wagonu niewiele światła.

– Co to za miasto? – zapytał Polko Tadzika, któremu z głodu głośnie burczało w brzuchu.

– Co mówisz?

– Co to za miasto? – krzyknął mu do ucha.

– Tyle samo wiem, co i ty – odrzekł.

– Zobacz, jaki wielki kościół z okrągłym dachem!

– To nie kościół.

– A co? – zapytał Polko.

– To pewnie prawosławna cerkiew – odparł, ale nie był pewny, bo pierwszy raz widział taką budowlę.

Tymczasem pociąg minął śródmieście. Domy, co prawda, były jeszcze w zwartej zabudowie, ale coraz niższe i rzadsze. Z czasem mijali domy wolno stojące, tak

charakterystyczne dla przedmieść wielkich miast. Pociąg jeszcze wolno toczył się jakiś czas, aż wjechał na boczny tor i tuż pod lasem z piskiem się zatrzymał. „Kołodyszczce” – chłopcy przeczytali nazwę stacji. Takie pociągi jak ten zatrzymywały się zawsze daleko za miastem, żeby nie wzbudzać podejrzeń wśród ludności i zachować tajemnicę, kogo wiozą i dokąd. Takich transportów jak ten przejechało tędy wiele i nikt z miejscowej ludności nie wiedział nic. Jak na peryferyjną stację wojska i NKWD było tu dużo, zbyt dużo. Do stojącego pociągu podeszli krasnoarmiejcy z bronią gotową do strzału. Stanęli naprzeciw drzwi wagonu.

– Otwieraj! – wydali rozkaz żołnierzom, którzy stali blisko drzwi.

Z trudem je otworzyli. Światło dnia rozjaśniło ciemne wnętrze wagonu. NKWD-ziści stali w drzwiach i popatrzyli do środka. Byli przekonani, że jak otworzą, to ludzie zaczną wyskakiwać i uciekać. Nic takiego się nie stało.

– *Nu szto?* Nie ma tam nikogo? – zapytał lejtnant najbliższego żołnierza.

– *No, my nie znamem.* Wygląda, że są, tawariszcz lejtnant, chyba śpią.

– Co ty, Iwan, zdurniał? Wejź do środka i zobacz.

Iwan wszedł do wagonu. Na pryczach leżeli ludzie, jeden przy drugim, skuleni z zimna. Na pierwszy rzut oka wydawało mu się, że nie żyją. Pochylił się nad leżącym na pryczy mężczyzną.

– Ej ty, *Paliak*, żyjesz? – Szarpnął go za ramię.

Ten odwrócił wychudzoną twarz. Spojrzał obojętnie na żołnierza. Miał twarz z białymi plamami odmrożeń. Poruszył się i cicho jęknął. Chciał coś powiedzieć, ale poruszył tylko ustami i położył głowę z powrotem. Żył jeszcze, ale tak naprawdę to już umarł. Wiedział, że jego godziny są policzone. Żołnierz spojrzął na kobietę leżącą obok niego.

– Nu, wy *żenszczyzna* – próbował znaleźć słowo, które by zrozumiała.

Słyszał kiedyś od kogoś, że ludzie w Polsce, gdy się spotykają, to mówią do siebie „pan”...

– Pani, nu pani, żyjesz? – zapytał, patrząc na skuloną kobietę. „Nu, gdybym tak ja teraz był w Polsce, to jak by do mnie mówili? Iwan pan? A może pan Iwan? Ale co by to zmieniło. Czy ja przez to, że ktoś powiedziałby na mnie «pan», to byłbym naprawdę pan?” – pomyślał. Inaczej sobie wyobrażał polskiego pana, tyle go uczyli w rosyjskich szkołach o polskich panach, krwiopijcach, którzy gnębią własny naród. Ale ci, co tu leżą, jakoś nie przypominają mu polskich panów, nijak nie pasują do jego wiedzy o panach. Teoria rozjechała się zupełnie z tym, co widział. Pochylił się nad kobietą i potrząsnął ją za ramię.

– Pani żyjesz? – Ciarki przeszły mu po plecach.

Nie odezwała się. Leżała dalej, jakby zapadła w głęboki sen. Odwrócił ją na wznak. Nie dawała znaku życia. Doszedł do niego nieprzyjemny zapach: taki jak kiedyś na pogrzebie dziadka, kiedy pochylił się nad nim, żeby go pożegnać. Był młody i nieoswojony ze śmiercią. Zrobiło mu się słabo. Poczł mdłości.

– Iwan, czemu się nie odzywasz? Co tak długo robisz? – Usłyszał głos z zewnątrz.

– Panie lejtnant, tutaj żywi śpią z umarłymi – bełkotał coś niezrozumiale.

– Iwan, coś ty, zupełnie zgłupiał! Czy blekotu się najadł, a?

Iwan nie odezwał się. Stał jak zahipnotyzowany i patrzył na żywe trupy.

– Iwan, wychodź natychmiast! – krzyczał lejtnant.

Podszedł do drzwi wagonu na miękkich nogach. Był blady jak papier.

– Złaż natychmiast! – Usłyszał rozkaz.

Zaczął schodzić powoli na nogach z galarety. Stał przed przełożonym, ale go nie widział. Po chwili osunął się na ziemię.

– Baby, nie żołnierze – stwierdził lejtnant i spojrział z pogardą na żołnierza, który przed nim zemdłał. „Panie lejtnant” – dzwoniły mu w uszach słowa Iwana. „Zupełnie zgłupiał” – pomyślał zdenerwowany. – Gdzie jego broń? – zapytał.

– Pewnie zostawił w wagonie – odezwał się ktoś ze stojących obok dowódcy.

– Jak to zostawił, wrogowi!? Żeby z naszej broni do nas strzelał? Żołnierz nie może zostawiać broni nikomu! Pod sąd pójdzie! – grzmiał lejtnant.

Starszy żołnierz, który stał za plecami lejtnanta i niejedno w swoim życiu widział, odezwał się:

– Towarzyszu lejtnant, czy towarzysz widział, żeby nieboszczyk z karabinu wystrzelił? – powiedział z ironią.

Żołnierze stojący obok roześmiali się.

– Kto to powiedział!?

– Ja – odrzekł żołnierz z czarnym wąsikiem pod nosem i o zawadiackim spojrzeniu.

Lejtnant odruchowo sięgnął po broń i spojrział mu w oczy. Ten jednak wytrzymał jego wzrok.

– Nu, Wasyl, nie przeciągaj struny, bo może pęknąć.

– Ja nie gram na gitarze, tylko na trąbce, towarzyszu lejtnant.

Lejtnant zaklął pod nosem i odwrócił się. Iwan, który zemdłał po wyjściu z wagonu, powoli odzyskiwał przytomność. Koledzy pomogli mu wstać.

– Towarzyszu lejtnant, tam w wagonie umarli śpią razem z żywymi – próbował zameldować.

– Milcz, durniu, to już słyszałem! Warta do mnie!

Podeszło dwóch wartowników.

– Zabrać go. Dziesięć dni aresztu – rozkazał.

– Żaden żołnierz Armii Czerwonej nie może okazać słabości wobec wroga – powiedział, kiedy wartownicy odprowadzali aresztanta do paki.

– Gdybyśmy w świecie mieli tylko takich wrogów, to już dawno bylibyśmy na Półwyspie Iberyjskim – mruknął z sarkazmem Wasyl.

Lejtnant mimo uszu puścił tę złośliwą uwagę. „Oj, Wasyl, Wasyl, ty kiedyś

doigrasz się” – pomyślał.

Ale sam nawet nie wiedział, dlaczego lubił tego odważnego żołnierza. Lejtnant postanowił sam sprawdzić, jaki jest stan ludzi, którzy przyjechali w tym transporcie do Mińska. Wszedł do wagonu. Choć niejedno w swoim życiu już widział, to czegoś takiego nie spodziewał się. Zaduch, jaki panował w wagonie, omal nie zwałił go z nóg. Czuł, że koszula na plecach robi mu się mokra... Teraz zrozumiał młodego żołnierza, szybko wyszedł z wagonu, ocierając spoconą twarz. „Jak oni mogli przysłać nam ludzi w takim stanie?” – zastanawiał się. Kazał sprawdzić wszystkie wagony. We wszystkich było podobnie. Tylko w tych ostatnich wagonach było trochę lepiej.

Po otrzymaniu raportu postanowił zawiadomić władze zwierzchnie w Mińsku. Poszedł na stację, gdzie był telefon. Zakreślił korbką do centrali telefonicznej.

– Proszę połączyć mnie z komendą NKWD.

– Łączę.

W słuchawce coś zatrzeszczało i jakby z daleka dobieł się głos:

– Tu komenda NKWD w Mińsku. Słucham.

– Proszę połączyć mnie z towarzyszem pułkownikiem.

– A kto mówi?

– Lejtnant Wołkow, towarzyszu.

– A to ty, Alosza! Czego chcesz?

Lejtnant wyłuszczył wszystko, co widział na stacji Kołodiszczce.

– Nie może być, Alosza! Nie może być, zaczekaj, idę po pułkownika. – Odłożył słuchawkę na stole.

Adiutant długo rozmawiał z pułkownikiem. Wreszcie drzwi się otworzyły i wyszedł, a za nim wytoczył się gruby pułkownik. Wziął słuchawkę do ręki i powiedział tubalnym głosem:

– Towarzyszu Wołkow, zaraz tam przyjadę.

Pułkownik wsiadł do samochodu i po półgodzinie był już na stacji.

Lejtnant Wołkow zobaczył pułkownika wysiadającego z samochodu. Podbiegł do niego i chciał zameldować.

– Nie trzeba, nie trzeba, Alosza, chodźmy lepiej zobaczyć.

Podeszli do wagonu.

– Otwieraj! – warknął do wartownika.

Wartownik nie bez wysiłku otworzył drzwi. Pułkownik stał przed wagonem i patrzył na ludzi wewnątrz. Przeszł z nogi na nogę. Otworzyli drugi, potem trzeci... piąty. Wszędzie było to samo. Na sam widok tych ludzi zrobiło mu się niedobrze. Złość wykrzywiła mu twarz.

– Jołki – pałki – zaklął.

Widać było, że był pod wielkim wrażeniem.

– Lejtnant Wołkow. Do mnie!

– Słucham, towarzyszu pułkowniku.

– Słucham, tak jest – sapał ze złości. – Natychmiast sprowadź tu ekipę sanitarną z lekarzem.

– Towarzyszu pułkowniku, skąd ją mam teraz wziąć?

– Milczeć – zdenerwował się nie na żarty. – Weź ze szpitala I przywieź ich tu pod eskortą. Natychmiast! A wy, kapitanie – dodał łagodnie – weźcie ciężarówkę i przywieźcie z jednostki wojskowej kuchnię polową, zrozumiano?!

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku!

– Zaczekajcie! Weźcie od wojskowych drugi samochód i przywieźcie jak najwięcej chleba.

– Alosza, pójdziemy na stację trochę się ogrzać – zwrócił się pułkownik do lejtnanta.

Weszli do baru na stację. Zamówili u kelnerki mocny czaj i zaczęli rozmawiać.

– Alosza, widziałeś w życiu coś takiego?

– Widziałem już w swoim życiu dużo, ale czegoś takiego jeszcze nie, towarzyszu pułkowniku.

– Czy mogę ci zaufać? – Spojrzał badawczo w oczy lejtnanta.

– Oczywiście, towarzyszu!

– Przestań z tym „towarzyszu pułkowniku”! Słuchaj, musimy jakoś tych ludzi postawić na nogi, a potem szybko wysłać do Moskwy, niech się oni martwią.

– Łatwo powiedzieć, ale towarzysz pułkownik sam widział.

– Da, da, zrobimy, co będziemy mogli, a dalej...

Do stolika podeszła kelnerka.

– Podać coś jeszcze?

– Nu, nie masz ty czasem na zapleczu coś mocniejszego? – Pułkownik spojrzał na nią figlarnie.

– Oj, towarzyszu pułkowniku. – Kelnerka wymownie spojrzała na lejtnanta.

– Nie bój się, to porządny człowiek, a jak co, to ja ciebie z tego rozgrzeszę.

– Naprawdę? – Spojrzała zalotnie na przystojnego lejtnanta.

– Naprawdę, tylko nie wierz mu we wszystko, co ci będzie obiecywać – zażartował.

Kelnerka zarumieniła się po uszy i poszła do baru. Po chwili przyniosła pękata butelkę i postawiła na stole.

– Co to jest?

– Kwas chlebowy. Dobry trunek na frasunek. – Puściła oko.

– Zmyślna jesteś. – Pułkownik klepnął ją w pośladek.

Kelnerka znowu zaczerwieniła się i spojrzała na Aloszę. Niechętnie odeszła od stolika. Wolałaby jednak, żeby klepnął ją ten młody, przystojny lejtnant.

Pułkownik wlewał do szklanek „kwas chlebowy” i trącał się z Aloszą. Podnosił szklankę do góry:

– *Zdarowia!* – Wychylał napój do dna. – *Kriepkaja!* – I chuchał tak, jak to robią latem w parku miłośnicy księżycówki.

Kiedy wysuszyli butelkę do dna, na stację zajechała ciężarówka z personelem medycznym w białych fartuchach. Byli trochę przestraszeni, rozglądali się z niepokojem po dworcu. Pułkownik i Alosza wyszli do nich.

– Chodźcie z nami, coś wam pokażę. – Pułkownik zaprowadził ich do wagonów.
– Otwieraj! – krzyknął do wartownika.

Żołnierz otworzył drzwi i podstawił drabinę, żeby łatwiej było wejść służbie sanitarnej do środka.

Z wagonu zionął na nich nieprzyjemny zaduch. Znali ten zapach z prosektorium w szpitalu.

– Jeżeli możecie im pomóc, spróbujcie doprowadzić ich do życia – powiedział pułkownik.

Lekarz popatrzył na niego i nie zrozumiał, o czym on mówi.

Weszli do środka. Rozejrzeli się po ludziach leżących na pryczach. To, co zobaczyli, nie miało nic wspólnego z pojęciem *homo sapiens*. Doktor z początku myślał, że nie widzi tu ludzi, a zwierzęta, i to potraktowane zbyt brutalnie. I dla nich byłoby to zbyt upokarzające. Doktor na chwilę zamyślił się. System, który powstał w 1917 roku, miał wyrwać ludzi z upodlenia. Miał. Tu w wagonach pokazywał swoje drugie oblicze, tysiącrotnie gorsze, z którym walczyli. Wiedział, że jest źle i nie pochwalał tego, ale kiedy patrzył na tych ludzi... widział w wagonie kobiety i dzieci. „Czym się oni narazili władzy radzieckiej, że taki zgotowali im los” – myślał. „Muszę im pomóc, ale jak? Kiedy oni stoją u drzwi. Może to i dobrze, że są w takim ścisku” – zastanawiał się. Stał z sanitariuszami w wagonie i nie wiedział, od czego zacząć. Tych ludzi należałoby wziąć natychmiast do szpitala. Nie miał takiej możliwości. Podszedł do pryczy, gdzie cicho jęczał mężczyzna.

– Co wam jest?

– On ma złamaną rękę – poinformowała kobieta, która leżała obok męża.

– Nu kak, złamał rękę, leżąc na pryczy?

– Tak, nie, on leżał na pryczy, ale jak podstawili parowóz, to wypadł na podłogę.

– Kiedy to było?

– Cztery dni temu.

– Aaaaa – otworzył buzię. – I wy nikomu nie mówili?

– Mówili, ale oni zabierali tylko zmarzniętych i tych, co umarli, i zamykali drzwi.

– Nie rozumiem. – Pokręcił głową. „Mocni ci Polacy, inni pewnie w takich warunkach dawno by już umarli” – pomyślał.

– Towarzyszu doktorze, tu jakiś człowiek nie żyje. – Sanitariusz przeglądał prycze z drugiej strony.

– To go wynieście.

– Nie mogę, bo kobieta trzyma go w objęciach.

Lekarz podszedł do niej.

– Dobra kobieto, puść go, on już odszedł.

Popatrzyła na niego.

– To nieprawda, on tylko śpi.

– Zwariowała czy co? – dziwił się sanitariusz.

Lekarz spojrzał na niego.

– Ty byś też zwariował, gdybyś był na ich miejscu – odrzekł ze smutkiem.

– Doktorze!

– Co tam znowu?

– Tu leży kobieta, a przy niej mała dziewczynka.

– Co w tym dziwnego?

– Niby nic, ale ta kobieta nie żyje.

Podszedł i wziął dziecko na ręce.

– Ładna, ale słaba – powiedział lekarz. „Jaka ma być, jak od czterech dni nic nie jadła” – pomyślał. Zaświtała mu jednak pewna myśl. Podszedł do kobiety, której umarł mąż.

– Twój mąż nie żyje, a ja ci dam za niego żywe dziecko.

Kobieta popatrzyła na męża, a potem na dziewczynkę.

– Mama, ja chcę jeść – powiedziała cicho. Kobieta nie wiedziała, co ma zrobić. Instynktownie wyciągnęła rękę do dziecka.

– Zabierajcie od niej męża, tylko szybko – powiedział lekarz do sanitariuszy, podając kobiecie dziewczynkę.

Wzięła ją i przytuliła do piersi.

– Doktorze, ta kobieta chyba zwariowała! – rzekł sanitariusz.

– Przejdzie jej. Miłość do dziecka pomoże jej wrócić do równowagi – rzekł wzruszony doktor. – Zabierzcie te dwa ciała. Dziwię się, że są tylko dwa. Im potrzebny jest pokarm i trochę ciepła, i...

Zabierali się, żeby wyjść z wagonu, wtedy odezwała się Ludwika:

– Panie doktorze, mógłby pan zobaczyć rękę mego syna?

– Co się stało?

– Jemu pijany żołdat mocno skaleczył rękę.

– Żołnierz? Nie kłamiesz?

– Nie, to prawda.

Tadek ze Stefanem zeszli na dół.

– Pokaż, niech zobaczę.

Tadek zdjął kurtkę z jednego ramienia i zawinął rękaw bratu. Lekarz spojrzał na brunatny bandaż z zakrzepłą krwią na łokciu.

– No, no, no, dawno się skaleczył?

– Cztery dni temu – odpowiedział Tadek.

– *Swołocze* – mruknął lekarz i zaczął rozwijać sklejony opatrunek, ale tak zasechł, że nie chciał puścić.

Wyjął z torby lekarską buteleczkę z jakimś płynem i połał po bandażu. Miejsce polane zaczęło szumieć i gotować. Zrobił się na nim biały, a potem krwawy bąbel. Odczekał chwilę, zaczął odwijać.

– Jak ci na imię?

– Stefan – odrzekł przestraszony chłopiec.

– Jak to będzie po naszymu? – zwrócił się do sanitariusza.

– Stioipa, towarzyszu doktorze.

– Ładnie. A wiesz, Stiepan, mam syna, który też nazywa się Stefan, i on nigdy nie płacze, jak się skaleczy – zagadywał, żeby odwrócić uwagę chłopca od łokcia. Wiedział, że będzie to bardzo bolesne.

– A gdzie twój ojciec?

– Na wojnie.

– A co on tam robi na tej wojnie – zagadywał i dalej rozwijał opatrunek.

– Biję Niemców.

– Przecież wojna dawno się skończyła.

Stefan zastanawiał się przez chwilę: „Jak wojna się skończyła, to dlaczego do nas nie wrócił tatuś”. Lekarzowi została ostatnia warstwa przyklejona do rany.

– Nie wiem, może bije...

– Kogo?

– Ruskich – powiedział poważnie.

Lekarz gwałtownym ruchem szarpnął za bandaż, zrywając brudny opatrunek z rany. Stefan nie zdążył nawet krzyknąć, syknął tylko przez zaciśnięte zęby z bólu i po twarzy pociekły mu łzy. Z otwartej rany zaczęła płynąć obficie brudna krew.

– Już po wszystkim. Dzielny *parień*. Pewnie taki jak twój ojciec, który teraz bije...

Pogłaskał go po głowie. Oczyszczył ranę, zdezynfekował, zasypał żółtym proszkiem i zawinął łokieć czystym bandażem.

– No i po wszystkim. – Lekarz zabierał się do wyjścia. – A ty, chłopcze, kogo będziesz bił, jak urośniesz? – zapytał, odchodząc.

– Ruskich – powiedział przez zaciśnięte zęby.

– A za co?

– Za wszystko, co nam zrobili!

Lekarz zmieszał się i nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

– No, my, Rosjanie, potrafimy zrazić do siebie sąsiadów, nawet dzieci nas nienawidzą – powiedział cicho do siebie i wyszedł.

Drzwi wagonu zamknęły się i wewnątrz znowu zrobiło się ciemno.

Pułkownik i lejtnant czekali przy wagonie tak długo, aż lekarz z sanitariuszami wyjdą. Zmarzli już trochę, bo przestępowali z nogi na nogę i zabijali ręce, choć mieli

na nich rękawice.

– Nu jak, co wy, towarzyszu, o tym myślicie? – zwrócił się do lekarza pułkownik.

– Źle, po prostu makabra! Ja tych ludzi, którzy doprowadzili do tego, oddałbym pod sąd. Jeszcze nigdy nie widziałem tak sponiewieranych i odartych z godności ludzi – powiedział lekarz.

– Nu tak, wy *wraczyk*, niewiele jeszcze widzieli, ale zobaczysz – mówiąc to, pułkownik wymachiwał pięścią lekarzowi pod nosem.

– Towarzyszu pułkowniku, towarzysz mi grozi? Jeżeli tak, to jeszcze dziś powiadomię Komitet Obwodowy Partii w Mińsku i sprowadzę tu komisję z Moskwy – rzekł poirytowany lekarz.

– Jak zdążysz, konowale! – Pułkownik zbliżył swoją zaczerwienioną twarz do twarzy lekarza.

Z ust pułkownika ziało alkoholem.

– Lepiej, żeby towarzysz pułkownik zajął się ludźmi, a nie pił na służbie. Oni niedługo poumierają z głodu i zimna. Co będzie, jak w takim stanie zajadą do Moskwy? Wtedy Moskwa zapyta: kto doprowadził tych ludzi do takiego stanu! – lekarz podniósł głos. – Co im wtedy towarzysz pułkownik odpowie, co?

Pułkownik patrzył na lekarza, nie spodziewał się takiej riposty. Słyszając z jego ust, że może odpowiadać za tych ludzi, wytrzeźwiał zupełnie i przestraszył się na dobre. Wiedział, że z Moskwą nie ma żartów. Otworzył usta i chciał coś powiedzieć, ale szybko je zamknął i zaczął się zastanawiać. „Może ten lekarz ma kogoś znajomego w Moskwie? Jakby coś powiedział komu trzeba, to byłoby po mnie. Niejeden grzeszek mam na sumieniu” – pomyślał.

– Nu, towarzyszu doktorze, nie *sierdities*’. Ale powiedzcie mi, co mam zrobić?

– Musicie tym ludziom natychmiast dać gorący posiłek i coś do picia.

– Nu tak, my już posłali samochód po chleb i zaraz przyjedzie tu kuchnia polowa, to może będzie i coś gorącego. Doktor widzi, ile tu ludzi.

– Widzę i wiem, w jakim są stanie. Jeszcze jedno, pułkowniku.

– Co?

– Dzieciom do lat dwunastu trzeba koniecznie dać mleko.

– A skąd ja mam teraz wziąć wam mleko?

– Nie mnie, tylko dzieciom, i nie moja to sprawa, a wasza, pułkowniku – powiedział lekarz z naciskiem.

Wracz odszedł wizytować następne wagony, w których było podobnie, a w niektórych jeszcze gorzej, o wiele gorzej. Sanitariusze wynosili z wagonów zmarłych i układali rzędem na śniegu. Nie nadążali wywozić ich ze stacji.

– Ot, czort, nie doktor – powiedział pułkownik do lejtnanta. – Alosza, czy ty słyszał co ja? Tym Polaczkom trzeba dać mleka, ha, ha – roześmiał się. – A może jeszcze czekolady, job twoju mać.

– To byłoby trudniejsze, towarzyszu pułkowniku, ale mleko?
– Jakie mleko, Alosza? Zdurniał zupełnie?
– Nie, ale możemy posłać ciężarówkę do sowchozu.
– Co? – zastanowił się pułkownik. – A wiesz, Alosza, że ty masz głowę. – Klepnął się w czoło. – Jak przyjadą z chlebem, to bierz samochód i jedź po mleko! Alosza?

– Co, pułkowniku?
– Ty jesteś prawdziwy druh, jak będziesz coś potrzebować...
– Nie trzeba, towarzyszu, nie trzeba. Mogę już odejść?
– Idź, Alosza, idź, i Bóg z tobą. – I zaraz przeraził się tego, co powiedział. Popatrzył za odchodzącym.

„Może nie słyszał? Jak ja, pułkownik sowieckiej armii, mogłem coś takiego powiedzieć?! Chyba mi wódka rozum odebrała”.

Alosza udał, że nie słyszy słów pułkownika. Poszedł na stację z nadzieją, że może uda mu się umówić na tańce z ładną kelnerką, która wpadła mu w oko. Usiadł przy stoliku, przy którym siedział z pułkownikiem, i czekał. Po chwili podeszła kelnerka, ale inna.

– Podać coś? – zapytała.
– Tu była przed obiadem, taka... czarna... – jąkał się.

Kelnerka uśmiechnęła się. Nie mogła uwierzyć, żeby NKWD-zista zapomniał języka w gębie.

– Wiera! – przyszła mu z pomocą. – Ona poszła już do domu. Będzie jutro do południa. Podać coś?

– Nie trzeba.

Alosza, zawiedziony, wstał i wyszedł z lokalu. Kelnerka popatrzyła za nim i pomyślała: „Co ta Wiera ma w sobie, że do niej tak lgną te chłopcy? Tego też pewnie wzięło”. Zazdrościła koleżance. „Muszę zapytać ją, jak ona to robi?” – pomyślała.

Alosza chodził po dworcu bez celu. W tej chwili wolał nie pokazywać się pułkownikowi mimo jego gestów przyjaźni. Z nim nigdy nie wiadomo, raz jest dobry, a za chwilę jak go coś napadnie, to wymachuje bronią przed nosem. Ten lekarz zaimponował mu. „No, no, takiego pułkownika postawił na baczność. Zuch chłop! Ale mogło to się dla niego skończyć źle. Kim on jest, że nikogo się nie boi?” – zastanawiał się. „Ale skąd ja, do czorta, wezmę mu tyle mleka? Diabli nadali tych Polaków! Nawet tutaj są z nimi kłopoty. Zaraz, zaraz, niech pomyślę. Ależ tak! Przecież w Mińsku jest spółdzielnia mleczarska. No to gdzie, jak nie u nich będzie mleko!”. Zadowolony z siebie, czekał na samochód.

Późnym popołudniem samochód przywiózł na dworzec chleb, ciągnął za sobą kuchnię polową, znad której unosił się dym. Z szoferki, ze skrzyni ładunkowej, wyskoczyło czterech młodych żołnierzy. Otworzyli wagon i jeden z nich wszedł do środka.

– Ile was tu jest? – zawołał wesoło.

Nikt mu nie odpowiedział.

– Co wy? Nie chcecie jeść? Czy wy wszyscy umarli?

– Prawie – odezwał się ktoś.

– Przywieźliśmy wam chleb, a zaraz będzie i ciepła zupa.

Ludzie, którzy byli skrajnie wyczerpani, na wieść o jedzeniu zaczęli się ruszać. Nikt nie był w stanie odpowiedzieć. Ilu ich było ani ilu ich teraz jest, bo wielu wyrzucono drzwiami, do których teraz przywieziono jedzenie.

– A kto to może wiedzieć? – odezwał się ktoś. – Wsadzili nas nocą i nikt nie liczył. To wy powinniście wiedzieć, bo wy zabraliście nas z domów.

– *Nu, charaszo.* – Podszedł do górnej pryczy. – Ilu was tam jest?

– Ośmioro – powiedziała Ludwika.

– Ilu? – nie wierzył.

– Ośmioro – skłamała.

– Wania, daj osiem porcji!

Żołnierz na ciężarówce kroił chleb, mniej więcej po dwadzieścia deko.

– Masz, Pietia. – Ten brał i podawał na pryczę.

U góry dostali osiem porcji, obok sześć, a na dole siedem. Chleb zjedli natychmiast. Po czterech dniach głodu nie było tego za wiele, ale zawsze. Potem żołnierze z kuchni polowej nalewali gorącą wodę do wiadra, tak zwany kipiatak, i wstawiali do wagonów. Każda rodzina dostawała półlitrowy aluminiowy kubek, którym czerpali wrzątek. Kubek parzył w palce i trudno było go utrzymać, a pity, parzył w usta i język. Pożywny napój zesłańców – kipiatak – szybko stygł na mrozie i trzeba było się spieszyć. W Mińsku po raz pierwszy zetknęli się z tym napojem, który będzie towarzyszyć im już przez całe zesłańcze życie. Nie zawsze miał jednakowy smak, to zależało, z jakiego źródła brana była woda. Czerpana z jeziora lub rzeki, nalewana była do beczek, często po ropie, z całą florą i fauną wodną. Gotowana pod chmurką, miała specyficzny smak i zapach. Zależało to od rodzaju dodatków znajdujących się w wodzie. Trzeba było pić szybko, żeby nie ostygł. Drobne skorupiaki trzeszczały w zębach, a pogryzione raniły gardło. Drugim sybirackim daniem był tak zwany mucznyj sup – zupa z mąki. Do gotującej się wody powoli dosypywana była mąka, mieszana kijem lub deską, tworzyła rzadką, białą papkę. Czasami mąka była stęchła i zalegały się w niej białe robaki, to wtedy mucznyj sup był z wkładką mięsną w miniaturowym wydaniu. Białe robaki były niewidoczne w białej zupie z mąki. Zresztą, kto patrzył, co je, dobrze, że w ogóle coś zjadł.

Już było ciemno, kiedy Alosza przywiózł mleko. Żołnierze wchodzili do wagonu z wiadrem, nalewali do aluminiowych kubków i podawali matkom, które miały dzieci. Trwało to trochę, bo na dworze było już ciemno.

– Skariej, skariej! – popędzał lejtnant żołnierzy wydających mleko.

– Gdzie on się tak spieszy, nie wylejemy tego na podłogę.

– Prędeż, ruszajcie się – poganiał Alosza i spoglądał na zegarek. „Jeszcze tyle wagonów? Czy ja zdążę?” – myślał.

Porucznikowi jakimś cudem udało się dostać adres kelnerki z dworcowej restauracji. Pojechał do niej do domu i umówił się na tańce w domu kultury na godzinę ósmą, a tu już wpół do siódmej, a jeszcze tyle wagonów! „Chyba nie zdążę! I to wszystko przez tych Polaków, niech ich czort!”. Tyle sobie obiecywał po tym spotkaniu, znowu spojrzął na zegarek. „Chaliera! Już siódma! Co mi począć?”.

– Weź drugie wiadro i idź do wagonu obok – rozkazał Alosza.

– Towarzyszu poruczniku, drugiego wiadra nie ma.

– Jak to nie ma?! – zdenerwował się.

– Nie ma. Towarysz lejtnant nie kazał nam brać drugiego wiadra.

– Ty durniu, mówisz tylko „towarysz, towarzysze”, a to ja mam za wami nosić wiadra?! – wściekł się.

– Towarzyszu poruczniku, może na stacji mają jakieś wiadra? – podsunął pomysł jeden z żołnierzy.

– Może? Na pewno mają, że też nikomu wcześniej to nie przyszło do głowy.

– Leć, durniu, tylko szybko!

Żołnierz pobiegł na stację i wkrótce wrócił z trzema wiadrami. Obsługiwali teraz cztery wagony naraz. Nawet sam porucznik nalewał mleko dzieciom do garnuszków. Lejtnant był zadowolony z dwóch powodów: wykonał polecenie lekarza, a ponadto zdąży na tańce z Wierą.

– No, chłopcy, dobra robota – pochwalił żołnierzy w przypiływie dobrego humoru i perspektywy uroków, jakie czekają go dziś wieczorem.

„Przez tych Polaków byłbym nie zdążył”. Zachmurzył się znowu. „Czort z nimi”. Machnął ręką.

– Towarzyszu, już skończyliśmy.

– Dobra, to siadajmy do samochodów, jedziemy – rzekł zadowolony. – Wołodia, zawieź mnie do Młodzieżowego Domu Kultury – poprosił kierowcę.

– Dobrze – odrzekł szofer i pojechał tam, gdzie nie powinien.

Lejtnant całą noc bawił się z Wierą. Ta urocza czarnulka tańczyła jak baletnica. Oczarowała go swoim tańcem i humorem. Ten zatwardziały NKWD-zista zrobił się przy niej delikatny i czuły, choć trudno go było o to posądzać. Wiera umiała grać na męskich uczuciach jak mało kto. Przy niej zapomniał zupełnie o głodnych Polakach stojących na bocznym torze w Kołodiszczy w Mińsku. Alosza całą noc bawił się znakomicie.

Około północy do stojących wagonów doczepiono parowóz. W okolicy dworca było więcej wojska niż do tej pory. Ludzie w wagonach na pewno poczuli się bezpieczniej, wszak tyle oficerów i wojska troszczy się o ich zdrowie i czuwa, żeby czasem ich nikt nie skrzywdził. Zapewne przyszli tutaj z sympatii, żeby ich odprowadzić i pożegnać. Dali im nawet kipiaterki na drogę.

Alosza nie zdążył na tę uroczystą chwilę. Odprowadzał właśnie Wierę z zabawy do domu. Stał w progu i nie mógł odejść. Oczami wyobraźni był u niej w sypialni, gdzie było przytulnie i ciepło.

Parowóz zagwizdał do odjazdu. Sapiąc z wysiłku, ruszył, ciągnąc wagony. Z każdą chwilą nabierał szybkości. Pociąg specjalnej troski zanurzył się w ciemność. Jeszcze jakiś czas były widoczne światła miasta, ale i one zgasły... Pociąg jechał na wschód. Monotonny stukot kół usypiał, tylko dzieci popłakiwały w ramionach matek, ale i one zasnęły kołysane jadącym pociągiem. Pociąg minął Borysów, niezauważony przejechał przez Tołczyn i nad ranem zbliżał się do Orszy, miasta na północno-wschodniej Białorusi, koło Witebska. Miasto, o które toczyło się wiele bitew i potyczek między wojskami litewsko-polskimi a wojskiem moskiewskim. W dniu 13 lipca 1508 roku zwały się tutaj ze sobą wojska litewskie pod dowództwem księcia Ostrogskiego, które rozgromiły wojska moskiewskie idące z pomocą Glinskiemu. Natomiast 8 września 1514 roku wojska polskie i litewskie, dowodzone przez tegoż samego księcia, pokonały kilkakrotnie liczniejsze wojska moskiewskie, które po ciężkich walkach uciekły w popłochu z pola bitwy, ratując się od pogromu.

W południe pociąg dotarł do Smoleńska, miasta obwodowego w zachodniej, europejskiej części Rosji, nad górnym Dnieprem. W XI wieku został podbity przez Litwinów i włączony do Litwy na około czterysta lat. W toku zaciętej rywalizacji litewsko-moskiewskiej o wpływy w 1514 roku został utracony na rzecz Rosji. Prawie po stu latach, w 1611 roku ponownie odzyskane, powróciło do Rzeczypospolitej, po czterdziestu trzech latach natomiast, w 1654 roku ponownie utracone. Na mocy traktatu w Andruszowie w 1667 roku zostało ostatecznie wcielone do Rosji. Z miastem i obwodem smoleńskim wiąże się również najnowsza historia Polski. Po napadzie Związku Radzieckiego na Polskę we wrześniu 1939 roku, więci do niewoli jeńcy polscy na polecenie biura politycznego WKP(B) w dniu 25 marca 1940 roku zostali bestialsko wymordowani przez NKWD w pobliskim Katyniu. Cztery i pół tysiąca jeńców oficerów Wojska Polskiego. Zwożono tu również jeńców polskich z innych obozów, z Kozielska, Starobielska, Ostaszkowa... Strzałem w potylicę czaszki zlikwidowano tu około 25 tysięcy polskich oficerów.

O, paradoksie! – chciałoby się zakrzyknąć. Z miastem tym wiąże się również najnowsza historia Polski. W dniu 10 kwietnia 2010 roku ginie tu w katastrofie lotniczej prezydent Rzeczypospolitej z 98 osobami towarzyszącymi na pokładzie samolotu. Elita życia politycznego, parlamentarnego i osoby prywatne. Zdążyli do Katynia w 70. rocznicę mordu na polskich oficerach. Chcieli złożyć tu wieńce na grobach ku pamięci i przestrodze. Chciałoby się zapytać, czy to przypadek, jakieś fatum, a może jedno i drugie? Być może i coś jeszcze... Tyle krwi polskiej wsiąkło w tę smoleńską ziemię, że wydaje się na miejscu przytoczenie słów piosenki żołnierzy polskich spod Monte Cassino: „Ta ziemia do Polski należy, choć Polska daleko stąd...”.

Pociąg zatrzymał się tu na parę godzin, żeby przepuścić eszelony z wojskiem na zachód. W niektórych wagonach żołnierze śpiewali znaną wszystkim „Katuszę”, a w innych: „Na stepach za dzikim Bajkałem, gdzie złota szukałem wśród gór”. Piosenka o tęsknocie za wolnością, która wzruszała ludzi, a jej rzewna melodia wyciskała łzę z oka i zapadała głęboko w słowiańską duszę.

Obok przejeżdżających „wesołych” wagonów stał i czekał na wolny przejazd pociąg zniewolonych, głodnych i zmarzniętych ludzi, o których rosyjscy żołnierze na pewno nie będą śpiewać rzewnych piosenek.

Kiedy mrok zapadł, pociąg ruszył w dalszą drogę. Śnieg zaczął padać gęsty i padał przez całą noc. Tymczasem pociąg jechał przez Jarcewo, potem minął Wiaźmę i gnał dalej na wschód.

Za pociągiem kłębił się śnieg, wzniecany pędem jadącego pociągu, i siadał z tyłu ostatniego wagonu, tworząc śnieżną czapę. Nad ranem minął Możajsk, a kiedy blady świt, wyzierał przez zachmurzone niebo, dotarł do Odincowa, przedmieścia Moskwy. Tu zatrzymał się na dłużej, a potem ruszył powoli przez ogromne miasto. Minął stację Triehgorka, później Sefuń. Po jakimś czasie w tyle został Kuncew, za nim Tołtowskaja. Pociąg jeszcze bardziej zwolnił, kiedy przejeżdżał przez dworzec białoruski, który był główną stacją dla pociągów odjeżdżających na zachód. Skierował się na północny wschód. Minął stację Sawiłowska. Po jej prawej stronie widoczny był cmentarz. Latem pewnie pełen zieleni, krzewów i drzew. Zimą stały nagie, jakby umarły. Latem dawały dużo cienia i chroniły przed upałem.

Pociąg minął stację Moskowskaja III. Po jej lewej stronie widoczna była opaska bryła majestatycznej cerkwi ze złotą kopułą dachu. Latem złota blacha błyszczała w słońcu i była widoczna z daleka. Przed rewolucją była pełna wiernych, dziś stoi pusta i niszczeje. I dziw bierze, że jeszcze stoi, bo większość cerkwi władze komunistyczne wysadziły w powietrze albo zamieniły na lokale użyteczności publicznej. Duchownych zesłano do łagrów, jako pasożytów społecznych. Niech pracują dla komunistycznego państwa. Taki sam los spotkał katolickie kościoły i księży, których jednak tu, w Moskwie, nie było wielu.

Pociąg opuścił już śródmieście, minął stację Malenkowska, a zaraz potem dworzec Siewiernyj.

Domy wysokiej zabudowy oddalały się coraz bardziej i ginęły, zakryte dymem i padającym śniegiem. Pociąg wjechał w podmiejskie wille, które jakby przysiadły ku ziemi i było ich coraz mniej. Jęzory drzew iglastych wciskały się między domy coraz odważniej, aż objęły w swoje władanie całą okolicę. Pociąg minął zagubioną w lesie stację Łoś, przyspieszył nieco i dudniąc kołami po szynach wśród leśnych ostępów, wtoczył się wolno na stację kolejową Mytiszczce, kilkanaście kilometrów za Moskwą.

Na stacji i na peronach było pełno wojska. Szeregowi krasnoarmiejcy w charakterystycznych szpiczastych czapach z czerwoną gwiazdą na przedzie. Przez ramię mieli przewieszoną broń, skierowaną lufą do dołu.

Bliżej peronu stała starszyczna. Wśród oficerów NKWD było kilku cywili, w długich prawie do ziemi skórzanych płaszczach.

Wszyscy czekali na pociąg, który właśnie wjechał na stację. Według niepisanego rozkładu jazdy wyraźnie się spóźnił. Choć byli ubrani ciepło, trochę zmarzli. Może z tego powodu byli nieco zniecierpliwieni.

– Znowu mamy najazd Polaków na Moskwę – powiedział ironicznie major, zwracając się do cywila stojącego obok.

Zagadnięty nie zrozumiał, uniósł tylko lewą brew i spojrzał pytającym wzrokiem na mówiącego.

– Zapewniam was, pierwszy sekretarzu, że nie ma wśród nich Żółkiewskiego – major wyraźnie drwił z pierwszego sekretarza, który nie grzeszył zbyt dużą inteligencją. Ale miał potężne plecy w Komitecie Centralnym. Wszyscy wiedzieli, że major nie znosi tego prostackiego partyjniaka.

– A skąd wiecie, że go tu nie ma?

– Bo on zginął pod Cecorą, zarąbany przez Turków trzysta lat temu.

– Co? A kim on był i czemu, towarzyszu majorze, akurat mi dzisiaj o tym mówicie?

– Bo to hetman polski, który trzysta dwadzieścia lat temu pokonał nas pod Kłuszynem i zajął Moskwę.

– Co wy tu będziecie pleść takie androny – zdenerwował się pierwszy sekretarz. Szli chwilę w milczeniu.

– A skąd wy, towarzyszu majorze, o tym wszystkim wiecie?

– Uczyłem się tego w Akademii Wojskowej w Moskwie – odparł z dumą.

– Nasza partia nie lubi ludzi, którzy dużo wiedzą, jeszcze bardziej tych, którzy za dużo gadają – odrzekł pierwszy sekretarz z nutą groźby w głosie.

Podeszli do stojących wagonów.

– Otwórzcie ten wagon – sekretarz zwrócił się do stojącego żołnierza.

Ten z dużym wysiłkiem otworzył drzwi. Podeszli bliżej i zajrzeli do środka. W wagonie panował półmrok i zupełna cisza.

– Czy nie ma tam nikogo? – zapytał zdziwiony sekretarz.

– Są, towarzyszu sekretarzu, tylko leżą, bo są za słabi – odpowiedział major.

– Dlaczego?

– Są przemarznięci i od tygodnia prawie nic nie jedli.

– Jak to nie jedli? – zdziwił się sekretarz. – Zaraz, czy ja dobrze słyszałem? Te wagony nie są ogrzewane?

– Nie są, towarzyszu sekretarzu – odparł major.

Sekretarz popatrzył na mówiącego z niedowierzaniem. Ze złości poczerwieniał na twarzy. Otworzył szeroko oczy. Chciał coś powiedzieć, ale brakło mu słów. Zaczął sapać głośno, wreszcie wybuchnął.

– Czy ty, „Żółkiewski”, wiesz, że ci ludzie jadą pracować dla narodów Związku

Radzieckiego?! Dla mnie, dla ciebie! – mówiąc to, trącał palcem w pierś majora, aż ten cofnął się o krok.

– Ty sukinsynu! – wrzasnął. – Ja zaraz każę cię wsadzić do nich, to może się czegoś nauczysz! Jeszcze dziś powiadomię o tym Mołotowa [5].

– Towarzyszu pierwszy sekretarzu, ja, ja – jąkał się, zbladł. Wiedział, czym to może grozić, gdyby sekretarz spełnił swoją zapowiedź.

– Jeszcze dziś nakarmisz tych ludzi i wstawisz im ogrzewanie do wagonów. Na dalszą drogę wydać prowiant, rozumiano? Ty, ty, Żółkiewski spod Cecory – przedrzeźniał majora. – Po co ściągałeś tyle wojska, boisz się ledwo żywych Polaków?

Odwrócił się i poszedł w kierunku stacji. Wsiadł do czarnej limuzyny i odjechał do Moskwy.

Major był zły, że pierwszy sekretarz zbeształ go przy żołnierzach. W gruncie rzeczy miał rację, ale mógł go wezwać na dywanik, a nie tu, przy wojsku. Było mu wstyd.

– Taki prostak, po prostu świnia, sekretarz z ciemnogrodu, i tacy teraz rządzą Rosją. Co robić? Co robić? – mówił prawie na głos.

Słyszał to kapitan, kolega majora, z którym był w Akademii.

– Towarzyszu majorze, pozwólcie, że coś powiem.

– Mów.

– Najlepiej załatwić to u kwatermistrza w naszej jednostce – poradził.

– Igor, ty wiesz, ilu ludzi jest w wagonach?

– Nie wiem, ilu?

– Policz: trzydzieści wagonów po siedemdziesiąt ludzi w każdym. To ponad dwa tysiące.

– To niemożliwe, musieliby tam leżeć jak śledzie w beczce...

– Tak właśnie jest, sam widziałem. Chodź, Igor, pojedziemy do kwatermistrza.

– Towarzyszu kapitanie – major zwrócił się do swego zastępcy – zabierzcie wojsko do koszar, zostawcie tylko wartę.

– Tak jest!

– My jedziemy do Moskwy.

Poszli do samochodu i odjechali.

Późnym popołudniem na stację zajechały dwie wojskowe ciężarówki. Na jednej stały trzy kotły usmarowane sadzą, pewnie z jakąś zupą. Druga była załadowana chlebem.

Podjechali i otworzyli drzwi. Dwóch żołnierzy weszło do środka, dwóch zostało na ciężarówce przy kotłach. Nalewali do głębokich aluminiowych misek rzadki mucnyj sup z niedogotowanymi ziemniakami i podawali kolegom. Ci przekazywali gorącą zupę ludziom leżącym na pryczach. Wyciągało po nią wiele rąk.

– Spokojnie, starczy dla wszystkich. *Pażałsta* – mówili i podawali gorące

naczynia do rąk.

Zacząli siorbać zupę z misek, parzyła w usta.

– A macie łyżki? – odezwał się ktoś nieśmiało.

Żołnierz spojrział zdziwiony na mówiącego. Odwrócił się do drzwi i zawołał:

– Siergiej, co ty, nie wiesz, że polskie pany zupę jedzą łyżkami?

– Co? Zupełnie zapomniałem. Przepraszam. Jeżeli tak, to trzeba obsłużyć ich po pańsku.

– Przestań błaznować, tylko daj łyżki – odezwał się ktoś z wagonu.

Żołnierz bez słowa wziął łyżki do ręki, zrobił teatralną minę, przesadnie uklonił się i z szelmowskim uśmiechem powiedział:

– *Pażałsta* – podał kolegom w wagonie, a ci rozdali je ludziom.

Zjedli już połowę, zanim dostali sztucce.

Ludwika zjadła parę łyżek zupy i nie mogła się powstrzymać od uwagi:

– Nasze świnie miały lepszą strawę niż to, co tu jemy.

– Co ty powiedziała? – nie zrozumiał.

– *Charosza*.

– *Aaaa, nu Smatri, kakaja nasza Matuszka Rasija* jest dobra. Nawet naszym wrogom daje jeść. – Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale kolega wypchnął go za drzwi.

Ciężarówka z mucznym supam pojechała do następnego wagonu, a potem do następnego...

Drzwi wagonu nie zamknęli, bo za chwilę do wagonu podjechał drugi samochód z chlebem. Żołnierze rozdawali po 20 deko chleba na głowę i kipiatak. Każdy mógł wziąć *skolka ugodna* – ile kto chciał. Do rozdających chleb podszedł młodszy sierżant – kapral.

– Tawariszcz kamandir kazał wydać na drogę każdemu jeden bochenek chleba!

– To nie wystarczy dla wszystkich.

– To pojedziecie drugi raz, rozumiano?!

– Zrozumiano – burknął pod nosem jeden z nich.

Pół godziny później pod wagon podjechał samochód z całą ekipa instalatorską. Zaczęli wstawiać kozy, żelazne piecyki i zakładać rury z kolankami do odprowadzania dymu. Szybko zrobili, co trzeba, i podjechali pod następny wagon, i tak wagon po wagonie, aż do końca.

– Czym te Paliaki będą palić w piecykach?

– A to już nie nasza sprawa. – Wzruszył ramionami. – My swoją robotę zrobiliśmy.

Odjechali, zostawiając otwarte drzwi w wagonach.

Pod wieczór na stację przyjechała sanitarka. Wysiadł z niej lekarz i dwóch sanitariuszy. Wchodzili do wagonów, rozmawiali. Wychodzili, kręcąc głowami.

– Aleksander, czy my, Rosjanie, jesteśmy narodem cywilizowanym? – pytał lekarz sanitariusza, kiedy wychodzili z wagonu. I zaraz sam sobie odpowiedział: –

Z tego, co widzę, szczerze mówiąc, to mam wątpliwości. Gdyby to ode mnie zależało, to musiałbym ich wszystkich wziąć do szpitala, natychmiast.

– Panie doktorze, niech pan tak nie mówi, bo jeszcze ktoś usłyszy i wtedy...

– Wiem, wiem, Aleksander, ale trudno mi jest się z tym pogodzić.

Weszli do wagonu, w którym była Ludwika.

– *Nu, szto u was, riebiata?* – zapytał.

– To, co widać – odezwała się Ludwika.

– Da, da, widać, widać, że jest źle.

– To po co pan pyta, jak widać.

Lekarz zmieszał się.

– Mój syn ma skaleczoną rękę, mógłby pan zmienić opatrunek?

– Dobrze, chodź, chłopcze, zobaczymy, co możemy zrobić.

Stefan zszedł z pryczy i podszedł do lekarza ze strachem w oczach.

– Nie bój się, ja chcę ci pomóc.

Zaczął rozwijać bandaż na skaleczonej ręce.

– Jak to się stało?

Zanim zmienił opatrunek, Ludwika opowiedziała całą przygodę chłopca.

– *A to swołocz, a to swołocz!* – powtarzał. – No, gotowe, pogłaskał go po głowie.

Sięgnął do kieszeni i dał mu cukierek. Stefan spojrzał w oczy lekarzowi.

– A dla mojej siostry? – poprosił.

– A jak ma na imię?

– Halina, ale w domu mówimy na nią Luta.

– Dlaczego?

– Nie wiem, tak mówimy.

– Masz dla niej dwa, bo nazywa się Halina i Luta, to jest ich dwie.

– Nie, jedna.

– Niech ci będzie, jedna, ale niech zje dwa cukierki. Przeszkadza ci?

– Neeee – uśmiechnął się.

– Panie doktorze, tam na pryczy leży mężczyzna ze złamaną ręką, widzę, że jest pan dobrym człowiekiem, niech pan mu pomoże, bo jęczy po nocach i bardzo cierpi – powiedziała Ludwika.

– Gdzie? – Lekarz rozglądnął się po wagonie.

– Tu – odezwała się żona chorego.

Podszedł do niego i chwycił go za rękę. Mężczyzna jęknął. Chciał zawinąć rękaw i zobaczyć, ale był za ciasny.

– Spuchła.

Lekarz wyciągnął z torby lekarskiej lancet i rozciął rękaw płaszcza, marynarki i koszuli. Obejrzał siną i spuchniętą rękę.

– Kiedy to się stało?

– Tydzień temu – odpowiedziała żona chorego.

- I lekarz tego nie widział?
- Widział dwa temu w Mińsku, ale go zostawił.

Lekarz znacząco spojrział na sanitariuszy.

- Zabieramy go do szpitala.
- Nie! Co ja pocznę z pięciorgiem dzieci na Syberii?
- Jak wyzdrowieje, to do was wróci. – Lekarz sam nie wierzył w to, co mówił.

Sanitariusze ujęli delikatnie mężczyznę i wynieśli go z wagonu.

– Doktorze, to już gangrena, jego nie da się uratować – stwierdził sanitariusz, niosąc z kolegą chorego do sanitarki.

– Wiem, ale co miałem powiedzieć tej kobiecie? Wstydzę się, że jestem Rosjaninem. Nigdy bym nie przypuszczał, że coś takiego zoba...

– Towarzyszu doktorze, jak wypadła inspekcja?

– Dobrze – skłamał.

– A ten to kto?

– Polak z transportu.

– Gdzie go zabieracie?

– Do szpitala.

– Czy wy nie wiecie, że aby zabrać człowieka z transportu, musicie mieć zezwolenie z NKWD?

– Temu niepotrzebne jest już żadne zezwolenie, najwyżej możecie go...

– No, no, no, uważajcie, co mówicie!

– Moglibyście mu dać, towarzyszu, tylko przepustkę do nieba – odrzekł lekarz i spojrział wyzywająco w oczy NKWD-ziście.

– Nie filozofujcie, bo to może się dla was źle skończyć. Z Polakami mieliśmy zawsze same kłopoty – powiedział jakby na usprawiedliwienie. – A teraz z tymi. – Wskazał ręką na wagony. – Sam diabeł ich tu przywiózł. Jak tylko przyjechali, wszyscy latają, jakby im kto pieprzu nasypał.

– No to dacie temu przepustkę czy nie?

– Czort z wami. – NKWD-zista machnął ręką, ale zaraz ugryzł się w język, bo nie wierzył ani w Boga, ani diabła. Być może sam zajął miejsce tego ostatniego.

Pod wieczór, kiedy zaczęło się ściemniać, pod wagony podjechała ciężarówka z węglem. Żołnierze zwalili węgiel i drobno narąbanego drewna sosnowego na rozpałkę. Odjeżdżając, wrzucili jeszcze pudełko zapalek i zamknęli wagon, nie blokując go od zewnątrz. Widocznie kierownictwo NKWD wyszło z założenia, że ludzie w takim stanie nie będą próbować uciekać. Bo i gdzie mieliby uciec, w tak śnieżną i mroźną zimę, w dodatku w środku Rosji. Byłaby to raczej pewna śmierć.

Około godziny dwudziestej do stojących wagonów podjechał parowóz. Manewrowy zaczepił go do wagonów i wyszedł na peron. W chwilę potem zawiadowca stacji czerwoną lampą dał znak do odjazdu. Pociąg powoli ruszył, przyspieszył i za chwilę zniknął w ciemności.

Przy odprawie pociągu było kierownictwo NKWD w Moskwie. Z ulgą przyjęli odjazd pociągu. Ich kłopot odjechał razem z nim.

– Niech się inni teraz martwią – powiedział major do porucznika, który stał obok.

– Towarzyszu majorze, biedni są ci Polacy, którzy przed chwilą odjechali.

– Igor, coś ty się zrobił taki sentymentalny, nie wypięś czegoś czasem za dużo?

– Towarzyszu majorze, jak towarzysz może mnie posądzać?

– Wiem, wiem, Igor. My nigdy nie pijemy – roześmiał się rubasznie. Po chwili jednak spowaźniał. – Wiesz, Igor, my, ludzie NKWD, świadomie wybraliśmy taką służbę. Przyznaję, że czasem, choć nie trzeba, celowo łamiemy ludziom kręgosłupy. Ale takie jest życie i nasze prawo.

– Towarzyszu majorze, Lenin mówił, że władza powinna służyć narodowi.

– Wiem, wiem, co mówił Lenin, ale jego już nie ma. A Stalin mówi, że jeżeli naród nas nie kocha, to przynajmniej niech się nas boi. Tego się teraz trzymaj, Igor. Tego! – powtórzył. – My nawet w przedszkolach uczymy dzieci patriotyzmu – ciągnął dalej major.

– Jak towarzysz major rozumie słowa: „uczmy patriotyzmu”? Czy to znaczy, że już dzieci uczymy nienawiści do innych narodów? A jak to zrobić, przecież one tego nie rozumieją.

– Są różne sposoby. Przyzwyczajając. Na przykład: dawać im do zabawy chomiki, myszki – będą je niszczyć jak pluszowe zabawki. Z czasem wejdzie im to w krew i nie będą umieli inaczej się bawić. I zobacz, Igor, jak bardzo będą do nas podobni.

Igor słuchał tego i nie wierzył własnym uszom. „Coś takiego mogła wymyśleć tylko chora wyobraźnia. Ale to nie może być prawda” – myślał. Znał majora i wiedział, że ma skłonności do sadyzmu i mitomanii. Nie, chyba że za dużo wypięł...

Igor wiedział, że dzieci bywają bezkompromisowe, czasem nawet okrutne, ale to pewnie z niewiedzy. Poczul, jakby ktoś oblał go zimną wodą.

– O czym myślisz? – zapytał major.

– Nie, nic, tak sobie...

– Eeee, Igor, miękki jesteś, chodź, jedziemy już do domu. Jutro może przyjechać następny pociąg, trzeba wypocząć. Ale wiesz co? Może wstąpimy jeszcze do restauracji, póki jest otwarta. Walniemy stakańczyk, a potem, a potem już do domu, do domu.

Tymczasem pociąg jechał na północ w stronę Archangielska. Mijał po drodze zakopane w śniegu leśne stacyjki. Na pierwszy rzut oka nikt by pewnie nie wiedział, że minęli jakąś stację. Zresztą, komu w tej głuszy była ona potrzebna? A jednak.

O godzinie trzeciej nad ranem pociąg dotarł do Jarosławla. Przepuścił pociąg zdążający z Archangielska do Moskwy i zaraz ruszył w dalszą drogę.

Ludzie, którzy po wielu dniach dostali w Moskwie jedzenie, czuli się znacznie lepiej. Nawet noc minęła im spokojnie. Nad ranem, kiedy błąd świt zaczął zagłądać

przez szpary do wagonu, ktoś wstał i rozpałił „kozę”. Ciepło rozchodziło się nieśmiało po wagonie, a kiedy jeden z zesłańców dołożył trochę węgla, rozpałiła się do czerwoności. Wzrastająca temperatura topiła szron, który był na suficie i ścianach wagonu. Woda z góry kapała na śpiących i moczyła im odzież i twarze. Ludzie budzili się zdziwieni, że w wagonie jest ciepło. Z początku myśleli, że pada deszcz. Otwierali oczy. Zdawało im się, że znaleźli się w innym świecie. Musieli jednak szybko wracać do rzeczywistości.

Dzieci, osłabione głodem i zimnem, popłakiwały i domagały się jedzenia. Niektórzy zaczęli wyciągać zapasy, które dostali na drogę. Jedli łapczywie, jakby w obawie, że ktoś może im je zabrać. Inni zostawiali żelazną porcję na potem. Jak mówili, na czarną godzinę, i strzegli swej zdobyczy jak skarbu. Nikt nie wiedział, kiedy znowu dostaną coś do jedzenia. Przeżyli już głód i strach przed nim.

Pociąg mijał właśnie maleńką stacyjkę Daniłow. Tu, z Moskwy, wojskowi przyjeżdżali z psami gończymi i stąd ruszali na polowania na grubego zwierza. Tu, w lasach zginął niejeden wysokiej rangi funkcjonariusz państwowy czy partyjny, który nie do końca był posłuszny nakazom władzy zwierzchniej. Ginęli przypadkowo w pogoni za zwierzem lub w polowaniu, w gęstwinie, „przez pomyłkę”. Żałowali kolegę, że niby nieszczęśliwy wypadek. Zaraz ktoś inny, bardziej operatywny, obejmował jego stanowisko i karuzela kręciła się dalej.

W tym kraju nikt nie był pewien dnia ani godziny. I ci wielcy, i ci mali, tym bardziej ci, którzy teraz jadą pociągiem w nieznaną. Nikt nie wie, dokąd rzuci ich los.

Pociąg jechał i dymił ze wszystkich wagonów. Dym rozrywał wiatr i snuł się za pociągiem, a potem siadał i brudził śnieg, przedtem biały, aż błękitny.

Około godziny jedenastej pociąg zbliżał się do Wołogdy, miasta położonego w dorzeczu Dwiny. Pierwsza wzmianka o nim pochodzi z 1147 roku. Wołogda była miejscem zsyłek przeciwników politycznych carskiej Rosji. I tu władze ZSRR wykorzystywały istniejącą infrastrukturę. Rozbudowały ją, tworząc system łagrów o zaostrowym rygorze. Znajdowały się tu duży węzeł kolejowy, port rzeczny, lotnisko. Był tu również warowny monastyr Spusopriłucki z XIV wieku z Soborem Sofijskim z XVI wieku.

Wołogda przywitała pociąg słoneczną pogodą i niezbyt dużym mrozem. Z początku stacja i perony wydawały się puste, ale kiedy pociąg stanął, zaczęły podjeżdżać dymiące kotły. Wojskowi otwierali wagony. Kucharze w białych fartuchach wołali do otwartych wagonów:

– Chodźcie tu, Polacy, przywieźliśmy wam *kuszat*’.

Ludzie schodzili z prycz i podstawiali miski. Kucharz dużą chochlą nabierał z kotła mucznej sup z ziemniakami i nalewał do podstawionych misek. Czasami w tej zupie trafiała się kluska i wtedy obdarowany uważał się za szczęściarza. Do zupy dodawano 20 deko chleba. Ludzie dziwili się tej przemianie. Czyżby wilki zamieniły się w baranki? Skąd ta uprzejmość i troska o ludzi, którzy niedawno umierali z zimna

i głodu. Czasami było nawet słycać: „Pażałsta, spasiba”.

– A dla dzieci nie macie trochę mleka? – zapytała kobieta kucharza, trzymając na rękach pięciomiesięczną córeczkę.

Popatrzyli na nią nieco zdziwieni.

– Nu, my tu nie dumali, że będą dzieci – powiedział jeden z nich, nieco skonsternowany. – Zaraz, niech pomyślę – zastanawiał się, głaszcząc ręką rzadką brodę.

Naraz coś sobie przypomniał. Uderzył się dłonią w czoło.

– Pietia, tu niedaleko jest mleczny bar. Leć przynieś tej kobiecie pół litra mleka, dla dzieciaka.

Pietia zbierał się, żeby odejść, wtedy kobieta powiedziała:

– Co to jest pół litra mleka na cały transport. Tylko w tym wagonie jest ponad dziesięcioro dzieci.

– O, to już będzie problem – zafrasował się kucharz. – Pietia, może nasz komendant coś na to poradzi.

– A co, wasz komendant daje mleko? – trysnął dowcipem mężczyzna z głębi wagonu, któremu poprawił się humor, bo akurat kończył jeść.

Wygarniał akurat ostatki z talerza i oblizywał łyżkę, żeby nic się nie zmarnowało. Mężczyzna liczył, że swoim dowcipem odwróci uwagę kucharza. Podstawił swoją miskę jeszcze raz, licząc na repetę.

– Ty już jadłeś, nie mogę – zauważył kucharz.

Ten nadal trzymał miskę w wyciągniętej ręce.

– *Jej Bohu*, nie mogę, bo nie starczy dla wszystkich.

Zawiedziony mężczyzna cofnął rękę z miską i włożył na swoją prycę.

Przed samym odjazdem dzieci dostały po pół litra mleka, a starsi kilowy bochenek chleba na dalszą drogę.

Tu, w tej północnej krainie, niebo wisiało nisko nad ziemią. Krąg horyzontu wydawał się bliski. W Wołogdzie dnia było tyle, co kot napłakał, a bardziej na północ nie było go wcale. Czasami zorza polarna rozświetlała niebo, grając kolorami świetlistej poświaty. Wydawało się, że ta północna kraina ma w sobie czarodziejską moc, która człowieka pociąga i zniewala. Ma coś w sobie z bajki o Królowej Śniegu. I w rzeczywistości jest piękna, ale i wymagająca. Tylko dla ludzi twardych i z charakterem. I tacy ludzie tu są.

Okruchy dnia odeszły gdzieś na zachód. Noc przyszła wcześniej i okryła miasto swym szerokim płaszczem. W oknach domów zapaliły się migotliwe światła, a późną nocą gasły to tu, to tam.

Pociąg z Wołogdy ruszył na północ późnym wieczorem. Monotonny stukot kół niósł się daleko po lesie i niepokoił watahy wilków, które swoim wyciem zapowiadały rozpoczynające się polowanie. Usypiał ludzi w wagonach, zmęczonych tą niekończącą się podróżą. Szczególnie teraz, kiedy dostali coś do jedzenia i nie ssało

ich w żołądkach. Niektórzy zapadali w głęboki sen. I wtedy chrapali głośno, zwłaszcza mężczyźni, i to nie pozwalało innym zasnąć. Prawdziwy koszmar.

Pawłowski wstał rano, żeby znowu napalić w kozie. Wygarniał ręką szlakę, jeszcze gorącą. Nakładł drzewa i trochę węgla do pieca i zapalił. Smolne drzewo zajęło się szybko, a od niego węgiel. Po chwili w wagonie zrobiło się ciepłej.

Ludzie zaczęli się budzić, niektórzy podnosili się z prycz i siadali. Gdzieś tam dały się słyszeć rozmowy rodaków zatroskanych o swoich bliskich. Niektórzy wyjmowali chleb i jedli, bardziej przezorni zostawiali go na potem. Ludzie po wczorajszym posiłku budzili się rano w nieco lepszym nastroju. Zjedli rano jeszcze po kawałku chleba. Próbowali, jeszcze nieśmiało ze sobą rozmawiać. Po pewnym czasie języki rozwiązały się im zupełnie. Życie znowu do nich wróciło. To tak jak roślina podczas upalnego lata: kiedy braknie wody, więdnie. Jeśli to trwa zbyt długo, usycha, obumiera. Kiedy się zachmurzy i spadnie deszcz, ożywa, podnoszą się zwiędłe liście i choć choruje, z czasem zakwita.

– My to mamy dobrze, mamy ciepło, za darmo nas wiozą. Skąpo, bo skąpo, ale jeść dają, brakuje nam tylko muzyki – silił się na wisielczy dowcip mężczyzna, który na samym początku miał tyle do powiedzenia.

Kiedy głód go przycisnął i zmarzł, zamilkł na długo. Teraz odżył i znów zaczął dworować. Widocznie miał już taką wesołą naturę.

– Jeszcze nieraz kiszki panu marsza zagrają, panie...

– Rutkowski, do usług.

– Przestałby pan pleść dyrdymały, panie Rutkowski.

– A pan to kto? – dopytywał się Rutkowski.

– Pawłowski – odrzekł zagadnięty, to dzięki mnie ma pan ciepło w wagonie. Bo gdybym ja, tak jak pan, tylko gadał, a nie napalił w kozie, to by pan dalej marzył.

– To niech ją pan jeszcze wydoi, to byłoby pożyteczne i przyjemne – odgryzł się Rutkowski.

– Impertynent – mruknął Pawłowski.

Podczas tej zabawnej konwersacji w wagonie pojawiały się raz po raz uśmiechy, choć jeszcze nieśmiałe. Oznaczało to również, że ludzie zaczynają znowu żyć i czasem humor, choć wisielczy, pozwala ludziom wrócić do równowagi.

Zbity z tropu adwersarz na chwilę zamilkł, ale słysząc śmiechy ludzi, znowu się odezwał.

– Bo widzisz pan, świat jest tak stworzony, że każdy robi co innego. Czasami robi to, co musi, czasami, co lubi. Gdyby wszyscy robili to samo, co by z tego wyszło, hę?

– Z tego wynika, że zjawił się pan tutaj dlatego, że lubi czy musi?

– Ale pan jest przewrotny, panie Pawłowski. To, że tu jesteśmy, to jest przemoc. Wcale nierzadka w świecie, nie tylko wśród ludzi, ale także wśród zwierząt, a nawet u roślin.

– Koń by się uśmieł z tego pańskiego wyvodu, weź pan lepiej dołóż do pieca, bo zaraz zgaśnie i nie dojedzie pan na tę Syberię, tylko zamarznie po drodze – odgryzł się Pawłowski.

– Kiedy mówiłem, że my mamy dobrze, jadąc pociągiem na Sybir, to chciałem jedynie powtórzyć to, co mówił stary sybirak, który po dwudziestu latach zsyłki wrócił do domu.

– Chce nam pan powiedzieć, że i my możemy wrócić do Polski? – zapytała z nadzieją w głosie kobieta z pryczy naprzeciwko.

– Niewykluczone, może nie wszyscy, może nasze dzieci. Nikt nie wie, co może przynieść jutro – zastanawiał się na głos Rutkowski.

– A co mówił ten stary sybirak, który wrócił do domu? – zainteresowała się Ludwika.

– Co mówił? Skóra mi cierpła na grzbiecie, kiedy to opowiadał. Zresztą, niedługo jak wrócił, to umarł.

– No mówże pan wreszcie, co on mówił – niecierpliwił się jakiś mężczyzna z dołu, dokładając do piecyka.

Piecyk napełniony węglem pokraśniał od żaru, od dołu do góry. Nawet rury grzały jak nigdy dotąd. Ogień błyskał przez niedomknięte fajerki i dawał złudzenie, że coś pełza po ścianach.

– Ano, mówił, że jak ich brali na Syberię, to najpierw spędzili ich na plac ogrodzony kolczastym drutem. Stali tak parę dni, pod gołym niebem, w śniegu i na mrozie. Dopiero, kiedy zebrali już komplet, kilkaset osób, popędzili ich pieszo w daleką drogę. Bywało, że gonili skazańców kilka tysięcy kilometrów. Szli przez wiele miesięcy na mrozie i po pachy w śniegu. Źle żywieni, słabli i zostawali w tyle. Wtedy dopadali ich kozaccy sadyści i tłukli kolbami karabinów. Jeżeli nie udało się komuś szybko wstać i dołączyć do grupy, ginęli pod razami. Zabity leżał długo na śniegu, dopóki ktoś litościwy nie pochował go albo nie rozwlekły go wilki czy bezpańskie psy. Do łagrów dochodziło niewielu, a ci, co doszli, umierali od ciężkiej pracy, chorób i złego żywienia.

Gdy skończył opowiadać, w wagonie zapanowała cisza.

– Perspektywa, jaka się przed nami rysuje, nie wygląda różowo – włączył się do rozmowy nauczyciel ze Złotowa, który do tej pory milczał. – Mieliśmy tego dowody po drodze. Dawniej – mówił dalej – na Sybir wywożono tylko mężczyzn, teraz kobiety, dzieci.

– Ja słyszałam, że kiedyś na Sybir wieziono ludzi w kibitkach – odezwała się Ludwika.

– To prawda, ale tylko szlachcic miał ten przywilej – dodał nauczyciel Kwieciński.

– W czym wieźli? – zapytał ktoś, kto nie wiedział, co to jest kibitka.

– Kibitka to taki mały wóz na dwóch kołach zaprzęzony w jednego konia.

Skazany szlachcic siedział z żandarmem w kibitce i rozmawiali ze sobą, nie czując wrogości. Palili skręty, a koń powoli człapał od karczmy do karczmy.

– Słyszałem, że kiedyś Rosjanie brali Polaków do wojska na trzydzieści lat – odezwał się Pawłowski.

– To prawda, między innymi i z tego powodu w 1863 roku wybuchło powstanie styczniowe. Nastąpiły potem represje, a po jego upadku Rosjanie wcielali do wojska młodych Polaków – mówił nauczyciel. – Często wcielani byli z branki.

– Z jakiej znowu branki? – dziwił się Rutkowski.

– Po prostu, podchodziło na ulicy do młodego Polaka dwóch żołnierzy, brali go pod rękę i wyprowadzali za miasto. Wszelki słuch o nim ginął. Rosjanie przygotowywali się do wojny z Japonią, więc potrzebowali żołnierzy. Chodziło im o wpływy na Dalekim Wschodzie. Na przeszkodzie stała Japonia, która też miała tam swoje interesy. Zresztą w 1905 roku przegrali tę wojnę z Japończykami i wtedy niektórzy wracali z tej wojny.

– Chyba to prawda, bo i ja pamiętam, jak opowiadał o tym mój tata – mówiła Ludwika. – U nas też wzięli wtedy jednego. Miał trzydzieści pięć lat. Jak wrócił, był już staruszką z brodą do pasa. Żona, też staruszka, i syn czterdziestoletni mężczyzna, nie poznali go. Długo musiał ich przekonywać, że jest mężem i ojcem. Mówił, że szedł z Japonii pieszo ponad rok.

– No, sami widzicie państwo, że teraz droga na Sybir jest wygodniejsza – bronił swej tezy Rutkowski.

Pociąg mknął dalej na północ. Już dawno minął Chorowsk i zasypaną śniegiem Wożegę. Przed nimi rozciągała się, jak okiem sięgnąć, tajga.

Borealne lasy szpilkowe, o wysmukłych sylwetkach, sięgające po słońce, występują w Ameryce Północnej, w Kanadzie i na Alasce. Występują również w Europie, w Skandynawii i na Nizinie Wschodnioeuropejskiej (Syberia, Sachalin, Kamczatka, aż po Hokkaido).

Gdyby ktoś chciał przejść przez tę tajgę, musiałby zrobić ponad 9 tysięcy kilometrów. Z powodu rabunkowej i nieprzemyślanej eksploatacji lasów jej obszar kurczy się z każdym rokiem, co niekorzystnie wpływa na klimat całej Ziemi. Lata są tu krótkie i niezbyt gorące. Ziemia rozmarza zaledwie na metr. Topniejące śniegi późną wiosną nie mogą wsiąknąć w ziemię z powodu wiecznej zmarzliny. Słabe słońce nie potrafi osuszyć ziemi. Tworzą się tu rozległe rozlewiska, które z czasem zamieniają się w bagna i błota nie do przebycia. Gnijące rośliny i zwierzęta utopione w błocie wytwarzają nieprzychylny człowiekowi klimat. W takich warunkach na mokradłach lęgną się niezliczone ilości komarów i wiele gatunków owadów, którymi żywią się ptaki. A jest ich sporo, ot, chociażby sikory i jemioluszki. Spotkać tu można głuszca tokującego wśród zarośli. Krogulce i jastrzębie zamykają ten swoisty łańcuch pokarmowy. Dla człowieka tajga nie jest zbyt zachęcająca. Plagi komarów potrafią skutecznie zniechęcić człowieka do przebywania tutaj. Ale jak tu zamieszka – życie

zamieniają w koszmar. Nieobojętne są również dla zwierząt, które często giną od tej plagi. Jest tu sporo reniferów, które wędrując, potrafią sobie radzić na błotnistym terenie. Można znaleźć wszędybolskie wiewiory czy chytre łasice. Są również rosomaki, które podobnie jak niedźwiedzie, przesypiają długą zimę. Zamieszkują tu także cenione gronostaje, których przez kaprysy kobiet jest coraz mniej. Nie sposób pominąć borsuka, rysia czy wilka. Tajga, im dalej na północ, tym bardziej karłowacieje. Drzewa są coraz niższe i rzadsze, tajga zamienia się w tundrę, krainę wiecznej zmarzliny.

Pod wieczór, po wielu godzinach, pociąg dotarł do Komoszy. Stąd rozchodziły się tory: na północ do Archangielska, z zachodu na wschód przez Kotłas, Uchtę do Workuty. To miasto w północnej Rosji, za kołem podbiegunowym, w republice Komi, w dorzeczu rzeki Peczory. Zbudowane zostało przez więźniów, w dużej mierze przez Polaków. Znajdował się tam największy system łagrów w europejskiej części ZSRR. Był tam ośrodek peczorskiego zagłębia węglowego, jak i przemysłu drzewnego, metalowego czy budowlanego. Dla takiego przemysłu potrzeba było wiele rąk do pracy. Warunki za kołem podbiegunowym były wyjątkowo trudne. Niedożywieni i nad miarę eksploatowani ludzie umierali setkami z wycieńczenia. Dlatego zaistniała potrzeba stałego uzupełniania stanów zatrudnienia. W związku z tym przybywały transporty coraz to nowe transporty z siłą roboczą zastępującą tych, których wywożono z kopalni.

W Komoszy pociąg stał długo i tylko sapał, puszczając kłęby pary z cylindrów. Zapewne zmęczył się, ciągnąc trzydzieści dziewięć wagonów, i po tak długiej podróży musiał odpocząć. Być może czekał na coś.

Ludzie zaczęli otwierać drzwi i wyglądać na zewnątrz. Byli ciekawi, co jest przyczyną tak długiego postoju.

Zawsze, kiedy pociąg zatrzymywał się na stacji, podchodzili do wagonów NKWD-ziści i pytali o zdrowie. A tu nic. Stacja pusta, nie ma żywej duszy. Jakby zachęcała do ucieczki. Od Wołogdy NKWD-ziści nie zamykali wagonów. Zapewne zdawali sobie sprawę, że nawet gdyby ktoś chciał wyjść niepostrzeżenie na stacji lub wyskoczyć z pędzącego wagonu, to i tak trafiłby wprost w otwarte ramiona śmierci. Gdyby nawet miał wyjątkowe szczęście i zdołał przejść 50 kilometrów do najbliższej osady, to tam czekałby na niego NKWD-zista, anioł stróż ludzi tam zamieszkałych.

Wieczorem z drugiej strony wagonów doczepiono drugą lokomotywę. Manewrowy szedł wzdłuż składu. W połowie zatrzymał się. Spojrzał w lewo, w prawo, jakby coś sprawdzał. Wszedł między wagony, rozłączył zaczepy i przewody hamulców. Wszedł na peron i dał znać. Maszynista zagwizdał i pociąg ruszył. Wjechał na zwrotnicę i skręcił w lewo. Jechał coraz szybciej w kierunku Kotłasa, Uchty, a może i Workuty?

Być może miejscowe władze NKWD nie wiedziały, że w wagonach jada kobiety, dzieci i że katorżnicza praca w kopalniach jest dla nich za ciężka.

W sprawach administracyjnych ignorancja była powszechna i zarządzanie kulało we wszystkich dziedzinach.

Druga połowa pociągu stała jeszcze do północy. Tuż przed północą na stację wjechał osobowy. Postać chwilę i zaraz ruszył dalej. Widocznie droga była wolna, bo skrócony pociąg ruszył dalej na północ. Ludzie w wagonach myśleli, że skoro stoją tak długo, to może dostaną coś do jedzenia. Jednak nic takiego się nie stało. Zjedli resztę tego, co zostało, i mościli sobie legowiska na pryczach.

– Panie Pawłowski, dołóż pan jeszcze węgla do piecyka – poprosił Rutkowski, układając się do snu na twardej pryczy.

– Jak panu zimno, nich pan wstanie i sam dołoży do kozy. Zresztą i już tak prawie nie ma węgla, czym jutro napalimy?

– Co pan się martwi jutro. Jutro już może być niepotrzebny.

– No to śpij pan, to może prześpi pan ten koszmar, a jutro się będzie panu zdawało, że to był tylko sen – rzekł Pawłowski i też przytulił głowę do słomy, którą wymoszczona była pryczna.

Po tej wymianie zdań w wagonie zaległa cisza. Ludzie kołysani jadącym pociągiem i jednostajnym stukiem kół, zasnęli szybko. Była to jedyna chwila, w której wszyscy mogli zapomnieć o tym, co ich spotkało.

Ludwika obudziła się wcześniej. Cała jej rodzina, wtłoczona w ciasną pryczę, jeszcze spała. Słyszała w nocy przez sen, jak Halina budziła się i popłakiwała. Chciała się obudzić, żeby ją pocieszyć i przytulić, ale nie mogła. Z Haliną łączyła ją szczególna więź. Wiedziała, że za mało poświęca jej serca i czasu. Leżała w ciemnym wagonie z otwartymi oczami. Próbowwała się nie ruszać, żeby nie obudzić śpiących. „Ciekawe, która to godzina” – myślała. Błądziła myślami po domu, z którego tak brutalnie ich wywleczono, pozbawiając wszystkiego. Weszła do obory pełnej krów, do koni. „Kasztanka, chodź” – wołała. Klacz przychodziła do rąk, a ona dawała jej kostkę cukru. Zwierzę jadło ze smakiem i zadowolone trzęsło głową. Ten dom, dzieci, konie, stajnia, obora... i pies merdający ogonem na jej widok. Obok łąka. Na wiosnę przylatywały tam bociany. Orzechy leszczyny za Szczarą. Chodziła tam prac bieliznę z Janką – jej pierwsza miłość, Leszek, ładny chłopak – gdzie teraz jest?

Sama nie przeżyła takiej miłości. Za tego, którego kochała, ojciec nie pozwolił jej wyjść. Od siódmego roku życia harowała u ojca w cegielni. Potem przyszedł Staszek. Prosił ojca o jej rękę. Ojca, nie ją... Kazał iść, to poszła za wdowca z trójką dzieci, na zadłużone gospodarstwo. Tyle lat pracowała ciężko, dorobili się. Myśli przesuwają się jak w iluzjonie. „Gdzie jest Staszek, co się z nim dzieje, dlaczego nie ma go z nami” – zadawała sobie pytania. Rozmyślając tak, dopiero teraz zauważyła, że jest zupełna cisza, która poraża. „Dlaczego pociąg stoi?! A może dojechaliśmy już do piekła?”

Na dworze zaczęło robić się widno. Wstawał mglisty, leniwy poranek. Powoli, niechętnie, jakby się namyślał, czy jeszcze pobyc w ramionach nocy. Drzewa

przyoblekły się w białe szaty szronu. Wyglądały tak jak panny, które ubrały się w weselne stroje, żeby przypodobać się oblubieńcom. Wiał silny północny wiatr, który tę szadź szarpał i zrywał, zostawiając na drzewach nagie gałęzie, i niósł po lesie, jakby chciał ukryć jakąś tajemnicę.

Gdzieś niedaleko słyhać było rzenie koni i krzyki ludzi. Od czasu do czasu dochodził świst batów popędzających konie i klątwy woźniców na to, że musieli tu przyjechać w taki pieski dzień. Odgłosy te szybko zbliżały się do wagonów i były coraz wyraźniejsze.

Ludzie budzili się od tej wrzawy. Z początku dziwili się, że pociąg stoi, a potem zaciekawieni odgłosami z zewnątrz, zaczęli otwierać wagony. To, co zobaczyli, mogłoby świadczyć, że ich podróż pociągiem dobiegła końca. Wokół stacji, na której widniał napis „Pleseck”, zjechało się dziesiątki sań, spędzonych z okolicznych wsi. Mieli zabrać tych ludzi z wagonów i zawieźć do sowchozu odległego od Plesecka sto czterdzieści kilometrów. Przy stacji stało trzech NKWD-zistów. Rozmawiali ze sobą, gestykulując. Widocznie nie zgadzali się, bo jeden wskazywał ręką prawą stronę wagonów, drugi lewą. U boku dyndały im ogromne nagany. Broń ta była darzona dużym szacunkiem wśród miejscowej ludności, ponieważ jej właściciele używali jej często przy rozstrzyganiu sporów. Po chwili jednak doszli do porozumienia i jeden z nich kiwnął ręką do woźnicy.

– Podjeżdżaj pod pierwszy wagon – mówiąc to, ruszył w tym samym kierunku.

Dwaj jego kompani zrobili to samo.

– *Nu, skolka tu was?* – zapytał, stojąc w otwartych drzwiach.

– Około sześćdziesiąt.

– *Nu, wychodźcie i siadajcie do sań.*

Ludzie zaczęli wychodzić i zajmować miejsca w saniach.

– Każda rodzina osobno – mężczyzna zwrócił się do wychodzących. – *A co wy, nie macie bagażu?* – pytał zdziwiony tych, co nic nie mieli w rękach.

– *Alosza, podjeżdżaj!*

Ludwika wyszła z wagonu z Haliną, Janką i Stefanem.

– *Ilu was?*

– *Sześcioro.*

– *Siadajcie do większych sań.*

Tadek z Polkiem zaczęli wyrzucać na śnieg pościel. Potem z trudem wynieśli worki z mąką i ułożyli na saniach. Mieli już wsiąść, gdy Polko przypomniał sobie o kurach. Wskoczył szybko z powrotem do wagonu.

– *A ty kuda?* – krzyknął za nim NKWD-zista.

– *Po kury.*

– *Po kury?* – zdziwił się.

Polek wziął worek z kurami i stał w drzwiach z krwawym workiem.

– *Nu, ja jeszcze czegoś takiego nie widział.*

– To zobaczyles – odezwała się Ludwika i wsiadła do sań.

Sanie z rodziną Ludwika odjechały na bok, robiąc miejsce nowym. Ludzie wsiadali do kolejnych sań, aż wagon opustoszył.

NKWD-zista zajrzał do środka, sprawdził, czy wszyscy wysiedli i zatrzasnął drzwi. Podszedł do następnego.

Z dwudziestu sześciu sań utworzono konwój, który ruszył zaśnieżoną drogą ku przeznaczeniu. Nie wiedzieli, dokąd jadą i jaki czeka ich los. Zresztą, gdyby nawet wiedzieli, to czy coś by to zmieniło?

Było tu tysiące ludzi rozsianych po ogromnych terenach tundry. Pracowali przy wyrębie lasu. Skazani przez sowieckich zbrodniarzy Polacy, Ukraińcy, Litwini, a nawet Rosjanie byli przywożeni tu, aby wyprostować im skrzywiony charakter, nieprzychylny władzy sowieckiej. Pracowali ze starymi sybirakami, którzy z różnych powodów nie mogli lub nie chcieli stąd wyjechać. Zresztą najczęściej nie mieli gdzie, a do tego miejsca już przywykli. Ludzie, którzy przepracowali pięć czy dziesięć lat i przeżyli, władza radziecka nadawała im swoje obywatelstwo, nie pytając o zgodę. Wtedy mogli się czuć właścicielami tych ziem, pracując na swoim dla dobra kraju. Na tej podstawie młodzi byli wcielani do wojska i z „chęcią i honorem” oddawali życie za socjalistyczną ojczyznę.

Konie ciągnęły sanie stępem. Dzwoniły dzwoneczki uwiązane do Chomętów. Ludwice wydawało się, że to dzwonią ministranci podczas nabożeństwa.

Na razie droga była dobra, choć wiał silny północny wiatr. Niebo zaczęło się chmurzyć i na dworze zrobiło się ciemno. Chmury coraz gęściej snuły się tuż nad ziemią. Woźnice z niepokojem spoglądali do góry. Mieszkali tu od lat i wiedzieli, jak groźne są lecące nisko chmury, gonione przez porywisty wiatr.

– Buran – powtarzali z trwogą woźnice i spoglądali z obawą w niebo.

Buran to silny wiatr połączony z dużymi opadami śniegu. Potrafi dezorganizować życie na tym pustkowiu, które i bez niego jest trudne. Czasami przeleci i zaraz pokaże się błękitne niebo, a czasami trwa wiele dni, nawet tygodni. Ludzie po jego przejściu odkopują swoje domy spod śniegu, niejednokrotnie dwuczy trzymetrowej grubości. Robią korytarze w śniegu, żeby dojść do obórki, gdzie trzymają kozy, lub do drewutni, żeby przynieść do domu drzewa i napalić w piecu. Kozy były tu mniejszymi siostrami krów. Nieraz bywały jedynymi żywicielami ubogich. Krowy nie przeżyłyby w tych surowych warunkach, kozy mają niewielkie wymagania. Jadły wszystko, nawet brzożową miotłę nieopatrznie pozostawioną przez gospodynię na dworze. Dawały mleko, od biedy i mięso można było zjeść, a garbowane skóry chroniły przed zimnem.

Konwój z dwudziestoma sześcioma saniami wjechał w las. Zrobiło się jeszcze ciemniej. Pędzony wiatrem śnieg zalepiał oczy. Nocą przejeżdżali tędy miejscowi i przetarli drogę. Teraz śnieg zasypał ślady płuż.

Woźnice ze złością spoglądali na siedzących w saniach ludzi. Przez nich nie

mają pewności, czy w ogóle dojadą do domów.

Na razie jechali duktem. Po obu stronach drogi rósł szpaler wysokich drzew. Gałęzie przyginane wiatrem zrzucały czapy śniegu na jadących. Dopóki jechali lasem, drzewa wskazywały drogę, ale co będzie, jak wyjadą na bezleśną przestrzeń?

Konie ciągnęły sanie bez trudu, choć śnieg sięgał im do kolan. Na razie był miękki, ale co będzie dalej? Wyjechali z lasu. Wiatr wzmógł się i niósł tumany śniegu po polach, wyjąc jak opętany. Zrobiło się zupełnie ciemno, choć było dopiero południe. Śnieg zaczął padać tak gęsty, że woźnice stracili ze sobą kontakt. Nie widzieli nawet końskich głów, co najwyżej ich zady. Zaczęli się nawoływać.

– Alosza, gdzie ty! – Wiatr porywał słowa na strzępy i głuszył.

Ogarniał ich strach. Mają zawieźć ich do dierewni odległej o 25 wiorst. W taką pogodę będzie trudno dojechać i czy w ogóle będzie to możliwe? Jakiś czas jechali w prawie zupełnej ciemności. Woźnica zjechał chyba z drogi na porębę, bo sanie zaczęły się niebezpiecznie przechylać raz w jedną, raz w drugą stronę, albo podskakiwać na kawałkach konarów pozostawionych po wyрубie. „Muszę uważać, żeby koń nie złamał nogi albo żeby nie połamać płóz, bo wtedy ich i moje życie... ech, lepiej nie wywoływać wilka z lasu” – pomyślał.

– No, wio raby, ty też uważaj, jak chcesz zjeść obrok wieczorem – odezwał się do konia, szarpnął lejcam i koń ruszył szybciej.

Jedna z płóz sań najechała na przykryty śniegiem pniak. W saniach coś trzasnęło, a Ludwika z dziećmi omal nie wypadli. Kon stanął i ciężko dyszał. Był cały mokry od potu, a jego szyja pokryła się białą pianą.

– O chaliera – zaklął woźnica. – Teraz to tylko diabeł może mi pomóc.

Zszedł z sań w głęboki śniegu i podszedł do konia. Klepnął go dłonią po szyi. Obszedł naokoło sanie. Chciał zobaczyć, czy ich nie połamał, ale płozy były głęboko zaryte. Wziął trochę siana i dał koniowi. Ten chciał jeść, ale był zbyt zmęczony. Woźnica wycierał konia sianem z piany i potu. Czekał, aż odpocznie.

Na dworze zrobiło się trochę widniej i wiatr przycichł. Gdzieś z daleka dochodziły nawoływania z innych sań.

– Hop, hop! – krzyczał.

Podszedł jeszcze raz do konia. Widział, że drży z zimna.

– No, raby, jak nie chcesz zamrznąć, to ruszaj – wsiadł do sań i pociągnął lejce.

Koń szarpnął i powoli, noga za nogą, brnął w śniegu.

– Griiiszaa, Griiiszaa! – Wiatr przyniósł imię woźnicy.

Skierował konia tam, skąd dochodził głos. Z każdą chwilą głosy były coraz wyraźniejsze. Po godzinie poszukiwań całemu konwojowi udało się zebrać w komplet. Naradzali się, jak w tak kapryśną pogodę dojechać do domu.

– Trudno będzie, to jeszcze dwadzieścia kilometrów – rzekł jeden.

– Pewno, że trudno, ale przecież nie możemy tutaj nocować, bo zamrzniemy.

– Przestań krakać, gdyby tak się stało, to nie mamy po co wracać, Dima by nas...

– Mam plan – odezwał się Grisza. – Będziemy jechać jeden za drugim tak jak do tej pory, ale będziemy się zmieniać. Pierwszy pojedzie Prokop, zanim Fieda, potem ja i tak dalej do ostatniego. Jak Prokop przejedzie kilometr, to zjedzie na bok i Fieda będzie przecierał drogę, a Prokop pojedzie ostatni. Po Fiedii pojedę ja i tak po kolei. Kilometr drogi koń wytrzyma, a później drogę będzie miał przetartą.

– No, Grisza, dobrześ to wymyślił – pochwalił kolegę Walery.

– *Nu tak, pajechali!*

Ruszyli sznurem jeden za drugim.

Do dierewni dotarli późnym wieczorem. Mieszkańcy wychodzili z domów, żeby zobaczyć polskich bandytów przysłanych przez władzę. Słyszeli już tak wiele złego o Polakach w kołchoźnikach. Bali się trochę. Niektórzy przyglądali się im przez okna, nie wychodząc z domów. Patrzyli na przybyłych zde gustowani. Zamiast bandytów w kajdankach zobaczyli kobiety i dzieci. Byli wyraźnie zawiedzeni.

Woźnica z rodziną Ludwika podjechali pod nieduży drewniany dom kryty strzechą. Ot, zwyczajny dom ubogich ludzi pracujących w lesie.

Przed dom wyszedł gospodarz z żoną, żeby przywitać przybyłych. Oboje byli w starszym wieku. On z siwym zarostem na twarzy i wytartą fufajką na plecach. Widocznie często siedział na ławie oparty plecami o piec. Ona, drobna kobieta, nieco przygarbiona. Niegdyś zapewne ładna, dziś jej rysy jeszcze nosiły znamiona urody.

– *Praszu, praszu* – zwróciła się kobieta do Ludwika, która zeszła z sań zmarznięta na zeszywniałych nogach.

– Zabierajcie swój bagaż – powiedział woźnica do Ludwika. – Muszę mieć wolne sanie do lasu.

– Gdzie mamy go zabrać? – spytała Ludwika.

– Do sieni, pani, jak zostanie tutaj, ukradną – powiedziała kobieta, wstydliwie spuszczać wzrok.

Mąż stał obok i przyglądał się przybyłym. Chłopcy z dużym wysiłkiem zdejmowali worki z mąką.

– Pomóż tym dzieciom zdjąć te worki – zwróciła się kobieta do męża.

Popatrzył na nią niechętnie, podszedł do sań. Stękając, zaniósł worek do sieni. Chłopcy wzięli pościel, Stefan narty, a Halina lalkę w niebieskiej sukience, i weszli do domu. Dom był dwuizbowy z obszernym pokojem gościnnym i sporą kuchnią. Podłoga z gliny zmieszanej z sieczką lub ciętą trawą zwaną polepą. Okna małe, tuż przy ziemi, bo chałupa już dawno zaczęła siadać, dawały mało światła, ale i mało zimna wpuszczały. Pies bez trudu mógłby do nich zaglądać. Sufit z desek przybijanych z ukosa udawał kasetony. No i piec przy ścianie w samym środku izby. Wyłożony był nalepą. Służył do gotowania i zastępował łoże małżeńskie. W srogie zimy było na nim przytulnie i ciepło i na nim rodziły się dzieci. Dom, choć skromny, był czysty.

– Wy pewnie jesteście głodni i zmęczeni podróżą, zaraz coś zrobię na kolację –

powiedziała gospodyni i wyszła.

Przyniosła zaraz żeliwny gar z kartoflami, zalała wodą, posoliła i wstawiła do pieca.

– Będziecie spać tutaj, jutro pojedziecie dalej. Nasz priesiedatiel mówił, że tutaj ma przyjechać dużo Polaków – rozpoczęła rozmowę kobieta.

– Milcz, babo, język cię śwędzi, nie twoja rzecz, patrzaj swojego nosa, a nie wtykaj w cudze sprawy – zdenerwował się mąż.

Zamilkła na chwilę. Popatrzyła na pościel Ludwiki.

– Skąd wy macie takie ładne pierzyny i poduszki?

– Sama zrobiłam, hodowałam gęsi.

– A w tych workach co masz?

– Mąkę.

– To wy w Polsce mieliście swój młyn?

– Nie, woziliśmy ziarno do młyna.

– A skąd mieliście zboże, kupili?

– Nie, my mieliśmy swoje gospodarstwo. Oraliśmy swoimi końmi, sialiśmy zboże, zbieraliśmy.

– To mieliście własne konie? – niedowierzała kobieta.

– Trzy, i szesnaście krów.

Wytrzeszczyła oczy ze zdumienia i otworzyła buzię.

– To wy orali swoimi końmi swoją ziemię? – nadal nie mogła uwierzyć.

– Tak.

– *Ty wriosz!*

– Nie kłamie – wtrącił się do rozmowy mąż.

– A skąd ty to możesz wiedzieć?

– Bo w dwudziestym roku byłem w Polsce.

– To czemuż mi o tym nie opowiedziałeś?

– Bo nie mógł. Kobieto, na jakim świecie ty żyjesz? Jakbym ja powiedział, co widział w Polsce, to oni by mnie na Kołymę wysłali, rozumiesz?

– A co ty tam widział?

– To już ci ta Polka powiedziała.

– I ty wierzysz, że to prawda?

– Prawda, sam widziałem, jak chłop orał koniem swoją ziemię – powiedział twardo.

– Nu tak, ty mi powiedz, Polka, gdzie się podziały twoje konie i krowy, a? – Podeszła do Ludwiki i popatrzyła jej prosto w oczy.

– Wszystko ruskie zabrali, a nas przywieźli tu...

Nagle ktoś zaczął kołatać do drzwi.

– Kto to może być? – zdziwiła się kobieta.

Poszła i otworzyła drzwi. Do izby wpadła zdyszana sąsiadka.

– Ty Jewgienija znajesz, znaleźli na porębie jakąś kobietę z dzieckiem. Zmarła biedna, trzymając dziecko przy piersi, ale to nie nasza, bo była inaczej ubrana. Prowadzieli mówili, że może ktoś z Polaków ją pozna – wyrzucała z siebie straszną nowinę.

– Idź tam, Tadek, zobacz, kto to jest, może ja poznasz – powiedziała Ludka do syna.

Domyślała się, kogo spotkało to nieszczęście. Tadek wyszedł z kobietą. Długo go nie było. Ludwika zaczęła się już niecierpliwić. Wrócił dopiero po godzinie.

– No i co, poznałeś?

– Tak, to kobieta z naszego wagonu, której zmarł mąż, a lekarz dał jej dziecko od zmarłej kobiety – Tadek przełknął ślinę i nie mógł mówić dalej.

– Widocznie wypadła z sań na porębie – domyślała się Ludwika. – A w Moskwie lekarz dał jej dziecko i teraz nie żyją – zasmuciła się. – Nas omal nie spotkało to samo.

– To wy byliście w Moskwie? – zainteresowała się kobieta. Westchnęła. Spojrzała na Ludwikę już innymi oczami. – Jakże ja by chciała być choć raz w Moskwie – rozmarzyła się.

Moskwę widziała kiedyś w objazdowym kinie w kronice filmowej. Moskwa, tyle tam szerokich ulic. Nawet światła na ulicach i w domach są elektryczne. Tyle tam cerkwi ze złotymi dachami. I Kreml, samo serce kraju. Czerwona gwiazda świeci dzień i noc. A w nim ukochany Stalin z wielką fajką w ustach.

– Byliście – odpowiedziała obojętnie Ludwika.

Dla niej Moskwa kojarzyła się z całym złem, jakie spotkało ją i jej rodzinę, i tyle milionów Polaków. I przez tego Stalina znaleźli się tutaj. „Żeby go szlag!” – zaklęła w myśli.

– Jewgienija, coś śmierdzi, chyba się ziemniaki przypaliły – zwrócił się mąż do rozmarzonej żony.

– *Jej Bohu, za sawsiem zabyła!* – krzyknęła i szybko wróciła z oświetlonych bulwarów Moskwy do osmalonego garnka.

Zdjęła z ognia dymiący garnek gołymi rękoma. Duszący dym rozszedł się po izbie.

– Czort chyba palił pod tym garnkiem – mruknął mąż, dusząc się od kaszlu.

Szybko otworzyła drzwi do sieni. Kiedy trochę wywietrzało, zamknęła je i postawiła umorusany garnek na stole.

– No chodźcie, co Bóg dał...

– A ty przypaliłaś – wszedł w słowo mąż.

– To zjemy- dokończyła.

Roześmiali się wszyscy i obstąpili garnek dookoła, wyciągali przypalone kartofle. Parzyły w palce. Przekładali je z ręki do ręki, a kiedy trochę ostygły, jedli. Bardzo im smakowały.

– Gdyby choć trochę masła było do nich – tym razem rozmarzyła się Halinka. Polko też sobie coś przypomniał.

– Pamiętacie, jak byliśmy kiedyś u dziadków w Nowojelni? – mówił z pełną buzią ziemniaków. – Była wtedy ciepła jesień, spadały kolorowe liście z drzew. Piekliśmy ziemniaki na polu. Dym snuł się po całej okolicy. Babcia przyniosła kwaśne mleko, tyle było na nim śmietany – pokazywał. – Miałem wtedy takie białe wąsy.

– Ech, ci mężczyźni, już od dziecka fantazjują. – Gospodyni spodobał jej się ten chłopiec.

Jej mąż, Trochim, ten to też ma fantazję. Czasem pójdzie nad jezioro, złowi tyci rybkę, a potem opowiada kolegom, że złowił taaaką, do łokcia. Zazdrozczą mu, a on cieszy się jak dziecko. „Te chłopcy to są jak małe dzieci” – pomyślała.

Jewgienija uśmiechnęła się. Podobała jej się ta rodzina. W radiu opowiadali o nich niestworzone rzeczy, a ona patrzy na nich i są tacy, tacy... nie mogła znaleźć słowa. Są tacy jak my. Przecież to też Słowianie, bracia, podobnie mówią, można ich zrozumieć. „Chleb” – jak po naszymu. To czemu ich tak męczą? I nas również.

– Zaraz zrobię herbatę z miętą, a potem spać.

– Tylko nie przypał wody – zażartował mąż.

Przeszła obok niego niby obrażona, kołyszając biodrami. Wyciągnęła stary samowar z Tuły, który dostała od matki w dzień ślubu. Pamiętał on stare, dobre czasy, w których jej przodkom żyło się dobrze. Parzyła w nim herbatę tylko podczas uroczystości, kiedy były jeszcze dzieci.

Nalała do samowara wody, na palenisko włożyła żar. Usiadła przy mężu i czekała, aż się woda zagotuje. Wkrótce samowar zaczął syczeć. Wsypała do niego herbatę schowaną na czarną godzinę. Odczekała jakiś czas, żeby nabrała mocy, a potem nalewała do filiżanek niepasujących do dierewni i ludzi pracujących w lesie. Aromatyczny zapach rozszedł się po izbie.

– Proszę do stołu – zapraszała. – No, Trochim, chodź do nas, też spróbujesz czaju.

Jewgienija przypomniała sobie słowa i gesty babci, kiedy częstowała gości herbatą.

– Zwariowała ta moja baba na starość – mrucał pod nosem Trochim, siedząc przy piecu. – Wzieliby nas ludzie na języki, gdyby to widzieli.

– No chodź, stary, próbuj.

– Mnie i tu dobrze – odparł nadąsany mąż.

Wzięła filiżankę ze stołu i zaniósła mężowi.

– Masz, uparciuchu – uśmiechnęła się do starego.

– No pijcie – zwróciła się do „gości”.

– Gorąca – odezwał się Stefan.

– Nu, czaj musi być gorący, ale poczekaj, zaraz ci coś przyniosę. – I wyszła do

kuchni. – Macie trochę suszonych czarnych jagód. – Postawiła na stole małą miseczkę przed Haliną i Stefanem.

Stefan patrzył łakomie na jagody, ale nie jadł.

– Bierz, jedz, chociaż spróbuj – namawiała. – Czemu on nie je?

– Bo on kiedyś zamiast czarnych jagód najadł się pieprzu – wyjaśniła Ludwika.

– Co? Ha, ha ha! Słyszysz, Iwan? Tobie też czasami przydałoby się trochę pieprzu – śmiała się.

– Jedz – wzięła pierwszą suszoną jagodę do ust. Stefan jeszcze z obawą sięgnął ręką po jagodę.

– A gdzie wasze dzieci? – zapytała Ludwika.

– Na *praizwodstwa* uszli – powiedziała smutno.

Wypili herbatę.

– No to idziemy spać.

Ludwika i dzieci pierwszy raz od ponad tygodnia zdjęli ubrania do snu.

Jeszcze trzy dni szalał buran. Nasypał tyle śniegu, że kiedy Trochim wstał i chciał wyjść na dwór, nie mógł otworzyć drzwi. Z pobliskiego lasu dochodził trzask. Widocznie od ciężaru śniegu łamały się gałęzie.

Ludwika z dziećmi jeszcze trzy dni mieszkali u Jewgieniji i Iwana. Zaprzyjaźnili się. Robili razem obiady i śniadania. Trochę mąki i parę kur ubyło z worków, ale co tam!

Kolacje przeciągały się do późnego wieczora. Ludwika opowiadała im o świecie lat dzieciennych, a później lat dojrzałych. Malowała słowem rozległe łąki z kwieciami i pasące się na nich konie i krowy. Jej krowy i owce z dzwoneczkami na szyi na kolorowych kokardkach. O tym, jak Stefan topił się w rzece, gdy wzięła go ze sobą, żeby uprać bieliznę. Opowiadała, jak kiedyś urosła na jej polu dynia, że trzech mężczyzn z trudem włożyło ją na wóz. Mówiła o domu, mężu, Polsce.

Jewgienija słuchała tego z wypiekami na twarzy, chłonęła każde słowo jak jakiejś bajki. Niespokojnie siedziała koło męża przy piecu.

– Oj, żeby to nasze dzieci słyszały – westchnęła.

Rodziców Jewgieniji z małymi dziećmi zesłali tutaj za to, że jej tato opowiedział się za białymi. To szczęście, że czerwoni go nie zabili. Zesłali całą rodzinę: dziadka, babcię, mamę. Ojca nie pamięta, bo przy wyrębie lasu drzewo go zabiło. Urodziła się tutaj wśród głuchych stukotów siekier i jęku pił ścinających drzewa, i tutaj dorosła. Tu wyszła za męża za drwala. Dobry był, choć trochę pił za dużo. Kochała go po swojemu. Chodził do lasu, jak wszyscy, dopóki nie złamało mu ręki. Sama się zrosła. Teraz ostrzy siekiery i piły, choć ma palce powykręcane reumatyzmem. A teraz ta Polka, taka sama jak ona, pokazała swój świat. Widziała go jakby odbity w lustrze. „Mój świat jest z drugiej strony lustra” – myślała.

Na czwarty dzień zajechały sanki pod dom Trochimów, żeby zawieźć ich dalej. Załadowali cały swój dobytek na sanie. Kobiety żegnały się w progu ubogiej chatki.

- *Boh z taboj*, Ludmiło – żegnała ją Jewgienija.
- I z tobą, Gienia – spolszczyła jej imię Ludwika.

Obie płakały, nawet Trochim pociągał nosem. Po przejechaniu 140 kilometrów, czwartego dnia wieczorem wyrzucono ich i dobytek nad Szund-Oziero. Sanie odjechały.

Rozdział XI Szund-Oziero

Ciężkie worki z mąką, wyrzucone z sań, utonęły w śniegu. Tadek z Polkiem próbowali je wyciągnąć, ale bez skutku. Spoglądali na matkę z nadzieją, że im pomoże. Ale ona stała i patrzyła na daleki brzeg zamrożonego jeziora. Być może chciała zapamiętać ten dzień i to miejsce. Czuła się tak bezradna jak ryba wyrzucona na brzeg.

– Nu dawaj, skariej – wyrwał ją z odrętwienia jakiś męski głos. Odwróciła się i spojrzała na mężczyznę.

Na wysokim brzegu stał rosły NKWD-zista. Wydawał się wyższy niż w rzeczywistości. „I tutaj też są?” – pomyślała z niechęcią.

– *Skariej, skariej* – poganiał ludzi, którzy wynosili na górę swój skromny bagaż.

– Mamo, nie możemy wyciągnąć worków z mąką ze śniegu – usłyszała niemal płaczący głos Polka.

Podeszła do nich i złapała worek za czuprynę.

– Razem! – I wyciągnęli worek ze śniegu.

Zawlekli go na górę, potem drugi, trzeci. Niedaleko stała grupa ludzi, widocznie tutejsi, którzy przyglądali się zmaganiom nowo przybyłym. Jeden, odważniejszy, podszedł do nich.

– *A wy atkuda?*

– Z Polski.

– Aaaa, tutaj jest dużo Polaków. – Odszedł do swoich.

Około trzysta metrów od nich na wzgórzu zobaczyli rząd drewnianych baraków. Były niedawno zbudowane, bo wyglądały jak nowe i nie nosiły śladów nadgryzienia zębem czasu.

– Oto i nasz dom – powiedziała do dzieci z trwogą. – Tadek, zostań tutaj i pilnuj worków, a my bierzemy pościel i chodźmy zobaczyć, który dom nam przydzielą.

Każdy zabrał ze sobą, ile kto mógł, i poszli do baraków. Nawet Halina i Stefan nieśli swoje poduszki. Przed barakiem stał mężczyzna i dzielił komnaty. Chcieli wejść do środka.

– *A wy kuda*, tam już pełno, idźcie do drugiego, tam.

Przed drugim barakiem też stał dyrygent.

– Wasza familia?

– Wasilewska Ludwika, Janina, Tadeusz, Leopold, Halina, Stefan – podawała jedno imię za drugim. Zapisał wszystko w zeszycie.

Spojrzał na Jankę.

– Pażaksta, wchodźcie, jesteście już w domu. – Wskazał ręką drzwi.

Weszli do środka baraku. Wewnątrz panował półmrok nie tylko ze względu na

małe okna, ale i dlatego, że zaczęło się ściemniać. Przy bocznych ścianach stały jednopiętrowe łóżka zbite z desek, z drabinką do wchodzenia na górę, w środku znajdował się długi korytarz. W obu końcach korytarza stały dwa piece w rodzaju kominka z czerwonej cegły. Takie jak wszędzie w wiejskich domach, można było na nich gotować lub piec.

Rozglądali się, gdzie najlepiej zająć miejsca. Byli pierwsi, więc mogli wybierać.

– Mamo, ja chcę przy piecu, będzie przynajmniej cieplej niż na środku – stwierdził Stefan.

– Masz rację, dość namarziliśmy się ostatnio, chodźmy tam – zdecydowała Ludwika.

Zajęli trzy narożne łóżka obok pieca i położyli na nich swoje toboły. Janka pierwsza zajęła swoje miejsce i usiadła na łóżku, zmęczona podróżą.

– Chodź, pomożemy chłopcom przynieść bagaż, a dopiero wtedy odpoczniemy.

– Ojej, mamo! Ja już ledwie żyję...

– Chodź, chodź, nie można całej roboty zwałać na nich.

Janka, ociągając się, wstała i cała trójka poszła nad jezioro do Tadzika. Siedział na workach z mąką i drżał z zimna.

– Tak długo was nie było, już myślałem, że nie przyjdziecie – skarżył się z pretensją w głosie.

– Dobrze, już dobrze. Zabierzemy te worki i zaraz się rozgrzejesz – pocieszała matka. – Janka, weź worek z kurami i idziemy.

Mężczyźni, którzy przyglądali się cały czas nowo przybyłym, podeszli do nich.

– Jeżeli chcecie, to my pomożemy zanieść te rzeczy.

– Naprawdę? – ucieszyła się Janka.

– Dlaczego nie, tutaj wszyscy powinni sobie pomagać. – Chciał wziąć worek z kurami.

– Nie, ja to wezmę. Jeżeli chcecie pomóc, to weźcie worki z mąką.

– To worki z mąką?

– Siergiej, dawaj Siuda – machnął ręką na kolegę, wzięli worki na plecy i zaczęli nieść.

– *Nu, pażałsta*, idźcie pierwsi. My pójdziemy za wami. – I puścił oko do kompana.

Ludwika szła z dziećmi z przodu, a oni gęsiego jeden za drugim za nią. Weszli do baraku. Układali worki z mąką koło łóżka i, spiesząc się, odchodzili. Nie zdążyła nawet podziękować. Przeciwnie, to oni, odchodząc, mówili: „spasiba”. „Za co oni dziękują?” – zastanawiała się.

Było ciemno, ale wydawało jej się, że brakuje jednego worka z mąką. Spoglądała na drzwi i czekała, że może zaraz otworzą się i ktoś przyniesie i ten ostatni. Ale drzwi nikt więcej nie otwierał.

– Tadek, ukradli nam worek mąki! – Wybiegli wszyscy przed barak, lecz na

dworze nie było nikogo. – Jaka ja byłam głupia, myśląc, że ktoś z ruskich zechce nam bezinteresownie pomóc. No, chodźcie do baraku, bo tu jest strasznie zimno.

Jeszcze tego wieczora wszystkie łóżka zostały zajęte przez nowo przybyłych. Najważniejsze, że w baraku było jako tako ciepło. No, może nie tak jak w domu, ale dało się wytrzymać.

Ludwika boleśnie odczuła kradzież worka mąki i żałowała, że była taka nieostrożna i zaufała obcym. Tu w lasach tundry taka strata może decydować o życiu. Przeżyli już głód i wie, co to znaczy.

Janka wyłożyła swoje buty na łóżko i położyła się, żeby odpocząć. Tadek z Polkiem nie mogli dojść do porozumienia, gdzie który ma zająć miejsce. Obaj chcieli spać na dole i żaden nie chciał ustąpić. Siedzieli na łóżku i kłócili się, szturchali.

– Przestańcie – zdenerwowała się matka. – Ludzie na was patrzą, nie wstyd wam! Zaraz was pogodzę, tylko wezmę kawał kija.

– Mamo, je chcę spać na dole – jęczał Polko.

– Bierz swoje bety i włącz na górę!

– Dlaczego? – zaczął chlipać.

– Dlatego że ty jesteś lżejszy, rozumiesz? Gdyby taki grubas spadł z wysoka...

Polko popatrzył na brata złym okiem, ale wyjął swoją pierzynę i poduszkę z worka i położył na górze. Wchodząc, mruczał coś pod nosem, wyrażając w ten sposób swoje niezadowolenie.

Na dworze zrobiło się ciemno. Zmęczeni ludzie odpoczywali, leżąc na łóżkach. Chociaż w baraku w jednym pomieszczeniu było około czterdziestu osób, było cicho. Tylko czasami ktoś przeziębiony kasłał i zakłócał spokój.

– Jaka ja jestem głodna! – żaliła się kobieta do sąsiadki, która miała łóżko koło Ludwika.

– Ja też. Ciekawa jestem, czy dostaniemy dzisiaj coś do jedzenia, czy pójdziemy spać głodni.

Ludwice, kiedy słuchała tej rozmowy, też zaczęło burczeć w brzuchu.

Niektórzy zaczęli układać się do snu. Wtem otworzyły się drzwi do baraku i dwaj rośli mężczyźni wnieśli kocioł, z którego unosiła się para. Jeden z nich zapalił latarnię naftową i powiesił na gwoździu niedaleko drzwi.

– Użyn – wołał drugi i bębnił chochlą po kotle.

Przestraszeni hałasem ludzie, którzy już zasypiali, zrywali się nieprzytomni z łóżek.

– Kolacja! – darł się kucharz i znowu bębnił.

Wstawali ocieżali z posłań, brali miski i pochodzili do kotła. Kucharz nalewał mucznowo supa do misek i dawał kromkę chleba. Odchodzili do łóżek i jedli łapczywie. Miska nie trzeba było myć. Wylizywali do czysta.

Zaraz po kolacji większość kładła się do łóżek. Prawie po dwóch tygodniach

głodu i zimna zasypiali natychmiast. Nie wiadomo nawet kto w nocy zgasił latarnię, może sama zgasła z braku nafty.

Ludwika również zasnęła od razu, jak się położyła. Nie spała długo. Jakiś mężczyzna chrapał głośno. Wydawało się, że zaraz się udusi.

– Józek, przestań buczeć! – mówiąc to, kobieta trąciła go w bok.

Pomagało na chwilę. Ludzie zaczęli szemrać, że przez jednego nie mogą spać.

Ludwika ponownie zasnęła późno w nocy. Śniło jej się, że jechała z Haliną i Stefanem pociągiem. Podróż trwała długo i Stefan nudził się. Łaził po wagonie, wszędzie zaglądał. Podszedł do okna, a tam rosło tyle czerwonych maków! Chciał zerwać chociaż dwa. Jeden mamie, drugiego chciał podarować Halince. Wychylił się mocno przez okno, już trzymał kwiat w ręku. Stracił równowagę i wypadł z wagonu. Podbiegła do okna, chciała go ratować. Stał wśród czerwonych maków. Trzymał dwa kwiaty w ręce. Podniósł oba do góry. „Mamo- zerwałem dla ciebie i Haliny!” – wołał. Widziała go jeszcze jakiś czas pośród kwiatów, a potem oddalał się, aż zniknął zupełnie. „Stefan, Stefan!” – krzyczała we śnie. Zerwała się z łóżka oblana potem.

– Co pani jest? Dlaczego pani tak krzyczy? – zapytała kobieta śpiąca obok.

– Miałam zły sen, chwala Bogu, że to był tylko sen. – Wstała jednak sprawdzić, czy Stefan śpi na górze.

Spał spokojnie.

– Nazywam się Elwira Żyła, kapitanowa Żyła – przedstawiła się i wyciągnęła do niej rękę.

– Ludwika Wasilewska – podała swoją szorstką dłoń.

– Skąd pani jest?

– Teraz, teraz jestem z Szund-Oziera.

„Albo się jeszcze nie obudziła, albo...” – pomyślała tamta.

Choć było jeszcze zupełnie ciemno, ludzie już nie spali. Niektórzy leżeli cicho, inni rozmawiali szeptem. Jedni pytali drugich, skąd są, jak się nazywają. Nawet ktoś, kto dopiero się obudził, pytał o godzinę, wywołując śmiech.

Do baraku wszedł ktoś z latarką w ręce. Podniósł ją do góry.

– Proszę o spokój. Dzisiaj śniadanie będzie wyjątkowo o ósmej. Po śniadaniu spotkacie się z komendantem obozu, towarzyszem Sawinem. On wam wszystko wyjaśni, co wolno i czego od was oczekuje. Regulamin obozowy wisi w kuchni w gablocie. Każdy musi się z nim zapoznać, żeby nie było niespodzianek. Tyle ode mnie. Teraz jest wpół do ósmej, proszę się pospieszyć. Kto się spóźni, śniadania nie będzie jadł. To dotyczy również obiadów i kolacji. Mam nadzieję, że się rozumiemy, kuchnia jest z tamtej strony. – Wskazał ręką.

W baraku zrobił się zgiełk, wszyscy naraz wstali z łóżek. Nie było miejsca, żeby się ubrać, a co dopiero umyć i skorzystać z toalety. Wszyscy biegli do kuchni jak najszybciej, trzymając w ręku miski.

W baraku zwanym kuchnią stał stół. Zwykłe szerokie deski, w trzech rzędach

i długie przez cały barak. Jedli na stojąco. Dzisiaj podali specjalność kuchni: mucznoy sup z niedogotowanymi kartoflami i kromką chleba. Kipiatoku nie wydzielali, każdy mógł brać, ile chciał. Byli tak zajęci śniadaniem, że nie zauważyli, kiedy wszedł komendant. Ubrany był w mundur, parę orderów błyszczało na jego piersi. Niezbyt wysoki, z kwadratową twarzą i gęstą rudą czupryną. Popatrzył na zebranych z niesmakiem. „Kogo oni mi tu przysłali? Większość to kobiety i dzieci, mężczyzn jak na lekarstwo” – pomyślał. „Muszę coś powiedzieć” – zżymał się w sobie. Komendant nie był dobrym mówcą. Zebrał się w sobie, chrząknął i otworzył usta.

– *Nu, kaniec zawtraka.* Nie przyjechaliście tutaj na wczasy czy urlop. Przyjechaliście, żeby pracować dla kraju, dla wielkiego Związku Radzieckiego. Czasem będzie ciężko, ale za to będziecie mieli co jeść – przerwał na chwilę. – Ale ostrzegam, kto nie będzie pracować, ten nie będzie jadł i jaki będzie jego koniec, to się chyba domyślacie. Ze stołówki pójdzicie do lekarza, który określi, kto do jakiej roboty jest zdolny. Po południu zbieramy się znowu tutaj, już po ocenie waszego zdrowia i według wskazań lekarskich otrzymacie przydziały do pracy w lesie. Jasne?

Ludwika z rodziną przed południem weszła dom lekarza.

– *Sadities', pażałsta.* – Lekarz wskazał krzesło.

– Nu, jak po tak długiej podróży wasze zdrowie?

– Bywało lepiej.

– Dlaczego tak mówisz?

– A jakie ma być, dwa tygodnie bez jedzenia i na mrozie.

– Wiem, wiem.

– Nic pan nie wie, jechał pan kiedy w takich warunkach?

– Nie złość się, ja nie jestem temu winien, mnie też tu zesłali. Macie wszy?

– Nie, my jeszcze nie mamy wszy – odparła.

– Jak to w takiej drodze nie macie wszy? U nas wszyscy mają wszy. I wy niedługo też będziecie mieli. A wasze dzieci zdrowe?

– Tak, nie syn ma skaleczoną rękę.

– Jak to się stało?

Opowiedziała, co zaszło dwa tygodnie temu.

– No chodź, pokaż rękę – zwrócił się lekarz do Stefana.

Odwinął bandaż.

– Duża rana, ale się goi. Możesz ruszać palcami?

– Mogę, ale dwa mi drętwieją.

– To z czasem przejdzie.

Oczyścił ranę, zasypał jakimś proszkiem i ponownie zabandażował rękę.

– Jak będę tu kiedy, to wstąp do mnie, dobrze? To wszystko.

Podczas obiadu na stołówkę weszło czterech mężczyzn. Wśród nich był komendant obozu. Podeszedł do stołu.

– Proszę o uwagę – zaklaskał w dłoń. – Wiemy, że wielu z was nigdy nie

pracowało w lesie. Myślę, że nie trzeba kończyć uniwersytetu, żeby spiłować drzewo. Praca jest prosta, ale ciężka. Nie muszę dodawać, że i niebezpieczna. Każdy z was nauczy się szybko tej prostej roboty. Jest tu ze mną leśniczy, towarzysz Rybkin, który będzie czuwać nad całością prac. Są tu też trzej brygadziści, im będą podlegać poszczególne prace w lesie. I tak towarzysz Szurkin odpowiadać będzie za wyrąb lasu, obróbkę i bezpieczeństwo. Drugim brygadziście jest towarzysz Szczygłów. Podlegać mu będzie zrywka drzew z wyrębu i dostarczenia drzewa na plac załadunkowy. Trzeci to towarzysz Nowak.

Po stołówce rozszedł się szmer.

– Tak, tak, to też jest Polak, tak jak wy. Dobrze pracował dla socjalistycznego kraju i dlatego dostał zaszczytu awansu na brygadziście. Każdy z was, jak będzie tak dobrze pracował jak on, to też czasem...

– Jak zostaniemy wszyscy brygadziściami, to kto będzie pracował? Czy on umie mówić po polsku? – zapytał ktoś ze stołówki.

– Nu, towarzyszu, my jesteśmy w Rosji, mówimy po rosyjsku – odrzekł zmieszany Sawin. – Proszę wykonywać ich polecenia. Kto się do nich nie zastosuje, będzie ukarany, kara pieniężna albo... – zrobił krótką przerwę – nie będzie jadł. Przy poważniejszych wykroczeniach, na przykład umyślne złamanie piły, zostanie wysłany do obozu o zaostrowym rygorze. Rozumiemy się? Acha, byłbym zapomniiał: od jutra wszystkie dzieci muszą iść do szkoły. A teraz proszę towarzysza Rybkina o przydział ludzi do poszczególnych brygad.

Leśniczy podszedł do stołu. Położył na nim gruby zeszyt.

– Chciałbym wam przedstawić, ilu ludzi będzie pracować w brygadzie i kto do jakiej będzie przydzielony. – Otworzył zeszyt i zaczął czytać: – Białkowski, Gołoszewski, Halik. Wszyscy trzej proszę stanąć koło towarzysza Szurkina.

Wymienieni podeszli do niego. Leśniczy przerwał na chwilę, popatrzył za odchodzącymi, a potem wrócił do czytania.

– Jachim, Sądek, Kozłowski, podejdźcie do Szczygłowa.

Szczygłów podniósł rękę. Mężczyźni podeszli do niego bez entuzjazmu. Leśniczy spojrzał na nich i skrzywił się trochę. Wydawało mu się, że są za słabi do takiej roboty. W istocie, już sam wygląd ich mizernych twarzy mówił, że do siłaczy nie należą. „Nie mam z czego wybrać. Muszą być tacy, jacy są. Długo nie wytrzymają, trudno, najwyżej zdechną” – pomyślał. „Może na drugi raz przyślą lepszych”.

– Halik, Krupa, Wrażen – czytał dalej leśniczy.

Nowak podniósł rękę. „Jaki ze mnie Polak. Ależ ten Sawin się wygłupił. Może mój jakiś daleki przodek był Polakiem. Mało to w Rosji polskich nazwisk? Co im powiem, jak zaczną pytać?” – Sieknął i opuścił rękę.

Podeszło do niego trzech mężczyzn, jakoś raźniej niż ich poprzednicy, jak do swojego. Leśniczy tworzył nowe brygady do pracy. Na stołówce ubywało ludzi.

Zostało jeszcze kilku mężczyzn, a reszta to same kobiety. Mężczyźni stali w grupie. Widocznie znali się, bo rozmawiali ze sobą.

– Niech kacap poczeka, jak ja mu będę robił! – odezwał się jeden z nich.

– Czy jest ktoś, kto umie pracować końmi? – zapytał leśnik.

– Ja umiem pracować końmi – zaoferowała Ludwika.

– Ty?

– Ja, bo miałam swoje gospodarstwo, a w nim wiele krów i koni.

– Co ona mówi? – zwrócił się do brygadzysty, który trochę umiał mówić po polsku.

– Mówi, że miała swoje *chazajstwa* i że zna się na koniach.

– Co wy o tym myślicie, towarzyszu komendancie?

– Jest młoda i mocna, to widać, niejednemu mężczyźnie dałaby rady. – Uśmiechnął się. – Daj jej konie, zobaczymy.

– Nu charaszo, idź do stajni i wybierz konie, będą twoje. Potem idź do magazynu i pobierz fufajkę i watowane spodnie, walonki, rękawice i czapkę. Jak będziesz dobrze pracować, to pomалу splącisz ciepłą odzież. Jutro o siódmej przyjdź do pracy. Acha, Nowak, daj jej silnego nawalszczyka.

Ludwika poszła do stajni wybrać konie, potem wróciła do baraku. Zastała Halinę i Jankę siedzące na łóżku. Chłopaki, jak zwykle, gdzieś wyparowali, a Stefana nosiło na nartach. Usiadła przy nich i wpatrywała się w okno. Chociaż był dzień, na dworze było szaro. Przy końcu lutego słońce pokazywało się na horyzoncie na krótko, ale z każdym dniem pięło się coraz wyżej.

Janka wyraźnie się nudziła. Trzymała dłonie na kolanach, kręciła młynki i nuciła coś pod nosem. „Chciałabym mieć jej charakter, ona niczym się nie przejmuje” – pomyślała matka.

– Wiesz, musimy oporządzić kury, bo w końcu się zepsują.

– Jak się zepsują, kiedy są zamrożnięte?

– Ale tutaj jest ciepło i niewiele im potrzeba. Tyle dni są w worku. Weź do tej roboty Tadzika i Polka. Jeszcze dziś macie je oskubać i wypatroszyć.

– Mamo, ja pójdę z nimi, dobrze?

– Dobrze, tylko się nie pobrudź – zgodziła się matka.

– Jutro Polko i Stefan muszą iść do szkoły. Ja teraz pobiorę ubrania, bo jutro idę do pracy. Ty z Tadzikiem na razie zajmiecie się domem.

– Na razie? – zdziwiła się Janka.

– Na razie, dopóki nie znajdę dla was jakiejś roboty, ja sama nie dam rady zarobić na jedzenie dla nas wszystkich.

– A co ja miałbym tu robić?

– Może coś się znajdzie, ot, chociażby kipyatok ugotować.

– Co?

– Najpierw pójdiesz poszukać chłopców. Weźmiesz ten worek i pójdziecie na

stołówkę. Tam zawsze jest wrzątek. Sparzycie kury i oskubiecie. Chyba wiesz, jak się rozbiera kurę. Jedną zostawcie, to zrobimy coś na kolację. Niech Tadek zrobi kryjówkę w śniegu i schowa tam resztę. Żeby tylko nikt nie widział, ani lis i wilk nie wywęszył – powiedziawszy to, Ludwika poszła po ubrania robocze.

Ledwie znalazła na siebie rozmiar. Wzięła i przyniosła do domu. Wieczorem, po kolacji zrobiła jeszcze rosół z kury i każdy dostał po kawałku mięsa. Smakowity zapach rozszedł się po baraku. Niedożywieni ludzie spoglądali w ich kierunku.

– Skąd pani dostała tutaj kurę? – zapytała Żyłowa.

– Kupiłam od miejscowego – skłamała.

Ludwika do pracy wstała o szóstej. Zjadła śniadanie i wzięła kawałek chleba na drogę. Wyszła z baraku i szła do stajni. Śnieg skrzypiał pod walonkami. Mróz szczyptał w policzki i gryzł w uszy. Naciągnęła głębiej uszanke na głowę. Gwiazdy mrugały do niej wesoło, choć noc już nieco zbladła. Weszła do stajni czerwona jak piwonia. Byli już tam mężczyźni, którzy czekali na swoje konie. Zobaczyli Ludwikę i jeden z nich zażartował.

– Niedługo zamiast nas same kobiety będą ujeżdżać konie, a my pójdziemy do kuchni palić pod kotłem.

– Ty i bez palenia jesteś okopcony bardziej od kotła – odgryzła się Ludwika.

Koledzy roześmiali się. Zły, łypał tylko okiem i szukał argumentu, żeby się odciąć.

Przyprowadzili konie. Ludwika zakładała swoje do sań. Założyła stelwagę z orczykami na hak i podeszła do przodu, żeby założyć naszelniki do dyszla. Wtedy podszedł do niej żartowniś i, nie dając za wygraną, zapytał:

– A czy ty wiesz chociaż, gdzie koń ma głowę?

– Wiem. Wiesz co, stań z tyłu, to ja podniosę kobyle ogon i zrobię ci ładne zdjęcie.

– Cholerna baba, zawsze tam wyrośnie, gdzie jej nie posieją. – Odszedł od sań i odjechał, mrużąc coś pod nosem.

Do sań Ludwiki podszedł mężczyzna.

– Słyszałem pani rozmowę. Chcieli z pani zadrwić, ale zadała im pani bobu. Nazywam się Rutkowski, przydzielili mnie do pani.

– Nie do mnie, ale do sań, panie Rutkowski. Niech pan siada. Mam nadzieję, że będzie pan mniej gadał jak tamten, a więcej robił. Gdyby panu zebrało się na żarty, to...

– Nie, nie, nie po tym, co słyszałem. Nie ośmieliłbym się.

– No to ruszamy. – Wzięła lejce do rąk i machnęła batem. – Wiooo!

Wypoczęte konie ruszyły rażno. Parskały głośno, potrząsając głowami. Znały drogę do lasu, nie trzeba było nimi kierować. Śnieg skrzył się pod płozami san, z nozdrzy koni buchała para.

– Skąd pan jest? – zagadnęła Ludwika.

– Z Bytenia, miałem tam swój sklep. Wszystko mi zabrali. Dobrze, że żyję, bo tak naprawdę niewiele brakowało. Ten sukinsyn Naliwko omal mnie nie zabił. Taki szczeniak.

– Kto?

– Naliwko.

Ludwika zdziwiła się.

– Może Aleksander?

– Może, ale teraz nazywa się Aleksiej Naliwko, a pani go zna?

– On u nas pracował w gospodarstwie w Złotowie.

– W Złotowie? Znałem jednego gospodarza ze Złotowa. Był radnym w Byteniu. Zaraz... jak on się nazywał? Chyba Wasilewski – przypomniał sobie. – Znała go pani?

– To mój mąż.

– Co pani mówi? Patrzcie państwo, góra z górą! Mój Boże, gdzie się to ludzie spotkać mogą! Zimno dzisiaj.

– Nad ranem zawsze jest zimniej, ale niedługo będzie panu gorąco.

– Dlaczego?

– Zobacz pan...

Tak rozmawiając, dojechali do placu, na którym leżały stosy drzew. Stały już tam inne sanie, które przyjechały wcześniej. Podjechali bliżej. Podeszedł do nich brygadzysta.

– Podjedźcie tam i ładujcie na sanie. – Wskazał ręką.

Ruszyli i ustawili konie z sańmi odwrotnie do zaprzęgów męskich. Mężczyźni nawet przerwali pracę, żeby zobaczyć, jak sobie kobieta poradzi z załadunkiem. Zdziwili się, gdy ustawiła konie odwrotnie niż oni.

– Baby wszystko robią na odwrot.

– Ty, to nie jest takie głupie. Zobacz, jej konie będą miały lżej, bo nie będą musiały zawracać z ciężarem.

Nikt się na te słowa nie odezwał. Wszyscy wzięli się do załadunku. Ludwika z nawalszczykiem zeszła z san.

– No to ładujemy!

– Ja nigdy nie pracowałem w lesie.

– Ja też, ale jak pan chce przeżyć, to bierz się pan za robotę i nie bądź pan baba!

– Nie rozumiem.

– Co tu rozumieć. Bierz pan drąg i połóż na sanie. Tu jeden, a tam drugi, i po nich trzeba wtoczyć kłocę na sanie, teraz pan rozumie?

– Tak, rozumiem.

– Bierz pan drąg z drugiej strony i kładziemy go na sanie. No dobrze, teraz drugi – dyrygowała Ludwika.

– I co teraz?

– Teraz zdejmij pan fufajkę, bo będzie panu za gorąco. – Sama też zdjęła swoją.

Wzięła drewniany drąg do ręki i wsadziła pod kloc. Rutkowski zrobił to samo.

– No to teraz razem do góry, raaz! – komenderowała pracą.

Kiedy próbowali przełożyć swoje drążki wyżej, pokryty lodem kloc zjechał z powrotem.

– To syzyfowa praca – zawyrokował Rutkowski.

– Dlatego trzeba coś wymyśleć, żeby nie zjeżdżały.

Podeszła do koni, zdjęła postronki z orczyka i przywiązała do sań.

– No, teraz spróbujemy jeszcze raz, ale z jednego końca.

Podłożyli drążki pod kloc i unieśli je do góry. Kloc łatwiej przesunął się w górę.

– Pan go teraz przytrzyma.

Uwiązała kloc do sań, żeby już się nie zsunął.

– No, a teraz drugi koniec, panie, raaz. – Stęknęli oboje z wysiłku, ale kloc ruszył w górę.

Takim sposobem ładowali kloc za klocem, aż sanie były pełne. Na koniec Ludwika założyła kłonicę, żeby kloce nie spadły po drodze. Choć był mróz i pracowali bez fufajek, plecy były mokre od potu. Szybko ubrali się i, sadowiąc się w saniach, ruszyli. Przejeżdżali przy pracujących jeszcze mężczyznach.

– Co wam tak marnie idzie, nie jedliście dzisiaj śniadania? – zażartowała.

– Baba z piekła rodem!

Brygadzysta przyglądał jej się z uznaniem. Podeszedł do wozaków.

– Kobieta, a lepiej pracuje od was. Powinniście się od niej uczyć, a nie czepiać się jak dzisiaj w stajni. Hej, hej, kobieto, zaczekaj! – zawołał za Ludwiką brygadzysta.

Dogonił sanie nieco zdyszany.

– Pojadę z wami, bo nie wiecie, gdzie zwalić drzewo.

Dłuższy czas jechali w milczeniu.

– Daleko jest do tego miejsca, gdzie zwałamy drzewo? – zapytała Ludwika, chcąc przerwać ciszę.

– Będzie osiem, dziesięć kilometrów.

– A wy jesteście tu miejscowi czy ruskie tak samo pana przywieźli jak nas?

– Jaki tam ze mnie pan?

– Komendant mówił, że pan Polak. Gdzie przedtem mieszkali wasi rodzice?

– Nie żyją – odrzekł, chcąc uniknąć dalszych pytań.

– Nie żyją? A na co umarli? A może ruskie ich zabili? – nie dawała za wygraną.

– Nie zadawaj takich pytań, bo to się może dla ciebie źle skończyć.

– To może być jeszcze gorzej?

– Może, nawet nie wiesz jak bardzo, i tylko dlatego, że jesteś kobietą, udam, że tego nie słyszałem.

Dalej jechali już w milczeniu i tylko ciężki oddech koni mówił, z jakim trudem ciągną sanie. Dziwiło ją to. Droga była dobra, pokryta lodem. Sanie powinny lekko pomykać, a tu coś nie tak. Zatrzymała konie i zeszła z sań.

– Panie Rutkowski, weź pan lejce i ruszaj. Ja muszę coś zobaczyć.

Sanie ruszyły. Ludwika szła z tyłu i obserwowała ślad płóz bliźniaczych doczepionych do przednich sanek. Szły z ukosa, żłobiąc głębokie koleiny.

– Co za dureń spał tak sanie – zezłościła się Ludwika.

Brygadzysta zszedł na dół.

– Coś jest nie tak?

– Nie tak? Zobacz, sanie idą zupełnie bokiem.

– Nu swołocz, już ja mu dam!

– Cco można teraz zrobić, kiedy sanie są pełne drzewa?

– Spróbuję. Panie Rutkowski, niech pan ruszy i skręci końmi najpierw w lewo, potem mocno w prawo.

Rutkowski wykonał polecenie Ludwiki. Konie tańczyły na drodze, raz w jedną, raz w drugą stronę drogi.

– No popatrz, dureń nawet nie potrafi kierować końmi – skrytykował brygadzysta.

– Nie umie, bo nigdy końmi nie jeździł. A wy umiecie naprawić zegarek?

– Też wymyśliła! A po co, jak u nas nie ma zegarków!

– Na Kremlu jest.

Ludwika weszła na sanie i chwyciła lejce.

– Wiooo!

Konie ruszyły posłusznie. Skręciła najpierw w lewo, potem mocno w prawo. Na saniach coś zatrzeszczało. Drzewo na bliźniakach przesunęło się nieco.

– Połamiesz sanie! – przeraził się brygadzysta.

Zeszła na dół i weszła pod sanie. Łańcuch prawej płozy zwisał luźno. Skręciła go o trzy ogniwa.

– Może teraz będzie dobrze.

– Co mówisz? – nie dosłyszał.

– Wejdźcie na sanie i ruszcie końmi. Ja zobaczę, czy teraz idą równo.

Wahał się przez chwilę. „Ta baba zaczyna mną rządzić” – pomyślał. Choć nie bez wahania, wszedł na sanie. Ruszył.

– No i jak?

– Teraz dobrze.

– No to siadaj.

– Nie, pójdę za saniami, to się trochę rozgrzeję.

– Jak chcesz. Co za kobieta, takiej jeszcze u nas nie było – mruknął.

Od razu było widać, że koniom było lżej. Szły o wiele szybciej, tak że Ludwika ledwie mogła za nimi nadążyć. Biegła prawie kilometr. Rozpięła fufajkę, zrobiło jej się za ciepło. Dogoniła sanie i weszła na wierzch. Ta trzydziestotrzyletnia kobieta zaprawiona do pracy od dziecka, była silniejsza od niejednego mężczyzny. Była brunetką, jak jej ojciec, niebrzydka, o śniadej cerze. Miała tylko jedną wadę, a może

zaletę... Umiała obracać językiem jak mało kto. Gdy ktoś próbował przypiąć jej jakąś łatkę albo ośmieszyć, dawała taki popis żonglerki słownej, że dowcipniś spuszczał z tonu i chował się za plecami kolegów.

Jechali już ponad godzinę. Na drodze minęli mężczyznę, który zbierał gałęzie, żeby nie hamowały sań podczas przewozu ciężaru.

– Daleko jeszcze?

– Będzie z półtora kilometra.

Wyjechali z lasu. Wiał silny wiatr i zrobiło się zimniej. W lesie jego podmuchy hamowały drzewa. Tu, na wolnej przestrzeni, szczypał w policzki i próbował zrywać czapki. Zapięła szybko fufajkę.

– No, jesteście na miejscu.

Wjechali na ogromny odsnieżony plac, na którym kręciło się wielu robotników leśnych.

– Dawaj tutaj! – nawoływali.

Ludwika podjechała na wskazane miejsce.

– Alosza, popatrz! Kobieta przewiozła drzewo – ze zdziwieniem stwierdził Iwan, chudy mężczyzna.

Inni spojrzeli z zaciekawieniem na Ludwikę. Iwan chciał popisać się przed kolegami swoim dowcipem.

– Ej, ty, kobieto! Czy ty wiesz, gdzie koń ma łeb, a gdzie zad?

Brygadzysta, który przyjechał z Ludwiką, był ciekawy, jak potoczy się rozmowa między Ludwiką a drwalem.

– Ty to może wiesz, gdzie masz swój łeb, ale co z tego, jak w środku jest pusty. Jeśli coś w nim jest, to tylko sieczka. Więc nie podchodź do konia, bo jest głodny. A zadu pewnie też nie masz, bo spodnie na tobie wiszą jak w stodole na gwoździu.

– Ale na czymś wiszą – próbował ratować swoją reputację dowcipniś.

– Jeśli jeszcze wiszą, to pewnie przykleiły ci się do dupy.

Jego koledzy ryknęli śmiechem. Brygadzysta, który siedział na drzewie, omal nie spadł z sań.

– Ot, gieroj kobieto, ot, gieroj – powtarzał.

Zszedł z sań na dół.

– Jak już się naśmialiście, to zwalcie teraz drzewo.

– Ale to nie nasza robota – odparł Iwan.

– Ale to kobieto.

Podeszli i zaczęli zwać kłody. Nawet Iwan przyszedł pomagać, chciał z bliska przyjrzeć się Polce, która zalaża mu za skórę.

Ludwika stała koło brygadzysty i przyglądała się robotnikom.

– Dlaczego tutaj zwalają drzewo?

– Tutaj są dwie rzeki. Jedna, o tam, w dole, Waza, teraz zamarznięta, dalej pół kilometra stąd płynie Dwina. Latem, jak rzeki odmarzną, robimy tratwy i płyną nimi

flisacy do Archangielska, stamtąd okrętami w różne strony świata. Te drzewa są jednymi z najlepszych na świecie, gdyż rosną wolno w trudnych warunkach.

Dopiero teraz Ludwika zauważyła ogromne stopy drewna gromadzone przez całą długą zimę. Były przysypane grubą warstwą śniegu, przez co nie rzucały się w oczy.

– To do tego potrzebujecie niewolników, żeby pracowali dla was za darmo. Nawet kobiet i dzieci.

– Nu, co ty gadasz, my płacimy!

– Płacicie tyle, że ludzie nie mają siły pracować i umierają z głodu.

– Zawsze ktoś kiedyś może umrzeć.

– Może... ale tutaj musi.

– Nu tak, sanie rozładowane. Jedź, bo jak będziesz gadać, a nie robić...

Brygadzysta nie chciał dalej z nią rozmawiać. Wiedział, że ona ma rację. Gdyby nawet nie, to i tak stałby na straconej pozycji. Zresztą, nie dorównywał jej elokwencją i intelektem.

Ludwika siadła na sanie i ruszyła z powrotem do lasu, po następny załadunek. Na plac rozładunkowy wjeżdżali wozacy, którzy razem z Ludwiką ładowali drzewo na placu. Minęli się bez słowa. Pamiętali jej odpowiedzi na zaczepki. Na wszelki wypadek woleli się nie odzywać. Rutkowski siedział obok niej i też milczał. Jechali w szarzyźnie dnia i nie wiadomo było, która jest godzina. Konie z pustymi saniami biegły szybciej.

Syberyjskie konie, krępe i nieduże, były bardzo wytrzymałe i niezbyt wymagające. Niegdyś żyły dziko na ogromnych przestrzeniach tajgi. Przystosowały się do trudnych warunków, jakie tutaj panowały. Można je było nawet spotkać na południowych obrzeżach tundry. Miały jednak swoich wrogów. Wśród parometrowej warstwy śniegu nie mogły uciekać przed wygłodniałą watahą wilków. Niedźwiedź też stanowił dla nich niebezpieczeństwo. A jednak przetrwały. Udomowione, oddawały ludziom nieocenione usługi w transporcie, a czasem z konieczności jako pokarm.

Przed nimi jechały sanie z dużą beczką, pod którą palił się ogień. Przy beczce stał człowiek i polewał drogę wodą. Grzał wodę, żeby nie zamrzła. Wylana, zamarzała natychmiast.

– *Zdarow* – krzyknął mężczyzna z wodą. – Wy nowi?

– Nowi, *zdarow* – odpowiedzieli i zniknęli za zakrętem drogi.

Wjechali w las. Zrobiło się ciemniej. Wiatr w lesie już tak nie hulał jak na otwartej przestrzeni, gdzie wlaźił w każdy zakamarek i przeszywał zimnem na wylot. Wyciskał łzy z oczu, które zamarzały na policzkach.

Przez całą powrotną drogę Rutkowski był jakiś markotny i nie odzywał się.

– Co panu jest?

– Nic.

– Jak ma pan na imię?

– Antoni.

Przedtem gadatliwy, teraz był oszczędny w słowach. „Co mu się stało?” – próbowała dociec Ludwika.

Po godzinnej jeździe wjechali znowu na plac załadunkowy. Objechała go szerokim łukiem i postawiła sanie w miejscu, gdzie drzewo leżało wyżej. Po równi trzeba było włożyć mniej wysiłku, żeby wtoczyć kłocę na sanie. Ułożyli grube drągi w poprzek sań i z mozołem zaczęli wtaczać ciężkie kłocę. Z początku szło im nawet nieźle, ale przy następnym kłocu widać było, że Antoni używa sił oszczędnie.

– Ja sama tych kłoców nie załaduję. Co panu jest?

– Nic.

Wkładali już ostatni kłoc. Był już prawie na saniach. Antoni napał mocniej i drąg wypadł mu z rąk. Jęknął, złapał się za brzuch i powoli osunął na ziemię. Był blady jak śnieg, na którym klęczał.

– Co się panu stało? – Ludwika pomogła mu usiąść. Znowu jęknął.

– Tutaj – pokazał na brzuch.

Odpięła mu fufajkę i włożyła rękę. Poczła coś ciepłego i lepkiego. Wyciągnęła ją – była cała we krwi. Zrobiło jej się słabo. Stała bezradna i rozglądała się naokoło. Na ogromnym placu nie było nikogo.

– Antoni, Antoni!

Antoni położył się na śniegu i jęczał.

– Ludzie, ludzie, pomocy! – krzyczała w stronę lasu, gdzie pracowali drwale. Nikt się nie odezwał i nie przyszedł na jej wołanie, po chwili wróciło echo, a potem zaległa cisza i tylko wiatr szumiał w gałęziach drzew. Dopiero po jakimś czasie przyjechali wozacy po drugi załadunek. Wybiegła im naprzeciw.

– Ratunku, ratunku! – wołała.

– Co się stało?

– Nie wiem, ale Antoni jest cały we krwi.

Popatrzyli i pokiwali głowami.

– My mu nic nie możemy pomóc, ale... Rysiek, chodź. – Ostrożnie położyli chorego na sanie i pojechali do Szund--Oziera. Pomogli jej załadować ostatni kłoc.

– Jak zajedziesz nad rzekę, to powiedz brygadziście, co się stało. On da ci drugiego nawalszczyka, bo ten – wskazał za odjeżdżającymi – chyba nie będzie już z tobą pracować.

Po godzinie dotarła na plac rozładunkowy i zatrzymała się nad rzeką. Robotnicy leśni przy pomocy koni i lin układali drzewo na placu, jedno na drugim, żeby jak najwięcej się zmieściło.

– Dawaj, tuta! – wołali na Ludwikę, żeby podjechała.

– A gdzie twój nawalszczyk?

Opowiedziała brygadziście, co się stało.

– Nu, szkoda człowieka, ale ty się nim nie przejmuj. Tu wypadki zdarzają się często. Dam ci drugiego nawalszczyka. Będiesz z niego zadowolona. Sierioza,

zawołaj Butryma.

– On jest tam. – Wskazał ręką ku górze.

Ludwika pobiegła wzrokiem za ręką Sierioży. Na samym wierzchu składowiska jakiś wpół zgięty człowiek próbował uporządkować rozwalone kłody. Mocował się z jedną, która według niego nie leżała jak trzeba.

– Butrym, Butrym! – zawołał Sierioża.

Usłyszał i wyprostował się. Oczom Ludwiki ukazało się ogromne chłopisko, podobne do niedźwiedzia. Nie odezwał się, schodził ze zwału powoli, niezdarnie. Podszedł do brygadzysty.

– Będziesz pracował z tą kobietą – powiedział brygadzysta. – Zajeżdżajcie tam i zwalcie drzewo.

Ludwika przyglądała mu się uważnie. Głowę miał dużą, oczy głęboko osadzone. Nogi krótkie, ale za to ręce sięgające prawie do kolan. Dlatego wszyscy nazywali go małpą. A on tym się nie przejmował. Nawet nie wiadomo było czy zdawał sobie z tego sprawę. A jednak zdawał.

Ludwika ruszyła końmi i pojechała we wskazanym kierunku. Butrym szedł za sańmi. Ludwika wzięła drąg i próbowała zwalić drzewo.

– Zostaw, ta małpa zrobi to za ciebie – odezwał się któryś z robotników.

– A ty lubisz banany? – spytała.

– Lubię, bo co?

– Wszystkie małpy lubią banany.

– Ty, Polka, uważaj, bo my już słyszeli o tobie! – Szedł w jej kierunku.

Butrym zastąpił mu drogę. Robotnik spojrzał na niego, odwrócił się i odszedł na bezpieczną odległość.

Butrym wziął drąg do ręki i razem zaczęli zwałać drzewo z sań. Niewiele mu pomogła, bo chłop był rzeczywiście mocny, jak tur. Zanim podważyła kloc drągiem, on już zepchnął go na ziemię. Po dwudziestu minutach sanie były rozładowane.

– No, jedziemy.

Wsiadła do sań i wzięła lejce do rąk. Butrym wsiadł również. Nie mówił nic, spojrzał na nią i wyciągnął ręce. Bez słowa podała mu lejce. Cmoknął lekko i ruszył lejcami. Konie ruszyły powoli, a potem weszły w trucht. Robotnicy patrzyli za nimi. Zobaczyli teraz innego Butryma, nie takiego, za którego go do tej pory mieli.

Przejechali już pół drogi, a Butrym nie powiedział ani słowa. Ludwika też milczała. Miała jeszcze przed oczami bladą twarz Rutkowskiego i swoją rękę całą we krwi.

Dojechali do skrzyżowania z drogą prowadzącą do Szund-Oziera. Na poboczu stał Tadek z węzełkiem w ręku i przestępował z nogi na nogę.

– *Zadierzys'* – poprosiła Butryma.

Staął. Tadek podał matce węzełek i szybko pobiegł do domu, bo strasznie zmarzł, czekając na nią. Przyniósł jej obiad. Była już naprawdę głodna. Rozwiązała

zawiniątko. W dwupiętrowym garnuszku był mucznoy sup z ziemniakami i rosół z kury. wszystko było już zimne i musiała spieszyć, żeby całkiem nie zamarzło. Jadła i spoglądała na Butryma.

– Jedz, jedz, ja nie jestem głodny – powiedział.

Patrzyła na niego, trzymając garnuszek na kolanach. „Nie jest z niego ani niemowa, ani mruk” – myślała.

– Jedz, jedz, bo zamarznie – ponaglał.

Nie udało jej się zjeść wszystkiego. Przy dnie rosół zamarzył zupełnie.

– W domu odgrzeję i zjem – powiedziała jakby na usprawiedliwienie.

Mężczyzna uśmiechnął się, a raczej wykrzywił twarz.

Zrobili jeszcze dwa kursy. Wieczorem po siódmej zajechali pod stajnię. Butrym zabrał konie i wprowadził do środka.

– Do jutra – pożegnała się z Butrymem i powlekła się do baraku.

Weszła bardzo zmęczona i tak jak stała, w fufajce, w butach, rzuciła się na łóżko.

Tadek zdjął jej walonki z nóg, a wilgotne onuce powiesił koło pieca, żeby na jutro wyschły. Razem z Polkiem długo się męczyli, zanim zdjęli z niej fufajkę. Przykryli kocem i czuwali do dziewiątej.

Wieczorem Janka przyniosła kolację.

– Mama musi coś zjeść, bo inaczej zupełnie osłabnie.

Otworzyła oczy. Przy głowie stali Tadek i Polko, przy nogach Halina, Stefan, a w środku Janka z garnkiem w dłoniach. „Jak te dzieci martwią się o mnie” – pomyślała. „Gdyby, nie daj Boże, coś mi się stało, to oni umrą z głodu”. Podniosła się i zaczęła jeść. Zjadła zupę, a potem chłopcy dali jej trzy kromki chleba.

– Aż trzy?

– Tak, udało nam się wycyganic – wyjaśnił Polko i spuścił wzrok.

Jeszcze nie nauczył się kłamać i patrzeć jednocześnie prosto w oczy.

Zjadła wszystkie trzy kawałki i popiła gorącym kipiatakem. Dopiero parę miesięcy później dowiedziała się, że chłopcy oddawali swój chleb.

W baraku nie było zimno. Po kolacji poczuła się znacznie lepiej i przestało zawracać jej się w głowie. Położyła się, Janka przykryła ją pierzyną. Od razu zasnęła.

Niebo tej nocy było wyjątkowo rozgwieżdżone. Noc zapowiadała się mroźniejsza niż zwykle.

Ludwika obudziła się nad ranem. Leżała pod ciepłą pierzyną i nie ruszała się. Udawała, że śpi. „Dzisiaj pewnie sobota” – pomyślała. Otworzyła oczy. Było zupełnie ciemno. Poleżała jeszcze godzinę. Na dworze zaczęło szarzeć. Słychać było jakieś męskie rozmowy. Po chwili otworzyły się drzwi do baraku i do środka z latarką w ręku weszło dwóch mężczyzn. Wraz z nimi przez otwarte drzwi wtargnął siwy mróz i snuł się nisko nad podłogą. Przybyszami okazali się komendant NKWD i brygadzysta Nowak.

– My przyszliśmy wam powiedzieć, że dziś jest czterdzieści trzy stopnie mrozu.

Kto nie chce, nie musi iść do pracy, ale kto pójdzie, dostanie podwójną zapłatę – powiedział Sawin.

Nikt się nie odezwał. Postali chwilę i wyszli. Ludwika biła się z myślami. „Iść czy nie iść. Trzydzieści pięć stopni było wczoraj. Dziś jest czterdzieści trzy, to tylko o siedem stopni więcej. Mam tyle dzieci, przyda się parę rubli”.

Wstała i zaczęła się ubierać.

– Gdzie mama pójdzie na taki mróz? Jeszcze gdzieś zamarnie. Zapomniała mam, co wczoraj było? – martwił się Tadek.

– Nie zapomniałam, ale muszę iść.

Wychodząc, powiedziała: – Niech Janka coś ugotuje z kury, a ty, Polko, przynieś mi ciepłe na krzyżówkę między dwunastą a pierwszą.

– Dobrze.

Ludwika wyszła na dwór. Mróz szczypał jak nigdy. Szybko przeszła szeroki plac i weszła do stajni. Wewnątrz było już kilku wozaków. Po chwili do środka wszedł potężny Ukrainiec Butrym. Wozacy popatrzyli po sobie. Wyglądali przy nich jak krasnoludki. Ludwika spojrzała na nich i nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Oni też spojrzeli na wielkoluda i roześmiali się. Butrym pochodził z małej wioski koło Zołotonoszy nad Dunajem. W 1922 roku Ukraina została anektowana przez ZSRR i stała się Ukrainą Socjalistyczną Republiką Radziecką. Przymusowa kolektywizacja wsi od roku 1929 do 1934 była przyczyną wielkiego głodu wywołanego przez ZSRR, żeby zmusić kraj do uległości. Z tego powodu zmarło z głodu około sześciu milionów Ukraińców. W 1940 roku Ukraina została włączona do ZSRR i wtedy nastąpiły represje i prześladowania ludności. Opornych likwidowano na miejscu. Później władza doszła do wniosku, że można tych ludzi jeszcze wykorzystać. W ramach wielkoduszności władz rodzina Butryma została przymusowo deportowana na roboty w lesie do Szund-Oziera w tajdze.

– Teraz to na pewno nie damy wam rady – odezwał się jeden z woźniców.

– To wszyscy Polacy? – spytał Butrym.

– Tak.

Koniuszy wyprowadził konie. Woźnicy zaprzęgali je do sanek i jeden za drugim odjeżdżali drogą skutą lodem.

Zrobiło się na tyle widno, że można było zobaczyć wcześniejsze sanie. Konie, biegnąc, puszczały z nozdrzy kłęby pary, która osadzała się szronem na sierści wokół pyska. Wyglądało to jak biała broda Dziadka Mroza na Nowy Rok.

Pół godziny później wozy zajęły na plac załadunkowy. Podjechali pod składowisko przodem do wyjazdu, tak jak wczoraj zrobiła to Ludwika. Ułożyli grube drągi w poprzek sań i zaczęli z ogromnym wysiłkiem wciągać ciężkie bale na swoje sanie.

Butrym z Ludwiką na plac wjechali ostatni. Ludwika przyglądała się ładującym i nagle przyszła jej myśl do głowy. Porozmawiała z nawalszczykiem. Ten nic nie

mówił, tylko kiwał głową.

– *Prawilna* – rzekł w końcu.

Zajechali pod załadunek i zeszli z sań. Butrym z Ludwiką wzięli drągi i poszli do pierwszych ładowaczy.

– Chodźcie tutaj wszyscy – powiedziała Ludwika. – Będziemy ładować jedno sanie razem, będzie i szybciej, i lżej.

Wyprostowali przygarbione plecy. Z początku nie rozumieli, ale i do nich coś dotarło. Wzięli drągi i wszyscy przyszli ładować jedno sanie po drugich. Że też nikomu przedtem nie przyszło to głowy!

W ciągu godziny cztery pary sań były gotowe do drogi. Wszyscy byli zadowoleni. Nie dość, że było lżej, to jeszcze załadowali szybciej.

– No, ktoś tu nosi głowę nie od parady – pochwalił jeden z nich i zaraz przedstawił się: – Andrzej Borowski, byłem nauczycielem w Leśnej. – Wyciągnął rękę do Ludwika.

– Wiktor Sosnowski, były leśniczy. – Zaraz podszedł drugi.

– O, trafił pan we właściwe miejsce – zażartowała.

Podchodzili inni: Jaworski, Różycki, Małek, Stępień. Nie zapamiętała wszystkich imion i nazwisk. Czuła się niezręcznie. Wyglądało to trochę komicznie. Żeby tu, w środku tajgi, silili się na etykietę.

– Komu w drogę, temu czas – odezwała się Ludwika, chcąc skrócić te ceregiele.

– Co racja, to racja – zgodził się Borkowski.

Wsiedli do sań i ruszyli z ładunkiem nad rzekę. Czasami schodzili i szli obok, żeby się ogrzać. Po godzinie zajechali na plac rozładunkowy. Ludwika podjechała końmi na miejsce rozładunku, a oni w try miga zwałali drzewo. Było o wiele szybciej i, co ważniejsze, wszystkim było lżej.

– Razem jest lżej, a po drugie co dwie głowy, to nie jedna – stwierdził Sosnowski.

– Co osiem – poprawiła go Ludwika. – Szkoda, że wczoraj nie przyszedł mi ten pomysł do głowy, to Rutkowski by tak nie cierpiał.

– *Żałka* – Butrym rozłożył ręce.

Na plac załadunkowy wracali wcześniej, bo szybciej uporali się z rozładunkiem. Butrym przez całą drogę nic nie mówił.

– Z panem to chyba nie pogadam.

Odwrocił głowę, otworzył usta i zaraz zamknął je i znowu jechali w milczeniu. „Dzikus jakiś czy co?”

Zajechali na plac załadunkowy. Ludwika wzięła drąg do ręki i podeszła do sań.

– Ty, kobieto, odejdz stąd, bo tu przy jednych saniach jest za ciasno. Jeszcze ten wielkolud mógłby ci nadepnąć na ucho – zażartował Małek.

– Powiedział, co wiedział – odrzekła niby gniewnie.

– *Nie sierdis'* – odezwał się wreszcie Butrym. – On chce dla ciebie dobrze.

– To zamarznę, jak tak będę stała beczynnienie.

– To podjeżdżaj końmi, będzie ci cieplej.

Załadowali szybko i po godzinie znowu byli na placu rozładunkowym.

Teraz wracali po trzeci kurs. Dojechali do skrzyżowania. Na drodze Ludwika zobaczyła syna, który niósł jej obiad. On też zauważył sanie. Zaczął biec. Zmęczony i zdyszany, dobiegł do nich i tuz przy saniach pośliznął się i upadł. Garnek z zupą z brzękiem upadł na drogę. Zupa wylała się i prawie natychmiast zamarzła. Nawet kawałka mięsa nie udało wyrwać się z lodu. Polko szybko podniósł się, spojrzał na zamrażniętą zupę. Do oczu nabiegły mu łzy. Po chwili rozplakał się. Matka zeszła z sań i przytuliła go do siebie.

– Nie płacz, każdemu może to się zdarzyć. A jak płaczesz, to mnie jest smutno.

– Ale mama będzie głodna.

– Jakoś wytrzymam te parę godzin. Ale wiesz, jakoś sobie z tym poradzimy.

Zobacz.

Chwyliła siekierę i zaczęła wyrąbywać zupę z lodu, a następnie wkładać do garnka.

– Ale tu jest dużo lodu.

– To dobrze, jak podgrzejemy, to będziemy mieli więcej zupy – próbowała obrócić to w żart.

Spojrzeni na siebie zażawionymi oczami.

– Zabieraj tę lodową zupę i zmiataj do domu, zanim sam nie zamienisz się w lód.

– A mama?

– No leć już, ja dam sobie radę.

Polko zabrał garnek i pognał do baraku ile miał sił w nogach.

Ludwika siadła do sań i pojechali po następny transport. Po drodze Butrym nie odzywał się. Spoglądał na nią od czasu do czasu i coś ważył w myślach. Wsadził rękę za pazuchę i wyciągnął zawiniątko w płótnie. Rozwinął i podał Ludwice dwie kromki chleba ze smalcem. Była zaskoczona. Wzięła i podziękowała. Zanim dojechali na plac, zjedli wszystko.

Zrobili jeszcze dwa kursy i o dwie godziny wcześniej wrócili do obozu. Stajenny był nieco zdziwiony. Odebrał konie bez słowa. Ludwika i Butrym odeszli do domu. Kiedy się rozchodzili, powiedziała jeszcze:

– Spasiba za wsio.

Weszła do baraku. Lampa zawieszona w drzwiach zamigotała, kiedy otwierała drzwi. Skulona Halina pierwsza zobaczyła wchodzącą.

– Mama! – Podbiegła i przytuliła się do niej.

Matka wzięła ją za rękę i poszły obie do swojego kąta.

– Że też ona swojego zdrowia nie szanuje. Kto to widział, żeby w taki mróz iść do pracy – rozmawiały ze sobą kobiety. Tadek podzielał ich zdanie i rano odradzał matce wychodzenie na mróz. Ale skoro wróciła i czuje się dobrze, to nie ma o czym

mówić.

Ludwika rozebrała się z roboczego ubrania, umyła ręce i twarz w wiadrze i położyła się, żeby odpocząć. Próbowała się zdrzemnąć, ale nie mogła. Ssała ją w żołądku z głodu. Usiadła.

– Tadek, idź do kuchni i przynieś kolację.

– A Polko nie może? – targował się.

– Psiakrew, sama pójdę – zdenerwowała się.

Tadek wiedział, że to nie przelewki. Wziął naczynia i szybko wybiegł z baraku. Po piętnastu minutach wrócił. Przyniósł, jak zwykle, mucznej sup, po kromce razowego chleba i kiptatok. Ludwika roztopiła i zagrzała w piecu rosół z kury. Ponalewała do misek i zaczęli jeść.

– A gdzie Janka? – Dopiero zauważyła, że jej nie ma na kolacji.

– Poszła z ruskim do Bierieznika na tańce.

– Co! To ja tu na pysk padam, żeby było co jeść, a jej tańce w głowie!

Czterdziestostopniowy mróz trzymał jeszcze przez tydzień. Ludwika zdążyła się przyzwyczaić do srogich warunków.

Którejś niedzieli Ludwika napisała list do matki i do brata, Cześka Grymma. Prosiła w nich o żywność, ale taką, która nie zepsułaby się, gdyby paczka szła długo.

Nawet Stefan napisał do kuzynki Teresy: „Droga Tereso, przyślij chleba, bo jestem głodny”.

O wiele trudniejsze warunki pracy niż wozacy mieli drwale. Najpierw musieli dojść do drzewa, nieraz po pachy w śniegu, a potem stawali w rozkroku i na wysokości bioder piłowali drzewo piłką kanadyjką z jednostronnym uchwytem. Była to doskonała piła, która wchodziła w drzewo jak w masło. Miała tylko jedną wadę: nie chciała sama piłować. Do ścinania drzew tworzone były trzyosobowe brygady, „Szepeni”: pilarz, który ścinał drzewo, i jego dwaj pomocnicy, którzy obcinali konary i gałęzie. Mierzylili długość drzewa i obcinali wierzchołek. We wszystkich brygadach drzewo musiało mieć jednakową długość. Następnie pomocnicy porządkowali teren, przygotowując drzewo do zrywki. W tym czasie pilarz zabierał się za drugie drzewo. Musiał się spieszyć, w ciągu dnia powinien ściąć dwadzieścia drzew. W tym pośpiechu często dochodziło do wypadków. Jeszcze pomocnicy nie uporali się z jednym drzewem, a już drugie leciało z trzaskiem. Nie zawsze upadało tam, gdzie pilarz zaplanował. Czasami wiatr zmieniał kierunek upadku i drzewo przygniatało robotników. Rzadko wychodzili z tego żywi, a jeżeli już, to zostawali kalekami na zawsze. Jeżeli brygada nie wykonała normy, potracano im pieniądze przy wypłacie. Z trudem pozostałe pieniądze wystarczały na mucznej sup i kiptatok dla całej rodziny. I tak z dnia na dzień niedożywieni robotnicy byli coraz słabsi, aż w końcu nie mieli już siły pracować. Z początki sprzedawali miejscowym za grosze resztki swojego dobytku. Próbowali czasami ratować się łapaniem psów i kotów, których czasem w okolicy już nie można było znaleźć. Zdarzało się, że ze strachu przed głodem kradli

kurę lub kozę miejscowym, zresztą też ubogim ludziom. Dochodziło wtedy do zbiorowych pobić, nawet linczów. Ludzie głodni byli coraz bardziej słabi i następowało nieuniknione: powolna głodowa śmierć całych rodzin. Pawłowski, Stępień i Rabczak stworzyli nową brygadę, zastępując tych, którzy pracowali wcześniej.

Brygada Czerniaka przyszła rano do pracy. Odgarnęli śnieg od drzewa. Antoni zdjął fufajkę, choć było 40 stopni mrozu. Wziął kanadyjkę do ręki, przygarbił się, stanął w rozkroku i zaczął piłować. Piłował tak długo, aż zrobiło mu się gorąco. Drzewo zatrzeszczało, pochyliło się i z trzaskiem wpadło na śnieg, wzniesając tumany białego pyłu.

– Daj, ja spróbuję – zwrócił się Rabczak do Antoniego.

– Masz, spróbuj. – Podał mu piłkę.

Był zadowolony, że ktoś go wyręczy. Michał wziął piłkę do ręki. Antoni i Pawłowski przyglądali się jego pracy.

– Zdejmij fufajkę, bo się spocisz i przeziębisz – radził Antoni.

Michał posłusznie zdjął fufajkę. Rozkraczył się, plunął w dłonie i znowu zabrał się do piłowania. Po dwudziestu minutach drzewo pochyliło się i runęło na stojący obok świerk, który zgarbił się od tego ciężaru. Wszyscy trzej stali i patrzyli w górę na wiszące drzewo. – Trzeba odciąć od pnia, może wtedy spadnie.

Michał chwycił siekierę i stanął z Pawłowskim za jego plecami. Zamachnął się, uderzył raz, drugi, trzeci i uwolnione drzewo gwałtownie cofnęło się, pchane prostującym się świerkiem w stronę, gdzie stali koledzy z brygady. Uderzenie było tak mocne, że wszyscy trzej zostali zmiażdżeni. Działo się to tak szybko, że nikt nie zdążył nawet krzyknąć, a co dopiero odskoczyć.

Wypadki takie zdarzały się nawet tym, którzy w lesie pracowali zawodowo. Ci o aksamitnych dłoniach, przywiezieni z łapanki, wykruszali się szybko, zasilali szeregi tych, którym nie tak dawno zapalali świece na grobach. Tu byli chowani jak zwierzęta, bliscy nie wiedzieli, gdzie szukać ich grobów. Zresztą i oni umierali szybko, pozbawieni jedynego żywiciela.

Praca przy zrywce może była lżejsza od innych prac w lesie, ponieważ prawie całą pracę wykonywał koń. Zrywacz tylko nimi kierował i od niego zależało, czy ściąganie kłoców ze zrębu będzie przebiegało sprawnie. Zrywacz musiał przewidzieć, jak zachowa się kloc ciągnięty z góry, między pniakami, po lodzie albo po pochyłym zboczu. Zbyt ostry skręt mógł zablokować kloc, który utknie między drzewami. Wtedy trzeba było wielokrotnie przepręgać konia z przodu do tyłu i odwrotnie, i to nie zawsze pomagało, a czas uciekał.

Wesołowski wracał po następny kloc i zobaczył Andrzeja, który zmagął się z zaklinowanym klocem. Podjechał koniem bliżej.

– Zablokował się – rzucił lakonicznie.

Andrzej, spocony, spojrzął na kolegę.

– Cholera – zaklął. – Zjechał sam, widocznie pod śniegiem jest lód, bo i koń siada na zad.

– Pomogę ci.

Obeszli obaj zaklinowany kloc.

– Żeby tylko przeciągnąć konie za ten pieniek, to na pewno ruszy. – Wskazał ręką.

Andrzej podprowadził kona do konia Wesołowskiego. Przełożył stalową linkę pod klocem, zrobił pętlę i założył do orczyka. Obaj chwycili lejce.

– Trochę w lewo – powiedział Andrzej.

Konie zrobiły dwa kroki w lewo i naprężyły linki.

– No, razem, wio! – krzyknęli jednocześnie.

Konie szarpnęły, kloc przesunął się o dwa metry do przodu, ale końcówka trzymała jeszcze mocno.

Uspokoili konie, które zaczęły się denerwować.

– No, spróbujmy jeszcze raz.

Konie drżały z wysiłku, przestępowały z nogi na nogę.

– Wio! Wio! – krzyczeli obaj.

Konie szarpnęły mocno. Kloc wymknął się z żelaznego uścisku i sunął po pochyłym zboczku. Uderzył w pniak i zmienił kierunek. Andrzej nie zdążył odskoczyć. Kloc przejechał po nim, a potem uderzył w konia. Koń upadł. Próbował wstać, nie mógł. Miał złamane dwie nogi.

Kloc pędził dalej. Zatrzymał się na grubym pniaku, którego omal nie wyrwał z korzeniami. Wesołowski podbiegł do Andrzeja, który został wtłoczony w śnieg.

– Andrzej! Andrzej! – krzyczał.

Jego krzyk porwał wiatr i rozniósł po lesie. Wesołowski trzymał Andrzeja w ramionach.

Andrzej otworzył oczy.

– Teresa – wymówił imię żony.

Z ust popłynęła mu strużka krwi. Westchnął głęboko i skonał.

Ktoś siadł wierzchem na konia i popędził do Szund-Oziera, żeby zawiadomić o wypadku. Po godzinie przyjechał komendant obozu, Sawin. Przyszedł na miejsce wypadku i podszedł do konia.

– Tutaj! Tutaj! Człowiek nie żyje! – wołali do niego robotnicy.

Spojrzał obojętnie w tym kierunku.

– Co tam człowiek, u nas ludzi dużo, konia żal.

Przyglądał się cierpiącemu zwierzęciu. Wyjął nagan z kabury, przyłożył broń do łba. Huknął strzał, jeden, drugi, trzeci. Przy każdym strzale koń drżał, przy czwartym zastygł w bezruchu. Komendant, już nie oglądając się na nikogo, siadł na konia i odjechał.

Pracownicy leśni, którzy przybiegli na miejsce wypadku, rzucili się na konia jak

hieny. Nawet Wesołowski zostawił Andrzeja w śniegu, sam przybiegł, żeby dla żony kolegi i dla siebie zdobyć trochę mięsa.

Ludwika i Butrym usłyszeli hałas w lesie. Podjechali, żeby zobaczyć, co się stało, może trzeba będzie komuś pomóc. Zobaczyli nieżywe zwierzę.

Butrym zsiadł z sań, chwycił za siekierę i podszedł do konia. Jeden bok był już prawie rozebrany. Wziął konia za tylną nogę i odwrócił na drugi bok. Rąbał świeże, jeszcze drgające ciało i rzucił Ludwice, która te kawałki zanosila na sanie.

– *Chwatit*, niech inni też trochę wezmą – powiedział i wsiedli na sanie.

Wiadomość o padłym koniu rozeszła się lotem błyskawicy do obozu. Ludzie wylegli z baraków. Droga do lasu zaroila się. Każdy biegł z nadzieją, że może uda mu się zdobyć coś do jedzenia i zaspokoić głód. Słabsi nie nadążali za tłumem w tym biegu po życie. Pierwsi już dopadli zwierzę. Rwali resztki, obsiedli konia jak mrówki owada, który nieopacznie znalazł się zbyt blisko mrowiska.

Ci, którzy nie mieli dostępu do padłej zwierzyny, stali i patrzyli bezradnie i z żalem, że uciekła im może jedyna okazja, żeby ocalić życie chociaż na jakiś czas.

Niektórzy odwrócili się i szli z powrotem do obozu, ciągnąc nogę za nogą. Dla nich ta droga była zbyt dużym wysiłkiem. Reszta podążała za nimi. Tworzyli kondukt, który zmierzał ku swojemu przeznaczeniu.

Z każdym kwadransiem ludzi ubywało i po godzinie na miejscu tragedii nie było już nikogo.

Po szarym dniu wieczór zapadł szybko, po nim przyszła noc. Syci poszli spać i zasnęli natychmiast. Głodni przewracali się z boku na bok. Gdy w końcu zasnęli, spali niespokojnie z nieodłącznym głodem.

Około północy można było usłyszeć wycie wilków. Widocznie zwietrzyły krew i szły na ucztę. Niewiele zostało, bo nawet kości pozbierali ludzie, którzy tutaj, w tundrze, stawali się wilkami. Jeszcze jakiś czas z miejsca zdarzenia dochodził skowyt, a potem wszystko ucichło.

Rozdział XII

Zimowe tygodnie miały wolno. Zapracowani ludzie nie spostrzegli nawet, że któregoś przedpołudnia rąbek słońca ukazał się nisko nad mglistym horyzontem. Wychynał na chwilę, dając jaskrawą poświatę, i zaraz schował się, jakby bawił się z ludźmi w chowanego.

Mróz w marcu nieco zelżał. Nawet nabrzmiały na dachu śnieg czasami miękł i robił się szary.

Niedożywieni i przepracowani słabli w oczach. Bez szemrania przenosili się do lepszego świata. Nie było nawet komu zapalić świec, bo wywożono ich nie wiadomo gdzie. Czasami tylko lament kobiet i dzieci mówił, że odszedł od nich ktoś najdroższy.

Na miejsce tych, co odeszli, przywożono nowych, eleganckich, z zegarkami na rękach. Butni, wysoko nosili głowy i nie zadawali się z hołotą. Kiedy zderzyli się z rzeczywistością, szeroko otwierali oczy, spuszczały głowy, pokornieli. Po jakimś czasie stawali się podobni do tych, którzy przybyli tu wcześniej, z tą różnicą, że starzy zażyli tu więcej biedy i wygnietli więcej wszy.

Ludwika wstała rano. Nie zakładała już do pracy fufajki ani walonków, bo marzec był cieplejszy od lutego. Mrozy były zaledwie od 10 do 20 stopni. Zdjęła z gwoźdźcia grubą spódnicę, którą wczoraj powiesiła przy piecu. Była wilgotna i ciężka. Półbuty skórzane, przywiezione ze Złotowa, też niezupełnie wyschły. Ktoś, kto opiekował się piecem, nie dopilnował ognia albo nie miał już siły.

Wzięła spódnicę do ręki, jakby ważyła ją, chwilę się wahała, po czym włożyła ją na biodra. Nogi okręciła suchymi onucami z flaneli i z trudem wcisnęła je do butów. Wychodząc, w progu założyła kurtkę, otworzyła drzwi i wyszła na dwór.

Ze wszystkich baraków wychodzili ludzie. Dzwon wzywający do pracy jeszcze brzmiał, kiedy wchodziła do stajni. Ciepły strumień powietrza z końskim potem i gnojem uderzył ją w twarz. Mężczyźni stali na korytarzu, rozmawiali i palili skręty. Śmierzący dym z machorki mieszał się z odorem stajni, dusił i pobudzał do kaszlu.

Butrym stał z boku oparty o ścianę i milczał. Czuł się wśród nich obco. Wyczuwał jakimś zmysłem może nie wrogość, ale dobrze skrywaną niechęć. Był wykształconym Ukraińcem. Jego ojciec obszarnek – kułak, jak go później nazywali Rosjanie, dołożył starań, żeby syn wyszedł na ludzi. Ukończył uniwersytet w Kijowie na wydziale historycznym. O stosunkach polsko-ukraińskich wiedział więcej niż inni. Dla obu stron były one bolesne. Krwawe. W stosunkach tych często górę brał nacjonalizm, a nawet szowinizm. Umiejętne podsycane przez wielkiego sąsiada, znajdowały posłuch u wojowniczych watażków. Taka polityka prowadziła do nienawiści i wyniszczania obojga narodów. „Gdyby Polacy i Ukraińcy potrafili się

dogadać, nie byłoby tutaj ani mnie, ani ich” – myślał Butrym. Na widok Ludwika ucieszył się. „Choć jedna wśród nich przyjazna dusza”.

– Dzień dobry – przywitała się.

„Jaki on dobry” – pomyślał.

– Dobry dzień – odpowiedział jednak.

Nie zdążyli zamienić ze sobą słowa, bo koniuszy przyprowadził konie. Odebrali je, wyprowadzili na dwór i zaprzęgli do sanek. Czekali, aż wszystkie cztery zaprzęgi będą gotowe. Nie czekali długo. Ruszyli.

Dzień nie był mroźny – było 10 stopni mrozu. Jak zwykle wozili drzewo z lasu na składowisko. W południe, jak co dzień, Polko czekał na krzyżówce z obiadem dla matki. Wrócił już ze szkoły. Mówił, że marnuje czas w tej szkole, ponieważ wszystkie dzieci chodziły do tej samej klasy. Uczyli się cyrylicy – alfabetu pochodzenia greckiego, używanego przez wschodnich i niektórych południowych Słowian. Polko był zdolnym uczniem, ale tutaj stał się uparty i krnąbrny. Choć z grubsza znał język rosyjski, nie chciał go używać, nawet w szkole. To denerwowało nauczycielkę. Wreszcie poszła na skargę na niego do komendanta obozu, Sarina. Z tego powodu Ludwika miała wiele nieprzyjemności.

Wezwał któregoś dnia Ludwikę do siebie.

– Twój syn źle zachowuje się w szkole. – Był zdenerwowany, bo zaczął chodzić po posterunku. Wreszcie stanął przed nią. – Jeśli ty nie dasz sobie z nim rady, wyślę go do specjalnej szkoły dla trudnej młodzieży, do Archangielska, i już go więcej nie zobaczysz – zagroził.

Wyszła od niego spocona, jakby ktoś wylał na nią wiadro wody.

Był wieczór. Tego dnia wozacy zaczęli ładować sanie po raz czwarty. Na plac załadunkowy podjechała mała ciężarówka. Wszedł z niej kierowca w mundurze z kartką w ręce.

– Czy jest tutaj Ludwika Wasilewska?

– Jestem. – Kobieta podeszła niepewnie do samochodu.

– Nu siadaj, bo nie mam czasu, muszę jeszcze dwie znaleźć.

Ludwika ociągała się.

– Nu, dawaj, szybciej, co ty chcesz, żeby ja cię sam zaniósł? – niecierpliwił się kierowca.

Ludwika z duszą na ramieniu wsiadła do auta. Kierowca zapalił silnik i ruszył. Wozacy z przestachem i konsternacją patrzyli za odjeżdżającymi.

– Za co ją aresztowali? – pytał jeden przez drugiego. Zaczęli snuć różne domysły.

– Może powiedziała nie to, co trzeba – zgadywał Borowski. – Ma cięty język, nie każdemu to się podoba

– A co to ma jedno do drugiego, to musi być grubsza sprawa – zastanawiał się Sosnowski.

– *Żałka* tego słuchać – zakończył dyskurs Butrym, wziął konie za lejce i odjechał.

Tymczasem samochód tłukł się po bezdrożach. Zajechał przez zamarznięte jezioro do Ustwainga. Kierowca zabrał stamtąd dwie kobiety, wcisnął do szoferki i trzęsącym się potwornie autem zawiózł do Bierieznika. Podjechał pod okazały budynek.

– Wsiadajcie – powiedział z ulgą.

Wsiadły z ciasnej szoferki i stanęły przed barakiem.

– Krasnyj Ugałok – przeczytała jedna.

– Przywieźli nas do świetlicy? – dziwiła się Ludwika, spodziewała się zupełnie czegoś innego.

Drzwi baraku otworzyły się i stanął w nich NKWD-zista w randze majora. Zobaczył kobiety.

– Nu wchodźcie, *pazałsta* – zapraszał ze skąpym uśmiechem na ustach.

Niepewnie stawiały nogi na drewnianych schodach. Zauważył ich wahanie.

– Proszę bardzo – wysilił się na polski.

Kobiety przechodziły koło niego, Ludwika ostatnia. Spojrzał na nią jakoś dziwnie, ale się nie odezwał. Weszły do środka. Wewnątrz było bardzo ciepło. Na sali na ławach siedziały same kobiety. Przed nimi na podium siedziało paru notabli w mundurach. Jeden z nich przemawiał. Ludwika stała na końcu i próbowała słuchać przemówienia. Trwało to dość długo. Mówił coś o święcie kobiet, że cały świat... Czytał z kartki. Zaczęło robić jej się niedobrze, myślała, że zwymiotuje. Wydawało jej się, że mówca gdzieś odpływa na palcach i robi się coraz mniejszy. Zaczęło szumieć jej w głowie. Ktoś wręczył jej kwiatek, czerwony goździk.

Na sali usuwano ławki i ustawiano pod ścianą. Siadały na nim miejscowe kobiety i rozmawiały głośno. Na podium pojawił się grajek z harmoszką i zaczął grać.

Ludwika stała na środku sali, ociekając wodą. Naokoło niej zrobiła się kałuża. Była cała mokra, a i w butach też była woda. Podeszedł do niej NKWD-zista. Czuć było od niego alkohol.

– Skąd wy?

Trochę oprzytomniała.

– Z Szund-Oziera.

– A czemu ty na wasze święto przyszłaś tak ubrana?

– Święto? – zdziwiła się. – Wzięli mnie prosto z lasu. Myślałam, że mnie aresztowali.

– Za co?

– Nie wiem.

– Och, ten Sawin, już ja mu powiem do słuchu.

Harmonista zagrał jakąś skoczną melodię.

– Zatańczysz? – Nie czekając na pozwolenie, wziął ją w objęcia i zaczął obracać

wokoło i przytupywać, aż drzazgi leciały z podłogi.

Ludwika czuła, jak w butach chlupie jej woda. Zrobiło jej się gorąco i brakło tchu. Zaczęła tracić przytomność. Osunęła się z jego ramion na podłogę.

– *Smatritie, kakaja gariaczaja* – wołały tańczące kobiety, śmiejąc się na cały głos.

Partner wziął ją na rękę, zaniósł pod ścianę i posadził na ławce.

– Durny Sawin – powtórzył kilka razy.

Kobiety przyglądały się tej scenie z ciekawością.

– Och, jakbym ja chciała, żeby on mnie tak nosił na rękach – gdakała jakaś gruba Rosjanka.

– A kto by ciebie udźwignął! – śmiały się koleżanki.

– O, patrzcie, sama gruba jak bela, a z drugiego się śmieje.

– Durne baby – mruzczał NKWD-zista stojący przy Ludwice.

Po chwili Ludwika otworzyła oczy.

– Nu, jak ci, lepiej?

– Lepiej. – Nabrała powietrze w płuca.

– Ile ty masz dzieci? – zapytał znienacka.

„Co go obchodzą moje dzieci?” – pomyślała.

– Pięcioro.

– Masz pieniądze przy sobie?

– Nie, a kto by brał pieniądze do lasu?

– Nu tak, prawda, szkoda. Tu jest bufet, mogłabyś dzieciom cukierków kupić.

Postał jeszcze chwilę przy niej.

– Nu, jak się dobrze czujesz, to ja już pójdę.

– A kto mnie odwiezie do Szund-Oziera? Cała jestem mokra, a na dworze mróz.

– Tu do was jest niedaleko, tylko cztery kilometry, sama zajdziesz – odparł i odszedł.

– Cham – powiedziała głośno. „Po co oni mnie tutaj ciągnęli? Może i niedaleko, gdybym miała suche ubranie, ale jestem cała mokra”.

Przyglądała się kwiatkowi, który ktoś jej wręczył na Dzień Kobiet. Tani żart. To tak ma wyglądać jej święto? „Niech ich szlag!”

Na zabawę z okazji święta kobiet przyszło sporo mężczyzn. Przynieśli ze sobą butelki z samogonem. Stali przy drzwiach i pili prosto z butelki, zagryzając słoninę. Po każdej wypitej butelce stawali się coraz bardziej weseli i odważni. Przytupywali w takt muzyki, a potem z wielkim animuszem ruszali do tańca.

Ludwika zdjęła mokrą kapotę i podeszła do pieca, żeby ją trochę podsuszyć. Po godzinie wyszła na tyle, że mogła ją włożyć na siebie. Przed wyjściem jeszcze raz popatrzyła na rozbawiony tłum. Kobiety piszczały, jak im mężczyźni wkładali ręce pod spódnice. „Ohyda, jak łatwo może człowiek stać się zwierzęciem” – pomyślała.

Szła w kierunku drzwi, pośród tańczących. Potrącana ze wszystkich stron,

zataczała się jak pijana to w jedną, to w drugą stronę. Poczula nieprzyjemny zapach alkoholu wymieszany z potem rozgrzanych ciał kobiet. Zaczęła się modlić. Doszła do drzwi, otworzyła je i wyszła na zewnątrz. Na twarzy poczuła chłodny oddech nocy. Spojrzała do góry. Rozgwieżdżone niebo mrugało do niej milionami gwiazd. „Tam mieszka Bóg” – pomyślała. „Tylko dlaczego jest dla mnie taki okrutny?” Podniosła do góry czerwony goździk, jakby chciała Mu go ofiarować. Z zimna wtuliła głowę w ramiona i pobiegła w kierunku Szund-Oziera, do dzieci. Śnieg skrzypiał pod butami.

Mroźne powietrze łapane przez otwarte usta kłuło w piersi i osadzało szadź na kołnierzu kapoty. Goniły ją jeszcze przez jakiś czas dźwięki harmoszek i chichoty kobiet, ale i one powoli zamilkły i tylko szum wiatru w uszach grał swoją muzykę. A Ludwika biegła, biegła, biegła... W połowie drogi spódnica zrobiła się sztywna i uderzała ją boleśnie po łydkach. Czuła, że zaczyna tracić siły. Nogi zrobiły jej się jak z drewna, stawiała je sztywno, jak ktoś, kto pierwszy raz wyszedł na lód. Do domu było już niedaleko. Dla niej te trzysta metrów wydawało się nieosiągalne. Nagle zobaczyła jak za mgłą sylwetkę wysokiego mężczyzny. Myślała, że śni. On też ją zauważył i poznał. Podbiegł, a ona usłyszała swoje imię i zemdlła. Wziął ją na ręce jak dziecko, przytuliwszy mocno do siebie. Chciał, aby ta chwila trwała wiecznie. Otworzył drzwi domu i wniósł do środka. W bladym świetle lampki zobaczyła ich Halina. Podbiegła i rozplakała się. Stefan zeskoczył z łóżka, potem Tadek i Polko. Janina już spała.

– Gdzie ją położyć? – zapytał Butrym.

– Tu, na dole. – Wskazał Tadzik.

Butrym schylił się i delikatnie położył Ludwikę na łóżku. W tak nieoczekiwany sposób poznał jej rodzinę. Wyszedł z baraku i otarł łzę. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz płakał.

Chłopcy stali przy matce i nie wiedzieli, co mają robić. Spódnica sterczała jak otwarta parasolka.

– Zdejmij jej buty – poprosił Polko Tadzika.

Tadek próbował rozsznurować obuwie. Łatwo powiedzieć, ale wszystko jest sztywne. Po jakimś czasie spódnica opadła, a była tak mokra, że można było ją wyźymać. Tadekowi udało się zdjąć buty z nóg. Były czerwone jak raki.

– Trzeba zaraz ją rozebrać. – Tadek stał przy matce niezdecydowany. – Musimy obudzić Jankę. – Zaczął ja szarpać.

Dziewczyna ziewnęła i przeciągnęła się.

– Mamę trzeba przebrać, jest cała mokra.

– A gdzie ona była? – Wstała i podeszła do matki.

Chłopcy weszli na swoje łóżko i odwrócili się plecami. Janka próbowała zdjąć z matki odzienie.

– Ja ci pomogę, dziecko – zaoferowała sąsiadka.

Zaczęły rozbierać Ludwikę. Zdjęły mokrą spódnicę i założyły suchą. Później zdięły kapotę.

– A co ona ma w ręce?

– Goździk.

– Czarny? Dostała od kogoś? – zaciekawiała się. – Był czerwony, ale zamarzył na mrozie.

– Fiu, fiu! Patrzcie państwo, kto by pomyślał – rzekła z sarkazmem i zaczęła, szarpiąc, zdejmować z niej ubranie. „Czyżby matce trafił się flirt?” – pomyślała. Nie mogła w to uwierzyć.

Przebraną matkę Janina opatuliła pierzyną i siedziała przy niej jakiś czas. Cała rodzina otoczyła ją wianuszkami i czekali nie wiadomo na co. Po pewnym czasie matka otworzyła oczy.

– Gdzie ja jestem?

– W domu – odpowiedział Tadek.

– Pić – poprosiła, drżąc na całym ciele.

– Leć, Polko, do kuchni i przynieś kipiaterka.

Polko nie ościagał się i wybiegł z baraku. Po chwili wrócił, podał matce wrzątek.

Jakaś litościwa kobieta podarowała Jance słoik z sokiem malinowym, ostatni.

– Weź, bo jak zemrze, to wy poumieracie zaraz za nią.

Janka dopiero po tych słowach zrozumiała, jak ważna w ich życiu jest matka. Zrobiła malinową herbatę i podała jej do wypicia. Ludwika piła łapczywie. Zachłystnęła się. Kaszłała i kaszłała, a potem znów piła, aż do końca. Zaraz potem zasnęła.

Nie obudziła się rano, gdy dzwon wzywał do roboty. Tadek wstał, ubrał się i wyszedł z baraku. Poszedł do stajni za mamę do pracy. Kiedy wszedł do środka, zobaczył mężczyznę, który przyniósł wczoraj matkę.

– Nu, i jak matka? – zapytał Butrym z troską.

– Śpi cały czas, nie obudziła się – odpowiedział smutno. – Ja chciałbym pracować za nią.

– A ile ty masz lat?

– Piętnaście.

– Chodź, chłopcze, będziesz pracował ze mną.

Koniuszy wyprowadził konie.

Czwartego dnia Ludwika obudziła się rano. Słyszała dzwon wzywający do pracy. Chciała wstać i uniosła się na łokciach, lecz zaraz opadła z powrotem na poduszkę. Była bardzo słaba. Tadek zauważył wysiłki matki, wstał, ubrał się i pochylił nad nią.

– Niech mam leżeć spokojnie i odpoczywa. Ja chodzę za mamę do roboty. Janka, wstawaj! Zrób mamie rosół z kury na śniadanie, to ją wzmocni i nabierze sił. A ty, Polko, przynieś mi obiad na krzyżówkę – wydawał polecenia jak dojrzały mężczyzna, jak głowa rodziny. – No, to ja już lecę.

Kryzys minął i po paru dniach Ludwika wstała. Była jeszcze słaba, ale z każdym dniem coraz pewniej stawiała kroki.

– Oj, ty kochanieńka – mówiła kobieta, która podarowała jej słoik malin. – Żebyś ty widziała, jak Halina i Stefan siedzieli przy tobie przez trzy dni na podłodze i czekali, kiedy ty, kochanieńka, otworzysz oczy! Aż żal było patrzeć – relacjonowała ze śpiewnym kresowym akcentem. – Tym razem Bóg był łaskawy. Ale wiesz co? Ja sama się cieszę, że udało ci się uciec grabarzowi spod łopaty.

– Dziękuję za dobre słowo i pomoc. Może kiedyś ja będę mogła pomóc tobie – powiedziała ze ściśniętym gardłem.

– Nie mów takich rzeczy, bo i ja się zaraz rozpłaczę.

Jadzia, bo tak miała na imię rozmówczyni, roześmiała się głośno. Ludwika w uśmiechu ledwie wykrzywiła usta. Ale potrzebne jej były słowa pocieszenia.

Każdego dnia przybywało jej sił. Dnie robiły się coraz dłuższe i słońce coraz dłużej gościło na niebie. W ludzi wstępowała nadzieja, że latem będzie lżej.

Po miesiącu choroby Ludwika znowu poszła do pracy. Jeszcze nie odzyskała zupełnie sił, ale miała nadzieję, że wkrótce wróci, kiedyowieje ją wiatr. Weszła do stajni.

– Dzień dobry – przywitała się.

– Dzień dobry – odpowiedzieli mężczyźni.

– Dzień dobry. – Uśmiechnął się przyjaźnie Butrym.

Pierwszy maj w Szund-Oziero przeszedł z deszczem. Było to wielkie sowieckie święto. Ktoś na barakach wywiesił czerwone flagi, które mokły na deszczu i, puszczając farbę, barwiły topniejący śnieg. Przed południem NKWD popędziło ludzi do Bierieznika na akademię. Potem miały być występny rodzimego kółka teatralnego, a na zakończenie tańce do białego rana. W tym świątecznym dniu klasy robotniczej można było nawet kupić konfetti. Ludwika nie poszła na uroczystości, miała nieprzyjemne doświadczenia związane z tym miejscem. Ale za to godnie zastąpiła ją Janka. Na drugi dzień miejscowe kobiety rozmawiały między sobą:

– Widziałyście, jak ta Polka śpiewa i tańczy?

– Żadna z naszych dziewcząt tak nie potrafi.

– Nawet mąż Jekateriny nie mógł od niej oderwać oczu – próbowała dokuczyć sąsiadce, patrząc na nią wymownie. W powszechnej opinii ów mąż uchodził za lubiącego towarzystwo kobiet.

– Przynajmniej jest mężczyzną, a nie tak jak wasze muły – odcięła się Jekaterina.

W połowie maja śnieg zaczął tajać na dobre. Trzaski pękającego lodu na Dwinie niosły się daleko. Wreszcie rzeka ruszyła. Najpierw powoli i majestatycznie sunęła wzdłuż brzegów. W tym ciągłym ruchu pękały na drobne kawałki kry, którym gdzieś się spieszyło. Wpadały jedne na drugie, ustawiały się w poprzek i na rzece robił się wysoki zator, nieraz sięgający piątego piętra. Woda występowała z brzegów i zalewała okolicę na dziesiątki kilometrów wzdłuż i wszerz rzeki. Ludzie tracili

domy i skromny dobytek.

Po koniec maja śnieg stał zupełnie. Ludzie chodzili jeszcze do lasu, ale nie rąbali i nie wozili drzewa. Lada dzień zacznie się wegetacja – rośliny obudzą się do nowego życia. Porządkowali las, który w zimie zostawili w nieładzie. Na opał wykorzystywali wierzchołki drzew i grube konary, a gałęzie palili na miejscu, dopóki w lesie było mokro.

Tego dnia Ludwika wróciła późno z pracy. Nie zdążyła jeszcze się przebrać, gdy do baraku wszedł „umysłny”.

– Masz natychmiast stawić się u komandira na NKWD – zakomunikował i wyszedł w pośpiechu.

Nie zdążyła nawet zapytać po co. Krew uderzyła jej do głowy. Wyobrażenia zaczęła snuć różne domysły i malować czarne scenariusze. Tak jak stała. poszła na galaretowatych nogach przez plac i weszła błada na posterunek NKWD.

Otworzyła drzwi. Sawin siedział przy biurku i bębnił palcami o jego blat.

– Coś ty taka blada, boisz się czegoś?

– Nie – odrzekła niepewnie i poprawiła kosmyk włosów drżącą ręką.

– Spokojnie, nie bój się, nie taki diabeł straszny! – roześmiał się.

Uspokoila się trochę. Dopiero teraz zauważyła, że przed nim leży duża paczka.

– Ty *pałuczyła* paczkę z Polski. – Pokazał na paczkę.

Uspokoila się zupełnie i chochlik zaczął do niej mrugać.

– A jest jeszcze jaka?

– Jak nie jest, to będzie, ale inna – spoważniał. – Nu, a teraz zobaczymy, czy ci czasem bomby nie przysłali. – Powoli przeciął sznurek.

– Ostrożnie, bo wybuchnie – znowu zażartowała.

Spojrzał na nią, podobała mu się ta dzielna i pracowita kobieta.

– Nu, co my tu mamy. – Wyjmował po kolei słoiki, torebki lniane, nawet dwie czekolady. Na końcu wyjął podłużny przedmiot owinięty flanelą.

– Co to może być? – Ważył w ręce, rozwinął i jego oczom ukazały się dwie butelki.

– Co tu jest napisane? – Pokazał kobiecie nalepek.

– Wódka wyborowa czysta – przeczytała nalepkę Ludwika.

– Co to jest?

– Wódka.

– Wódka? Ty pijesz? – zdziwił się.

– Nie – wzruszyła ramionami.

– To ty mi ja sprzedaj – zaproponował. – Tylko nie mów nikomu, że ja kupiłem.

– Jeszcze nie kupiłeś. – Popatrzyła na niego drwiąco.

– *Nu kak?*

– Weź sobie, ja nie piję.

Pospiesznie schował butelki do szuflady. Sam zapakował słoiki i torebki do

kartonu i popchnął paczkę w jej kierunku.

– Jak chcesz, Pietia może ci pomóc zanieść.

– Nie, sama wezmę.

Wzięła paczkę pod pachę i wyszła. Odetchnęła z ulgą. Wracała do baraku w innym nastroju. Weszła i położyła paczkę na łóżku.

– Co tam mama ma? – pytały dzieci jedno przez drugie.

– Dostaliśmy paczkę od babci.

– Od jakiej babci? – dociekała Halina.

– Od babci Grimm, z Polski.

Dzieciakom zaświeciły się oczy.

Matka wyjmowała z kartonu słoiki z boczkiem zalane smalcem ze smażoną cebulą, woreczki z kaszą jęczmienną, kaszą jaglaną i ryżem.

– Ojej – jęknął Stefan, zaglądając do pudełka. – A co tu jest w tych papierowych torebkach?

– Zobacz.

Stefan sięgnął i wyjął dwie torebki. Polko wyrwał mu jedną torebkę z ręki.

– Mamo! – skarżył się Stefan.

Polko otworzył torebkę i zajrzał do środka.

– Co tam masz? – zapytała Halina.

– Suszone jabłka.

W drugiej torebce były suszone gruszki.

– Będziemy mieli dobry kompot. – Matka z powrotem schowała torebki do pudełka.

– To już wszystko? – pytali zawiedzeni, myśleli, że może będzie coś ze słodczy...

Ludwika włożyła rękę do pudełka, pogrzebała w nim trochę i wyjęła dwie tabliczki czekolady. Dzieciakom zaświeciły się oczy. Wpatrywali się w nie zauroczeni. Matka nie chciała nadużywać ich cierpliwości. Rozpakowała czekoladę, zdjęła złotko, dała każdemu po jednej kostce i odłożyła resztę na bok.

– A mama nie zje? Niech mam sobie też weźmie – zachęcali.

– No dobrze, wezmę – zgodziła się. Odłamała kawałek i podniosła do ust.

Przy skąpym świetle latarki zauważyła wpatrzony w siebie oczy dzieci dwa łóżka dalej. Żal jej się zrobiło tej rodziny. Byli aż czarni z biedy, wychudzone buzie mówiły o wszystkim. I te oczy, smutne, przygaszone, wpatrywały się w nią łakomo. Ich matka, drobna kobieta, siedziała na łóżku skulona. Nie umiała sobie poradzić w tych nowych warunkach. Była zbyt słaba, żeby iść do lasu i aż dziw, że jeszcze żyła. Ludwika opuściła rękę z czekoladą na kolana. Coś ją dławilo.

– Czemu mama nie je? – zapytała Halina.

– Nie mogę.

Tadek spojrzął na matkę, a potem pobiegł wzrokiem za jej wzrokiem.

– Kto to jest?

– To rodzina Soleników. Mieszkali niedaleko Domanowa. Trochę ich znam. Spotykałam się z nią w kółku gospodyń wiejskich. Ten najstarszy to Włodek, w wieku Tadzika, a młodszy to Gienek.

– A ta dziewczyna? – wtrącił się do rozmowy Polko.

– Ona chyba nazywa się Gienia, ładne dziecko.

– A ten najmłodszy?

– Leon, chyba w wieku Haliny.

Matka wzięła czekoladę do ręki, odłamała sześć kostek i podała Halinie.

– Idź, poczęstuj ich, oni są tacy biedni.

Stefan trzymali jeszcze niezjedzoną kostkę.

– Weź moją, ja nie lubię czekolady.

– Ty? – roześmiała się Janka.

– Mamo, a czy ich mamę też mam poczęstować?

– Też.

Halina podeszła do nich. Chciała najpierw poczęstować Gienię.

– Weź, proszę.

Gienia zrobiła gest, jakby chciała wziąć, ale szybko schowała ręce za plecy. Wstydziła się, bo jeszcze nikt im tutaj niczego nie dał.

– Weź, bo będzie mi przykro.

Matce Gieni łzy popłynęły z oczu.

– Weź – powiedział do córki.

Gienia wyjęła ręce zza pleców i sięgnęła po czekoladkę.

Chłopcy obstąpili Halinę kołem, każdemu dała po jednej kostce.

– A to dla pani – zwróciła się do matki rodziny.

Była zaskoczona, wahała się.

– Niech pani weźmie, bo sama zjem – powiedziała żartobliwie i podniosła rękę do ust.

Kobieta poczęstowała się i trzymała kostkę w ręku.

– Nie odejdę, dopóki pani nie zje.

Ludwika, widząc nieporadność matki, postanowiła, że w miarę swoich możliwości będzie pomagać tej rodzinie.

Nikt przez parę dni nie widział komendanta obozu. Pracownicy zachodzili w głowę, co mu się stało i gdzie może być. Nawet żona, nagabywana, odpowiadała półgębkiem, że gdzieś wyjechał, choć wszystkie konie były w stajni. Innym razem mówiła, że jest chory, a w ogóle żeby dać jej święty spokój. „Jego pytajcie” – mówiła. Łatwo powiedzieć, ale gdzie go znaleźć.

W trzecim dniu wylazł nie wiadomo skąd i szwendał się po obozie, jakby czegoś szukał. Minę miał nietęgą. Wieczorem, niby przypadkiem, spotkał Ludwikę. Podeszedł do niej, gdy wracała z pracy.

– *Dien' dobryj* – zgadnął.

– Dzień dobry panu.

– Nu, ty tak do mnie nie mów, bo jeszcze kto usłyszy. Słuchaj, jak ty będziesz pisać do Polski, to niech ci brat włoży, no tej... jak ty to nazywasz – żytniej. Jeszcze w głowie szumi! Aha, jak napiszesz, to przynieś do mnie, przyłożę pieczętę, szybciej dojdzie. Nu, to ja już pójdę, *daswidania*.

– Do widzenia i niech czort z tobą! – mruknęła i odeszła do baraku.

Ludzie przyglądali się rozmowie NKWD-zisty z Ludwiką i zastanawiali się, co ich ze sobą łączyło.

Wiosna wybuchła nagle. Dwina weszła w swoje koryto, zostawiając wyższy poziom jeziora i rozległe bagna. Trawa zazieleniła się i ważki siadały na badyłach i czatowały na ofiary. Gdzieś słychać było plusk ryb na jeziorze i widać było kółka poruszonej wody. Na bagnach leżały się biliony komarów i innego robactwa. Było ich tak wiele, że z trudem dawało się żyć w pobliżu jeziora. Wściekłe, latały całymi chmarami, kąsały i piły krew. Zwierzętom, które pasły się na bagnach, wchodziły w nozdrza i oblepiały ich płuca. Dusiły się i zdychały w bólach. Na ten wyrój przylatywało wiele ptactwa. Leżały się tu, bo miały pożywienia pod dostatkiem i mogły wykarmić swoje potomstwo. Za nimi ścigały ptaki i ssaki drapieżne, które zamykały ten swoisty łańcuch pokarmowy. Musiały się spieszyć, żeby nabrać tłuszczu, bo lata były tu krótkie i niezbyt ciepłe, a zimy srogie i długie. Leniwi ludzie czy zwierzęta nie przetrwają. Tym, którzy tu mieszkali, komary tak dały się we znaki, że choć lato się jeszcze nie zaczęło, a już tęsknili za zimą.

Chłopcy Soleników paśli kozy miejscowym. Dostawali za to codziennie parę litrów mleka i kilka rubli na miesiąc. Wypędzali je do lasu albo na pobliskie mokradła, gdzie trawy było pod dostatkiem. Koza, jak to koza, weszła wszędzie, nawet tam, gdzie nie powinna. Właziły w bagna i grzęzły w błocie. Beczały wtedy żałośnie. A chłopcy szli ratować je. Niejednokrotnie omal sami nie wpadali w bagna. Brodząc w błocie, płoszyli chmary komarów, które siadały na twarz i gołe ręce. Nie sposób było opędzić się od nich. Brzęczały cieniutko nad głowami i atakowały, pikując i wbijając ssawki w ciało, i piły krew, aż robiły się grube i czerwone. Były ciężkie i z trudem odlatywały.

Chłopcy opędzali się przed tą plagą, machali rękami usmarowanymi w błocie, jak wiatraki. Udało im się zabijać komary na twarzy. Nabrzmiące pękały łatwo, zalewając twarz krwią, którą dopiero co wypily. Opuchnięci wracali do domu. Myli się i kładli spać. Twarze i ręce piekły ich niemiłosiernie, a jutro znowu musieli wstać i pójść do tej samej roboty.

Ludwika widziała, jak wiele wysiłku i zdrowia wkładają w tę pracę, żeby przeżyć. Postanowiła im pomagać. Każdego dnia przynosiła im na bagna jedzenie. A to kromkę chleba posmarowaną smalcem, a to podpłomyk upieczony z mąki. Oni, opuchnięci i pokąsani przez komary, czekali na nią każdego dnia. Nie było dnia, żeby

o nich zapomniała.

Przyszła wiosna i zaprzestano wyrębu. Prace w lesie ustały zupełnie. Robotnicy leśni musieli przekwalifikować się i zmienić zawód. Najbardziej doświadczeni poszli na spław nad rzekę do budowy tratw. Stosy drzewa wożone przez całą zimę, piętrzyły się nad rzeką. Waza była dość szeroka i nurt miała spokojny, a i do Dwiny było jak kamieniem rzucić. Dlatego tu budowano tratwy z bali. Najpierw na wysokim brzegu rzeki, z góry na dół z ukosa układano grube dyle i wbijano je w dno rzeki. Po nich spuszczano bale, które wpadały do rzeki, zalewając kaskadą wody ludzi, którzy stali po pachy w zimnej wodzie i czekali na bale. Musieli je złapać, zatrzymać, żeby nie odpłynęły. Zakładali pętlę z liny w trzech miejscach i spoglądali do góry.

– No, dawaj – wołali z dołu, kiedy uporali się z pierwszym balem.

Chowali się za klocem, żeby następny, gdy wpadnie do wody, nie przygniótł ich.

– Uwaga, puszczaamy!

Zepchnięty kloc dzwonił na dylach i spadał z pluskiem do rzeki. I znowu fontanna zalewała głowy. Prychali głośno, łapiąc powietrze. I tak spadające kloce jeden za drugim wiązali linami, aż zaczęły przypominać tratwę.

Wiązania tratwy namoczone w wodzie silniej wiązały kloce i podczas spływu nie zachodziła obawa, że wszystko się rozleci.

Bołbot, stojąc w zimnej wodzie, zmarzł na dobre. Pozieleniał na twarzy i trząsł się z zimna.

– Ja już nie wytrzymam – mówił do kolegi, dzwoniąc zębami.

– Mnie też jest zimno – odrzekł Wrażeń. – Ale jeszcze tylko dwa kloce i jeden człon tratwy będzie gotowy. Był chyba bardziej odporny na zimno od kolegi.

– Jeszcze tylko dwa kloce i będzie zmiana. – Bołbot zacisnął zęby.

– Dawaj następny! – zawołał do ludzi na brzegu.

Kloc znowu spadł z góry do wody. Złapali go linami i przyciągnęli do tratwy. Wrażeń szybko przywiązał bal.

– No widzisz, szybko idzie, jak się wprawisz. Jeszcze jeden kloc i wyjdziemy na górę. Związałeś już?

Bołbot nie odpowiedział. Włożył akurat rękę między bale, żeby od spodu przeciągnąć linę. Nie mógł od razu jej uchwycić zgrabiałą ręką. Co ją złapał, to wymykała mu się z dłoni.

– Przeciągnąłeś już? – niecierpliwił się Wrażeń.

Bołbot znowu nie odpowiedział, bo akurat udało mu się złapać linę i ciągnął ją do góry. Wtedy nieoczekiwanie do wody stoczył się ostatni kloc potrzebny do ukończenia pierwszego członu tratwy. Wpadł z głośnym pluskiem i z ogromną siłą uderzył w kloce, między którymi Bołbot wyciągał linę. Nie zdążył krzyknąć. Pociemniało mu w oczach, zemdlął i leżał na tratwie z ręką w wodzie. Woda wokół ręki zaczerwieniła się i strużką popłynęła wzdłuż kloca. Wrażeń po tratwie przybiegł do kolegi. Odciągnął na środek tratwy. Zmiażdżona ręka krwawiła mocno. Stał przy

nim i nie wiedział, co ma zrobić.

– Zawiąż mu mocno rękę na przedramieniu, to przestanie krwawić – radził ktoś z brzegu.

– Nie mam czym!

– Rozpleć końcówkę liny, tylko szybko, bo się wykrwawi.

Wrażeń wydostał linę z wody i zaczął ją rozplątywać. Jeden kosmyk był już na tyle długi, że mógł zawiązać go na przedramieniu. Odrabiał linkę siekierą i obwiązał przedramię. Nieprzywiązany kloc powoli odpływał z nurtem rzeki. Minął tratwę i porwany nurtem, wypłynął na środek.

– Zostaw go i łap kloc! – darł się z brzegu brygadzysta.

– A co z nim?

– Zostaw go albo najlepiej wrzuc do rzeki. Przynajmniej nie będzie się męczył. Bez ręki i tak zdechnie.

– Coś ty się, skurwielu, zrobił nagle taki dobrotliwy!

– Coś ty powiedział!?! Ja ciebie każę na Kołymę wysłać! – darł się tamten, aż ślina ciekła mu z ust.

– Uważaj, żeby ciebie tam nie wysłali! Co z ciebie za Polak, chyba taki sam jak Dzierżyński!

– Jak nie złapiecie kłoca i nie ściągniecie go, to wszyscy tam pójdziecie.

Wrażeń wyszedł na brzeg.

– Dajcie długą linę i zróbcie na niej pętlę, chodźcie za mną.

Wziął linę, przewiesił ją przez ramię i pobiegł wzdłuż rzeki. Minął majestatycznie płynący kloc i zabiegł mu drogę daleko z przodu. Rozwinął sznur i rzucił się w nurt rzeki. Był dobrym pływakiem, ale lina krępowwała mu ruchy. Powoli, metr po metrze, ciągnąc za sobą linę, posuwał się naprzód. Namoczona lina stawiała coraz większy opór. Musiał wkładać więcej wysiłku, żeby ciągnąć ją za sobą. Czuł, że ubywa mu sił. „Chyba nie dam rady” – pomyślał. Spojrzał na rzekę. Kloc przepływał obok niego na wyciągnięcie ręki. Nie miał sił, żeby płynąć dalej.

Chwilę odpoczywał, a potem założył linę na nogi. Ostatnim wysiłkiem rzucił się w kierunku kłoca. Jego ręce dotknęły kory. Wbił w nią paznokcie i powoli przyciągał do siebie. Kiedy był bliżej, dotknął dłońmi szorstkiej kory. Usiadł na pniu okrakiem, a pod jego ciężarem zanurzył się. Założył pętlę, a drugi koniec liny rzucił w stronę brzegu.

– Zawiążcie linę za pniak!

Lina się naprężyła i kloc powoli dryfował w stronę brzegu. Zbliżył się na tyle, że Wrażeń prawie suchą nogą wyszedł na brzeg.

– Wot gieroj – pochwalił brygadzysta. – A ty wiesz, że taki kloc jakby płynął Dwiną, to by o niego mógł rozbić się statek, zginęłoby wielu ludzi.

– Naszych ginie tu więcej niż na waszych statkach!

Brygadzysta chciał coś odpowiedzieć, ale Wrażeń minął go i poszedł do kolegi,

który leżał na tratwie. Odzyskał już przytomność. Pomógł mu wstać i wyprowadził na brzeg.

Tratwy robione od wiosny do jesieni płynęły Dwiną jedna za drugą do Archangielska. Tam czekały na drewno statki drewnowce, które zabierały go w różne strony świata. Nikt z kupujących nawet nie pomyślał, ile krwi polskiej jest w tym drzewie. Dla kupujących i sprzedających ważna była komercja, a nie krew wsiąknięta w bale.

Zapotrzebowanie na drzewo syberyjskie rosło z każdym rokiem. Żeby wyjść naprzeciw kontrahentom, władze zwiększały eksploatację zasobów leśnych. Rozbudowywano stare obozy, budowano nowe. Ze wszystkich podbitych krajów, takich jak Polska, Ukraina, Estonia, wyrywano ludzi z gniazd, wsadzano do bydłych wagonów i wieziono tysiące kilometrów. Nawet rdzenni Rosjanie byli wysyłani do łagrów. Zdawać by się mogło, że za głupstwa. Ot, chociażby taki Kupawych. Dostał dziesięć lat zsyłki za to, iż powiedział, że amerykański ford jest lepszy od rodzimego zisa piac. Jeszcze dziś jego syn, Walery, mieszkający w Brześciu na Białorusi, nie może przeboleć tej niesprawiedliwości.

Konie zwoziły drzewo na budowę nowych baraków i stajni. Cała infrastruktura była rozbudowywana na przyjęcie nowych zesłańców. Drwale zmienili się w cieśli i poganiani przez komando NKWD, od rana do wieczora rżnęli, rąbali i ciosali drzewo na budowę. Musieli spieszyć się, bo lato było krótkie, a roboty w bród. Z dużych kamieni robiono fundamenty i układano je na czterech rogach budowli i na środku, na których kładziono podwaliny, a na nich, z ociosanych bali, ściany łączone na szczytach systemem ryglowym. Trzeba nie lada umiejętności, żeby taki dom wybudować bez gwoździ i żeby wytrzymał surowy klimat Północy. Na podłogi, drzwi i okna potrzebne były deski. Przecierali kłody za pomocą siły mięśni i długiej piły o skośnych zębach. Na rusztowanie wysokie na trzy metry wkładano ociosany z czterech stron kłoc. Odbijano na nim, za pomocą linki usmarowanej węglem, linie wzdłuż bala. Jeden pilarz wchodził na górę, ustawiał piłę na linii, a drugi z dołu ciągnął z całej siły do dołu. I tak przez cały dzień, góra-dół, góra-dół, z krótką przerwą na marny obiad. Wieczorem byli tak utrudzeni, że kiedy kładli się spać, nie wiedzieli, jak mają ułożyć ręce, tak bolały. Rano wstawali i szli znowu do pracy. I jutro, i pojutrze. Trociny sypały się na głowę i wpadały do oczu. Kłuły jak diabli i nie można było odejść, bo brygadzista cały czas pilnował roboty.

Któregoś dnia Antoni Czerniachowicz stał na górze i od paru godzin pociągał za piłę. Zapewne ręce go już bolały i stracił dużo siły, bo ile razy pociągał piłę do góry, postękiwał z wysiłku.

– Co ci jest, źle się czujesz? – Bolesław z niepokojem spoglądał do góry.

– Nic mi nie jest. – I ciągnął piłę ostatnim wysiłkiem.

Kręciło mu się w głowie, nie wiadomo, czy z głodu, czy z wyczerpania. W pewnym momencie zrobiło mu się słabo. Stracił równowagę, zachwiał się.

Próbował przytrzymać się za piłę. Ta jednak wygięła się i Antoni spadł z trzymetrowej wysokości. Piła, prostując się, wydawała żalosne dźwięki.

Antoni chciał wstać, ale ręka bolała go okropnie. Przedramię zaczęło puchnąć.

– Pewnie złamana – stwierdził Bolek.

– Niech idzie do Bierieznika do lekarza – polecił brygadzysta.

– A co to, koni nie ma, żeby go zawieźć!? – zaperzył się Bolek.

– Konie muszą odpocząć, bo w zimie czeka je ciężka praca, a on może iść pieszo.

– Człowieku, gdzie tu jeszcze do zimy?

Brygadzysta nie odpowiedział. Dał Bolkowi drugiego pilarza. Praca ruszyła znowu. Antoni, trzymając się za rękę i ostrożnie stawiając kroki, powlókł się do Bereźnika.

Zbliżały się sianokosy. Dla koni na zimę potrzeba było dużo siana. Brygadzysta zbierał ludzi, którzy dobrze posługiwali się kosą. Butrym spotkał Ludwikę, kiedy rano szła z wiadrem pełnym wapna bielić barak.

– Nie poszłyby z nami na sianokosy?

Zaskoczył ją tym pytaniem.

– Ja robotę mam, jak widzisz, starczy jej na całe lato.

– Może i tak, ale przy sianokosach więcej zarobisz i nie będziesz musiała brać przepustki, jak będziesz chciała gdzieś pójść.

– A gdzie na sianokosach można pójść, chyba nad rzekę pomoczyć nogi?

– Przydałaby nam się kobieta. Nie napracowałybyś się, a dla nas miałyby kto obiad ugotować.

Kobieta zastanowiła się nad propozycją. Spojrzała na niego.

– Ale ja mam tyle dzieci – wahała się jeszcze.

– Już są duże, dadzą sobie radę, to tylko na miesiąc. Zresztą, niech się uczą samodzielności, wtedy będą bardziej ciebie cenić.

– Porozmawiam z nimi i jutro dam ci odpowiedź.

– Dobrze- rzekł i odszedł w swoją stronę.

Wieczorem, kiedy kładli się spać, Ludwika zagadnęła do dzieci:

– Chciałabym wam coś powiedzieć – zrobiła pauzę. – Mogłabym pójść na sianokosy i zarobić więcej rubli, tylko...

– Tylko co? – zapytał Tadek.

– Tylko czy wy przez miesiąc dacie sobie radę sami?

– Na miesiąc? No, nie wiem. A Stefan, Halina? – zastanawiała się Janka.

– Poradzimy sobie, no nie? – Tadek pytająco spojrzał na Polka.

– Pewnie! I zaopiekujemy się nimi.

– A kto będzie piec racuszki i prać bieliznę? -wypaliła Janka.

– Jak to kto? Ty. Zamiast latać do Bierieznika na tańce, zajmiesz się domem. I tak dziwię się mamie, że ci na to pozwala. Jeszcze... – Tadek nie dokończył zdania.

– Uspokójcie się, ludzie słyszą! Idziemy spać.

Rano Ludwika wstała pełna rozterek. Wychodząc do pracy, spytała dzieci na odchodnym:

– No to jak: mam iść na te sianokosy czy nie?

– Niech mam idzie – odpowiedzieli razem chłopcy.

Matka popatrzyła na Jankę.

– Niech mama idzie, damy sobie jakoś radę – odpowiedziała, nie patrząc jej w oczy.

Wyszła z domu i weszła do pakamery. Wzięła wiadro z wapnem i duży pędzel. Zniosła do baraku i zaczęła bielić. Około południa wszedł komendant obozu, Sawin. Przyglądał się jej pracy i kręcił głową. „Jak to jest, nasi ludzie we dwoje bielą taki barak w dwa dni, a ona sama jedna bieli w ciągu jednego dnia, i to o wiele lepiej. Chyba zrobię z niej brygadzystę” – pomyślał.

– Słuchaj – zwrócił się do Ludwiki. – Jutro nasi ludzie idą na sianokosy. Prosilili mnie, żebyś ty z nimi poszła.

Przestała bielić i odwróciła się do niego.

– A kto baraki będzie bielił?

– Damy kogoś. Przyjdź jutro rano do kuchni pobrać suchy prowiant, a potem w drogę!

Stał jeszcze chwilę i nad czymś medytował. Podszedł bliżej.

– Jak przyjdzie paczka z Polski, to mam ją zatrzymać do twojego powrotu?

– Wódkę zabierz, a paczkę oddaj synowi, Tadzikowi.

– Ciszej mów, bo jeszcze kto usłyszy. *Nu tak do wstrieczy*, za miesiąc – mówiąc to, wyszedł. „Oj, żeby ja nie był żonaty...”

Nazajutrz, skoro tylko wstało słońce, Ludwika pożegnała się z dziećmi, znajomymi i wyszła z baraku z ciężkim sercem. Przeszła przez plac do kuchni. Było już tam dziesięciu mężczyzn, którzy pobierali suchy prowiant. Był i znajomy Butrym. Trudno byłoby go nie zauważyć, górował nad wszystkimi i wzrostem, i posturą. Zobaczył ją i ucieszył się. Stała za nim w kolejce. Przepuścił ją do przodu, jakby brał pod swoją opiekę. Pobrała prowiant i czekała na niego. Oboje wyszli razem na zewnątrz. Na dworze byli już mężczyźni, którzy szykowali się do drogi. Kosy mieli przywiązane wzdłuż kosiska i zawieszali na nich tobołki.

– No, wszyscy? – próbował zorientować się przewodnik. – *Nu tak, paszli*.

Ruszyli, zakładając na plecy kosiska z tobołkami.

– To my idziemy pieszo? – zapytała Ludwika.

– Pieszko – odparł przewodnik.

– A dlaczego nie końmi?

– Bo tam jest teraz grząsko i koń nie przejdzie, a na miejscu jest tyle komarów i gzów, że uciekłyby gdzie pieprz rośnie.

Opuścili Szund-Oziero i weszli na drogę do lasu.

– Daleko jest na te łąki? – spytała Ludwika.

– Będzie ze trzydzieści kilometrów.

– Daj mi swój tobołek, bo droga daleka i będzie ci ciężko – rzekł Butrym do Ludwiki.

– Tobie też będzie ciężko.

– Dawaj – zniecierpliwiał się Butrym i wziął od niej tobołek. Zaczepił go na swoim kosisku.

Szli jakiś czas w milczeniu.

– Ja też kiedyś mojej koleżance ze szkoły powszechnej nosiłem tornister – powiedział jeden z kosiarzy.

Próbował znaleźć analogię do gestu Butryma, a równocześnie, niby żartem, chciał z niego zadrwić.

– A ty w ogóle chodziłeś do szkoły? – spytała Ludwika. – Bo nie wyglądasz na takiego, który cokolwiek się nauczył w szkole, chyba że tylko nosiłeś tornister, bo rozumu ci od tego nie przybyło.

Wszyscy kosiarze wybuchnęli śmiechem, aż echo poszło po lesie.

– Powiedziała, co wiedziała – burknął. Był zły na siebie, że się odezwał i naraził na śmieszność.

Szli już dwie godziny. Droga urwała się dawno. Las gęstniał i zrobiło się ponuro. Weszli na leśne bezdroża. Szli, klucząc między drzewami, po gęstym mchu. Wyżej nieco rozsiadł się wrzos i zajmował coraz większe obszary. Szło się ciężko. Byli już nieco zmęczeni. Przysiedli na chwilę na powalonym drzewie. Zauważyli, że przewodnik pogubił się i tak naprawdę nie wie, w którą stronę powinni iść.

– Jak ty masz na imię? – zagadnęła go Ludwika.

Nie spodziewał się takiego pytania.

– Stanisław.

– Stanisław – powtórzyła ze zdziwieniem i zamilkła.

Pobiegła myślami do Złotowa. Gdzie on może teraz być, co robi?

– Czemu pytasz i dlaczego milczysz?

– Bo mój mąż ma na imię Stanisław.

Coraz więcej komarów zbierało się nad głowami siedzących. Były coraz bardziej natrętne. Atakowały z góry, wpadały do oczu, siadały na twarzy.

– Gdzieś muszą być mokradła. Idziemy – rzekł przewodnik.

Ruszyli znowu, jeden za drugim, gęsiego. Po półgodzinie las się skończył. Wyszli na podmokłe błonia. Przewodnik spodziewał się, że z samego brzegu przy lesie zobaczy barak, w którym zawsze zatrzymywali się na sianokosy. Przystanęli na chwilę. Spoglądał na prawo, na lewo. Nie wiedział, w którą stronę ma poprowadzić kosiarzy. „Zabłądziłem” – pomyślał. „Pójdziemy w prawo”.

Szli obrzeżami lasu i szeroką łąką gęsto porośniętą kępami krzewów. Szli może godzinę, dwie. Daleko, wśród mgły, która snuła się nad łąkami, zaczęły majaczyć

jakieś domy. Przyspieszyli kroku. Po półgodzinie dotarli do domostw. Po jednej i po drugiej stronie drogi stały domy-widma. Nikt w nich nie mieszkał od lat. Pozawalane dachy, zapewne pod ciężarem śniegu, szczyrzyły kły spróchniałymi krokwiemi. Niektóre domy pochyliły się tak, że dachy sięgały ziemi. Szli drogą, po której już dawno nikt nie chodził.

– Wymarła wieś – wyrwało się Ludwice.

– Żeby choć pies na nas zaszczekał – marzył Stanisław.

Szli dalej wzdłuż powywracanych płotów. Dochodzili już do końca wsi.

– Popatrzcie, tam na końcu dym snuje się z komina – krzyknęła Ludwika.

Wszyscy spojrzeli w tamtym kierunku.

– Jej Bohu, prawda! Idziemy tam.

Doszli do domu. Miał swoje lata, ale był zadbany. Nawet płot wokół niego trzymał się nieźle.

– Jest tam kto? Hej, hej! – wołali.

Drzwi po chwili uchyliły się nieco i wyjrzał przez nie stary mężczyzna. Włosy miał siwe, spadające na ramiona, brodę gęstą i rudą, sięgającą do pasa. Świdrował przybyszów małymi, zapadniętymi oczkami.

– Czego? – odezwał się chrapliwym głosem.

– My przyszliśmy tutaj, bo pobłądziliśmy.

– A skąd wy jesteście?

– Z Szund-Oziera.

– O, to niedaleko Bierieznika, prawda?

– Prawda.

Zza ramion męża wyglądała zaciekawiona kobieta.

– Aleksiej, proś gości do środka.

Przeszła koło niezdecydowanego gospodarza. Przytruchtała do furtki.

– Proszę wejść. – Otworzyła furtkę na oścież.

Weszli i zmęczeni usiedli na przyzbie.

– Aj, aj, Aleksiej, przynieś im coś do picia, widzisz, że są zmęczeni. – Kobieta była zadowolona, że może z kimś porozmawiać.

Aleksiej pokręcił się po izbie i po chwili przyniósł spory garnek jakiegoś napoju.

– Co to jest?

– Sok z brzozy. Każdej wiosny nakapie cała beczka, a jak sfermentuje... – przymrużył oko – to nawet w głowie zakręci.

Podał garnek Ludwice.

– Spróbuj, zobaczysz, że dobry.

Wzięła od niego ciężki garnek do rąk, przyłożyła usta i zaczęła pić.

– Zostaw dla nas trochę – żartowali, kiedy zbyt długo raczyła się napojem.

– Dobry. – Podała garnek Butrymowi.

Garnek z napojem zatoczył koło i pusty wrócił do gospodarza.

- A wy długo tu sami? – zagadnęła Ludwika.
- O, chyba już z dziesięć lat, nie, Aleksiej?
- A gdzie ci z tych domów?
- Poomierali na tyfus, tylko my zostali.
- To mieliście szczęście.
- Szczęście? Wolelibyśmy umrzeć. Tylko męczymy się na tym pustkowiu.
- A dzieci macie?
- Mieliśmy. Synów pozabijało w lesie, a córka wyjechała za Ural z jakimś tam, do Swierdłowska, i zapomniała o staruszkach. Może myśli, że nie żyjemy?
- A władza?
- Władza *ubieżała*, jak dowiedziała się, że ludzie umierają na tyfus. I więcej nikt do nas nie zaglądał. Komu są potrzebni starzy ludzie... – stara westchnęła ciężko.
- A z czego żyjecie? – dopytywała Ludwika.
- Sadzimy *kartoszku*, uchowamy kabana. Mamy trzy kozy, a resztę daje nam las.
- Smutno wam tu samym. – Ludwika podeszła i objęła kobietę. Ta wtuliła się w nią i rozplakała.
- Smutno, i chciałbym już umrzeć, może Bóg będzie sprawiedliwszy niż ludzie.
- A ty, córko, skąd jesteś?
- Z Polski.
- Z Polszy? Z Polszy? To ty moja krajanka. Moi dziadowie wywodzą się z Polszy. Przywieźli ich tutaj za cara. Mówili na nich: polskije pany. I byli pany: nosili głowy wysoko, byli dumni. Córko, zaraz ci coś pokażę. – Pobiegła do izby i coś przyniosła. – Zobacz. – Podała jej starą książeczkę do nabożeństwa. – Oni się z niej modlili, ale ja już zabyła tego języka i nie znam liter, weź ze sobą i czasem pomódl się za nas.
- Ludwika wzięła książeczkę i jeszcze raz uścisnęła kobietę.
- *Spasiba* i dużo zdrowia życzę.
- Ty módl się dużo. Jak Bóg da, to jeszcze może wrócisz do Polszy.
- A wy może szukacie tego baraku, co w zeszłym roku wasi kosili trawę? – zapytał gospodarz. – Wiem, gdzie to jest. Podprowadzę was kawałek, a potem pokaże, jak macie iść.
- No to chodźmy – odezwał się przewodnik.
- Wstali, założyli tobołki na plecy i poszli za Aleksym przez wymarłą wieś.
- Ludwika pożegnała się z kobietą.
- A wy jak macie na imię, żebym wiedziała, za kogo się modlić.
- Krystyna.
- To polskie imię.
- Polskie – odparła i dumnie podniosła głowę.
- Aleksiej przeprowadził kosiarzy przez las i zatrzymał się na skraju łąki.
- Pójdziecie prosto, tam. – Wskazał ręką. – Będzie z osiem wiorst, ale do

wieczora powinniście dojść. Tylko uważajcie, pod trawą płynie rzeka. Jak kto wpadnie, to *priepał*.

Pożegnali się.

Wieczorem zmęczeni kosiarze dotarli do baraku. Rozgościli się zaraz, zjedli kolację i poszli spać. Jutro czekała na nich wysoka trawa, prawie na metr.

Rano obudziło ich brzęczenie komarów. Te natrętne owady nawet nieboszczyka potrafiłyby postawić na nogi. Wstawali z opuchniętymi twarzami.

– *Ot, jołki – pałki, cztob ich chaliara* – klęli, na czym świat stoi.

Wstawali szybko, machając rękami nad głowami. To powodowało jeszcze ich większą agresję.

Ogarnęli się trochę, umyli twarze z zakrzepłej krwi w zimnej wodzie. To przyniosło chwilową ulgę. Ludwika zrobiła śniadanie, co znacznie poprawiło wszystkim humory. Przygotowali kosy, wsadzili osełki za cholewy gumowych butów i wyszli do kośby na łąkę.

Ustawili się schodkowo, jeden za drugim. Pierwszy kosiarz stanął w rozkroku, zrobił zamach kosą i ciął trawę nisko przy ziemi. Ta kładła się potulnie w równy pokos. Za nim szedł drugi,... piąty, ósmy, aż wszystkim dziesięciu błyskały kosy w bladym porannym słońcu. Cicho pobrzękiwały przy chrzęście podcinanej trawy. I tylko czasami postękiwanie kosiarza mówiło o znoju i wysiłku, jaki wkłada w koszenie. Czasami prostował przygarbione plecy, oglądał się za siebie, a potem pluł w garść, ujmował krzepko kosisko i machał nim, i tak od rana do wieczora. A kiedy krwawe słońce schowało się za lasem, wzięli na ramiona kosy i poszli do baraków. Walnęli się zmęczeni na łóżka. Ludwika w tym czasie gotowała obiadokolację. Budziła ich, i zwlekali się do jedzenia. Zaraz znowu kładli się spać i natychmiast zasypiali. Byli tak zmęczeni, że nie mieli sił ani się rozebrać, ani zdjąć gumowe buty. Nie czuli nawet, jak im komary piły krew i kiedy z dużym wysiłkiem odlatywały na mokradła, żeby wypełnić swoją misję.

Ludwika nie mogła zasnąć. Odgradzona parawanem od mężczyzn, słyszała ich oddechy i pojękiwania. Niektórzy chrapali. Dostawali wtedy kuksańca pod żebra, przewracali się na drugi bok i na jakiś czas była cisza. Zastanawiała się, jak pozbyć się tych uciążliwych komarów. Widocznie coś wymyśliła, bo rano, kiedy wstała, wyszła na dach i zatkała komin. Nacięła sporo świerkowych gałęzi, przyniosła do baraku i położyła na piecu. Gdy kosiarze poszli do pracy, rozpałała gałązki na piecu. Duszący dym wypełnił wnętrze baraku. Zamknęła drzwi i poszła na łąkę roztrzasać grube pokosy trawy. Było już popołudnie. Kosiarze wycierali pot z czoła i spoglądali na słońko, które jeszcze dość wysoko wisiało nad horyzontem.

– Ty, Wasilewska, idź już, będziesz miała więcej czasu na przygotowanie obiadu – powiedział brygadzysta.

Rzuciła szerokie grabie, rozprostowała palce, którymi od rana kurczowo trzymała za grabisko, i poszła w stronę baraku.

Po drodze wstąpiła do lasu. Jakie było jej zdziwienie, kiedy zobaczyła wrzosowate krzewinki obsypane czarnymi jagodami. Uklękła. Rwała pełnymi garściami i jadła. Wstała i weszła głębiej. Wokół rosły delikatne, zielone mchy, przetykane brązowymi kapeluszami grzybów. „Boże! Ile tu grzybów, jeszcze tyle nie widziałam!” – wyrwało jej się.

Stąpała po mchu jak po perskim dywanie i zbierała do spódnicy grzyby, które wabiły i wciągały ją coraz głębiej do lasu. „Dosyć na dziś, przyjdę jutro”.

Wyprostowała plecy i spojrzała przed siebie. Na wyciągnięcie ręki rosły maliny. Miały duże, czerwone jagody. Zerwała jedną i spróbowała. „Jak słodka!”. Nie mogła oprzeć się pokusie. Trzymając w ręku spódnicę z grzybami, poszła do baraku przygotować obiad. Musiała najpierw przewietrzyć go z dymu, żeby mogła wejść. Zabrała się za gotowanie obiadu. Dla dziesięciu mężczyzn było to wyzwanie, zwłaszcza gdy nie za bardzo było z czego. Ale ludzie nie byli wybredni.

Szykując obiad, myślami była w lesie – tyle tam malin, jagód. A ile grzybów. „Ależ byłby deser dla tych spracowanych mężczyzn”. Nagle wstała, chwyciła wiadro i poszła z powrotem do lasu. Klęcząc, zbierała czarne jagody, a kiedy miała pół wiadra, podeszła do krzaków malin. Były takie czerwone, pyzate, jakby się do niej uśmiechały. Postawiła wiadro na mchu i zrywała obiema rękami. Gdy wiadro było już prawie pełne, usłyszała niedaleko jakiś chrapliwy ryk. Nasłuchiwała. Rzęzenie ustało i tylko pomruk jakiegoś zwierzęcia dochodził z przeciwnej strony. Po chwili wszystko ucichło. Ludwikę obleciał strach. Czują, jak na plecach cierpnie jej skóra. Chciała uciekać, ale kobieca ciekawość była silniejsza. Stała, schowana za krzak malin i nasłuchiwała, skąd dochodził głos. Po jakimś czasie usłyszała ciężkie stąpanie i trzask gałęzi. Zupełnie blisko zobaczyła... brązowego niedźwiedzia. Jego pysk usmarowany był krwią. Najpierw zjadł czarne jagody, a potem podszedł do malin, przy których z drugiej strony stała Ludwika. Widocznie mu smakowały, bo mlaskał głośno i mruczał zadowolony. W pewnym momencie zobaczył ją. Był zaskoczony tak samo jak ona. Wydawał głośne pomruki i kołysał głową na boki. Patrzył na nią swoimi małymi ślepkami, po czym powoli wycofał się, odwrócił i odszedł w głąb lasu. Stała jak zahipnotyzowana. Nawet nie wiedziała, jakie groziło jej niebezpieczeństwo. Powoli dochodziła do siebie. Złapała wiadro i pobiegła w stronę łąki. Strach dodawał jej sił. Wybiegła na szerokie błonia, krzycząc i machając ręką. Usłyszeli.

Stanisław wybiegł jej naprzeciw, a za nim reszta kosiarzy.

– Co się stało?

– Tam, tam, niedźwiedź zabił krowę! – mówiąc, cała drżała ze strachu.

– Jaką krowę? Tu na Północy nie ma krów, najwyżej kozy.

– Ja słyszałam ryk krowy.

– Chodźmy tam – zadecydował brygadzysta.

– Chodźmy – odpowiedzieli mu kosiarze.

Butrym zabrał od niej wiadro.

– Skąd to masz?

– Z lasu, chciałam zrobić wam kompot, a tam spotkałam niedźwiedzia.

– Dobrze już, dobrze, uspokój się i podziękuj twojemu Bogu, że żyjesz.

Weszli w las.

Ludwika szła przodem, a za nią dziesięciu kosiarzy z kosami w garści – tak na wszelki wypadek.

– O, tu rwała maliny, a stamtąd usłyszałam ryk krowy.

Poszli we wskazanym kierunku. Na polanie leżał renifer. Podeszli bliżej. Miął przegryzione gardło i parę głębokich ran na skórze.

– Co on tu robił? Pewnie odłączył się od stada i tutaj dopadł go niedźwiedź – próbował zgadywać Stanisław.

– No to bierzemy go, spadł nam z nieba.

– Może przynieść siekiere i poćwiartować na miejscu? – zaproponował któryś z kosiarzy.

– Lepiej go stąd zabrać od razu, bo niedźwiedź może wrócić po swoją zdobycz.

Wzięli byka za rogi i wlekli go, klucząc między drzewami, bo las był gęsty. Z trudem wyciągnęli go na łąkę. Tu już byli bezpieczni. Ktoś poszedł do baraku i przyniósł siekiere. Rozbierali zwierzę i nosili po kawałku do baraku. Choć do wieczora było jeszcze trochę czasu, nie poszli kosić.

Ludwika zajęła się przygotowaniem do obiadu. Tym razem było go z czego zrobić. Wywar z gotowanego mięsa nieźle udawał sos. Polała nim ugotowane grzyby. Na deser dostali kompot z malin. Jedli ze smakiem i spoglądali po sobie i zerkali z podziwem na gospodynię. Kiedy na chwilę wyszła, jeden z nich, Aleksiej, nie wytrzymał.

– Jej Bohu, ja jeszcze czegoś takiego w życiu nie jadłem. Żonaty jestem już dwadzieścia lat, ale moja nie potrafi tak gotować jak ta Polka. Zamieniłbym swoją Walę na nią jeszcze dziś.

Śmiali się z niego, siedząc przy stole. Im też smakowało. Ale żeby zaraz swoją żonę wyrzucać na śmietnik!

– Z czego wy się tak śmiejecie? – Ludwika wróciła do baraku.

– Aleksiejowi tak smakowało, że chciałby się z tobą ożenić.

– Taaak, dobrze – roześmiała się. – Najpierw pozmywaj po obiedzie.

Do wieczora czas upłynął szybko. W tym wesołym nastroju nie zauważyli nawet, że w baraku nie było komarów. Po raz pierwszy, jak tu przybyli, umyli się porządnie i poszli spać.

Ranek obudził ich brzękiem garnków. Ludwika wstała wcześniej, zrobiła śniadanie, a potem zajęła się peklowaniem mięsa. Co prawda, nie miała saletry, ale soli było pod dostatkiem. Wstali, zjedli śniadanie, zarzucili kosy na ramiona i poszli na łąki. Rozmawiali głośno, śmiali się. Tylko Walery był jakiś markotny. Już jak

wstał, nie mógł znaleźć sobie miejsca.

– Co ci jest?

– Nic – odparł, ale w sercu czuł niepokój.

Doszli na miejsce i zaczęli kosić, jeden z drugim, jak poprzednio. Od czasu do czasu przystawali, zamieniali ze sobą parę słów. Kiedy kosy się przytępiły, wyjmowali osełki z cholewy, i wtedy brzęk ostrzonych kos niósł się po łące. Jak któremu chciało się pić, przygniatał nogą mocniej trawę. Robiło się małe wgłębienie i wtedy na powierzchnię wypływała orzeźwiająca, czysta woda, która gasiła pragnienie i chłodziła rozgrzane pracą ciało.

Walery był trzecim z rzędu kosiarzem. Cały czas kosił w milczeniu. Przed samym południem odezwał się:

– Ciekawe, co moja Tereska teraz robi. – Tęsknił za żoną i dwiema córeczkami, które zostały w Szund-Oziero.

– Co mu się zebrało na wspominki? Dopiero dwa tygodnie minęły, a jemu już się zachciało do żony – zażartował gburowaty Wasyl.

Roześmiali się, a potem ucichli, bo nawet Wasyl zrozumiał, że żart był nie na miejscu. Nagle usłyszeli krzyk Walerego. Spojrzeli w kierunku, gdzie przed chwilą kosił, ale jego tam nie było. Jakby zapadł się pod ziemię. Kosa leżała na trawie. Ręka wystawała z wody. Koledzy chcieli przyjść mu z pomocą. Podeszli bliżej, ale darń trawy zbyt mocno ugięła się pod nogami. Musieli odstąpić od ratowania kolegi, żeby nie podzielić jego losu. Ręka, która jeszcze trzymała za kosisko, powoli otwierała się i po chwili zniknęła pod wodą. Dopiero teraz przypomnieli sobie, co mówił starik z wymarłej wioski: „Uważajcie, bo tam pod łąką płynie rzeka, jak wpadnie, to *priepał...*”.

Grozę tych słów zobaczyli na własne oczy. Od tej chwili chodzili po łące ostrożnie i z obawą.

– On musiał przeczuwać swoją śmierć – odezwał się Stanisław – od rana był jakiś nie swój.

– Niektórzy ludzie jakimś dodatkowym zmysłem wyczuwają swoje przeznaczenie i przed jego wypełnieniem się zachowują się inaczej, smutnieją i stają się niespokojni.

Ludwika zamyśliła się.

– Biedna teraz będzie Teresa, i dzieci. Nie chciałabym słyszeć jej lamentu i płaczu. Setki ludzi tutaj umiera, z głodu, przywaleni drzewem i nikt się nad nimi nie lituje, a jak pada koń, to sam Sawin do niego jedzie. Ludzi nie żałował, tylko konia – powiedziała.

– Ty, Polka, uważaj, co mówisz? Ja udam, że tego nie słyszałem. Ale jak będziesz tak mleć jęzorem, to może się to dla ciebie źle skończyć. A masz pięcioro dzieci – ostrzegł brygadzysta.

Mężczyźni spojrzeli po sobie i, jakby się nic nie stało, poszli do koszenia.

Tę rozmowę kosiarze pozostawili w tajemnicy. Niby wszystko było tak jak dawniej, a jednak już nie takie samo.

Po trzech tygodniach skończyli koszenie trawy.

– Dla nas już dosyć – powiedział brygadzysta. – Poczekamy ze trzy dni, aż trawa wyschnie, i wtedy weźmiemy się za grabienie.

Słońce chyliło się ku zachodowi, ale nie zaszło zupełnie. Zaraz znowu zaczęło piąć się ku górze i znowu zatoczyło koło za horyzont. Przy takiej pogodzie trawa wyschła szybko. Po trzech dniach grabili siano, najpierw na wałki, a potem w stogi, a zimą, kiedy zamarznie, wozili siano do szopy.

Kosiarze powoli zbierali się do powrotu. Jeszcze dziś poszli do lasu uraczyć się smakiem czarnych jagód i malin. Nazbierali przy okazji grzybów, zanoszą je rodzinom w Szund--Oziero. Zanoszą również smutną wiadomość o śmierci Walerego żonie Teresie i jej dzieciom.

– Kiedy wracamy? – spytała Ludwika brygadzystę.

– Czemu pytasz? Może jutro, może pojutrze. Spieszysz się?

– Nie, ale jeśli pozwolisz, chciałabym odwiedzić tę starą kobietę z wymarłej wioski.

– Po co? Oni przywykli do samotności, chcesz im zmącić spokój?

– Chciałbym zanieść im trochę mięsa z renifera, są tacy biedni. Jeżeli pozwolisz.

– To daleko i niebezpiecznie, możesz spotkać niedźwiedzia.

– Ja pójdę z nią – wtrącił się Butrym.

– I ja mogę z nimi iść – dodał Aleksy, ten, co chciał się za kawałek pieczonego mięsa z Ludwiką ożenić.

– Dobrze, tylko wróćcie jutro przed wieczorem. Kiedy chcecie wyjść?

– Jutro po śniadaniu.

Na drugi dzień Ludwika wstała wcześniej. Obudziła Butryma i Aleksieja. Wstali obaj, przeciągając się. Butrym wsadził głowę w wiadro, prychnął i wytarł się ręcznikiem. Aleksiej zrobił to samo. W tym czasie Ludwika przygotowała śniadanie dla wszystkich. Zjedli i wyszli z baraku.

Po dwóch godzinach marszu weszli do wymarłej wioski. Przeszli przez wieś i zatrzymali się przed domem Krystyny. Aleksiej pchnął furtkę, była otwarta. Weszli do środka. Pies, który leżał przy budzie, nawet nie zaszczekał. Ludwika podeszła do drzwi.

– Krystyna! – zawołała, ale za drzwiami była głucha cisza. – Krystyna, jest tam kto!? – wołała zaniepokojona.

Po chwili usłyszeli szmer i drzwi się uchyliły, i ukazała się w nich głowa staruszki. Popatrzyła na przybyłych.

– A, to ty, nie zapomniałas o mnie. – Otworzyła szerzej drzwi. – Wejdźcie. – Łzy jak grochy potoczyły się po policzkach.

– Krystyna, co się stało? Gdzie twój mąż? – Ludwika przytuliła kobietę do

siebie.

- Poszedł do lasu po drzewo i pewnie niedźwiedź go zabił, bo nie wrócił do dziś.
- Znowu się rozpłakała.
- A od córki nie masz żadnej wiadomości?
- Nie, ona zupełnie zapomniała o starej matce.
- A może masz jakiś list od niej?
- Gdzieś jest, pójdę i poszukam. – Poczłapała, szurając nogami do drugiego pokoju.

Po chwili przyniosła szarą kopertę. Ludwika wzięła ją i schowała do kieszeni. Przegadali ze sobą do wieczora. Pożegnały się i cała trójka wróciła do baraku. Na drugi dzień zabrali swoje tobołki na plecy i poszli z powrotem do Szund--Oziera (kilka dni później Ludwika napisała list do córki Krystyny o sytuacji jej matki).

Ludwika weszła do baraku. Pierwszy zobaczył ją Stefan.

– Mama przyszła! – zawołał i podbiegł do niej.

Halina, kiedy to usłyszała, zeszła z łóżka i również podbiegła do matki.

– Mama. – Przytuliła się mocno.

– Co ty, płaczesz, córciu? – zapytała.

– Nie, tylko tak długo na mamę czekałam.

Objęła oboje rękami jak kokosz swoje pisklęta i przytuliła do siebie. – I ja stęskniłam się za wami.

Podeszli razem do łóżka matki i usiedli. Ludwika była zmęczona trzydziestokilometrowym marszem z łąk, zdjęła worek z pleców i rozzuła buty. Nogi ją bolały i piekły stopy. Odetchnęła z ulgą. Dzieciaki nieśmiało zaglądały do worka.

– Co tam mama przyniosła? – nie wytrzymała z ciekawości Halina.

– Zobacz.

Obydwoje ze Stefanem wsadzili głowy do worka.

– Ojej, maliny – słychać było przytłumione głosy z worka.

– Tylko nie jedzcie dużo – upominała.

– Czemu?

– Bo mogą wam zaszkodzić. Są w nich małe ziarenka, które z trudem trawi żołądek.

– Czemu? – teraz ciekawy był Stefan, z pełną buzią malin.

Zawiązała worek i włożyła pod łóżko.

– A gdzie chłopaki?

– Tadek z Polkiem poszli na ryby.

– A Janka?

– Nie wiem, wyszła gdzieś.

Kobieta położyła się na łóżku, żeby odpocząć. Choć do wieczora było jeszcze daleko, zasnęła mimo zgiełku w baraku. Halina i Stefan siedzieli przy niej na wezgielniu aż do powrotu chłopców. Polko już od progu wołał i pokazywał na wyrost,

jaka wielka ryba zerwała mu się z haczyka. Podeszli bliżej.

– O, mama już wróciła. Nareszcie – ucieszył się Tadeusz.

– Cicho bądźcie, bo ją obudzicie. – Halina położyła palec na ustach.

– Co cicho, będzie noc, to się wyśpi – mędrkował Polko.

Usiedli jednak spokojnie na swoich łózkach. W torbie, którą Tadek trzymał, trzepotały ryby.

– Trzeba je oczyścić. – Wyszedł z rybami na zewnątrz.

Stefan poszedł za nim, chciał zobaczyć, ile ryb złowili bracia. Wyjął z torby dużą płoć, ale ta wyrwała mu się z ręki i upadła na ziemię.

– Zostaw, bo usmaruje się w piachu. – Chłopiec zaczął skrobać ryby z łusek. Ryby podrygiwały przy każdym ruchu noża.

Ludwika obudziła się przed wieczorem. Nieco wypoczęła po marszu, wstała. Tadek akurat przyniósł oczyszczone ryby.

– Dużo złowiłeś? – zaciekała się.

– Starczy na kolację. Pójdę usmażyć.

– Daj mi te ryby, sama usmażę. Ty przynieś mi z kuchni chleb, no i trochę soli.

Tadek wyszedł, a ona zajęła się smażeniem. Wkrótce kolacja była gotowa. Usiedli na łóżku z miskami na kolanach i skubali ryby z ości. Podczas jedzenia Ludwika zauważyła, że Halina i Stefan czochrają się po głowach. Zaniepokoiło ją to. Przypominała sobie rozmowę z lekarzem. Jeszcze do dziś dźwięczało jej w uszach „U nas wszyscy mają wszy, wszy, wszy...”.

Zaraz po kolacji obejrzała głowy dzieci.

– Jezus Maria! – krzyknęła, widząc czerwone głowy pokąsane przez insekty. – Ile tu gnid! – przeraziła się nie na żarty. – Co ja mam z tym zrobić?

Myślała gorączkowo. Zauważyła, że im Polko i Tadek też się drapią. „A Janka pewnie też” – myślała. Dopiero teraz zauważyła, że Janki nie ma na kolacji. „Gdzie ona jest? Zamiast pilnować rodziny, poszła gdzieś” – myśli zaczęły gonić jedna za drugą. Kiedyś słyszała, że na gnidy najlepsza jest nafta, ale czy na wszy?

– Chodź do mnie, córko.

Zaczęła przegarniać pasemka włosów jeden po drugim i wybierać wszy, rozgniatając je na paznokciach kciuków. Niektóre były grube i lada chwila wylęgłyby się z nich gnidy. Te trzaskały głośniej.

– Jutro umyję ci głowę naftą.

– A mnie? – dopominał się Stefan.

– Tobie to jeszcze dzisiaj obetnę włosy, łatwiej będzie z nimi walczyć. Ale jak się ich pozbyć, kiedy wszyscy w baraku je mają? Gdzie nie spojrzysz, wszyscy się drapią. „Nie, tego chyba nigdy nie da się wyplenić. Chyba trzeba się będzie z nimi zaprzyjaźnić” – myślała.

Wzięła do ręki nożyczki.

– Chodź – zwróciła się do Stefana.

Ścinała mu włosy na łysą pałę. Płakał, bo żał mu było włosów.

Tadek z Polkiem nie dali sobie ściąć włosów.

– Jak będę wyglądał?! Wstyd będzie wyjść.

– Jak ostrzyżony baran – dogryzał mu Polko.

– Pytałem ciebie, ośle!?

– Ty, ty – zaperzył się Polko i skoczył z pięściami na brata.

– Zaraz was obu pogodzę! – Matka spojrzała na nich groźnie. – Nie chcecie, to nie. Niech was wszy żrą.

Około dziesiątej wróciła Janka. Zauważyła matkę siedzącą na łóżku.

– Mama już wróciła? – zdziwiła się.

– Ja wróciłam, a ty dopiero teraz?! Gdzie byłaś?

Janka zaczerwieniła się.

– U koleżanki – skłamała.

– Pewnie u tego ryżego Iwana – z ironią rzucił Polko.

– Zamknij się – fuknęła Janka. – Jaka jestem głodna! Jest kolacja?

– Nie jadłaś? – udał zdziwienie Tadek.

W połowie sierpnia do Szund-Oziera przywieziono wielki brezentowy namiot i ustawiono na środku placu. Którejś niedzieli ogłoszono, że wszyscy mieszkańcy mają stawić się przy namiocie na odwyszawianie. Na tę ceremonię przyszedł sam komendant Sawin. Operator odwyszawiania wyszedł z namiotu.

– Dwadzieścia osób proszę do środka.

Wchodzili, jak stali w kolejce. Kobiety, mężczyźni, dzieci. Na środku namiotu paliło się ognisko.

– Rozbierajcie się, a ubrania powieści na tych hakach. A teraz wsadźcie głowy w te otwory i zawiążcie koło szyi kołnierze. – Odczekał chwilę. – Gotowe?

Nasytał na ognisko miątką siarkę. Śmierzący dym wypełnił wnętrze namiotu. Stali tak przez piętnaście minut. Niektórzy twierdzili, że słyhać było, jak wszy pękały od tego smrodu. Po tym czasie mistrz od dezynsekcji wietrzył namiot. „Oczyszczeni” ubierali się i wychodzili na zewnątrz. Za nimi wchodziła następna tura, po nich następna, aż cały obóz śmierdzał siarką.

Na drugi dzień operator zwijał namiot i odjeżdżał do następnego obozu i tak przez całe syberyjskie lato. Za rok znowu tu przyjedzie.

Pod koniec sierpnia komendant obozu wezwał Ludwikę do siebie. Już nie bała się tak jak za pierwszym razem, ale zawsze, gdy wzywał NKWD-zista, trzeba było liczyć się ze wszystkim. Domyślała się, co jest powodem wezwania, ale całkiem pewna nie była. Otworzyła drzwi i weszła do biura. Sekretarka, która siedziała obok, spojrzała na nią spode łba. Wiedziała, że jak komendant rozmawia z tą Polką, to ona musi wyjść.

– Marusia! – powiedział Sawin i spojrzał na nią wymownie.

Marusia wyszła bez słowa.

– Ot, *charaszo*, że przyszłaś – ucieszył się prawdziwie. – Jak było na sianokosach?

Opowiedziała mu wszystko.

– Te piekielne komary nie dawały nam żyć – zakończyła.

– Wiem, wiem, brygadzysta mi opowiadał i nie mógł się ciebie nachwalić. Ale ja nie po to. Weź.

Spojrzała na niego pytająco.

– My dostali paczku.

– My? – zdziwiła się.

– Nu, ty dostałaś z Polszy, ale...

Wstał od biurka, podszedł do gabloty z szufladami pełnymi dokumentów. Otworzył na dole drzwiczki, wyjął dużą paczkę, postawił na biurku.

– Bierz.

Wyjął nóż z szuflady i poprzecinał sznurki.

Ludwika rozpakowała paczkę i zawartość stawiała na stole. Przyglądała się z ciekawością, jakby na coś czekał. Na końcu wyjęła spory przedmiot owinięty flanelą. Były w nim trzy butelki polskiej wódki. Wzięła je do ręki i postawiła przed nim.

– Mnie nie potrzeba, weźcie.

Włożył butelki do szuflady. Ręce mu drżały. Ludwika zaczęła wkładać z powrotem zawartość paczki. Wzięła do ręki podłużną paczuszkę. Domyśliła się, co w niej jest. Rozwinęła – cztery wedlowskie czekolady. Trzymała je w rękę, jakby je ważyła. Spojrzał na nią. Wyjęła dwie i wręczyła komendantowi.

– To dla waszej córki i żony.

Nie spodziewał się tego. Stał oniemiały. Ludwika tymczasem dalej wkładała do pudła resztę.

– *Nu, spasiba*. Możesz już iść.

– Ja chciałam was o coś prosić.

– Nu, co, mów, chętnie wysłucham.

– Czy wy nie dalibyście mojej córce jakiejś pracy?

– Hm, to może ta dziewczyna, co nasi mówią, że jedna Polka tak tańczy i śpiewa jak artystka?

– Tak mówią, ale tego śpiewu i tańca do garnka nie włoży.

– Rozumiem, rozumiem. Nu czekaj, niech pomyślę – zastanawiał się. – O, już wiem – zawołał i podniósł palec do góry. – Będzie nam potrzebny listonosz. Niech twoja córka jutro rano przyjdzie do mnie.

– *Spasiba*.

– Ja tożę dziękuję za... – Mrugnął znacząco. – I od żony, i córki też *spasiba*.

Ludwika, wychodząc od Sawina z paczką pod pachą, spotkała na korytarzu Marusię.

– Mogę tam już wejść? – zapytała złośliwie.

– Nie mnie pytaj.

– Też ważna osoba, phi – prychnęła i weszła do środka.

Ludwika z paczką wróciła do baraku. Chłopców gdzieś wywiało, a Janka z Haliną siedziały na łóżku. Halina podbiegła do matki zaciekawiona.

– Co mama przyniosła?

Janka też z zainteresowaniem przyglądała się paczce.

– Znowu dostałam paczkę od babci.

– Z Polski?

– Z Polski – westchnęła Ludwika.

Wieczorem, kiedy wszyscy byli już po kolacji, rozpakowała paczkę. Wyjęła z niej czekoladę i poczęstowała dzieci.

– Co jeszcze babcia przysłała? – pytał Polko.

– Nic takiego, to, co za pierwszym razem. Ale mam dla Janki dobrą wiadomość.

– Jaką, jaką? – dopytywali wszyscy.

Janka z ciekawości aż pokraśniała na twarzy.

– Jaką wiadomość ma mama dla mnie?

– Jutro pójdziesz do NKWD, to się dowiesz. A teraz idziemy spać.

Janka do północy nie mogła zasnąć. Była ciekawa, co ma jej do zaproponowania Sawin.

Rano skoro świt wstała, umyła się i z niecierpliwością czekała, aż NKWD otworzy biuro. Nawet nic nie jadła, tylko o ósmej pobiegła do biura. Otworzyła drzwi i wpadła wprost na Sawina.

– A wy kto? O mało mnie nie przewróciłaś!

– Ja, ja nazywam się Wasilewska.

– Aaaa – otworzył usta, usiadł za biurkiem przyglądał jej się z ciekawością.

„Ładna ta Wasilewska, ale całkiem niepodobna do matki. Hm, hm, to dla niej nasi chłopcy potracili głowy. Tylko zamęt sieje” – myślał.

– Nu, mam dla ciebie robotę. A bukwy ruskie ty znasz? – zapytał.

– Znam.

– To dobrze, dobrze.

Naraz wstał.

– Od jutra będziesz u nas listonoszem. Rano pójdziesz do Ustwaingi na pocztę. Jak będą jakieś gazety, listy czy paczki, przyniesiesz do mnie, zrozumiałaś?

– Zrozumiałam – przytaknęła bez entuzjazmu.

– Nu tak, do jutra – rzekł i pokazał ręką drzwi.

Janina wróciła do baraku w nie najlepszym nastroju. Zrozumiała, że czas beztroskiego życia minął bezpowrotnie i że musi wziąć na swoje barki część brzemienia, jakie nosi matka.

– Co on od ciebie chciał? – zapytała Ludwika, jakby o niczym nie wiedziała.

– Od jutra mam być listonoszem.

– Czym? – dopytywał Tadek.

– Listonoszem, głupku.

– A czym chciałabyś zostać, może hrabiną na ziarnku grochu – ironizował Polko.

– Księżniczką – poprawiła.- Jak nie wiesz, to nie gadaj. Nawet nie wiem, gdzie jest ta Ustwainga.

– Ja wiem, z drugiej strony jeziora. Jutro rano pójdę z tobą – ofiarował się Tadek.

– Dobrze. – Spojrzała na brata przyjaźniej, ocierając łzę.

Janka wstała rano, zanim dzwon się odezwał. Ze zdenerwowania nawet nie zjadła śniadania. Kiedy usłyszała pierwsze dźwięki dzwonu, wyszła z bratem do swojej pierwszej pracy. Zeszli na dół do jeziora, a potem jego brzegiem doszli do bagna, szerokiego na dwieście metrów i ciągnącego się na dwanaście kilometrów. Żeby przejść na drugą stronę, trzeba było przejść po palach wbitych w bagno. Latem były one mokre i śliskie. Należało uważać, żeby się nie pośliznąć, bo to zwykle kończyło się powolnym zanurzaniem w błocie. Miejscowi to przejście nazywali drogą śmierci.

– To ja mam tędy przejść? – Dziewczyna spojrzała na brata ze strachem.

– Nie musisz, można iść naokoło bagna, ale to jest daleko.

– Jak daleko?

– Ze dwadzieścia kilometrów.

– A tędy?

– Tędy będzie ze trzy...

– To chodźmy, tylko daj mi rękę.

– Musisz dalej iść sama, bo ja z tobą nie będę codziennie chodził. Zresztą za tydzień, dwa bagna zamarzną i będzie inny kłopot.

– Jaki?

– Śnieg.

– To chodź ze mną ten pierwszy raz – poprosiła.

Postawiła nogę na palu z wahaniem, potem z lękiem na drugim, trzecim, dziesiątym. Zadowolona z siebie, na środku bagna obejrzała się na brata. Zachwiała się, krzyknęła, zamachała rękami i... stanęła. Po chwili uspokoiła się i ruszyła dalej. Brzeg był coraz bliżej. Jeszcze parę kroków i... uff. Odetchnęła z ulgą.

– Teraz możesz się obejrzeć, ale nigdy tego nie rób na środku bagna, bo drugiego razu już nie będzie – przestrzegął Tadek siostrę.

Szli wydeptaną ścieżką prowadzącą do Ustwaingi. Zgnilizna bagna jeszcze jakiś czas ciągnęła się za nimi. Niedaleko majaczył las, który przywitał ich chłodem i zapachem żywicy. Szli krętym duktem wśród zielonych mchów, przetykanych fioletem kwitnących wrzosów.

– Spójrz, tam, czerwone jagody – zauważyła Janka i podeszła bliżej. – To żurawiny.

Wystawiały do bladego słońca swoje czerwone jagody spod drobnych, zielnych listków, jakby zapraszały, żeby je zerwać.

– Jakie kwaśne! – skrzywiła się Janka.

– Ale zdrowe, pamiętasz? Mama w Złotowie robiła z nich konfitury na zimę. Pyszne były z miodem.

– Przestań, na samą myśl ślinka mi cieknie. Chodźmy, bo się spóźnię, a wtedy ten Sawin...

Szli lasem pół godziny, potem las się urwał i weszli na rozległą porębę.

Pniaki ściętych drzew stały nieme jak mumie, ale swą milczącą wymową oskarżały chciwych i bezmyślnych morderców drzew. Ponury był to widok.

Z daleko widać było już baraki i dymy z kominów snujące się nisko przy bezwietrznej pogodzie.

Weszli do obozu podobnego do Szund-Oziera i chyba podobnego do wszystkich obozów na Syberii.

– Gdzie poczta? – zapytali przechodzącego człowieka.

– O tam, z tym czerwonym dachem.

Był inny niż reszta baraków. Podeszli pod wskazany budynek.

„Poczta” – widniał napis na froncie. Otworzyli drzwi i weszli do środka. Za barierką siedziała grubawa kobieta, lat około pięćdziesięciu. Spojrzała przez grube okulary na wchodzących.

– A wy kto i skąd?

– My, ja przyszedłam z Szund-Oziera i mam być listonoszem.

– A czemu ty do pracy się spóźniła, a?

– Ja szłam przez bagna, powoli...

– Mnie nie obchodzi, którądy idziesz, masz być w pracy o ósmej i nie ma gadania. A za spóźnienie umyjesz korytarz.

Wyrzuciła pogięte wiadro za barierkę, a zaraz za nim poleciała szmata.

– Na dworze jest studnia – rzekła i odwróciła się plecami.

Tadek wziął wiadro, nabrał wody i przyniósł na pocztę.

– A ty czego, pracujesz tu?

– Nie, ja przyszedłem z siostrą.

– No to won stąd, polski szczeniaku! – warknęła i złość wykrzywiła jej twarz.

Tadek zacisnął pięści, aż zatrzeszczały mu w stawach, ale wyszedł, czując swoją bezsilność.

Janka zmoczyła szmatę w wiadrze i zaczęła myć korytarz. Widocznie robiła to niezdarnie, bo urzędniczka wyszła zza barierki i przyglądała jej się krytycznie.

– Co, nie miałaś nigdy szmaty w ręce? To ja cię nauczę! – darła się nad klęczącą dziewczyną.

Niespodziewanie kopnęła wiadro z wodą, aż potoczyło się pod drzwi, zalewając ubranie i twarz Janki brudną wodą. Janka rozplakała się.

Na tę scenę weszła druga urzędniczka, widocznie kierowniczką urzędu. Spojrzała na klęczącą Jankę i stojącą przy niej zastępczynię, wspartą pod boki. Przed chwilą rozmawiała przez telefon z NKWD-zistą z Szund-Oziera. Prosił, żeby traktować jego pracownicę przyjaźnie i po ludzku. A tu... zawrzała gniewem.

– Jewgienija, co ty szaleju się najadłaś? Ty chcesz chyba, żeby mnie do lasu wysłali albo do łagra! Ja ciebie... – Nie dokończyła. Podeszła do Janki.

– Chodź, dziecko. Usiądź, zrobię ci herbaty – powiedziała łagodnie.

Janka, chlapiąc, poszła za kobietą.

Jewgienija stała nad kałużą wody i przewróconym wiadrem. Chcąc nie chcąc, sama zebrała szmatą wodę i usiadła za biurkiem. Spoglądała od czasu do czasu na przekłętą Polkę.

Kierowniczką tymczasem tłumaczyła nowej, co będzie należało do jej obowiązków.

– Nie możesz wyjść z poczty przed trzecią, taki jest ustaw. Potem weźmiesz pocztę i zaniesiesz do Szund-Oziera, *panimajesz?*

– *Da, panimaju, dziękuję, izwinitie, spasiba.*

– Dobrze, dobrze. Dzisiaj już możesz iść, tylko weź listy do was i jutro nie spóźnij się.

– Dobrze – Janka odparła, po czym wyszła.

Tadek wałęsał się wśród wymarłych pieńków na porębie. Słyszał krakanie gawronów, które według wierzeń były zwiastunami śmierci. Niesłusznie. Tu jednak, jak patrzył na wymarłą porębę, miały głęboki sens. „Niedługo odlecą, może nawet do Polski?”

Czas mu się dłużył. Zaczął zbierać żurawiny. „Zaniosę trochę do domu” – mówił do siebie. „Halina i Stefan tak je lubią”. Roześmiał się. Przypomniał sobie, jak Stefan w Złotowie najadł się pieprzu zamiast czarnych jagód. Wyprostował się i spojrzał w kierunku obozu. Zobaczył Jankę, która wyszła z poczty i szła z powrotem do Szund-Oziera. Miała przewieszoną przez ramię skózaną torbę. Była trochę za ciężka jak na szesnastoletnią dziewczynę, bo Janka pochylała się mocno do przodu. Kiedy była blisko, zawołał:

– Hej, hej, tutaj jestem!

– Nie poszedłeś do domu?

– Nie, czekałem na ciebie. Daj, poniosę ci torbę.

Wziął od niej torbę. Przeszli przez las, aż doszli do przejścia przez bagna.

– Idź pierwszy, ja pójdę za tobą, będzie mi raźniej.

Weszli na drogę błotnej śmierci, śliskiej i niebezpiecznej. Tadek szedł pierwszy, udawał odważnego. Stawiał niepewne kroki na sztywnych nogach, jakby szedł po śliskim lodzie. Janka szła za nim i choć to dziwne, nie bała się i kroczyła odważnie i pewnie. Szczęśliwie dotarli na drugi brzeg.

– Uff – odetchnął z ulgą, kiedy poczuł grunt pod nogami. – Martwię się o ciebie.

Co będzie, jak złapie pierwszy mróz? Pale wtedy będą bardzo śliskie, a bagna jeszcze nie zamarzną.

– Nie ma co się martwić na zapas. Jakoś to będzie.

– A wiesz, słyszałem wczoraj od jednego z miejscowych, że tę drogę przez bagna budował jeden z zesłańców, Polak – inżynier. Pierwsze kroki postawił NKWD-zista. Chciał się popisać odwagą, a że nie był zbyt trzeźwy, wpadł do bagna i utonął. W ramach zemsty NKWD-ziści wrzucili inżyniera do bagna w miejscu, gdzie utonął ich kolega.

– To straszne – Jankę poruszyła ta historia. – Przecież inżynier nie był winien temu, że NKWD-zista był pijany.

– Tu nie trzeba być winnym, żeby stracić życie. A ciebie, co spotkało dzisiaj na poczcie?

– Daj spokój, nie ma o czym mówić.

Jesień przysłała już w sierpniu. Pod koniec lipca liście na drzewach żółkły, a potem nabierały różnorodnych kolorów, od złocistego po rdzawą czerwień. Nie były tak kolorowe, jak w Polsce, bo i drzew liściastych było tu niewiele. Królowały brzozy wąskolistne, osiki, olsze i jarzęby. Drzewa te rosły przeważnie na bagnach albo przy brzegach jezior i rzek. Późną jesienią jarzębina rozdawała swoje skarby. Czerwone korale nanizane na nitkę zdobiły niejedną dziewczęcą szyję. Paradowały w tej swoistej biżuterii, chodziły do *krasnawa ugalka* na tańce. Słabe nitki, przytulane zbyt mocno, urywały się i korale spadały na podłogę, toczyły się i były rozdeptywane przez tańczące pary. Ubogie dziewczęta z tajgi nie znały blasku brylantów. Dla nich jarzębinowe korale miały magiczną moc. Wabiły kochanków, a z nimi miłość. Miłość to szczęście, którego nie dają zimne brylanty.

Wrzesień pobielił szronem dachy domów i ziemię. Pokrył jezioro cienkim lodem. Ptaki, które były tu jeszcze nie tak dawno, odleciały na południe. Tylko swarliwe wróble stroszyły piórka i zakłócały spokój. Ale i one niedługo odlecą.

Zima stała już w progu. Wahała się, jakby na coś czekała, zanim ściśnie mrozem i sypnie śniegiem.

Rozdział XIII

Domy budowane od wiosny były gotowe do zasiedlenia. Połowa tych, których tu przywieziono w lutym, umarła z głodu albo zginęła podczas prac w lesie. Nawet nie wiadomo, gdzie szukać ich mogił. Ci bezimienni męczennicy leżą gdzieś pochowani w lesie i tylko wiatr gra im smętną melodię na gałęziach bezlistnych drzew.

Nowe transporty naznaczonych sunęły na wschód nieprzerwanie, żeby zapełnić luki po zmarłych. Ten stale głodny potwór był nienasycony. Pożerał coraz więcej ludzi i było mu obojętne, czy to kobiety, mężczyźni czy dzieci.

Któregoś dnia komendant NKWD spotkał Ludwikę idącą do pracy.

– Przyjdź do mnie dziś po pracy do biura, mam dla ciebie niespodziankę.

– Jaką?

– Przyjdziesz, to się dowiesz.

„Jaką on może mieć dla mnie niespodziankę?” – Ta myśl nie dawała jej spokoju. Kiedy skończyła pracę, zniosła wiadro i pędzel do szopy. Przebrała się i niesiona ciekawością, weszła na komendę.

Sawin siedział za stołem i grzebał w papierach. Popatrzył na nią.

– O, dobrze, dobrze, że jesteś. Czekałem na ciebie.

Nie odpowiedziała, czekała cierpliwie.

– Mam dla ciebie dobrą wiadomość.

– Jaką?

– Jutro przeniesiesz się do nowego baraku. Dam ci osobny pokój, dla ciebie i dla rodziny. – Zaczął grzebać w szufladzie. – O, mam! Kazałem nawet dorobić klucz do drzwi. – Położył przed nią klucz.

Ludwika patrzyła to na klucz, to na niego. Uśmiechał się, wiedział, że zrobił jej niespodziankę. Nie mogła uwierzyć, że ten NKWD-zista może dla kogoś zrobić coś dobrego. Stała przed nim i zastanawiała się. „Dlaczego dla mnie? Za co?” – szukała w myślach powodu i nie mogła się domyśleć.

– No, bierz klucz. Nie cieszysz się?

Głos Sawina wyrwał ją z zadumy.

– Cieszę się, bardzo się cieszę i bardzo dziękuję, ale chciałam was o coś jeszcze prosić.

– Słucham, mów.

– Czy mój syn nie mógłby pracować w lesie? Kiedyś już pracował za mnie, jak byłam chora.

– Dobrze, niech przyjdzie do mnie przy końcu września. To jeszcze młody chłopiec, ale znajdę dla niego coś odpowiedniego.

Chwilę milczał i przyglądał się Ludwice ciekawie. Miał przenikliwy wzrok.

Zmieszała się.

– *Spasiba, oczeń' spasiba* – spóźniła się z podziękowaniem.

– Nie ma za co, jestem ci to dłużny. A może dać nowego nawalszczyka?

– Nie, nie trzeba, niech zostanie ten, co był. – Zarumieniła się.

– Nu, dobrze – powiedział wolno, próbował ukryć uśmiech igrający na wargach.

– To ja już pójdę – powiedziała, czując się niezręcznie pod jego spojrzeniem.

Kiedy wychodziła, powiódł za nią wzrokiem. „Wspaniała kobieta, u nas takich nie ma”.

Ludwika poszła do baraku. Dopiero przy kolacji obwieściła dzieciom nowinę.

– To chodźmy tam dzisiaj – Stefan już nie mógł się doczekać przeprowadzki.

– Pójdziemy jutro i przeprowadzimy się za dnia. Co można zobaczyć, jak jest ciemno.

– Racja – zgodził się Tadek.

Nazajutrz Ludwika dostała wolne na przeprowadzkę. Gdy zrobiło się widno, zaczęli przenosić swój skromny dobytek do nowego mieszkania. Otworzyła drzwi i weszli do środka. Wewnątrz było czysto i pachniało żywicą. Łóżka były pojedyncze. W środku pokoju stał piec z kominem przy ścianie. Nawet był stół, prosty, zбитy z kilku desek, a przy nim pieńki do siedzenia. Prawdziwy komfort jak na tutejsze warunki.

Na drugi dzień ze starego baraku przyszła w odwiedziny śmietanka towarzyska. Pani kapitanowa Żyła, pani mecenasowa Jarocka, sędzina Złotopolska z nauczycielką Kwiecińską.

– Jeszcze nam wszów naniosą – odezwał się cicho Polko do Tadzika, patrząc na znakomitych, nieproszonych gości.

– Cicho bądź, bo jeszcze usłyszą – strofował go Tadek.

– O, jaki piękny apartament – podziwiałały kobiety. – A jak pięknie pachnie!

– No. Teraz będziemy mogły tu przychodzić na pogawędki, prawda, Ludko? – Kwiecińska zwróciła się do gospodyni per „ty”.

Ludwika zbaraniała i nie wiedziała, co ma powiedzieć na taką propozycję. Przygryzła wargi. Dziwiła się tylko, że żadna z nich nie próbowała nawiązać jakiegokolwiek znajomości na starych śmieciach, nie mówiąc o poufałości. Wręcz przeciwnie. Słyszała parę razy uszczypliwe uwagi, że żona wojskowego zadaje się z biednymi Solenikami, na domiar złego prawosławnymi.

– No, nie będziemy ci dzisiaj przeszkadzać w urządzaniu mieszkania. Przyjdziemy, kiedy już się urządzisz – pożegnała ją kapitanowa Żyła.

– Racja – przytaknęły koleżanki.

– No to do widzenia – bąknęła i poczuła ulgę, gdy wyszły.

– Mamo, co one chciały? – dopytywał się Polko.

– Chciały, żeby je czymś poczęstować.

– Dlaczego?

– Zwykle tak się robi, gdy ktoś urządza mieszkanie i znajomi przychodzą pogratulować nabytku.

– Mamo, a z czego one żyją, bo ja nie widziałem, żeby chodziły do pracy.

– Bóg jeden wie i dziw, że do tej pory jeszcze żyją i mają się nieźle.

– Może dlatego, że składają często nieproszone wizyty innym – skwitował Tadek.

W ostatnim dniu września zima już na dobre zagościła w tajdze. Najpierw chwycił mróz, a potem sypało śniegiem przez kilka dni. Drzewa ubrały się w białe szaty, jakby gotowe na gody.

W Szund-Oziero i we wszystkich obozach trwały gorączkowe przygotowania do wyrębu lasu. Zima przychodziła tu zawsze wcześniej i jak zwykle zaskakiwała niezbyt dobrze przygotowanych do niej ludzi.

Trwały ostatnie naprawy sprzętu. Komendant NKWD Sawin dwoił się i troił. Prosił, pomagał, groził. Któregoś dnia wezwał Tadzika do siebie.

– *Nu, parien'*, ty już pracowałeś w lesie, co?

– Tak, przy zwózce.

– No, na zwózkę to ty jeszcze za słaby.

– Ale ja...

– Wiem, wiem, chciałbyś pomóc matce. Ja ci dam lżejszą pracę, ale bardzo odpowiedzialną. – Poszedł do drugiej izby i przyniósł młotek na długim trzonku. – Masz, tu na tym młotku jest numer naszego lesopunktu. Jak w lesie zerzną drzewo, to ty z jego grubego końca odbijesz numer. Rozumiesz?

– Pewnie, że rozumiem.

– Tylko uważaj, w lesie jest niebezpiecznie, żeby ci jakie drzewo na głowę nie upadło.

– Dobrze, proszę pana.

Sawin przygryzł wargę.

– Ile masz lat?

– Piętnaście.

– Hm, piętnaście – powtórzył. – Powinieneś jeszcze chodzić do szkoły a nie z młotkiem po lesie biegać. No, idź już, a jutro rano do pracy...

Praca w lesie ruszyła już na dobre. Tadek do pierwszej swojej pracy zabrał się z matką. W lesie zsiadł z sań. Matka przeżegnała go znakiem krzyża, żeby go chronił przed niebezpieczeństwem. Wziął młotem na ramię i poszedł w las, skąd dochodził stukot siekier i odgłos piłowania.

„Pójdę na wprost, będzie bliżej” – pomyślał. Zrobił parę kroków i wtedy doleciał do niego głos ostrzeżenia: „Uwaga tam!”.

Niedaleko usłyszał trzask, a potem zobaczył padające drzewo. Leciało prosto na niego. Zaczął uciekać, poczuł uderzenie i stracił przytomność. Upadł, przykryty zielonymi gałęziami świerka. Jak przez sen usłyszał dźwięczny pogłos rąbania

siekierą tuż nad głową. Drwal odrzucił odrąbaną gałąź na bok, zamierzył się i wtedy usłyszał jęk. Wstrzymał lot siekiery i spojrzał w dół. Przeraził się.

– Jej Bohu, zabiłem człowieka! – wrzeszczał.

Koledzy przybiegli zobaczyć, co się stało. Zobaczyli chłopca pod gałęziami w śniegu. Jeden z nich pochylił się i uderzał chłopca dłonią po twarzy.

– Malczyk, żyjesz?

Tadek otworzył oczy.

– Co się stało?

– Żyje, chwała Bogu – odetchnęli z ulgą. – Możesz wstać?

– Chyba mogę.

Gramolił się powoli, żeby wyleźć spod śniegu. Szumiało mu w głowie, ale był przytomny. Pomogli mu wstać.

– Kto ty i co tu robisz?

– Ja tu pracuję.

– Gdzie, pod drzewem, ty kret?

– Nie, ja w lesie odbijam numery.

– No, niezły numer nam odwaliłeś na początku sezonu. Chodź z nami, bo tu niebezpiecznie.

Tadek porozglądał się niespokojnie na prawo i lewo.

– Zgubiłeś coś?

– Miałem ze sobą młotek z numerami.

– Jaki młotek, pomieszało ci się w głowie od tego świerka?

– Wiem, co mówię. Dostałem go dziś od komendanta Sawina. Mam nim odbijać numery na ściętym drzewie.

Zrobili jakieś dziwne miny, popatrzyli na siebie znacząco, ale zaczęli grzebać w śniegu.

– Nie bujasz czasem?

– Nie, niosłem go na ramieniu, jak szedłem do lasu.

Drwale nie wiedzieli, czy mają mu wierzyć czy nie, ale nadal przeczesywali śnieg.

– O, chyba coś tu mam. – Jeden z nich wyjął ze śniegu coś w rodzaju młotka, na długim trzonku.

– To ten?

– Ten.

– Pokaż – poprosił pilarz. Pooglądał młotek ze wszystkich stron.

– Co to za cyfry?

– To numer naszego obozu, żeby można było poznać, skąd pochodzi drzewo.

Z niedowierzaniem pokręcili głowami.

– I ty szedłeś tutaj, gdzie padają ścięte drzewa, żeby odbić ten numer? Czy ty na głowę upadłeś! – skarcił go pilarz. – Nikt ci nie powiedział, gdzie i jak masz to robić?

– Nie.

– Masz wielkie szczęście, synku, masz szczęście. Szedłeś tu, a o mało nie znalazłeś śmierci.

Tadek stał ze spuszczoną głową i milczał. Zrozumiał, że popełnił błąd, który mógł go kosztować życie.

– Idź na plac, gdzie zrywkarze ściągają drzewo, tam bez narażania życia odbijesz te swoje numery i nikt z nas nie będzie cię miał na swoim sumieniu.

Tadek, zawstydzony i jeszcze trochę oszołomiony, poszedł na plac i czekał, aż pierwszym uderzeniem młotka rozpocznie swoje dorosłe życie. Trójka drwali poszła do swojej pracy. Musieli się spieszyć, bo zmitrężyli trochę czasu, a normę trzeba wykonać.

Tadek nie czekał długo. Niebawem ukazały się pierwsze konie, tak jak mówili mu drwale. Ciągnęły po dwa drzewa uwiązane na łańcuchu od orczyków. Przyciągnęły na plac i odpięły łańcuchy. Za nimi podążały inne zaprzęgi. Tadek chwycił młotek w rękę, posmarował numerowaną część czarnym mazidłem, zamachnął się i uderzył w pień drzewa, pozostawiając ślad pracy łagrowników.

Zima 1941 roku była mroźna i tu, w tajdze, długa. Mijały dni, tygodnie i głodne miesiące. Fufajki nasączone były potem, a ludzie pogardą. Zmarłych nikt nie liczył i niewielu znało ich nazwiska. Odchodzili codziennie, jeden za drugim, po cichu. Nie tak jak ci z Westerplatte przy huku armat i czwórkami prosto do nieba. Ci z tajgi nie mieli siły krzyczeć. Przychodziły nowe transporty na zatracenie. Tu nikt nikomu pomników nie stawiał ani teraz, ani nigdy. Ci, co przeżyli gehennę, chcieli wrócić do wytęsknionej ojczyzny. Ale tam, daleko, gdzie zachodziło słońce, nikt na nich nie czekał. Ojczyzna okazała się macochą. W kraju mówili na nich ruskie, a w Rosji z pogardą: Paliaki. Poumierali i nie wiedzieli, kim są, choć serce ciągnęło ich do Polski.

Grudzień szczyrzył zęby i kąsał mrozem. Właził w każdy zakamarek. Odmrażał uszy i palce u nóg, choć obuci byli w walonki.

Wiatr wył w gałęziach drzew i zasypywał śniegiem wszystko. Niebo zeszło do ziemi, jakby sprzysięgło się z diabłem przeciwko ludziom. Po kilku dniach wszystko ucichło i na niebo wróciły gwiazdy i mrugały wesoło.

Janka z Tadzikiem byli już w domu, kiedy Ludwika wróciła z pracy. Umyła się i przebrała. Siadła na łóżku, żeby odpocząć. Polko snuł się po izbie niepewnym krokiem, jakby poruszał się po ciemku. Przyglądała mu się zaniepokojona.

– Czego ty szukasz?

Odwrócił się na jej głos i szeroko otworzył oczy.

– Mamo, ja wieczorem prawie nie widzę!

– Nie widzisz nawet światła latarki? – zapytał Tadek.

– Widzę tylko mały płomyczek.

– Boże, co teraz będzie? – przeraziła się matka.

Zacząła gorączkowo szukać przyczyny. Przypomniała sobie, jak kiedyś babcia Antonina mówiła, że u nich na wsi często zdarzała się taka przypadłość. Babcia nazywała tę chorobę kurzą ślepotą. Była ona dość powszechna wśród ubogiej ludności wiejskiej. „Ale co o ni dawali ludziom, którzy na nią chorowali?” – nie mogła sobie przypomnieć. Objęła głowę dłońmi i zaczęła wydobywać z zakamarków pamięci...

– Wiem! – prawie krzyknęła. – Wątroba. Tylko wątroba? – pytała siebie.

Przeczesała myśli jak kartki kalendarza. Przecież w tę witaminę bogate są ryby, mleko, masło. Ryby. W jeziorze są ryby, niby są – biła się z myślami. Ale jak je złowić? Łód na jeziorze gruby na dwa metry i śniegu na nim drugie tyle. Traktory gąsienicowe, stalince, wożą po nich na ogromnych saniach drzewo. Trudno będzie.

Na drugi dzień, jadąc saniami do lasu, pełna niepokoju, podzieliła się swoim zmartwieniem z nawalszczykiem Stanisławem. Ten wysłuchał i nie bardzo się tym przejął. Spojrzała na niego z pretensją. Spodziewała się, że jej coś doradzi.

– Spokojnie – odezwał się po chwili. – Tutaj prawie wszystkie dzieci w okresie dojrzewania mają ten problem – uspokajał. – Idzie Nowy Rok, na pewno ktoś z naszych będzie bić kabana. Popytam.

Zajechali na plac załadunkowy. Stanisław zszedł z sań i podszedł do grupy wozaków. Rozmawiali chwilę. Jeden z nich pokazywał w stronę lasu. Poszedł tam.

– Trochim, ktoś do ciebie.

Ten wyprostował plecy i wbił siekierę w pień drzewa.

– Czego? – odezwał się niegrzecznie.

Stanisław podszedł do niego.

– Podobno na święta bijesz kabana?

– A co ci do tego, jesteś z NKWD?

– Co ma NKWD do kabana?

– Ma, jak zechcą, to wszystko co zabiorą.

– Ja przyszedł... – Stanisław wyłuszczył mu powód przybycia.

– To trzeba było mówić od razu, a nie krzyczeć, że słyhać cię na dziesięć kilometrów. Niech przyjdzie do mnie w niedzielę rano, to sprzedam. Mnie się przyda parę rubli na Nowy Rok, żeby godnie go przyjąć – rzekł i mrugnął znacząco okiem.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Ludwika martwiła się, że nie będzie miała z czego zrobić Wigilii. Ale nie to było najgorsze. Jak zrobić, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Drżała na myśl, że przez zawiść ludzką mógł się dowiedzieć ktoś z NKWD. Miała, co prawda, fory u Sawina, ale wołała nie kusić losu.

Tuż przed świętami dla Ludwiki przyszła paczka z Polski. Janka już na pocztce przeczytała nadawcę. „Od Grymmów z Nowojelni”. Ucieszyła się. Ledwie przytaskała ją z Ustwaingi do Szund-Oziera, po kolana w śniegu. Zniosła ją do biura NKWD.

– Powiedz mamie, niech przyjdzie po nią po pracy – powiedziała Marusia,

sekretarka Sawina.

„Czemu ona nie chce mi jej dać?” – zastanawiała się Janka.

Dwa dni przed Wigilią Stefan wziął narty i poszedł pobiegać po śniegu. Ale tym razem nie o samo bieganie chodziło. Zabrał ze sobą niedużą piłę. Wjechał w las i szukał małej choinki. Było ich tyle, że nie wiedział, którą wybrać. W końcu zdecydował się. Ukląkł pod nią i zaczął piłować. Trwało to długo, bo ręka ośmioletniego chłopca była za słaba, a może to piła była tępa. Zmęczył się i spocił, zanim ja wyciął. Chmury spowiły niebo i zaczął padać drobny śnieg. Zrobiło się jeszcze ciemniej. „To dobrze, przynajmniej nie będzie mnie widać”. Z trudem przyciągnął ją do domu.

W dzień Wigilii Ludwika urwała się z pracy. Przyszła do domu wcześniej i krzątała się przy przygotowaniu kolacji. W paczce, którą dostała, było dość produktów. Od mąki i oleju, po miód i rodzyнки. W jednej z czekolad znalazła nawet mały opłatek. Rozczuliła się. Akurat zarabiała ciasto na pierogi. Fartuchem oprószonym mąką wytarła łzę, która toczyła się po policzku. Pobiegła myślami do rodzinnych stron. Broda zaczęła jej się trząść i poczuła, że robi jej się słabo. Bała się, że zemdleje. Szybko wróciła do równowagi. „Dziękuję ci, mamo, że pomyślałaś o mnie. Hanka pewnie pomagała ci pakować paczkę, a Czesiek zawiózł na pocztę. Bóg wam zapłaci!”. Wstała i podeszła do stołu. „Upiekę chyba ciasto, mam miód, rodzyнки”.

W tym czasie Stefan, Polko i Halina ubierali choinkę. Była prawie gotowa, kiedy z pracy wrócili Janka z Tadeuszem.

– O, jaka ładna – powiedział zaskoczony Tadek.

– Co tu tak pachnie? – Janka zaczęła zaglądać do garnków.

– Przebierzcie się i umyjcie, zaraz będzie kolacja.

Tadek pierwszy skończył toaletę i usiadł przy piecu. Matka podeszła do Polka i coś szepnęła mu na ucho. Polko wyszedł.

Po piętnastu minutach otworzyły się drzwi i w progu stanęła rodzina Soleników.

– Proszę, proszę do środka – zapraszała Ludwika.

Pierwsza próg przekroczyła Gienia, za nią młodszy brat Lonek, a po nich Gienek i Władek. Na końcu weszła nieśmiało, jakby trochę przestraszona, ich matka. Choć była jeszcze młoda, twarz miała pokrytą siecią drobnych zmarszczek, od zmartwień i biedy. W jej oczach czaił się głęboki smutek biednej, bezradnej, sponiewieranej przez los kobiety. Chłopcy szli jeden za drugim, objając się o siebie. Nie mogli oderwać oczu od choinki, której nigdy nie mieli u siebie. Ludwika zabrała od Solenikowej miski i postawiła na stole. Pierogi na płycie już dochodziły, ale zanim je podała, wzięła do ręki biały opłatek i zaczęła składać życzenia:

– Życzę wam wszystkim zdrowia, żeby nigdy nie zabrakło chleba i nadziei, że to nowo narodzone dziecię pozwoli nam jeszcze wrócić do Polski, żebyśmy przetrwali to piekło, które zgotowali nam źli ludzie.

Łamała opłatek i podawała każdemu. Łzy jak grochy toczyły się po policzkach kobietom, a z nimi płakały i dzieci, które tu, w Szund-Oziero, nie rodziły się, a umierały. Zamiast radości w dzień Wigilii był płacz i smutek.

– No siadajcie, gdzie kto może – Ludwika zapraszała drżącym głosem do stołu.

Brała miski ze stołu, nakładała do nich pierogi i podawała każdemu do rąk. Wszyscy byli tak głodni, że nie czekali, tylko od razu brali się za jedzenie i choć pierogi parzyły, całe wkładali do ust. Otwierali wtedy szeroko buzie i ziali, żeby pieróg ostygł. Powoli zniknęły wszystkie pierogi. Po pierogach Ludwika przyniosła ciasto drożdżowe z rodzynkami i kompot z suszonych jabłek. Dłubali w cieście i wybierali rodzynki, a potem zajadali samo ciasto, popijając kompotem. To była uczta!

Po kolacji dzieci obsiadły choinkę. Choć nie było na niej świeczek, to migotliwy blask lampy naftowej igrał w kolorowych bombkach. Wpatrywali się w nie jak w coś niezwykłego. Polko wiedziony tym nastrojem zaczął śpiewać kolędę.

– Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi...

Melodię uchwycili Halina z Tadekiem. Ludwika przeraziła się.

– Cicho bądźcie, bo jeszcze kto usłyszy!

Ludwika z Solenikową siedziały przy piecu. Trzymały się za ręce, jakby chciały dodać sobie otuchy. Olga opowiadała, jak ją mąż zostawił z czworgiem dzieci i wyjechał do Ameryki, i za to przywieźli ich tu. Rozmawiali do późnej nocy. Około pierwszej pożegnali się. Od tej pory ta biedna rodzina często gościła w domu Ludwiki.

Zima 1941 roku dla zesłańców była trudniejsza od tej poprzedniej. Ci, co byli tu drugi rok, powoli tracili siły i nadzieję, że uda im się przetrwać. Zrozumieli, że nie przywieziono ich tutaj na „rehabilitację”, jak im mówiono, ale na zatracenie.

Poranny dzwon wzywający do pracy był nieubłagany. Codziennie o godzinie siódmej smagał zesłańców swoim łkającym głosem jak biczem. Zwlekali się z barłogów i szli do pracy, powłócząc nogami. Szli, bo mieli rodziny, szli, choć nie mieli sił. Wielu z nich już nie wracało z pracy. A ich rodziny? Kto by się przejmował nikomu niepotrzebnym balastem.

Jeszcze w październiku ubiegłego roku na Dwinie, niedaleko Bierieznika, ugrzęzła barka uwięziona w lodzie. Barka transportowała mąkę z Kotłasa do głodnego Archangielska. Na barce widocznych było dwóch krasnoarmiejców, którzy pilnowali powierzonego im ładunku. Mijały dni, tygodnie. Jeszcze miesiąc temu widziano na barce dym z blaszanego komina. Teraz już dym nie był widoczny. Może nikt nie palił w żelaznym piecyku. Głodni ludzie z brzegu obserwowali barkę jak wilki, które mają zamiar porwać owcę gospodarzowi z zagrody i tylko czekają na odpowiednią okazję. Czterech mężczyzn już w drugą sobotę obserwoowało barkę, choć w szarości wieczoru niewiele było widać.

– Ty, Józek, tam chyba nikogo nie ma.

- Może i nie ma, ale trzeba to sprawdzić.
- Ale jak? – wtrącił się do rozmowy Zygmunt.
- Jak, jak? Trzeba podejść pod barkę i zobaczyć.
- Racja, że też o tym nie pomyślałem. – Grabowski był tym, który uknuł plan kradzieży mąki z barki. – Kto pójdzie?
- Mogę pójść – zaofiarował się Wrzesiński.

Sylwek zsunął się z wysokiego brzegu na lód rzeki. Szedł w kierunku barki, grzęznąąc w śniegu. Zostawiał za sobą głęboki ślad. Niedaleko przed nim majaczyła barka, zanurzona po burty w lodzie. Podszedł bliżej. „Ile tu mąki, starczyłoby dla całego obozu do wiosny”. Obszedł barkę dookoła raz i drugi. Zobaczył drabinkę prowadzącą na barkę. Zaczął powoli wspinać się i jednocześnie nasłuchiwał. Wokół była cisza. W mroku nocy ta cisza huczała mu w uszach przyspieszonym biciem serca. Bał się, aż ciarki chodziły mu po plecach. Zszedł szybko z drabiny, popędzany strachem. Wracając do brzegu, uspokoił się nieco.

- No i co? – spytał Grabowski.
- Nie wiem. Tam nikogo nie ma. Byłem na barce – zupełna cisza. Idziemy?
- Idziemy.

Wszyscy zeszli na lód i skierowali się jeden za drugim do barki.

- Szybciej – popędzał Grabowski.

We dwóch weszli na pokład. Przeszli na burtę i zaczęli zrzucać worki z mąką.

- Ty, Misza, słyszysz?

– Co?

- Chyba ktoś nam kradnie mąkę.

- Coś ty, głupi, śpij, nic nie słyszę. – Po chwili i do niego dotarły szmery.

Wzięli karabiny i wyszli z kajuty na barkę. Zobaczyli w mroku nocy jakieś cienie.

- Wory, złodzieje! – krzyczeli.

Józek i Sylwek zeskoczyli z barki w głęboki śnieg. Upadli, ale zaraz się podnieśli i uciekali dalej.

- Stój, stój! – goniły ich okrzyki żołdatów.

Nie zatrzymali się, uciekali ile sił w nogach. Mieli nadzieję, że ukryje ich mrok nocy. Zaczęły padać strzały. Świetliste pociski dogoniły uciekające ludzkie cienie. Trzech z nich zginęło na miejscu. Leżeli trzy dni na rzece – ku przestrodze. Zygmunt doczołgał się do brzegu i wrócił do baraku. Rano NKWD-ziści aresztowali go i słuch o nim zaginął.

Wiosna zbliżała się nieuchronnie. Słysząc ją było w pomrukach kry na Dwinie i po odwilżach przeplatanych mrozem. Któregoś dnia Dwina ruszyła majestatycznie, z hukiem pękającego lodu. Gruby lód z trudem torował sobie drogę w korycie rzeki. Pękająca kra, popychana jej nurtem, tańczyła jak baletnica w zawrotnym diabelskim tańcu, wpadała na inne kry, tworzyła zator i wypiętrzała lód wysoko. Ktoś widział

barkę na samym szczycie zatoru, która tkwiła tam dzień, a potem spiętrzona woda wystąpiła z brzegów i rozlała się szeroko po całej okolicy. Barka pod naporem kry przewróciła się do góry dnem i utonęła. Żołnierze mogli się uratować, ale nie zeszli z posterunku. Zginęli jak bohaterzy, służąc ojczyźnie. Gdyby zeszli, też by zginęli, jako dezerterzy.

Na bagnach zaczęły pojawiać się pierwsze trawy ostnic. Ich delikatne kwiatki drgały poruszane wiatrem i wyciągały buzie do bladego słońca. Karłowate wierzby rosnące nad brzegami rzek i jezior także ożyły. Wabiły delikatnymi baziami owady, które jeszcze nie obudziły się zupełnie. Już niedługo ta najpiękniejsza pani obejmie w swoje władanie tajgę. Ludzie z popękkanymi od mrozu wargami odetchną, ale na krótko, zanim na bagnach nie wylęgną się chmary komarów.

Prace w lesie już ustały. W czerwcu Ludwika z brygadą kosiarzy znów poszła na sianokosy. Po dwóch tygodniach zwierzyła się Stanisławowi.

– Wiesz, chciałbym pójść do wymarłej wioski i zobaczyć, co się dzieje ze starą kobietą, która tam mieszka, pamiętasz?

– Pewnie, że pamiętam.

– Ciekawa jestem, czy żyje, może czegoś potrzebuje.

– I co mogłabyś jej pomóc, jak sama masz niewiele.

– Nie wiem, czasem i dobre słowo wiele znaczy.

– Ale czy brygadzista pozwoli ci pójść.

– Zapytam go jutro.

W sobotę wieczorem podała kolację. Kiedy jedli, zapytała:

– Mikołaj, chciałabym pójść do starej kobiety w wymarłej wiosce, puścisz mnie?

– Sama chcesz iść? To niebezpiecznie i daleko.

– Ja z nią pójdę – rzekł Stanisław.

– I ja, co ja tu będę robił całą niedzielę – nieoczekiwanie zaofiarował się Wasyl.

Wyszli w niedzielę wczesnym rankiem. Po dwóch godzinach marszu dotarli do wymarłej wioski. Przeszli zarośniętą drogą pod dom Krystyny. Wyglądał tak, jakby tu nikt nie mieszkał. Stanęli przed furtką. Była otwarta, a i płot pochylił się, zaniedbany, ze starości. Podeszli pod drzwi. Obok, przy budzie, nie było psa.

– Pewnie zdechł. – Stanisław zakołatał do drzwi.

Przez dłuższy czas za drzwiami była cisza, wreszcie uchyliły się i wyjrzała przez nie zupełnie siwa głowa kobiety. Ludwika ledwie ją poznała. „Boże, jak ona się zmieniła przez jeden rok”.

– A wy kto i do kogo? – spytała.

– No, my przyszli do was, odwiedzić.

Zrobiła zdziwioną minę.

– Mnie, a komu ja potrzebna?

– Krystyna! – prawie krzyknęła Ludwika. Podeszła do niej i chwyciła ją za rękę.

Przyglądała jej się przez dłuższy czas.

– To ty, ta Polka z Szund-Oziera. Byłaś u mnie w zeszłym roku?

– Tak.

– Pamiętałaś o mnie, *spasiba*. Ja myślałam, że ty *sawsiem* zabyła.

Ludwika przytuliła ją mocno. Obie płakały, stojąc w progu. Mężczyznom, którzy na nie patrzyli, zwilgotniały oczy.

– Ale co tam, wchodźcie do środka. – Trzymając Ludwikę za rękę, potruchtała do mieszkania. – Ot, żebym ja miała taką córkę jak ty, tobym nie bała się starości. Siadaj, kochanieńka, i mów, co u ciebie, jak dzieci, zdrowe?

– Jakoś sobie radzę, ale co u pani?

– Pani – powiedziała gorzko z wyczuwalną ironią. – Pani – powtórzyła.

– Wot, patrz, jaka ja pani. Mój pałac zaraz zwali mi się na głowę. Nie ma kto wokół niego chodzić, a mój starik już rok, jak nie żyje. Chyba niedźwiedź go zabił. A ja, co sama mogę zrobić, kiedy ledwie łążę. Żeby Boh zesłał jak najrychlej śmierć...

– A córka dalej się nie odzywa?

– Nie, kochanieńka, i nawet teraz nie wiem, gdzie jest, i nie będę jej szukać. Po co mam jej robić kłopot. I tak niedługo umrę – powiedziała smutno.

– Babciu, nie mów tak, przecież ty ją wychowałaś i należy ci się pomoc od niej.

– Kochanieńka, starzy ludzie to dla dzieci kłopot, po co im sobą zawracać głowy. Rozmawiały do wieczora. Kiedy słońce skryło się za lasem, pożegnały się.

– Jak będę tu jeszcze w przyszłym roku, to przyjdę do ciebie znowu.

– Oj, kochanieńka, dla starego jeden rok to tak jak dla młodego dziesięć. Nie mówię ci do widzenia, ale żegnaj.

Stała w progu, aż zniknęli jej z oczu.

Rozdział XIV

Latem 22 czerwca 1941 roku Niemcy hitlerowskie napadły na ZSRR. W pierwszej fazie wojny szybko posuwali się na wschód. Dotarły na przedmieścia Moskwy. Wieści o wojnie dotarły nawet do obozów w tajdze. Niektórzy upatrywali w tym konflikcie swoje wybawienie. Nadzieja, chociaż wąta, wkradała się w serca zniewolonych ludzi. Szeptem rozmawiali o nowej sytuacji. „Już niedługo tej naszej katorgi” – mówili. „Przyjdą Niemcy, to nas stąd uwolnią”. Nawet zaczęli prostować zgięte karki. Nie wiedzieli, o czym mówią, bo nie znali twarzy agresora. W tej wojnie spotkały się dwa totalitarne systemy, które chciały podporządkować sobie świat. Były gotowe podpalić go, zniszczyć narody, żeby osiągnąć ten cel.

Stalin i Hitler, dwaj despotyczni tyrani z chorą psychiką, byli gotowi utopić w morzu krwi nawet własne narody, byle utrzymać się przy władzy. Eliminowali swoich, najczęściej wymaganych przeciwników, ze strachu przed utratą władzy. Strach przerodził się w obsesję, w każdym upatrywali wroga. Prowadził do zbrodni, a w przypadku Hitlera do samobójstwa.

Dnia 30 lipca 1941 roku w Londynie podpisano umowę między rządem polskim na uchodźstwie i rządem ZSRR. Ze strony polskiej układ podpisał generał Władysław Sikorski, a ze strony ZSSR ambasador Iwan Majski. Umowę uzupełniono 14 sierpnia układem wojskowym oraz 3 grudnia Deklaracją Polsko-Sowiecką. Zgodnie z postanowieniami układu nawiązano stosunki dyplomatyczne. Strona sowiecka zobowiązała się zwolnić więzionych w ZSRR Polaków i utworzyć wojsko polskie. Jednakże brak jasnej deklaracji ze strony Sowietów w sprawie granic wschodnich wywołał protest prezydenta Władysława Raczkiewicza. Po tym proteście część jeńców i ludności cywilnej wywieziona na roboty do łagrów została zwolniona. Mogli opuścić miejsce zsyłki. Nie mogli jednak opuścić granic ZSRR.

W myśl umowy z 14 sierpnia 1941 roku zaczęto tworzyć armię polską w miejscowości Buzułuk, koło Kujbyszewa. Na czele armii stanął generał Władysław Anders, zwolniony z więzienia na tę okoliczność. Armia przybrała nazwę Armia Andersa. Ochotnicy do armii zgłaszali się z całego Związku Radzieckiego. Podróż trwała niejednokrotnie wiele tygodni, w bardzo ciężkich warunkach. Głodni i wycieńczeni pracą ochotnicy nie wytrzymywali warunków podróży. Często umierali, zanim dotarli do Buzułuku. W marcu 1942 roku armia liczyła 66 tysięcy żołnierzy. Jednak władze radzieckie nie dostarczały wystarczającej ilości żywności, mundurów i uzbrojenia. Nie w smak była im armia polska, niezależna od ich decyzji. Dlatego zimą 1941 roku rząd radziecki zaczął naciskać, a następnie domagać się wysłania na front dywizji gotowej do walki. Sprzeciwił się temu generał Władysław Anders, gdyż zgodnie z umową polsko-radziecką armia polska miała pójść na front

jako zwarta formacja, z własną artylerią i czołgami. Generał Anders nie dowierzał Rosjanom. Obawiał się, że w czasie walk frontowych artyleria sowiecka mogłaby, niby przez pomyłkę, pokryć obstrzałem piechotę polską. Odmówił. To spowodowało niechęć władz radzieckich, a nawet wrogość do nowo utworzonej armii. Zaczęli szukać pretekstu, jak rozwiązać niewygodną armię. Z kolei rząd Wielkiej Brytanii zaproponował Stalinowi, żeby niewygodne mu oddziały armii polskiej skierował na Bliski Wschód do Iranu i Iraku w celu zabezpieczenia pól naftowych w tych krajach. Ostatecznie Józef Stalin wyraził na to zgodę. Od stycznia do lutego 1942 roku z Buzułuku przeniesiono polską armię do dalszego formowania: część do Uzbekistanu z dowództwem w Jangijul, część do Dżalalabadu w Kirgistanie koło Oszy. Od 2 lutego do 30 września 1942 roku Armia Andersa opuściła „gościnne” terytorium Związku Radzieckiego i wyjechało do Teheranu w Iranie i tam weszła w skład wojsk brytyjskich. Wraz z wojskiem z przymusowych obozów pracy udało się szczęśliwie wyjechać 36 tysiącom Polaków – ludności cywilnej. Na wieść o mordzie katyńskim rząd polski na uchodźctwie zaczął domagać się od władz Związku Radzieckiego wyjaśnienia losów oficerów polskich, wziętych do niewoli w 1939 roku. W odpowiedzi władze sowieckie zerwały stosunki dyplomatyczne z rządem polskim i zamknęły granice. Ponad milion Polaków, którzy przybyli do Kazachstanu, musieli tam pozostać na zawsze.

Władze rejonowe, na których terenie znajdowały się przymusowe obozy pracy, skrętnie ukrywały prawdę o podpisaniu umowy Sikorski – Majski. Wieść o uwolnieniu Polaków z obozów pracy dotarła do nich pocztą pantoflową. Musiało coś w tym być, bo władze NKWD zaczęły traktować Polaków trochę łagodniej.

Któregoś dnia lipca Tadek wrócił ze spławu wcześniej. Rozgorączkowany, nie mógł doczekać się powrotu matki. Wiadomość, jaką usłyszał na spławie, kipiała w nim. Musiał się nią podzielić z matką natychmiast, żeby nie eksplodować. A tu jak na złość matka się spóźniała. Chodził po izbie i nie mógł znaleźć sobie miejsca. Wreszcie drzwi zaskrzypiały.

– Mamo! Mamo! – krzyczał.

Spojrzał w kierunku drzwi i umilkł. W drzwiach stał Stanisław Butrym, przyjaciel Ludwiki i rodziny.

– Myślałem, że to mama, a to pan...

– Ja, ale czemu tak się gorączkujesz? Stało się coś?

– Stało się! Stało! Czy pan wie, że my jesteśmy wolni i możemy stąd wyjechać?

– wyrzucał z siebie wiadomość, która go uwierała jak kamyk w bucie.

– Wiem, już wszyscy o tym mówią. Oby to była prawda. Dlatego przyszedłem do was, żeby podzielić się z wami tą nowiną – powiedział z nutą zawodu, że to nie on pierwszy. Milczał chwilę. – Skoro nie ma pani Wasilewskiej, to już pójdę.

– Nie, niech pan zaczeka, może zaraz przyjdzie.

– Przyjdę innym razem. – Otworzył drzwi i omal nie zderzył się w progu

z Janką.

– A, to pan – udała przestraszoną. – Omal mnie pan nie przewrócił.

– Gdybym był młodszy, to kto wie? – zażartował i szybko wyszedł.

Ludwika wróciła do domu późnym wieczorem. Musiała skończyć bielenie baraku, bo jutro mieli go odebrać. Zmęczona, przysiadła na łóżku.

– Mamo, mamo! Dzisiaj słyszałem, że... – zaczął gorączkowo opowiadać, co słyszał na rzece.

– Co ty pleciesz! Spadło ci drzewo na głowę? Synu, kto tu trafia, ten zostaje na zawsze.

– To prawda, to samo słyszałam na poczcie. Nawet kierowniczką pytała, jak długo będę jeszcze pracować.

– Był tutaj mamy nawalszczyk, który chciał pierwszy mamie przekazać wiadomość. Godzinę temu wyszedł.

Ludwika nie mogła uwierzyć w to, co mówił Tadek i potwierdziła Janka.

„Czyżby zmówili się, żeby ze mnie zadrwić. Chyba nie, byłby to okrutny żart. A może to prawda? Jeżeli oboje tak mówią, to chyba prawda” – myślała. Nie mogła pozbierać myśli. Rozleciały się jak spłoszone ptaki od huku strzału myśliwego. Zaszumiało jej w głowie, w skroniach pulsowało tętno. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Chwyciła się dłońmi za skroń. Próbowała się uspokoić.

– Spokojnie – powtarzała raz za razem.

– Mamo, mamo, co mamie jest? – zaniepokoił się Tadek, widząc, że z matką dzieje się coś niedobrego.

– Co? – ocknęła się i spojrzała na syna.

– Co mamie jest? – powtórzył.

– Mnie? Już nic. Już jest dobrze. Jestem tylko zmęczona, położę się. Aha, wyślij Polka na kolację.

– A mama nie będzie jadła?

– Nie, ja muszę się z tą wiadomością przespać.

– Z czym? – Spojrzał na matkę podejrzliwie. Zupełnie nie rozumiał, o czym ona mówi.

Ludwika położyła się i przykryła kocem. Z początku nie mogła zasnąć. Wreszcie zasnęła zmęczona. Śniło jej się, że płynie statkiem. Statek kołysze się na fali. Zrobiło jej się niedobrze. Stała z tyłu na rufie i widzi, że za statkiem płyną jacyś mężczyźni w kozuchach. Chcą dogonić statek, ale ten odpływa coraz dalej i dalej. Woda za statkiem robi się mętna. Mężczyźni wyciągają ku niej ręce i zanurzają w wodzie.

– Oni toną, ratujcie ich! – wołała przez sen. Mocno przechyliła się przez reling i wpadła do wody. Zaczęła rzeźnić, jakby tonęła.

Obudziła się cała zlnana potem. Z początku nie wiedziała, czy jest mokra od wody, do której wpadła, czy spociła się ze strachu. Powoli zaczęła się uspokajać z koszmarne snu. Czowała, że jest głodna i burczy jej w brzuchu.

– Wytrzymam do rana – powiedziała po cichu do siebie.

Odwróciła się na drugi bok i zaraz zasnęła. Po chwili znowu zaczęło się jej śnić, że jedzie pociągiem. Koła głośno dudnią po szynach, a ona śpi w wagonie, w łóżku, na materacu w białej pościeli. „Och, jak przyjemnie” – myśli zadowolona. Nagle zauważa, że po pościeli łążą czerwone pluskwy. Są ich tysiące. Powoli wędrują po kołdrze, wchodzą na szyję, idą po twarzy. Zaciska usta, żeby nie dotarły do buzi. Niektóre z nich wchodzą do ucha. Zaczęła krzyczeć. Zerwała się i usiadła na łóżku. Obudziła się.

– To tylko sen. Oby nigdy się nie sprawdził.

Krzykiem obudziła Tadzika i Polka. Słyszała, że o czymś rozmawiają. Potem zasnęła i już do rana spała spokojnie. Po śniadaniu poszła do pracy jak przetrącona, ale robota jej nie szła. Myśli ciągle błądziły wokół tego, co wczoraj słyszała. Były natarczywe jak komary na bagnach. Odganiane, atakowały ponownie z większą zaciekłością.

– Jeżeli to prawda, to czy będziemy mogli wrócić do Polski? – pytała sama siebie.

Około południa przyszedł do niej Stanisław.

– Chyba już wiesz?

– O czym? – udała, że nie wie, o co pyta.

– No o tym, że Polacy na mocy porozumienia rządów Polski i Rosji są wolni i mogą wyjechać, gdzie chcą.

– Coś tam słyszałam, ale jeszcze nie mogę w to uwierzyć.

– To prawda. Moi rodzice słyszeli o tym dziś rano w kołchoźniku. Kiedy wyjeżdżasz? – spytał nagle. Głos jego pobrzmiwał nutką smutku i niepokoju.

– Nie wiem, jeszcze o tym nie myślałam.

– Wasz rząd, choć w Londynie, upomniał się o was. Niedługo wyjedziecie i będziecie wolni – mówił z goryczą. – A my, Ukraińcy, Białorusini czy Litwini, poumieramy tutaj. Bo za nami nie ma się komu ująć.

– Zobaczysz, jeszcze i ty z rodziną wrócisz na Ukrainę. Może jeszcze nie teraz, ale za jakiś czas.

– Starasz się mnie pocieszyć, za to ci dziękuję, ale chyba sama w to nie wierzysz.

– Słuchaj, Stanisław, ja też jeszcze nie wierzę, że wyjadę. Tak długo nie uwierzę, dopóki nie będę tak daleko, że ich łapy nas nie dosięgną. A sam wiesz, że ręce mają długie i umazane we krwi.

– Masz rację, no cóż, musimy tylko czekać, bo nic innego nam nie pozostaje – rzekł i zbierał się do odejścia. – Aha, jeżeli czegoś się dowiesz, to daj mi znać, dobrze?

– Dobrze.

„Dobry z tego Stanisława człowiek i choć Ukrainiec, mało dzisiaj takich jest” – pomyślała Ludwika i powiodła za nim wzrokiem.

Przerwała pracę. Odłożyła pędzel do bielenia i podeszła do okna. Przez szyby widziała las, który pochłonał tyle istnień ludzkich, tyle potu. Jej potu. Niedaleko szumiało jezioro. Jego spienione fale biegły do brzegu.

Choć minął miesiąc od rozbudzonych nadziei o uwolnieniu Polaków, w Szund-Oziero nic się nie zmieniło. Życie toczyło się dalej obozowym rygiem, pod dyktando porannego dzwonu. Zasiana nadzieja zaczęła powoli gasnąć, choć jak na ironię Radio Moskwa codziennie podawało tę wiadomość. Nagabywany w tej sprawie komendant NKWD stale odpowiadał to samo:

– Słyszałem, ale nic nie mogę zrobić, dopóki nie dostanę pisma z pieczęcią z Archangielska. Dokąd go nie mam, nikomu nie wydam przepustki.

Niektórzy jednak twierdzili, że komendant takie pismo dostał. Kiedyś Marusia, sekretarka Sawina, w przypływie szczerości wypaplała komuś w sekrecie, co było w zalakowanej kopercie, jaką niedawno przyniosła Janka z Ustwaingi.

Nadszedł wrzesień i zaczęły się pierwsze przymrozki. Władze przeciągały wydawanie przepustek i wyraźnie czekały na zimę. Kto odważy się na podróż, jak spadnie śnieg i zamrznie Dwina? Do Archangielska i Kotłasa trzysta kilometrów. „Nie będą brodzić w śniegu po pachy, a ludzi do roboty trzeba” – mawiał Sawin w biurze.

W połowie września spadł śnieg i padał przez kilka dni. Nasypało go sporo. Któregoś dnia rozeszła się po obozie wiadomość, że NKWD wydaje Polakom przepustki. Zaczęło się prawdziwe oblężenie biura. Marusia sprawnie wpisywała do gotowego druku dane osoby chcące wyjechać. Podawała potem wypisaną przepustkę komendantowi, który zamaszyście przybijał pieczęć i z ironicznym uśmiechem wręczał osobiście przepustkę z nazwiskiem. Kiedy prawie wszyscy Polacy, którzy chcieli wyjechać, dostali przepustki, Ludwika weszła do biura. Sawin spojrzał na nią znad gazety, którą trzymał w ręce.

– I ty też chcesz wyjechać?

– Chcę wziąć przepustkę, a czy wyjadę czy nie, to jeszcze nie wiem. Teraz zima.

– Zostań u nas, zrobię cię brygadystką, dam lepszy dom, a jak będziesz chciała wyjechać, to pojedziesz na wiosnę. Wyjazd w zimie to pewna śmierć. Oni wszyscy myślą, że zaraz wyjadą. Głupcy. Trzysta kilometrów pieszo pójdą! – powiedział podnieconym głosem. – Zresztą, gdzie pójdą i po co?

– Do Polski chcą jechać.

– A ty?

– Ja też bym chciała pojechać w rodzinne strony, do męża do Polski – powiedziała ze smutkiem.

– Marusia, wypisz przepustkę Wasilewskim.

Wręczając kobiecie dokument, dodał:

– Mam nadzieję, że zostaniesz na zimę. Na wiosnę, jak będziesz chciała wyjechać, dam konie i odwiozę na stację.

„Jemu chodzi chyba o wódkę i dlatego chce, żebym została”.

– Do wiosny jeszcze daleko, ale dziękuję. – Szybko wyszła z biura.

Marusia z ciekawością spojrzała na szefa.

– No co? Dzielna kobieta z tej Polki i tyle – usprawiedliwił się.

Marusia wiedziała jednak swoje...

Zima usadowiła się już na dobre. Śniegu z dnia na dzień przybywało. Nawet na Dwinie zaczęły pojawiać się pierwsze kry. Ludzie z niepokojem spoglądali na zachmurzone niebo i padający śnieg.

– Co z tego, że mamy przepustki, jak zima nas tu uwięziła – mówili niektórzy z goryczą.

Któregoś jednak dnia dotarła do Szund-Oziera wiadomość, że z Archangielska wypłynął statek. Pewnie ostatni w tym roku, bo Dwina lada moment zamarznie. W Bieriezniku spodziewany jest za trzy, cztery dni. W obozie zawrzało. Kto żyw, szykował się do wyjazdu. Nikomu nawet do głowy nie przyszło, że statek rzeczny tylu ludzi naraz na pokład nie zabierze. Wszyscy myśleli, że kto jak kto, ale ja się dostanę.

Ludwika również zaczęła przygotowywać się do wyjazdu. Pakowała pierzyny, poduszki, a chłopcy mocno związywali je sznurkami. Dorabiali do tego każdemu szelki, według wzrostu i zakładali na próbę na plecy. Sprawdzali, czy dobrze leżą i nie urwą się w tłoku. Na ten bałagan trafił Stanisław, który przyszedł zobaczyć, jak sobie radzi Ludwika w przygotowaniach do podróży.

– Wyjeżdżacie?

– Spróbujemy dostać się na statek, ale ciężko będzie. Tylu ludzi chce wyjechać naraz, a statek niewielu zabierze. Jak się nie dostaniemy, to wrócimy i dopiero na wiosnę wyjedziemy, jeżeli nic się nie zmieni. Wiesz, z nimi nigdy nic nie wiadomo.

– Bardzo chcesz jechać, tylko powiedz szczerze?

– Chce uciec stąd jak najszybciej i jak najdalej – odpowiedziała stanowczo.

– Jeżeli tak, to ci pomogę.

Spojrzała mu w oczy, może nieco za długo, bo odwrócił twarz i przetarł oczy rękawem. Zrozumiał wszystko. Patrzył w okno na czerniejący las.

– Stanisław – cicho wymówiła jego imię.

– Co?

– Jedź z nami.

– Dokąd?

Nie wiem, jak najdalej.

– Nie mogę. Mam starych rodziców, nie zostawię ich tu na pewną śmierć.

– To weź ich ze sobą.

– Nie przeżyliby tej podróży. Sama wiesz, bo przeszłaś przez to piekło. W dodatku nie jestem Polakiem i nie mam przepustki. Szukaliby mnie i wtedy zesłali na Kołymę, a tam byłby pewna śmierć.

– Po drodze mógłby ktoś umrzeć...

Zawstydziała się tego, co powiedziała i zakryła twarz dłońmi. „Skąd mogło mi przyjść do głowy coś tak nedorzecznego?” – pomyślała.

– Chciałam dla ciebie jak najlepiej.

– Wiem! To kiedy wychodzisz na przystań?

– Dziś wieczorem po kolacji, muszę jeszcze parę spraw załatwić.

– Dobrze, przyjdę wieczorem i pomogę dostać się wam na statek. Do wieczora.

– Co mama chce jeszcze przed wyjazdem załatwić? – zapytał Tadek.

– Muszę kupić chleba na drogę, żeby starczyło na kilka dni. Nie wiem, czy sklepowa sprzeda. Weź maszynę do szycia i chodź ze mną.

Tadek spojrział zdziwiony na matkę, ale wziął główkę maszyny i oboje wyszli do sklepu.

– Zaczekaj tu. Jak będzie trzeba, to cię zawołam.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Za ladą stała Galina o malowanej twarzy i płonących włosach. Miejscowi nazywali ją krasawica, bo miała gęste, rude włosy. Zdziwiona wizytą Ludwika, podeszła do lady.

– Chciałam kupić na drogę chleba.

– *Skolko?*

– Pięć bochenków.

Galina zrobiła wielkie oczy.

– Pięć bochenków – powtórzyła Ludwika.

– Nie mogę, mam dla każdego człowieka 20 deko na dzień. Nie mogę, jej Bohu, nie mogę – bezradnie rozłożyła ręce.

– Dla nas pięciorga, pięć bochenków – nie dawała za wygraną.

– Ty słyszałaś, co ja mówiła, czy ty głucha jesteś?

– Dam maszynę do szycia.

– Jaką maszynę?

Ludwika zawołała Tadzika. Wzięła od niego zawiniętą w ręcznik główkę maszyny Singer i postawiła na ladzie.

– Ot, taką.

Sklepowa rozwinęła zawiniątko. Na widok maszyny marki Singer oczy jej zabłyśły. Dawno o takiej marzyła.

– Nie, nie mogę – odparła, ale oczy miała wlepione w maszynę. – Po chwili milczenia dodała: – Mogę dać najwyżej dwa bochenki, więcej nie mogę.

I znowu nastąpiła cisza.

– No, żeby ciebie nie skrzywdzić, dam trzy.

– Daj pięć, darmo nie chcę, zapłacę.

– Jej Bohu, nie mogę, boję się. Nu, niech będzie, dam cztery.

– Tadek, zabieraj maszynę – Ludwika postawiła wszystko na jedną kartę.

Tadek zbliżył się do lady.

– Zaczekaj, niech będzie. Tylko dobrze schowaj, bo jak Sawin dowie się, co ja zrobiła, to lepiej nie mówić. – Szybko schowała maszynę pod ladę.

Położyła na ladzie pięć bochenków o brązowej, pachnącej skórce.

Ludwika wyszła ze sklepu jak kobieta brzemienna, niosąc na brzuchu ciepły jeszcze chleb. Na dworze było ciemno. Tylko na bezchmurnym niebie figlarnie mrugały gwiazdy, jakby mówiły, że zrobiła świetny interes.

Zasiedli do ostatniej kolacji w Szund-Oziero.

– Jedzcie jak najwięcej, bo potem nie wiadomo, kiedy znowu będziemy jedli.

Miała poniekąd wyrzuty sumienia, że sama zdecydowała o wyjeździe. „Ale co nas tu czeka. Powolna śmierć, nawet nie wiadomo, gdzie grobu szukać” – usprawiedliwiała się.

Z dworu słychać było pukanie.

– Proszę.

Drzwi otworzyły się i do izby wszedł Stanisław.

– No, jestem.

– My też już się zbieramy – powiedziała Ludka z ciężkim sercem.

Zaczęli zakładać przygotowane bagaże na plecy.

– To idziemy – powiedział cicho Stanisław.

Wziął latarkę i wyszli razem na dwór. Zobaczyli przed sobą sznur ludzi zdążających w nieznaną. Wszyscy nieśli zapalone latarnie. Chybotliwe płomienie chwiały się na wietrze i ironicznie mrugały. Czasami wiatr tłumiał ich płomyk, a kiedy cichł, rozbłyskały jasno i znaczyły wędrowcom drogę. Ten tajemniczy nocny pochód wyglądał jak pielgrzymka, która szła z zapalonymi świecami do sanktuarium, z nabożnym uniesieniem, niosąc jak relikwie swoje intencje. Oni nieśli w tym pochodzie całe bogactwo. Pościel, a w niej pluskwy i wszy. Nieśli też nadzieję, że może uda im się wyrwać z tego zakłętą kręgu poniżenia, nienawiści i pogardy dla ludzkiego życia, jaki włożył na ich barki komunistyczny system. Szli i nie wiedzieli, czy na końcu drogi czeka na nich wolność czy śmierć. Szli w milczeniu. Tylko śnieg skrzypiał pod butami. Szli szybko. Stefan nie mógł nadążyć za idącym w pośpiechu korowodem. Co i raz upadał w śnieg. Podnosił się i dobiegał do idących. Matka z niepokojem patrzyła na jego wysiłki. Bała się, że w nocy może zmieszać się z tłumem i gdzieś zostać. „Szkoda, że nie wziął nart, byłoby mu lżej”.

Wędrowali już godzinę. Z daleka widać już było blade światła lamp w domach Bierieznika. Pierwsi ludzie z nocnego pochodu weszli do miasteczka. Za nimi ciągnął nieprzebrany tłum, którego końca nie było widać. Psy w zagrodach zaczęły ujadać i szarpać łańcuchy. Gdyby się urwały, to pewnie uciekłyby z podwiniętymi ogonami przed takim tłumem. W oknach domów pojawiały się zaciekawione twarze kobiet. Kiedy zobaczyły ludzi idących ulicą, przestraszyły się. Zasłaniały okna i gasiły lampy. Co odważniejsi mężczyźni wychodzili przed domy i starali dowiedzieć się, co się dzieje, skąd i dokąd idzie ten tłum. Tłum milczał i parł do przodu, do rzeki.

– Hej, człowieku, dokąd tak idziecie?

– Do portu, na statek.

– Do portu? – zdziwił się. – Człowieku, tu nie ma żadnego portu. Statek zatrzymuje się, gdzie popadnie, raz tu, raz tam. Tu każdego dnia zmienia się brzeg.

– A gdzie się zatrzyma jutro? – zapytał Stanisław, on bowiem był tym człowiekiem, którego zaczepił mieszkaniec Bierieznika.

– Jak na mój rozum, to pojutrze zatrzyma się tam. – Pokazał ręką na lewo. – A po co wy już dziś idziecie, kiedy statek ma być za dwa dni, i to nie wiadomo, bo kry na rzece coraz więcej.

– To powiadasz, że tam – upewniał się Stanisław.

– Na pewno tam, byłem nad rzeką i wiem.

– No to dobrej nocy – odparł Stanisław, po czym wraz z rodziną Ludwika podążył we wskazanym kierunku.

Ludzie, którzy przysłuchiwali się rozmowie, poszli za nimi. Szli w niepewności, czy to tam będzie ich wymarzone miejsce, z którego odpłyną do wolności, do lepszego świata. Tylko jaką cenę trzeba będzie za to zapłacić tego jeszcze nikt teraz nie wiedział. Niedaleko słychać było szum rzeki. Podeszli bliżej, ale było ciemno i nic nie było widać. Tylko plusk wody mówił, że są nad jej brzegiem. Zdjęli z pleców tobołki i położyli na śniegu.

– I co, będziemy tu tak stali i czekali nie wiadomo na co? – zapytała Janka.

Nie podobał jej się ten nocny wypad nad rzekę.

– Możesz usiąść, nikt ci tego nie broni – opryskliwie zwrócił się do siostry Tadek.

Matka milczała. Nie włączyła się do sporu między dziećmi. Co miała powiedzieć? Ich sytuacja była nie do pozazdroszczenia. Perspektywa czekania na statek na mrozie i śniegu przez dwie doby przerażała ją. Teraz naprawdę nie wiedziała, czy dobrze zrobiła, wychodząc z Szund-Oziera. „A może Sawin miał rację? Trzeba było poczekać do wiosny”.

Halina i Stefan, zmęczeni, usiedli na tobołkach. Za ich przykładem poszli Polko i Tadek. Janka nadąsana usiadła na końcu. Ze wszystkich stron ciągnęli ludzie i gromadzili się wokół tych, którzy tu przyszli wcześniej.

– Rozłóżcie swoje pierzyny i powłóżcie do środka, bo niedługo braknie miejsca, żeby usiąść.

– Gdzie, tutaj? – zapytał Polko.

– Może bliżej tej wierzby, co rośnie obok, to was trochę osłoni przed wiatrem – doradził Stanisław.

Ludwika i Stanisław czuwali nad dziećmi całą noc, żeby gromadzący się tłum nie zepchnął ich do rzeki. I gdyby nie rozłożysta wierzba i siła Stanisława, nic by ich nie uchroniło przed zimną kąpielą albo utonięciem. Tłum napierał na nich, każdy chciał się znaleźć jak najbliżej rzeki i dostać się na statek. Nie wiadomo było jednak,

w którym miejscu zacumuje i czy w ogóle przyplynie.

Do świtu było blisko, bo noc zaczęła blednąć i na horyzoncie pokazało się blade słońce. Dopiero wtedy można było zobaczyć, ile ludzi zgromadziło się nad rzeką. Wszyscy w oczach mieli nadzieję i choć każdy był zmęczony, nikt nie odchodził. Dopiero na drugi dzień, około południa ktoś zauważył na rzece dym.

– Ludzie, statek płynie! – ktoś krzyknął.

Tłum zafalował, zrobił się ścisk. Ludzie napierali jedni na drugich. Na razie nic nie było widać. Po jakimś czasie zauważono statek na rzece. Płynął powoli, z mozołem, pod prąd, potrącając kry. Jego wielkie koła z łopatami po obu stronach burty meły wodę. Niedługo dopłynął i zatrzymał się naprzeciw tłumowi. Na pokład wyszedł kapitan, spojrzął na ludzi zebranych na brzegu.

– Skąd ich tutaj tylu się wzięło? – zdziwiony, zwrócił się do swojego zastępcy.

– Nie wiem.

Kapitan przyłożył dłonie do ust i zawołał:

– Ludzie, kto wy!?

– My Paliaki!- odkrzyknęli.

– *A kuda chaczytie jechat’?*

– Do Kotłasa.

– A przepustki macie?

– Mamy!

– Nu charaszo. Wania, dawaj trap.

Marynarz zaczął obracać korbą przy burcie statku. Trap, grzechocząc na trybach, wysuwał się powoli od burty i po chwili spoczął na brzegu.

– *Bieriom tolka sto ludziej! Nu, wchaditie.*

Ludzie wtargnęli na śliski trap, który nie miał ani linek, ani barierek zabezpieczających. Kapitan liczył wchodzących.

– Adin, dwa... pięć... sześćdziesiąt...

Choć trap był blisko rodziny Ludwika, napór był tak duży, że nie pozwalał się przesunąć do zbawiennej deski.

– Tadek, Polko, chodźcie ze mną – polecił Stanisław – a ty, Ludko, chodź z dziećmi za nami – mówiąc to, ruszył naprzód.

Zaczęli spychać ludzi na bok. Zrobił się głośny krzyk i po chwili posypały się wyzwiska. Stanisław parł naprzód, nie bacząc na nic. Wreszcie dotarł do upragnionej deski.

– Wchodźcie – zwrócił się do Ludwika.

Pierwszy na trap wszedł Stefan, za nim Halina, Polko i reszta.

– Dziewięćdziesiąt trzy – liczył kapitan, kiedy burzę statku przekroczyła Janka, za nią Polko, Tadzik, a na końcu Ludwika.

– Proszę pana, dlaczego pan nie wchodzi, tamuje pan ruch! – ktoś krzyczał za plecami Butryma.

- Bo ja nie jadę.
- Sto! – obwieścił kapitan i zamknął wejście na statek.

Ludwika stała na rufie. Chciała podziękować temu, który pomógł im wejść na statek. Widziała go, bo górował nad innymi. Pomachała mu ręką. Łzy szczęścia pobiegły jej po twarzy. Butrym zauważył je.

- Spasiba, Stanisław, bądź zdrów! Opiekuj się rodzicami!
- Napisz, jak zajedziesz, żebym wiedział, że jesteś bezpieczna.
- Napiszę!

Coś ścisnęło ją za gardło. Widziała, jak odwrócił się i ze wzruszenia płakał. Nie chciał pokazać jej swoich łez i skrywanej dotąd miłości.

- Więcej nie wezmę, schodźcie z trapu! – krzyczał kapitan.

Ale oni nie mogli zejść, bo tłum napierał i nie pozwalał się cofnąć. Na śliskim trapie zrobił się ścisk. Popychani przez tłum ludzie ześlizgiwali się z trapu, tracili równowagę i wpadali do rzeki. Płynęli z jej nurtem obok statku. Kozuchy szybko nabierały wody. Machali niemrawo rękami i powoli zanurzali się w zimnej wodzie. Niektórzy wzywali pomocy, ale ich wołanie było daremne, nikt nie próbował ich ratować. Tylko bąble powietrza wyskakiwały w miejscu, gdzie utonęli. A potem była cisza. Dla nich na zawsze. A rzeka płynęła dalej spokojnie, jakby nic się nie stało.

Ludwika stała na rufie oparta o reling i wtedy przypomniała sobie sen sprzed paru dni. „Czy ten drugi sen też może się sprawdzić?” – pomyślała z trwogą.

Ludzie na brzegu zaczęli się rozchodzić. Statek odcumował i odpłynął. Miarowo drgał od pracujących maszyn. Ludwika stała jeszcze jakiś czas na pokładzie. Widziała Stanisława na brzegu. Stał tam jak samotna topola w polu i smutno patrzył za odpływającym statkiem. Wkrótce zakryła go mgła snująca się nad rzeką.

Niechętnie weszła pod pokład. Było tam ciepło, ale i duszno. Ludzie od paru dni nie zdejmowali okryć. Stłoczeni w zamkniętej sali, wydzielali nieprzyjemny zapach potu, który przyprawiał o mdłości. Siadła na ławce obok dzieci. Rozpięła kozuch, bo było za gorąco. Próbowała ogarnąć myślami ostatnie, pełne niespodzianek dni. Oparła głowę na ramieniu syna. Od dwóch dni nie zmrużyła oka. Zasnęła. Nie obudziła się nawet wtedy, kiedy chłopcy przenieśli ją na koniec ławki i oparli o burtę statku, żeby było jej wygodniej. Wewnątrz kajuty panował półmrok. Zmęczeni ludzie spali oparci o siebie. Wyglądali na szczęśliwych. Być może wydawało im się, że wszystkie kłopoty zostawili na brzegu. Niektórzy mieli szeroko otwarte buzie jak ryby wyjęte z wody. Inni chrapali. Ktoś ich wtedy budził kuksańcem. Budzili się i zaraz zasypiali.

Statek płynął w górę rzeki. Tylko od czasu do czasu ocierał się o płynącą krę. Słychać wtedy było zgrzyt, a potem trzask łamanej kry. Statek drżał z wysiłku, przechylał się, a kiedy ją minął, prostował się i znowu płynął spokojnie.

- Co to było? – pytał Polko brata.

– To chyba statek ociera się o krę. Chodź, wyjdziemy na pokład, to zobaczymy, co tam się dzieje i złapiemy trochę świeżego powietrza, bo się tu uduszę.

Wstali z ławki, przeciskając się między śpiącymi, weszli po schodach na górę. Byli teraz na pokładzie. Dął silny północny wiatr i pędził ciemne chmury nisko nad ziemią. Robiło się szaro.

– Chyba zaraz będzie padać.

Ledwie Tadek zdążył to powiedzieć, z chmur zaczęły sypać śnieżne krupy. Padały, dzwoniąc o pokład, podskakiwały śmiesznie jak pingpongowe piłeczki. Wiatr porywał je i niósł daleko ten śnieżny tuman i zasypywał wszystko, co było na drodze. Wysoko na maszcie łopotiała czerwona flaga z młotem i sierpem. Polko zadarł głowę do góry i patrzył na symbol klasy robotniczej, którym szczyciła się władza. Aż zbladł. Nie z zimna, z nienawiści. Dla niego łopot flagi był jak strzały z karabinów maszynowych, które słyszał, gdy zabierali im bydło. Kiedy prosili, żeby zostawili choć jedną, strzelali do nich. Omal ich nie zabili, cudem przeżyli. Zabrali im wszystko: dzieciństwo, dom, wierzbę nad Szczarą, która rosła na ich polu. I wysłali na poniewierkę. W zamian dali harówkę w lesie, głód, a na deser wszy i pluskwy, brunatną zarazę, która wysysała z nich krew. Teraz płyną tym statkiem, nie wiadomo gdzie i po co. Byle jak najdalej od obozu i Sawina. A co znajdą na swojej drodze?

Leopold patrzył do góry i wydawało mu się, że zamiast flagi dumnego, ale oszukanego narodu patrzy na czarną, piracką flagę z białą trupią czaszką.

Polko urodził się z bliźniaczej ciąży. Jego brat nie przeżył porodu. Ale i jemu nie dawano zbyt wielkich szans. Właściwie ledwo przeczłogał się przez niemowlęctwo. Kiedy dorósł, wykaraskał się i doszedł do normy, ale był bardzo wrażliwy na wszelką niesprawiedliwość. Łatwo go było urazić. Wtedy zżymał się w sobie albo wybuchał. Dlatego często był w konflikcie z otoczeniem, a nawet ze sobą. Przeżegnał się, odwrócił wzrok i patrzył na płynącą rzeką krę. Tadek zauważył, że bratem targają jakieś uczucia.

– Stało się co?

– Nie, nic, wydawało mi się, że...

– Co?

– Już sam nie wiem, chyba na chwilę zasnąłem albo widziałem to, czego nie ma.

Tadek nie zrozumiał i nie chciał dociekać.

– Chodźmy stąd – poprosił Polko i zaczął zapinać guziki kurtki, bo zimny wiatr wciskał się pod kapotę.

– Chodźmy, tylko uważaj, żeby wiatr nie zepchnął nas ze śliskiego pokładu.

Trzymając się za ręce, podeszli ostrożnie do schodów. Pod wieczór statek dopłynął do zagubionej wśród lasów Rocegydy. Na brzegu czekało na niego steki ludzi pobielonych śniegiem. Stali już dwie doby i czekali na wybawienie. Chcieli wydostać się stąd jak najszybciej. Statek podpłynął pod brzeg i wypuścił trap. Na ląd zeszło dwóch NKWD-zistów wtulili głowy w kołnierze płaszczy i poszli do obozu. Kapitan wziął tubę do ręki.

– Mogę wziąć tylko dwie osoby – oznajmił.

W tłumie zawrzało, podniósł się taki krzyk, że słycać go pewnie było w obozie. Ludzie grozili pięściami. Nie wiadomo, czym by to się skończyło, gdyby na pokład nie wyszło dwóch NKWD-zistów z bronią gotową do strzału. Wśród ludzi stojących na brzegu rozszedł się pomruk niezadowolenia, a może strachu...

– Bandydzi! – ktoś krzyknął z tłumy. – Bandydzi, bandyzi – słycać było ze wszystkich stron.

W powietrze poszła seria z karabinu maszynowego. Tłum umilkł, tylko niektórzy płakali z bezsilności. Cała nadzieja prysnęła jak bańka mydlana. Ludzie zaczęli powoli się rozchodzić.

– Wania, wciągaj trap! – rozkazał kapitan.

Statek podniósł kotwicę i pospiesznie odpłynął w dalszy rejs. Kapitan rozumiał rozgoryczenie tych ludzi. Znał ich ciężką dolę. Krążyły legendy o obozach i ludziach tam sponiewieranych. Słyszał to od samych NKWD-zistów, którzy pływali statkiem. Pijani, opowiadali o swoich wyczynach, gwałtach i morach. Ale co miał zrobić? Statek był pełen „szczęśliwców”. Zaglądał tam nieraz i widział ich nędzę. Gdyby mógł, zrezygnowałby z tych rejsów, ale miał żonę i dzieci. Musiał uważać, żeby sam, zdjęty litością, nie powiedział czegoś w nieodpowiedniej chwili.

Statek nad ranem dotarł do trzech miejscowości leżących blisko siebie. Pierwszą była Toima, parę kilometrów dalej Dwinskaja, który swą nazwę zawdzięcza rzece. Statek zakotwiczył w Igumnowskaji, leżącej po lewej stronie rzeki, ale pośrodku między tymi dwoma, rywalizującymi między sobą miejscowościami.

Na ląd zeszło około dwudziestu pasażerów, przeważnie wojskowych. Na brzegu nie było tłumów, pewnie dowiedzieli się, że statek już nikogo więcej do Kotłasa nie zabierze. Niektórym, którzy nie uwierzyli tym pogłoskom, udało się wejść na pokład. Statek odcumował i ruszył w dalszą drogę. Przepłynął już trzy czwarte trasy.

Kapitan podszedł do sternika, chciał z kimś porozmawiać, ale nie miał ku temu okazji. Nieustannie przy nim był Fiodor, NKWD-zista pilnujący, aby rozmowy toczyły się po właściwych torach. Teraz akurat gdzieś się zawieruszył.

– Stiopa, ile to lat pływamy razem?

– Oj, chyba będzie z dziesięć, towarzyszu kapitanie.

– No, Stiopa, co ty tak oficjalne, przecież jesteśmy przyjaciółmi.

– Wiem, Sergiej, ale człowiek teraz boi się własnego cienia. Każde nieopatrzne słowo może skończyć się jak u tych Polaków.

Kapitan rozglądał się, czy nikogo nie ma w pobliżu, bo weszli na śliski temat.

– Żal mi ich, większej biedy w życiu nie widziałem.

– Czego nie widziałeś, towarzyszu kapitanie? – odezwał się NKWD-zista, który wyrósł przed nimi nie wiadomo skąd.

– Takiej mgły, Fiodor, zobacz.

Istotnie, nad rzeką snuła się mgła, tak gęsta, że ledwie brzegi było widać. Fiodor spojrział na rzekę, a potem na kapitana.

– Mnie się wydaje, że mostek kapitański jest tam, a nie tu, i trzeba uważać, kapitanie, na rzekę, żeby bezpiecznie dopłynąć do portu. Przecież wieziecie tylu pasażerów. Odpowiadacie za nich.

Kapitan nic nie odpowiedział. Czuł, że koszula na plecach robi mu się mokra. Ociężale wszedł po schodkach na mostek kapitański. „Miał racje Stiopa, trzeba być ostrożnym”. Zastanawiał się, co Fiodor słyszał z jego rozmowy ze sternikiem. Marynarze w barze przy butelce mówili o nim „zajęcze ucho”.

Noc upłynęła spokojnie. Statek parł naprzód pełną parą. Nad ranem dotarli do Krasnoborska, zaledwie pięćdziesiąt kilometrów od Kotłasa. Na ląd zeszło kilkoro pasażerów, ale statek nie odpływał, czekał na coś. Po godzinie NKWD wprowadziło na pokład pięciu więźniów skutych kajdankami. Popychali ich bagnetami, ale ci nieszczęśnicy nie mieli sił iść szybciej. Zaprowadzili ich do więziennych kajut na samym dnie statku.

Dopiero pod wieczór statek dotarł do Kotłasa i przycumował na nabrzeżu w porcie.

Rozdział XV

Kotłas, miasto w europejskiej części Związku Radzieckiego, w obwodzie archangielskim, przy ujściu rzeki Wyczegdy do Dwiny. W latach czterdziestych liczyło czterdzieści tysięcy mieszkańców. Było największym punktem przerzutowym i rozdzielającym zesłańców do gułagów. Kotłas nie był zbyt uprzemysłowiony. Jedynie przemysł drzewny i okrętowy był dobrze rozwinięty. W mieście znajdował się duży węzeł kolejowy i port rzeczny.

Ludzie ze statku zaczęli wychodzić na ląd. Najpierw wyszli zacni obywatele ZSRR, a kiedy ostatni z nich zniknął z pola widzenia, wtedy zaczęli opuszczać statek Polacy, ci z Bierieznika i z Krasnoborska. Obie te społeczności nie mogły wychodzić razem, bo ci ostatni mieli za dużo wszy, choć ci pierwsi też je mieli, tylko trochę mniej.

Ludwika razem z grupą ponad stu osób zeszła na ląd. Podróży nie zniosła najlepiej. Zaduch panujący w kabinie i kołysanie statku przyprawiały ją o mdłości i zawrót głowy. Osłabiona, szła ulicą na miękkich nogach. Dopiero mroźne powietrze orzeźwiło ją nieco. Grupa szła bezładnie, nie wiedząc, dokąd iść. Oglądali się jedni na drugich, jakby szukali kogoś, kto zaprowadziłby te zabłąkane owce do zagrody. Weszli na plac okolony jedno- i dwupiętrowymi domami. Na środku stała cerkiew z kopulastym dachem widocznym z daleka. Szli ku niej, niepewnie, ale z determinacją. Musieli znaleźć jakieś schronienie. Głodni i zmęczeni nie przetrwaliby mroźnej nocy pod gołym niebem. Mężczyzna, który jako pierwszy dotarł do cerkwi, uchylił nieco ciężkie wierzaje. Wewnątrz było pełno ludzi. Przybyli zaczęli wciskać się pojedynczo przez szparę w drzwiach do środka. Jednak wszyscy nie weszli.

– I co teraz zrobimy? – zaniepokoił się Tadek.

– Nie wiem – Ludwika była bezradna.

Stali przed cerkwią i nie wiedzieli, co mają ze sobą zrobić.

– Może pójdziemy na stację, tam na pewno będzie jakiś pusty wagon – zaproponował Polko.

– Masz rację, synu, chodźmy tam.

Z daleka dochodził gwizd lokomotywy i po chwili usłyszeli szcęk zderzanych buforami wagonów. Podążyli w tamtym kierunku. Szli ulicą, niosąc na plecach wymięte toboły. Ludzie oglądali się za nimi i kiwali z politowaniem głowami. Przywykli do biedy, którą ze sobą przywieźli Polacy. Miasto nie mogło ich pomieścić. Polacy umierali z głodu, chorób i zimna. Pełno ich leżało na ulicach, bezimiennych. Służby porządkowe nie nadążały z uprzątnięciem ich ciał.

– Do stacji daleko? – zapytała Ludwika przechodnia.

– *Wot tam*, gdzie stoi wojskowy samochód.

– *Spasiba*.

– *Żeleznadarożnaja stancja* – przeczytała Janka szyld na budynku stacji.

Weszli do środka. Zaraz przy wejściu była kasa biletowa, a w dużej poczekalni na ławkach siedziało paręnaście osób. Nawet było ciepło. Przeszli przez salę do najdalszego zakątka poczekalni, odprowadzani wzrokiem siedzących. Zdjęli z pleców bagaże i usiedli na nich.

– Tu będziemy nocowali? – zapytała Janka.

– Jak nas nie wygonią.

Wyjęła ostatni bochenek chleba i próbowała go łamać, ale był czerstwy i twardy.

– Weź, może ty go podzielisz – zwróciła się do Todka.

Z trudem przełamał go na pół, ale potem było już łatwiej. Odrywał i kawałki dawał każdemu po równo. Siedzieli na bagażach i jedli czerstwy chleb. Jeszcze nie skończyli, kiedy na stację weszło trzech NKWD-zistów. Jeden zauważył grupkę rodziny Ludwika siedzącą w kącie. Podszedł do nich.

– Co wy tu robicie? – zapytał groźnie.

Ręce, które niosły chleb do ust, zatrzymały się w pół drogi.

– No, my tu przyjechali i nie mamy gdzie przenocować – tłumaczyła Ludwika.

– Wynoście się stąd, bo każę was aresztować!

– Gdzie mamy pójść, tam na mrozie pomrzemy – Ludwika była bliska płaczu.

Halina i Stefan głośno płakali. Skonsternowani ludzie w poczekalni patrzyli na NKWD-zistę z dezaprobatą. Po sali przeszedł pomruk.

– Zostawcie ich, to nie zwierzęta, żeby wyganiać na mróz. Nawet psa szkoda.

– Szkoda, szkoda, zobacz, ile tej zarazy leży na ulicach, trudno nawet przejść – powiedział nieco łagodniej. – Ale żeby już was jutro tu nie było. Wasia, chodź, mam jeszcze stakańczyk.

Zagadnięty spojrział na nich groźnie, odwrócił się i wyszedł z kolegami ze stacji. Wsiadli do samochodu i odjechali.

Ludwika odetchnęła z ulgą. Tę noc będzie miała gdzie z dziećmi przenocować.

Nad ranem Wasilewską obudził pisk hamulców zatrzymującego się pociągu. Ludzie wysypali się z wagonów, przeszli przez poczekalnie pod czujnym wzrokiem NKWD. Wyszli na miasto i każdy poszedł w swoją stronę.

„Trzeba wstawać i poszukać miejsca, żeby można było się zatrzymać na jakiś czas. Ale co dalej?” – gorączkowo myślała Ludwika. Popatrzyła na śpiących. Żal jej się zrobiło dzieci śpiących w barłogu. Teraz zaczęła żałować, że tak bezmyślnie wyjechała z Szund-Oziera. Poprawiła na sobie odzienie i podeszła do okienka kasy biletowej.

– *Izwinitie*, wy możecie powiedzieć, gdzie mogłabym kupić dzieciom coś do jedzenia?

Kasjerka spojrziała na nią, wiedziała, że to Polka. „Jacy oni biedni” – pomyślała.

– Da, u nas jest na stacji kuchnia, ale tylko dla pasażerów z biletami.

Żal jej się zrobiło dzieci, które śpią pod ścianą. Ludwika zrobiła ruch, jakby chciała odejść.

– Zaczekaj, dam ci bilet. – I po chwili wręczyła go Ludce.

– *Skolko* zapłacę?

– *Nie nada*, może kiedyś i mi ktoś pomoże.

– *Spasiba*.

Ludce zakręciły się łzy w oczach. „I u nich są jeszcze dobrzy ludzie”. Widziała kątem oka, jak kasjerka za bilet zapłaciła własnymi pieniędzmi. Przyszła do dzieci z zasianą nadzieją.

– Wstawajcie, zwińcie swoją pościel i chodźcie na śniadanie.

– Śniadanie? – zdziwił się Stefan.

– Ja też jestem głodna – odezwała się zaspana Halinka.

– Kto nie jest głodny... – burknął Polko.

Po ósmej weszli na stołówkę.

– Mamo, gdzie teraz pójdziemy? – dopytywał Tadek, kiedy już zjedli.

– Nie wiem, może do cerkwi.

Założyli na plecy zawiniątka. Kiedy przechodzili koło kasy biletowej, matka poprosiła.

– Podziękujcie tej pani w okienku.

– *Spasiba*, dziękuję – mówili jeden po drugim, nawet u Halinki i Stefana pojawił się uśmiech na ich wymizerowanych twarzach.

Kasjerka też uśmiechnęła się do nich.

Wyszli ze stacji. Na dworze było mroźno i padał drobny śnieg. Kiedy weszli na plac przed prawosławną świątynią, zauważyli wielu zmarłych, leżących przed nią. Leżeli bezładnie porzrzućani po całym placu. Było ich tak dużo, że trudno było dojść do drzwi cerkwi. Żeby wejść do środka, trzeba było przechodzić nad ciałami.

Stefan aż zbladł ze strachu, kiedy miał nad nimi przejść. Zapał się i nie chciał iść.

– No chodź – prosiła matka, ciągnąc go za rękę. – Umarli już nikomu krzywdy nie robią, trzeba się bać żywych.

Z trudem otworzyła drzwi wiodące do środka. Wewnątrz panował półmrok. Niewiele światła mogło dostać się przez od lat niemyte okna. Powietrze nasycone było stęchlizną o nieprzyjemnym zapachu. Dopiero później zrozumieli dlaczego. Na środku cerkwi stał wysoki filar, który podtrzymywał więźbę dachową. Ludzi wewnątrz było niewielu. Wyszli pewnie, żeby zdobyć coś do zjedzenia. Było to trudne, bo miejscowi byli ubodzy i tylko mundurowym żyło się lepiej. Od nich akurat trudno byłoby spodziewać się pomocy. Na porządku dziennym były kradzieże żywności. Złapany za rękę biedak był likwidowany na miejscu, „od ręki”, przez NKWD.

Rozejrzeli się po świątyni. Ławek, co prawda, nie było, bo ludzie je wynieśli do palenia zimą, ale granitowy ołtarz jeszcze stał, nikomu nie był potrzebny. Poszli tam i położyli pod nim swój dobytek.

– Tu będziemy teraz mieszkać? – spytała Janka.

– Na razie tu, a potem zobaczymy.

Ludwika popatrzyła na pościel, którą przynieśli ze sobą.

– Pilnujcie tego, co jeszcze mamy, bo jak nam ukradną, to będziemy spać na gołej ziemi. Rozumiecie?

Zaczęli zagospodarowywać „lokal” pod ołtarzem. Jak się później okazało, nie spełnił pokładanych w nim nadziei.

Ludwika stała oparta o ołtarz. Patrzyła na swój dorobek życia, który zmieścił się pod ołtarzem. Patrzyła na Jankę, która siedziała na swoim nędznym tobołku. Nie wiadomo o czym myślała. Jej twarz wyrażała głęboki smutek i apatię. Siedziała nieruchomo z oczami wbitymi w podłogę. Z drugiej strony ołtarza stał Polko z Tadzikiem i aż dziw, że się nie wadzili. Ich też przerosła rzeczywistość. Ludwika ujęła się za głowę, próbowała ogarnąć to całe zło i zrozumieć. Wydarzenia toczyły się szybko, zbyt szybko. Znajdowali się w świątyni zbezczeszczonej przez ludzi. „Przecież tu mieszka Bóg” – myślała. Próbowała znaleźć słowa, żeby powiedzieć, co teraz czuje. „Boże – zaczęła się modlić. – Za co zsyłasz na nas te plagi, których nie mogę udźwignąć?” – mówiła szeptem. Zaczęła płakać.

Poczuła delikatny dotyk dłoni na ramionach. Polko z Tadzikiem przyszli, żeby ją pocieszyć i wesprzeć, ale nie znaleźli słów. Szloch wstrząsnął całym jej ciałem. Przytulili się do niej i płakali razem.

– Przestańcie, przestańcie, bo zaraz pęknie mi serce.

Zbliżała się pora obiadowa. Ludwika przypomniała sobie, że mogą zjeść na stacji kolejowej. Wzięła bilet i poszli na stację. Kucharka przyjęła ich nawet życzliwie. Bez słów nalała kartoflanki do misek i każdemu dała kromkę chleba. Po obiedzie odnieśli miski.

– *Skolka ja dażna zapłatit’?*

Kucharka obejrzała się za siebie.

– *Nie nada, nie nada*, idźcie już, bo jeszcze kto zobaczy. Jutro też przyjdźcie – powiedziała cicho.

Znała biedę tych ludzi. Było ich tu tak wielu. To dziwne, w tym kraju wszyscy się czegoś boją. „Jak można tak żyć” – pomyślała.

Wyszli ze stacji.

– Ja zaniosę Jance obiad, a wy kupcie gdzieś chleba. – Dała chłopcom parę rubli, a sama ze Stefanem i Haliną poszli do cerkwi.

Stefan już nie bał się tak panicznie leżących na ziemi nieboszczyków, choć spoglądał na nich z obawą. Robił się wieczór i zmierzch zaglądał do okien. Tadek z Polkiem jeszcze nie wrócili. Matka zaczęła się o nich niepokoić, bo ludzi do cerkwi

na nocleg przybywało coraz więcej. „Jak przyjdą za późno, to nie wejdą do cerkwi. Będą musieli spać na dworze” – martwiła się matka

Obie z Janką spoglądały w kierunku drzwi z nadzieją, że lada chwila pojawią się w nich. Ale upływały kwadranse, a chłopców nadal nie było. Z każdą chwilą w cerkwi robiło się coraz tłoczniej. Każdy spieszył się, żeby wejść do środka. A nocowanie na dworze to przepustka na drugi świat.

W pewnej chwili wokół drzwi zrobiło się zamieszanie. Ludwika wyraźnie słyszała podniesione głosy Polka i Tadzika. Chciała podejść do nich, lecz tłok zupełnie to uniemożliwił. Wstała i podniosła głowę do góry, żeby zobaczyć gdzie oni są. Z daleka widziała płowe czupryny chłopców, które były widoczne raz z jednej, raz z drugiej strony.

– Tam jest jakaś bójka. Tadek! Polko! – krzyknęła.

Chciała im przyjść z pomocą, ale zamieszanie ucichło. Wkrótce obaj chłopcy, przeciskając się przez tłum, dotarli do rodziny. Tadek miał siniaki pod oczami, a Polko oberwane wszystkie guziki u kurtki.

– Co się stało?

– Tam przy drzwiach ukradli nam chleb – opowiadał Tadek ze złością. – Ale ja go jutro poznam.

– A mnie zabrali chleb spod kurtki. – I pokazał oberwane guziki.

– Co tam chleb, najwyżej pójdziemy spać głodni. A tobie jutro Janka przyszyje guziki. Najważniejsze, że wróciliście, bo już myślałam... – dalsze słowa uwięzły jej w gardle. – Chodźcie już spać, spróbujemy się tu jakoś pomieścić. – Objęła chłopców ramieniem. Było ciasno, ale ciepło. Ludzie w cerkwi spali na stojąco. Było tak ciasno, że ci, co nocą umarli, umierali, stojąc. Dopiero nad ranem, kiedy ludzie zaczęli się rozchodzić, osuwali się na posadzkę. Ci, co byli najbliżej tajemnicy śmierci, ocierając się o nią, brali ich za ręce i nogi i wynosili przed cerkiew. Leżeli tam przez kilka dni, a nawet tydzień, każdej nocy ich przybywało. Nad ranem ludzie, słaniając się na nogach, wychodzili w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Ci, co mieli pieniądze, dawali sobie jakoś radę, ale ci, co ich nie mieli, musieli żebrać albo kraść. Dobrze, jak się udało, a jak nie, to drugiego razu już nie było. Niektórzy szukali jedzenia w śmietnikach. Czasem udawało się znaleźć kawałek chleba, jeśli nie... to na drugi dzień wynosili go z cerkwi.

Ludwika z rodziną była w Kotłasie już dwa tygodnie i nic nie wskazywało na to, żeby w najbliższym czasie miało się to zmienić. Zapewne władze liczyły, że za miesiąc, może dwa, wszyscy wymrą i problem sam się rozwiąże. Obawiali się jednak, że może wybuchnąć epidemia. A ludzi wciąż przybywało. Zaczęto więc szukać sposobu, aby problem rozwiązać.

Stefan przyzwyczał się do leżących przez cerkwi zmarłych tak, że skakał przez nich na jednej nodze, próbując następnego dnia skoczyć o jednego dalej. Zabijał w ten sposób czas, z którym nie wiedział, co zrobić. Któregoś dnia matka zauważyła jego

zabawę. Złapała go za rękę.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz?! – krzyczała zdenerwowana.

Na miejscu przetrzepała mu spodnie tak, że zapamiętał to na długo.

Tydzień po tym zdarzeniu Tadek przybiegł do matki zmęczony, ale podekscytowany.

– Mamo! Mamo! Tam na stacji ludzie zapisują się na wyjazd do – przerwał, chcąc sobie przypomnieć nazwę – do Kazachstanu!

– Co ty pleciesz? Do jakiego Kazachstanu?

– Chodźmy, zobaczysz.

Do stacji nie było daleko. Weszli do środka. W poczekalni za stołem siedział mężczyzna i coś mówił. Wokół niego było sporo ludzi, wszyscy słuchali. Podeszli bliżej. Teraz Ludwika słyszała wyraźniej.

– Jak już mówiłem, wojsko Andresa z Buzułuku przenosi się do Kazachstanu, a stamtąd ma wyjechać do Persji. Jest nadzieja, że z wojskiem będą mogli wyjechać cywile. Ja robię listę dla tych, którzy chcą tam wyjechać. Tylko, kochani, to kosztuje.

– Ile, ile? – odezwały się głosy.

Mężczyzna popatrzył na tych biedaków, że wielu nie będzie stać na tę podróż.

– Sto rubli od osoby.

– Sto rubli? A skąd je wziąć? – jęk zawodu przeszedł po zebranych.

– Sto rubli- powtórzył ciszej.

Niektórzy zaczęli wychodzić. Nie mieli takich pieniędzy, ale dużo zostało. Byli gotowi oddać ostatnią kopiejkę, byle tylko stąd wyjechać. Jeśli zostaną, czeka ich tylko śmierć. Ludwika podeszła do stołu.

– Proszę nas zapisać.

Mężczyzna popatrzył na wychudzoną kobietę.

– Ilu was jest?

– Sześć osób.

– O, to spory wydatek – mruknął, według niego nie wyglądała na taką, która może tyle zapłacić.

– Nazwisko? – cedził z wolna słowa.

– Wasilewska Ludwika.

Wziął ołówek do ręki i zapisywał w zeszycie: Wasilewska Ludwika, Tadeusz, Leopold, Halina, a na końcu Stefan.

– Ma pani dzieci? – zapytał.

– Mam sześcioro, a dlaczego pan pyta?

– Bo dzieci płacą mniej, pięćdziesiąt rubli.

– Kiedy będzie pociąg?

– Jutro, pojutrze albo za tydzień. Nie wiadomo, kiedy przywiozą nowych. Będziemy mieli przygotowane wagony do tej podróży.

– Komu mam zapłacić?

– W dniu wyjazdu w kasie. I proszę się codziennie dowiadywać. Następny proszę.

Ludwika wyszła ze stacji z nadzieją w sercu. Choćby to trwało tydzień, teraz już wytrzyma.

Wrócili do cerkwi, żeby podzielić się nowiną z resztą rodziny.

– Kiedy wyjedziemy, kiedy? – dopytywała się Halina rano, zanim jeszcze wstała.

– Jeszcze nie wiem, Tadek z Polkiem pójdą później na stację, to się dowiedzą – odpowiedziała. Już trzeci dzień ją samą też dręczyło to pytanie.

Trzeciego dnia przed południem chłopcy przybiegli ze stacji zdyszani i rozgorączkowani.

– Mamo, szybko, pociąg stoi! – gadali jeden przez drugiego. – Ten pan powiedział, że możemy zajmować miejsca w wagonach. Chodź, bo może jeszcze odjechać bez nas!

– Spokojnie, nie odjedzie pusty – próbowała ostudzić ich gorące głowy.

Zwinęli swoją pościel, założyli na plecy i poszli na stację.

Weszli do poczekalni. Pan, który ich zapisywał, skierował do okienka.

– Dzień dobry – przywitała się Ludwika.

Kasjerka podniosła głowę i poznała ich, mimo że widzieli się miesiąc temu. Uśmiechnęła się.

– *Znakomyje. Kak familia?*

– Wasilewska.

Przewracała kartki zeszytu.

– O, jest. Ile biletów?

– Sześć, jedna dorosła i pięcioro dzieci.

– Ta dziewczyna to też dziecko? – kręciła głową, wskazując Jankę.

– Tak, ma dopiero szesnaście lat.

– Niech będzie. – Położyła sześć biletów.

Ludwika wyjęła spod stanika pieniądze.

– Proszę.

– Dwunasty wagon, prycze możecie sobie wybrać, po trzy osoby na jedną. Teraz możecie pójść na obiad, a o siódmej kolacja. Na drogę możecie kupić... powiedzą wam w kuchni. Acha, pociąg odjeżdża dziś wieczorem.

– Dziękuję, ale nie powiem do widzenia, bo nie chcielibyśmy tu już nigdy wrócić.

Poszli na obiad. Jak zwykle dostali miskę kartoflanki i kromkę chleba. Zjedli i wyszli z kuchni poszukać swojego wagonu. Podeszli do pustego pociągu i szli wzdłuż niego.

– Pięć, sześć, siedem... – liczył Polko.

Przeszli dalej.

– O dwunasty, nasz – przeczytał numer.

Z trudem weszli do środka. Był bliźniaczo podobny do tego, którym przywieźli ich do Plesecka. Rozejrzeli się. Na środku stał żelazny piecyk, przy nim węgiel i drzewo na rozpałkę. U góry wisiała nawet latarka z naftą. Byli pierwsi.

– No, wybierajcie sobie miejsca – powiedziała matka.

– Ja chcę na dole – wybrał Stefan.

– Ja też chcę na dole – upierała się Halina. Zaczęli się spierać.

– Dość tego! Chłopcy u góry, a my we trzy na dole – zakończyła spór matka.

Włożyli swoje bety na prycze i zaczęli przygotowywać pościel na noc.

– Nareszcie będziemy mogli położyć się wygodnie i wyprostować nogi – matka mówiła to do siebie, ale dotyczyło to wszystkich.

Jak do tej pory, przez miesiąc spali, siedząc z podkurczonymi nogami pod brodą, w kuki. Rano trudno było wstać, bo tak bolały kolana, i trzeba było prostować nogi bardzo powoli.

Do wagonów napływali pierwsi pasażerowie. Z początku pojedynczo, a potem już ciągnął się sznur ludzi, wypełniając wagony gwarem i westchnieniami ulgi. Pod dwunastkę wchodzili kolejni pasażerowie i zajmowali miejsca. Niektórzy nieśli ze sobą małe bagaże, inni przychodzili bez niczego. To, co jeszcze mieli, sprzedali za grosze, żeby mieć na bilet i wyjechać. Siedzieli teraz na gołych pryczach, na słomie, patrzyli w podłogę, jakby wstydzieli się swego ubóstwa. Nie wróżyło to nic dobrego, bo mróz był tęgi, a cienkie ściany wagonu nie chroniły przed zimnem. Na zewnątrz słyhać było podniesione głosy kobiet i mężczyzn, zatrzymali się.

– Zobacz, to ten, dwunasty – mówił mężczyzna.

– Sprawdź, czy to ten, żebyśmy nie musieli wysiadać w czasie jazdy – wtrąciła się kobieta.

– Durna baba, przecież widzę dobrze – zdenerwował się mężczyzna. – Mogliby schodki podstawić.

– Patrzcie, jaki naraz wygodny się zrobił! Właż i nie gadaj – ponaglała męża.

– To chyba kłótliva rodzina Rutkowskich – poznała po głosach Stefanię i Feliksa.

„No na nudę nie będziemy mogli narzekać” – pomyślała. Po chwili weszli do wagonu z trójką dzieci. Rutkowski wyjrzał przez drzwi.

– Nu, dawaj, Ksawery, to tutaj – wołał do kogoś na zewnątrz.

Po chwili do wagonu wszedł Pawłowski z liczną rodziną. To ten sam, który z Ludwiką woził drzewo w Szund-Oziero. Poznała go od razu. Zajęli swoje prycze, choć nie obyło się bez przepychanek. Zbliżał się wieczór i w wagonie zrobiło się szaro, ale Rutkowski poznał Ludwikę, która mościła pryczę do spania.

– O, kogo ja widzę! – zawołał na cały głos.

– Kogo? – zapytała Stefania.

– Wasilewska, jak Boga kocham, Wasilewska – Stefania podeszła do Ludwiki.

– Jak się pani udało wydostać z tego piekła?

– Jakoś Bóg pomógł, ale i doświadczył. A jeszcze nie wiadomo, co nas czeka...

– Co pani mówi, teraz jesteśmy na prostej drodze – wtrącił się dom rozmowy Pawłowski.

– Oby miał pan rację, ale jak wiem, żadna droga nie jest prosta. Zresztą przekonamy się o tym niedługo. Ale skoro już tu jesteście, rzućcie okiem na nasze prycze, bo my idziemy na kolację.

– Gdzie? – dopytywała Stefania.

– Na stację, tam też możemy kupić chleb na drogę. Idźcie z nami?

– Nie, my kupimy po drodze – odrzekł Rutkowski. – Tylko nie spóźnijcie się, żebyście nie zostali z tym chlebem na stacji – dodał złośliwie.

Ludwika wyszła z dziećmi z wagonu. Mijali ludzi, których coraz więcej szło do pociągu. Szli szybko, jakby się bali, że nie zdążą i pociąg odjedzie bez nich. Ludwika z całą rodziną weszła do kuchni.

– Dobry wieczór.

– *Dobryj wieczer.*

– My przyszli na kolację.

– *Da.* – Kobieta naląła im zupę po brzegi.

Szybko zjedli i odnieśli naczynia.

– Dziękujemy. Czy mogę u was kupić chleb na drogę?

– A bilety macie?

– Mamy.

– Nu tak, mogę wam sprzedać po dwa bochenki na osobę. Ile was?

– Sześcioro.

– Nu tak. – Zaczęła wyjmować chleb ze skrzyni i kłaść na ladę.

Brali te chleby i upychali pod kurtki. Nawet Halina i Stefan nagle pogrubieli. Polko zaczął się śmiać z nich, choć sam nie wyglądał lepiej.

– Dajcie jeszcze po jednym bochenku, to daleka droga – prosiła Ludwika.

– Nie mogę – zawahała się. Obejrzała się za siebie, jakby się bała, i położyła jeszcze sześć bochenków.

Ludwika zapłacała.

– Dziękujemy, bardzo dziękujemy.

– Na zdrowie i szczęśliwej drogi życzę – rzekła i uśmiechnęła się przyjaźnie.

Wyszli ze stacji i wmieszali się w tłum, który jak rzeka płynął do pociągu. Niektórzy zatrzymywali się i szukali wagonu, inni szli dalej.

– O, ten nasz – zauważył Polko.

Tadek pierwszy wszedł do wagonu. Podali mu chleb i weszli za nim.

– Co ja widzę, chyba wykupiliście cały chleb z Kotłasa? – powiedział uszczypliwie Rutkowski.

– Radzę panu zrobić to samo, bo nie wiadomo, kiedy i gdzie będzie można kupić, chyba że ma pan dobre zęby i będzie pan ogryzał deski z wagonu – odpłacała

za złośliwość Ludwika.

– Nie będę martwić się na zapas – odparł urażony i nie odezwał się więcej.

Ludwika siadła na pryczy. Janka z Haliną weszły już pod pierzyny. Chłopcy zdjęli buty i kurtki i także znaleźli się zaraz na swojej pryczy. W wagonie panowała cisza. Z pryczy z naprzeciwka słycać było cichą sprzeczkę. To Stefania z mężem toczyła o coś spór. Zawsze ten sam problem widzieli z dwóch różnych stron.

Było już późno. Chłopcy już spali. Ludwika leżała i nie mogła zasnąć. Dopiero około dziesiątej zmorzył ją sen. Gdzieś niedaleko zagwizdał parowóz i z sykiem pary przetoczył się obok wagonów i dudniąc po szynach, odjechał. Daleko na zwrotnicach znowu zagwizdał i po chwili sapanie słycać było coraz bliżej, aż drgnęły wagony trącone buforami. Manewrowy przyczepił parowóz do wagonów i wyszedł na peron.

– Gotowe – rzekł i poprawił przesuniętą na bok czapkę.

– No, Wania, ruszaj i zawieź tych polskich panów choćby i do piekła – powiedział NKWD-zista, który już miał dosyć Polaków żebrzących i leżących setkami na ulicach Kotłasa.

Kolejarze roześmiali się półgębkiem z dowcipu, chyba dlatego, żeby mu się nie narazić.

Tadeusz obudził się, kiedy doczepiano lokomotywę. Słyszał rozmowę i śmiechy kolejarzy. Polko i Stefan, którzy byli z nim na pryczy, spali. Uchylił delikatnie klapę okienka. Chciał zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz. Zawiadowca stał na peronie i podniósł latarkę do góry. Dał znak do odjazdu. Lokomotywa zasyczała, wagony drgnęły i zaczęły toczyć się coraz prędzej i po chwili pociąg opuścił stację i zanurzył się w ciemność. Tadek zamknął klapę, przykrył się pierzyną i leżał z otwartymi oczami.

Tiki-tiki-tak, tiki-tiki-tak – dzwoniły koła wagonów na szynach. Wagon kołysał się na nierównych torach. Tadeusz przymknął oczy, zaczął morzyć go sen. Jeszcze słycał, jak ktoś w wagonie krzycał przez sen. Ale potem Morfeusz wziął go w swoje objęcia i Tadeusz zapadł w głęboki sen.

Tymczasem pociąg, sapiąc, pluł dymem i pędził na południe. Od czasu do czasu, kiedy mijał małe uśpione stacyjki w lasach, gwizdał głośno, budząc mieszkańców. Wtedy trochę zwalniał, a kiedy je minął, znowu przyspieszał i rozsypywał z komina iskry, które świeciły długo w ciemności.

Około godziny trzeciej nad ranem dotarł do stacji Oktiabrskij niedaleko Murany, gdzie zatrzymał się na parę godzin, żeby przepuścić pociągi towarowe, zdążające na północ, do Kotłasa, a stamtąd do łagrów w tundrze albo kopalni na Kołymę, poza koło podbiegunowe. Około szóstej ruszył znowu. Ludzie w wagonach powoli się budzili.

– Zimno – odezwał się ktoś na pryczy.

– Jak panu zimno, to pan wstań i napal w kozie, i nie narzekaj.

– A pan nie może?

– Mogę, ale mnie nie jest zimno.

– A czym żeś się pan tak rozgrzał. Chyba że napił się pan kapiatoku i teraz gada pan od rzeczy.

– Coś pan powiedział!

– Jakie te chłopcy są durne, wolą się wziąć za łby, niż w piecu napalić – podsumowała kobieta, która miał dość tej czczej gadaniny.

Umilkli obaj, ale żaden nie ruszył się, żeby napalić w piecyku.

– Ja napalę – zaofiarował się Pawłowski.

Wstał, zapalił latarkę, a potem zabrał się za piec. Świerkowe drzewo zajęło się szybko, a kiedy rozпалиło się na dobre, dołożył węgla. W wagonie zrobiło się cieplej. Niektórzy podnosili się z nocnego snu i siadali na pryczach, inni leżeli jeszcze, choć już nie spali. Dla wielu z nich była to pierwsza od miesiąca noc, kiedy mogli się położyć. Pamiętali, że wczoraj spali, stojąc w cerkwi, i mieli przed sobą lub za plecami nieboszczyków. Nawet zdążyli się do nich przyzwyczać.

Pociąg głośno zagwizdał i zwolnił. Dudnienie kół na rozjazdach mówiło, że zbliżają się do większego miasta.

Tadek obudził się dawno. Polko też już nie spał.

– Zobacz, co to za miasto.

Tadek uchylił nieco klapę i wyjrzał przez okienko. W półmroku uciekały do tyłu domy ogrodzone płotami, zaspane śniegiem, ulice i ludzie w czapkach zdążający w tym samym kierunku. Domy coraz wyższe i coraz ich więcej. Pociąg jeszcze bardziej zwolnił.

– Daj, ja popatrzę. Czeka, tam pewnie stacja, bo dużo ludzi stoi na peronie. O, zobacz! – Uchylił bardziej klapę.

– No.

Na budynku stacyjnym wolno przesuwiał się napis: „Kirow”.

Pociąg jednak nie zatrzymał się. Pojechał jeszcze parę kilometrów i na bocznicy, daleko od stacji, zatrzymał się. Ludzie otwierali drzwi i wyglądali na zewnątrz. Niektórzy wyskakiwali i znikali w pobliskim zagajniku.

– Ciekawe, jak długo tu będziemy stać? Tadek, mógłbyś przelecieć się do maszynisty i dowiedzieć się, jak długo będziemy stać – Ludwika zwróciła się do syna.

– Idę. – Wyskoczył z wagonu.

Po chwili wrócił.

– I co?

– Maszynista mówi, że będziemy stać do wieczora.

– To może poleciałbyś z Polkiem na stację albo do miasta i kupił coś do jedzenia.

– Dobrze.

Dała mu pieniądze. Polka nie trzeba było długo namawiać. Wyskoczyli obaj z wagonu i pobiegli w kierunku stacji. Z innych wagonów też wychodzili ludzie i szli do miasta po zakupy. Również z wagonu Ludwika część ludzi wyszła. Ci, co zostali,

siedzieli na pryczach z marsowymi minami i wzrokiem wbitym w podłogę.

- Mamo, dlaczego oni nie idą kupić sobie czegoś do jedzenia? – zapytała Janka.
- Pewnie nie mają pieniędzy.
- A jak długo może człowiek wytrzymać bez jedzenia?
- Nie wiem, może półtora tygodnia albo dwa. To zależy od kondycji człowieka.

Ale czemu zadajesz mi takie pytania?

Obok na pryczy słychać było głośną rozmowę między Rutkowskim a jego żoną, Stefanią.

- No rusz się wreszcie i idź kupić coś do jedzenia, jesteśmy głodni.
- „Idź, idź” – przedrzeźniał żonę. – Sama idź. Jak wyjdę i pociąg ruszy, to co wtedy będzie?
- Jednego lenia w wagonie będzie mniej.
- Nie chcesz, to sama pójdę, ale wtedy nie dostaniesz zjeść – skończyła ze złością Stefania.

Zaczęła schodzić z pryczy.

- Siedź, pójdę – burknął i wyszedł z wagonu.

Trzymał się z brzuch, bo przepuklina, której nabawił się przy ładowaniu drzewa na sanie, sprawiała mu wiele kłopotu.

Około południa Polko i Tadek wrócili do wagonu. Przynieśli ze sobą pół wiadra zupy, która zamarzała po drodze, i bochenek chleba.

Ludwika postawiła wiadro na gorącym jeszcze piecyku. Po jakimś czasie zupa odmarzła i zapach kartofli i mąki rozszedł się po wagonie.

Większość ludzi wracała ze stacji z niczym. Dla takiej masy ludzi mała kolejowa kuchnia nie była w stanie wydać tyle obiadów. Wracali z lękiem oczach, niepewni jutra. Antoni Rutkowski też wrócił bez niczego. Stał przed drzwiami wagonu i jęczał.

- Pomóżcie mu wejść! – lamentowała Stefania.

Pawłowski z Tadzikiem pomogli mu wejść do wagonu. Wczołgał się powoli na pryczę, położył się i stękał.

Przez stację kolejową Kirow przez cały dzień przejeżdżały z południa na północ milczące pociągi. Snuły się jeden za drugim, nieodłączone, jak cień za człowiekiem przy pogodnym niebie.

Krótki pochmurny dzień dla tych zamkniętych w wagonach minął niepostrzeżenie. Polko, leżąc na pryczy, uchylił nieco klapę okienka i wyglądał przez szparę na świat. Daleko na stacji zapaliły się elektryczne lampy, które wisały na długich sznurkach. Poruszone na wietrze, wyglądały, jakby tańczyły jakiś zwariowany taniec, rzucając blaskiem na przejeżdżające pociągi. Ludzie w wagonie niewiele ze sobą rozmawiali. Jeszcze nie znali się na tyle, żeby mówić o sobie. Ci, co byli głodni, nie mówili nic. Ich myśli zajęte były tylko tym, jak zdobyć coś do jedzenia, i nic się więcej nie liczyło, dopóki w wagonie był węgiel. Inni, którzy coś zjedli, też milczeli. Sposobili się do snu albo już leżeli i czekali na sen. Ci również nie byli skorzy do

rozmowy.

Od otwartego okna ciągnął strumień zimnego powietrza. Polko zapomniał zamknąć klapę. Naciągnął pierzynę na głowę i zasnął.

– Skąd idzie takie zimno? – zastanawiała się kobieta, która miała pryczę na dole obok Ludwiki. Ona też czuła chłód, który przenikał do kości. Wstała i zajrzała na pryczę chłopców.

– Choroba, co oni wyprawiają? Zamkniesz to okno czy nie! – Zaczęła szarpać Polka za pierzynę.

Obudził się.

– Jak ci za gorąco, to idź spać na dwór.

– No co? – Chłopak nie wiedział, co się dzieje.

– Zamknij okno, bo nam głowy pourywa.

Dopiero teraz zauważył, że zostawił otwartą klapę. Zamknął ją i czekał na dalszy bieg wypadków.

– No! – powiedziała tylko i położyła się spać.

Było jest późno, kiedy pociąg ruszył w dalszą drogę. Jechał wolno przez płataninę torów. Tu zbiegały się pociągi ze wschodu, z Daniłowa i z Wołogdy. Tędy jechały składy z południowego wschodu z Niżnego Nowgorodu i tędy przebiegała magistrala kolejowa północ-południe, łącząca Kotłas z Taszkientem przez Perm albo przez Iżewsk i Ufę. Po godzinie minął niewielką stację Kirowo-Czepeck i dopiero wtedy przyspieszył. Wymarzona droga na południe była pusta.

Ludwika swój skarb, czyli połowę zupy, zostawiła na potem i schowała wiadro pod pryczę. Poszła spać ze spokojną głową. Halinka, która leżała obok matki, wierciła się i pojękiwała.

– Mamo, brzusek mnie boli – skarżyła się.

– Może jesteś głodna?

– Nie, ale tutaj mnie boli. – Pokazała matce dół brzucha.

Matka zaczęła delikatnie masować brzusek córki. Jeszcze trochę stękała, ale potem ból minął i obie zasnęły.

Tymczasem pociąg około godziny pierwszej, nie zatrzymując się, minął Głazow i po przejechaniu trzydziestu kilometrów, w małej miejscowości Kez skierował się na wschód. Nad ranem zwolnił, bo wjechał w podgórski teren. Musiał piąć się krętymi drogami ostro pod górę. Minął Krasnokamsk, w końcu nad ranem dotarł do Permu. Tutaj zatrzymał się tylko na chwilę. Przepuścił pociąg, który jechał na zachód, i ruszył dalej. Ludzie z pociągu nie zdążyli nawet wybiec, żeby coś kupić lub ukraść. Przejechał jeszcze sto kilometrów i zatrzymał się na niedużej stacji Kungur u wrót gór Ural. Wagony ustawiono, jak zwykle, daleko od stacji. Parowóz gdzieś odjechał. Ludzie otwierali drzwi, wyglądali na zewnątrz. Wokół leżał śnieg, a opodal czerniała się ściana lasu.

Ludwikę obudził pisk hamulców. Pierwsze myśli pobiegły do córki.

– Już nie boli, ale jestem głodna.

– Zaraz zjemy wczorajszą zupę, tylko zagrzeję ją trochę na piecu. Chłopcy, wstawajcie! – budziła Tadzika i Polka śpiących na górze.

Tadek podniósł się i ziewnął. Po chwili cała trójka zeszła na dół. Ludwika sięgnęła po wiadro pod pryczę. Wyciągnęła je, wiadro było puste.

– Gdzie się podziała nasza zupa? – zapytała.

– Ktoś ukradł, jak mógł – lamentowała Janka.

– Ktoś zeżarł naszą zupę – darł się Polko i szukał winowajcy na pryczach.

– Ktoś, kto był bardziej głodny od was – odezwał się jakiś mężczyzna.

– Może pan – naskoczył na niego Tadek.

– Ja nie, bo wczoraj kupiłem trochę chleba. Jak chcesz znaleźć kogoś, kto już zupę zjadł?

Ludwika była załamana. Sama była głodna i nie miała co dać do jedzenia dzieciom.

– Już drugi raz nas okradli – gorycz zalewała jej serce.

Zaczęła gorączkowo szukać wyjścia z sytuacji.

– Może ty Tadek razem z Polkiem skoczycie na stację albo do miasta, co?

– To daleko, będzie z pięć kilometrów. A jak pociąg odjedzie? – niepokoił się Polko.

– Głupi, jak odjedzie, kiedy parowozu nie ma – odrzekł Tadek.

– Nie ma? A gdzie się podział?

– Odjechał.

– Jeżeli tak, to chodźmy.

Matka dała im pieniądze i wiadro, po czym wyszli z wagonu. Wiał silny, mroźny wiatr, który przenikał przez kapotę i kąsał ciało.

– Biegnijmy, bo inaczej zamarzniemy na kość – zaproponował Tadek.

Zaczęli biec wzdłuż torów. Byli tak zaaferowani swoją misją, że nie słyszeli pociągu, który zajechał od tyłu z Pierwouralska. Dopiero gwizd parowozu obudził ich i w ostatniej chwili uskoczyli na bok i stoczyli się z wysokiego nasypu. Pył śnieżny zakrył wszystko za jadącym pociągiem, a kiedy opadł, wdrapali się z powrotem na nasyp torów.

– Gdzie masz wiadro? – zapytał Polko.

– Wiadro? – dopiero teraz zauważył brak wiadra.

Zaczęli szukać.

– O, tam coś leży – zauważył wiadro Polko.

Zeszli na dół nasypu. Daleko od torów leżała jakaś pogięta blacha.

– To nasze wiadro! W co teraz weźmiemy zupę? – zmartwił się Polko.

– Było. Nie ma co żałować, dobrze, że żyjemy.

– Chodźmy szybciej, bo tam na nas czekają.

Wdrapali się na skarpe i pobiegli w kierunku stacji, oglądając się za siebie.

Weszli na stację i zaczęli szukać stołówki albo kuchni, lecz nie mogli znaleźć. Podeszli do okienka kasy biletowej.

– Chcieliśmy kupić chleba.

– I wiadro – dodał Polko.

Kasjerka patrzyła na nich i nic nie rozumiała. Z początku myślała, że żartują.

– Ja tu sprzedaję bilety kolejowe, nie wiadra. Skąd jesteście?

– *Z etawa pojezda* – Wskazali ręką, skąd przychodzą.

– A wy Poliaci?

– *Da*.

– *Nu panimaju*. Chleb i wiadro możecie zakupić w *goradie*, ale dzisiaj wszystko zamknięte, bo jest *woskriesieńje*.

Stali z rozdziawionymi buziami. Nie wiedzieli, że dzisiaj jest niedziela.

– Niedziela – powtórzył zawiedziony Tadek.

Chcieli odejść.

– Zaczekajcie chłopcy, kupiłam wczoraj dwa chleby, jeden mogę wam sprzedać.

– Dobrze – ucieszyli się.

– A ile jest was w rodzinie?

– Ośmioro – skłamał Polko, nie patrząc jej w oczy.

– Dużo, jeden chleb to za mało. Dam wam dwa.

– A pani?

– Jakoś dam sobie radę. – Kobieta położyła dwa bochenki na ladzie.

– Skolko? – chcieli zapłacić.

– Nie trzeba, niech wam będzie na zdrowie. Mój dziadek był Polakiem. Umarł w zeszłym roku, bardzo go kochałam. A wy... – Otarła łzę z oka. – A wy, szybko biegnijcie, bo wasz pociąg zaraz odjedzie.

– Co? Dziękujemy! – Chwycili chleb i wybiegli ze stacji.

Byli już blisko, kiedy do wagonów podjeżdżał parowóz.

– To nasz, dwunasty. – Tadek podbiegł i otworzył drzwi.

Parowóz zagwizdał i ruszył. W ostatniej chwili chłopcy wskoczyli do wagonu.

– No, nareszcie, tak się o was bałam. Myślałam, że zostaniecie – powitała ich zdenerwowana matka. – Gdzie byliście tak długo?

Chłopcy spuścili głowy, a potem Polko opowiedział, co ich spotkało.

– Boże, mógł was zabić! – przestraszyła się. – Czy wy musicie być zawsze tak roztrzepani! – gderała, kiedy emocje opadły.

Wzięła chleb i jeden podzieliła na wszystkich. Jedli powoli, jakby chcieli, żeby starczyło na długo. Nie było tego dużo, ale poranny głód nie ssał już w żołądku.

– Ten drugi węz, Tadzik, do siebie na górę, bo tutaj – powiedziała głośniej – znowu mogą nam ukraść.

Nikt się nie odezwał na prowokację Ludwiki. Tymczasem pociąg, sapiąc z wysiłku, wjechał w góry Ural. Ciągnęły się z północy na południe ponad dwa

tysiące kilometrów. Na północy zaczynały się od Morza Karskiego i biegły przez cały kontynent, rozdzielając Europę od Azji aż prawie do słonego jeziora – Morza Aralskiego w Uzbekistanie. Góry te nie są zbyt wysokie. Najwyższy szczyt, Narodnaja, strzela w górę zaledwie na 1894 metry.

Jechali z zachodu na wschód. Tory wiły się wśród gór, a pociąg po nich piął się coraz wyżej i wyżej. Wydawało się, że za chwilę stanie, stoczy się z powrotem w dół i spadnie w przepaść. Parowóz jednak wylaził na górę z ogromnym wysiłkiem. Dymił przy tym niemiłosiernie. Pod wieczór dotarł do Pierwouralska. Zatrzymał się na chwilę, jakby zbierał siły do dalszej drogi. Zagwizdał i ruszył dalej. Po dwudziestu minutach znowu zatrzymał się na niewielkiej stacji Rewda, prawie na szczycie gór. Manewrowy odczepił wagony i parowóz zaraz odjechał. Wagony stały daleko od stacji, jakby były nikomu niepotrzebne.

Ludzie otwierali drzwi i wychodzili z nadzieją, że można będzie coś kupić do jedzenia, ale wokół była pustka i wszędy był śnieg. Wracali szybko do wagonów, bo wysoko w górach mróz był siarczysty. Ogromne, purpurowe słońce widoczne jeszcze w przełęczu, zachodziło nisko. Można było patrzeć na nie z góry.

– Mamo, jestem już głodny – poskarżył się nieśmiało Stefan. Zjadł rano na śniadanie kromkę chleba i choć nie jadł obiadu, teraz coś go ścisnęło w żołądku.

Halina patrzyła na matkę, ale nie mówiła nic, była bardziej cierpliwa.

– Tadek, podziel ten chleb – poleciła synowi z ciężkim sercem.

Wiedziała, że jak go zjedzą, na rano nie będą mieli już nic. Strach głodu stanął jej przed oczyma.

– Wyjdź, synu, z wagonu i nabierz do miski śniegu.

Popatrzył na nią, nie rozumiejąc.

– Roztopiony śnieg będziemy mieć na kolację, kipyatok do chleba – wytłumaczyła.

Trwało to trochę, zanim woda się zagotowała. Tadek łamał chleb i podawał każdemu po kawałku. Jedli i popijali gorącą wodą. Musieli się spieszyć, bo szybko stygła, piecyk bez węgla szerniał i gasł.

Choć nie było jeszcze późno, ludzie zaczęli mościć posłania i szykować się do snu.

Tadek z Polkiem, przykryci pierzynami po głowy, dyskutowali ze sobą w charakterystyczny dla siebie sposób. Czasami nawet słyhać było spod pierzyny jakiś kuksaniec, ale wkrótce wszystko ucichło. Niebo ktoś wystroił w miliony gwiazd. Były wyraźniejsze niż tam na dole. Tu na dachu Uralu było do nich o wiele bliżej.

Noc zapowiadała się mroźna. Całą noc przez Pierwouralsk przetaczały się pociągi, ze wschodu na zachód. Niektóre milczące jak widma, inne rozśpiewane. Z góry biegły szybko, jakby gdzieś się spieszyły. Daleko na wschód widać było ogromną lunę, jakby niebo płonęło. Widocznie tam było miasto, rozświetlone milionem lamp.

Tadek z Polkiem obudzili się wcześniej. Już wczoraj po kolacji uradzili, że z samego rana pójda poszukać czegoś do jedzenia. Chcieli wyręczyć matkę, choć trochę, od ciągłej obawy przed głodem.

Polko uchylił okno. Do wagonu wdarł się mroźny oddech zimy. Przez wąską szparę zobaczył jasną poświatę nieba. „Czas wstawać, niedługo będzie świt” – pomyślał.

– Tadek, wstawaj musimy iść.

– Co? Zaraz, jeszcze trochę – ociągał się.

– Wstawaj! – potrząsnął brata ze złością.

Wstali szybko. Ubrali kapoty i założyli buty.

– A wy dokąd się wybieracie? – zapytała matka.

Już dawno nie spała. Przez pół nocy myślała, co da dzieciom do jedzenia, jak się obudzą. I nie tylko dziś, ale jutro, pojutrze.

– Chcemy pójść, może uda nam się coś kupić do jedzenia albo...

– Przestań tak gadać – zdenerwowała się. – A jak pociąg odjedzie?

– A jak nic nie będziemy jedli, to w pociągu poumieramy.

– No dobrze, idźcie i wracajcie jak najszybciej, szczęśliwie. – Rzekła i dała chłopcom pieniądze.

Jeszcze nie wyszli z wagonu, a już się o nich martwiła. Wyskoczyli i pobiegli wzdłuż torów do stacji. Śnieg skrzypiał pod butami, a mróz kąsał za policzki. Był tak mocny, że z trudem mogli oddychać. Co i raz oglądali się za siebie i sprawdzali, jak daleko przebiegli. Wagony z każdym krokiem były coraz dalej.

Dobiegli do stacji i weszli do środka. Ciepło uderzyło ich w twarz. Weszli do poczekalni i usiedli pod ścianą na ławie, żeby się rozgrzać.

– Musimy iść na miasto, bo co tu kupisz? – zwrócił się do brata Tadek.

– Posiedzmy trochę, to się zagrzejemy.

Niespodziewanie na stację weszli dwaj NKWD-ziści. Widocznie zmarzli, bo chuchali w ręce i przytupywali o podłogę. Zobaczyli chłopców i jeden podszedł do nich.

– Kto wy i co tu robicie?! – zapytał groźnie.

– My? Polacy. Przyjechaliśmy wczoraj tamtym pociągiem. – Polko wskazał ręką daleko stojące wagony.

– To czemu jesteście tu, a nie tam?

– Bo tam jest zimno i jest głód, a my przyszliśmy coś kupić do jedzenia. – Popatrzyli po sobie.

– A może wy przyszli coś ukraść?

– Nie, my mamy pieniądze i nie jesteśmy...

– Zamknij się, bo cię wsadzą.

– Kim wy nie jesteście? – spyta NKWD-zista, domyślając się, co chłopak chciał powiedzieć.

– Złodziejami – wybrnął z opresji Polko.

– Nu tak, wy idźcie do miasta, bo tu na stacji można kupić tylko bilet, i to trzeba mieć przepustkę. No, uciekajcie stąd, bo każę was aresztować!

Wstali i szybko wyszli ze stacji. Na ulicy było sporo ludzi, chodzili szybko, jakby się gdzieś spieszyli.

– Gdzie można kupić chleb albo wiadro? – zapytał przechodnia Polko.

Nie zrozumiał.

– Co wy chcecie kupić, chleb czy wiadro?

– Chleb – odpowiedział Tadek.

– Nu tak, gadaj po ludzku. O, tam przed sklepem stoją sanie, akurat przywieźli chleb, tylko pospieszcie się, jak chcecie jeść, bo zaraz rozbiorą i do jutra nic nie będzie.

Pobiegli tam, ile sił w nogach. Weszli do sklepu i stanęli w kolejce. Słyszeli, jak sklepowa mówiła, że można kupić tylko po jednym chlebie. Klienci kłócili się ze sklepową, ale ona była nieustępliwa.

– W razie czego mów, że się nie znamy – powiedział cicho Tadek do brata i dał mu pieniądze na chleb.

Kolejka szybko posuwała się naprzód. Kobieta bez słowa położyła przed Tadekiem świeży, brązowy chleb. A jak pachniał! Chłopiec przymknął oczy i wciągnął jego zapach głęboko w płuca. Coś powiedział, zapłacił i wyszedł. Do lady podszedł Polko.

– Wy nie razem?

– Ja go nie znam. – Wzruszył ramionami Polko. Wziął chleb, zapłacił.

Koło drzwi zobaczył wiadro ze szmatą. Zabrał je jak swoje i wyszedł ze sklepu. Nawet nikt nie zauważył.

– Idziemy już? – spytał Tadek brata.

– Co ty, stawaj drugi raz.

Tadek spojrzał na niego, ale stanął w ogonku. Sklepowa zawahała się, nie była pewna, w tłumie wszyscy wyglądali podobnie. Podała chleb.

Kiedy wyszedł, czuł, że ma mokre plecy. Nie umiał kłamać.

– No, chodźmy, bo jeszcze kto zobaczy.

– Zaczekaj, weź wiadro. – Polko ponownie ustawił się w kolejce.

– A ty, *malczyk*, już dostałeś chleb – zauważyła sklepowa.

– Tak, ale ktoś mi w progu ukradł. – Odparł i zaczął chlipać nosem.

– A to *swołocz*, jak można zabrać dziecku. No nie płacz, masz za to dwa. – Podała chleb, ocierając mu łzy.

– *Spasiba* – podziękował i wyszedł ze sklepu. Za progiem słyszeli, jak sklepowa mówiła:

– *Bolsze chleba niet.*

– Chodźmy stąd. – Polko wziął wiadro i poszli dalej ulicą. Chleb włożyli pod

kurtki, był jeszcze ciepły.

– Idziemy do wagonów? – spytał Tadek.

– Nie, zaczekaj. – Podeszedł do pierwszego z brzegu domu i zapukał. Otworzyła starsza kobieta.

– A wy, *malczyk*, co chcecie?

– *Możecie nam dat' niemnoga kartoszek?*

– A ty głodny?

– *Oczen'*.

Kobieta zamknęła drzwi i gdzieś poszła. Myśleli, że już nie wróci. Jednak po chwili drzwi otworzyły się znowu. Wrzuciła do wiadra ze dwadzieścia kartofli. Chodzili tak od domu do domu i pukali do drzwi. Po godzinie uzbierali prawie wiadro.

– No teraz chodźmy szybko do wagonu, bo kartofle szybko marzną. – Tadek przykrył je szmatą i szybko ruszyli w stronę pociągu.

Było już późne popołudnie, kiedy zmęczeni, otworzyli drzwi do wagonu.

Od chwili, kiedy chłopcy wyszli, Ludwika z niepokojem czekała i wpatrywała się w drzwi. Gdy ich zobaczyła całych i zdrowych, odetchnęła z ulgą. Nie wiedziała, co ma powiedzieć.

– Dzięki Bogu, dzięki Bogu – powtarzała.

Kiedy już weszli i zobaczyła, co przynieśli, ze szczęścia łyzy zakręciły jej się w oczach. A oni wyjmowali chleb zza pazuchy i kładli jej go na pryczy, równie szczęśliwi, choć zmęczeni i przemarznięci.

– A to co? – zapytała, widząc przed sobą wiadro.

– Tooo... – Polko nie wiedział, co powiedzieć.

– Wiadro – wyręczył go Tadeusz.

– Widzę. – Matka zdjęła z niego przymarznąętą szmatę.

– Kartofle? Skąd wy to wszystko macie?

Chłopcy patrzyli dumnie na matkę, z łobuzerskim wyrazem twarzy.

Wzięła dwa do ręki, były twarde jak kamień.

– Zmarzły, ale to nic. Zje się je, choć będą trochę słodkie.

Stefan, jak usłyszał słowo „chleb”, zeskoczył z góry i usiadł koło Haliny, która trzymała bochenek na kolanach. Bracia myśleli, że wypadł z pryczy, a nie zszedł po drabinie.

Matka wysypała kartofle z wiadra do łóżka i przykryła je pierzyną.

– Janka, weź wiadro i nabierz śniegu. Chłopcy, rozbierajcie się i włączcie pod pierzyny. Zaraz z Janką zrobimy coś do jedzenia.

Weszli na górę i przykryli się cali pierzynami.

– Ale zmarzłem – odezwał się Polko do brata, dzwoniąc zębami.

– Jjja teeż – próbował powiedzieć Tadek, któremu szczęka latała jak furtka na oblużowanych zawiasach.

Oblepione śniegiem wiadro syczało na ogniu. Kartofle szybko ugotowały się na gorącym piecyku. Widmo głodu, choć na krótko, zostało zazegnane. Nie dla wszystkich, niektórzy i dwa dni już nic nie jedli. Bali się wyjść z wagonu w obawie, że pociąg odjedzie, a oni zostaną na pewną śmierć. Inni może by i poszli coś kupić, ale nie mieli pieniędzy. Ostatnie ruble wydali na pociąg, który miał zawieźć ich do raję, i to marzenie mogło się długo nie spełnić, tym bardziej że węgiel, jaki dostali w Kotłasię, już się kończył. Na zewnątrz był czterdziestostopniowy mróz.

Chłopcy już doszli do siebie. Janka odcedziła kartofle.

– Tadek, Polko, wstawajcie na obiad. – Matka wyjmowała ziemniaki z wiadra i najpierw podała chłopcom.

Parzyły w dłonie, przekładali je z jednej do drugiej ręki, chuchali i jedli.

– Jakie dobre – zachwycił się Polko.

Janka łamała pachnący chleb i też najpierw dawała braciom, za zasługi. Potem swoją porcję dostała Halina i Stefan. Ten iście królewski poczęstunek popijali kipiatiakiem.

– Mamo, czemu oni wszyscy na nas patrzą?

Dopiero teraz zauważyli wpatrzonych w nich oczu głodnych ludzi z całego wagonu. Ludwika obrała kartofel z mundurka, ale nie mogła go zjeść. Podeszła do kobiety, która miała wlepione w nią oczy. Nic nie mówiąc, wyciągnęła do niej rękę z ziemniakiem.

– Dla mnie? – spytała tamta nieśmiało.

Delikatnie wzięła ciepły kartofel jak skarb i poniosła go do ust. Wtedy w wagonie rozwiązały się języki. Ze wszystkich prync zaczęły padać pytania: „Gdzie wy, chłopcy, to wszystko kupiliście? A to daleko stąd?”

Nie wiedzieli, komu mają najpierw odpowiadać. Poniekąd pochlebiali im takie zainteresowanie. Kiedy się trochę uciszyło, Tadek zaczął mówić.

– Pięć kilometrów stąd jest nieduże miasteczko i tam można kupić chleb, ale tylko z rana. Sklepowa sprzedaje jeden chleb na rodzinę. Ludzi było tyle, że nie mogli pomieścić się w sklepie.

– Ale wy kupiliście chleb gdzie? – pytał Rutkowski.

– My u wozaka, który przywiózł chleb. Jak ktoś zobaczył, że on nam sprzedał, zrobił się taki krzyk, że musieliśmy stamtąd uciekać, a wozaka dopadły kobiety, ech, lepiej nie mówić – zakończył tę dramatyczną opowieść.

– No – przytaknął Polko.

Zrobił się wieczór. W piecyku już dawno ogień wygasł i w wagonie zrobiło się zimno. Węgla zostało co najwyżej na dwa dni. „A co potem?”

– Musimy jutro ugotować wszystkie kartofle, bo braknie węgla – powiedziała Ludwika do Janki. – No, włączmy pod pierzyny, razem będzie cieplej.

Ludzie rozmawiali do późnego wieczora, a potem wszystko ucichło.

Rano, skoro świt, zaczęli wymykać się z wagonu chyłkiem, niby w sekrecie,

i biec w kierunku do stacji. Już nie zastanawiali się, czy pociąg odjedzie czy nie. Chcieli przeżyć. Musieli iść, bo mieli rodziny, które na nich czekały. W południe wracali. Niektórzy nieśli coś pod pachą, szczęśliwi, inni wracali z niczym, zawiedzeni. Kiedy doszli do wagonów, zauważyli prawie nagie ciała ludzi zmarłych z zimna i głodu. Im odzienie nie było już potrzebne, żywym konieczne.

Po mroźnej nocy znowu wynoszono zmarłych i układano ich przed wagonami na śniegu. Ci nie musieli się martwić o nic. Leżeli cicho, wołając o pomstę do nieba dla tych, którzy im to uczynili.

Przerażeni ludzie, widząc, co ich czeka, wychodzili z wagonów i szli do miasteczka z nadzieją, że może uda im się coś kupić albo wyżebrać. Lecz ubodzy mieszkańcy górskiego miasteczka Rewda sami stali codziennie w długich kolejkach. A tu naraz przybyło im setki zabiedzonych ludzi. Stali od rana i czekali na chleb. Znali się tu wszyscy, bo przychodzili codziennie. Stali w milczeniu i przytupywali. Jakie było ich zdziwienie, kiedy któregoś dnia zaczęły napływać jacyś obcy ludzie, inaczej ubrani i mówiący niezrozumiałym językiem. Z początku byli ciekawi, zadawali pytania.

– Ludzie, kto wy? – pytała kobieta stojącego za nią mężczyznę.

– My? – zdziwił się, że ktoś go o to pyta. Myślni był w sklepie i widział oczami wyobraźni, jak sklepowa podaje mu chleb...

– My? – ocknął się. – *My Paliaki.*

– *Paliaki? A atkuda wy prijechali?*

– O, długo bym musiał o tym opowiadać. – Zamilkł, niechętny do zwierzeń.

– *Nu gawari, paka nie priwiezli chleba* – nalegała.

Mężczyzna opowiedział więc, jak zabrali ich z domu, z Polski, kobiety i dzieci również. Jak wywieźli pod Archangielsk do pracy w lasach.

– Z głodu ludzie setkami umierali. Teraz jedziemy do Kazachstanu po wolność – mówił. – Przywieźli nas w góry i zostawili. Stoimy w wagonach pięć kilometrów stąd. – Łzy zaczęły płynąć po twarzy. – Ludzie znowu umierają jak kiedyś z głodu i zimna.

– *Ty wriosz. Jej Bohu, kłamiesz, kak sabaka.* Chleba chce dostać.

– To prawda – rzekł cicho.

– Eta prawda. Mój mąż kiedyś tam przechodził i widział te wagony – wtrąciła się inna kobieta.

– Ja też słyszałam, że stoją tam wagony z ludźmi – dodała druga.

Sklepowa słyszała tę rozmowę i wyszła ze sklepu.

– To prawda – potwierdziła. – U mnie już dużo ludzi było stamtąd. Pamiętasz, Irina, w zeszłym tygodniu zabrakło dla ciebie chleba. Stali przed tobą dwaj chłopcy, zupełnie podobnych do tych, o – pokazała na stojących Polaków.

– Pamiętam, i niech im będzie na zdrowie!

– Ile jest was w tych wagonach? – zapytał ktoś z kolejki.

– Będzie z półtora tysiąca.

– O, to dużo – rozszedł się szmer wśród kolejkowiczów. – Jak zaczną tu przychodzić, to braknie dla nas chleba.

– Jest nas coraz mniej, bo dzisiaj rano wynieśli z wagonów dwadzieścia osób, a za tydzień wszyscy umrą i nie będą jedli waszego chleba – skwitował mężczyzna z goryczą.

Pod sklep zajęchały sanie z chlebem. Konwojent wnosił kosze do sklepu, a kiedy wniósł ostatni, zrobił się taki tłok, że nie mógł wyjść, żeby odjechać.

Wieści o umierających Polakach w wagonach rozchodziła się po miasteczku powoli i drażyła ich umysły. Mieli prawdziwy dylemat. Jedni żalowali ich i chcieli im pomóc. Inni myśleli o nich z niechęcią: „Wszystko nam zeżrą. Niech ich stąd gdzieś wywiozą”.

Kilka dni później, około południa, z miasteczka do pociągu-widma podążało kilka kobiet. Niosły ze sobą ciężkie kosze. Zmęczyły się.

– Oj, Wala, odpocznijmy troszkę, bo ja już dalej nie mogę.

Kobiety postawiły kosze na śniegu. Wyprostowały plecy i patrzyły na stojące niedaleko wagony.

– *Katierina, smatri, tam nawierna nikawo niet.*

– Jak to nie ma, a skąd one przychodzą do Rewdy?

– *Nu, ja nie znaju.* Popatrzcie, z żadnego wagonu nie unosi się dym. Oni chyba tam wszyscy zamarli. Chodźmy, zobaczymy, może jeszcze żyją – nie rezygnowała Wala.

Wzięły kosze i po chwili doszły do wagonów.

– Ludzie, ludzie! Jest tam kto!?! – wołały i uderzały pięściami o drzwi, ale wewnątrz była cisza.

Wiera odwróciła się i spojrzała za siebie. Zobaczyła dziesiątki nieżywych ludzi, leżących obok na śniegu.

– *O, maja Matuszka, smatritie!* – krzyknęła i kosz wypadł jej z ręki, gotowane kartofle wypadły i potoczyły się między leżące ciała.

Drzwi wagonów powoli rozsuwały się.

– Oni żyją! – dziwiły się. – Żyją!

Wysypywały zawartość koszy do wagonów. Widziały wiele rąk wyciągniętych po kartofle i chleb. Przestraszyły się tych ludzi i ich nędzy. Zabierały kosze i odchodziły szybko, jak najdalej stąd. Odeszły już kawałek, Wala obejrzała się. Zobaczyła ludzi wychodzących z wagonów i zbierających rozsypane kartofle między nieżywymi. Podnosili im ręce w poszukiwaniu kartofli.

Kobiety doznały szoku. Szły szybko do miasta i niosły wiadomość o wiele cięższą niż kartofle, o losie ludzi zostawionych na wymarcie; szły, żeby powiedzieć o zbrodni NKWD na Polakach.

Tadek z Polkiem zebrali z podłogi trochę kartofli i pół bochenka chleba. Nawet

Stefan zdążył złapać kilka sztuk. Już drugi dzień nie jedli nic. Wieczorem, kiedy posilali się ostatnimi ziemniakami, Ludwika miała lęk w oczach i brak nadziei na przeżycie.

– Wiesz, Tadzik, pójdę jutro do Pierwouralska, może tam coś dostanę, bo tu w Rewdzie miejscowi głodują.

– Ja pójdę z mamą.

– Nie, ty zostaniesz. Gdyby coś mi się stało, zaopiekujesz się nimi. – Odwróciła głowę z żalu.

– Dobrze. – Tadzik zacisnął zęby.

– Mamo, wrócisz? – zapytała Halina.

Stefan zszedł z pryczy i uczeplił się kozucha matki, nie chcąc jej puścić.

– Puść, muszę iść, inaczej poumieramy tutaj wszyscy. No to ja już pójdę. Nie wiem, co mam wam powiedzieć...

Otworzyła drzwi wagonu.

– Ja z panią pójdę, razem będzie różniej – niespodziewanie odezwał się Pawłowski.

– No to chodź pan. – Ludwika była rada, że nie będzie sama, ale też trochę zła, że przybył jej konkurent do zebrania.

Wyszli, śnieg skrzypiał pod butami. Słońce wytoczyło się już na niebo i świeciło ostro. Mieli je po prawej stronie. Ten ogromny talerz piął się powoli do góry. Promienie padały na śnieg i raziły w oczy. Zasłaniali je ręką i mrużyli.

Szli szybko, w milczeniu, jedno za drugim. Niebawem doszli do pierwszych domów Rewdy. Przeszli obok stacji. Nawet milicjanci nie zwrócili na nich uwagi, jakby ich nie widzieli.

– Daleko jeszcze? – zapytał Pawłowski.

Przeszli dopiero pięć kilometrów, a już czuł się zmęczony.

– Wiem tyle samo, co i pan – odrzekła opryskliwie, zła, że ją o to pyta.

Szedł za nią. Próbował dotrzymać kroku, ale męczył się coraz bardziej.

– Odpocznijmy trochę – poprosił, dysząc ciężko.

Zatrzymali się. Zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, że zgodziła się iść z nim tak daleko. Po dwóch godzinach dowlekli się do Pierwouralska. Odpoczęli trochę i zaczęli się rozglądać.

– Gdzie teraz pójdziemy? – spytał bezradny.

Podeszła do domu i zapukała. Za drzwiami słychać było, że coś tam się poruszyło i po chwili drzwi uchyliły się.

– Czego, *chaliere!* – warknęła kobieta i wyjrzała ku przybyłym.

– Ach, to wy. *Ja dumala szto eta moj muž.* Ty wiesz, on wczoraj poszedł gdzieś, ten mój pijanica, do dziś nie wrócił. A wy czego chcieli?

– My przyszli, żeby kupić coś do jedzenia, bo nas przywieźli do Rewdy.

– Ty już więcej nic nie mów. My słyszeli, że tam Polacy umierają z głodu. Ja nie

mam wiele, ale wejdźcie do środka. Ogrzejcie się. Upiekłam rano trochę blinów. Zaraz przyniosę, siadajcie, to zjecie.

Poszła do kuchni i przyniosła talerz ziemniaczanych placków.

– Zaraz zagotują wam czaju, zagrzejcie się. – Znowu wyszła do kuchni.

Pawłowski jadł łapczywie. Placki szybko zniknęły z talerza.

Ludwika wzięła jeden placek, drugi, trzeci, a czwarty i piąty schowała do kieszeni kurtki. Zauważyła to gospodyni.

– A czemu ty chowasz, a nie jesz?

– Bo tam dzieci i już dwa dni nic nie jadły.

– A żeby ich cholera wydusiła, tych, co wam to zrobili. Przyniosłam wam dwa bochenki chleba i po kawałku słoniny, weźcie. Jak będziecie wracać, to wstąpcie, upiekę więcej placków.

Podeszła do okna. Patrzyła na nowe domy z czerwoną dachówką.

– Jak ty masz na imię?

– Ludwika.

– Ludmiła, ładnie. Chodź do mnie, to ci coś pokażę.

Ludwika podeszła do okna.

– Widzisz te domy? Te z czerwonym dachem.

– Tak.

– Idźcie tam, oni są bogaci i nie wszyscy są tacy źli.

– Dziękujemy za wszystko. – W przyływie wdzięczności Ludwika chciała ją pocałować w rękę.

– Co ty, Polka, zdurniała? Ja nie przywykła do takich czułości. Mój mąż już dawno mnie odzwyczaił. Idźcie z Bogiem. – Otworzyła drzwi.

Wyszli. Na twarzy poczuli mroźny powiew wiatru.

– Chodźmy tam – zwróciła się do Pawłowskiego.

Ładne domy z czerwoną dachówką były widoczne z daleka na tle białego śniegu. Stały rzędem jeden obok drugiego, ogrodzone niskim płotem. Były podobne do siebie jak bliźniaki. Weszli na małe podwórko. Ludwika zapukała do drzwi. Otworzył młody mężczyzna w mundurze NKWD-zisty. Na jego widok Ludwika przestraszyła się i cofnęła o krok.

– A wy kto?

– My, my Polacy z wagonów w Rewdzie – wyjąkała.

Patrzył na nich i nie mógł uwierzyć, że mieli siłę, żeby tu przyjść.

– Aaa, no tak, rozumiem – nie wiedział, co ma powiedzieć.

– Pietia, kto do nas przyszedł? – spytała młoda kobieta i wyjrzała zza pleców męża.

– Nikt, ale daj im coś, bo są bardzo biedni.

– Pietia, skąd oni są?

– Nie pytaj, lepiej, żebyś nie wiedziała. Wejdźcie do środka, bo jeszcze kto

zobaczy was u mnie.

Kiedy weszli do środka, zamknął za nimi drzwi i poszedł w głąb mieszkania, a drzwi na pokój zostawił otwarte. Kobieta zabrała od nich worki i poszła do piwnicy. Ludwika patrzyła za mężczyzną, jak wychodził. Przeszedł przez pokój gościnny. Na środku stał stół nakryty obrusem, a obok skórzane fotele. W głębi widziała sypialnię, w niej łóżko z białą pościelą, a na niej ogromne poduchy.

„Chyba z pierza”- pomyślała. „Też miałam takie w Złotowie ze swoich gęsi”. Pobiegła myślami do rodzinnego gniazda, z którego ją wyrzucono nad rzeką Szczarą. Przypomniała sobie, jak zbierała złote kłosa pszenicy z pola...

Nie słyszała nawet, kiedy kobieta wyszła z piwnicy i przyniosła worki.

– Masz! – powiedziała do niej.

Szybko wróciła do rzeczywistości.

– Och, bardzo dziękuję pani – podziękowała po polsku, pod wpływem wspomnień.

– Co ty powiedziałaś. Pani? Pietia, Pietia!

– Chodźmy stąd.

Szybko wyszli na dwór. Słyszeli jeszcze, jak kobieta mówiła do męża.

– Pietia, ty słyszałeś? Ona powiedziała do mnie „pani”. To Polka. Ty przyjmujesz Polaków?!

– Cicho bądź, głupia, to nie ich wina, że tu przyszli. – Jeszcze coś mówił, ale oni już tego nie słyszeli.

Podeszli do drugiego domu. Wyszedł do nich mężczyzna w mundurze.

– A wy czego?

– My przyszli prosić o kawałek chleba albo parę kartofli dla dzieci.

– Nu, wy przyszli zebrać? Trzeba mieć honor. Przynosicie wstyd swojej ojczyźnie.

– My Polacy z Rewdy, my... – próbowała tłumaczyć Ludwika.

– Milcz! – przerwał jej. – Wynoście się stad, bo każę psem poszczuć! – krzyknął i zamknął drzwi.

– Chodźmy z powrotem, bo nas jeszcze aresztują – zaproponował wystraszony Pawłowski.

– Chodźmy do następnego domu. – I zapukała do drzwi.

Było już popołudnie. Uzbierali dwa worki żywności u NKWD-zistów. Prywatnie byli inni niż na służbie. Pawłowski próbował zarzucić sobie na plecy worek, ale nie mógł. Był ciężki. Pomogła mu i krok za krokiem poszedł w stronę Rewdy. Jakiś twardy bochenek chleba gniótł go w bok. „Ale co tam. Wytrzymam” – mówił do siebie. Był szczęśliwy, choć nie wiedział, jak go zanieś tyle kilometrów. Ludwika zgrała się pod ciężarem.

– Niech pan idzie, ja jeszcze wstąpię po te placki. Dogonię pana. – Zrzuciła worek na śnieg i weszła do mieszkania.

– O, jesteś, długo cię nie było! Myślałam, że nie przyjdiesz.

Poszła do kuchni i przyniosła cały talerz placków. Owinęła w gazetę i dała Ludwice.

– Dziękuję, ale pójdę już, bo za chwilę się ściemni.

– Idź, ale jak będziesz tu jeszcze kiedy, wstąp. Czym chata bogata. – Patrzyła jeszcze przez okno, jak Ludwika zarzuciła sobie worek na plecy i poszła w kierunku stacji.

Pawłowski odszedł już kawałek. Oglądał się co chwilę i sprawdzał, czy za nim nie idzie. Szła, z trudem niosła ciężki wór, ale była coraz bliżej. Gdy podeszła bliżej, zauważyła, że plątają mu się nogi. Zrzucił worek na śnieg, usiadł na nim, dysząc ciężko.

– Odpocznijmy trochę.

Postawiła worek na śniegu i też na nim usiadła. Z daleka słychać było parowóz i po chwili przeleciał koło nich wesoły pociąg z „Katuszą”, którą śpiewali żołnierze jadący na front.

– No, wstawaj pan. Bo jak będziemy tu siedzieli, to do rana nie zajdziemy do dzieci.

Wstał ociężale. Szli koło torów, a i tak nogi zapadały się w śniegu. Wieczór zastał ich w połowie drogi do Rewdy. Szli dalej. Odpoczywali co kilometr, a potem znowu szli, szli. Niedaleko widać było światła stacji.

– Ja już nie mogę, chyba nie dojdę. – Pawłowski przystanął potwornie zmęczony.

– Musi pan, tam na pana czekają dzieci i żona.

– Prawda. – Z dużym wysiłkiem wziął worek i poszedł dalej.

Minęli stację, do wagonów zostało tylko pięć kilometrów. Wydawało im się, że to tak daleko... przeszli kilometr, dwa. Pod Pawłowskim ugięły się nogi i upadł w śnieg pod ciężarem worka. Ludwika zdjęła z niego ciężar. Usłyszała, że płakał.

– Wstawaj pan, – Pomogła mu podnieść się.

Z trudem dźwignęła się na kolana. Wiedziała, że dalej nie poniesie swego worka.

– Nich pan idzie do wagonów i powie moim synom, żeby tu do mnie przyszli.

Poszedł powoli, ślaniając się na nogach. Z trudem doszedł, otworzył drzwi do wagonu i tu opuściły go siły. Zobaczyła go żona. Zeszła do niego z pryczy.

– Andrzej! Andrzej! Co tobie! – lamentowała.

– Tatusiu, tatusiu. – Obstąpiły go dzieci.

Obrócił głowę.

– Powiedz chłopcom Wasilewskiej, żeby poszli pomóc przynieść matce worki. Tam jest chleb i dla was – powiedział szeptem. – Ludzie, pomóżcie mi!

Tadek z Polkiem zeszli na dół. Słyszeli, co mówił Pawłowski. Razem z jego żoną pomogli mu wczołgać się na pryczę, a potem ubrali się i pobiegli torami do matki. Zastali ją dwa kilometry od wagonów. Siedział na worku i czekała.

- Mamo. Czemu tu siedzisz, jeszcze cię pociąg rozjedzie.
 - Dobrze, że jesteście. Nie dałam rady przynieść dwóch naraz.
- Tadek złapał za worek, próbując go podnieść.

– O, Jezu – stęknął. – Jaki ciężki! Pomóż mi go włożyć na plecy.

Drugi worek wzięła Ludwika z Polkiem. Parę razy Polko przewrócił się pod ciężarem. Podnosił się i szedł dalej. Po tym trudnym marszu dotarli do wagonów. Otworzyli drzwi i weszli do środka. Ludwika, potwornie zmęczona, zwała się na pryczę.

– Zrób dzieciom kolację – poleciła Jance.

Janka też była głodna. Zaczęła wyjmować z worka to, co matka przyniosła.

W nocy Pawłowski zmarł cicho, bez skargi. Rano wynieśli go i położyli obok innych, których co dzień przybywało.

Prości Rosjanie z Rewdy, choć sami biedni, przynosili do wagonów, co mieli. Litowali się nad Polakami, których bezlitosna władza skazała na śmierć. Władzy ta pomoc nie podobała się, próbowali zahamować ten proceder, bo wieści o Polakach, choć szeptem, rozchodziły się coraz szerzej. Dotarły nawet do władz obwodowych w Swierdłowsku (obecnie Jekaterynburg).

Któregoś dnia w komitecie partyjnym w Pierwouralsku zadzwonił telefon, słuchawkę podniósł lejtnant Kriwonosow z komendy rejonowej.

– Słucham.

– No, co tam u was, ja słyszałem...

– Przepraszam, ale kto mówi?

– Major Wołkow z Komendy Obwodowej NKWD w Swierdłowsku – usłyszał w słuchawce.

„O, to już niedobrze” – pomyślał lejtnant. Zawsze, kiedy dzwonił do niego major, miał same kłopoty. Zdjął czapkę i położył na stole.

– Słucham, towarzyszu majorze.

– Słyszałem, że nie radzicie sobie z Polakami.

– Towarzyszu majorze?

– Milczcie! Już dwa tygodnie u was stoją i co? Oni ciągle tam są.

– Co ja mam zrobić? Nasi ludzie noszą im jedzenie. Zaczynają źle mówić o władzy.

– O, dobrze mówisz, „nasi ludzie”. Wczoraj byli u was na dierewni NKWD. Słyszałem, że jakaś kobieta z mężczyzną, oficerowie NKWD sami dawali im jedzenie.

– Towarzyszu majorze, ja, ja niczego nie widziałem. – Wyjął chusteczkę i wytarł pot z czoła.

– Towarzyszu Kriwonosow, wy chyba za długo siedzicie w Pierwouralsku. Napiszcie do mnie podanie o przeniesienie. W Kołymie brakuje nam ludzi. Acha, nie musicie już nic robić, ja sam rozwiążę problem Polaków, raz na zawsze! – Rzucił

słuchawką.

Lejtnant opadł na krzesło. „Ot czort, chyba już po mnie. Pewnie moja Natasza na mnie doniosła”.

Na drugi dzień rano do wagonów podjechał parowóz. Trącił mocno wagony, jakby chciał obudzić tych, co tu spali.

– Co to? Zabierają nas stąd? – zapytał ktoś z pryczy.

– Nareszcie, może jedzenie nam dadzą – rozmarzyła się kobieta.

W ludzi wstąpiła nadzieja i choć byli skrajnie wyczerpani, ożywili się. Parowóz zagwizdał przeciągle i ruszył, początkowo wolno, ostrożnie, potem nabierał szybkości. Ludwika wstała. Bolały ją wszystkie kości po przedwczorajszej wyprawie do Pierwouralska. Nie przyszło jej do głowy, że to ona mimo woli stała się przyczyną tego, że pociąg ruszył.

U góry chłopcy też nie spali. Polko wystawił głowę spod pierzyny, a potem wyciągnął rękę i uchylił kłapę okna. Zobaczył duże czerwone słońce w purpurowej koszulce, przysłonięte mgiełką porannego szronu.

– Jakie piękne! – zachwycił się.

– Co takie piękne? – zapytał Tadek.

– Słońce.

Koła wagonów toczyły się szybko i skrzypiały głośno na łukach zamrożonych szyn, aż kłuło w uszach.

„Słońce? Co on wygaduje, chyba zwariował z tego głodu”. Wysunął spod pierzyny głowę. Zimno ciągnęło od okna jak diabli.

– Zamknij, bo łeb ci zaraz odmarznie. – Na dworze mróz był niemiłosierny.

– Co tam? Znowu się kłóćcie? Wstawajcie, zaraz coś zjemy. – Matka wyjęła resztę ziemniaczanych placków.

Ale smakowały! Z plasterkiem słoniny.

– Dobrze – chwaliła Halina, wkładając ostatni kawałek do ust.

– No, tylko trochę mało – przytakiwał Stefan, ocierając rękawem tłuszcz z brody.

Ludwika zauważyła kobietę z naprzeciwnika, która uporczywie się im przyglądała. Jej wzrok podążał za ręką z plackiem niesionym do ust.

– Daj ze dwa placki tej kobiecie, co tak nam się przygląda – poprosiła matka Halinę.

Halina wzięła z miski trzy placki i podeszła do kobiety.

– Pani głodna? – Wyciągnęła do niej rękę z plackami. – Proszę, niech pani zje.

Kobieta wzięła placki i pogłaskała Halinę po głowie.

– Dziękuję za dobre serce. Ja jestem nauczycielką i nie radzę sobie tak jak twoja mama. Jak ja przeżyję?... – Łza potoczyła się po policzku i nie mogła nic więcej powiedzieć.

– Niech pani przestanie, to tylko trzy placki.

Pociąg wyraźnie zwolnił. Po dziesięciu minutach zatrzymał się.

– Znowu stoimy? – Rutkowski zaniepokoił się.

Tadek otworzył drzwi. Pociąg stał na stacji na peronie.

– Co to za miasto? – pytał sam siebie.

Ludzi na peronach było pełno. Co chwila zajeżdżały pociągi na perony i wychodzili z nich ludzie, pędzili gdzieś i znikali, jakby zapadali się pod ziemię. Inni wychodzili na perony nie wiadomo skąd, jak spod ziemi. „Wyłażą jak mrówki z mrowiska. Jeszcze czegoś takiego nie widziałem”.

– Co to za miasto? – zapytał przechodzącego człowieka.

– Swierdłowsk – popatrzył dziwnie i odszedł, ale jeszcze raz się obejrzał.

Tadek wszedł do wagonu.

– Mama, to Swierdłowsk!

Ludwika przypomniała sobie Krystynę z wymarłej wioski. Jej córka tutaj mieszka. Nagle z megafonów usłyszeli głos.

– Uwaga! Uwaga! Pasażerowie przy peronie szóstym. Pociąg do Taszkientu będzie stał cztery godziny. Pasażerowie tego pociągu mogą udać się na miasto i kupić coś na długą podróż. Władze naszego miasta przygotowały dla was stoiska z żywnością!

Komunikat powtarzano kilka razy.

– Słyszycie? Koniec naszej udręki – cieszyła się jakaś kobieta.

– Coś takiego! Jaka odmiana! Nigdy bym się po nich tego nie spodziewał – dziwił się Rutkowski.

– Szkoda że mój Andrzej tego nie doczekał – płakała Pawłowska.

Ludzie wychodzili z wagonów. Ostrożnie oglądali się na siebie nawzajem, jakby nie wierzyli, a potem zaczęli biec, byle szybciej, na osłep, nie wiadomo dokąd.

– Weźcie wiadro i idźcie. Może uda wam się kupić chleba albo ciepłej zupy – poleciła Ludwika synom.

Tadek z Polkiem wyszli w pośpiechu, żeby zdążyć przed innymi.

Peron opustoszał. Wtedy parowóz zagwizdał i pociąg ruszył, wszystkie semafony na jego drodze były otwarte. Szatański plan majora Wołkowa powiódł się całkowicie.

W obwodowej komendzie NKWD zadzwonił telefon. Słuchawkę podniósł młody lejtnant.

– Halo, kto mówi?

– Chciałem rozmawiać z majorem Wołkowem.

– Chwileczkę. – Lejtnant odłożył słuchawkę i wszedł do gabinetu szefa.

Wołkow siedział rozparty na krześle i palił papierosa.

– Towarzyszu majorze, z dworca dzwoni ktoś z ochrony kolei. – Próbował dostrzec twarz przełożonego spod kłębow dymu.

Major podszedł do telefonu.

– No co tam u ciebie, Borys.

– Towarzyszu majorze, Polacy odjechali.

– A dużo ich wyszło z wagonów?

– Dużo, towarzyszu majorze.

– To dobrze, to dobrze – zamyślił się. – Borys, wpadnij do mnie, to pogadamy. – Odłożył słuchawkę.

– Towarzyszu majorze, ci, co wyszli z wagonów, to wszyscy poumierają?

– Tak, ale coś ty, Borys, zrobił się taki sentymentalny? Tamci, co odjechali, też poumierają, ale to już nie nasza sprawa. Ja mam ręce czyste. „Czyżby?” – pomyślał lejtnant.

Ze Swierdłowska pociąg jechał na wschód. Z góry koła wagonów jechały szybko i wystukiwały na łączach szyn takty jakiejś opętanej muzyki. Z początku w wagonach zrobił się krzyk, potem lament podobny do wycia, który z czasem cichł, aż w końcu zamarł zupełnie. Ludzie nie mieli siły płakać.

Ludwika siedziała na pryczy zupełnie przybita. „Po co ja ich wysłałam, chyba po śmierć” – powtarzała w kółko, jak w transie.

Około południa pociąg zatrzymał się za stacją Kamieńsk Uralski, sto kilometrów na wschód od Swierdłowska. Ludzie otwierali wagony, ale nie wychodzili. Bali się nawet wtedy, gdy odczepiony parowóz odjechał.

Przez stację przejeżdżało dużo pociągów. Jedne jechały ze wschodu na zachód, inne z zachodu na wschód. Niektóre pociągi z południa pod opieką NKWD jechały na północ. Prawie wszystkie zatrzymywały się na stacji i kierowane na właściwy tor, odjeżdżały.

Na drugi dzień po niespokojnej nocy Stefan leżał sam u góry na pryczy. Mizerny chudzina z czerwoną głową pokąsaną przez wszy. Choć miał dopiero dziewięć lat, już setki razy ocierał się o śmierć. Z początku bał się nieboszczyków, ale później przyzwyczał się do nich. Nie rozumiał jeszcze, dlaczego ludzie umierali, ale najważniejsze, że nie robili mu krzywdy.

Około południa zjadł kawałek suchego chleba i schował się przed mrozem pod pierzyną... Nudził się. Otworzył okno i gapił się na przejeżdżające transporty. W pewnej chwili zauważył dwóch chłopców. Byli jeszcze daleko, ale widział, że jeden z nich niósł wiadro. Przejeżdżające pociągi zasłaniały mu widok. Wydawało mu się... nie to niemożliwe. Znowu jakiś pociąg zasłonił mu tych dwóch chłopców. Poczekał, aż przejedzie. Teraz wyraźnie widział.

– To chyba Tadek i Polko. – Szli w jego stronę, rozglądali się, jakby czegoś szukali.

To na pewno oni.

– Tadek! Polko! – darł się ile sił w płucach.

– Zwariowałaś czy co? Czego się drzesz!

– Mamo! Mamo! Widziałem Tadzika i Polka. – Rozgorączkowany chłopiec szybko zszedł z pryczy.

Ludwika nie uwierzyła, ale wstała i otworzyła drzwi. Niedaleko za czwartym

torem stali Tadek i Polko.

Widziała wyraźnie. Na chwilę zakrył ich przejeżdżający pociąg.

– Tadek! Polko! – krzyczała.

Zobaczyli ją w drzwiach wagonu i ruszyli w jej stronę. Ludwika wyskoczyła z wagonu i podbiegła do nich. Objęła ich ramionami i płakali razem ze szczęścia. Stali tak na środku torów, szczęśliwi, że się odnaleźli. Nie zwracali nawet uwagi na przejeżdżające transporty. W każdej chwili jeden z nich mógł ich rozjechać.

– Dobrze, że was widzę, tak się bałam. Boże, dziękuję, że ich ocaliłeś! – Wzięła od Polka wiadro. – A co to masz?

– Zupa, zamarzała, jak jechaliśmy.

– Nieważne, dobrze, że jesteście. Zupę kupimy jeszcze kiedyś. No chodźmy już, bo zmarzniecie na gwóźdź.

Przepuścili tylko jeden pociąg, a potem poszli do wagonu. Stefan czekał na nich w drzwiach. Próbował pomóc im wejść do środka. Podali mu wiadro i, okropnie zmarznięci, weszli. Matka pomogła zdjąć im buty.

– Szybko wchodźcie pod pierzyny.

Weszli na prycze i przykryli się pierzynami po czubki głów. Trzęśli się z zimna, jakby byli z galarety. Dzwonili zębami tak głośno, że słychać ich było na dole. Po jakimś czasie uspokoili się i zasnęli.

– Żeby tylko nie dostali zapalenia płuc – martwiła się matka.

– Może przyzwyczaili się już do zimna – pocieszała ją Janka.

– Obyś miała rację...

Spali do wieczora. Pierwszy obudził się Polko.

– Śpisz – zapytał brata.

– No.

– Słyszałaś, Janka, obudzili się, chyba im nic nie jest, nawet nie kaszlą.

– A nie mówiłam, wiedziałam, że tak będzie – Janka była z siebie wyraźnie zadowolona.

– Mamo, ja chcę jeść. – Kiszki Polka grały marsza, tak że można było tę muzykę usłyszeć.

Z trudem odłamała dwa kawałki chleba i podała na górę. Twardy chleb trzeszczał w zębach niczym suchary.

– Jak to się stało, że wy przyjechaliście tutaj za nami? Skąd wiedzieliście?

– To trudno tak w dwóch słowach opowiedzieć. Jak wyszliśmy z wagonu, ludzie biegli na miasto. Polko chciał iść na stację, bo tam była kuchnia. Weszliśmy. Na stołówce nie było nikogo, a za barierką stał prawie cały kocioł zupy. Ucieszyliśmy się. Podałem jakiejś pani wiadro. Nalała parę chochel, prosiłem, żeby dała więcej. Popatrzyła niechętnie, ale dołała jeszcze trochę. Polko kupił chleb. Ja chciałem kupić jeszcze jeden, ale nie dała nam – Tadek mówił jednym tchem. – Zaraz wyszliśmy na peron, ale pociąg ruszył. Zaczęliśmy biec, lecz wiadro obijało się o nogi i nie daliśmy

radę was dogonić. Pociąg odjechał, a mówili, że będzie stał cztery godziny. Nie wiedzieliśmy, co mamy robić. Weszliśmy na stację. W nocy NKWD-ziści wyrzucili nas na dwór. Kiedy odjechali, wróciliśmy z powrotem. Rano przysiadł się do nas jakiś starszy człowiek. „Wy jesteście z tego pociągu, co tylu ludzi zostało?” – zapytał. „Tak”. „Ot, swołocz, mordercy” – klął ile włązło. Rozglądał się, czy go kto nie słyszy. „Wasz pociąg pojechali na Kamieńsk Uralski. Tam będzie jakiś czas stał. Chodźcie ze mną, to was coś pokażę”. Weszliśmy na peron. „O, widzicie, tam stoi pociąg, który za chwilę odjedzie na Kamieńska. Idźcie, może jakoś zabierzecie się”. Odszedł szybko, a my poszliśmy do pociągu. Wszystkie drzwi były zamknięte. Co robić? Polko wymyślił, żebyśmy weszli na bufory. Przestraszyłem się, że spadniemy. Polko popędzał, bo pociąg miał zaraz ruszyć. Weszliśmy między wagony, na bufory. Polko dał mi wiadro i sam chciał wyjść, ale chleb pod kurtką na brzuchu nie pozwalał wejść. Pociąg zagwizdał. „Wyrzuć chleb!” – krzyknąłem do Polka. Powiesiłem wiadro na jakiś haku. Pociąg drgnął, a on szamotał się z chlebem. Wreszcie wypadł mu spod kurtki. Złapałem go za kołnierz i udało się. Siedzieliśmy okrakiem na buforach, a pociąg nabierał prędkości. Mamo, jak wiało! Śnieg zalepiał nam oczy. Nie wiem, jak długo jechaliśmy. Bałem się, że spadniemy prosto pod koła wagonów. Tak zmarłem, że nie mogłem nic mówić. Wreszcie pociąg stanął. Musieliśmy stamtąd wyjść, choć nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy. Ledwo udało nam się zleźć z buforów. Obejrzałem się, a tam u góry wisiało wiadro, więc musiałem z powrotem wejść i je ściągnąć. Szliśmy przez tory. Wydawało mi się, że słyszę głos mamy. Polko zobaczył mamę w drzwiach wagonu. Zrobiło mi się słabo, myślałem, że zemdleję. I ja usłyszałem, jak mama nas woła. Chcieliśmy biec, ale pociągi odgradzały nam drogę. A potem mama przybiegła. Boże, jaki ja byłem szczęśliwy!

– I my też – dodała Ludwika ze łzami w oczach. – Ale gdyby nie Stefan, on pierwszy was wypatrzył z okna z góry.

– Ty pacanie. – Tadek poczochnął go delikatnie po głowie. – Dziękuję.

W Kamieńsku Uralskim pociąg stał tydzień. Choć władze kolejowe i agentury NKWD przy stacjach objęły ścisłą tajemnicą kierunek i miejsce odjazdu pociągu, to jednak niektórym z tych, którzy zostali w Swierdłowsku, udało się jakimś cudem odnaleźć pociąg i przyjechać do rodzin. Reszta zginęła bez wieści. Zapewne pomarзли albo poumierali z głodu.

– Mamo, co będziemy dziś jedli na śniadanie? – dopytywała się rano Halina.

Matka milczała, bo i co miała powiedzieć? Zostało pół bochenka chleb na sześć osób, a co potem?

Chłopcy słyszeli rozmowę Haliny z matką. Czuli się też odpowiedzialni za losy rodziny i chcieli pomóc.

– Mamo, może ja z Polkiem pójdziemy na miasto i kupimy coś. Parowozu przecież nie ma, to pociąg na pewno nie odjedzie.

– Dobrze, ale najpierw zjemy to, co mamy, a potem możecie iść.

Ulżyło jej trochę. Po śniadaniu chłopcy wzięli worek i wybiegli na miasto. Nie było ich do południa. Już zaczęła się o nich martwić, wtedy drzwi otworzyły się i Tadek wrzucił worek do wagonu.

– Ostrożnie, bo rozbijesz butelkę – zezłościł się Polko.

– Oj, zapomniałem.

– Cicho, to miała być niespodzianka.

Obaj weszli do środka.

– Co za niespodzianka? – zagadnęła matka. Zajrzała do worka. – Ojej! Prawdziwe skarby. – Wyjęła z worka: chleb, spory kawałek słoniny, parę cebul. Włożyła znowu rękę do worka i wyciągnęła z niego zieloną butelkę.

– Co to jest?

– Mleko – odpowiedział z dumą Polko.

– Mleko? Skąd wy to wszystko macie?

– Od żołnierzy, co jadą na front.

– A kartofle też od nich?

– Nie, uzbieraliśmy na mieście, trochę zmarzły.

– Nie szkodzi, tylko na czym je ugotujemy?

Chłopcy nic nie odpowiedzieli, ale zaraz po południu gdzieś wyszli. Chodzili po okolicy dworca i szukali czegoś, czym można by było napalić w piecu.

– O, popatrz, tam leży deska – zauważył Polko.

Chodzili i zbierali, a to złamany kołek, a to sztchetę od płotu. Znaleźli nawet suchą, grubą gałąź i przynieśli ją do wagonu.

– Trzeba najpierw porąbać, zanim włożysz do piecyka – zawyrokował Tadek.

– Ale czym, jak nie mamy siekiery? – zmartwił się Polko i podrapał się po głowie.

Od strony stacji, ciężko sapiąc, zbliżał się pociąg towarowy. Ciągnął za sobą ze trzydzieści wagonów.

– Patrz, węgiel wiezie – powiedział do brata Polko.

– No, przydałby się nam. – Tadek spojrział w tamtą stronę.

Parowóz zagwizdał ostrzegawczo. Czarny dym i para z tendrów zakryły wszystko. Polko zaczął kaszleć. Ze złością kopnął deskę, aż odskoczyła na tory, a gdy dym opadł, zobaczył deskę połupaną na kawałki.

– Popatrz, Tadek. – Złapał za gałąź i wrzucił pod koła wagonu.

Znowu chrupnęło, wagon trochę podskoczył i bryły węgla spadły na ziemię.

– Dobrze, że ci to nie spadło na głowę.

Zaczęli wrzucać pod koła uzbierane drzewo. Kiedy pociąg odjechał, pozbierali drzewo i węgiel i zanieśli do wagonu. Zaraz też napalili w żelaźniaku. Ludwika zagrzała zupę, którą z narażeniem życia przywieźli chłopcy ze Swierdłowska. Bardzo im smakowała.

Trzy dni później do stojących wagonów podjechał parowóz. Zawiadowca stacji

podniósł latarkę do góry, dając znak do odjazdu. Pociąg ruszył. Z początku skierował się na wschód, ale później skręcił na południe.

– Ciekawe, jak długo będziemy jechać i gdzie nas zawiezie? – zastanawiał się Rutkowski.

– Tym razem to chyba do piekła – odpowiedział Snarski.

Powiało grozą.

– Chyba gorzej być nie może – do dyskusji wtrąciła się kobieta z dołu.

– Może być, droga pani, może być i sama się pani o tym przekona – bąknął Snarski, sam przestraszony taką perspektywą.

W wagonie zrobiło się cieplej. Włożona bryła węgla rozgrzała piec do czerwoności. Około południa pociąg zwolnił, wjechał na stację i zatrzymał się.

– Zobacz, Polko, co to za stacja.

Polko uchylił klapę. Trzy tory dalej, naprzeciwko ich wagonu stał pociąg z wojskiem. Z blaszanych kominów na dachach snuł się dym. Widocznie w wagonach było ciepło, bo drzwi były otwarte. Chyba była pora obiadowa, bo jeden z żołnierzy rozkruszył chleb na dłoni i wyrzucił przez drzwi. Zaraz zleciało się stado swarliwych wróbli. Żołnierze przyglądali się im i śmiali. Ktoś przechodził koło wagonu.

– Co to za stacja? – zapytał Polko.

Zaczepony człowiek spojrział do góry.

– Czelabińsk.

Stefan leżał koło brata i też widział pociąg z żołnierzami. Widać było, że coś wymyślił. Cicho wysunął się spod pierzyny i zszedł na dół. Otworzył drzwi i zeskoczył na ziemię. Nikt tego nawet nie zauważył. Podszedł do otwartych drzwi. Krzykliwe wróble rozleciały się w popłochu, a on stał, patrzył i milczał. Z wagonu wyrzał żołnierz. Trzymał w ręku łyżkę i jadł obiad. Zobaczył chłopca.

– Malczyk, wypłoszyłeś nam wróble – zwrócił mu uwagę z pełnymi ustami.

Stefan nie odezwał się. Patrzył, jak on jadł.

– Malczyk, skąd się tu wzięłeś?

– My przyjechali tym pociągiem.

– A dokąd jedziecie?

– Nie wiem.

– Ha, ha, ha! Słyszycie, on nie wie, dokąd jedzie! A ty kto?

– Ja? – zastanawiał się chwilę. – Polak.

– Co Polak? Chłopaki, chcecie zobaczyć Polaka?

Z wagonu wyrzało paru żołnierzy.

– Co ty dumny, chłopaka nie widział, taki sam jak nasz.

– No, no uważaj, co mówisz. Polak. – Chciał jeszcze coś powiedzieć. – To Polak.

– A gdzie twój ojciec?

– Na wojnie Niemców bije.

– Co? Niemców bije? – zdziwił się.

– No widzisz, dumny, jego ojciec Niemców bije, a ty zupełnie zresz. A może on głodny?

Torem obok jechał wojskowy pociąg. Jechał powoli, a z otwartych wagonów słyhać było „Katuszę”. Toczące się wagony i śpiew zagłuszyły rozmowę z chłopcem. Zresztą żołnierze też zaczęli nucić tę samą melodię. Kiedy wszystko ucichło, żołnierz będący jeszcze w tym lirycznym nastroju zapytał:

– A ty, malczyk, znasz jakąś polską piosenkę?

– Piosenkę? – Myślał, że dostanie kawałek chleba. – Piosenkę.

– Znajesz? – usłyszał znowu pytanie.

– Znam.

– Nu, dawaj, śpiewaj.

Stefan nabrał powietrza w płuca, otworzył chudą buzię i nieśmiało zaczął śpiewać:

– *Rozkwitały paki białych róż, wróć, Jasieńku, z tej wojenki, wróć...*

Bał się, że pomyli słowa, spoglądał na nich z lękiem, za taki śpiew chyba nie dadzą mu chleba. Nabrał więc więcej powietrza w płuca:

– *Wróć, ucałuj, jak za dawnych lat, dam ci za to róży najpiękniejszy kwiat.*

Coraz więcej żołnierzy przychodziło do drzwi. Słuchali z uwagą, starali się zrozumieć.

– Ty panimajesz, o czym on śpiewa?

– *Da*, rozumiem. Dziewczyna prosi żołdata, żeby wrócił z wojny, to mu da najpiękniejszy kwiat, jaki ma... białą różę. Ja też zostawiłem ukochaną daleka stąd. Czy ona będzie za mną też tęsknić jak ta Polka z piosenki. Ech, nie wiem – wzruszył się.

Stefan nabrał odwagi i popłynęła piosenka podobna do „Katuszy”, o nieszczęśliwej miłości.

– *Przeszło wiosna, lato, jesień już, przekwitły paki białych róż...*

Piosenkę usłyszeli bracia. Wydawało im się, że słyszą głos... Stefana?

– Gdzie jest Stefan? – zapytał Polko.

Odkrył pierzynę.

– Nie ma go tu.

Otworzyli klapę okna.

– Popatrz, śpiewa ruskim – zdumiał się Tadek.

Szybko zeszli na dół.

– Mamo, Stefana nie ma w wagonie!

– A gdzie jest?

Polko otworzył drzwi.

– Mama zobaczy.

– *Tam pod lasem na wojence padł...*

– Stefan! Stefan! Czyś ty zwariował, zaraz pociąg odjedzie!

Ten był tak przejęty śpiewem, że nie słyszał wołania matki.

– *Nie powróci z wojny do dziewczyny swej.* – Zakończył. „Chyba mi się pomyliło” – pomyślał.

Zagwizdał pociąg.

– Boże, zaraz nasz pociąg odjedzie!

– Stefan!!! – krzyczała nieprzytomna ze strachu Ludwika.

Pociąg ruszył.

– *Praszczaj, malczyk* – wołali żołnierze.

Przez otwarte drzwi zaczęli wyrzucać chleb. Jeden, drugi, trzeci... a potem z wagonu wypadło kilka śledzi.

– Ja chyba zwariuję przez tego chłopaka. Idźcie i pomóżcie mu to zebrać. Ja już nie mam siły. – Ludwika ciężko usiadła na pryczy.

Po godzinie pociąg ruszył, ale nie pojechał dalej. Przystawili go na boczny tor, a parowóz został. Tego samego dnia wieczorem samochody przywiozły drzewo i węgiel.

– Nawet naftę do latarek nam dali – zauważyła kobieta z nutą nadziei w głosie.

– Coś się musiało stać albo zmienić, bo trudno, żeby ruscy zapalali do nas miłością – snuł domysły Snarski.

– A widzi pan, niepotrzebnie pan krakał.

– No nie wiem. Nie ma dymu bez ognia. Widocznie jesteśmy im do czegoś potrzebni. Może im ludzi brakuje, zagonią nas do fabryk albo do kołchozów.

– Dzieci też będą zaganiać do roboty? – pytała z niedowierzaniem kobieta.

– Dlaczego nie? Krowy mogą paść. Z czasem dorosną i znowu będzie dla nich robił darmowy, biały Murzyn – zakończył Snarski.

Był już późny wieczór. Choć piecyk wygasł w wagonie, było jeszcze ciepło. Niektórzy zaczęli szykować się do snu. O północy parowóz ruszył. Ludzie, kołysani jadącym pociągiem, zasypiali. Nie wszyscy. Głodni próbowali zasnąć, ale zaciskający się żołądek bolał i głośno domagał się strawy. Głód, a za nim śmierć zaczęły zaglądać do wagonów.

Około drugiej pociąg zatrzymał się na niedużej stacji Troick, sto kilometrów od Czelabińska. Przepuścił pociąg z wojskiem jadącym na front. Zaraz potem znowu ruszył.

Tadek obudził się rano. Już dniało. Zauważył, że im dalej jechali na południe, tym dzień był dłuższy. Nie wiedział dlaczego. Wstał i zszedł na dół. Zaczął grzebać w kozie. Ludzie budzili się i też wstawali, tylko nie wiadomo po co.

Przed południem pociąg zatrzymał się na stacji Orsk. Ludzie otwierali drzwi, wyglądali i nieśmiało wychodzili na zewnątrz. Bali się, że kiedy wyjdą, pociąg znowu odjedzie. Stacja była prawie pusta. Czasem przemykali w oknach lub drzwiach żołnierze. Rzucali okiem na wagony niby przypadkiem, a potem znikali. Pociąg był dyskretnie obserwowany. Przy torach stał budynek z rampą. Pewnie magazyn

zbożowy, bo na rampie leżała pryzma porośniętego zboża. Ktoś z wagonu musiał zauważyć pryzmę. Jeden z zesańców, oglądając się, czy go kto nie obserwuje, poszedł zobaczyć, co to jest. Schylił się i wziął do ręki.

– Pszenica – stwierdził i szybko wrócił do wagonu.

Wieść o leżącej na pryzmie pszenicy rozeszła się lotem błyskawicy po wagonach. Kto co miał pod ręką brał i pędził, aby zdążyć nabrać i coś zjeść. Oblepili pryzmę jak mrówki owada. Nie wiadomo skąd zjawili się krasnoarmiejcy. Biegli od budynku stacji.

– *Nielzia, nielzia* – krzyczeli.

Ludzie nie reagowali. Przybywało ich coraz więcej. Jedni odchodzili szczęśliwi ze zdobyczą, inni dobiegali, żeby ją zdobyć.

– *Wory, paszli won* – krzyczeli żołdaci.

Ciszę rozdarła seria z pepeszy w powietrze. Ludzie jakby nie słyszeli. Zresztą co za różnica, czy teraz umrzeć czy jutro. Z budynku wyszedł oficer NKWD i podszedł do żołnierzy.

– Strzelać! – rozkazał.

Wahali się. Jeden z nich odezwał się:

– Towarzyszu lejtnant, to ludzie...

– Jacy ludzie! Widzisz, trawę jedzą, to bydło. Strzelaj! – ryknął. – Jak nie, to ja ciebie... – I sięgnął po broń.

Strzelali w tłum seriami. Raz, dwa, trzy.

Huk strzałów niósł się po stacji. Ludzie trafieni kulami prostowali się na chwilę, a potem padali twarzą na porośniętą, zieloną pszenicę. Strumyki krwi zaczęły płynąć i barwić śnieg na czerwono. Ludzie nadal nie zwracali uwagi na strzały.

Lejtnant patrzył i nie rozumiał.

– Żeby dla porośniętej pszenicy dać się zabić! Mieli ją na jesieni uprzątnąć, ale kto? Ludzi nie ma.

Lejtnant zamyślił się.

– No, chłopcy, dobra robota, idziemy.

Po godzinie głodni ludzie rozebrali pryzmę pszenicy. Zostały tam potem tylko ciała zabitych. Może kiedyś ktoś je uprzątnie.

Parowóz odjechał. Nie było go parę godzin. Ludzie myśleli, że znowu będą tu stać tydzień, może dwa. Nabral węgla i wody i wrócił. Stał do wieczora, dymił i syczał parą, jakby nabierał sił przed daleką podróżą.

Wewnątrz wagonów w piecykach buzował ogień. Żeleźniak nakarmiony węglem rozgrzał się do czerwoności. Ludzie wychodzili z wagonów, nabierali śnieg do naczyń i stawiali na fajerkach piecyka. Ten skwierczał i para buchała do góry. Borowska wrzuciła parę garści zapleśniałej pszenicy do garnka. Stała nad nim i czekała, aż się ugotuje. Wkrótce woda zaczęła bulgotać i pęcherzyki powietrza wyskakiwały z dna naczyń i pękały na powierzchni. Zamieszała łyżką gotującą się masę.

– Co tak śmierdzi? – odezwała się Stefania do męża, trącając go w bok.
– Co śmierdzi, nic nie czuję – odezwał się Snarski.
– No pewnie, nic nie czujesz! – powątpiewała kobieta.
– Długo jeszcze będzie pani mieszać w tym garnku? – spytała Rutkowska.
– Aż się ugotuje. – I odeszła od piecyka, bo nie mogła wytrzymać zapachu, jaki wydobywał się z garnka.

– Szybciej, bo my też jesteśmy głodni.

Kiedy ostatnia kobieta zdejmowała garnek z piecyka, odór w wagonie był nie do zniesienia. Tadek zszedł z góry i otworzył drzwi, żeby przewietrzyć pomieszczenie.

– Zamknij, bo wchodzi zimno – odezwała się kobieta z dołu.

– Nawet świnie by tego nie jadły – powiedział Rutkowski do żony, kiedy spróbował przygotowane przez nią danie.

– To nie jedz!

– Tak zrobię. – I odstawił miskę na bok.

– Z głodu zdechniesz, jak nie będziesz jadł.

– Może i tak, ale jak to zjem, to na pewno wyrzucą mnie przez drzwi.

Późnym wieczorem pociąg ruszył. Niektórzy pasażerowie siedzieli jeszcze na pryczach, inni powoli układali się do snu. Po godzinie, może dwóch, niektórym zaczęło się bekać. Widocznie zapleśniała i niedogotowana pszenica zaczęła fermentować w żołądkach. Z każdą godziną objawy te nasilały się. Poczuli ostre bóle brzucha, z ich ust ciekła ślina o żółtej barwie. Bóle były coraz większe i jęki słyhać było z różnych stron wagonu przez całą noc. Nad ranem wszystko ucichło.

Dzień wstał wcześnie. Brzask zaglądał do środka przez szpary wagonu. Choć wzeszło słońce, ludzie spali. Przez noc jęki nie pozwalały zasnąć, a kiedy ucichły, zmorzył ich sen.

Przed południem Tadek wstał, żeby napalić w piecyku. Dość głośno wygarniał pogrzebaczem żużel z rusztu. Ludzie budzili się.

– Sabina, co ty tak długo śpisz? Wczoraj miałaś tyle do powiedzenia, a dzisiaj nie mówisz nic – dziwił się mąż.

Zawsze budziła go żona, a teraz spała. Wyjął rękę spod jej głowy, na której wieczorem ułożyła się do snu. Głowa opadła na poduszkę ze słomy.

– Sabina! – Potrząsnął nią.

Nie odezwała się, choć oczy miała otwarte.

– Sabina, obudź się! Nie zostawiaj nas! – prosił, a potem płakał razem z czworgiem dzieci.

Po południu pociąg zatrzymał się na stacji Baikonyr w Kazachstanie. Obok miasta płynęła niespokojna rzeka Syr-daria, pełna meandrów i wirów. Płynie na obrzeżach pustyni, na jej wodach zbudowano trzy elektrownie.

Ludzie otwierali drzwi wagonów i wyglądali na zewnątrz. Po peronie chodzili jacyś ludzie, niepodobni do Europejczyków. Byli niżsi, o ciemniejszej karnacji

i skośnych oczach.

– *Jajca warionyje, lepioszki, jajca warionyje!* – wołali i popychali pełne żywności kramy na kółkach.

Wewnątrz wagonu słycać było te wołania. Rutkowski otworzył drzwi.

– Coś takiego! Ludzie, oni sprzedają jedzenie! – krzyczał podekscytowany.

Zacząto wychodzić z wagonów i choć byli osłabieni jeszcze wczorajszym obiadem, rzucali się do kupna oferowanych towarów.

– Polko, weź wiadro i leć na stację. Może uda ci się kupić zupy. A ty, Tadek, chodź ze mną, zobaczymy, co oni mają.

Wyszli z wagonu i podeszli do sklepu na kółkach, na którym było tyle jedzenia. Kazach, właściciel sklepu, spoglądał na wychodzących wychudzonych ludzi. Kiedy Ludwika z Tadzikiem podeszli do niego, zapytał:

– A wy kto jesteście?

– My Polacy.

– *Poliaki?* Ja o takich nie słycał. A dokąd jedziecie?

– Lepiej nie pytaj, daj mi dwadzieścia lepioszek [6], czterdzieści jajek, kawałek baraniny – mówiła szybko, chcąc jak najprędzej wejść w posiadanie tych skarbów.

– Mamo, zobacz, ma nawet mleko!

– Mleko? To mleko od krowy?

– Nie, to kobyle mleko, dobre, tłuste.

– Daj litr, Halina i Stefan ucieszą się.

– Co ty powiedziała, nie zrozumiał.

– Daj litr mleka.

Zapłaća za wszystko i poszli do wagonu. Po chwili przybiegł Polko z prawie całym wiadrem zupy. Mężczyźni wynosili z wagonów zmarłych ostatniej nocy. Kładli ciała na śniegu przed wagonami. Kazachowie przyglądali się tej niecodziennej ceremonii i jeden za drugim w pośpiechu opuszczali stację. Bali się zadżumionych ludzi.

Przed wieczorem pociąg ruszył. Jechał na południe. Obok torów z prawej strony płynęła w przeciwnym kierunku Syr-daria. Wypływała z Kotliny Fergańskiej, w starożytności zwanej Jaksartes. Nazbierała swoje wody w górskich potokach, które zasilają Naryn i Karadarię. Połączone rzeki tworzą Syr-darię, która płynie na skraju pustyni Kyzyl-kum i uchodzi do Jeziora Aralskiego. Przy rzece przysiadły jakby na chwilę, Toreban, Żałasaz i przylepiona do niej Kyzylorda. A na północ i południe od niej setki kilometrów bezludnych stepów albo pustynie. Czasami można tam spotkać samotnego jeźdźca, który przemierza spaloną słońcem niegościnną ziemię. Trzeba mieć wiele odwagi, żeby rzucić wyzwanie tym chłostanym wiatrem stepom, gdzie tylko koń jest jedynym środkiem lokomocji.

Janka nalewała do misek ostygłą już kartoflanę. Po dwóch głodnych dniach smakowała i taka jak nie wiem co!

– Ja chcę lepioszkę – poprosiła Halina.

– Macie wszyscy po lepioszcze, tylko uważajcie, bo twarde jak suchary, można zęby połamać.

– Mamo, czemu to mleko jest takie jakieś... gęste – pytała Halina.

– Bo jest tłuste, ale dobre.

– No dobre – przytaknął Stefan, wycierając dłonią powstałe z mleka wąsy.

Tadek spojrział na matkę i lekko się uśmiechnął. Po kolacji, zadowoleni, posiedzieli jeszcze trochę. Chłopcy poszli do siebie na górę. Matka z Janką ścieliły prycę i obie weszły pod pierzynę. Halina przytuliła się do matki i kołysane monotonnym stukotem kół, zasnęły. Nie wiadomo kiedy odeszła noc. Wstawał słoneczny poranek. Ludzie budzili się, wstawali i otwierali drzwi. Pociąg przeleciał przez stację Arysę i przed południem wjechał do Taszkientu. Wolno przejechał przez miasto i na rogatkach zatrzymał się na bocznym torze. Odczepiony parowóz gdzieś odjechał.

Na dworze było ciepło. Poprószone śniegiem ziemia szybko czerniała i pod wpływem słońca śnieg tajał i zamieniał się w kałuże, w których taplały się wróble.

Taszkient, stolica Uzbekistanu, u stóp gór Tienszan, w dolinie rzeki Czyrczyk, dopływu Syr-darii. Jedno ze starszych azjatyckich miast. W kronikach wzmiankowana od II wieku p.n.e. Od VIII wieku była pod panowaniem Arabów. W 1500 roku zdobyta przez Uzbeków. 365 lat później podbity przez Rosję, w 1865 roku został przyłączony do Rosji.

Rutkowski otworzył drzwi wagonu i rozejrzał się. Wokół była pustka, choć do miasta nie było daleko.

– Ciekawe, jak długo tu będziemy stali? – Nikt nie zareagował i nie podjął z nim dyskusji. – Może znowu będziemy tu tydzień albo dwa, albo zostaniemy na zawsze.

– Przestań pan opowiadać brednie – zdenerwowała się Szczygłowska. – Nie po to przywlekli nas tutaj taki szmat drogi, żeby zostawić na wymarcie. Pewnie nam coś szykują.

– Ma pani rację, znajdzie się zawsze malkontent, który widzi tylko czarne kolory – poparł ją Nowak.

– Oby pani miała rację – mruknął Rutkowski i wyszedł z wagonu.

Z innych wagonów też wychodzili ludzie. Jedni szli na miasto, inni biegli do pobliskiego zagajnika.

– Mamo, może ja z Polkiem też pójdziemy na miasto i kupimy coś na obiad?

– Dobrze, ale weźcie ze sobą Stefka, niech się przewietrzy, bo tu zupełnie zapleśniał.

– No chodź, pacanie, z nami, może znowu wyśpiewasz parę bochenków chleba.

– Sam jesteś pacan i uważaj, bo następnym razem, jak będziesz jechał na buforach, to ci odmarznie pupa.

Roześmiali się i ruszyli na zakupy.

Schodził dzień za dniem, minął tydzień, a ludźmi w wagonach nie interesował się nikt. Nawet wszechwiedzące i wszędobylskie NKWD udawało, że nic nie wiedzą o transporcie za miastem. Pod koniec drugiego tygodnia, późnym wieczorem doczepiono parowóz.

– No widzi pan, panie Rutkowski, niepotrzebnie pan się martwił. Trzeba mieć choć trochę iskierki nadziei w sobie, a nie tylko narzekać. – Kiedy Szczygłowska kończyła mówić, parowóz szarpnął wagony i pociąg ruszył.

– Iskierka się znalazła! – mruknął Rutkowski, zły, że się go czepia.

Z początku pociąg jechał na południe, w Chowast skręcił na północny wschód. Wkrótce minął Bekabad i Chudżand, miasta leżące nad rzeką Syr-darią. Około godziny czwartej dotarł do Kokand w kotlinie rzeki gór Tienszan. Po jego lewej stronie rozciągał się Alajski grzbiet. Już dniało, kiedy pociąg dotarł do Margilan. Po jego prawej stronie przysiadło miasto bliźniacze Fergana. Tu zatrzymał się na chwilę, jakby chciał odpocząć, a potem ruszył w górę. Koło dziesiątej minął Andżan. Było coraz zimniej i gruby śnieg pokrywał stoki gór.

Polko przykrył się pierzyną, bo zimno wciskało się do wagonu. Po ciepłe Taszkientu nie zostało ani śladu.

– Mamo, długo będziemy jeszcze jechać? – nudziła Halina.

– Nie wiem, chyba wiozą nas na kraj świata.

– Mamo, jestem głodna.

– Zaraz zrobię coś do jedzenia. Chłopcy, już będzie południe, wstawajcie. Tadzio, napal w piecu, bo ziąb ciągnie ze dworu. Janka, wstaw wodę na kipiatak.

Kiedy piecyk rozgrzał się do czerwoności, woda zagotowała się szybko. W wagonie zrobiło się ciepłej. Stefan siedział u góry na pryczy z pajdą chleba w ręce i popijał wrzątkiem.

– Gorąca – narzekał.

– To dmuchaj – radziła matka.

Rozdział XVI

Niespodzianie w południe pociąg zatrzymał się między dużym miastem Osz a o wiele mniejszym Dzialal-Abad, niedaleko Uzgen leżącego u stóp gór. Dalej nie było już torów. Na drodze stały Góry Fergańskie ze szczytem o tej samej nazwie, jedne z grupy gór Tienszan, sięgające prawie 4700 metrów wysokości. Zamykały one Kotlinę Fergańską od wschodu. W tym dniu było pochmurno. Szczyty gór tonęły w chmurach, silny wiatr niósł tumany śniegu po zboczach.

– Wychodźcie, wychodźcie! – rozlegały się krzyki ze wszystkich stron wagonów.
– *Pojezd dalsze nie pajediet.*

Był 15 grudnia 1941 roku. Od chwili, kiedy pasażerowie kupili bilety w Kotłasie i wsiedli do tego pociągu, minęło ponad dwa miesiące. Przejechali ponad cztery tysiące kilometrów z północy na południe. Podróż ta pochłonęła sześćset istnień ludzkich. Rozsiane zwłoki wzdłuż torów, zapomniane, wołają o pomstę do nieba i oskarżają sowiecki system o zbrodnię.

– Ludzie, wychodźcie – niecierpliwił się człowiek w mundurze o azjatyckich rysach twarzy.

Polko otworzył wagon. Naokoło stało całe mrowie zaprzężonych sań i czekających ludzi.

– Wychodźcie! Wychodźcie!

Ludwika z synami pakowała pościel i zakładała ją na plecy. Pierwszy z wagonu wyskoczył Tadek i pomógł Halinie, Stefan wyskoczył sam i zarył nosem w śnieg.

– Uważaj, bo jeszcze sobie coś złamiesz – zrugął go Tadzik.

– *Nu, prachaditie skarieje* – poganiał wojskowy.

Kolejka szybko się przesuwała. Ludzie siadali do sanek i rozjeżdżali się do rozsianych wśród Gór Kirgiskich sowchozów.

Wasilewscy doszli do mężczyzny, który kierował do poszczególnych sań. Ludwika wręczyła mu dyskretnie sto rubli do ręki.

– Dajcie nas do dobrego sowchozu.

– Wania, mam dla was, podjeżdżaj!

– *Sadities'*. – Rosły mężczyzna, niepodobny do Kirgiza, zaciął batem i odjechali.

– Daleko do waszego sowchozu? – spytała Ludwika.

– Teraz waszego. Będzie dziesięć kilometrów.

Przez całą drogę nie odezwał się już więcej. Po półtorej godzinie dojechali do czegoś na kształt bramy, na której widniał napis „Mołotow”. Za bramą stało kilkanaście budynków, a kilka osób przyglądało się przyjezdnym.

Zajechali pod jakiś dom.

– Tu będziecie teraz mieszkać.

Zeszli z sań i poszli do domu. W drzwiach Ludwika usłyszała rozmowę woźnicy z jakimś mężczyzną:

– I kogo ty mi przywiózł, kobiety i dzieci!

– Wziąłem, co Wołodia przydzielił, co mi do tego.

– Nu żesz... ja mu dam. Ja potrzebuję ludzi do roboty, a nie dzieci do zabawy.

Ludwika weszła do mieszkania. Wewnątrz było ciepło i czysto. Nawet koło pieca stało wiadro z wodą i misa do mycia.

– No, zdejmijcie to z pleców. – Ludwika zauważyła, że stoją i nie wiedzą, co mają ze sobą zrobić. – Musimy się tu urządzić, bo wydaje mi się, że zabawimy tutaj dłużej.

Położyli swoje bagaże na prymitywnych łózkach i z braku krzeseł na nich usiedli. Tylko Stefan kręcił się po pokoju i zaglądał w każdy kąt.

– Mamo, tu na stoliku leży chleb i jeszcze coś – zauważył.

Do stolika podeszła Janka.

– O, kawałek mięsa i jakiś woreczek, może z kaszą. – Włożyła rękę do środka. – Pszenica – stwierdziła zawiedziona.

– Mamo, czy będziemy mieć tutaj kury? – zapytała Halina. – Ja będę je karmić.

– Przestańcie, bo zwariuję! Pszenica jest dla nas, jutro zrobimy na obiad, z mięsem. A teraz rozbierajcie się, bo od trzech miesięcy nie zdejmowaliśmy ubrań z siebie. Janka, nalewaj wodę do miednicy.

– Zimna – parsknął Stefan, kiedy mu matka zanurzyła głowę w wodzie.

Ludwika umyła się ostatnia. Za drzwiami słychać było głośną rozmowę.

– Cholera, mogli nas zawieźć jeszcze wyżej, byłoby bliżej do nieba – narzekał znajomy głos.

– Zamknij się i włącz, bo zmarzniemy na kość.

– Tadek, zobacz, kogo do naszego domu przywieźli, bo zdaje się, że znam ten głos.

Tadek wyrzwał do sieni. Zauważył go nowo przybyły.

– A kogo ja tu widzę? Wasilewska, jak Boga kocham! Że też wszędzie muszę się na nią natknąć, ha, ha, ha. Cholera!

Tadek zamknął drzwi.

– To Rutkowscy, wprowadzają się do drugiego skrzydła domu.

– No to będziemy mieć wesołe towarzystwo.

Zbliżał się wieczór. Zjedli skromną kolację. Kiedy zaczęło się ściemniać, rozebrali się i zmęczeni długą podróżą, poszli spać. Wydawało się nawet, że wszy złagodniały i mniej gryzą. Noc minęła szybko. Poranek zaglądał do okien, robiło się coraz widniej. Za ścianą głośny spór Stefanii z mężem obudził Ludwikę. „Trzeba wstawać” – pomyślała.

Zwlokła się z łóżka. Czuła się, jakby była poobijana, wszystko ją bolało.

– Zrobię najpierw śniadanie, a potem trzeba będzie to wszystko poprać. Tylko

w czym, jak nie ma nawet szarego mydła – zastanawiała się.

Napaliła w piecu i zrobiła naprędce śniadanie.

– Wstawajcie, bo śniadanie wystygnie!

Nie trzeba było ich długo namawiać. Szybko umyli twarze w zimnej wodzie i podeszli do stołu. Nie zdążyli jeszcze zjeść, gdy ktoś zapukał do drzwi.

– *Nu kak? Oddachnuli niemnoga?* – Nie czekając na odpowiedź, dodał: – Priedsiedatiel naszego gospodarstwa chce z wami spotkać się dziś o godzinie dziesiątej w biurze naszego sowchozu. – Omiótł wzrokiem rodzinę i po jego minie widać było, że nie jest zbyt zadowolony. Trochę dłużej zatrzymał wzrok na Jance. – Przepraszam, że przeszkadzam w jedzeniu. – Wyszedł.

O godzinie dziesiątej Ludwika poszła do biura sowchozu. Jeszcze nie weszli do środka, a już słyszeli tubalny głos Rutkowskiego. Jego „cholery” wyłaziły przez drzwi i kłuły w uszy. Kiedy weszli do środka, zauważył ich i skierował się ku nim.

– No, moja stara znajoma! – zawołał. Nie zdążył nic powiedzieć, bo na salę weszło trzech mężczyzn.

– *Nu wy, Paliaki* – zaczął jeden z nich. – Ja znam wasze losy i ciężką drogę do nas. Ale nie ja was tu sprowadził. Wiem, że jesteście wolni i możecie wyjechać w każdym momencie. Ale jak długo będziecie tu mieszkać, musicie pracować, aby zarobić na życie. Powiem wprost – nie będziemy wam płacić rublami, dostaniecie deputat. Może skromny, ale będzie można za niego jakoś przeżyć. Przez parę dni damy wam podwójną porcję, ale tylko dla dzieci i tym, którzy będą pracować. Dziś jest piątek 16 grudnia. Trzy dni macie wolne, żeby odpocząć i nabrać sił. A od poniedziałku do pracy. Kto nie będzie chciał pracować, musi opuścić dom i wyjechać. Moi dwaj brygadziści pokażą wam miejsca pracy i co macie robić. Acha, wasz adres: Sowchoz im. Mołotowa, Uzgienskiej Rajon, Republika Kirgiska. Nu tak, to wszystko, możecie iść.

Ludzie zaczęli wychodzić. Przewodniczący sowchozu i dwaj brygadziści przyglądali się tym wychudzonym ludziom.

– Biedni ci Polacy.

Przewodniczący spojrzał na mówiącego.

– A my, Mykoła, byliśmy inni, jak nas tu przywieźli z Ukrainy? Oni mają chociaż domy, a nas wyrzucili prosto w śnieg, pamiętasz?

– Pamiętam i nigdy nie zapomnę, jak mojego *bat'ku* za worek kartofli na miejscu zastrzelili, a nas w wagony. Trzeba przywieźć trochę mydła, bo są czarni od brudu.

– To nie brud, to bieda. Jutro wyślę do Uzgeny sanie, niech przywiozą mydło i naftę.

– Po co nafta?

– Nie widzisz? Po nich wszy piechotą chodzą.

Ludwika z Tadzikiem wyszli również. Za nimi szedł Rutkowski i mruzczył pod nosem:

– To ja mam im darmo robić? Słyszała pani? Niedoczekanie, cholera – zaklął.

Ludwika nie chciała z nim rozmawiać, przyspieszyła kroku. Przy niej dreptał Tadek. Rutkowski nie mógł nadążyć, podbiegł.

– Słyszała pani? Mamy za darmo robić, cholera.

– Panie Rutkowski, przestań pan kląć. Ma pan żonę, niech się pan na niej wyżywa, a mnie niech pan zostawi w spokoju.

– Patrzcie, patrzcie, wszy ma za kołnierzem, a jaka ważna, cholera.

– Panie, zamknij się pan. Ma ich pan dwa razy więcej, więc się nimi zajmij, a nie truj pan – wtrącił się Tadek.

– Ty gówniarzu, cholera, ja tobie...

– Niech się pan nie złości, bo panu znowu kiszki wyleżą.

Weszli do domu. Ludwika odetchnęła z ulgą.

– On chyba ma rację, musimy coś zrobić z tymi insektami, bo niedługo nas zeżrą albo przyniosą tyfus.

Usiadła na łóżku i zamyśliła się. Podeszła do niej Halina i przysiadła się.

– Mamo, czemu jesteś taka smutna?

– Bo pierwszy raz w życiu nie wiem, co mam robić. – Przytuliła ją do siebie i pogłaskała po głowie.

Mimo woli rozgarnęła jej włosy, skóra głowy była czerwona i pociachana przez wszy.

– Boże, ty masz tego całe gniazda! Nie gryzą cię?

– Gryzą, ale wtedy drapię.

Ludwika przeraziła się, ogarnęła ją czarna rozpacz. Była bezradna, jak dzieci.

Następnego dnia po południu przywieźli dodatkowe porcje żywności, szare mydło i naftę.

– Tadek, napal dobrze w piecu, bo dziś z Janką robimy wielkie pranie. Rozbierajcie się szybko i włączcie pod pierzyny.

Podczas prania woda w misce zrobiła się czarna. Trzeba ją było parę razy wymieniać, zanim matka uznała, że jest w porządku. Obwiesili ubraniami piec naokoło. Potem matka wymyła wszystkim głowy naftą, na końcu sobie.

– Śmierdzi – skrzywił się Stefan.

– Wolisz, żeby gryzły wszy czy żeby trochę śmierdziało?

Na dworze zrobiło się ciemno. Tadek zapalił latarnię.

– Chyba pranie wyschło.

Ludwika podeszła do pieca. W bladym świetle latarki zaczęła przeglądać upraną bieliznę. Wydawało się, że nawet wszy gdzieś zniknęły. Odwróciła koszulę na lewą stronę i zagładnęła pod szwy.

– A to draństwo! Zobacz, Janka, gdzie się pochowały. Wielkie, pękate prośne maciory, ledwie się ruszają opite krwią.

Zaczęły je wybierać, jedno po drugich, i gnieść na paznokciach. W niedzielę

znowu przejrzały bieliznę. Znalazły ich jeszcze trochę, ale niewiele.

– Tadzio z Polkiem, wyrzućcie poduszki i pierzyny na mróz na parę godzin i popilnujcie, żeby kto nie ukradł.

Wieczorem, kiedy kładli się spać, pachniały świeżością i mrozem.

W poniedziałek Ludwika z Tadzikiem poszli do pracy. Brygadzista zaprowadził ich do magazynu pełnego słoneczników. Było tam już z dziesięciu ludzi. Przerzucali pestki z miejsca na miejsce, żeby nie zatechły. Kurzyło się przy tym jak nieszczęście. Dał im drewniane szufle do rąk.

– Chyba nie muszę wam tłumaczyć, co macie robić?

Spojrzała na górę pestek przed sobą. Wzięła za szufłę obiema rękami, nabrała pestki, zamachnęła się i rzuciła za siebie. Tadek zrobił to samo. Pod koniec dniówki szeptała coś synowi. Weszła po kolana w słoneczniki. Tadek zrobił to samo.

– Koniec roboty – powiedział brygadzista.

Poszli do domu. Buty uwierały ich niemiłosiernie. Ledwie zdjęli je z nóg. Wysypali ze dwa kilogramy słonecznikowego ziarna na podłogę. Halina i Stefan rzucili się na słoneczniki.

– Co wy, jeszcze nic nie jedliście?

– Nie, Janka dopiero gotuje.

– Co ty robiłaś do tej pory?

– Czekałam, aż mama z Tadzikiem przyjdzie, zaraz obiad będzie gotowy – tłumaczyła Janka.

Mijały dni na syzyfowym przerzucaniu słoneczników z jednego miejsca na drugie, a potem z powrotem, i tak do wiosny.

Dnia 24 grudnia w piątek około godziny szesnastej wysypali słoneczniki z butów. Umyli się z kurzu. Ludwika usiadła zmęczona na łóżku. Przypomniała sobie, że dziś jest wigilia Bożego Narodzenia. „Nawet w Szund-Oziero Stefan przyniósł z lasu choinkę. Mieliśmy z Polski opłatek. Jak daleko jest stąd do Polski i bliskich” – pomyślała i wielka łza potoczyła się po policzku. Zauważyła to Halina.

– Czemu mama płacze?

Podeszła i przytuliła się do niej. To wzmogło żal i wybuchnęła płaczem i nie mogła się uspokoić. Dzieci otoczyły ją kołem.

– Mamo, mamo! Co mamie jest?

Spojrzała na nich załzawionymi oczami.

– Mnie? Nic, ale dzisiaj jest Wigilia, czym będziemy się dzielić?

– Słonecznikami – wyskoczył jak Filip z konopi Stefan.

– Głupi – powiedział Polko, ale wszyscy się roześmiali.

– Chodź, Janka, zrobimy dzisiaj lepszą kolację.

– I postną – dodał Stefan.

– Głupi, zawsze jest postna – skwitował Polko.

Po kolacji wigilijnej siedzieli na łóżkach i łuskali słoneczniki. Wieczorem

podłoga była zasłana łuskami z pestek. Polko zmiotł je i wsypał do wiadra.

– Jutro będzie do palenia w piecu. – I poszedł spać.

W pierwsze święto jak zwykle poszła do pracy i szuflowała te pestki, ale myślami była gdzie indziej. Oparła szufle o pestki. „Już dwa lata nie byłam na mszy w kościele. Pamiętam, jak z mamą i tatą szliśmy dziesięć kilometrów na pasterkę do kościoła. Na niebie było tyle gwiazd, a śnieg skrzypiał pod butami, jak tu, a potem...”

– wspominała.

– Czemu nie robisz, chora jesteś? – przerwał jej rozmyślania brygadzista.

– Chora? – zdziwiła się. – Może i chora, na tęsknotę za wszystkim, co utraciłam.

– Co ty gadasz, pomieszało ci się w głowie!

Nie odpowiedziała. Mocniej ujęła trzonek szufli i zaczęła znowu przerzucać słoneczniki.

W połowie stycznia brygadzista zbierał mężczyzn do pracy w sadzie. Sowchoz miał ogromny sad moreli. Trzeba było z niego usunąć suche gałęzie i wyciąć dzikie pędy, które wyrosły wiosną.

– Mama, ja pójdę na *ariuki* – zaproponował Tadek przy kolacji.

– Jakie oriuki?

– Do sadu, wycinać gałęzie. Przyda się drzewo na zimę.

– Na drugą zimę. Sama mama widzi, że tu nie rosną drzewa, a zima jest długa.

– Synu, o czym ty mówisz? Nie wiadomo, co będzie za rok.

– Mamo, ja mam dość przerzucania stęchłych słoneczników!

– To idź, ale tam na mrozie praca jest cięższa.

– Mamo, ja pójdę z Tadzikiem do sadu – prosił nieśmiało Polko.

– A dajcież mi święty spokój. Jak chcecie, to idźcie i niech was... Bóg broni – dokończyła.

Przy końcu lutego mrozy zelżały. Tam w dolinach koło Taszkientu już dawno rozsiadła się wiosna. W góry szła powoli, przysiadła na chwilę, dzień może dwa, a potem znowu szła i szła. Biały śnieg zrobił się szary i mrozy były duże już tylko nocą. Z początkiem marca, którejś nocy chłopców obudził dziwny głos, jak pomruk burzy dochodzącej z gór. Zaraz po nim wzmógł się wiatr. Chłopcy zerwali się z łóżek i podbiegli do okna. Za oknem było ciemno. Poczuli w sercach niepokój. Po chwili ciszę nocną przerwał potężny huk, który po górach przetoczył się echem jak grzmot i zaraz wszystko ucichło.

– Co to było? – zawołała matka, zrywając się z łóżka.

– Nie wiem, to chyba wiosna przyszła do nas z takim hukiem – próbował wyjaśnić Tadek, zdziwiony, że mógł coś takiego wymyślić.

Nazajutrz rano przybyli Polacy pytali miejscowych Ukraińców o te nocne pomruki gór.

– To lawiny schodzą z gór – tłumaczyli. – To znak, że i do nas wiosna przyszła. Kiedyś była tu kirgiska wioska. Lawina zmiotła ją, a wszyscy ludzie zginęli. To było

dawno i nikt o tym nie pamięta.

Na drugi dzień po górskich pomrukach wstał ciepły, słoneczny dzień, a kiedy słońce przetoczyło się po błękitnym niebie na drugą stronę gór, śnieg topił się szybko. Małe górskie potoki zamieniały się w rwące rzeki. Wypłukiwały z gór lessy i niosły je do Nary, która wpadała do Syr-darii. W dolinie tej rzeki na ogromnych przestrzeniach znajdowały się systemy irygacyjne, które pochłaniały prawie całą wiosenną wodę, bogatą w minerały. Na tej żyznej ziemi rosła dorodna pszenica, a kiedy dojrzała, łodygi nie mogły utrzymać ciężkich kłosów. Pochylała nabrzmiałe ziarnem złote kłosy, jakby dziękowała Bogu za urodzaj.

Wiosna przysła już na dobre. Śnieg spływał ze skalnych stoków. Zaczęła zielenić się trawa. Gdzieniedzie wzeszły pierwsze pierwiosnki i drżały na wietrze.

Ludzie wywozili nasycone potem pestki słoneczników. W magazynach zostało ich tylko tyle, ile potrzeba było na nowe zasiewy. Dwa tygodnie później, jak ziemia podeschła, w góry jechał wóz naładowany workami pestek słoneczników. Co jakiś czas zmęczony koń przystawał pod ciężkim ładunkiem. Za wozem szły kobiety, niosąc na ramionach motyki. Z początku rozmawiały, ale po czasie jedna z nich zaczęła nucić ukraińską dumkę. Melodię podchwyciły inne kobiety i popłynęła pieśń na głosy, smętna, o tęsknocie kochanków. O miłości wyznawanej nad Dnieprem. Śpiew niósł się po górach, echo wielokrotnie wracało. Ludwika słuchała tej tęsknej piosenki i coś ja chwyciło za serce. Nie mogła uwierzyć, że Ukraińcy mają taką piękną duszę, bo tylko piękna dusza może śpiewać taką pieśń. Przynajmniej tutaj, w Tienszan. A Staszek Butrym? Zawsze słyszała, że Ukraińcy są okrutni i mściwi. Jeżeli tak, to skąd takie pieśni? Zasłuchała się i tęsknota z dumki udzieliła jej się. Oni śpiewali, a ona płakała.

– Laszka, czemu ty płaczesz, chora jesteś?

– Nie, nie, ale wasze dumki są takie piękne i rzewne, że wyciskają łzy z oczu.

– *No szczo ty, Laszka, kto widział, żeby przy piosence płakać. Piosenka to tylko piosenka.*

– Oj, Gala, tobie ruskie zarżnęły męża i też nie płakałaś, bo w tobie nie było miłości, a ona, patrz, pięcioro dzieci ze sobą przywiozła, tyle biedy zażyła, a jest jeszcze taka, taka delikatna jak mimoza.

– No ty, Julia, nie wytykaj! Ja niewinna, że mi chłopca zabili, lepiej popatrz na siebie. Już dwóch mężów miałaś. Co się który przykleił do ciebie, tak i zaraz umarł, a ten trzeci, co z tobą żyje, ledwie na nim portki wiszą. Ty nie możesz powiedzieć, że jesteś mimoza, ty jesteś rosiczka.

– Co ty powiedziałaś? – Julia spojrzała na Galę groźnie i zdjęła z ramienia motykę. – Ja tobie zaraz dam rosiczkę! – krzyknęła.

Wozak Mykoła zeskoczył z wozu i stanął między antagonistkami.

– Baby, przestańcie, bo zaraz i jedna, i druga oberwie!

Dowlekli się na miejsce, odpoczęli trochę, a potem nabrali pestek słonecznika do

fartuchów siemuszki.

Szli wolno pod górę, uderzając motyką w ziemię. Unosili trzonek motyki trochę do góry, robiąc szeroką lukę w ziemi, wrzucali kilka pestek, wyjmowali motykę, przydeptywali miejsce zasiewu. Robili krok do przodu i znowu motyka cięła ziemię aż do wieczora. Schodzili z gór powoli i ostrożnie, żeby się nie pośliznąć. Przez tydzień bardzo bolały nogi, a potem można się było przyzwyczaić. Ludwika już drugi miesiąc szła z motyką kopać góry. Zaprzyjaźniła się z Ukrainkami, choć z początku była to przyjaźń szorstka. Otworzyła się pierwsza. Opowiedziała im o trudnym dzieciństwie, o domu pełnym miłości, jak wyszła za mąż za wdowca z trojgiem dzieci... wszystko.

Polko przykleił się do traktora. Robił za pomocnika traktorzysty, nosił ze wsi na pola ogień do zagrzania gruszy w traktorze, żeby odpalił. Tadek zaczepił się przy koniach. Miał z tego duży pożytek, bo odchody koni, wysuszone, były dobrym materiałem opałowym, bo tu wysoko w górach nie rosły drzewa.

Nadszedł maj. Morelowy sad rozkwitł milionami kwiatów. Słodki zapach niósł się ku dolinom, gdzie już dawno zawitała wiosna. Zachęcał, wabił, zapraszał na ucztę weselną. Kwiaty podawały słodki, odurzający nektar w białych kieliszkach. Zlatywały się tu roje różnych owadów, od pszczoł do buczących, grubych trzmieli. Wadzili się, robiąc okropny zgiełk, ale nikt tu nie odleciał z pustymi nóżkami.

Kiedy strojne suknie uszyte z płatków kwiatów pofrunęły z wiatrem jak motyle, brzemienne drzewa okryły liściem nagie gałązki, jakby wstydziły się nagości i niedawnych miłosnych igraszek. Niedługo będzie widać spod liści żółte brzuszki pokrytych meszkiem moreli. Owoców miłosnych zalotów.

Maj okrył górskie stoki kwieciami, a zasiana pszenica na polach wzeszła i wystrzeliła źdźbłami ku słońcu, ziemia pachniała...

Któregoś dnia przewodniczący sowchozu spotkał przypadkowo idącą do pracy Ludwikę.

– Zaczekaj, ja dostał pismo z Dżalal-Abadu od waszej armii.

– A co ja mam do tego?

– Może i masz. Ty masz dokumenty, jak się nazywasz i kiedy się urodziłaś? A twoje dzieci mają?

– Nie mam.

– No widzisz. Oni proszą, żeby ktoś zebrał dane osobowe od ludzi, którzy tego nie mają, i przyszedł do nich do biura przy sztabie armii. Oni takie dokumenty wystawią.

– A czemu ja mam iść po te dokumenty?

– Jeżeli nie ty, to kto? Jak nie chcesz, to nie, nie moja sprawa.

Pod wieczór Ludwika wróciła do domu. Wszyscy już byli w izbie, tylko Tadek jeszcze mitrężył przy koniach. I on niedługo wrócił. Zjedli kolację.

– Janka – zaczęła matka – jutro pójdziesz do Dżalal-Abadu, gdzie stacjonuje

polskie wojsko. Mają wydać nam dokumenty.

– Jakie znowu dokumenty?

– Ano, jak się nazywasz, kiedy i gdzie się urodziłaś, skąd cię wywieźli. Będą potrzebne, jak będziemy chcieli wyjechać za granicę.

– Co to, mamy wyjechać za granicę? – dziwił się Polko.

– Kto wie? – odparła zagadkowo matka.

– A daleko do tego Dżalal-Abadu? – zapytała Janka.

– Będzie ze dwadzieścia kilometrów.

– Oj, to daleko.

– Idź, Janka, chodziłaś tyle miesięcy do Ustwaingi z listami, to i tu dasz sobie radę – przekonywał Tadek.

– No dobrze, pójdę jutro z rana.

– Spisz tylko dane innych Polaków, nie ma ich tu dużo.

Ludwika zabrała się do napisania listu do Butryma.

Nazajutrz Janka wyruszyła z rana. Szła kamienistą drogą, gdy usłyszała turkot kolaski i chrapanie konia. Po chwili zrównał się z nią. Na dwukółce siedział młody Kirgiz w mundurze.

– Nu, dziewczuszka, dokąd idziesz?

– Do Dżalal-Abadu.

– O, to daleko, ale dobrze się składa, bo ja tam jadę. Siadaj, to podrzucę cię i we dwoje będzie różnie jechać.

– Nie, pójdę, nie znam was, jeszcze...

– Nu, jak chcesz, twoja strata. – Cmoknął i koń ruszył.

„Może szkoda, że z nim nie pojechałam” – pomyślała. Chciała krzyknąć, żeby się zatrzymał, ale on stanął, zanim zdążyła zawołać.

– Nu jak, jedziesz czy nie?

– Jadę! – odparła i podbiegła do bryczki.

Wsiadł do kolaski. Ruszył. Z początku przyglądał jej się z zaciekawieniem, a potem odwrócił się i coś rozważał, bo ręce przekładał z jednego kolana na drugie. Jechali w milczeniu. Niedaleko zielenił się sad moreli, dojechali do niego. Nagle wojskowy zaciął kona batem i skręcił do sadu. Kolaska zakołysała się tak mocno, że Janka omal nie wypadła. Przestraszyła się. Jednym susem wyskoczyła z pędzącej kolaski. Uderzyła kolanem o kamienistą ziemię. Zobaczyła krew na kolanie. Zerwała się i pobiegła jak sarna na oślep przed siebie. Zanim zatrzymał się, była już daleko. Tuż obok płynęła rzeczka, a przy niej na mokradłach rosła trzcina. Usłyszała tupot żołnierskich butów za sobą. Dobiegła do trzciny, weszła na grzędawisko i schowała się w nim. Wypłoszyła kilka ptaków, które gniazdowały w mokradłach. Przykucnęła i nasłuchiwała, czy czasem nie idzie za nią. Ale on bał się wejść na grząski teren.

– Ja i tak cię znajdę, mam czas do wieczora – krzyczał.

Choć był blisko, nie widział jej. Janka chyłkiem weszła głębiej w trzciny. Opodal

nad rzeką rosły kępy gęstej trawy. Wyciągnęła nogi z błota i stanęła na twardym gruncie. „Uff, myślałam, że się utopię w tym błocie” – mówiła sama do siebie.

Była głodna i dokuczały jej przekłete komary. Kąsały jak wściekłe. Nie mogła się nawet opędzić – żeby nie zauważył. Pod wieczór ostrożnie wychyliła głowę znad trzciny. Stał i patrzył na trzciny chwiejące się na wietrze. Niedaleko stał koń z kolaską i spokojnie skubał trawę. „Wredny zakapior, jak długo będzie polować na mnie?”

Schowała się znowu i zaczęła się modlić: „Anioł Pański zwiastował pannie Maryi... Zdrowaś Mario, Matko Boża”. Modliła się żarliwie i drżała z zimna, a komary grały na skrzydełkach jak organy w kościele. „Pod Twoją obronę uciekamy się Święta Boża Rodzicielko...”. Kiedy skończyła modlitwę, wyjrzała znowu znad trzciny. Niepocieszony zakapior siedział na kolasce, szarpnął lejcami. Kolaska, turkoczając żelaznymi obręczami po kamieniach, potoczyła się po nierównej drodze. Szybko zapadał zmrok. Bała się wychodzić z trzciny nocą. „Może gdzieś pod osłoną nocy czeka na mnie?”

Janka przesiedziała w trzcinie całą noc, a kiedy zaczęło świtać, drętwa z zimna i pokąsana przez komary, poszła z powrotem do sowchozu „Mołotow”. Kiedy weszła do mieszkania, cała rodzina jadła śniadanie. Pierwsza zobaczyła ją Ludwika. Z początku nie poznała jej.

– Janka! – zawołała przerażona i zdziwiona. – Gdzie ty byłaś przez całą noc? Boże, jak ty wyglądasz?

– Mama! – Janka rzuciła jej się na szyję z głośnym płaczem.

– Polko, Tadek, nagrzejcie wody, szybko, niech się zaraz umyje.

Kiedy chłopcy grzali wodę, Janka, chlapiąc, opowiadała matce, co ją spotkało na drodze do Dżalal-Abadu. Mówiła, jak jechała kolaską, na której był NKWD-zista (pokazała rozbite kolano), jak wyskoczyła z kolaski i jak uciekała przed nim w trzciny nad rzeczką.

– Mamo, te komary omal mnie nie zjadły.

– No, już dobrze, dobrze, dziecko. – Matka przytuliła ją do siebie, łyzy zakręciły jej się w oczach.

Halina i Stefan stali obok i patrzyli na zapuchniętą twarz siostry i aż pootwierali buzie z wrażenia.

– No, macie już tę wodę? Rozbieraj się, dziecko. Kiedy się umyjesz, zrobię ci śniadanie i do łóżka – powiedziała już weselej.

Jeszcze tego samego dnia Ludwika poszła do priedsiedatiela sowchozu i opowiedziała mu perypetie córki, jakie spotkały ją na drodze do Dżalal-Abadu.

– Złożę skargę na tego NKWD-zistę w Uzgenie – powiedziała na koniec.

– A do kogo, do jego kolegi, też NKWD-zisty? Oni wszyscy są jednacy. Tylko sobie zaszkodzisz. Lepiej zostaw to, jak chcesz mieć spokój. Niech twój syn weźmie konia i jutro pojedzie do waszego wojska. I lepiej nie mów nikomu o tym zdarzeniu, bo wszyscy na tym ucierpią.

Tadek następnego dnia siadł na konia i pojechał do polskiego wojska załatwić papiery na wyjazd. Polko z zazdrością przyglądał się bratu, jak odjeżdżał.

Z początkiem czerwca Ludwika z Tadkiem paśli konie. Wypędzali je o trzeciej nad ranem, żeby się najadły, bo o ósmej szły w pole. Koni było dużo, ponad trzydzieści, a trawa na stokach rosła wysoka, równa koniom. Siedzieli na koniach i pilnowali, żeby który za bardzo się nie oddalił.

– Mamo, jak ich upilnować, jak widać z trawy tylko czubki głów, a jak skubią, to w ogóle ich nie widać – martwił się Tadek.

– Nie wiem, trzeba się zdać na łaskę Bożą, bo człowiek za słaby, żeby temu sprostać.

Istotnie, chyba tylko dzięki nadprzyrodzonej mocy udawało się do tej pory jakoś te konie pozbierać. Do czasu. Któregoś dnia konie pasły się jak zwykle. Tadek siedział na koniu i jadł śniadanie, przylepkę, którą najbardziej lubił. Gdzieś niedaleko słyhać było jakby skowyt, to z jednej, to z drugiej strony. Konie uniosły głowy i strzygły uszami. Tuż koło Tadka przemknęło jakieś zwierzę. Spłoszone stado rozbiegło się na wszystkie strony. Ludwika omal nie spadła, kiedy jej koń nagle odskoczył na bok.

– Hou, hou, prr – uspokajała rumaki.

Koń stanął i cały drżał.

– Co to było, widziałeś?

– Widziałem, było rude i podobne do psa, tylko mniejsze.

– Co to mogło być?

– Ja kiedyś w szkole widziałem w książce takie zwierzę, to była hiena. Uczyłem się, że w Azji i Afryce żyją takie zwierzęta.

– Hieny? Jak my teraz konie pozbieramy?

– Znajdziemy, mamó – pocieszał ją z przekonaniem Tadek.

Siedzieli na koniach i przyglądali się nieco zamglonym górskim stokom. Tadek przyłożył dłonie do ust.

– Hooop, hooop!

Na dźwięk tego znajomego głosu, konie zaczęły podnosić głowy i nasłuchiwać.

– O, tam są, mama zobaczy! I tam! – gorączkował się Tadek.

– Jedźmy tam, musimy je pozbierać i przepędzić na stare pastwisko, tam trawa jest niższa.

– Jedźmy. – I ruszyli.

Zbierali konie, które rozbiegły się po stokach gór. Konie uspokoiły się zupełnie i jakby nic się nie stało, skubały trawę.

– No, zaganiaj z tej strony, a ja pojedę i napędzę ich stamtąd. – Pokazała ręką.

Z wielkim trudem udało im się zebrać rozpierzchłe konie, ale ile ich naprawdę było, tego nie wiedzieli.

– No, gonimy ich do sowchozu.

Kiedy zapędzili konie do stajni, okazało się, że trzy boksy były puste. Wkrótce dowiedział się o tym przedsiębiorca i zaraz przyszedł do stajni. Zobaczył zmartwione twarze Ludwika i Tadeka.

– *Nu, jak wy patierali łoszadi* – wymawiał im zgubę.

– Paśliśmy konie, ale hieny je wystraszyły. Konie rozbiegły się, ledwie je zebraliśmy – tłumaczył zmartwiony Tadek.

– Mówisz hieny, ja wam dał majątek sowchozu, mieliście go pilnować, a wy co? Mówicie, że hieny wystraszyły konie? Czym będziemy orać? Macie je znaleźć i nie wracajcie bez koni! – krzyknął.

Ludwika z synem poszli w kierunku gór.

– Pieszochcecie je znaleźć? – ironizował. – Weźcie konie.

Wzięli konie i pojechali w góry. Wysoko, ocierając się o szczyty gór, snuły się ciemne chmury.

– Chyba będzie zaraz padać – powiedział Tadek.

Ledwie to rzekł, a błyskawica rozcięła chmury i grzmot przetoczył po górach. Zaczął padać rzęsy deszcz. Krótco. Chmury odeszły i zaświeciło słońce. Dojechali do rzeczki, jechali w górę i rozglądali się z nadzieją zobaczenia swoich koni. Wokół jednak była pustka. Nieco wyżej widać było jakiś budynek. Podjechali bliżej. Ze środka budynku dochodził zgiełk.

– To chyba młyn – stwierdziła Ludwika.

Ze środka wyszedł mężczyzna ubielony mąką. Oparł się o balustradę i przyglądał się przybyłym.

– A wy kto? – Znał tutaj wszystkich, a tych na koniach nie.

– My z sowchozu Mołotowa, szukamy koni. My Polacy, przywieźli nas tu w grudniu.

– Aaaa, słyszałem. Nu ja nie widział żadnych koni, może poszły tam, za tą górą. A skąd was przywieźli?

– Z Archangielska. – Ludwika ruszyła koniem.

– A mnie przywieźli z Zaporozża, z Ukrainy – westchnął.

Chciał z kimś porozmawiać. Czuł się samotny na tym pustkowiu, ale oni się spieszyli.

– Przyjedziemy, jak znajdziemy konie! – odkrzyknęła Ludwika.

Przez dwa tygodnie błądzili po górach i szukali koni, ale one jakby zapadły się pod ziemię.

Zrezygnowani, wracali do sowchozu. Koło południa spotkali na stoku starego Kirgiza. Stał i przyglądał się im.

– Wy nie widzieli koni? – zagadnęła go Ludwika.

– A, kanie, ja widzieć kanie, tam za górą. Jeść trawę, już dawno – mówił łamaną ruszczyzną.

Ruszyli z kopyta, a on stał i patrzył zdziwiony za odjeżdżającymi. Wjechali na

górze. W dolinie zobaczyli najpiękniejszy widok... trzy konie pasące się nad rzeką.

– Mamo, nasze konie! – krzyknął uradowany Tadek.

Podjechali do koni. Tadek zszedł na ziemię i podszedł do jednego z nich, nie uciekał. Poklepał go po szyi i założył mu kantar. Koń nie bronił się. Przywiązał długi sznurek do kantara i ruszył w drogę powrotną. Zwierzę szło potulnie jak baranek, a za nim luzem podążały pozostałe. Ludwika jechała z tyłu.

Dojechali do młyna, młynarz jak zwykle stał oparty o balustradę.

– No, wy znaleźli swoje zguby?

– Znaleźli i chwała Bogu.

Na słowa „chwała Bogu” młynarz zdjął czapkę z głowy.

– Zaczekajcie, zaraz coś przyniosę.

Po chwili wrócił. W ręku miał spory worek mąki, otrzepał go i wręczył Ludwice.

– Weź, wiem, że jesteście bardzo biedni i przyjdź kiedy, to porozmawiamy.

– Dziękuję, przyjadę w niedzielę, na pewno.

– Z Bogiem.

Po godzinie dojechali do sowchozu „Mołotow”, wprowadzili konie do stajni, a sami udali się do domu.

Rozdział XVII

W niedzielę dnia 12 lipca 1942 roku do sowchozu „Mołotow” przyjechał z Dżalal-Abadu wojskowy delegat do spraw cywilnych. Chodził po domach z trudną propozycją. Wszedł również do domu Ludwika. Akurat jedli obiad.

– Dzień dobry państwu – rzekł na wstępie. Stał i przyglądał się biesiadującym.

– Dzień dobry – odrzekli wszyscy.

– Ile lat mają ta dziewczynka i ten chłopiec? – Pokazał ręką na Halinę i Stefana.

– Halina ma dwanaście lat, Stefan dziesięć. A o co panu chodzi? – spytała Ludwika.

– Chodzi o to, że my możemy wziąć od pani tych dwoje dzieci do naszej ochronki przy wojsku polskim. Otoczymy ich opieką, a potem wyjadą z nami do wolnego świata.

– Jak to, a my?

– Wy zostaniecie tu, bo Rosjanie was za granicę nie puszczą.

Zapadła cisza. Słysząc było tylko brzęczenie przelatujących much.

– Wyślemy je do Australii albo Nowej Zelandii, tam adoptują ich nowe rodziny. Nawiązaliśmy już kontakty. Tylko od pani zależy, jak potoczą się ich dalsze losy.

Ludwika nie wiedziała, co ma powiedzieć, serce ścisnęło jej się z trwogi.

– Mam się rozstać z dziećmi? – powiedziała cicho. – Boże, co ja mam robić? Pomóż mi podjąć właściwą decyzję. Tadzio, Janka, doradźcie! – poprosiła.

– Jeżeli tam będą mieć lepiej jak tu – dywagował Tadzik – to niech jadą. Może nie zapomną o nas i kiedyś do siebie ściagną?

Patrzyli na Halinę i Stefana, którzy nie rozumieli, o czym oni dyskutują. Stefan kopał nogą w stół, aż garnek brzęczał.

– Przestań walić! – skarciła go matka.

– No, jak będzie? – ponaglał wojskowy.

– A gdzie mam ich zaprowadzić? – wyglądało na to, że matka już podjęła decyzję.

– Do nas, my je zabierzemy i wyślemy do zbornego punktu w Oszy. – Wydarł kartkę z adresem z notesu i podał Ludwice. – Czekamy na nich jutro – dodał i wyszedł.

Ludwika siedziała przy stole i patrzyła tępo w okno. Czuła się tak, jakby ktoś ją uderzył obuchem siekiery w głowę. Nie mogła spać całą noc. Powtarzała bez końca jedno i to samo: „To dla ich dobra”.

Wstała rano z obolałą głową. Obudziła Halinę i Stefana, za nimi wstała reszta.

– Janka, przypilnuj, żeby się umyli, a ja zrobię śniadanie.

Po śniadaniu usiadła na łóżku i patrzyła na dzieci. Nagle wstała.

– No to my już pójdziemy. Chodź, Halinko, i ty, synu. Już czas. – Głos jej się załamał.

– Dokąd, mamó, idziemy? – spytała Halina.

– Zobaczysz.

Nie mogła nic więcej powiedzieć przez zaciśnięte gardło. Tadek otworzył drzwi. Wzięła oboje za ręce i wyszli z domu. Rodzeństwo stało w drzwiach domu i patrzyło za odchodzącymi. Janka wycierała łzę z oka.

Już słońce wstało. Przez szczyty gór rzucało złocistą poświatę. Błękitne niebo zapowiadało pogodę. „Przynajmniej pogodę mamy ładną” – pomyślała Ludwika.

Trzymała dzieci za ręce i szła z nimi do Dżalal-Abadu. Po godzinie doszli do morelowego sadu, na którym spod liści wyglądały morele. Stefan uwolnił swoją rękę i pobiegł do sadu za motylem, chciał go złapać. Matka spojrzała na niego z tyłu. Przez posiepane spodnie na pośladkach widać było gołe ciało. „Boże, jacy my jesteśmy biedni!” – myślała.

– Mamó, motyl uciekł – wołał Stefan, wybiegając z sadu.

– To nic, na drugi raz go złapiesz.

Szli już prawie dwie godziny. Halina zostawała w tyle.

– No chodź prędzej, bo tak do wieczora nie zajdziemy.

– Mamó, mnie już nogi bolą – poskarżyła się.

– To chodź, usiądziemy tam, to troszkę odpoczniemy. – Usiedli przy drodze na skałce.

– No wstawajcie, idziemy.

Po południu doszli do Dżalal-Abadu.

– Jak możemy dojść do polskiego wojska? – Ludwika zapytała kogoś na ulicy.

– Wot tam, za miastem. Idźcie tą ulicą prosto.

Minęli miasto. Z daleka widać było biało-czerwoną flagę na maszcie. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Polskie wojsko – powiedziała na głos.

– Co mama mówi? – zapytała Halina.

– Nic, chodźmy, może tam będziecie szczęśliwi.

Weszli do budynku. Za biurkiem siedział ten sam wojskowy, który był u nich w sowchozie. Zauważył ich.

– O! Przyszła pani. To dobrze, nie zmarnowała pani szansy.

Wstał i otworzył drzwi do drugiego pokoju.

– Pani Krysiu! – zawołał. – Pani weźmie te dzieci, umyje i ubierze, a potem niech pani przyprowadzi tutaj.

– Dobrze. Chodźcie. Jak ty masz na imię?

– Halina.

– A ty?

– Stefan.

– Musisz być łobuziak, bo masz takie oczy...

Po godzinie przyprowadziła ich do biura. Matka ledwie poznała swoje dzieci. Halina była ubrana w ładną sukienkę w kwiaty, buciki na nogach prawie nowe.

– No i jak? – spytał woskowy.

Matka uśmiechnęła się trochę. Stefan podszedł do matki.

– Mamo, popatrz, jakie mam spodnie. Teraz możemy wracać do domu.

– Nie, mój drogi. Ty i twoja siostra zostaniecie tutaj.

– A mama?

– Mama pójdzie z powrotem, skąd przyszła. Teraz twoją mamą i opiekunką będzie pani Krysia.

– Ja chcę do mamy! – ryknął Stefan.

– Pani Krysiu, proszę odprowadzić dzieci.

– No, chodźcie ze mną. – Wzięła ich za ręce.

– Pani zaczeka – odezwała się matka i podeszła do dzieci.

– Pani weźmie sto rubli i od czasu do czasu kupi im jakieś ciastka albo cukierki.

– Dobrze. – Kobieta zabrała pieniądze.

– No, chodźcie już – ponagliła dzieci opiekunka.

Halina, przechodząc przez próg, odwróciła się i spojrzała żałośnie na matkę.

– Mamo, dlaczego nas zostawiasz?

– Bo tak będzie lepiej dla was. Może kiedyś to zrozumiesz.

Stefan zaparł się w progu. Opiekunka szarpnęła go za rękę i zamknęła za nim drzwi. Pod Ludwiką ugięły się nogi. Dopadła drzwi, chciała uciec stąd jak najdalej.

– Pani Wasilewska, pani Wasilewska – gonіło ją jej nazwisko z biura do spraw cywilnych.

Wyszła na dwór i usiadła na schodach. Żal wezbrał jej w sercu. Zaczęła szlochać. Podszedł do niej jakiś mężczyzna.

– Kobieto, czemu ty płaczesz, umarł ci kto?

Spojrzała na niego ze łzami w oczach.

– Tak jakby umarło dwoje.

– No to umarł czy nie? – nie rozumiał.

Nie odpowiedziała.

– No, kto zrozumie kobiety. Kiedy są nieszczęśliwe, to płaczą, a kiedy szczęśliwe, też płaczą. – Wzruszył ramionami i odszedł.

Ludwika wstała ze schodów i powłokła się do sowchozu. Po drodze zgubiła nadzieję, którą miała do tej pory.

Krystyna, opiekunka, ciągnęła za rękę Stefana, który zapierał się nogami i nie chciał z nią iść. Nie rozumiał, dlaczego ta obca pani ciągnie go i szarpie za rękę i prowadzi nie wiadomo dokąd. Był zdezorientowany. Nie wiedział, dlaczego mam zostawiła i jego, i Halinę tutaj z obcą kobietą. Kochał matkę i ona wielokrotnie im mówiła, że ich kocha. A teraz... Wzbierał w nim żal do matki, złość i upór.

– No chodź, uparciuchu. – Opiekunka coraz mocniej szarpała go za rękę.
– Ja chcę do mamy! – Stawiał coraz większy opór.
– No chodź, gówniarzu, bo jak nie, to ja ci pokażę! – mówiąc to, tak mocno szarpnęła Stefana, że ten upadł na podłogę.

– Niech pani przestanie nim poniewierać, bo poskarżę się na panią.

– Co powiedziałaś? Chcesz skarżyć na mnie, ty skarżypyto!

Podeszła do Haliny, złapała za warkocze i mocno pociągnęła do góry.

– Au, to boli! – jęknęła Halina.

Słyszając to, Stefan podniósł się z podłogi, podbiegł do opiekunki i z całej siły kopnął ją butem w kostkę. Kopnięcie było tak silne, że z bólu pociemniało jej w oczach. Chwilę przysiadła, łapiąc się za kostkę, a kiedy ból zelżał, złość wykrzywiła jej twarz.

– Ty szcurze – syknęła ze złością i sunęła w jego kierunku.

Wymykał jej się przez jakiś czas, ale nie miał gdzie uciec. Dopadła go w narożniku pokoju i wtedy posypały się ciosy. Stefan darł się wniebogłose. Halina, widząc to, podbiegła do niej i zaczęła szarpać ja z tyłu za sukienkę i uderzać piąstkami w plecy. Krzyczała przy tym i płakała ile miała sił w płucach. Nagle drzwi do pokoju otworzyły się i w progu stanął starszy sierżant Grabowski.

– Pani Krysiu, co pani wyprawia!?! – krzyknął sierżant, widząc opiekunkę, która z furią tłukła chłopaka.

Przestała bić i odeszła na bok. Sierżant podszedł do chłopca. Zobaczył u niego siniaki na twarzy i ciekącą krew z nosa.

– On mnie... – próbowała, jękając się, wytłumaczyć przed przełożonym.

– Nie powie mi pani, że ten chłopiec panią pobił. Ja widziałem na własne oczy, co pani wyprawia z dziećmi powierzonymi pani opiece. Nie omieszkam o tym wybryku powiadomić kapitana Rudzkiego i on zadecyduje, czy pani nadaje się na opiekunkę do dzieci.

Podszedł do Stefana, przyklęknął. Obejrzał twarz chłopca, wytarł krwawiący nos własną chusteczką, potem wstał, chwycił go za rękę i zaprowadził do następnego pokoju, w którym było sporo dzieci.

– Pani Haniu – zwrócił się do opiekunki. – Pani zajmie się tym dwojgiem nowo przybyłych. Widzi pani, już u nas spotkała ich krzywda.

Hania spojrzała na posiniaczoną twarz Stefana.

– Ojej, co ci się stało?

– Nic – burknął.

– A jak masz na imię?

– Nijak – odparł niegrzecznie.

– A ty?

– Halina.

– O, jakie ładne imię.

– No dobrze. Ty, Halinko, pójdziesz do dziewczynek, a ty, nijaki, pójdziesz do chłopców, dobrze? Zaraz przyniosę wam koce i poduszki. Będą już wasze – mówiąc to, wyszła do magazynu.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem do jednostki Wojska Polskiego w Działal-Abadzie podjechała ciężarówka i wywiozła dzieci do oddalonej o około sześćdziesięciu kilometrów Oszy. Tu mieścił się punkt zborny dzieci, które miały wyjechać z niegościnniej ziemi sowieckiej. Samochód zatrzymał się przed długim barakiem, niedaleko stacji kolejowej.

– No, koniec podróży! – zawołał kierowca, który wyszedł z kabiny samochodu i otworzył tylną klapę skrzyni ciężarówki. – No chodźcie.

Zdejmował dzieci ze skrzyni i stawiał na ziemi.

– No, chodź – zwrócił się do Stefana, który został ostatni.

Podszedł niechętnie. Kierowca, zdejmując go z ciężarówki, zauważył sińce na twarzy. „To musi być niezły łobuz” – pomyślał.

Opiekunki zaprowadziły dzieci do baraku, w którym mieściła się ochronka. Wewnątrz panował rozgwar jak w pszczelim ulu. Zewsząd dochodził gwar, a czasem płacz dzieci. Halina kurczowo trzymała się Stefana, który przez ostatnie wydarzenia urósł w jej oczach.

– Ty pójdziesz do dziewczynek – niespodziewanie odezwała się opiekunka. – Będziecie się mogli widywać w świetlicy – dodała, widząc, że dzieci są związane ze sobą mocną więzią uczuciową. – A ty pójdziesz do chłopców. Chyba nie chcesz spać z babami?

Stefan skrzywił się, odwrócił i poszedł z opiekunką i innymi chłopcami do pokoju, gdzie mieli czekać na skompletowanie dzieci na wyjazd. Wewnątrz były dwupiętrowe łóżka. Wybrał to na dole, obok okna. Usiadł na nim, a myśli same pobiegły do mamy, do braci, Janki. Tęsknił do nich tak bardzo, że nie mógł sobie z tym poradzić. Ciągle widział matkę, jak odchodzi, nawet się nie obejrzała.

– Chodźcie na kolację. – Głos opiekunki wyrwał go z zamyślenia.

Na stołówce było dużo dzieci. Halina siedziała przy trzecim stole. Uśmiechnęła się i pomachała mu ręką. Stefan wykrzywił usta w niby uśmiechu i zbabrał się do jedzenia. Nie bardzo mógł jeść, bo bolała go twarz od krewkiej opiekunki. Po kolacji wrócił na salę i usiadł na łóżku. Za oknem słychać było gwizd parowozu i stukot kół toczących się wagonów. Wstał i podszedł do okna. Słońce już zaszło i mrok zakrywał ziemię. Stał przy oknie i patrzył w ciemność. Ogarnęła go nostalgia. Wydawało mu się, że w ciemności widzi twarz matki.

– Mamo – powiedział cicho i wyciągnął ku niej rękę.

Bezwiednie otworzył okno i wyszedł na zewnątrz. Szedł za nią w kierunku stacji, ale ona oddalała się coraz bardziej.

– Mamo – powtórzył i wyszedł na tory. Obok toczyły się pociągi, jeden za drugim.

Halina tego wieczoru nie mogła zasnąć, wierciła się na łóżku i coś jej nie dawało zmrużyć powiek. Wstała i patrzyła przez okno w szarość nocy. W pewnej chwili wydawało jej się, że widzi jakiegoś chłopca, który idzie w kierunku stacji.

„Dziwnie znajoma sylwetka” – pomyślała. Przyjrzała mu się uważniej. Choć był mrok, wydawało jej się...

– Boże, to chyba Stefan. Dokąd on idzie, jeszcze go pociąg rozjedzie.

Otworzyła drzwi i pobiegła w kierunku torów za znikającym w mroku bratem. Dobiegała do szyn, a on jakby się rozplynął. „Gdzie on się podział?” W świetle przejeżdżającego parowozu zobaczyła go na torach.

– Stefaan! Steeefan! – krzyczała i zaczęła biec do niego ile sił w nogach, nie zważając na pociągi. – Stefan! – wołała.

Usłyszał. Odwrócił się i podszedł do niej jak lunatyk. Dopadła do niego i wzięła go w ramiona, szczęśliwa, że go znalazła.

– Stefan, gdzie ty idziesz?

– Widziałem mamę, szedłem do niej, ale ona poszła tam. – Pokazał ręką w ciemność.

– Wydawało ci się. Jak będziesz ciągle o niej myślał, to zwariujesz.

– Nie, ja naprawdę ją widziałem!

– No dobrze, już dobrze, chodźmy z powrotem.

– Halina?

– Co?

– Czy mama naprawdę nas zostawiła i zapomniała?

– Nie wiem, widocznie musiała, ale nie myśl już o tym.

Z daleka widoczne były światła nadjeżdżającego parowozu. Zbliżał się szybko i nagle przejechał tuż obok. Impet odrzucił ich na sąsiedni tor. Pozbierali się jakoś.

– Chodźmy stąd, bo jeszcze nas coś rozjedzie.

– Chodźmy – przytaknął Stefan i poszli na przełaj do baraku.

Ludwika dotarła do domu wieczorem. Wydawało jej się, że jest jakiś obcy i pusty. Ciężko usiadła na łóżku. Ujęła twarz w dłonie i spazm wstrząsnęła jej całym ciałem. Janka, Tadek i Polko stali obok, nie pytali o nic. Tak wielkiego żalu nie potrafili ukoić. Stali bezradnie i milczeli. Polko nie wytrzymał, wyszedł z domu, usiadł na ławie i gorzko zapłakał. Żal mu było matki, która teraz tak bardzo cierpiała.

Pod koniec lipca Ludwika dostała list od Stanisława Butryma. Otworzyła kopertę, wyjęła list i zaczęła czytać:

„Droga Ludwiko!” – przeczytała nagłówek. „Niepotrzebnie on teraz odwołuje się do bliższej znajomości. To prawda, wiele mi pomógł i gdyby nie on, nie byłoby mnie tutaj. Ale czy tutaj jest mi lepiej?”

Ja był na sianokosach, tam koło wymarłej wioski. Któregoś dnia ja poszedł do tej starej kobiety, Krystyny, jak ją nazywałaś, żeby zobaczyć, czy jeszcze żyje. Wiesz, ja spotkał tam u niej córkę ze Swierdłowska. Ona dostała od Ciebie list i przyjechała

zabrać matkę do siebie. Ty nawet nie wiesz, jak ona Ciebie błogosławiła. Mówiła, że zapomniała się modlić, to teraz po swojemu będzie się modlić za Ciebie do Twojego Boga.

Ludwika na chwilę przerwała czytanie i wytarła dłonią łzę.

Moi rodzice zeszłej obydwoje pomarli i ja teraz żałuję, że nie pojechał z wami. Kończąc, pozdrawiam was serdecznie. Napisz, jak będziesz mogła. Stanisław

– Od kogo mama dostała list? – zapytała Janka.

– Od nikogo.

– Mama pokaże. – I wyciągnęła rękę po list.

– To list do mnie, nie do ciebie. Ja twoich listów nie czytam. – Spaliła list na płycie.

– Phi, też tajemnica – prychnęła niezadowolona Janka.

Ludwika z Tadzikiem, jak zwykle, każdego dnia o trzeciej nad ranem wypędzali konie na pastwiska. Pasły się parę godzin na stoku, piły wodę z górskich potoków, a potem najedzone wracały do pracy w sowchozie. Tego dnia zaszły daleko, aż pod sam młyn. Ludwika siedziała na koniu i pilnowała, żeby konie nie rozlazły się zbyt, bo potem byłoby trudno zebrać je w wysokiej trawie. Zauważyła młynarza, który stał przy rampie młyna i przyglądał się im. Młyn drżał i mruczał z wysiłku, mieląc zboże.

– O, dawno ja was nie widział – zagaił, zadowolony, że może z kimś pogadać na tym odludziu. – No, co tam u was? Ty do mnie tak długo nie przychodziłaś pogadać. Dałbym ci trochę mąki dla dzieci, a może ty dostałaś paczkę z Polski?

Na wzmiankę o dzieciach Ludwice zatrzęsa się broda i po chwili zaniosła się płaczem.

– Czemu płaczesz, co się stało? Czy ja coś źle powiedziałem?

Milczała przez chwilę, otarła łzy i zaczęła się jękać:

– Ja już nie mam dzieci. Trzy tygodnie temu odprowadziłam je do Dżalal-Abadu i tam oddałam do ochronki przy polskim wojsku. Mówili, że wywiozą je z Rosji do, do Australii i gdzieś jeszcze...

– No to czemu płaczesz, powinnaś się cieszyć, że dzieci będą miały lepiej.

– Tak, ale ja za nimi tak tęsknię, że nie mogę sobie miejsca znaleźć.

– Ja słyszałem, że teraz wielu Polaków ucieka z sowchozów. Jadą do Oszy, stamtąd pociągiem do Krasnowodzka nad Morze Kaspijskie, skąd przedostają się do Persji. Gdybyś pojechała jak inni, może znalazłabyś dzieci.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Ja wiele słyszał. Do mnie przyjeżdżają ludzie z wielu stron i różne rzeczy opowiadają. Choć tu pustkowie, wiem więcej niż w sowieckiej „Prawdzie”. Tu to tak jak u... fryzjera albo w maglu – zakończył.

– I co mam teraz zrobić? – spojrzała na niego pytająco.

– Nie wiem, ale ja na twoim miejscu bym wyjechał. Do sowchozu zawsze możesz wrócić, bo oni nie mają ludzi do roboty.

– Ale jak uciec?

– Dobrze się składa, jutro do młyna przyjeżdża samochód z Oszy po mąkę. Mógłbym się umówić z szoferem i za parę rubli zawiózłby was do miasta. Zastanów się.

– No, muszę już wracać, niedługo ósma. Tadek, napędzaj konie! – Odjeżdżając, odwróciła się. – Jutro rano przyjdziemy. Dziękuję! – I znowu zgubiona nadzieja wróciła. – Hej, hej! – krzyknęła radośnie na konie.

Hej, hej – odpowiedziały jej echem góry.

Tadek przyglądał się matce. Była jakaś odmieniona. I jemu udzielił się nastrój.

– Hej, hej – krzyknął.

Spojrzeni na siebie i roześmiali się. Tylko on nie wiedział dlaczego.

Wieczorem przy kolacji Ludwika była jakaś roztargniona. Nie wiedziała, jak powiedzieć dzieciom, że jutro uciekają z sowchozu. Biła się z myślami. Czy ta ucieczka i daleka podróż nie skończą się dla nich tak jak dla wielu, którzy umarli z głodu i zimna, jadąc z Kotłasa. Ale teraz jest lato i będzie mogła wrócić.

– Mamo, co mamie jest? – zapytał Polko, widząc matkę w dziwnym nastroju.

– Mnie? Nie tylko nie wiem, co mam zrobić.

– A o co chodzi? – wtrącił się do rozmowy Tadek.

– No cóż. Postanowiłam, że jutro rano uciekamy z sowchozu – zdobyła się na odwagę.

– Dokąd, dlaczego? – dopytywał Polko.

– Do Oszy, stamtąd do Krasnowodzka, później do Persji – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– O czym mama mówi? Do jakiej Persji? – dziwiła się Janka. – I znowu będziemy tłuc się pociągiem! A daleko do tej Persji?

– Młynarz mówi, że będzie około dwa tysiące kilometrów.

– Ile? To prawie tyle co z Szund-Oziera. Po co tam jedziemy, źle mamie tutaj?

– Dość gadania. Jak ktoś nie chce, niech nie jedzie. Ja jutro stąd uciekam.

– Ja pojedę z mamą – powiedział Polko.

– I ja też – dorzucił Tadek.

– To chodźmy spać, bo jutro wcześniej wyruszamy.

Udali się na spoczynek. Ludwika z wrażenia nie mogła zasnąć, dopiero koło północy zmorzył ją sen. Nad ranem obudziło ją pianie koguta. Wstała i podeszła do okna. Nad szczytami gór jaśniała poświata. „Już niedługo wstanie słońce, trzeba ich budzić” – pomyślała.

– Tadek, Polko, już czas, wstawajcie.

Zrobiła naprędce śniadanie.

– Janka, wstawaj – ponaglała.

Janka zaspana zeszła szybko z łóżka, umyła się i wszyscy zasiedli do śniadania. Po posiłku zrolowali pościel, włożyli tobołki na plecy i wyszli. Chłodny wiatr z gór nieco orzeźwił im twarze. Gdzieś niedaleko ujadał pies, a potem po całym sowchozie ze wszystkich stron słychać było szczekanie psów. W niektórych oknach zapalały się lampy i ludzie wyglądali przez okna.

Po jakimś czasie szczekanie ucichło, a i w domach pogasły światła. Na dworze robiło się coraz widniej. Po godzinie marszu doszli do rzeki. Przysiedli odpocząć, a potem brzegiem poszli w górę rzeki. Z daleka widać było bryłę młyna. Niebawem dotarli do niego. Przy rampie stał samochód i jacyś ludzie ładowali do niego worki z mąką. Wasilewscy podeszli bliżej.

– O, jesteście – przywitał ich młynarz.

Podszedł do jednego z mężczyzn i zaczął z nim rozmawiać. Widocznie doszli do porozumienia, bo rozmówca pokiwał głową.

– Kierowca boi się was zabrać – młynarz rzekł do Ludwiki. – Ale jak dostanie pięćdziesiąt rubli, to zaryzykuje.

Ludwika wyjęła pieniądze i podała młynarzowi, ten wręczył je kierowcy.

– *Nu, chaditie* – zawołał szofer. – *Sadities*. – Wskazał na worki z mąką.

Kierowca podpisał jeszcze jakiś kwit, zapalił silnik i ruszył.

Rzęził po górskich bezdrożach, parł naprzód, choć wydawało się nieraz, że ugrzęźnie w błocie. Wyjechał wreszcie na bitą drogę i wtedy pomykał raźniej. Po godzinnej jeździe samochód nagle zatrzymał się. Kierowca wyszedł z szoferki.

– *Nu, wy uże dajechali. Wychaditie*. Dalsze musicie iść pieszo, bo w Oszy jest pełno milicji i boję się, że was wiozę. Ale tam, *smatri*, jest stacja. – Pokazał ręką.

Samochód odjechał, a oni dalej szli piechotą. Znajdowali się na przedmieściach i do stacji byli niedaleko. Szli, rozglądając się, aby wybrać jak najkrótszą drogę. Mijali parterowe domy, potem coraz wyższe, jedno-, dwu- i trzypiętrowe, a między nimi stał długi parterowy budynek. Ni to dom, ni barak. Zupełnie nie pasował do ładnych, wielopiętrowych budynków.

– Jaki śmieszny dom. – Polko wskazał barak Tadzikowi.

– To nie dom, tylko barak, pewnie magazyn.

– Magazyn? A od kiedy magazyn ma okna?

Ludwika spojrzała na barak, a potem na okna.

– Tam pewnie mieszkają biedni ludzie, bo w oknach są zasłony. Pewnie jeszcze śpią.

Minęli długi barak. Ludwika ciągle oglądała się na barak i na okna. Wydawało jej się, że za szybą widziała jakieś dzieci.

– Czemu mama ogląda się na ten barak? – zapytał Polko.

– Wydawało mi się, że tam są...

– Co?

– Już nic, chodźmy do stacji.

Była jednak niespokojna. Obejrzała się na barak jeszcze parę razy. Coś ją tam ciągnęło.

Weszli do budynku stacji. Ludwika nie przypuszczała, że za oknem w baraku była Halina i Stefan, na wyciągnięcie ręki. Na stacji był tłum ludzi, Polaków, którzy czekali na okazję, żeby dostać się do Krasnowodzka. Codziennie przybywało ich coraz więcej. Nie mieścili się już w budynku stacji. Koczowali obok i zaczęli okupować przyległe ulice. Władze zauważyły ich dopiero wtedy, gdy napłynęły skargi na zebrzących Polaków. Zdarzały się również coraz częściej kradzieże, a czasem i rozboje. Był jeszcze inny problem, natury higienicznej. Okolice dworca lepiej było omijać z daleka z powodu zapachów. Na stacji brakowało urządzeń sanitarnych. Władze zaczęły szukać sposobu, aby ten problem rozwiązać, zanim wybuchnie epidemia. Rozdzwoniły się telefony do Taszkientu, Dzizaka, Samarkandy, a nawet do Swierdłowska i Moskwy. Nikt nie był władny podjąć decyzji.

Ludwika z dziećmi już dwa tygodnie koczowała przy dworcu. Sprawa stawała się beznadziejna. Zaczęła żałować, że uciekła z sowchozu. Dzieci przebąkiwały coś o powrocie. Wtedy z wiarygodnych źródeł przyszła wiadomość, że jutro zostanie podstawiony pociąg towarowy, który odwiezie Polaków do Krasnowodzka.

Trudno było uwierzyć niesprawdzonej wiadomości, ale jakaś nadzieja wstąpiła w czekających na wyjazd. Te spartańskie warunki, w jakich żyli, odbierały jakąkolwiek nadzieję.

Ludzie już z wieczora zajmowali miejsca przy torach, żeby być pierwszym, gdy pociąg zajedzie. Problem był jednak w tym, że torów było wiele. Następnego dnia rano na stację przyjechało miejscowe NKWD z grupą żołnierzy o azjatyckich rysach twarzy. Weszli na tory przed ludźmi, a zaraz na stację wtoczył się pociąg. Tłum zafalował.

– Spokojnie, wszyscy odjadą – zwrócił się do tłumu porucznik NKWD.

Żołnierze podeszli do wagonów i zaczęli je otwierać.

– *Pażłsta, prachaditie.* – Wskazał porucznik.

Ludzie rzucili się do wagonów. Każdy chciał być pierwszy, każdy chciał odjechać. Omal nie stratowali porucznika i jego żołnierzy.

– Ot, swołocz, ot, bydło – klęli tamci i szybko zeszli ludziom z drogi.

– Tadek, Polko. Lećcie tam szybko i zajmujcie miejsca – krzyczała Ludwika i sama biegła razem z tłumem.

Chłopcy dopadli wagon. Był jeszcze zamknięty. Otworzyli go i pierwsi weszli do środka.

– Mama, Janka! Tutaj! – dał się Polko i machał rękami.

Zauważyła ich.

– Janka, chodź szybko, bo zajmą nam wszystkie miejsca i tu zostaniemy.

– Zdążymy, widzi mama, ile jest tu wagonów?

– A ty widzisz, ile jest ludzi?

Nie odpowiedziała. Ludwika zaczęła przeciskać się bliżej wagonów, ale tłum napierał. „Przydałby się teraz Butrym” – pomyślała.

– Ludzie, tu są puste wagony – krzyczał ktoś z tyłu pociągu.

Tłum ruszył w tamtym kierunku. Zrobiło się trochę luźniej.

– Mama, Janka, tutaj! – Głos Polka słychać było gdzieś blisko. – Tutaj! – Usłyszała nad głową.

Tadek zeskoczył i pomógł im wejść do środka.

– Uff, ale się zmęczyłam. – Matka siadła na pryczy.

Zajęli dwie prycze i położyli na nich swoje bagaże.

– Teraz zacznym wierzyć, że uda nam się uciec z tego przekłętego kraju.

– A ja jestem głodna – odpowiedziała na to Janka.

– I my też – zawtórowali chłopcy.

– Ja też jestem głodna. – Matka patrzyła w podłogę, czuła się, jakby była winna, że oni są głodni. – Po drodze coś kupimy, a na razie musimy wytrzymać.

Koło południa pociąg ruszył. Z trudem wlokł za sobą trzydzieści wagonów, a w nich głodnych, ale szczęśliwych ludzi, choć tak do końca nie wiedzieli jeszcze, czy dotrą do ziemi obiecanej. Ludwika rozłożyła swoją pościel na pryczy. Była bardzo zmęczona dwutygodniowym koczowaniem. Choć było południe, zwała się na pryczę i natychmiast zasnęła. To samo zrobili Tadeusz i Polko i reszta pasażerów. Ci, dla których brakło miejsca na pryczach, drzemali, siedząc na podłodze, usypiani kołyszącym się wagonem i miarowym stukotem kół. Około północy pociąg dotarł do Dzidzaku, tu zatrzymał się i stał do rana. Musiał przepuścić pociągi z wojskiem jadące na północ przez Taszkient. Rano ruszył znowu i po dwóch godzinach jazdy stanął na bocznym torze w Samarkandzie.

Samarkanda to miasto obwodowe w Uzbekistanie w dolinie rzeki Zarawszan. Najstarsze miasto w Azji Środkowej. Od VI wieku p.n.e. pod nazwą Marakandy była stolicą satrapii sogdyjskiej. Od VI wieku wchodzi w skład sułtanatu tureckiego. W 712 roku podbita przez Arabów. W 1220 roku zburzona przez Dżingis-chana. Odbudowana przez Mongołów. W latach 1369-1488 stolica Timurydów – słynny ośrodek kulturalno-naukowy sztuki islamu, w 1868 roku podbity przez carską Rosję. W 1927 roku stolica Uzbeckiej SRR.

Tadek otworzył drzwi i wyrzał na zewnątrz. Na dworze było słonecznie i ciepło. Niedaleko torów stały kramy i od nich dobiegały nawoływania.

– *Jajca warionyje! Jajca warionyje!* – darła się jakaś pucułowata Uzbeczka, zapraszając do skromnego stoiska.

– *Lepioszki, lepioszki!* – Słychać było ze wszystkich stron.

– Mamo, mammo, tam przy torach sprzedają jajka i podpłomyki. – Głodnemu Tadekowi kiszki marsza grały.

– To idźcie i kupcie coś do jedzenia.

– A jak pociąg odjedzie? – Polko przypominał im przygodę w Swierdłowsku.

– Tu jest blisko, chodź.

Wyskoczyli z wagonu i pobiegli po żywność do stoisk przy torach.

– Popatrz, jest nawet mleko i mięso. – Polko był zachwycony.

– *Po skolka miasa?* – zapytał Tadek. – Sześć rubli, *warionaje* – dodał.

– Pięć – targował się Tadek i udawał, że chce odejść.

– Nu, niech będzie pięć.

– A mleko?

– Dwa ruble.

– Rubel i ani kopiejki więcej – powiedział stanowczo.

Polko stał z rozdziawioną gębą. W duchu podziwiał brata i... uczył się.

– Tadek, zobacz, na tym mięsie jest pełno much, może odda taniej – Polko zwrócił się do brata z łobuzerskim wyrazem twarzy. Tadek uśmiechnął się.

– Nie *budiet* – powiedział sprzedawca.

Chłopcy zapłacili za towar. Było tego sporo, ledwie zdołali go zabrać.

– Starczy nam na kilka dni. – Polko ważył coś w myślach.

Szli chwilę w milczeniu.

– Aleś ty go oszukał!

– Dlaczego tak mówisz? – zdziwił się Tadek.

– Bo zapłaciłeś mu połowę centa za towar.

– Co ty, on i tak zarobił dwa razy tyle, ile to warte.

Doszli do wagonu. Polko wszedł do środka, a Tadek podał mu zakupiony towar.

– Skąd wy te skarby dostali? – matka nie mogła wyjść z podziwu. – No wreszcie najemy się do syta.

Pod wieczór pociąg ruszył. Około jedenastej minął Bucharę, a przed północą zatrzymał się w Türkmenabacie nad rzeką Amu-daria.

Ludwika z Janką po sutej kolacji położyły się spać. Pociąg, jadąc, kołysał usypiająco. U góry Tadek i Polko nie spali.

– Coś mnie gryzie – skarżył się Polko.

– I mnie też, co to może być?

– Ojej, znowu mnie użarło. A jak piecze, jak piecze, jakby mi kto gorące żelazko przyłożył.

Ludwika z Janką też nie spały. Kobieta czuła, że coś łązi jej po ciele i kęsa, to tu, to tam. Drapała się, ale piekące ukąszenia były tak liczne, że nie nadążała z drapaniem. Janka leżała obok i aż piszczała z bólu.

– Co to jest? – pytała jedna drugą, ale nie uzyskały odpowiedzi.

– Teraz jest ciemno, to ich nie znajdziemy – tłumaczyła matka Jance. – Ale rano. Rano i przez dzień nie kąsały. Widocznie pochowały się w szparach, a teraz wyszły. Co za koszmar! To chyba pluskwy.

– Jakie pluskwy! – usłyszała Janka. – To takie chciwe małe bestie. Brunatne pasożyty, mają ciało owalne i długie do pół centymetra.

– O Boże, przez noc to nas zeżrą – przestraszyła się Janka.

I teraz Ludwika przypomniała sobie sen w Szund-Oziero, przed podróżą. Zerwała się wtedy cała zlaną potem. Widziała je we śnie.

Już dniało, nad ranem pociąg minął Mary i przed południem dotarł do Aszchabadu, nad najdłuższym chyba w świecie karakumskim kanałem wodnym. Prawie tysiąc sto kilometrów.

Pociąg zatrzymał się. Przez otwarte drzwi do środka wagonu wlał się gorący oddech pustyni Kara-kum, mającej trzysta pięćdziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych powierzchni.

Parowóz odjechał nabrać węgla i wody, bo na takiej pustyni lepiej mieć trochę zapasu. Ludzie też nabierali wodę w co tylko mieli. Pod wieczór parowóz podjechał pod wagony. Syczał, jakby nabierał sił, żeby pokonać gorącą pustynię. Około godziny siódmej zagwizdał i ruszył. Chłopcy z niepokojem czekali na noc. Bali się, że przez te wieczne głodne pluskwy znowu będą cierpieć i nic nie będą mogli zrobić, żeby się przed nimi ustrzec. W nocy wyłażą nie wiadomo skąd.

– Mamo, ja już nie wytrzymam. Jeszcze jedna noc, a te robaki wypiją ze mnie całą krew – z płaczem skarżył się Polko.

– Musisz wytrzymać. Jeszcze jedna, dwie noce. Nas też gryzą, Janka aż wczoraj płakała z tego piekącego bólu.

– Wolałabym mieć wszy niż te ohydne pluskwy.

– I tak je masz, włosy ci się ruszają od nich. A pamiętasz Stefana w Szund-Oziero?- wspominała matka. – Prawie całą skórę mu zjadły na głowie.

Ludwika zamyśliła się. „Gdzie oni teraz są? Może już wyjechali do Australii? Chyba już nigdy ich nie zobaczę” – łzy popłynęły jej z oczu.

– Czemu mama płacze? – zapytał Polko. – Pluskwy mamę mocno gryzą?

– Gryzą...

– Mnie też.

Nie spali całą noc. Czasami ze zmęczenia ogarniała ich drzemka, ale zaraz budzili się, kąsani przez wszy i pluskwy.

Pociąg tymczasem, jadąc nad kanałem, minął Bäherden, Kyzył Arwat, a nad ranem dotarł do Bereket. Wszystkie te pustynne miejscowości istniały dzięki przebiegającej przez nie kolei. Wydawało się, że w Bereket pustynia jakby złagodniała. Czuć było chłodniejszy powiew wiatru i słońce mniej prażyło. Pociąg na chwilę zatrzymał się, naprzeciw jechał towarowy, ruszył, gdy ich minął. Chłopcy siedzieli na podłodze w drzwiach wagonu i przyglądali się pustynnym pejzażom. Byli zmęczeni nieprzespaną nocą. Na ich twarzach widniały ślady licznych ukąszeń i rozmazanej krwi. Żaden z nich nie silił się na dowcipkowanie z drugiego, wyglądali tak samo.

– Słyszałeś, mama dziś w nocy płakała. Chyba mocno pogryzło ją robactwo.

– Co ty, mama z tego powodu by nie płakała.

- A z jakiego?
- Myślę, że tęskni za Haliną i Stefanem.
- Ja też. Ciekawy jestem, gdzie oni teraz są.
- Nie wiem, może są już gdzieś daleko.

O dziesiątej dojechali do Balkanabatu. Wyraźnie się ochłodziło. W powietrzu czuć było słony posmak przyniesiony wiatrem.

- Czujesz coś? – zapytał Polko, oblizując spieczone pustynnym żarem wargi.
- Co?
- Czuję sól na wargach. Tadek oblizwał się.
- Ja też.
- Gdzieś niedaleko musi być morze.

Pod wieczór pociąg znowu ruszył. Minął małą stację Dżebeł i przed trzynastą dotarł do Krasnowodzka, „okna na świat”, jak mówili między sobą. Ludzie zaczęli szybko wychodzić z zadżumionych wagonów.

Polko zwrócił się do mamy:

- Gdzie teraz pójdziemy?
- Nie wiem, ludzie nas poprowadzą. Pewnie wszyscy idą do portu, i my chodźmy.

Od stacji do portu było bez mała dziesięć kilometrów. Zmęczeni i głodni ludzie, w dodatku z dziećmi, po wyjściu z miasta siadali na ziemi, żeby odpocząć.

- Mamo, może i my odpoczniemy? – Janka była bardzo zmęczona.
- Odpoczniemy, jak dojdziemy, tam będziemy mieć dużo czasu, a i krótsza będzie kolejka do statku.

- Ale ja już nie mogę – jęczała Janka.
- Chłopcy, weźcie od niej tobołek.

Polko skrzywił się, sam był niewyspany i zmęczony.

- No, pomóż Jance – poprosiła Tadzika.
- A ty nie możesz? – próbował się wykręcić Tadek, też ledwie szedł.
- Przestańcie, chyba ja jej będę musiała pomóc.

Po dwóch godzinach dotarli do portu. Wokół koczowało tysiące ludzi, którzy chcieli stąd wyjechać. Ludwika otarła pot z czoła.

- Tu będziemy czekać.

Rozłożyli tobołki na trawie i usiedli. Słychać było szum morza i jazgot krzykliwych mew. Tadek wstał i patrzył na morze. Jeszcze nigdy nie widział tyle wody.

- Jakie niebieskie – zachwycił się.
- Co mówisz? – nie dosłyszał go Polko.
- Zobacz, jakie morze jest niebieskie!
- No.
- Zamiast podziwiać morze, idźcie coś kupić do jedzenia.

– Gdzie mamy pójść!?

– Do portu. Na pewno tam są jakieś sklepy, a jak nie, to trzeba iść do Krasnowodzka.

Wyjęła pieniądze i dała im na zakupy. Zaczęła się martwić, bo pieniędzy, jakie zarobili jeszcze w Szund-Oziero, ubywało z każdym dniem. Widmo głodu zaczęło zaglądać także do nich.

– Starczy nam pieniędzy najwyżej na tydzień – poinformowała Jankę.

– A co potem? – zmartwiła się dziewczyna.

– Nie wiem.

Pod wieczór chłopcy przyszedli z portu. Przynieśli niewiele jedzenia.

– Tylko tyle? – dziwiła się Janka.

– Aż tyle. W porcie jest tyle ludzi, że wszystko wykupują. Jutro pójdziemy dalej – wyjaśnił Tadek.

Słońce utonęło w morzu i zrobiło się ciemno.

– Chodźmy spać, może tu nie będą nas kasać pluskwy.

Ranek wstał pogodny, ale chłodny. Z każdą godziną robiło się coraz cieplej. W południe żar lał się z nieba i wschodni wiatr niósł drobiny piasku, które wchodziły do oczu, nosa i trzeszczały w zębach. Nie było gdzie się schronić przed morderczym upałem.

Po południu przyszedli chłopcy z Krasnowodzka. Byli zmęczeni, ale tym razem przynieśli więcej jedzenia. Nawet kupili chleb.

Już trzy dni ludzie koczowali pod gołym niebem i czwarty zapowiadał się tak samo, upalny jak poprzednie. Ale coś wisiało w powietrzu. Ptaki, których tutaj było zawsze pełno, tego dnia gdzieś się pochowały. Po południu na horyzoncie ukazały się gęste czarne chmury. Zbliżały się szybko. Z każdą chwilą nasilał się wiatr. Gdzieś, jeszcze daleko, niebo przecięła błyskawica i ciężki grzmot przetoczył się nad ziemią.

– Chyba zaraz będzie burza, a tu nie ma gdzie się schronić – powiedziała matka.

– Przynajmniej będzie chłodniej – Janka była wyraźnie zadowolona.

– Będzie, zaraz zobaczysz.

Naraz zrobiło się ciemno i pierwsze krople deszczu spadły na ziemię. Potem rozpętało się prawdziwe piekło. Wiatr wył jak stado potępieńców. Z nieba lały się strumienie wody, które po chwili przeszły w grad.

– Szybko, chowajcie się pod pierzyny – krzyczała matka.

Po niebie bez przerwy pełzały błyskawice, a huk piorunów dochodził ze wszystkich stron. Grad bębnił po pierzynach, ludzie zakrywali głowy, czym tylko się dało. Morze zaczęło kipieć i huczeć. Porywisty wiatr pędził ogromne fale na zachód. Statki ledwie zdążyły się schronić za półwyspem do Zatoki Krasnowodzkiej. Z trudem omijały małą wyspę z osadą rybacką Kyzyl-Suw. Po godzinie burza odeszła. Znowu zaświeciło słońce i paliło jak przedtem.

Pierwszy spod pierzyny wylazł Polko, za nim reszta rodziny.

– Ojej, wszystko mokre – zauważyła Janka.

Próbowała podnieść pierzynę, ale tak nasiąkła wodą, że nie dała rady.

– I co teraz będzie?

– Wyschną – padła lakoniczna odpowiedź Polka.

– Wyschną albo nie. Zresztą chyba niedługo będą nam potrzebne. Chodźmy na przystań, może uda nam się stąd prędzej wydostać. – Ludwika podniosła swój tobołek i ruszyła pierwsza.

Morze uspokoiło się zupełnie i statki znowu zaczęły wypływać w morze, musiały opłynąć długi trzydziestokilometrowy cypel, żeby wyjść na pełne morze. Na statkach było pełno ludzi.

W przedporciu ludzi było jakby mniej. Być może część uciekła przed burzą albo odpłynęła? Za rodziną Ludwika wartownik zamknął bramę.

– Przechodźcie do przodu, przechodźcie – popędzał ludzi, którzy tłoczyli się przed okrągłymi namiotami.

– Co tam jest w tych namiotach, że wszyscy do nich wchodzą? – zainteresował się Polko.

– Może wydają zupę? – rozmarzył się Tadek.

– Jak przyjdzie nasza kolej, to się dowiesz – ostudziła go matka. – Wydaje mi się, że już widziałam taki namiot w Szund-Oziero. Pamiętasz, Tadek?

– Aaaa – rozdziawił gębę. – Już wiem!

– Co wiesz? – dopytywał Polko.

– Przechodźcie, przechodźcie – znowu popędzał ich wartownik.

Kolejka szybko posuwała się naprzód. Po godzinie doszli do okrągłego namiotu.

– Rozbierajcie się i włączcie do środka, a ubrania kładźcie tam, gdzie leży już kupa szmat. No, prędzej, bo nie puszczę na statek.

Szybko rozebrali się. Weszli do namiotu i powkładali głowy w otwory na zewnątrz.

– No, Wania, dosyp siarki do ognia – zakomenderował główny odwszawiacz.

Zasyczało i dym zasnuł wnętrze namiotu. Mdły zapach siarki czuć było na zewnątrz.

– Nu gotowe, możecie wychodzić.

Wyszli i chcieli wziąć swoje ubrania, ale ktoś oblał je benzyną i podpalił.

– Nu, idźcie na statek, jak chcecie odjechać.

Kobiety tylko w koszulach, a mężczyźni w opaskach na biodrach z ręczników, szli po molo na statek. Przy trapie stało dwóch NKWD-zistów i na pokład wpuszczali pojedynczo.

– *Dien’gi* masz, to dawaj, bo jak znajdę, to pojedziesz do obozu, a nie do Persji – groził.

Ludwika podeszła do niego i wyjęła ze stanika trzysta rubli. Oddała wszystkie pieniądze.

– Może jeszcze jakie masz w tym staniku, pokaż...

Zaczęli obaj rechotać, aż im grdyki latały.

– *Smatrī*, Pietia, jaka ta Palaczka bogata, miała trzysta rubli. *Nu*, przechodź, i *daswidania*.

Ludwika miał ogromną ochotę walnąć go pięścią w tę śmiejącą się mordę. Weszła na statek, za nią Tadek, Janka i Polko.

Do wieczora statek miał komplet pasażerów. Kiedy zaczęło się ściemniać, zdjęto trap z mola i statek odbił od brzegu. Minął wysepkę Kyzył-su i wypłynął na pełne morze, które było jeszcze rozhuśtane od burzy.

Ludwika źle się czuła na pokładzie, który co chwila uciekał gdzieś w dół, a potem gwałtownie unosił się do góry. Zaczęło ją mdlić. Wydawało jej się, że żołądek ma w gardle.

– Niedobrze mi, chyba zaraz zwymiotuję.

– Mnie też jest niedobrze – poskarżyła się Janka.

– Mama usiądzie na pokładzie, a głowę wystawi za burtę – doradzał Tadek.

– Lepiej się położę, bo zaczyna mi się kręcić w głowie.

– Szkoda, że nie mamy naszych pierzyn – westchnął Polko.

– Szkoda, ale teraz niczego nie zmienisz. Pomóż Jance, a ja zajmę się mamą.

Kołysało całą noc, dopiero nad ranem morze się uspokoiło. Słońce wyszło z wody, czerwone, ogromne, i szybko pięło się w górę, blednąc z wysiłku.

– Jestem głodny – rzekł Polko.

– Wszyscy jesteśmy głodni. Musimy wytrzymać. Widziałeś, mama oddała wszystkie pieniądze.

– I co teraz będzie?

– Nie wiem, jakoś to będzie.

Na południu, choć jeszcze za mgłą, zarysowywał się ląd.

– O, widzisz. Niedługo dopłyniemy.

Oparli się o reling i przyglądali się przybliżającej się ziemi. Po godzinie widać było żółty piasek brzegu, a po drugiej godzinie rejsu jakby namioty i ludzie, którzy chodzili wokół nich. Statek zwolnił, a potem zarzucił kotwicę, daleko od brzegu.

Gruby pomruk syreny okrętowej drgał w powietrzu. Na ten sygnał od brzegu odbiły łodzie i płynęły do statku. Marynarze opuścili drabinę, kiedy łodzie przybiły do burty.

– *Nu*, Paliaki, schodźcie do łodzi.

Ludzie wchodzili na chybotliwą drabinę i przy pomocy marynarzy, a potem ludzi z obsługi łodzi, schodzili ze statku. Powoli łódź odbijała od statku i pyrkając, transportowała ludzi na piaszczysty brzeg – Pahlewi w Persji. Wychodzili z łodzi do wody sięgającej do kolan, bo łodzie nie mogły dobić do samego brzegu, a pomostu do cumowania nie było.

Ludwika weszła do chłodnej wody. Z jednej strony prowadził ją Tadek, z drugiej

Polko. Wyszli na brzeg. Opodal stały rozstawione namioty. Do jednego z nich wprowadzili matkę, która zaraz położyła się na kocach. Janka lepiej zniosła podróż statkiem. Przyszła sama do namiotu i położyła się obok matki. Tadek z Polkiem zajęli namiot obok. Słońce prażyło niemiłosiernie, a nagrany brezent grzał podwójnie.

– Uff, jak gorąco – biadolił Polko. – Jak będziemy w nim siedzieć, to usmażymy się na skwarki.

– Z ciebie to ani kropli smalcu się nie wytopi, wszystko wycisnęli ruskie.

– A ty, ty – zaperzył się Polko. – Taki sam jesteś, a z drugiego się nabijasz.

– No, nie złość się, ja tylko tak...

– Gdzie my jesteśmy? – zapytał udobruchany Polko.

– W Pahlewi, w Persji. Pamiętasz? Mama mówiła o niej w sowchozie „Mołotow”.

– Wiem, ale ciekawy jestem, kiedy dadzą nam coś do jedzenia.

– Może wieczorem?

– Do wieczora daleko, ale wiesz co? Chodź, pójdziemy nad morze, to się trochę ochłodzimy – zaproponował Polko.

– Dobrze, tylko najpierw zajrzę do mamy.

Wyszedł i wsadził głowę do namiotu mamy. Obie z Janką leżały oblane potem. „Ojej, one się zaraz tutaj uduszą” – pomyślał i rozchylił poły namiotu z obu stron. Chłodny powiew od morza wszedł do namiotu. Chłopcy poszli się kapać.

Pod wieczór na plażę w Pahlewi wjechała wojskowa kuchnia polowa. Dym leciał z komina i para buchała z kotła. Z szoferki wyszło dwóch ubranych na biało kucharzy. Weszli na podest kuchni i zaczęli walić w okrągłe blachy zawieszane nad kuchnią. Dźwięk był tak głośny, że mógłby nieboszczyka obudzić. Ludzie wybiegali z namiotów.

– *Common, common, dinner, supper*– wołali kucharze.

– Czego oni tak się drą, czego chcą od nas? – pytali ludzie ze strachem w oczach.

– Kolację przywieźli – tłumaczyła szczerbata babka, która w młodości liznęła języka angielskiego.

– Co, kolację? – ludzie podwali sobie z ust do ust. – Kolacja, kolacja.

Nie wierzyli, a potem zaczęli biec do polowej kuchni, potrącając się wzajemnie. Kto by pomyślał, że z tych wychudzonych ciał mogą wykrzesać tyle energii. Oblegali kuchnię, wyciągając ręce.

– *Slowly*, starczy dla wszystkich – niecierpliwił się kucharz.

Wręczali każdemu miskę z łyżką i nalewali tłustą zupę z kawałkiem baraniego mięsa i do tego bochenek chleba na osobę. Odchodzili szczęśliwi, siadali na piasku i jedli, jedli, jedli.

– Tadek, zobacz, ludzie gdzieś biegną.

– Chodź, zobaczymy, co tam się dzieje.

Biegli szybko, rozpryskując wodę. Gdy podbiegli bliżej, zobaczyli ludzi

siedzących z miskami na kolanach pełnych jadła.

– Skąd to macie?

Zapytany, nie odrywając łyżki od ust, skinął tylko głową w kierunku samochodu. Poszli we wskazanym kierunku. Kucharze nalali im po misce zupy.

– Zanieśmy to najpierw mamie i Jance.

– A my?

– Pójdziemy drugi raz – wyjaśnił Tadek.

Weszli do namiotu. Janka siedziała na kocu.

– Co macie?

– Zupę. – Tadek postawił miskę przed siostrą. Zaczęła jeść łapczywie.

– Jedz powoli – ostrzegł brat.

Odstawiła miskę.

– Ta druga dla mamy.

– Zostawcie, zje później.

– Dobra. Chodźmy teraz wziąć kolację dla siebie.

Podeszli drugi raz do kucharzy, którzy ich poznali.

– *You've been yet.*

– Co? Nie rozumiem – odparł Polko.

Wziął miskę do ręki i pokazywał, że już dał im zupę.

– Aaaa, tak – obaj kiwnęli głowami.

– *Do you want more?*

– Dla mamy i siostry – Polko pokazał na namiot.

– *Mommy and sister?* – zastanawiał się. – *Oh, yes, I understand. For mommy and sister.*

Nalali im dwie miski zupy i dołożyli po kawałku mięsa.

– *Spasiba* – wyrwało się Polkowi.

Odwrócili się i chcieli odejść.

– *Hallo, boy, wait, bread!* – zawołał jeden z kucharzy. Dał im chleb.

Drugi zagadnął:

– *Is your sister pretty?*

Polko popukał się w czoło.

– Głupi, on myśli, że go rozumiem.

Kucharze roześmiali się, myśleli, że ich zrozumiał.

Nadszedł wieczór, a za nim noc. Syci i zadowoleni ludzie układali się do snu. Rozmowy w namiotach cichły, a gdzieś rozlegało się chrapanie.

Przed północą z niektórych namiotów zaczęły dochodzić jęki. Najpierw ciche, potem coraz głośniejsze. Nad ranem trochę się uspokoiło. Lekarz wezwany z Teheranu bezradnie rozłożył ręce.

– Wycieńczonym ludziom nie wolno dawać tłustego jedzenia – wyjaśniał. – Od tego umierają. Nie mogę im już pomóc.

W południe wyjechał. Ludzie lamentowali.

– Przeszedłeś Syberię, Kirgizję, wszy cię żarły i pluskwy, a teraz, kiedy jesteś wolny, umierasz? Co za niesprawiedliwość! – lamentowała kobieta nad mężem, który konał w bólach w namiocie.

Przyjeżdżały karawany i zabierały umarłych, nie wiadomo gdzie.

Na drugi dzień Ludwika wstała wcześniej. Wyszła z namiotu i patrzyła na morze. Śledziła bieg fal, które biegły jedna za drugą, pieniały się i rozbijały o brzeg. Myśli jej, jak te fale, pobiegły do Haliny i Stefana. Tęskniła za dziećmi. „Gdzie oni teraz są?”. Patrzyła daleko w morze, jakby spodziewała się, że ich tam zobaczy. Otarła łzę i wróciła do namiotu, ale i tu nie mogła znaleźć sobie miejsca.

Któregoś dnia do ludzi w obozie przyjechała wojskowa orkiestra dęta. Ktoś w sztabie angielskiej armii pomyślał, żeby tym zabiedzonym Polakom dać trochę rozrywki. Wysiedli z samochodu, ustawili czwórkami. Z przodu sierżant machał laską dyrygencką i oddział ruszył po piachu, grając marsze. Dobosz walił w bęben, aż wystraszone mewy, które pływały przy brzegu, zerwały się i uciekły w głąb morza.

Dzieciaki wybiegły z namiotów i biegły za orkiestrą. Przed kolacją orkiestra, zadowolona z dobrze spełnionego obowiązku, odjechała. Zmęczeni hałasem ludzie odetchnęli z ulgą.

Tadek z Polkiem wałęsali się całe dni po okolicy albo siedzieli w morzu. Nudzili się.

Któregoś dnia Tadek wpadł do namiotu matki mocno podekscytowany.

– Mamo, słyszałem, że w nocy przyjechał transport dzieci z Rosji. Podobno śpią teraz na plaży, niedaleko stąd.

– Co ty mówisz, jakie dzieci? – Ludwice krew uderzyła do głowy. Zaraz jednak oprzytomniała. – Dzieci... Leć, synu, może tam są Halina i Stefan!

Tadek wybiegł z namiotu.

– Polko, chodź szybko! – zawołał brata, który dopiero co się obudził.

Polko zerwał się na równe nogi. Biegli brzegiem plaży, piasek skrzypiał pod stopami.

– Gdzie oni są? – niecierpliwił się Polko.

– Nie wiem, gdzieś tu powinni być.

Przebiegli jeszcze kawałek, a potem zwolnili.

– O, tam coś jest, zobacz! – Polko wskazał ręką.

Podeszli bliżej. Na plaży widać było śpiące dzieci. Niektóre były częściowo przykryte kocem, ale buzie leżały w piasku. Inne koce miały pod głową, a reszta ciał w samych koszulkach leżała na piasku. Znad morza wiał chłodny wiatr, wdzierał się pod koszule i nadymał je jak balony.

– Zobacz – zauważył Tadek – tu są same dziewczynki.

Chodzili wśród śpiących i szukali. Dzieci skulone w kłębek leżały na boku jak zwierzątka, które chronią się przed zimnem. Przeszli w poprzek śpiących. Polko

rozłożył ręce.

– Chodźmy jeszcze tam – Tadek ciągle miał nadzieję.

Zaszedł z drugiej strony. Tadek szedł pierwszy, a za nim Polko trochę z boku. W pewnej chwili zatrzymał się. Przyglądał się dziewczynce zwiniętej w kłębek. Wiedział, że Halina lubiła spać w takiej pozycji. Schylił się i dotknął jej ramienia. Drgnęła, przestraszyła się. Odwróciła głowę i spojrzała na Polka.

– To ty? – szepnęła.

– Halina – powiedział szczęśliwy, że ją znalazł.

– Cicho – upomniała Halina i przyłożyła palce do ust.

– Czemu?

– Bo teraz jest cisza nocna i nie wolno rozmawiać.

Polko zdumiał się.

– A kto wam broni rozmawiać?

– Opiekunki, i mogą nas ukarać.

– Ukarać? – zdziwił się. – A gdzie one są?

– O, tam – szepnęła i pokazała palcem.

Polko spojrzał we wskazanym kierunku. Z dala od dzieci spały trzy opiekunki ochronki. Wymościły sobie legowisko z koców, które zabrały dzieciom. Za nimi stał mały namiot, pogrążony we śnie.

– Tadek, chodź, znalazłem Halinę.

Podszedł natychmiast.

– Halina, jesteś! Halinka! Mama się ucieszy – omal się nie rozplakał ze wzruszenia. – A gdzie Stefan?

– Tam, śpi z chłopcami. – Halina wskazała miejsce.

– Chodź, pokażesz nam.

– Nie wolno, bo one będą krzyczeć.

– Coś ty, jak mama zobaczy, to dopiero będzie krzyk. Chodź.

Wstała, otrzepując piasek z koszulki.

– Nie masz sukienki? – zapytał Tadek.

– Nie, zabrali nam w Krasnowodzk.

Weszli między chłopców.

– O, to ten, ostrzyżony – pokazała Halinka.

– Ostrzyżony? Dlaczego?

– Bo w Oszy uciekał do mamy, ledwie go dogoniłam, a potem ostrzygli go za karę.

– Stefan, obudź się. – Tadek potrząsał nim energicznie.

– Co, ja nic nie zrobiłem! – poderwał się Stefan wystraszony.

Patrzył w zdumieniu na braci.

– No nie wiem, po tobie można się wszystkiego spodziewać – zazartował Tadek.

– Halina! Tadek! Polko! – nie mógł uwierzyć. – A gdzie mama?

– Zaraz przyjdzie. Polko, leć po mamę!

Polko wpadł do namiotu.

– Mamo! Mamo! Znaleźliśmy Halinę i Stefana! – wrzeszczał na całe gardło.

– Naprawdę? – Zrobiła duże oczy, nie mogła uwierzyć.

– Naprawdę. Tadek jest z nimi.

– Chodźmy tam szybko!

– I ja pójdę z wami, też się za nimi stęskniłam.

Ludwika prawie wybiegła z namiotu, ale potem szła wolniej, bo piasek nie pozwalał na szybki marsz. Wreszcie dobrnęli do śpiących dzieci. „Leżą jak ścięte snopki na polu” – pomyślała. Serce ścisnęło jej się z bólu. „Halina i Stefan też tu leżeli, na pewno”. Zaczęła w niej wzbierać złość.

Zauważyła Tadzika i dzieci. Podbiegła do nich z wyciągniętymi rękami.

– Mama! – Halina wtuliła się w ramiona matki.

Wszyscy płakali, tylko Stefan stał na boku i nie garnął się do uścisku.

– No chodź, przybiegłam do was tak szybko, jak tylko mogłam.

Stefan boczył się.

– Dlaczego nas oddałaś? Tym, tym... paniom opiekunkom!

– Już was nigdy nie zostawię! Chodź, uściskaj mamę.

Podszedł, przytulił się do matki i zaniósł płaczem.

Tuliła go i patrzyła na dzieci, a potem na opiekunki śpiące na dziecięcych kocach.

– Zaczekajcie tu, ja muszę coś załatwić.

Poszła do namiotu. Odwiązała sznur i zaraz wróciła. Podeszła do śpiących opiekunek ochronki, złożyła sznur we dwoje, zamachnęła się i uderzyła raz, drugi, trzeci...

Przerażone opiekunki zerwały się z legowiska i uciekały na oślep, żeby uchronić skórę. Jedna z nich z obłędem w oczach wpadła na namiot, który się zawalił. Ludwika dopadła ją. Spod zawalonego namiotu wygramolił się starszy sierżant Grabowski. Zauważył Ludwikę.

– Co pani robi!?! – krzyczał.

– Porządek! Skoro pan nie potrafi zadbać o powierzone dzieci, to ktoś to musi zrobić. To tak ma wyglądać opieka!?! – Wskazała na obudzone hałasem dzieci.

– No takie warunki, wie pani.

– Te krowy pozabierały dzieciom koce, nie widział pan tego? Zabieram dzieci i niech was szlag!

– Nie może pani, oddała je nam pani pod opiekę.

– Pan mówi, że to jest opieka?! Zabieram dzieci i już!

Zastąpił jej drogę.

– Nie pozwalam – rzekł.

– Zejdź mi z drogi, bo jak nie... – zamachnęła się na niego sznurem.

Cofnął się o dwa kroki.

– Prowiantu nie dostaną – zagroził i odszedł.

– Chodźmy już. – Ludwika wzięła za ręce Halinę i Stefana i cała rodzina poszła brzegiem morza do namiotu.

Dalsze losy zesłańców ukażą się w drugiej części powieści, zatytułowanej *Śladami tułaczy*.

- [1] Adam Siemieniuk po umowie Sikorskiego z Majskim wstąpił do Armii Andersa. Walczył pod Monte Cassino i Bolonią. Po wojnie wyjechał do Anglii. Zamieszkał na stałe w Szkocji. Do Polski nigdy nie wrócił.
- [2] Janina i Gienia Siemieniuk w 1945 roku przyjechały do Polski. Wyszły za mąż. Gienia mieszka w Starogardzie Szczecińskim, Janina w Łebie.
- [3] Nazwisko zmieniono – jego rodzina mieszka w woj. szczecińskim.
- [4] Krwiak po latach zamienił się w guz wielkości dłoni. Był operowany w Kampali, w Ugandzie.
- [5] Wiczysław Mołotow, właściwie Skriabin – bliski współpracownik Stalina, był wykonawcą wszystkich jego poleceń.
- [6] Lepioszki – okrągłe placki pieczone na płycie pieca (podpłomyki).